

Nie chwytaj tej książki przed zonią i tak kupi sobie nową!

Kobieta



DC
LITERS

MAGGIE OSBORNE

Kobieta

The Seduction Of Samantha Kincade

Przełożył: Artur Gerard

Samantha Kincade – młoda kobieta, z różnych względów posługująca się raczej męsko brzmiącym skrótem swego imienia i stąd znana jako Sam Kincade

– od paru dni rozglądała się za pewnym męczyzną. Konkretnie chodziło jej o niejakiego Zeke’a Slattery’ego, który był poszukiwany listem gończym w co najmniej kilku stanach Dzikiego Zachodu, a za dostarczenie go żywego lub martwego wyznaczono sporą nagrodę.

Nie było więc nic nadzwyczajnego w tym, że Sam Kincade (która już od dobrych paru lat była zawodowym łowcą nagród) po uzyskaniu informacji, że owego Slattery’ego ostatnio widziano w miejscowości Dogtown na granicy stanów Kansas i Kolorado, wyruszyła tam bez zwłoki. Jak zwykle konno i w męskim przebraniu.

Zgodnie z tym, co zapowiadała sama nazwa, miasteczko Dogtown okazało się krańcowo nędzną dziurą, zbiorowiskiem kilkudziesięciu rozsypujących się już ze starości drewnianych domków, ustawionych dość beładnie wzdłuż jedynej ulicy – z taką właśnie uklepaną ziemią, pełniącą jednocześnie funkcję jezdni i chodnika. Jedynym piętrowym budynkiem był

miejscowy saloon. Stojący tu obok ałosny hotel mógł tylko odstraszać ewentualnych gości. Oglądane z zewnątrz, całe to chylące się ku ziemi miasteczko było prawie niewidoczne – niczym jakiś mizerny pryzacz na ogromnej, pozbawionej drzew równinie bezkresnej prerii. Zmurszałe, spalone słońcem ściany drewnianych domków jawnie przegrywały długoletnią bitwę z wciąż usiłującym je zwałić, wiejącym od gór wiatrem. Ale właśnie w takim zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu mógł szukać chwilowego schronienia niejeden ścigany przez prawo rewolwerowiec.

Po dojechaniu na miejsce Sam uwiązała konia o imieniu Blue do specjalnej elaznej bariery zainstalowanej przed wejściem do saloonu. Liczba stojących tam koni wskazywała, że nawet w Dogtown lokal tego rodzaju wciąż jeszcze mógł liczyć na wiernych klientów. W każdym razie w środku było głośniejszy, niż można się było spodziewać – nawet jeśli uwzględnić, że było już dość późno, a na ciemniejącym powoli niebie zdawało się pojawić się księżyc.

Sam poprawiła okrywające ją poncho i jeszcze raz sprawdziła pas z rewolwerem. Splunęła w dłonie, przyglądała się krótko obcięte włosy i wcisnęła na czoło kowbojski kapelusz z szerokim rondem. Wyprostowała się maksymalnie i postarała przybrać minę młodego chłopaka, którego zawsze musiała w takich sytuacjach udawać – pewnego siebie, choć wciąż jeszcze gołowąsa, ale takiego, który nie da sobie w kaszę dmuchać. Z taką właśnie miną, pewnym krokiem, weszła do saloonu w Dogtown.

Od progu uderzyła ją fala zmieszanych zapachów i odorów – głównie alkoholu, tytoniu i ludzkiego potu. Przy ustawionym obok schodów pianinie siedział rozchełstany osobnik w meloniku i z cygarem w zębach i z miną cierpiętnika walił w po ółkłe klawisze, usiłując wydobyć z nich melodie, których i tak nikt z obecnych nie potrafiłby rozpoznać. Popiół z tłącego się cygara co chwila spadał na klawiaturę, co zresztą najwyraźniej nikomu nie przeszkadzało. Dość liczna grupka milczących mężczyzn o spiętych twarzach tłoczyła się przy największym stole, gdzie bankier o nieprzenikniętym spojrzeniu bładniebieskich oczu dawał grającym kolejne karty, decydujące o ich wygranej lub

przegranej. Przy innych stolikach z nie mniejszym zacięciem grano w pokera i tylko z rzadka któryś z grających podnosił na chwilę oczy znad kart, by odprowadzić wzrokiem którąś z pracujących w tym lokalu prostytutek, niemal nieustannie przesuujących się po schodach w górę – w towarzystwie klienta – i w dół – w poszukiwaniu następnego. Wydawało się, że jest ich bardzo dużo – w każdym razie ruch na schodach trwał niemal nieprzerwanie.

Sam zdążyła się już przyzwyczaić do takiego widoku – w końcu salony w innych miasteczkach niewiele różniły się od tego w Dogtown. W gruncie rzeczy wszędzie było to samo.

Przecisnęła się do baru i zamówiła piwo, po czym stanęła w upatrzonym wcześniej miejscu, nieco z boku. Dwie zmęczone dziwki obrzuciły ją taksującym spojrzeniem, ale najwyraźniej doszły do wniosku, że mają do czynienia z gołowąsym niedorostkiem bez pieniędzy, bo od razu straciły zainteresowanie.

Sam rozglądała się po sali, pozornie leniwie i bez większego zaciekawienia. W rzeczywistości wypatrywała Slattery'ego. Gdy w pewnym momencie wydało jej się, że rozpoznała przy jednym ze stolików do pokera znaną z opisu brzuchatą sylwetkę i rozlaną nieogoloną twarz, nawet nie mrugnęła powieką. Ustawiała się tak, by kątem oka kontrolować zachowanie całkowicie zajętego grą, a nie do końca jeszcze rozpoznanego osobnika, i powoli sączyła piwo. Napój musiał być chrzczony jakimiś pomysłami, w smaku był

wręcz obrzydliwy, ale trzeba go było wypić, by nie wyróżnić się wśród innych i nie budzić podejrzeń.

Po dokładnym upewnieniu się, że nikt na nią nie zwraca uwagi, Sam zamówiła drugie piwo i przesunęła się jeszcze bliżej w stronę pokerowego stolika, przy którym napięcie rozgrywki wyraźnie rosło. Tym razem ustawiła się tak, by mieć tamtego dokładnie naprzeciw siebie i móc go w myśli porównywać z twarzą zapamiętaną z listu gończego. Zło ona w czworo odbitkę wciąż miała w wewnętrznej kieszeni.

Mężczyzna, którego podejrzewała o to, że może być Slatterym, nie kazał

jej zbyt długo czekać na potwierdzenie jego tożsamości. Z triumfalną miną wyłożył karty i natychmiast sięgnął po leżący na środku stołu spory stosik pieniędzy. Szeroki uśmiech na jego twarzy zgasł jednak bardzo szybko, gdy jeden z grających rzucił na stół swoje karty i zaczął krzyczeć, zapluwając się ze zdenerwowania.

– Do ciebie cholery, ile w końcu asów może być w tej talii?! Ja mam jednego i ten tu obok ma jednego, a ty masz trzy? Może się z tego wytłumaczysz, zanim dostaniesz od nas takiego kopa w dupę, że wylecisz stąd przez sufit!!

– Ośmielasz się oskarżać Zeke'a Slattery'ego o oszustwo? – Oczy w zapuchniętej od alkoholu i tłuszczy twarzy zwęziły się nagle i pojawił się w nich niebezpieczny błysk.

Nie było już wątpliwości. To był ten człowiek, którego poszukiwała – w końcu usłyszała to z jego własnych ust. Wiedząc z doświadczenia, że w takich przypadkach na krzykach i wyzwiskach się nie

kończy, przezornie przesunęła się z powrotem w kierunku baru. Przy stoliku zaczynały się już rękoczynny.

Rosły barman przywołał z zaplecza osiłka z pięściami jak bochny chleba i razem szybko przywrócili porządek. Bijący się klienci zostali po prostu wzięci za kark i wyrzuceni za drzwi.

– Załatwajcie to na zewnątrz! – krzyknął za nimi barman i wrócił na swoje miejsce, dla pewności zostawiając osiłka przy wejściu, na wypadek, gdyby tamci zechcieli jednak wrócić.

Przy barze Sam wsparła się na łokciach i nasłuchiwała dobiegających z ulicy odgłosów, usiłując w ten sposób choćby z grubsza rozszyfrować dalszy rozwój wypadków. Usłyszała czyjś głośny krzyk, potem brzęk tłuczonego szkła, a następnie wystrzały. Jeden, drugi... I jeszcze jeden.

Je eli Slattery wyjdzie cało ze starcia z tymi dwoma rozwścieczonymi, oszukanymi przez niego graczami, być może jeszcze powróci do saloonu, choćby po to, by zachować twarz. Ale tak czy inaczej z całą pewnością postara się opuścić Dogtown zaraz o świcie. Musiał tak postąpić – był stale ukrywającym się zbiegiem. Zadaniem Sam było domyślić się, w którą stronę uciekinier zechce się udać.

Była wystarczająco dobra w swoim zawodzie, by bez większego trudu odgadnąć, dokąd wymykający się z miasteczka zbieg może próbować wyjechać.

Jednak ta próba kolejnej ucieczki, którą niebezpieczny opryszek z pewnością już zdecydował się podjąć, była tym razem skazana na niepowodzenie. Je eli oszukani partnerzy od pokera nie załatwią go wcześniej, zrobi to ona – Sam Kincade.

Za plecami usłyszała zbliżające się ciężkie kroki, a ich odgłosu nie stłumiła nawet warstwa trocin, którymi przysypane było ubite na beton klepisko, pełniące w tym lokalu funkcję podłogi. Sam obróciła się powoli i ostrym spojrzeniem zmierzyła rosnącego mężczyznę z czerwienią na twarzy, który najwyraźniej zamierzał po prostu wypchnąć nieopierzonego młodzika z jego miejsca przy barze, nie za bardzo się nawet przyglądając, kogo chce potraktować tak lekceważąco.

– Jeśli to kogoś obchodzi, to ja tu stoję i nie zamierzam stąd odchodzić –

oznajmiła chłodno Sam. Ani jeden mięsień nie drgnął na jej twarzy, kiedy nieznacznym ruchem odchyliła połę poncha i położyła dłoń na kolbie wiszącego u pasa rewolweru.

– Och, na miłość boską! – mężczyzna spojrzał na gotową do użycia broń z wyraźnym niesmakiem, odsunął się i plunął przez utyły tytoniem w kierunku najbliższej sopluchaczki. – Nie ma nic gorszego od ółtodzioba, który koniecznie chce sobie wyrobić nazwisko.

Sam już nie zwracała na niego uwagi. Spojrzała w stronę drzwi, przez które dumnym krokiem – zwycięzcy wchodził z powrotem Zeke Slattery, po drodze otrzepując z kurzu kowbojski kapelusz. Wyglądał na triumfującego nikczemnika. Jeden z dwóch oszukanych przez niego partnerów od pokera nie pojawił się w ślad za nim, co wyraźnie wskazywano na to, że starcie musiało zakończyć się dla

nich znacznie gorzej niż dla tego zadowolonego z siebie oprycha. Slattery miał jedynie rozbitą wargę i mocno rozcięte czoło, a spływająca z rany krew zdążyła już zaschnąć na skroni i kędzierzawych włosach, tworząc nieregularną ciemnoczerwoną skorupę. Ludzie rozstąpili się przed nim, kiedy niedbale wsadził na głowę oczyszczony już kapelusz i wolnym krokiem skierował się do lady przy samym końcu baru, gdzie zamówił szklankę whisky i piwo na popitkę. Po chwili już wyglądało na to, że w saloonie wszystko wróciło do normy.

Sam uznała, że to najbardziej odpowiedni moment, aby bez zwracania na siebie uwagi wynieść się z lokalu. Do siodła konia miała przytroczony śpiwór, mogła więc zawczasu pojechać na przewidywane miejsce porannej akcji i przespać się przez kilka godzin, by zbudzić się wraz ze świtem i w ukryciu wyczekiwać na pojawienie się Slattery'ego.

Dokończyła piwo i odstawiła cynowy kufel. Potem jeszcze raz rozejrzała się po twarzach, by się upewnić, że niczego nie przegapiła. Dwie osoby zwróciły jej uwagę.

W kącie sali, w pobliżu schodów, siedział niejaki Kid Gally, wpatrując się w przechodzące prostytutki, dziewiętnastoletni bandyta, w gruncie rzeczy początkujący i dopiero wyrabiający sobie nazwisko – głównie poprzez zuchwałe napady rabunkowe na dyliżanse na drodze do Laramie. Gally był już ścigany listem gończym, ale ponieważ, jak dotąd, nikogo nie zabił, nagroda wyznaczona za jego ujęcie była nieporównanie niższa od tej, jaką oferowano za Slattery'ego.

Ten bowiem miał już na swoim koncie co najmniej pięć bezspornie udowodnionych morderstw, a jeśli doliczyć jego nieszczęsnych partnerów od niedawnego pokera – najprawdopodobniej również zastrzelonych – liczba dokonanych z zimną krwią zabójstw wzrastała do siedmiu. W związku z tym Sam powiedziała sobie, że pojmanie Slattery'ego i dostarczenie go organom sprawiedliwości ucieszy ją znacznie bardziej niż jakakolwiek nagroda, i pomyślała nawet, że z prawdziwą przyjemnością obejrzałaby go sobie, kiedy już będzie dyndał na szubienicy.

W tym momencie nagle dostrzegła siedzącego w pobliżu drzwi człowieka, którego rysy, a przede wszystkim bardzo charakterystyczne oczy sprawiły, że w jednej chwili przestała myśleć o tamtych dwóch bandytach.

Bandytach w gruncie rzeczy drugorzędnych – w każdym razie w porównaniu z Hannibalem Cotwellem, tym potworem o ostrych, tygrysiach zrenicach, o którym nie potrafiła przestać myśleć – i to z wciąż rosnącą nienawiścią! – już od blisko dwunastu lat. Człowiek, którego teraz widziała z pewnego oddalenia, w jakiś sposób bardzo Hannibala Cotwella przypominał.

Widać było, że – podobnie jak Sam – z własnego wyboru trzyma się raczej na uboczu. Wydawał się obserwować ludzi, patrząc na nich z dość szczególnym uśmiechem na ustach. W pewnym momencie najwyraźniej poczuł

na sobie wzrok Sam i ich spojrzenia na chwilę się spotkały. Sam miała niejasne wrażenie, że dostrzega ten sam przerażający błysk, który jeszcze jako dziecko zapamiętała przed laty. I była znów o krok od tego, by długo tłumiona nienawiść wybuchła w niej z jeszcze większą, niepokonaną i niszczącą siłą.

Resztki rozsądku pozwoliły jej zapanować nad sobą. Zdała sobie sprawę, że ten człowiek w ten sposób nie może być Hannibalem Cotwellem. To było po prostu niemożliwe. Owszem, przypominał go nieco, ale nawet to zewnętrzne podobieństwo było mniejsze, niż się jej początkowo wydawało. Cotwell był

krępy, nie sztywny i jednocześnie mocniej zbudowany – podczas gdy ten nieznajomy był zdecydowanie szczuplejszy, raczej wysoki, a jego smukłej, zgrabnej sylwetki w ten sposób nie dałoby się pomylić z tamtą. Grubo ciosane rysy Cotwella były bardziej prostackie, pełne dzięki zmysłowości wargi miały w sobie rys jawnego okrucieństwa. Tymczasem twarz nieznajomego była jakby rzeźbiona delikatniejszym dłutem. Ostry, niemal arystokratyczny profil, regularne rysy, kształtne wargi, które potrafiły się czarująco uśmiechać. Tak, niewątpliwie był to bardzo przystojny mężczyzna. Nie wspominając już o tym, że nie miał na twarzy nawet śladu blizny, podczas gdy Hannibal Cotwell – co miała Sam zapamiętała szczególnie wyraźnie – miał po prawej stronie czoła skórę zdeformowaną i niemal całkowicie zniszczoną przez jakieś straszliwe okaleczenie.

Ale ich oczy były niemal takie same. Z tym nieodpartym spojrzeniem przenikliwych źrenic, z tęczęwkami o niezwykłym odcieniu półprzejrzystego bursztynu.

Sam głęboko odetchnęła raz i drugi i na wpół tylko przytomnie, wolnym krokiem ruszyła w kierunku wyjścia. Nie widziała Hannibala Cotwella od dwunastu lat – choć nie przestawała o nim myśleć właściwie nigdy, a zaczęła go szukać chyba od momentu, w którym po raz pierwszy pomyślała, że mogłaby się zawodowo zająć tropieniem podobnych do niego zdegenerowanych zbirów.

Ale Cotwell, jeśli jeszcze żył, musiałby mieć jakieś trzydzieści pięć lat.

Zdecydowanie więcej niż ten mężczyzna, który wciąż siedział przy stoliku niedaleko drzwi.

– Zejdź mi z drogi! – warknęła na jakiegoś kowboja, który nie usunął się dość szybko. Półprzytomnie przepychała się ku drzwiom, marząc tylko o jednym: by wreszcie wydostać się na zewnątrz i głęboko odetchnąć zimnym, czystym powietrzem. Wysiłkiem woli powstrzymywała się, aby nie zacząć biec.

Nieznajomy, który przez moment wydał się jej podobny do Hannibala Cotwella, przesunął na tył głowy elegancki czarny kapelusz typu stetson i w miarę jak się zbliżała, coraz bardziej otwarcie zaczął się jej przyglądać, a jego ciemne brwi uniosły się lekko, jakby z jakimś zdziwieniem.

Sam była już na tyle blisko, że wyraźnie widziała szczegóły kroju zaskakująco eleganckiego, sztywnego na miarę czarnego surdutu, spod którego widoczna była złota dewizka kieszonkowego zegarka, wciąż jeszcze stanowiącego raczej rzadkość, zwłaszcza w tych stronach. Ale Sam właściwie wciąż widziała tylko te jego oczy, to spojrzenie, które sprawiało, że jej nerwy były już napięte do ostateczności. Mężczyzna patrzył na nią tak, że czuła gwałtowne skurcze w okolicach ołładka. I wciąż w jego oczach widziała ten drapieżny

oświetlony błysk, który tak mocno wrył się w jej pamięć i podświadomość.

Krańcowo wzburzona, czując na zmianę przebiegające przez ciało fale gorąca i przenikliwie zimne dreszcze, Sam pchnęła w końcu drzwi i znalazła się na zewnątrz. Głęboko oddychała chłodnym

nocnym powietrzem, wciągając je do płuc ogromnymi haustami. Nagle zdała sobie sprawę, e w kurczowo zaciśniętej dłoni trzyma colta, choć w aden sposób nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy właściwie po niego sięgnęła. Wiedziała tylko, e wręcz rozpaczliwie chciaaby wrócić do saloonu i zabić tego człowieka, który ośmielił

się na nią patrzeć takimi samymi ółtawymi, tygrysimi oczami, jakimi na dziewięcioletnią dziewczynkę patrzył kiedyś Hannibal Cotwell. Ta irracjonalna potrzeba była tak silna, e Sam tylko z najwyszym trudem potrafiła się powstrzymać, eby naprawdę tego nie zrobić.

– Niech to diabli! Niech to wszyscy diabli! – powtarzała półgłosem.

Ścisłała kolbę rewolweru z taką mocą, e drobne kostki jej dłoni stały się prawie białe. Nawet nie zdawała sobie sprawy, e raz po raz zgrzyta zębami.

Lewą dłonią odruchowo przejechała po swej klatce piersiowej i mimo dość grubej tkaniny, z której zrobione było poncho, wyraźnie poczuła, jak palce zatrzymują się dokładnie w tym miejscu, w którym wciąż pozostawała trwała blizna po tym, co się stało dwanaście lat temu.

– To przecie nie on! To nie jest Cotwell! – mówiła do siebie raz za razem, jak gdyby takie mechaniczne powtarzanie słów mogło w czymkolwiek pomóc. W końcu zmusiła się do porzucenia szaleńczego zamiaru i odwróciła od drzwi, za którymi wciąż zapewne siedział ten człowiek. Chwiejnym krokiem przeszła do miejsca, w którym uwiązała Blue, połozyła dłoń na siodle i cięko dysząc, wtuliła czoło w kark wiernego zwierzęcia.

Prawda była taka, e ostatnio coraz częściej wyobraźnia kazała jej dostrzegać jakieś podobieństwo do Hannibala Cotwella niemal w ka dym cieniu na ulicy, w ka dej niewyraźnie majaczącej sylwetce. Niecierpliwość i frustracja z erały ją za ka dym razem, kiedy wbrew zdrowemu rozsądkowi ruszała za podszeptem wyobraźni za kolejnym niepewnym śladem, znów prowadzącym donikąd. W poczuciu pełnej desperacji próbowała szukać tego bandyty dosłownie w ka dej dziurze, przez którą zdarzyło się jej przeje d ać. I chyba jedynie za sprawą opatrności wciąż jeszcze nie postrzeliła adnego Bogu ducha winnego człowieka tylko z tego powodu, e w czymś przypominał Hannibala Cotwella.

Przy tym wszystkim najgorsza chyba była świadomość, e ten drań wciąż musiał gdzieś tam być. e nadal rabował, zabijał i gwałcił, pozostawiając za sobą wciąż te same ślady – krew i zniszczenie. Ale po tych śladach nikomu nie udało się do niego dotrzeć. Ścigającym go przedstawicielom prawa – z Samantha Kincade włącznie – wciąż przemykał się przez palce niczym ywe srebro.

– Kiedyś go dopadnę! – powtórzyła sobie po raz nie wiadomo który. –

Kiedyś i na niego przyjdzie kolej...

Formułka prawna mówiła o dostarczeniu zbrodniarza ywego lub

umarłego. Sam klepnęła konia po szyi i po raz kolejny przysięgła sobie w duchu, e wtedy na pewno nie popełni błędu. Nawet nie będzie próbowała dostarczać go ywego.

Wspięła się na siodło i całkowicie ju opustoszałą ulicą Dogtown skierowała się na wschód, w

kierunku niewielkiego zarośniętego parowu, którego usytuowanie zapamiętała, gdy wjeżdżała do miasteczka. Wiedziała, że Slattery przyjechał tu z Laramie, gdzie również już był ścigany, podobnie jak w Denver. Nie był aż tak głupi, by wracać do miejsc, w których na niego czekano, pozostawało mu więc jedynie Dodge City.

Upatrzony parów był właśnie przy tej drodze, jakieś dwie mile za miasteczkiem. Dzięki gęstym zaroślom doskonale nadawał się na miejsce zasadzki, a porośnięte krzewami zbocza dodatkowo chroniły przed zimnym nocnym wiatrem, wiejącym od gór.

Sam uwiązała konia w głębi parowu i zdjęła siodło, które miało jej zastąpić poduszkę. Wsunęła się do rozłożonego wprost na trawie śpiwora i przymknęła oczy. Sen jednak nie nadchodził.

Przed oczami ciągle miała obraz człowieka, którego początkowo wzięła za Hannibala Cotwella, a jednocześnie z głębi pamięci wciąż na nowo wracał

koszmar, który prześladował ją już przez tyle lat. Pamiętała ów drapieżny błysk w oczach o tym niezwykłym bursztynowym odcieniu. I pamiętała to, co później stało się z osobą, którą kochała najbardziej na świecie – z jej matką.

Senne majaczenie mieszało się z rzeczywistością. Kiedy w końcu zasnęła, długo jeszcze jęczała przez sen. Obudziła się tu przed świtem.

Dogtown było zbyt mizernym i zbyt mało znaczącym miejscem, by mogło się zmieścić na objazdowej trasie znanego na całym Zachodzie mistrza pokera. Oczywiście Trace Harden, gdyby tylko chciał, bez specjalnego wysiłku ograłby wszystkich w tej miejscinie, gdzie poziom gry nie mógł być wysoki.

Ewentualny zysk nie byłby jednak wart nawet tego niewielkiego trudu. Gdy więc dowiedziano się, że ktoś tak słynny pojawił się w Dogtown, wśród mieszkańców od razu znalazło się sporo chętnych, by uciąć z mistrzem jedną czy drugą rundkę – a potem móc się przynajmniej chwalić, że się grało z samym Hardenem. On jednak nie miał ochoty obdzierać swoich niedoszłych przeciwników z ich niewielkich pieniędzy po to tylko, by później wysłuchiwać nieuchronnych oskarżeń o oszukiwanie. Uprzejmie, ale stanowczo odmawiał

więc kolejnym wyzywającym go miejscowym graczom, informując ich przy okazji, że w Dogtown w pokera nie gra, a w miejscowym saloonie występuje jedynie jako absolutnie neutralny, wynajęty przez właściciela krupier, którego rola sprowadza się do wyjmowania z pudełka i wydawania kolejnych kart grającym w amerykańską odmianę faraona.

Nie wspominał już im jednak, i tę czysto techniczną funkcję – z wręcz obraźliwie niskim wynagrodzeniem pięciu dolarów za ośmiogodzinny dzień pracy – przyjął od właściciela lokalu wyłącznie dlatego, że ten saloon z samej swej istoty mógł być znakomitym punktem obserwacyjnym. W takim miejscu pojawiali się wszyscy, zarówno miejscowi, jak i przyjezdni. Trace Harden mógł

więc nie bez racji przypuszczać, że prędzej czy później zbierze tu wszystkie potrzebne mu informacje.

Tym razem dość wcześnie, bo już wkrótce po północy, w saloonie zaczęło się robić prawie pusto.

Większość gości rozjechała się do domów, tylko jacyś dwaj pijani kowboje postanowili odespać zarwaną noc na miejscu i po prostu uwalili się na wysypaną trocinami podłogę – na której wyglądali zupełnie jak dwa trupy, które wyniesie się dopiero rano, przy sprzątaniu lokalu. Barman wyraźnie drzemał za ladą. Pianista na szczęście te ju się wyniósł, a wszystkie panienki do towarzystwa były zajęte na górze, wyjąwszy najstarszą z nich, imieniem Mattie.

Trace siedział samotnie przy stoliku do pokera i zabawiał się tasowaniem kart w taki sposób, by wszystkie asy znalazły się dokładnie w tych miejscach, które im wyznaczył. To były karty nowego typu, wprowadzone stosunkowo niedawno. Figury były w nich przecięte na pół ukośną linią, przy czym to, co widziało się na dole, było odwróconym lustrzanym odbiciem tego, co było na górze. Dzięki temu bez przekręcania kart mo na było od razu wiedzieć, co ma się na ręku, ponieważ wartość karty była teraz widoczna w ka dej pozycji.

Dodatkowym udoskonaleniem miało być te zaokrąglenie ich rogów, do której to nowinki Trace Harden odnosił się raczej sceptycznie.

Mattie Able przesunęła się wraz z krzesłem w jego stronę i przez dłu szą chwilę z upodobaniem przyglądała się długim zręcznym palcom mę czyzny, którym nawet ta nowa talia najwyraźniej nie sprawiała najmniejszych trudności.

– Doprawdy nie wiem, jak pan to robi – powiedziała z nieskrywanym podziwem, odgarniając z lekko spoconego czoła nieposłuszne pasemko radeh włosów. – Ju po północy, a pan wciąż jest świe utki jak wodna lilia.

– Chyba pierwszy raz w yciu porównano mnie do lilii. – Trace uśmiechnął się i wyciągnął do niej dłoń z le ącą na niej talią. – Niech pani wyciągnie jedną kartę. Je eli to będzie figura, postawię pani drinka.

Zmęczone oczy Mattie rozjaśniły się.

– Drink z pewnością by mi się przydał – odpowiedziała z uśmiechem. –

Ale czy będę miała dość szczęścia?

Trace błyskawicznie przetasował karty i znów poło ył je na otwartej dłoni. Mattie niepewnie wyciągnęła kartę, spojrzała i wykrzyknęła uszczęśliwiona:

– Dama! Mam damę!

– Atchison! – zawołał Trace na tyle głośno, by obudzić drzemiącego barmana. – Jedną brandy dla pani! A dla mnie coś bezalkoholowego. Mo e być sarsaparilla.

Wsunął z powrotem wyciągniętą kartę do talii i jeszcze raz błyskawicznie przetasował.

– Nie pije pan alkoholu? – spytała zaskoczona Mattie.

– Teraz nie – odpowiedział, powa niejąc nieco. – Ale był czas, e piłem, i niewykluczone, e kiedyś

ponownie zacznę.

Znów się uśmiechnął i popatrzył jej prosto w oczy, całkowicie ignorując fakt, że stara sukienka Mattie tu i tam pękała w szwach, jawnie ukazując białe fragmenty ciała. Przyglądał się głównie jej twarzy, która w świetle wciąż palących się gazowych lamp wydawała się szara i zmęczona – ale ta młodsza, nie mogła na by początkowo przypuszczać. To życie oraz miejsce, w którym Mattie je spędzała, odebrało jej najwięcej. Świe oś i niewinność odeszły już dawno, a to, co jeszcze zostało z urody, to wyraźnie przemijało. Jednak jej ciemne brązowe oczy wciąż patrzyły bystro, a włosy koloru miedzi, wysoko upięte pod tandetnym stroikiem, były czyste i lśniące.

Trace uniósł brwi na widok tego, co Atchison postawił w szklance przed Mattie.

– To jest herbata – powiedział. – Panna Able teraz nie pracuje, podobnie jak ja, więc chcielibyśmy dostać coś odpowiedniego na chwilę przyjacielskiej rozmowy po godzinach. Proszę to zabrać i przynieść pani brandy, którą zamawiałem.

– Przynieść pani! – mruknął szyderczo Atchison. – Pani, dobre sobie...

Mattie zignorowała go i spojrzała na Trace'a.

– To było cholernie uprzejme z pana strony! – powiedziała. Zastanowiła się chwilę, poprawiła ołówkiem brwi i znacząco spojrzała w stronę prowadzących na piętro schodów. – Noc jeszcze się nie skończyła.

Policzyłabym panu taniej...

– To kusząca propozycja – skłamał Trace, rzucając okiem na wciąż jeszcze foremne piersi kobiety i udając, że się zastanawia. – Normalnie bez namysłu przyjąłbym podobną ofertę od tak ładnej osoby...

– Przyjąłby pan, ale? – Mattie sięgnęła po brandy, którą barman w końcu przed nią postawił.

– Ale przyrzekłem sobie, że nie tknę na razie ani alkoholu, ani kobiety. –

Postarał się, aby w jego słowach pobrzmiwał wyraźny ból. – Przynajmniej dopóki... – Nie dokończył i znów zaczął się bawić w tasowanie kart, demonstrując od niechcienia kilka efektownych sztuczek.

– Przyrzekł pan sobie... – powtórzyła Mattie i na pociechę ponownie podniosła szklaneczkę do ust. – Ale właściwie dlaczego miałby pan robić coś tak głupiego?

– Szukam pewnego człowieka – powiedział Trace. – To dla mnie na tyle ważne, że nie chcę, aby cokolwiek mnie rozpraszało...

Uważnie przyglądał się wyraźnie zaintrygowanej Mattie. Prawie tydzień czekał na okazję, by zarzucić ten haczyk z przynętą, którą miała być przede wszystkim uprzejmość i grzeczne traktowanie. Zorientował się już, że to właśnie przez Mattie ma największe szanse dotrzeć do informacji, na których mu zależało.

– A kogo pan szuka? – spytała i zawahała się. – Bo mo e... mo e mogłabym panu pomóc?

Trace wyciągnął rękę ponad stołem i delikatnie położył dłoń na przedramieniu kobiety, patrząc w jej oczy ze szczerą wdzięcznością.

– Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby pani mogła...

– Jak się ten człowiek nazywa? – zapytała. Ju od bardzo dawna nikt jej nie dotykał w ten sposób, tak gładką i tak czystą dłonią. Męską, a przecie bez odcisków i z porządnie obciętymi paznokciami. Nawet nie potrafiłaby sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz rozmawiała sam na sam z kimś tak przystojnym, dobrze ogolonym i pachnącym prawdziwą wodą kolońską.

– Nazywa się Hannibal Cotwell – odpowiedział, patrząc jej w oczy.

Gwałtownie cofnęła rękę, a jej twarz nagle stężała. Trace ju wiedział, e z tej talii mo e wyciągnąć asa.

Mattie przez dłuższą chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

– Właśnie to mnie w panu zastanawiało – odezwała się w końcu. – Ma pan zupełnie takie same tygrysie oczy jak Hannibal. I taki sam spokojny głos.

Nie wygląda pan tak jak on, co to, to nie. Ale jednak jest w was coś podobnego.

Tak, na pewno...

Trace starał się nie pokazać po sobie, jak bardzo wstrząsnęła nim świadomość, e oto prawie dotarł do celu. Czuł się tak, jak gdyby serce nagle zastygło mu w jeden wielki kawałek lodu. Jego palce były jak z drewna; z wcią utrzymaną w ręku talią nie potrafiłby zrobić dosłownie nic. Za wszelką cenę musiał ochłonąć. Odłożył karty na stół i sięgnął po szklaneczkę z sarsaparillą.

Dopiero po chwili podniósł wzrok.

– Dam dwadzieścia dolarów w złocie za wiadomość, gdzie mogę znaleźć Hannibala Cotwella – oznajmił bardzo rzeczowym tonem.

Mattie odstawiła brandy.

– Musi pan coś zrozumieć – rzekła. – Nie powiem o nim nic złego. To prawda, e kiedyś Hannibal i ja... to znaczy...

Spojrzała w stronę schodów i bezwiednie przygryzła dolną wargę, jak gdyby jakieś wspomnienie nagle ją zabolalo.

– To znaczy, było tak na pewno, przynajmniej zanim... no, w ogóle...

– A mnie mówiono coś zupełnie innego – powiedział miękko Trace, gdy Mattie zamilkła. –

Słyszałem, e pani byłaby gotowa zastrzelić go, gdyby tylko odważył się tu pojawić.

– Mo e tak... – Zmarszczyła czoło i popatrzyła na niego podejrzliwie. –

Czy pan jest... jak to się mówi... przedstawicielem prawa?

– Nie, proszę pani. Nie jestem nikim takim.

Poniewa wciąż patrzyła nieufnie, dodał tak łagodnie i przekonująco, jak tylko potrafił:

– Mogę panią zapewnić, e Hannibal sam będzie chciał się ze mną spotkać, gdy tylko usłyszy, e go szukam.

– No więc ode mnie tego nie usłyszy. – Jej głos był głuchy, a twarz bez wyrazu. – Hannibal był tu jakiś czas temu, ale wyjechał. Nie wiem, gdzie jest teraz. Po prostu nie wiem.

Długie lata gry w pokera nauczyły Trace'a rozpoznawać blef. Mattie, oczywiście, wiedziała, ale nie chciała mu powiedzieć. Należało więc przede wszystkim zachować cierpliwość, nie dać po sobie poznać, jak bardzo mu na tym zależy. Parę uprzejmych, niezobowiązujących zdań pozwoliło w miarę gładko i bezkonfliktowo zvekslować rozmowę na inny temat. I tak właśnie należało postępować, bo gdyby Trace poddał się pierwszemu odruchowi, naciskana zbyt gwałtownie kobieta mogłaby się zaprzeć w sobie i wtedy ju nigdy nie wyznałaby mu prawdy.

Przez okna powoli zaczynał sączyć się świt. Trace postanowił udać, e ogarnia go senność, i się poegnać. Podniósł się z uśmiechem tak sympatycznym i yczliwym, jak gdyby fakt, e Mattie nie powiedziała mu, gdzie ukrywa się Hannibal, nie miał w gruncie rzeczy znaczenia.

Tak naprawdę karty jednak zostały rozdane. Teraz tylko od Mattie Able zależało, na jakie zdecyduje się otwarcie.

– Chyba pora pójść do hotelu i sprawdzić, czy kuchnia ju funkcjonuje –

rzekł Trace i jeszcze raz się uśmiechnął. – Myślę, e wrócę tu jeszcze przed końcem pani zmiany.

– Dziękuję za drinka – odpowiedziała. Zabrzmiało to raczej sztywno.

– Cała przyjemność była po mojej stronie, madame.

Skłonił się bardzo uprzejmie, po czym włożył płaszcz i kapelusz i przez wahadłowe drzwi wyszedł na zewnątrz, gdzie pierwszy błydy jeszcze brzask powoli zaczynał rozjaśniać nocne ciemności. W głębi ulicy jakieś typy wydzierały się na siebie po pijanemu, ale ogólnie biorąc, było w miarę spokojnie. Ludzie w Dogtown jeszcze spali, zbierając siły, które niewątpliwie mogły im być potrzebne, by stawić czoło wyzwaniom kolejnego nadchodzącego dnia.

Sala jadalna w przylegającym do saloonu obskurnym hotelu była pusta, jeśli nie liczyć długowłosego wędrownego kaznodziei z nieodłączną butelką w ręku, który zazwyczaj natrętnie nagabywał gości, mamrocząc coś o miłosierdziu, chyba e akurat był ju tak pijany, i nie był w stanie nawet podnieść się

ze swego miejsca przy stole. Trace zręcznie ominął go szerokim łukiem, rozbudził drzemiącego kucharza, po czym usiadł przy drugim końcu wielkiego stołu i niecierpliwie czekał na zamówione śniadanie.

Ze strony karności nic mu nie groziło, miał więc chwilę na spokojniejszą refleksję nad zło onością kobiecej natury. Ot choćby taka Mattie –

mogła mu pójść na rękę i pomóc w dotarciu do Hannibala, ale mogła te nie kiwnąć nawet palcem albo wręcz celowo wprowadzić go w błąd. Trace Harden wiedział jedno: nigdy nie mo na być pewnym, jak kobieta postąpi. To zawsze była loteria, niezale nie od tego, o co chodziło.

Lubił kobiety, podobnie jak one jego. Ale nigdy nie udawał, e je rozumie.

Albo na przykład ta dziewczyna, która późnym wieczorem pojawiła się w saloonie. Co prawda nie dałby głowy, e nie jest mę czyzną, lecz coś podpowiadało mu, e jej męski strój to tylko przebranie.

Co ją skłoniło, by, udając chłopaka, pojawiać się w takiej zaplutej spelunie. Z drugiej jednak strony jej zachowanie i sposób bycia wyraźnie wskazywały, e takie otoczenie nie jest dla niej zupełną nowością, e nie po raz pierwszy wkracza w ten sposób do saloonu, podchodzi do baru i ka e sobie podawać piwo. Trace gotów byłby się zało yć, e musiała to robić ju niejednokrotnie.

Przypominał te sobie, e – raz czy dwa razy – widywał ju podobnie dziwnie zachowujące się młode osoby – na przykład w Dodge City i chyba jeszcze w Deadwood. Pamiętał, e wtedy trochę go zdumiewało ich szczere przekonanie, i wystarczy obciąć włosy i wcisnąć się w kowbojski strój, eby przeistoczyć się w mę czyżnę. Ale jeszcze bardziej zadziwiające było to, e znakomita większość chyba rzeczywiście dawała się nabierać na tę przebierankę. Ludzie patrzyli na nie i widzieli w nich młodzieńców. No bo przecie kobiety tak nie wyglądają! Wystarczyły więc wytarte męskie spodnie zamiast ozdobnej sukienki, odpowiednio zmieniony sposób mówienia i rewolwer u pasa – i dla ludzi to ju był chłopak, a nie dziewczyna. Mo e gołowasy, mo e trochę za ładny – wśród osobników płci męskiej jest to wada i nawet powód do drwin! – ale przecie niewątpliwie chłopak.

Trace osobiście wolał, by przedstawicielki płci przeciwnej były bardziej delikatne i przede wszystkim kobiece. Lubił długie włosy, po wyjęciu podtrzymujących je szpilek spadające a do wążutkiej talii. Z przyjemnością patrzył na piękne sukienki na sztywnych halkach, podziwiał kuszące francuskimi koronkami gorsety i ciemne jedwabne pończoszki. Pociągały go kobiety z najlepszego towarzystwa, pachnące kwiatowymi olejkami, z wdziękiem noszące kosztowną bi uterię, kruche i delikatne w ruchach, jednocześnie piękne i pełne uroku.

Właśnie dlatego związał się z Ettą.

Ale gdy tylko o niej pomyślał, gdy jej obraz na chwilę stanął mu przed oczami, al i wściekłość powróciły z taką siłą, e odebrały mu apetyt, chęć do ycia i w ogóle do czegokolwiek.

Kucharz akurat postawił przed nim śniadanie – płat sma onej wieprzowiny i pływające w tłuszczu ziemniaki. Ale w tym momencie Trace nie był w stanie nawet na to patrzeć.

Głodnym wzrokiem natomiast spoglądał na to jadło niespodziewanie oprzytomniały, pijany kaznodzieja.

– Weź to sobie! – burknął Trace i pchnął talerz z taką siłą, że naczynie przejechało przez całą długość stołu i zatrzymało się dopiero tam, gdzie powinno. Kaznodzieja niewątpliwie musiał uznać to za cud.

Trace podniósł się i wyszedł z jadalni, nieświadomie przyciskając dłoń do wewnętrznej kieszeni, w której przechowywał złoony wpół list od Etty. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, nagle wydało mu się, że czuje bardzo wyraźnie delikatny zapach tych perfum, które tak lubiła i którymi pachniała, gdy ostatni raz widział ją żywą.

Nieprzytomny z bólu, alu i nienawiści, dygocąc jak w febrze w poczuciu ostatecznej klęski, którą poniósł jako męczyzna, Trace Harden szedł na oślep gdzieś przed siebie. Wokół była ju tylko preria, ledwie widoczna w bladym świetle.

Dopiero po jakimś czasie zawrócił i w końcu dotarł z powrotem do saloonu, gdzie swoim zwyczajem usiadł samotnie przy jednym ze stolików do pokera i znów zaczął ćwiczyć palce na nowej talii kart. Po chwili na prowadzących z pięterka schodach zobaczył Mattie Able, która właśnie schodziła w towarzystwie jakiegoś szeroko uśmiechniętego kowboja. Po odprowadzeniu klienta a do drzwi podeszła do Trace'a i usiadła w pobliżu jego stolika, jednakże wyraz jej twarzy był ju całkiem inny niż wtedy, gdy rozmawiali ze sobą tak przyjaźnie, to znaczy, dopóki nie dowiedziała się, że Trace poszukuje Hannibala Cotwella. Teraz z siebie tylko wiadomego powodu nastawiona była na zdecydowanie inaczej.

– A ja ju wykombinowałam sobie, kim pan może być – powiedziała nagle, przesuwając krzesło, aby nie siedzieć we wpadającym przez okna słonecznym świetle.

Trace podniósł wzrok, zaskoczony nieoczywistą ostrością jej tonu.

– To chyba nie było trudne – odpowiedział. – Nazywam się Trace Harden i pochodzę z Kansas City. Jeszcze do niedawna byłem właścicielem dwóch cenionych hoteli i tylu kasyn gry, najlepszych na całym Zachodzie. To nigdy nie było tajemnicą i teraz te nią nie jest. Po śmierci ony sprzedałem to wszystko i teraz jestem tu.

Gniewny błysk w oczach Mattie nagle znikł. Wyraźnie zaskoczona, z otwartymi ustami patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

– Pańska ona nie żyje? – spytała w końcu.

– I niech spoczywa w pokoju – odpowiedział bezbarwnym, ale spokojnym głosem, po czym znów zabrał się do tasowania kart.

– Miała na imię Etta, prawda? – Wypowiadała to imię tak, jak gdyby słowo „Etta” niemal parzyło jej wargi. – A w jaki sposób umarła?

Talia kart nagle rozsypała się w dłoniach Tracy'ego, co nie zdarzyło mu się ju od niepamiętnych lat. Podniósł wzrok i popatrzył na siedzącą przed nim kobietę.

– Gdzie on jest, Mattie? – spytał twardo. Na jego twarzy już nie było uśmiechu.

– Tak właśnie myślałam. – Nie odwróciła wzroku. – Pan jest przyrodnim bratem Hannibala, mam rację?

Trace poczuł, że coś go ściska za gardło i prawie uniemógł mówienie.

– Muszę go znaleźć – powtórzył głucho. – Gdzie on jest?

– Nic panu nie powiem, dopóki nie będę wiedziała na pewno, po co go pan szuka. – Pochyliła się i spojrzała mu w oczy. – Chciałabym usłyszeć pańską opowieść, a zwłaszcza tę część, która dotyczy śmierci pańskiej ony.

Trace w końcu podał jej skróconą wersję wydarzeń, starannie oddzielając fakty, które nadawały się do ujawnienia, od tych, które postanowił zachować dla siebie. W szczególności powiedział Mattie, że on i Hannibal mają do pilnego omówienia sprawy spadkowej, dotyczące posiadłości po ich zmarłej matce, co niewątpliwie było prawdą.

Nie powiedział jej natomiast, że przysiągł sobie, że zastrzeli brata.

Gdy Sam o świcie otworzyła oczy, słuchając jej za poduszkę siodła było pokryte lekkim szronem. Na wschodzie blade niebo ledwie się różowiło, co oznaczało, że prawdopodobnie nie zasnęła i obudziła się w samą porę. Na wszelki wypadek wspięła się na czworakach do krawędzi parowu i rozejrzała się. Jak okiem sięgnąć, na prerii nie było nikogo, żadnej sylwetki samotnego jeźdźcy opuszczającego Dogtown. Slattery najprawdopodobniej dopiero szykował się do drogi.

Usatysfakcjonowana Sam zsunęła się na dno parowu, napoiła konia w strumieniu, a następnie odprowadziła go w głąb do miejsca porośniętego świeżą trawą, gdzie Blue mógł się paść bez narażania jej na ryzyko, że czujny przestępca dostrzeże go z drogi prowadzącej z Dogtown do Dodge City.

W zawodzie łowcy nagród najmniej przyjemną i zawsze szczególnie męczącą częścią pracy było czekanie. Czekanie na informację, czekanie na jej potwierdzenie, czekanie wreszcie na to, że ścigany przestępca popełni w końcu jakiś błąd, że wybierze rozwiązanie, które kiedyś przyniosło mu szczęście – i w ten sposób pozwoli przewidzieć swój najbliższy ruch. A potem, w ciągłej niepewności, następowało dłuższe jeszcze bardziej czekanie w zasadzce. I nadzieja, że może i tym razem...

Słońce w końcu wychyliło się zza horyzontu i właśnie wtedy Sam ze swego ukrycia dostrzegła zbliżającą się sylwetkę jeźdźcy. Jeśli nie myliła się w rachubach, mógł to być Zeke Slattery. Upewniwszy się, że padające z tyłu promienie słońca nie trafiają na soczewkę i nie mogą zdradzić jej obecności przez przypadkowe odbicia, Sam wyciągnęła lunetę i przyjrzała się dokładniej.

Tak, to był Slattery i – co było niejasne – jechał samotnie. Przez okular lunety już dość wyraźnie widziała jego zapuchniętą nieogoloną twarz.

Wyglądało na to, że wciąż jeszcze do końca nie wytrzeźwiał; z pewnym trudem utrzymywał równowagę na siodle, potraszał głową i chyba gadał coś do siebie, być może na nowo przeżywając dramatyczne

wydarzenia wczorajszego wieczoru. Sam chwilami miała wra enie, e patrzy wprost w jego zapite zaczerwienione oczy.

Urządzanie zasadzki na kogoś, kto jest mniej lub bardziej pijany, ma swoje lepsze i gorsze strony. Nietrzeźwy łatwiej wpada w gniew i bywa agresywniejszy – ale za to wolniej reaguje. Łatwiej go zaskoczyć, lecz czasami trudniej go zmusić do poddania się.

Wciąż miała dość czasu, by rzucić okiem na wyjętą z kieszeni odbitkę listu gończego. Zeke Slattery, wielokrotny morderca, poszukiwany – ywy lub umarły – za nagrodą dwustu dolarów. Rzadko w listach gończych poza ogólną liczbą zabitych podawano nazwiska ofiar, ale w tym przypadku tak właśnie było. Sam przeczytała je uwa nie z niejasnym uczuciem alu, e nic o tych ludziach nie wie poza tym, e zostali zamordowani przez tego oprycha.

Schowała list gończy z powrotem do kieszeni i – wciąż dobrze ukryta przed wzrokiem Slattery’ego – uło yła się na krawędzi parowu z gotową do strzału strzelbą, po czym wzięła zbli ającego się jeźdźca na muszkę. Wzorem swego ojca, który był szeryfem, Sam nie zamierzała zaśmiecać sobie głowy zrozumieniem czy współczuciem dla kryminalistów. Jej zawodem było jak najskuteczniejsze tępienie tej plagi, likwidowanie ich zupełnie tak samo, jak usuwa się robactwo. Lubiła myśleć, e dzięki jej działaniu kolejni ludzie nie zostaną ju zabici, e następne rodziny nie będą musiały prze ywać tragedii.

Gdy Slattery znalazł się w zasięgu strzału, Sam wycelowwała starannie, odczekała dla pewności jeszcze chwilę i nacisnęła spust. Uśmiechnęła się szeroko, kiedy jeździec chwycił się za udo i wrzasnął z bólu.

– Mam cię! – szepnęła uszczęśliwiona. To był wręcz popisowy strzał; trafiła dokładnie tam, gdzie zamierzała. Udało się jej unieruchomić Slattery’ego i jednocześnie nie zranić konia, który przecie był potrzebny do odtransportowania przestępcy. Ojciec, gdyby ył, z pewnością byłby z niej dumny.

Tymczasem Slattery zdą ył ju nieco oprzytomnieć, mimo bólu zdołał

sięgnąć po rewolwer i z wściekłością rozglądał się, usiłując zobaczyć, z którego miejsca padł strzał. Niewiele jednak widział, poniewa promienie wschodzącego słońca świeciły mu prosto w twarz.

Rozradowana sukcesem Sam strzeliła po raz drugi, aby wytrącić mu broń z ręki – i chybiła. Znów naładowała strzelbę i tym razem trafiła, ale nie w ramię, jak zamierzała, tylko akurat w skierowany w jej stronę rewolwer. Broń przestępcy szerokim łukiem wyleciała w górę i przepadła gdzieś w gęstej trawie.

– Te dobrze! – powiedziała sobie Sam. Nawet jeśli nie trafiła dokładnie tam, gdzie zamierzała, to cel został osiągnięty, a to było najwa niejsze.

Sam zerwała się na równe nogi, zostawiając na ziemi strzelbę, i z rewolwerem w dłoni podbiegła do niego.

– Ręce do góry! – krzyknęła. – I nie ruszać się!

Musiała działać szybko, póki zaskoczony bandyta nie zorientuje się, co się stało, i nie będzie miał

czasu na zastanowienie się, co zrobić. Największym niebezpieczeństwem była teraz przytoczona do jego siodła strzelba. Wprawdzie prawą dłoń miał kontuzjowaną, ale mógł posługiwać się i lewą.

– Jeden gwałtowny ruch, a strzelam – ostrzegła. – A teraz ostro nie, lewą ręką, wyjmij strzelbę z futerału i rzuć ją na ziemię. Ale ju !

– Kim ty w ogóle jesteś?! – krzyknął Slattery, przez przymru one oczy usiłując coś zobaczyć pod słońce. – Niech to diabli, jestem ranny w nogę! I w rękę te ... – Z niedowierzaniem przyglądał się kropłom krwi, kapiącym z jego prawej dłoni. Na przestrzelonej na wysokości uda tkaninie brudnych spodni *te* coraz bardziej powiększała się wilgotna czerwona plama. – Jestem ranny w nogę i w rękę.

– I zaraz będziesz miał dziurę w głowie, je eli natychmiast nie rzucisz na ziemię tej strzelby. – Sam stanęła w rozkroku i wycelowała w niego rewolwer.

Wiedziała ju , e wygrała, e Slattery nie mo e się jej wymknąć, i euforia zwycięstwa ogarnęła nie tylko jej duszę, ale i ciało. Serce zdawało się płonąć, w skroniach czuła uderzenia przyspieszonego tętna. To był zaskonny pełny triumf.

Nagle stała się silniejsza i wy sza ni jeszcze parę minut temu.

Wszechpotę na, niczym jakiś archanioł, z mieczem sprawiedliwości w rękach.

Bez trudu mogłaby się wspiąć nawet na najwyszy szczyt widniejących w oddali gór.

Slattery jeszcze raz spojrział na ranną nogę i dłoń, zaklął cicho i lewą ręką powoli wyciągnął strzelbę z umieszczonego przy siodle futerału, a następnie upuścił ją na ziemię.

– Kim ty u diabła jesteś? – powtórzył pytanie.

– Nazywam się Sam Kincade, pracuję dla sędziego Mocktona z Denver –

odpowiedziała i podeszła bli ej.

Przez cały czas trzymając Slattery'ego na muszce, nogą odsunęła strzelbę w taki sposób, by była poza jego zasięgiem, nawet gdyby próbował jeszcze zeskoczyć z konia – na co zresztą raczej nie miał ju ani siły, ani ochoty. To wszystko poszło łatwiej, ni mogła się spodziewać.

– A teraz zsiadaj! – rozkazała. – Ale ju !

Slattery jeszcze raz spojrział na swą krwawiącą nogę i okaleczoną prawą dłoń, a potem na wycelowany w niego rewolwer Sam. W końcu stęknął głucho i spróbował zsunąć się na ziemię. Nie utrzymał się jednak na nogach i natychmiast upadł, trzymając się za przestrzelone udo.

– O Jezu! – jęknął. – Wykrwawię się na śmierć.

– Mo e się tak zdarzyć – zgodziła się Sam, choć podejrzewała, e raczej tak nie będzie. Korzystając z tego, e akurat trzymał obie dłonie na rannej nodze, wprawnym ruchem zatrzasnęła mu na nadgarstkach

wyjęte z kieszeni kajdanki.

Gdy Slattery zdał sobie sprawę, że jest już nie tylko ranny, ale i skuty, zaczął się gwałtownie szarpać, próbując jakoś wyrwać spętane nieustępliwym elazem dłoń. W końcu jednak – tak, jak Sam się tego spodziewała –

zrezygnował z beznadziejnych wysiłków i już tylko patrzył na nią wzrokiem pełnym nienawiści.

Wtedy wyjęła z kieszeni kluczyk od kajdanek i pokazała go Slattery'emu.

Ten spojrzał i zaklął wulgarnie.

– Widzisz go dobrze? – spytała. – Bo to jest klucz, bez którego nie ma na cię uwolnić. Patrz, co z nim robię. – Zamachnęła się i tak mocno, jak tylko mogła, i rzuciła kawałek metalu w gęste trawy prairii. – Teraz już mógłbyś go szukać do samego końca świata. To po to, by odeszła cię chęć napadania na mnie, eby mi go odebrać i w ten sposób się uwolnić. Już go nie ma! Koniec.

Wciąż trzymając bandytę na muszce, podeszła do niego od tyłu i lewą ręką wprawnie przeszukała wszystkie możliwe zakamarki ubrania, na wypadek, gdyby ukrył gdzieś broń. Zaniedbujący tę ostrość łowca nagród bardzo szybko stałby się łowcą małego ułtęcznika, bo po prostu martwym.

Slattery obrócił ku niej głowę i po raz pierwszy mógł się jej przyjrzeć z bardzo bliska.

– Jezu Chryste! – jęknął. – I pomyśleć, że tak mnie załatwił gołowąsy pętał. Po prostu dzieciak!

Sam dobrze wiedziała, co jej więzień ma e sobie teraz myśleć. To się powtarzało niemal za każdym razem. Najpierw przeżywał szok. A potem pojawiał się rosnące poczucie upokorzenia. Nawet tak prymitywny i prawie pozbawiony mózgu osobnik nie mógł nie pomyśleć o tym, jakim pośmiewiskiem stanie się dla wszystkich, kiedy rozejdzie się wieść, że Zeke Slattery dał się złapać smarkaczowi, który najwyraźniej jeszcze nawet nie musi się golić.

Sam przyprowadziła Blue z parowu i przewiesiła podróne torby Slattery'ego na swoje siodło, po czym – nie wypuszczając z dłoni gotowego do strzału rewolweru – kazała więźniowi siąść z powrotem na konia, co po paru próbach w końcu mu się udało. Sama lekko wskoczyła na siodło swego wierzchowca i powiedziała:

– A teraz grzecznie pojedziemy a do Denver.

Jeszcze raz przebiegła myślą kolejne czynności, upewniając się, że sprawdziła wszystko, co należało, eby mieć pewność, że zaniedbania nie okażą się później zagrożeniem. Potem ruszyli w drogę.

Zakładała, że jeśli nie będą się trzymali kolein, skierują się na północny zachód wprost przez prairie, to – przyjmując, że będą jechali bez zatrzymywania się przez cały dzień i noc – mniej więcej w południe następnego dnia powinni dotrzeć do siedziby szeryfa Ainsleya, któremu zamierzała przekazać aresztowanego.

Najwyraźniej zrezygnowany Slattery nawet już nie próbował się opierać i posłusznie jechał we

wskazany kierunku. Sam dla pewności podążyła za nim. Jak zwykle po udanej akcji czuła się wspaniale i ten stan euforii początkowo nawet się wzmacniał. Była z siebie bardzo dumna i miała nieodparte wrażenie, że wszystkie znajdujące się teraz w niebie nieszczęsne ofiary Slattery'ego, wychylając się zza obłoczków, uśmiechają się do niej i biją brawo.

Ten stan świetnego samopoczucia rzadko jednak trwał dłużej niż kilka godzin. Tak też było i tym razem. Euforia powoli zaczęła się zmieniać w depresję. To prawda, aresztowała tego poszukiwanego listem gończym brutalnego i bezwzględnego zabójcę, ale to był tylko Zeke Slattery, a nie ten, na którym jej najbardziej zależało. Nie Hannibal Cotwell, o którym już przez dwanaście lat wciąż nie potrafiła przestać myśleć, którego okrutna twarz tak często prześladowała ją w najbardziej koszmarnych snach i niemal równie często na jawie.

Na bezkresnej prerii nawet nie było na czym zaczepić oka. Monotonnie kołysząc się w siodle, wciąż widziała to samo niekończące się morze traw, od czasu do czasu słyszała stłumione jęki i przekleństwa Slattery'ego. Nie było sposobu, by uniknąć bolesnych wspomnień i jałowych rozmyślań na temat tego, co by było, gdyby...

Gdyby tamtego dnia, dwanaście lat temu, Hannibal Cotwell nie przyjechał

do miasteczka Cottonwood w stanie Kansas, jak by odmienne życie mogłaby dziś prowadzić tamta dziewięcioletnia podówczas dziewczynka, Sam Kincade?

Teraz nie bardzo umiała sobie wyobrazić siebie w roli ony czy matki. Nie wiedziała nawet, czy w ogóle potrafiłaby jeszcze być kobietą taką jak inne.

Zwłaszcza że – co było znacznie istotniejsze – wcale nie chciała nią być.

Była wyłącznie męskim życiem już tak długo, że nawet nie potrafiłaby sobie odpowiedzieć na pytanie, czy jeszcze pamięta, co to znaczy czuć się kobietą. Wiedziała tylko, że kobiety są zawsze pozbawione praw i nieuchronnie skazane na brnięcie przez życie w pełnym uzależnieniu od kaprysu mężczyzny.

Wzdrygnęła się odruchowo, gdy tylko o tym pomyślała.

Spróbowała więc zająć sobie głowę czymś weselszym i zaczęła sobie wyobrażać, jak przyjmie ją jej stary wuj, sędzia Mockton, kiedy się dowiedzie, że złapała i dostarczyła do biura szeryfa poszukiwanego listami gończymi Zeke'a Slattery'ego. W nagrodę mogła się spodziewać, że wuj zafunduje jej wystawną kolację u Clariona, ze stekami, ostrygami i szampanem, i że będzie opowiadał

na prawo i lewo wszystkim, którzy tylko zechcą go słuchać, jakiego to dzielnego ma siostrzeńca.

Siostrzeńca – ponieważ podobnie jak wszyscy inni, tak i sędzia Mockton był przekonany, że Sam Kincade jest zdolnym, rokującym nadzieje chłopcem. Więc z okazji takiego sukcesu wuj na pewno zafunduje tę kolację.

I wtedy, przez tych parę godzin, Sam Kincade będzie mogła mieć wrażenie, że na tym nędznym i wypranym z cieplejszych uczuć świecie ktoś jednak o nią dba. że komuś na niej zależy.

Jak co miesiąc, gdy ju miała mieć okres, Sam czuła się podle. Chyba równie podle jak pustynny wąż, który co kilka tygodni musiałby zmieniać skórę.

A najbardziej denerwowała ją regularność, z jaką natura uparła się jej przypominać, e – czy tego chce, czy nie – jest jednak kobietą, i to zupełnie niezależnie od tego, jak dalece skutecznie potrafiłaby prezentować światu swe odmienione, męskie oblicze. To, e za ka dym razem na nowo musiała się godzić z kobiecą słabością, rozwścieczało ją do tego stopnia, e chwilami miała nieodpartą ochotę wyładować się po prostu fizycznie – na przykład z całej siły przywalić komuś, kto by się nawinał jej pod rękę.

I akurat taki moment musiał nadejść, kiedy ju była na miejscu i dowiozła jeńca do punktu przeznaczenia. Zmęczona, głodna i generalnie wściekła na cały świat, kopnięciem otworzyła drzwi do biura szeryfa, weszła do środka i, nie mówiąc nawet „dzień dobry”, odchylonym kciukiem wskazała na to, co pozostawiła za oknem.

– Slattery jest tam, na ulicy, skuty kajdankami i przywiązany do swego konia – powiedziała. – Chyba potrzebuje opatrunku, a ja potrzebuję moich dwustu dolarów nagrody. – Patrzyła na swego rozmówcę bez cienia uśmiechu. –

Nie potrzebuję natomiast, i to na pewno, adnych pańskich dowcipów na ten temat.

– Cześć, Kincade – powiedział szeryf Ainsley. Odchylił się na oparcie fotela i z porozumiewawczym uśmiechem spojrzał na stojącego pod ścianą zastępcę, który zajmował się dłubaniem w zębach. – Powiedz, Tom, czy nie mam racji, e ten tu Sam Kincade to naprawdę najbardziej wredny dzieciak na całym Zachodzie? – Podniósł się i podszedł do okna, eby rzucić okiem na pojmanego przestępcę, którego na ulicy zdążyła ju otoczyć gromadka gapiów.

Popatrzył i pokiwał głową. – Ile ty właściwie masz lat, Kincade? – spytał. –

Szesnaście? Siedemnaście?

– Wystarczająco du o, ebym potrafił sam troszczyć się o siebie –

odpaliła Sam, odwróciła się i podeszła do stojącej pod ścianą drewnianej ławy.

Usiadła na niej, ściągnęła prawy but, obróciła go cholewką w dół i wytrząsnęła ze środka dwa niewielkie metalowe przedmioty. – To są prawdziwe kluczyki od jego kajdanek – powiedziała. – Slattery wciąż jeszcze myśli, e wyrzuciłem je w najgęstsze zarośla na prerii.

Szeryf pokiwał głową.

– Sprytne – przyznał. – Czasem myślę, e mając moje lata, mógłbyś ju stać się legendą. Oczywiście, jeśli tego do yjesz.

Była to cokolwiek kostyczna uwaga, ale i jawny wyraz uznania. Sam nie za bardzo chciałaby się do tego przyznać, ale niewątpliwie sprawiło jej to przyjemność i nawet w jakiś sposób poprawiło nastrój.

– A teraz chcę dostać moje pieniądze – powiedziała, naciągając z powrotem but.

Szeryf otworzył szufladę.

– Sędzia chciałby cię zaraz widzieć – rzekł, wręczając jej kopertę z nagrodą. – Ma dla ciebie nową robotę.

Sam mimo woli zakłęła pod nosem.

– Niech weźmie kogoś innego – rzuciła. – Ja muszę mieć kilka dni wolnego. Mam osobiste sprawy do załatwienia.

Tak naprawdę to przede wszystkim bolała ją głowa, zaczęły się te nieprzyjemne miesięczkowe skurcze, ale do tego, oczywiście, nie mogła się przyznać. Poza tym była krańcowo zmordowana, niewyspana i głodna.

Tymczasem rozbawiony szeryf patrzył na nią z uśmiechem.

– A te twoje osobiste sprawy do załatwienia nie mają przypadkiem nic wspólnego z osobą panny Millicent Snow? – spytał znacząco.

Najwyraźniej robił jakąś tajemniczą aluzję, ale Sam była zbyt zmęczona, by dociekać, o co w tym mogło chodzić.

– Niech pan powie sędziemu...

– Sam mu powiedz – odparł szeryf. – W końcu jest twoim wujkiem.

– Dokładniej mówiąc, jest bratem mojej babki – poprawiła go Sam, choć zdawała sobie sprawę, że dla ludzi spoza rodziny to właściwie adna rónica.

Dobrze wiedziała, co o tych relacjach – między sędzią Mocktonem i nią –

myślał nie tylko szeryf Ainsley, ale i w ogóle niemal wszyscy w mieście. Byli przekonani, że po prostu z racji związków krwi sędzia najpierw dopomógł

siostrzeńcowi wejść do najwyszych towarzyskich kręgów Denver, a potem już stale gwarantował mu specjalne przywileje. Rzeczywistość jednak była zupełnie inna; sędzia Mockton nigdy nie wyróbiał sobie szczególną troską o członków swojej rodziny. W stosunku do Sam te zazwyczaj zachowywał się tak, jak gdyby w ogóle dziwiło go, że ma jakichś tam krewnych. W rzadkich przypadkach, kiedy zdarzyło im się zetknąć twarzą w twarz, spoglądał

podejrzliwie, jakby zaskoczony samym faktem istnienia kogoś takiego.

I tak bywało zawsze – jak daleko zdołała sięgnąć pamięcią. Sędzia w ogóle niewiele wiedział o swych krewnych i powinowatych, a oni najczęściej odpłacali mu tym samym. Gdyby nie niepodważalne świadectwo babki, z którego jasno wynikało, że miała brata, nikt z rodziny pewnie nawet by nie wiedział, kim jest Horace Mockton. On o nich wiedział równie niewiele, a już o dwojgu wnucząt swojej od dawna nie mającej siostry – tyle co nic. Właśnie dlatego od samego początku tak łatwo zaakceptował przedstawioną mu wersję, że Sam Kincaid jest pozostałym przy

yciu chłopcem, podczas gdy

dziewczynka zmarła jeszcze we wczesnym dzieciństwie. W rzeczywistości było akurat odwrotnie, ale ta zamiana się nie wydała. Horace Mockton w ogóle nawet nie widział swojej siostrzenicy – matki małej Samantha. Sam dorastała więc jako chłopak i, prawdę mówiąc, nawet ze swoim koniem czuła się bardziej związana emocjonalnie niż z tym jedynym pozostałym przy życiu krewnym, który przez przypadek był tym znanym sędzią.

Teraz, podenerwowana i zmęczona, zaczynała nawet ałować, że w ogóle tu przyjechała. Sędzia przypominał sobie o jej istnieniu praktycznie tylko wtedy, gdy jej do czegoś potrzebował. Kiedy nazwisko Sam pojawiało się w gazetach –

w związku z pojmaniem jakiegoś kolejnego przestępcy w rodzaju Slattery'ego –

albo kiedy miał dla niej jakąś specjalną robotę. A ona akurat teraz naprawdę nie miała na to ochoty.

Z przyjemnością znacznie mniejszą, niż się tego spodziewała, przyglądała się, jak Slattery, trzymany za kark przez zastępcę szeryfa, trafia do zakratowanej celi. Obróciła się do Ainsleya.

– Czy są może jakieś nowe wiadomości o Hannibalu Cotwellu?

To pytanie zadawała zawsze, od wielu już lat.

– Ktoś odpowiadający jego rysopisowi tydzień temu obrabował skup złota w Leadville – odpowiedział szeryf. – Bandyty zbiegli, nie pozostawiając śladów.

– Niech to diabli! – Sam westchnęła ciężko, odwracając się do drzwi.

Coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, że dopóki Cotwell nie zostanie osądzony i powieszony, nie będzie dla niej szans na normalne życie. Stale będzie zawieszona między przerażającą przeszłością a całkowicie niewyobrażalną przyszłością, o której nawet nie chciała myśleć. Tylko zemsta, o której marzyła, tylko śmierć tego potwora – najlepiej zadana przez nią – mogłaby ją jakoś z tego wyzwolić. Ale uparcie podążając śladami Cotwella, coraz częściej miała wrażenie, że ściga widmo.

Z liczbą mieszkańców zbliżającą się do dwudziestu tysięcy, Denver było największą metropolią w promieniu blisko tysiąca kilometrów i, mimo gnębiącej całej kraj recesji, wciąż się rozwijało. Pięć lat temu Sam za pieniądze z paru pierwszych nagród kupiła niewielki domek z czerwonej cegły, położony wówczas jeszcze poza miastem. Teraz jej małą działkę zewsząd otaczali sąsiedzi, nie zawsze najprzyjemniejsi. Dymy z gazowni nieraz zasłaniały jej widok na Mount Evans, a z werandy słyszała podniesione głosy klientów pobliskiego saloonu i paru sklepów z alkoholem.

Wracając do domu, zwykle wstępowała najpierw do saloonu, eby odebrać zatrzymywaną tam dla niej pocztę i przy okazji zjeść za darmo obiad, ponieważ płacono się jedynie za piwo. Tak zrobiła i tym razem; przy kufelku wypitym w towarzystwie paru zaprzyjaźnionych górników wysłuchała najnowszych plotek i przejrzała korespondencję z całego tygodnia. Jedynym wartym uwagi listem było zaproszenie od sędziego Mocktona. Kolacja u Clariona, z ostrygami, dziczyzną i szampanem, była zatem aktualna.

Potwierdzenie nie było konieczne, sędzia miał w swym domu oczekiwać na pojawienie się Sam, codziennie od siódmej wieczorem.

A tymczasem Sam nie bardzo miała ochotę na spotkanie z tym nie najsympatyczniejszym w końcu człowiekiem. Szła do domu w poczuciu narastającej depresji; po drodze – jak zawsze – zostawiła Blue w pobliskiej płatnej stajni i po chwili była ju u siebie.

Pani Riley, która u niej sprzątała, musiała być w domu stosunkowo niedawno, ponieważ wszystkie meble lśniły i pachniały woskowo-cytrynową pastą do polerowania, a w skrzyni spi arki było pełno lodu.

Zmęczona, obolała i mająca coraz mniej ochoty na kolację z wujem, Sam przyniosła ze studni przed domem kilka kubłów wody i napełniła nią spory kocioł, który ustawiła na płycie kuchennej. Podczas gdy woda na kąpiel powoli podgrzewała się do odpowiedniej temperatury, dziewczyna usiadła przy kuchennym stole i zjadła kawałek placka z jabłkami. W całym domku panowała taka cisza, e wyraźnie słyszała tykanie zegara, ustawionego na parapecie kominka w sąsiednim pokoju.

Byłoby pewnie milej, gdyby ktoś tu na nią czekał, niepokoił się przedłu ającą się nieobecnością Sam i cieszył się z jej powrotu. Ktoś, kto z zainteresowaniem wysłuchałby jej opowieści o udanej zasadzce, komu nie byłyby obojętne nawet drobne wydarzenia z jej ycia. Ba...

Pokiwała głową i westchnęła głęboko. Poniewa ukrywała swoją prawdziwą płęć, nie mogła sobie pozwolić na adne, nawet najmniejsze, ryzyko rozpoznania. Dlatego zawsze pracowała sama i bardzo dbała, eby z nikim się nie zaprzyjaźniać – to mogłoby być niebezpieczne. A w rezultacie była zawsze...

samotna.

– No i dobrze! I tego właśnie chcę! – mówiła sobie w duchu, ale zdawała te sobie sprawę, e się oszukuje.

Bo czasami ta nieludzka samotność stawała się wręcz nie do zniesienia. I wtedy Sam z prawdziwą ulgą rozplakałaby się, zupełnie bez powodu.

Formalnie biorąc, restauracja Clariona była otwarta dla wszystkich, jednak ju same ceny wystarczały, by te kąpiące luksusem sale, pełne marmurów, polerowanego mahoni, kryształowych yrandoli i kosztownych wschodnich dywanów, były dostępne jedynie dla towarzyskiej śmietanki Denver. W ka dym razie Sam z własnego wyboru nigdy by tam nie poszła, więc je eli czasami się tam

pojawiła, to wyłącznie dlatego, e zapraszał ją sędzia Mockton. A on robił to z reguły wtedy, gdy miał w tym jakiś cel.

Kierownik sali, Henri, który utrzymywał, e jest rodowitym Francuzem, na widok Sam uśmiechnął się kącikami warg i uklonił z nale nym szacunkiem.

– Sędzia Mockton oczekuje pana w sali klubowej – powiedział z lekkim skinieniem głowy, które wskazywało, e wieczorowy strój Sam został bacznie zlustrowany i uznany za odpowiedni.

Były to błyszczące męskie lakierki, ciemne spodnie i marynarka, która co prawda nie była szyta na miarę, ale le ała całkiem przyzwoicie. Do tego śnie nobiała wieczorowa koszula i doskonały krawat z lśniącego czarnego jedwabiu. Sam oddała boyowi kapelusz i rękawiczki i w ślad za prowadzącym ją Henrim skierowała się do sali klubowej, przyjemnie pachnącej drogimi cygarami.

Siedzący w głębokim fotelu na wprost palącego się kominka wuj Horace uniósł rękę w geście powitania. Na rudawych włosach, okalających jego łysinę, odbłask trzaskających w palenisku płomieni tworzył coś w rodzaju świetlistej aureoli, co sprawiło, e Sam mimo woli się uśmiechnęła. Aureola nad kimś tak bezwzględny i interesowny jak Horace Mockton!

– Gratuluję, chłopcze! – zawołał sędzia. – Słyszałem, e znów schwytałeś i doprowadziłeś do biura szeryfa kolejnego zabójcę. Walterze, przynieś whisky dzielnemu wnukowi mojej siostry!

Poza niezbyt imponującym wzrostem i mo e jeszcze niebieskimi oczami Sam nie dostrzegala niczego, co mogłoby wskazywać na jej pokrewieństwo z tym człowiekiem. Ona miała smukłą figurę, podczas gdy on był zdecydowanie gruby, a obwód w pasie z pewnością musiał ju przekraczać tę niewielką w końcu liczbę centymetrów jego wzrostu. Sam zawsze miała gładką, jasną skórę, nawet gdy była opalona, podczas gdy krwistoczerwone rumieńce na nalanej twarzy sędziego były świadectwem długich dziesięcioleci nadmiernie obfitego jedzenia i nieumiarkowanej skłonności do mocnych trunków. Nigdy nie mówił o swoim wieku, ale Sam podejrzewała, e musi zbli ac się do sześćdziesiątki.

Jednak po wyglądzie trudno to było poznać. Jego niewielkie oczka były ywe i bystre, a siwiejąca powoli broda i wąsy zakrywały całą dolną część twarzy.

– Mamy dwie wa ne sprawy do omówienia – powiedział, jak zwykle od razu przechodząc do rzeczy.

Sam ju się domyślała, e adna z tych spraw nie ma nic wspólnego z jej ostatnim sukcesem, czyli aresztowaniem Slattery’ego. Gdy sędzia przechylił się ku niej, jego niebieskie oczy pobłyskiwały jak wypolerowane szklane kulki.

– Chcę, ebyś natychmiast wrócił do Dogtown – rzekł bez dalszych wstępów.

Ku swemu zaskoczeniu napotkał sprzeciw.

– Je eli idzie o aresztowanie tego smarkatego rabusia, Kida Gally’ego, którego rzeczywiście tam widziałem, to lepiej wysłać kogoś innego. – Głos Sam brzmiał bardzo zdecydowanie. – Mnie interesują tylko tacy, o których w listach gończych pisze się „dostarczyć ywego lub umarłego”. Jak

Hannibal Cotwell albo inni ścigani za zabójstwa...

– A ja ci mówię, e to cię zainteresuje – przerwał jej sędzia. – Chcę, ebyś aresztował i przywiózł tu niejakiego Trace’a Hardena... – Celowo zawiesił głos i spoglądał na Sam z uśmiechem samozadowolenia, tak dla niego charakterystycznym, zwłaszcza kiedy przedstawiany przez siebie plan uwa ał za po prostu perfekcyjny. Wiadomo było wtedy, e w zapasie ma jeszcze dalsze rewelacyjne (jego zdaniem!) informacje, które gotów był przedstawić równie błyskotliwie i przekonująco. – Myślę, e szybko zmienisz swoje nastawienie, kiedy się dowiesz, e ów Trace Harden jest przyrodnim bratem Cotwella –

kontynuował sędzia, z satysfakcją obserwując reakcję Sam, która wyraźnie nadstawiła uszu. – Jest więc jego najbliższym krewnym i jedyną osobą na świecie, której los mo e jeszcze obchodzić kogoś takiego jak Hannibal Cotwell.

Sam obróciła się tak gwałtownie, e łokciem potraçała szklaneczkę i wylała na obrus sporą część whisky, czego zresztą nawet nie zauwa yła.

– Nie wiedziałem, e Cotwell ma brata – powiedziała. Jej głos brzmiał nieco głucho.

– Mój informator przysięga, e to szczerza prawda. Są dziećmi tej samej matki, mieli natomiast ró nych ojców. Trace Harden jeszcze do niedawna był

właścicielem paru luksusowych kasyn i hoteli w Kansas City, ale sprzedał to wszystko po śmierci ony, która się powiesiła.

– Powiesiła się?! – Sam patrzyła na wuja szeroko rozwartymi oczami.

Jakim strasznym trzeba być człowiekiem, eby doprowadzić onę do samobójstwa, pomyślała. Takiego samobójstwa... Tymczasem sędzia mówił

dalej:

– Wiemy te , e jakiś tydzień temu Harden zaczął pracować u właściciela saloonu w Dogtown i e ta praca to tylko pozór, bo tak naprawdę chodzi mu o zebranie informacji o miejscu pobytu brata, z którym koniecznie chce się skontaktować. I dlatego, mój drogi...

– Widziałem tego Hardena – weszła mu w słowo Sam. Przypomniła sobie to przenikliwe, drapie ne spojrzenie óltawych, tygrysiich oczu i tego człowieka, który samotnie siedział przy stoliku obok drzwi i obserwował ją uwa nie, kiedy wychodziła. Patrzył na nią tak, e jeszcze teraz, gdy o tym myślała, jej puls wyraźnie przyspieszał, a kołnierzyk koszuli nagle stawał się o dwa numery za ciasny. Tak, niewątpliwie była zdenerwowana. Ale to z pewnością dlatego, e po tylu latach daremnych poszukiwań wreszcie trafiała na realny ślad Hannibala Cotwella, a w ka dym razie na kogoś, kto mógł ją do niego doprowadzić.

Coraz bardziej przejęta, pochyliła się ku sędziemu i zapytała:

– Czy ten Trace Harden chce się przyłączyć do bandy brata? Horace Mockton przeczesywał palcami swą siwiejącą brodę.

– Trudno to zgadnąć – powiedział. – Mój informator utrzymuje, e Harden jest bogaty i nigdy dotąd nie naruszył prawa. W ka dym razie tak się o nim powszechnie sądzi. A jeśli tak rzeczywiście jest, to wydaje się mało prawdopodobne, by nagle chciał rezygnować z dotychczasowego trybu ycia i z dnia na dzień przyłączał się do bandytów. Bo pieniędzy nie potrzebuje, to więcej ni pewne. Z drugiej jednak strony tak bliskie pokrewieństwo mo e oznaczać, e ich psychika jest podobna.

Bo inaczej po co w ogóle miałyby tak gwałtownie szukać Hannibala?

Sam machinalnie pocierała skronie, przypominając sobie, jak ledwie parę dni temu chciała w pewnym momencie zastrzelić tego Trace’a Hardena tylko dlatego, e wydal się jej podobny do Cotwella. Mo e nale ało wtedy posłuchać instynktu? W końcu jeśli się jest bratem takiego potwora, to z pewnością ma się na sumieniu równie cię kie grzechy. Na przykład śmierć tej kobiety. Ostatecznie ony nie wieszają się z byle powodu.

Tu jednak głos rozsądku przypomniiał, e ywy Trace Harden byłby dla niej nieporównanie bardziej przydatny od nie ywego. Jeśli chciała dotrzeć do Hannibala...

– Ale jest tu chyba pewien problem – powiedziała w końcu, trochę zła na samą siebie, e w ogóle o tym wspomina. Bo sędzia miał rację, przewidując, e ją to zainteresuje, i to nawet bardzo. To była dla niej pierwsza pomyślna wiadomość od wielu, wielu lat. A teraz nagle sama wynajdywała trudności.

Mimo to musiała o nich powiedzieć.

– Jest problem albo ja tu wciąż czegoś nie rozumiem. – Niepewnie patrzyła na sędziego. – Je eli Trace Harden nie popełnił adnego przestępstwa, to jak mamy go aresztować i dostarczyć do biura naszego szeryfa? I co niby Ainsley miałyby z nim zrobić, gdyby Harden został przywieziony, powiedzmy, w taki sam sposób jak Slattery? Przecie to zupełnie inna sytuacja?!

Horace Mockton popatrzył na nią z politowaniem, które jeszcze bardziej ją zdenerwowało. Usadowił się wygodniej w fotelu i spoglądając na tańczące w kominku płomienie, zaczął mówić:

– Przyjmijmy na chwilę, e Trace Harden jest jedyną osobą na tym świecie, którą Hannibal Cotwell naprawdę kocha. I przyjmijmy, to wciąż jest tylko zało enie, e za jakąś tam zbrodnię Trace Harden zostanie aresztowany i skazany na śmierć. Jesteś mo e młodym, ale bystrym chłopcem. Więc sam mi powiedz, co się wtedy stanie? Czy sądzisz, e Hannibal Cotwell pozwoli na to, eby jego ukochanego brata tak po prostu powieszono?

Sam tak mocno zacisnęła palce na szklaneczce whisky, e tylko cudem kryształowe szkło nie pękło.

– Podoba mi się ten pomysł – rzekła w końcu. – Hannibal zjawi się, eby ratować brata, i wpadnie w zastawioną pułapkę.

– W ten sposób ty doczekasz się swojej zemsty, a ja zrobię du y krok na drodze do senatu. Wyborcy lubią głosować na kandydatów, którzy swym działaniem udowodnili, e chcą, by prawo było

rzeczywiście przestrzegane, i którzy naprawdę potrafią być twardzi i bezwzględni wobec przestępców. –

Sędzia uśmiechnął się z satysfakcją i zaplótł krótkie palce pulchnych dłoni na zapięciu srebrzystej kamizelki.

– Wciąż jednak pozostaje pewien problem. – Sam zmarszczyła czoło w namyśle. – Nic nam nie wiadomo o tym, by Trace Harden kiedykolwiek złamał

prawo, nie mówiąc już w ogóle o popełnieniu takiej zbrodni, za którą groziłaby kara śmierci.

Ze swobodą wskazującą na niemałe doświadczenie w podobnych sprawach sędzia odrzucił te wątpliwości.

– Mam pewnego człowieka, który przysięgnie, że Trace Harden ukradł

konia i zastrzelił jego właściciela. – oznajmił. – W sądzie to oskarżenie się nie utrzyma i zostanie podważone, ale to już nie będzie miało znaczenia. Dla nas istotne jest, by Harden w oczekiwaniu na rozprawę przesiedział w celi na tyle długo, aby wiadomość o jego uwięzieniu i grożącej mu karze śmierci dotarła do Hannibala Cotwella.

Sam patrzyła na wuja z wahaniem. Tak, to było dobrze pomyślane, a ona z pewnością bardzo by chciała, aby się powiodło. Nienawidziła Cotwella już tak długo i tak mocno, że z upływem lat stało się to już niemal chorobliwą obsesją, która całkowicie zmieniła i zdominowała jej życie. Niespodziewanie pojawiająca się szansa doprowadzenia wreszcie do aresztowania i skazania tego potwornego zbrodniarza była więc dla niej tak ważna, że w ogóle nie powinna dbać o to, co się stanie z jego bratem. Powieszają go, to powieszają, no i co z tego?

Cotwell straci przez to kogoś bliskiego, ale przecie i ona, Sam Kincade, przez niego straciła osobę, którą kochała najbardziej na świecie. Przypomniała sobie biblijne sformułowanie – oko za oko...

Tyle tylko, że Sam była córką powszechnie szanowanego szeryfa, a to sprawiło, że – choć pamiętała go tylko z dzieciństwa – na zawsze pozostał w niej głęboko zakorzeniony szacunek dla prawa i sprawiedliwości. Jej ojciec nigdy nie aresztowałby niewinnego człowieka, nigdy nie próbowałby naginać prawa dla osiągnięcia własnych celów. Nawet najłagodniejsza sugestia postępowania się takimi metodami nie tylko oburzyłaby szeryfa Daniela Kincade'a, ale i byłaby dla niego śmiertelną obrazą.

I właśnie pamięć o ojcu, którego tak bardzo kochała, pamięć o bezwzględnym odrzucaniu przez niego wszelkiej manipulacji przeważała w końcu nawet nad chęcią sprawiedliwej zemsty. Nad nienawiścią do Hannibala Cotwella.

Spojrzała na sędziego.

– Wuj pewnie nawet sobie nie zdaje sprawy, jak bardzo sam się buntuję przeciw temu, co zaraz powiem. – W jej młodzieńczym głosie była rozterka, ale i determinacja. – Wszystko rozumiem, ale jednak nie potrafiłbym przyłożyć ręki do powieszenia niewinnego człowieka.

I rzeczywiście nie mogła tego zrobić, jeśli chciała nadal pozostać sobą. Po prostu nie mogła – nawet gdyby taka manipulacja była jedynym sposobem pojmania Hannibala Cotwella, a powieszony miał być jego brat, który zresztą za własne winy te najprawdopodobniej zasługiwał na stryczek. Niestety, w tym względzie prawo wypowiadało się jasno i kategorycznie. Nie mo na powiesić człowieka tylko na podstawie głębokiego przekonania, e jest on zepsuty do szpiku kości.

Poirytowany sędzia strzelił palcami.

– Do niczego takiego nikt cię nie będzie nakłaniał – powiedział

uspokajająco. – Choć zakładanie, e ten Harden jest porządnym człowiekiem, te chyba byłoby pochopne. Ale w rzeczywistości nikt go nie będzie wieszał. W

moim planie niczego takiego nie przewidywałem.

Sam odchyliła się na oparcie krzesła i przez dłu szą chwilę się zastanawiała. Wiedziała o krą ących w mieście pogłoskach, jakoby sędzia Horace Mockton wykorzystywał swe stanowisko do rozprawiania się z prywatnymi wrogami i był skłonny wymierzać sprawiedliwość według własnych – bardzo szczególnych – reguł. Ale nawet jeśli tkwiło w tym ziarno prawdy, trudno wyobrazić sobie, jaką korzyść miałyby mu przynieść powieszenie człowieka, który przecie miał spełniać tylko rolę przynęty. Nie, tu chyba naprawdę chodziło jedynie o zwabienie Hannibala Cotwella.

– Chciałbym jednak usłyszeć solenne przyrzeczenie, e wuj nie dopuści do powieszenia niewinnego – powiedziała. Gotowa była się zgodzić na wszystko, ale potrzebowała takiego zapewnienia.

Nieco ura ony sędzia zmarszczył czoło.

– Ju ci to tłumaczyłem – rzekł. – To, co teraz mo emy mieć na Hardena, w sądzie z całą pewnością nie wystarczy, eby go skazać, a to gwarantuje, e nie zostanie powieszony. No, chyba e do tego czasu dowiemy się o jakiejś zbrodni, którą popełnił, i będziemy mieli na to niepodwa alne dowody.

Uspokojona Sam uznała więc, e mo e ju przestać myśleć o Hardenie, który zresztą i tak najprawdopodobniej nie był wart takiej troski. Znacznie wa niejsze było przekonanie, e plan sędziego rzeczywiście daje szanse –

Hannibal Cotwell wreszcie mógłby zostać aresztowany. A wtedy...

Jednak e sędzia Mockton nie dał jej czasu na rozmyślanie.

– Trzeba jechać zaraz – oświadczył. – Dogtown to nędzna dziura i Trace Harden nie będzie tam siedział wiecznie, więc najlepiej będzie, je eli wyruszysz jutro o świcie.

Jedyną dość istotną przeszkodą – o której Sam i tak nie mogła mu powiedzieć – było to, e wciąż jeszcze miała okres. Ale uznała, e jakoś to zniesie, a zanim dotrze na miejsce, najpewniej i tak będzie ju po wszystkim.

Wtedy znów będzie w pełni sprawna i gotowa do akcji.

Skinęła więc głową.

– Zgoda.

– Doskonale. Wobec tego moemy przejść do punktu drugiego. Jest sprawa, którą powinniśmy przedyskutować, zanim pojawi się tu Edwin Snow ze swą córką. – Otworzył grawerowaną kopertę srebrnej kieszonkowej cebuli i sprawdził czas, porównując go ze wskazaniem du ego emaliowanego zegara nad restauracyjnym kominkiem. – Powinni tu być ju wkrótce.

– Pan Snow i panna Snow? – W głosie Sam pojawił się ton lekkiego rozczarowania. Przyjmując zaproszenie wuja, po cichu liczyła jednak, e będą przez cały czas sami.

e sędzia będzie ją chwalić i z zainteresowaniem wypytywać o szczegóły wytropienia i ujęcia Slattery’ego, a mo e nawet zechce zapytać o jej opinię na temat którejś z prowadzonych przez niego spraw.

Tymczasem okazało się, e miał zupełnie inne plany.

– Ile ty masz lat, chłopcze? – Sędzia sączył whisky i przypatrywał się Sam, najwyraźniej coś tam sobie kalkulując.

– Dwadzieścia trzy – odpowiedziała i dość nerwowo poprawiła krawat.

Pytania dotyczące jej wieku i wyglądu zawsze odbierała jako sygnał

niebezpieczeństwa.

– Pięć lat temu, je eli dobrze pamiętam, jako jeszcze bardzo młody chłopiec pojawiłeś się u mnie i zwierzyłeś mi się, e jedynym celem twego ycia będzie wytropienie i ujęcie Hannibala Cotwella i posłanie go na szubienicę.

Przypominam sobie twoją przysięgę, e nie spocznie, dopóki tego nie dokonasz i dopóki Cotwell nie zapłaci ciem za zniszczenie twojej rodziny.

– To prawda – powiedziała Sam i odruchowo dotknęła blizny, którą bez trudu wyczuwała palcami pod cienką tkaniną wieczorowej koszuli.

– Jeśli nasz plan się powiedzie, na co mamy wszelkie szanse, Cotwell będzie wisiał ju wkrótce. A wtedy? Co zamierzasz ze sobą robić? – Sędzia przyglądał się jej badawczo. – Obaj dobrze wiemy, e zawód łowcy nagród nie zapewni ci przyszłości. Co prawda, ju zdą yłeś w nim wyrobić sobie jakieś tam nazwisko, ale skutek mo e być i taki, e ścigani listami gończymi przestępcy ze wszystkich okolicznych stanów w końcu zaczną strzelać bez ostrze enia do ka dego młodego chłopaka o nieco dziecinnej buzi, w przekonaniu, e to jest właśnie ów słynny młody Kincade.

– Przyznam, e o tym nie pomyślałem – powiedziała Sam, a w jej głosie znów pojawiło się napięcie. Dotąd przyszłość jawiła jej się jako coś zupełnie nieokreślonego. Ściganie Cotwella absorbowowało ją bez reszty, a nie dało się wykluczyć i takiej ewentualności, e mogłoby zająć jej całe ycie. Dlatego

właściwie nawet nie zastanawiała się nad tym, co zrobi ze sobą później... po dopełnieniu zemsty.

– No więc, kiedy ju będzie po wszystkim, mógłbyś pomyśleć o jakimś interesującym zajęciu. – Sędzia przypatrywał się jej z tajemniczym wyrazem twarzy. – Na przykład... w banku. – Widząc kompletne zaskoczenie w oczach Sam, pochylił się ku niej i z chytrym uśmiechem klepnął ją w kolano. – Powiem ci tylko tyle, chłopcze. – Konfidencko zniżył głos. – Rozmawiałem z Edwinem Snowem o twojej przyszłości. Edwin gotów jest mianować cię wiceprezesem swojego banku, oczywiście z odpowiednim do tego stanowiska wynagrodzeniem. Przypominasz sobie ten wielki kamienny fronton przy Czternastej Ulicy? Ten bank mo e być twój, je eli tylko zechcesz. Będziesz miał równie własny powóz, z parą pięknych gniadych koni, co do tego te ju się prawie dogadaliśmy.

Sam słuchała tego wszystkiego z otwartymi ze zdumienia ustami, a zadowolony z efektu sędzia z triumfującym uśmiechem odchylił się na oparcie fotela. Ale na pełny triumf było jeszcze za wcześnie.

– A dlaczego to, u wszystkich diabłów, Edwin Snow miałby mi złożyć taką ofertę? – zapytała Sam, która wciąż nic nie mogła z tego zrozumieć.

– Dobre pytanie! No więc rusz głową, synu! Dlaczego Edwin Snow chce to zrobić?! Dlatego, mój drogi, e jego córka Millicent a piszczy i niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę, kiedy tylko o tobie pomyśli. Ona jest po prostu za brzydka, eby móc liczyć na któregoś z synalków naszych bogaczy, więc jej tata nie ma innego wyjścia i musi jej kupić odpowiedniego młodego człowieka z nieco niżej półki. I wszyscy w mieście ju wiedzą, e panna Snow zagięła parol na ciebie, mój miły chłopcze.

Sam upuściła – na szczęście ju pustą – szklaneczkę po whisky. Była wstrząśnięta, z trudem łapała powietrze, a gdy w końcu cokolwiek ochłonęła, popatrzyła na sędziego i powiedziała stanowczo:

– To czyste szaleństwo! Ja waden sposób nie mogę poślubić panny Snow!

– A to niby dlaczego? Taka okazja nie zdarza się zbyt często, nawet w przypadku tak sympatycznego chłopca jak ty. – W jego oczach naraz pojawiły się chłodne błyski. – Bo chyba nie oszalałaś nagle na punkcie którejś z tych frywolnych damulek z Blake Street, prawda?

– O Bo e drogi, ja... – Sam czuła, e krew uderza jej do głowy, i bała się, e za chwilę zemdleje. – Millicent Snow jest przecie ... to znaczy, my po prostu nie mo emy, bo przecie ja i ona, to... Nie, taki związek w ogóle nie wchodzi w rachubę!

– Nie za bardzo składnie się wypowiadasz, ale powiem ci jedno: męczyzna z niewielkimi perspektywami nie mo e być zbyt wybredny, je eli idzie o onę. Na miłość boską, zdaj sobie wreszcie sprawę, e jaka jest, taka jest, ale to dziedziczka fortuny! Owszem, mogę przyznać, e na razie wąsiki ma znacznie gęstsze ni ty, długością nosa te zdecydowanie nad tobą góruje, ale na wszystko mo na znaleźć sposób. Po prostu kładąc się do łóżka będziesz gasił

światło. A jeśli ci to nie wystarczy, to przecie po cichu zawsze da się załatwić którąś z tych panienek z lokalu miss Fanny. – Sędzia wzruszył ramionami z wyraźną irytacją.

– Nie mogę! – szepnęła Sam. Wciąż była w szoku, a wszystkie przykre objawy okresu jeszcze się przez to wzmogły. Powróciły silne skurcze, krew odpłynęła jej z twarzy, która nagle zrobiła się bardzo blada. Pod oczami miała sińce, a wokół warg prawie białą obwódkę. Dawno ju nie czuła się tak źle.

Ledwie słyszalnym szeptem powtarzała wciąż : – Nie mogę... nie mogę...

– Nie tylko mo esz, ale oświadczam ci, e poślubisz ją z całą pewnością –

rzekł sędzia tonem więcej ni kategorycznym. – Kiedy przemyślisz to sobie, zrozumiesz, e po prostu trafiłeś na yłę złota. Będziesz miał wspaniałą przyszłość! Gdy wraz z Edwinem domkniemy ju do końca wszystkie warunki ślubnego kontraktu, staniesz się bogaty ponad wszelkie wyobra enie. A ty, mój drogi, będziesz musiał tylko poślubić Millicent Snow i dać jej ojcu upragnionego wnuka. Najlepiej, eby był z twoim nosem i z jej wąsami. Podaj mi jeden powód, dla którego człowiek, który ma choć trochę oleju w głowie, miałby odrzucić taką okazję!

– Ja... O Bo e drogi! – Sam nie była w stanie wydusić z siebie nawet jednego składnego zdania. Co gorsza, z przeraźliwą jasnością zdawała sobie sprawę, e odmowa mo e doprowadzić do zerwania tych i tak dość wątłych więzi łączących ją z ostatnim yjącym krewnym, jedynym, który jej pozostał.

– Umówmy się, mój chłopcze, e pomyślisz sobie o tym, choć doprawdy nie wiem, nad czym się tu, u diabła, mo na zastanawiać? Ale jadąc do Dogtown, będziesz miał dość czasu, ufam więc, i po twoim powrocie usłyszę ju tylko jedno: e przemyślałeś to gruntownie i podjąłeś jedyną właściwą decyzję. W

końcu najwy szy czas, ebyś się jakoś ustatkował, a takiej okazji jak ta nie będziesz miał ju nigdy. Nie masz majątku, nie masz pozycji społecznej ani perspektyw, ani przyszłości! Bo jeśli byś sądził, e kiedyś dostaniesz coś w spadku po mnie, to muszę cię wyprowadzić z błędu. Wszystko, czego sam nie zdą ę wydać, zapisuję pannie Daisy Shakowsky i jej córeczce... – Na policzkach sędziego pojawił się nagle rumieniec. – Tak więc doprowadzenie do tego związku, o którym rozmawialiśmy, to najlepsza rzecz, jaką jeszcze mogę dla ciebie zrobić. I ciesz się, e z myślą o tobie udało mi się znaleźć taką osobę jak Millicent Snow, która jest nie tylko nieprawdopodobnie bogata, ale i niezmiernie wielkoduszna. W ka dym razie wydaje się w ogóle nie dbać o to, e po stronie twoich aktywów mo na zapisać co najwy ej tę gładką bużkę ślicznego chłopca... no i mo e jeszcze pokrewieństwo z pewnym sędzią, którego ludzie w tym mieście nie tylko szanują, ale nawet się go trochę boją.

– Ale, wujku...

– Cicho! Ju ani słowa! Właśnie przyszli... – Sędzia podniósł się, przyozdobił twarz najbardziej ciepłym uśmiechem, na jaki go było stać, i podszedł do panny Snow, aby ucałować podaną mu dłoń w modnej wieczorowej rękawicze. – Wyglądasz dziś szczególnie pięknie, moja droga.

Panna Snow zatrzepotała rzęsami i ponad ramieniem sędziego obróciła swe brązowe oczy w kierunku Sam.

– Dobry wieczór, panie Kincade – powiedziała głosem przypominającym gruchanie gołębiczy.

Sam dopiero w tym momencie przyjrzała się jej uwa niej i zdała sobie sprawę, e Millicent jest naprawdę mocno przejęta, więcej – jawnie spragniona miłości. Rumieniec pojawił się nie tylko na jej policzkach, intensywnie zaró owione były nawet odsłonięte pulchne ramiona i krótka szyja – wszystko to, co było widoczne ponad ciasno zaciągniętym gorsetem, który miał choć trochę maskować nadmierną obfitość niezbyt zgrabnego ciała. Wyraźnie sypiący się wąsik pod wydatnym nosem te z jakiegoś powodu wydawał się szczególnie widoczny.

– O Bo e drogi! – szepnęła Sam, z trudem utrzymując się na nogach. e te akurat teraz musiała mieć okres! Gdyby nie to, nie byłaby mo e tak podminowana, nie reagowałaby na wszystko tak ostro i boleśnie. Dopiero teraz zdała sobie w pełni sprawę, w co została zaplątana. Ale przecie , na miłość boską, musiało być z tego jakieś wyjście, nawet jeśli na razie go nie widziała.

– Brawo, Sam! Słyszałem ju , jak świetnie się spisałeś przy tym Zeke’u Slatterym, i szczerze gratuluję! – Edwin Snow przez dłu szą chwilę energicznie potrząsał dłonią, która pojmała ju tyłu groźnych przestępców, podczas gdy sędzia ujął Millicent pod ramię i poprowadził ją do restauracji. Jej ojciec spojrział za nią, a potem poufnie pochylił się do ucha Sam i zapytał: – Czy sędzia ju rozmawiał z tobą o... pewnej delikatnej sprawie?

Sam tylko z najwy szym trudem zdołała wydusić z siebie krótkie „tak”.

Miała nieodparte wra enie, e w tej ogromnej restauracji brakuje powietrza. Tak bardzo, e niemal zaczynała się dusić.

– Świetnie, świetnie! – powtarzał tymczasem Snow, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Tak więc, młody człowieku, kiedy tę sprawę z Cotwellem będziesz miał ju z głowy, chciałbym, ebyś w wolnej chwili wpadł do nas, do banku, i zapoznał się z grubsza z jego funkcjonowaniem. Myślę, e spodoba ci się i sam bank, i gabinet, który dla ciebie przygotowujemy. Powiem otwarcie, Kincade, e nie od razu myślałem akurat o tobie, ale teraz to ju nie ma adnego znaczenia. –

Czule popatrzył na córkę, która znów odwróciła głowę i słała Sam namiętne spojrzenia. – Jestem ojcem, więc prawda jest jedna: chcę tego, czego chce moja córka. I nie muszę ju chyba dodawać, e jeśli ona rzeczywiście czegoś chce, będzie to miała.

Mattie Able przemyślnie wysunęła się spod swego klienta, kompletnie pijanego kowboja, który po prostu zasnął i pochrapywał od czasu do czasu.

Przekręciła się, zapaliła papierosa i zaczęła patrzeć w sufit, wlepiając wzrok w zawiły wzór nieregularnej siatki pęknięć na gipsowym pokryciu. Ściany były tak cienkie, a Mattie słyszała, jak Du a Sally pracuje z innym klientem w sąsiednim pokoju, a przez podłogę dobiegały hałasy z saloonu na parterze.

Miała sporo rzeczy do przemyślenia, zwłaszcza teraz, kiedy ju wiedziała, a ta cholerna Etta Harden nie yje. Tak, tu było nad czym pomyśleć – cały układ był chyba jeszcze bardziej poplątany ni linie tych pęknięć na suficie.

Musiała się bardzo dobrze zastanowić, eby w rezultacie na coś się zdecydować.

Było więcej ni pewne, a Trace Harden tak czy inaczej w końcu odnajdzie brata, powie mu o śmierci Etty i poka e jej po egnalny list. A Mattie bardzo by chciała mieć tę prywatną satysfakcję i móc przyglądać się twarzy Hannibala, kiedy ten dowie się o wszystkim, co Etta napisała w liście do mę a.

Słodka Etta, pierwsza piękność Kansas City, wręcz ideał szacowności i niekwestionowany wzorzec tego, czym powinna być prawdziwa dama. A przecie ostatnią rzeczą, którą zrobiła ta zakłamana wykwintnisia, było napisanie listu, który – choć kierowany do kogo innego – był w rzeczywistości wymierzony w Hannibala. I miał go zabić – nie bezpośrednio, ale równie skutecznie jak kula rewolwerowa, trafiająca w samo serce.

Mattie wiedziała o tym z całą pewnością, poniewa przekupiła niejakiego Alfa, który pracował jako portier w Dogtown, aby ten nocą zakradł się do pokoju Trace’a Hardena i poszukał w jego kieszeniach tego listu. Alf wywiązał

się z zadania wręcz doskonale, przeczytał list Etty parę razy, a potem powtórzył

Mattie wszystko, co w nim było napisane.

Kątem oka spojrzała na stojące pod ścianą odrapane stare biurko, w którego skrytce trzymała pieniądze. Oszczędziła dosyć, więc gdyby chciała...

gdyby naprawdę tego chciała, mogłaby pojechać do Hannibala i ostrzec go, a przyrodni brat wszelkimi sposobami usiłuje do niego dotrzeć. Tak, dla Hannibala mogłaby to zrobić...

Zaciągnęła się papierosem. Odgłosy w sąsiednim pokoju ucichły, więc tym wyraźniej słyszała chrapanie le ącego przy niej pijanego mę czyzny.

Odwróciła głowę, po jej policzku spłynęła łza, której nawet nie próbowała ocierać. Kiedyś przecie ona i Hannibal w jakiś sposób byli razem, prze yli wspólnie trochę dobrych dni. Potrafił być taki i owaki, ale gdzieś tam w głębi duszy zale ało mu na niej, nawet jeśli na zewnątrz tego nie okazywał.

Mattie po prostu wiedziała, e tak jest. Mo e i była głupia, ale wciąż nie traciła nadziei, e jakieś szanse jednak pozostały... e mo e jeszcze kiedyś on i ona...

Bo tak naprawdę – jak to zawsze powtarzała jej matka – Mattie nie miała za grosz rozumu, gdy chodziło o mę czyzn.

Trzeciego dnia przedłu ająca się nieobecność Mattie Able zaniepokoiła Trace’a Hardena. Po zakończeniu swej zmiany, tu przed świtem, zajął

upatrzoną pozycję przy barze i czekał na moment, kiedy saloon całkowicie opustoszeje, a kole anki Mattie będą wolne.

– Wyjątkowo pracowity dzień – zwrócił się do Du ej Sally i Rudej Annie, kiedy te wracały po odprowadzeniu do drzwi ostatnich klientów. –

Przypuszczam, e panie będą miały l ej, kiedy Mattie wróci do pracy.

– Ona sobie poszła i nie zamierza wracać! – odpaliła poirytowanym głosem Du a Sally. – Nie chciało się jej nawet poczekać, a Atchison znajdzie kogoś na jej miejsce, tak się jej śpieszyło, choleraze jednej! Gównu ją obchodzi, e my z Annie musimy się tak męczyć. A sam pan widzi, ile tu teraz roboty.

– Nie dość, e musimy gościom przynosić whisky – Ruda Annie dołączyła się do alów kole anki – e mamy dla nich tańczyć, je eli sobie tego za yczą, słodziutko w nimi rozmawiać...

– ... a potem jeszcze po nich sprzątać! No to jak się z tym wszystkim wyrobić, niech pan mi powie? – spytała retorycznie Sally. – Cholera niech weźmie takie ycie!

Trace ze współczuciem pokiwał głową i ju się nie uśmiechał. Dotąd sądził, e Mattie jest chwilowo nieobecna, bo, na przykład, ma okres albo się przeziębila. Mogła tak e urwać się z jakimś bogatszym klientem do jego domu.

Ale teraz to wszystko zaczynało wyglądać inaczej.

– I dokąd to pojechała w takim pośpiechu? – zapytał. Miał nieprzyjemne poczucie, e zna ju odpowiedź.

– A czy ja jestem jej matką, e pan mnie o to pyta? – fuknęła Sally i zatrzasnęła wieko odrapanego pianina z taką siłą, e w powietrze uniosła się szara chmura kurzu i popiołu z papierosów. – Wiem tylko tyle, e na dodatek gwizdnęła mi mój najlepszy kapelusz!

Ruda Annie była bardziej rozmowna.

– Podobno Alf, ten z hotelu, zawiózł ją do Julesburga, gdzie miała pociąg.

– Zebrała puste kufle na blaszaną tacę i z trzaskiem postawiła ją na ladzie tu przed Atchisonem. Ten nawet nie podniósł wzroku sponad starej gazety, którą czytał. Annie stanęła przed barem, skrzywiła

się i pełnym zmęczenia ruchem odgarnęła z czoła opadające na oczy pasemka włosów. – Zało ę się o moje najlepsze świąteczne podwiązki,

e znów pogoniła za tym nieponiem

Cotwellem.

Wciąż nie podnosząc głowy znad gazety, Atchison skomentował to krótko:

– Je eli jest a tak głupia, to zasługuje na to, eby jej wybił wszystkie zęby!

– On ju kiedyś złamał jej rękę – przyświadczyła Du a Sally. – I omal nie połamał eber. A ile razy podbił jej oko, tego nikt by nie zliczył. No i jeszcze zrzucił ją ze schodów. – Ujęła się pod boki, odchyliła głowę do tyłu i drwiąco krzyknęła w stronę sufitu: – Ale ona go koooooocha! Bo na przykład ten Alf z hotelu zupełnie dla niej stracił głowę, ale ona ma go za nic. Wciąż tylko Hannibal to, Hannibal tamto..

– Bo Alf nie jest podniecający. – Annie ziewnęła. – Dla niektórych kobiet jak mę czyzna nie jest niebezpieczny, to ich w ogóle nie interesuje.

– Drogie panie... – przerwał im Trace, nagle zdając sobie sprawę, e jest niezwykle spięty. Starał się usilnie, eby nie było tego po nim widać. – A z tego całego Julesburga odjechała pociągiem w kierunku Cheyenne czy Denver? –

zapytał niby mimochodem.

Drogie panie zamilkły nagle, przyglądając mu się z zaciekawieniem. Sally przymru yła lekko oko i powiedziała:

– O, czy by Mattie spodobała się i panu?

Ruda Annie szybciej zorientowała się, o co chodzi. Podeszła do Trace'a i zapytała wprost:

– A ile ta informacja jest dla pana warta?

W odpowiedzi Trace poło ył na blacie baru złotą monetę pięciodolarową i przykrył ją dłonią.

– Słyszałem dotąd, e Cotwell wyjechał, zostawiając Mattie tu, w Dogtown – powiedział. – Po prostu ją rzucił, a ona przysięgła mu nienawiść.

Obie panie roześmiały się, a Sally rzekła:

– Skarbie, gównu pan wie o kobietach. Mattie rzeczywiście go nienawidzi, tyle e równie mocno, jak go kocha. Tak to bywa.

Trace potarł dłonią podbródek.

– Chodzi o to, e ja te szukam Hannibala Cotwella – wyjaśnił otwarcie, dochodząc do słusznego wniosku, e za du o czasu stracił, usiłując zachować całą rzecz w tajemnicy. – Więc jeśli Mattie pojechała, eby się spotkać z Hannibalem, chcę wiedzieć, w jakim kierunku się udała. – Przesunął pięciodolarówkę tak, by zaślniła w pierwszych promieniach wpadającego przez okna słońca.

– Niech pan tu zaczeka – powiedziała Ruda Annie. – Alf będzie wiedział.

– Ale połowa tej piątki dla mnie! – krzyknęła Sally w ślad za biegnącą ju w stronę hotelu kole anką. – Ta cholera Mattie ukradła mi kapelusz! – Obróciła się do Trace’a i przyjrzała mu się uwa nie. – Pan rzeczywiście szuka Hannibala Cotwella? Wobec tego trzeba się modlić, eby w strzelaniu był pan równie dobry, jak w kartach. Bo o nim wiadomo jedno: najpierw strzela, a pyta dopiero później. Kiedy ju obszuka i obrabuje ciało.

Trace uśmiechnął się z pewnym trudem.

– Dziękuję za troskę, droga pani. Myślę, e dam sobie radę, kiedy zajdzie taka potrzeba...

– Mam nadzieję, e się pan nie myli – Sally spojrzała na niego i, jak gdyby dla rozprostowania mięśni, uniosła wysoko najpierw jedną stopę, a potem drugą, stawiając je ka dorazowo na oparciu najbliższego krzesła i demonstrując w ten sposób swe du e stopy w mocno pocerowanych czarnych pończochach. –

Wygląda na to, e pan nas opuszcza – powiedziała i zerknęła na monetę lśniącą w smu ce słonecznego światła. – Nie miałyby miał pan ochoty na szybki numerek jeszcze przed wyjazdem?

Powrót jej rudej kole anki oszczędził Hardenowi trudu szukania pretekstu do odmowy. Zdyszana Annie od razu wyciągnęła rękę po pięciodolarówkę.

– Mattie na pewno wsiadła do pociągu jadącego do Denver – powiedziała, z trudem łapiąc oddech. – Ale Alf mówi, e nie wie, czy zamierzała jechać do końca, czy te wysiąść gdzieś po drodze. On uwa a, e raczej to drugie, ale sam nie wie dlaczego.

Trace wręczył jej monetę, a potem powiadomił Atchisona, e od tej chwili ju w saloonie nie pracuje. Nie zwa ając na krzyki oburzonego barmana, wyszedł na zewnątrz i dopiero tam zaklął siarczyście raz i drugi, wściekły na siebie za tyle zmarnowanego czasu. Potem, nie patrząc nawet, dokąd idzie, ruszył prosto przed siebie, eby ochłonać ze zdenerwowania. W końcu jednak zatrzymał się, wzruszył ramionami i zawrócił w stronę hotelu.

Po drodze próbował z grubsza oszacować ewentualne szkody, jakie mogłyby wymknąć z faktu, e Mattie zobaczy się z Hannibalem wcześniej ni on. Ostatecznie doszedł do wniosku, e nic szczególnie złego jeszcze się nie stało.

Mattie z pewnością powie Hannibalowi, e szuka go przyrodni brat, ale to akurat nie miało większego znaczenia. Nawet jeśli poinformuje go te , e Etta nie yje, to przecie i tak nie zna adnych szczegółów. Zatem nie będzie mogła mu powiedzieć ani jak to się stało, ani – tym bardziej – dlaczego.

Natomiast on znał ju odpowiedzi na oba te pytania. Znał je z listu ony, który stale miał przy sobie, i za ka dym razem, gdy tylko zaczynał o nim myśleć, na nowo ogarniała go fala nieprzytomnego gniewu. Fala nienawiści, chęci zemsty... i upokarzającego poczucia, e został podwójnie zdradzony.

Teraz te to się powtórzyło. Dygocąc z wściekłości, zatrzymał się przed wejściem do hotelu i oparł o framugę drzwi.

Za wszelką cenę trzeba odzyskać równowagę. I natychmiast stąd wyjechać. Im szybciej ruszy w kierunku Denver, tym ma większe szanse, e natrafi jeszcze na ślad Mattie. Konia mo e od razu sprzedać miejscowemu kowalowi, który sam zaproponował, e go kupi. Potem trzeba będzie, złapać dyli ans do Julesburga, a stamtąd ju pociągiem ruszyć w kierunku Denver, rozpytując po drodze... Nagle usłyszał czyjś głos:

– Hej! Trace Harden!

Odwrócił się, kciukiem zsunął kapelusz na tył głowy i mru ąc powieki, usiłował coś zobaczyć, patrząc wprost pod słońce.

Niech mnie diabli, je eli to nie jest ona, pomyślał, rozpoznając w końcu sylwetkę. Ona – ta młoda kobieta przebrana za chłopaka, którą przeszło tydzień temu widział w saloonie. Zaciekawiony, przesunął się trochę w bok, eby nie patrzeć wprost pod słońce.

W pełnym świetle dnia był ju zupełnie pewny, e to kobieta w męskim stroju. W przeciwnym razie musiałby to być najpiękniejszy młody chłopak, jakiego widział w całym swym yciu. Ale nie, to nie mógł być chłopak. Z całą pewnością kobieta.

Niewysoka, nawet w tych kowbojskich butach na sporych obcasach. Spod kapelusza z szerokim rondem wysuwało się kilka nieposłusznych pasemek krótko obciętych ciemnych włosów. Musiała być dłu szy czas w drodze, bo na opalonej twarzy widoczne były ślady pyłu i potu, ale i tak na pierwszy rzut oka była wcale ładna. Miała pełne, kształtne wargi, zgrabny nosek, zęby równe i olśniewająco białe. Długie, zdecydowanie kobiece rzęsy obramowywały parę wielkich niebieskich oczu. Jednak e ich wyraz ju wcale nie był kobiecy. Te niezwykle oczy patrzyły zimno i nieustępliwie, a nawet wrogo. Nie przypominały nieba, raczej nieruchome jak u lalki, twarde, wypolerowane kawałki niebieskiego szkła.

– Kim ty jesteś? – zapytał, nie ukrywając zaciekawienia. – I skąd znasz moje nazwisko?

– Przejdźmy mo e na tyły hotelu – odpowiedziała. – Chcę panu coś pokazać.

Nie czekając, ruszyła w kierunku przejścia i po chwili znikła za węglem budynku. Trace doskonale wiedział, e tam, na tyłach zabudowań, nie ma ju zupełnie nic. Domki miasteczka rozstawione były wyłącznie wzdłu ulicy, więc na tyłach hotelu mogła być tylko otwarta przestrzeń. Ta sama równinna preria, która otaczała całe to zakichane miasteczko. Nie było najmniejszego powodu, eby tam iść.

Westchnął. Oczywiście znał ten tak banalny, niemal szkolny trick. Tylko jakiś naiwny wieśniak albo kompletny óltodziób dałby się na to nabrać i poszedłby za nią. Ale on, choć nie był ani jednym, ani

drugim, te musiał to zrobić – je eli z jakiegoś powodu chciał się dowiedzieć, kim ona jest, skąd zna jego imię i nazwisko i co tu się właściwie dzieje.

Trochę poirytowany, ale te i naprawdę zaintrygowany, na wszelki wypadek wyciągnął z wewnętrznej kieszeni derringera – niewielki pistolet o sporym kalibrze, który z pewnością mógł mu się przydać. Raz i drugi rozprostował kości, starając się otrząsnąć z siebie zmęczenie i z lekko ironicznym uśmiechem na twarzy ruszył za najbliższy węgiel hotelowego budynku.

Kiedy ju skręcił w lewo, z pewnym zaskoczeniem zobaczył dwa konie, z których jeden wydał mu się znajomy. Zanim zdał sobie sprawę, e to jego wierzchowiec, kątem oka dostrzegł za sobą tę przebraną za chłopaka młodą kobietę, która właśnie zdążyła się zamachnąć – oburącz – trzymaną za lufę strzelbą. Twarda jak kamień kolba niczym maczuga nieuchronnie zmierzała w kierunku jego czaszki. Trace w ułamku sekundy zdołał jeszcze zdać sobie sprawę, co się stanie za moment, ale nie zdążył ju zareagować. Zwalił się na ziemię jak kłoda.

Sam ju nieraz była zdziwiona łatwością, z jaką udawało się jej obezwładniać znacznie przecie silniejszych od niej męczyzn. Za ka dym razem chodziło jedynie o to, eby to ona uderzyła pierwsza.

Nawet tym razem, kiedy – szczerze mówiąc – spodziewała się kłopotów, rzecz poszła niezwykle łatwo.

Podniosła z ziemi upuszczony przez Trace’a miniaturowy pistolet i wrzuciła tę zabawkę do jednej ze skórzanych toreb przy własnym siodle.

Znajdowały się w niej ju tak e inne osobiste rzeczy jej nowego aresztanta, jako e Sam zawczasu przejrzała dokładnie jego hotelowy pokój i zabrała stamtąd tylko najpotrzebniejsze – jej zdaniem – męskie rzeczy. Tam, dokąd go zamierzała zawieźć, jakieś luksusowe drobiazgi i tak by mu się. na nic nie przydały.

Dla uniknięcia ewentualnych kłopotów sama zapłaciła nale ność za pobyt Hardena w hotelu i za miejsce w stajni dla jego wierzchowca. Dzięki temu, e to ona płaciła rachunki, bez problemów została wpuszczona do hotelowego pokoju.

Mogła te zabrać konia.

Teraz usiadła w cieniu, oparta plecami o tylną ścianę hotelu, i z coltem tu pod ręką czekała, a Harden odzyska przytomność. Cierpliwość była najwa niejszą cnotą łowców nagród i Sam zawsze starała się ją w sobie rozwijać. Wyjętym z kieszeni scyzorykiem powoli i metodycznie czyściła sobie paznokcie, patrzyła na jeńca i czekała.

Musiała jednak przyznać,

e ten Trace Harden nawet jeśli był

sukinsynem, to z gatunku tych przystojnych. A ju z całą pewnością wyglądał

nieporównanie lepiej ni ten jego doprawdy ohydny i budzący wstręt brat.

Gdyby nie ten ółtawy, tygrysi błysk w spojrzeniu jednego i drugiego, byłaby skłonna nawet sądzić, e ci dwaj w aden sposób nie mogą być ze sobą spokrewnieni.

Choć le ał w tym momencie z twarzą w pyłe rozdeptanej przez kowbojskie konie ziemi, Sam nie mogła nie dostrzec, e powalony przez nią mę czyzna nawet w takiej sytuacji ma w sobie coś z prawdziwego patrycjusza.

Był nienagannie ogolony, co pozwalało zauwa yć interesujący zarys jego męskiej szczęki i zagadkowych, zmysłowych ust. Te usta zdawały się wiele obiecywać, jednocześnie niczego nie zdradzając. Po blisko dziesięciu minutach uwa nego studiowania jego twarzy, doszła do wniosku, e większość kobiet najprawdopodobniej musi uznawać Trace'a Hardena za bardzo przystojnego, więcej – za niebezpiecznie atrakcyjnego mę czyznę. Mogła te nie bez racji przypuszczać, e wodzą za nim tęsknymi oczami, a gdy ich spojrzenia przypadkiem się skrzy ują, panie odczuwają nagły rozkoszny dreszcz, który przenika je na wskroś. A czy...?

Sam otrząsnęła się, podniosła wzrok i ponad wciąż nieprzytomnym Hardenem długo patrzyła na niemal zupełnie płaską linię horyzontu bezkresnej prerii. Nie potrafiła jednak pozbyć się natrętnej, upartej myśli.

Czy Millicent Snow w podobny sposób patrzyła na nią? I czy wówczas odczuwała to samo co tamte kobiety?! Sam wzdrygnęła się mimo woli. Ju nawet myśl o czymś takim przyprawiała ją o mdłości.

Gwałtownie przełknęła ślinę, starając się zapanować nad wzbierającą w niej paniką. Zachowanie panny Snow niewątpliwie świadczyło o tym, e sytuacja robi się coraz groźniejsza. Sam zdawała sobie jednak sprawę, e szukaniem jakiegoś wyjścia mo na się będzie zająć dopiero po dostarczeniu Hardena do biura szeryfa Ainsleya. I na tym przede wszystkim nale ało się skupić, tym bardziej e nieprzytomny dotąd mę czyzna lekko się poruszył.

To nie było złudzenie. Harden jęknął, wypluł kurz, który musiał poczuć w ustach i na języku, przekręcił się na bok i następnie na plecy – co w końcu pozwoliło mu powrócić przynajmniej do pozycji siedzącej. Parę razy przymru ył i ponownie otworzył powieki, pod które te musiało się dostać sporo kurzu, potrząsnął głową. Zorientował się, e jest skuty, dopiero wtedy, gdy spróbował podnieść rękę i dotknąć imponującego guza na głowie.

– Co, u wszystkich diabłów?!

– Widzisz to? – Sam pokazała niewielki kluczyk, podsuwając mu go wprost pod nos. – To jest klucz od twoich kajdanek. Patrz uwa nie, co z nim robię. – Zamachnęła się i rzuciła go tak daleko, e metal na chwilę błysnął w słońcu, zanim znikł gdzieś w bujni rozrośniętych chwastach. – Nie myśl więc, e uda ci się zaatakować mnie znieacka, odebrać kluczyk i zdjąć kajdanki. Nie ma ju go. Dlatego nie próbuj adnych sztuczek, Harden. A teraz wstawaj. No ju !

Trace patrzył na nią, najwyraźniej wciąż nie mogąc pojąć, o co właściwie chodzi.

– Ale to jakieś szaleństwo! – krzyknął rozwścieczony. – Kompletnie nieodpowiedzialne postępowanie! Kim ty, u diabła, jesteś? I dlaczego, do cię kiej cholery, napadasz na ludzi?

– Jestem Sam Kincade i pracuję dla sędziego Mocktona z Denver, który za dostarczenie ciebie ywego lub umarłego wyznaczył nagrodę, a ja zamierzam ją zainkasować, bo jestem zawodowym łowcą nagród. Zabieram cię do Denver, gdzie staniesz przed sądem, oskarżony o zastrzelenie człowieka i kradzieję konia. Za to ci grozi szubienica.

– Co takiego?! – Harden z wysiłkiem stanął na równe nogi. – To jakieś cholerne kłamstwo! Nikogo nie zabiłem i nigdy w yciu nie ukradłem konia!

– To ty tak mówisz. Ale w Denver jest naoczny świadek, który pod przysięgą zeznał, e zrobiłeś to, o co cię oskarżają. Reszta to ju nie moja sprawa, tylko sądu. A teraz wsiadaj na swojego konia, ale ju !

– Akurat będę cię słuchał! – Popatrzył na nią wściekłym wzrokiem, po czym odwrócił się i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku ulicy.

Sam jednak nie pozwoliła mu odejść i natychmiast wcisnęła lufę rewolweru między jego łopatki.

– Uważaj – powiedziała. – Ostrzegam cię tylko raz. Jeśli będziesz próbował się opierać, zastrzelę cię, Harden. Bez wahania i bez jakichkolwiek wyrzutów sumienia. Prawdę mówiąc, mam nawet ogromną chęć to zrobić, bo wiem, kim jesteś. Daj mi tylko najmniejszy pretekst, a przestrelę ci kolano! I to będzie dopiero początek. Zrozumiałeś? Nie jestem dziś w dobrym nastroju, więc lepiej bez gadania wskakuj na siodło i siedź spokojnie, a ja przywiążę ci buty do strzemion. A potem rób dokładnie to, co ci każę, inaczej od razu strzelam, choćby tylko po to, eby ci pokazać, kto ma rację.

– Robisz straszny błąd, Kincade. Nigdy nie złamałem prawa i nie jestem człowiekiem, którego szukasz.

– Dla mnie jesteś, i to wystarczy. Ładuj więc tyłek na konia, i to zaraz.

Masz tylko dwie możliwości: albo trafiasz do celi w Denver, albo od razu pod ziemię. Wybieraj.

Przez nieprawdopodobnie dłużej się sekundy Sam myślała, e naprawdę będzie zmuszona go zastrzelić. Z palcem na spuście rewolweru patrzyła prosto w bursztynowe tęczówki pełnych wściekłości oczu, zastanawiając się, co jej jeniec ostatecznie zrobi. Kusiło ją eby pociągnąć za spust, bo to naprawdę było spojrzenie Hannibala Cotwella.

A Harden wciąż milczał.

– Denver... – powiedział w końcu, zmarszczył czoło i jeszcze raz spojrzał

na nią kątem oka. Najwyraźniej postanowił ju się nie buntować. Rozejrzał się bez większej nadziei, popatrzył na swe nadgarstki w kajdankach, a potem na konia. – Miałem sakiewkę z pieniędzmi, ukrytą w materacu – powiedział jakby mimochodem.

– Znalazłem ją – odpowiedziała sucho Sam, poirytowana jego przypuszczeniem, e mogłaby ukraść mu pieniądze. – Zostanie przekazana szeryfowi w Denver, na przechowanie. Dostaniesz swoje pieniądze z powrotem... je eli cię nie powieszają.

I je eli szeryf Ainsley nie połakomi się na zawartość sakiewki, dodała w myśli. A to, sądząc z dotychczasowych doświadczeń, było więcej ni prawdopodobne. Szeryf chyba uwa ał, e uwalnianie więźniów od niepotrzebnie ich obciążających dóbr doczesnych jest uboczną korzyścią na stałe związaną z wykonywanym przez niego zawodem.

– Denver... – powtórzył Harden w zamyśleniu. Jeszcze przez chwilę coś rozwa ał, ale trwało to krótko. Ku zaskoczeniu Sam, skinął głową na znak zgody i bez dalszej zwłoki wsiadł na konia, co w dodatku udało mu się ju za pierwszą próbą. Potem oparł skute kajdankami dłonie na łąku siodła i patrzył na Sam z takim wyrazem twarzy, jak gdyby chciał powiedzieć:

„No, strzelaj!” – Ale rzekł tylko: – Nie ma potrzeby wiązania mi nóg.

Pojadę dobrowolnie.

– O, akurat! – odpowiedziała drwiąco. – A ja dobrowolnie wstąpię do nowojorskiego baletu!

Przywiązała mu buty do strzemion, podała le ący dotąd na ziemi kapelusz, po czym sama wsiadła na konia.

– Jedź przodem! – rozkazała. – W ten sposób będę cię stale miał na oku, a rewolwer pod ręką, gdybyś chciał próbować jakichś sztuczek.

Trace Harden przez nieznośnie długą chwilę patrzył na nią wzrokiem tak przenikliwym, jak gdyby chciał ją tymi bursztynowymi oczami prześwietlić, przejrzeć na wylot. A Sam z jakiegoś powodu nagle poczuła się skrępowana i wręcz onieśmielona, jak gdyby spojrzenie tego mę czyzny rzeczywiście mogło przeniknąć przez gruba tkaninę poncha, i dostrzec kobiecość pod męskim przebraniem. Jakby to naprawdę było mo liwe.

eby przełamać ten nieprzyjemny moment słabości, podniosła dłoń z rewolwerem i mierząc w kolano Hardena, zapytała ostro:

– Na co jeszcze czekasz?

– Powtarzam, e to jest jakieś nieporozumienie. Nikogo nie zabiłem i w ogóle nie popełniłem adnego przestępstwa. Ale pojadę do Denver dobrowolnie, poniewa i tak zamierzałem się tam udać. A tam po prostu wyjaśnię całą rzecz z kimś, kto... – jego wargi wykrzywiły się lekko ironicznie – ... kto zabierając się do jakiejś sprawy, przynajmniej wie, co robi.

– A tym kimś będzie sędzia Horace Mockton – poinformowała go Sam, powściągając złośliwy uśmiezek. – Tak, on z całą pewnością wie, co robi.

Ten człowiek liczył na bezstronność sędziego Mocktona! Niewiele brakowało, by roześmiała się w głos.

– No, dosyć ju tego dobrego! – ucięła kategorycznie. – Jedziemy!

Je eli Trace Harden choć przez krótką chwilę przypuszczał, e jego zapewnienia o dobrowolności i o

jeździe do Denver z własnego jakoby wyboru zrobić na niej jakieś wrażenie, to średnio się mylił i po prostu jej nie doceniał.

Prawdopodobieństwo tego, że Sam Kincaid uwierzy mię, czyżnie, było równie znikome jak prawdopodobieństwo, że jeszcze kiedyś włoży spódnice. To praktycznie było niemożliwe.

Sam najchętniej wracałaby do Denver w taki sam sposób, jak jechała do Dogtown – to znaczy przez blisko dwie doby bez zatrzymania. Zdawała sobie jednak sprawę, że trzeciej nocy bez snu już nie wytrzyma. Kiedy po południu oczy zaczęły jej się kleić i niebezpiecznie chwiała się w siodle, przysypiając raz za razem, chcąc nie chcąc, musiała zarządzić postój na kolację i nocny odpoczynek.

– Zatrzymamy się przy tym wzgórzu z kredowym osypiskiem –

poinformowała Hardena, wybierając miejsce na obóz. – Tam rozpalimy ogień.

Stroma parametrowa ściana osypiska dawała osłonę przed wiatrem hulającym niemal bez przeszkód po bezkresnej prerii, a nagrzana słońcem skała niczym kaflowy piec zachowywała ciepło jeszcze długo po zapadnięciu zmroku.

To wszystko niewątpliwie liczyło się na tym płaskowyżu, gdzie nawet w pełni wiosny temperatura potrafiła nocą spadać do kilku stopni powyżej zera, choć dni były już ciepłe i słoneczne.

Sam знаła to miejsce, obozowała tu kiedyś – podobnie jak inni przemierzający prerię wędrowcy. Pod samą kredową ścianą był ułożony z kamieni krąg do rozpalania ogniska. Pozostało nawet trochę miejscowego paliwa w postaci zebranych przez kogoś gałęzi oraz wyschniętego bawolego nawozu.

– To tu, Harden. Zsiadaj z konia natychmiast, jak tylko odwiąż ci strzemiona – rozkazała Sam. – A potem kładź się twarzą do ziemi, ebym mógł

ci związać nogi.

– Nie musisz mi wiązać nóg – zaprotestował, kiedy już mógł zeskoczyć z konia. – Powiedziałem przecie, że jadę z dobrej woli.

Sam jednak zignorowała te protesty i bardzo zdecydowanie ruszyła w jego kierunku, ze sznurem w jednej, a rewolwerem w drugiej ręce.

– Twarzą do ziemi! – powtórzyła. – Ale już!

Kiedy upewniła się, że sznur krępujący kostki więźnia jest związany dostatecznie mocno i w adekwatny sposób nie da się go rozwiązać palcami dłoni zakuty w kajdanki, zostawiła Hardena i zajęła się końmi. Napoiła je, a następnie uwiązała na długich linkach, które umożliwiała im skubanie trawy.

Potem rozpaliła ognisko, jako że słońce było już bardzo nisko nad horyzontem i temperatura szybko zaczęła spadać. Powiesiła nad ogniem dwa kociołki z wodą, a następnie ułożyła przy ognisku zdjęte z koni siodła i podróbnoski – dla siebie i więźnia. W końcu przysiadła na kawałku skały, eby przez chwilę odpocząć, czekając, aż woda zacznie wrzeć.

Podniosła wzrok i zobaczyła, e Trace Harden patrzy na nią ponad tańczącymi płomykami ogniska.

– Nie ukradłem konia i nikogo nie zastrzeliłem – powtórzył, ale jego głos brzmiał tym razem bardzo spokojnie i rzeczowo. – A ponieważ tego nie zrobiłem, nie mo e te istnieć świadek, który to widział. Co oznacza, e próbuje się mnie wrobić. Pozostaje pytanie: dlaczego?

Sam wrzuciła do jednego z kociołków sporą garść suszonych warzyw, zamieszała raz i drugi, po czym dodała do tego dwie puszki fasoli. To, e musiała karmić brata Hannibala Cotwella, odczuwała jako coś w rodzaju osobistej zniewagi. Bracia mogli być ró ni w tym czy innym szczególe, mogli nawet wyglądać zupełnie inaczej, ale to przecie nie zmieniało faktu, e są uformowani z tego samego, podłego materiału. I właśnie dlatego ona, Sam Kincade, nie miała adnych wyrzutów sumienia, podstępnie wykorzystując Hardena tylko po to, by doprowadzić do ujęcia Hannibala.

Wciąż się jej przyglądał.

– Przestań się na mnie gapić – burknęła poirytowana i rękawem bluzy wytarła blaszane talerze.

– Czegoś tu nie rozumiem – rzekł wciąż spokojnym i rzeczowym tonem.

– Twierdzisz, e wiesz, kim jestem, to twoje własne słowa. No więc je eli rzeczywiście wiesz o mnie wszystko, to musisz te zdawać sobie sprawę, e nie jestem zabójcą.

Sam chciała tylko wzruszyć ramionami, ale nie wytrzymała i jeszcze raz spojrzała w te pobłyskujące bursztynem, przenikliwe oczy. Korciło ją, eby powiedzieć wszystko,

eby zdradzić mu plan sędziego Mocktona.

Poinformować Trace’a Hardena, e jego ukochany braciszek Hannibal będzie wisiał, a i on ma szansę mu towarzyszyć, jeśli tylko sędzia zdoła zebrać potrzebne dowody.

Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, e nie musi się a tak opierać tej chętcie i mo e po prostu powiedzieć wszystko. W końcu Harden i tak w aden sposób nie mógł ostrzec Hannibala przed zastawianą na niego pułapką.

– Czy jesteś zabójcą, czy nie jesteś, tego mo e jeszcze nie jesteśmy pewni

– powiedziała. – Ale wiemy, e jesteś bratem Hannibala Cotwella. – Samo wymówienie tego przeklętego imienia i nazwiska przychodziło jej z ogromnym trudem.

Harden przez chwilę milczał.

– A więc to o to chodzi. – Pokiwał głową. – No tak, teraz to mo na zrozumieć... – Znów zamilkł i przyglądał się, jak Sam nalewa zupę do wyszczerbionych blaszanych talerzy. Kiedy podała mu jego porcję, ostro nie ujął krawędź talerza palcami obu skutych dłoni. – Dziękuję.

Sam spojrzała na niego zaskoczona. Pierwszy raz zdarzyło się jej usłyszeć to słowo od kogoś, kogo arestowała i zakuła w kajdanki. Najpewniej tę grzeczność – podobnie jak i ledwie zauwa alny

akcent wykształconego człowieka z południowych stanów – wpajano mu od dzieciństwa.

Harden tymczasem powrócił do zasadniczego tematu.

– Dotąd sądziłem, że posiadanie brata nie jest przestępstwem.

– Ale mówimy o Hannibalu Cotwellu! – wybuchła Sam. Długo tłumione emocje eksplodowały teraz z siłą gejzeru. – To złodziej, gwałcień i morderca!

Napadał na dylianse i pociągi, rabował banki, sklepy i ludzi. Brutalnie gwałcił

kobiety! I zamordował co najmniej osiemnaście osób. Nie muszę chyba mówić, jaką tragedią było to dla rodzin.

Trace Harden postawił talerz na ziemi, eby fasola nieco przestygła.

– Mimo wszystko jest pewien słaby punkt w tej argumentacji. – Wciąż nie tracił opanowania. – Hannibal to zrobił. Ja nie. – Zmarszczył czoło i popatrzył

na nią tak, jak gdyby coś mu nagle przyszło do głowy. – Ale je eli myślicie o tym, eby u yć mnie jako przynęty dla zwabienia mojego brata, to...

– Mo e myślimy, a mo e nie myślimy – przerwała mu Sam. Zaskoczyła ją łatwość, z jaką Harden domyślił się istoty rzeczy. – Tak czy inaczej mamy pewność, że jesteń jedyną osobą na tym świecie, na której Hannibalowi jeszcze zale y.

Patrzył na nią w milczeniu. Jego rysy wyraźnie stwardniały, a ółtawy płomyk w oczach tak bardzo przypominał spojrzenie Hannibala Cotwella, e Sam poczuła gwałtowny nerwowy skurcz w okolicach dołka.

– Więc czemu, u diabła, nie powiedzieliście mi po prostu, o co wam chodzi?! – zapytał, jawnie tracąc swój dotychczasowy spokój. – Po co ta zasadzka na mnie i w ogóle to wszystko, skoro to właśnie ja chcę śmierci Hannibala bardziej ni ktokolwiek na tym świecie?! Chcecie go złapać? Proszę bardzo! Je eli tylko wasz plan ma ręce i nogi, będę z wami współpracował. W

ka dy mo liwy sposób!

Głębokie przekonanie, z jakim wypowiedział te słowa, wydawało się szczere, a Sam była zaskoczona siłą, z jaką nagle ujawniły się emocje u człowieka dotąd tak opanowanego.

– Dlaczego miałbyś nam pomagać w zakładaniu pętli na szyję własnego brata? – spytała, spoglądając na niego uwa nie ponad płomieniem dogasającego ogniska.

– Mam powody – rzucił, nie patrząc jej w oczy.

– Jakie?

– Osobiste.

Wyraźnie nie miał ochoty wyjaśniać tego szerzej. Albo może uważał, że tak właśnie wzbudzi większe zaufanie.

Trudno było zgadnąć, czy jest rzeczywiście inteligentny, czy tylko przemądrzały. W każdym razie Sam uznała, że próbował ją nabrać – co mu się nawet udało, ale tylko przez chwilę. Nie może mu wierzyć, powiedziała sobie w duchu. To pokrzysta, a więc człowiek, którego zawód polega na skrywaniu emocji i zręcznym blefowaniu.

Na szczęście była już wystarczająco dorosła, by nie dać się wywieść w pole tylko dlatego, że ktoś był przystojny i potrafił przekonująco kłamać. Nie wolno mu wierzyć, powtarzała sobie, tak jest i dlatego, że jest męczyzną.

On tymczasem już próbował uzyskać jakieś pierwsze ustępstwa.

– Myślę, że może rozwiązać mi nogi – powiedział jakby mimochodem, patrząc na ciemniejący w oddali horyzont. – Nie zamierzam uciekać, bo nie mam po co. Skoro nasze cele są zbierne, nie odjadę.

W odpowiedzi Sam odchyliła połę swego poncha, aby Harden mógł

zobaczyć, że jej rewolwer wciąż jest w zasięgu ręki i że nie zawaha się go użyć.

– Z tym akurat w pełni się zgadzam – powiedziała, kładąc dłoń na kolbie.

– Z całą pewnością nie odjedziesz, bo ci na to nie pozwolę.

Kiedy już oboje zjedli, Sam wyczyściła talerze wodą i piaskiem, a potem w drugim kociołku zaparzyła sobie kawę. Z podrónej sakwy wyjęła książkę, dorzuciła do ogniska suchych gałęzi, aby paliło się jaśniejszym płomieniem, usiadła bliżej i zaczęła czytać.

Harden przyglądał się jej uważnie.

– To raczej niespodzianka – odezwał się po chwili. – Nie przypuszczałem, że ktoś taki jak ty czyta Woltera.

– Zamknij się – powiedziała, podnosząc wzrok znad kolejnej strony. – To, że jestem łowcą nagród, nie znaczy jeszcze, że muszę być nieokrzesanym dzikusiem.

– Naprawdę?

– Gdybyś spędzał w siodle tyle czasu co ja, to chciałbyś od czasu do czasu przeczytać coś mądrego, aby mieć o czym myśleć.

– Czy to nie Wolter powiedział, że gdyby Bóg nie istniał, człowiek musiałby go sobie wymyślić? Cytuję może niedokładnie, ale sens jest zbliżony.

– Z głową opartą na siodle, rozciągnięty na ziemi, patrzył na pierwsze pojawiające się w górze gwiazdy. – A co ty o tym myślisz, Kincade? Czy Bóg istnieje? Czy te myśmy go sobie wymyślili?

Sam była tak zaskoczona, e niewiele brakowało, by upuściła ksią kę prosto w ogień. Wyjąwszy rodziców, nikt dotąd nie pytał jej o zdanie w jakiegokolwiek sprawie. Po ich śmierci wychowywała się w rodzinie miejscowego pastora, głównie pod opieką jego ony – ale ani ona, ani jej mą nigdy nie mieli ochoty na wysłuchiwanie przemyśleń dorastającej w ich domu dziewczynki. A sędziego Mocktona obchodziły tylko jego własne opinie, zdanie innych z zasady puszczał mimo uszu.

– Dlaczego akurat ty chcesz wiedzieć, co myślę? – spytała, nagle zdając sobie sprawę, e znów jest bardzo spięta. Jej głos brzmiał dziwnie nawet dla niej samej.

Harden uniósł głowę znad siodła i spojrzał na nią spod runda kapelusza, a potem znów powrócił do wpatrywania się w rozciągające się nad nimi, usiane gwiazdami niebo. Skute kajdankami dłonie trzymał na brzuchu.

– Przez jakiś czas uwa ałem, e Bóg to tyle co fortuna, szczęście, fart...

czy jak to tam nazwiemy. Teraz ju nie jestem tego taki pewny. Powiedz, Kincade, czy ty wierzysz, na przykład, w coś takiego, jak Sąd Ostateczny?

Przekonuje cię taka koncepcja?

Sam patrzyła na niego coraz bardziej zdumiona.

– Nie wiem – odparła w końcu. – Gdybyśmy mieli być sprawiedliwie sądzeni za nasze postęпки, ty czy ja, bardzo wątpię, ebyśmy zostali wpuszczeni do Królestwa Niebieskiego.

Tak myślała, a w ka dym razie takie przekonanie wyniosła z domu pastora Mossa i jego surowej ony, którzy nie przestawali jej straszyć smołą i ogniem piekielnym, powtarzając stale, e grzesznicy tacy jak ona nie mają najmniejszych szans na wejście do nieba. Nie było wiadomo, na czym dokładnie miały polegać jej dziecięce grzechy, ale z podniosłych słów pastora wynikało jasno, e Samantha Kincade jest skazana na potępienie.

Skoro to było nieodwołalne, Sam w końcu uznała, e w aden sposób nie pogorszy ju sprawy – nawet uciekając z domu pastora, przebierając się w męski strój i przyjmując za jedyny cel swojego ycia zemstę na Hannibalu Cotwellu.

Tak więc gdy tylko ukończyła osiemnaście lat, bez wahania zrealizowała swój plan, porzuciła na zawsze małe miasteczko Cottonwood w stanie Kansas i nigdy ani przez moment tego nie ałowała. Na pewno nie brakowało jej kazań pastora ani jadowitych uwag wychowawczych jego ony. Szczerze mówiąc, dopiero teraz, po tylu latach, ponownie o nich obojgu pomyślała.

– Powiedz mi wobec tego, czy uwa asz, e dziecko mo e grzeszyć? –

zapytała bardzo serio. Zdaniem ony pastora, pró niacze i skłonne do płochych igraszek dzieciństwo jest ulubionym polem działania diabła. Sam nie bez podstaw uwa ała, e te wszystkie lata były raczej

monotonne i nudne, pełne surowych rygorów i nieustannej pracy od rana do wieczora. Jeszcze jako dziecko, a później ju jako nastolatka miewała okresy podświadomego buntu, jakiejś bliżej nieokreślonej tęsknoty za yciem, które przecie mogłoby być inne. Podejrzewała, e to właśnie są podszepty szatana. Chyba jednak zły duch miał niewielkie szanse, by ją wtedy skusić, nawet gdyby próbował, młodziutka Sam miała bowiem za du o domowych obowiązków, by to w ogóle zauważyć.

Harden miał w tym względzie własne zdanie.

– Grzeszą tak naprawdę tylko dorośli – powiedział. – Dzieci nie mają szans, eby im w tym dorównać. Nie sądzisz, e mam rację?

– Ja? No có , prawdę mówiąc...

Dość niespodziewanie urwała w pół zdania. Wzdrygnęła się i potrząsnęła głową, jak gdyby chciała z siebie coś zrzucić. Odepchnąć myśli, które nagle ją przeraziły.

Przeraziły, gdy zdała sobie sprawę, co robi. Wdawała się w szczerą rozmowę! I to z kim? Z bratem Hannibala Cotwella! Chciała znać jego opinię, jego zdanie! Mało tego, dała się w to wciągać nie tylko bez oporu, ale nawet ze znaczną przyjemnością. Po prostu miała ochotę z nim rozmawiać!

To był dla niej prawdziwy szok. Czy by była a tak samotna i spragniona kontaktu z drugim człowiekiem, e ju nawet nie chciała się trzymać w ryzach, tylko od razu miękła i rozpływała się jak zostawiony na słońcu karmelek? I to tylko dlatego, e jakiś gładki oszust mimochodem zapytał ją o zdanie? Czy naprawdę była a tak cholernie naiwna i z taką łatwością mo na ją było wodzić za nos?

Musiała natychmiast wziąć się w garść!

Odwróciła wzrok i wpatrując się w roz arzone jeszcze węgielki dogasającego ogniska, powiedziała twardym tonem:

– Dosyć ju tego gadania, Harden. Zamknij się i śpij!

Zdegustowana własnym nierozsądnym zachowaniem, zgarnęła arzące się resztki na środek i przysypała je popiołem, eby dłużej zachowały ciepło. Potem ułożyła się w śpiworze – wystarczająco daleko od Hardena – i nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona. Należało się dobrze wyspać, tym bardziej, e nie przewidywała ju dalszych postojów – od następnego ranka zamierzała jechać dzień i noc, by dotrzeć do Denver jednym ciągiem, po jakichś trzydziestu sześciu godzinach nieprzerwanej jazdy. To niewątpliwie mogło być męczące tak e dla niej. Ale im szybciej uwolni się od towarzystwa tego uwodzicielskiego typu, tym lepiej.

Uwodzicielskiego – to było właściwe słowo. Przyłapała się na tym, e nie mo e przestać myśleć o jego głosie. Ten głos – zdecydowanie męski, a jednocześnie tak ciepły, wręcz kojący – wciąż brzmiał w jej uszach. Takim tonem pytał o jej zdanie na ten czy inny temat. Sam z prawdziwym przerażeniem uświadamiała sobie, jak bardzo jest spragniona towarzystwa i zwyczajnej ludzkiej rozmowy.

W ostatniej chwili ugryzła się w język, eby nie zapytać Hardena, skąd tak dobrze zna dzieła Woltera i co jeszcze mógłby jej polecić jako lekturę. I co myśli o ostatnim konstytucyjnym wniosku stanu

Kolorado? I czy lubi ostrygi? I czy... Czy istnieje coś takiego jak uczciwa gra w pokera? Z trudem się opanowała, by go nie zbudzić i nie zadać mu tych wszystkich pytań.

I wtedy okazało się, że Harden w ogóle jeszcze nie śpi. Z nocnej ciemności dobiegło kolejne pytanie, zadane tym samym uwodzicielskim głosem

– bardzo męskim, a jednak melodyjnym... i bogatym w te wszystkie barwy, które Sam w gruncie rzeczy chciała w nim odkryć. Ale to, o co tym razem pytał, było niczym uderzenie.

– Powiedz mi, Kincade... Jesteś kobietą, prawda?

Sam w jednej chwili zerwała się na równe nogi. Rewolwer w jej dłoni pojawił się niemal automatycznie. Stała tu przy jego śpiworze i wycelowała broń tam, gdzie mogło być serce jej jeńca.

– Ośmielasz się nazywać mnie jakimś... zniewieściałym maminsynkiem, Harden?

– Nie – odpowiedział spokojnie. Patrzył na nią ale w świetle gwiazd i księżyca trudno było dostrzec wyraz jej twarzy. – Powiedziałem tylko, że jesteś kobietą bo myślę, że naprawdę nią jesteś.

Zaatakowana tak otwarcie Sam zupełnie nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Krew napłynęła jej do twarzy, a na czole, mimo nocnego chłodu, wystąpiły kropelki potu. Była wstrząśnięta, trafiona w najczulsze miejsce.

Dotąd zawsze mogła liczyć na to, że skupionym na swoich własnych problemach ludziom, z którymi się stykała, nie przyjdzie nawet do głowy, by zastanawiać się, czy to, co widzą odpowiada rzeczywistości. Przez lata zdążyła wejść w swoją rolę i nikt dotąd nie próbował kwestionować tego, że Sam Kincade jest mężczyzną. Nigdy nie usłyszała nawet najdrobniejszej aluzji. Teraz jednak to już nie była aluzja...

– Nie jestem kobietą! – zaprotestowała gwałtownie, a szok sprawił, że prawie zaczęła krzyczeć. – Czy kobieta potrafiłaby aresztować i oddać w ręce sprawiedliwości tylu bandytów i morderców?! Czy byłaby zdolna dzień i noc, bez snu i bez odpoczynku, samotnie jechać przez prerię? Z rewolwerem w ręku wkroczyć do obozu poszukiwaczy złota,

aby aresztować przestępcę? –

Zacinając się ze zdenerwowania, próbowała jeszcze wyliczyć dalsze dokonania, do których kobieta nie byłaby zdolna, podczas gdy ona...

Na szczęście w nocnym mroku Harden nie mógł wyraźnie widzieć jej twarzy. Bo chyba wyglądała okropnie.

– Nie musisz się tak denerwować – powiedział spokojnie, kiedy Sam w końcu przerwała, aby złapać oddech. – Mojesz bardzo łatwo udowodnić, że jesteś mężczyzną. Wystarczy opuścić spodnie. – W jego głosie wyczuwało się wyraźne rozbawienie.

Nie mogła widzieć wyrazu jego twarzy, ale to, co usłyszała, wystarczyło, by poczuła się naprawdę wściekła. Wciąż trzymała go na muszce i teraz ju rzeczywiście miała ochotę pociągnąć za spust. I to nie dlatego, e był bratem Hannibala Cotwella, ale dlatego, e domyślił się prawdy i miał czelność... miał

czelność z niej się śmiać.

– Nie muszę niczego udowadniać takiemu cholernemu nicponiowi...

takiemu śmieciowi jak ty! – Obróciła się na pięcie i wróciła do swego śpiwora.

Rewolwer położyła przy słuącym za poduszkę siodle, tak eby w ka dym momencie był pod ręką. – Opuścić spodnie! Co za pomysł! Ty zboczony łajdaku! – krzyknęła jeszcze, trzęsąc się z oburzenia.

Gdy Harden w odpowiedzi tylko się roześmiał, rzuciła w jego stronę parę głośnych przekleństw, po czym zawinęła się mocniej w śpiwór i odwróciła się do niego plecami.

Choć była nieporównanie bardziej zmęczona, zasnęła znacznie później ni on. Leżała skulona, niewidzącym wzrokiem patrząc gdzieś przed siebie ponad pogrą oną w nocnych ciemnościach prerią. Zastanawiała się, dlaczego ostatnimi czasy tak często miotają nią sprzeczne uczucia. W jej myśleniu o sobie samej i o otaczającym ją świecie ujawnił się niezły mętlik. A wszystko zaczęło się od chwili, gdy po raz pierwszy usłyszała to imię i nazwisko – Trace Harden.

Zasnęła późno i w rezultacie zasnęła. Gdy w poczuciu nagłej paniki zerwała się na równe nogi, słońce było ju dość wysoko, a piaszczyste połacie prerii rozgrzały się w jego palących promieniach na tyle mocno, e powietrze nad nimi zaczynało tańczyć.

– Dzień dobry!

Obróciła się gwałtownie i zobaczyła Hardena, który siedział na płaskim kamieniu obok płonącego ogniska i ze spokojem palił długie, cienkie cygaro, z gatunku tych, które z jakiegoś powodu upodobali sobie zawodowi gracze w pokera i niektórzy inni bywalcy kasyn.

W jakiś sposób, mimo krępujących dłonie kajdanek, udało mu się rozplątać sznur, którym Sam związała mu nogi. Więcej, zdołał rozpalić ogień i zawiesić nad nim kociołki z wodą, a w jednym z nich nawet zaparzył kawę.

Sam zaklęła pod nosem, wściekła na siebie za swoje niedbalstwo i brak czujności. Harden nie uciekł, ale z pewnością nie była to jej zasługa. Patrzyła na bezbrzezną równinę, w większości pokrytą ju młodą zieloną trawą, i usiłowała zgadnąć, jak daleko mógłby odjechać w tym czasie, kiedy ona spała w najlepsze.

– W jaki sposób udało ci się rozwiązać te węzły, i to w dodatku skutymi rękami? – zapytała, wciąż nie umiejąc sobie tego wytłumaczyć. Jej serce nadal biło szybciej na samą myśl o katastrofie, jaką byłaby dla niej ucieczka takiego więźnia.

– Nieważne – odpowiedział Harden, a potem dodał: – Zaparzyłem ju kawę, ale chyba lepiej byłoby,

ebym to nie ja ją nalewał, choćby ze względu na kajdanki.

Sam przysiadła na kawałku skały po drugiej stronie ogniska, wyczyściła sobie zęby, szorując je palcem w braku szczoteczki, i ukradkiem przypatrywała się ciemnemu podbródkowi Hardena. Wystarczyła niecała doba, by jego nieogolony zarost rzucił się w oczy. Sam wiele by dała, eby coś podobnego mogło się pojawić równie i na jej podbródku. Trudno było jednak nawet o tym marzyć, więc z lekkim westchnieniem zabrała się do nalewania kawy, która na szczęście okazała się gorąca i nadszpiewanie dobra. Z ulgą skonstatowała te, e Harden – podobnie jak i ona – najwyraźniej nie przepada za rozmowami o tak wczesnej porze.

– Chcesz coś zjeść? – zapytała po wypiciu drugiej kawy, dzięki której byłaby ju pewnie zdolna do prowadzenia jakiejś konwersacji. Jednak e zarówno ton jej głosu, jak i niecierpliwe spoglądanie w niebo na coraz wy ej wznoszące się słońce świadczyły wyraźnie, e wołałaby zrezygnować ze śniadania i jak najszybciej ruszyć w drogę.

Harden musiał to zauważyć, bo powiedział tylko:

– Dziękuję, nie jestem głodny.

– Doskonale. – Sam zabrała się do pakowania rzeczy, poczynając od śpiworów, kociołków i blaszanych naczyń. Musiała to wszystko zrobić sama, ponieważ jej więzień nadal miał ręce w kajdankach i choćby z tej racji nie mógł

jej służyć pomocą, nawet gdyby chciał. Zresztą zdążyła się ju przyzwycząić, e w podobnych sytuacjach to ona zajmuje się zwijaniem obozu, podczas gdy aresztowany przez nią przestępca zazwyczaj siedzi na tyłku i przygląda się jej pracy. Po spakowaniu sakw i worków ze śpiworami przeciągnęła się raz i drugi, eby rozruszać mięśnie, a potem podniosła z ziemi siodło Hardena i poszła z nim do uwiązanego nieopodal konia. Ju dźwignęła je do góry, by następnie wrzucić na grzbiet wierzchowca, gdy nagle potknęła się o leżącego na ziemi martwego królika i omal nie upadła. Jakimś cudem zdołała jeszcze umieścić siodło tam, gdzie być powinno, ale nie zdążyła ju dopiąć popręgu. Spokojny zazwyczaj wałach Hardena z jakiegoś powodu stał się nagle płochliwy, przewracał oczami i szarpał się na uwięzi, tańcząc w miejscu i nie pozwalając zaciągnąć klamry. Sam znów zaklęła pod nosem. Niech to szlag, bywają takie dni, e wszystko idzie na opak.

Coś zagrzechotało w okolicy jej buta, ale była tak zaabsorbowana zmaganiem się z nieposłusznym koniem, e w ogóle nie zwróciła na to uwagi.

Zrozumiała, co się stało, dopiero wtedy, gdy poczuła nagłe uderzenie w nogę i zaraz potem ostry ból w górnej części łydki, trochę z boku, poniżej kolana. To było jak ukłucie rozarzoną igłą. Odskoczyła gwałtownie i ze zgrozą zobaczyła trójkątny łeb i charakterystyczny wzór na grzbiecie węsa, który najwyraźniej szykował się do następnego uderzenia. Instynktownie, nawet nie myśląc, wydobyla rewolwer i odstrzeliła łeb grzechotnika.

– Kincade! – krzyknął zaniepokojony wystrzałem Harden. Podniósł się pośpiesznie i zapytał: – Czy coś się stało?

Colt wysunął się z odrętwiałych palców i bezgłośnie upadł na trawę.

Szeroko otwartymi oczami Sam z przerażeniem wpatrywała się w swoją nogę.

W miejscu ukąszenia widoczne były dwie czerwone struki krwi i zmieszane z nimi złotawe kropelki jadu, z wolna wraz z krwią wsiąkające w tkaninę kowbojskich spodni. Drobne na pozór ukąszenia piekły straszliwie, niczym rana na ywym ciele piętnowanym rozpalonym elazem.

– O Bo e, nie... Nie! – szepnęła, półprzytomna z przerażenia. Gdzieś tu obok – albo może tak się jej tylko wydawało – spłoszony wałach Hardena wciąż szarpał się na uwięzi, bijąc kopytami. Usłyszała, jak spada na ziemię niedopięte siodło. Serce Sam biło gwałtownie i nierówno, w ustach jej zaschło, a ból stawał

się coraz trudniejszy do zniesienia. Trzeba było koniecznie coś zrobić, ale czy to jeszcze miało sens? Z wolna osunęła się na kolana, drąc ręką sięgnęła po kieszonkowy scyzoryk i duym ostrzem rozpruła tkaninę spodni od kolana a po kostkę. Wciąż jeszcze miała cichą nadzieję, że może było tylko złudzenie i że jadowe zęby węsa nie dotarły do jej skóry, że ten straszliwy, palący ból poniżej kolana jest tylko wytworem wyobraźni. Ale widok dwóch wyraźnych ranek, typowych dla takiego ukąszenia, nie pozostawiał już żadnych złudzeń. Nagle tu obok siebie usłyszała męski głos:

– Kładź się na plecach. Muszę ci zdjąć but, zanim noga zacznie puchnąć.

Sam z trudem uświadomiła sobie, że obok niej naprawdę jest Trace Harden, a nie jakaś zjawia rodząca się z lęku i szoku, nie wytwór jej oszalałej wyobraźni. Klękła przy niej, aby z bliska obejrzeć ranki, a ona mruczyła oczy, aby się upewnić, że dobrze widzi.

– To był grzechotnik! – powiedziała zupełnie niepotrzebnie, jako że zastrzelony przez nią gad leżał tu obok. – Wygląda na to, że wyszliśmy na remis, on zabił mnie, a ja jego.

Gdy Trace szarpnięciem zerwał but z nogi Sam, ból na moment odebrał

jej oddech, a płynące z oczu łzy sprawiły, że niemal przestała widzieć.

Krzusząc się i gwałtownie trzepocząc powiekami, odzyskała zdolność widzenia przynajmniej na tyle, że dostrzegła zdziwienie Hardena na widok kluczyka od kajdanek, który wypadł z jej buta.

Od razu zrozumiał, co to znaczy.

– Weź to! – rozkazał i wcisnął podniesiony z ziemi kluczyk w jej drące palce. – Otwórz mi te kajdanki. Zrób to, Kincade! Jeśli mam ci pomóc, muszę mieć wolne ręce.

Potworny ból i lęk, który przeradzał się już w panikę, zupełnie sparaliżowały Sam. Nie była w stanie pojąć, czego ten człowiek od niej chce.

– Co powiedziałaś? – spytała, patrząc na niego bezradnie. Jego szczęki zacisnęły się w pełnym napięciu grymasie, a w oczach pojawił się ten sam ołty błysk, który już tak dobrze poznała.

– Do cię kiej cholery, zrób natychmiast, co ci ka ę! Otwórz te kajdanki!

Ręce tak jej się trzęsły, e najpierw upuściła kluczyk na ziemię, a potem przez dłu szą chwilę nie mogła trafić do dziurki. Kiedy kajdanki w końcu spadły tu obok martwego grzechotnika, Harden nawet na nie nie spojrział. Wyciągnął

dłoń i powiedział do Sam:

– Teraz twój scyzoryk. Daj mi go.

Chyba zamierzał ją zabić, na przykład podcinając jej gardło. Sam potrzebowała paru przera ająco długich sekund, by w końcu dojść do wniosku, e woli raczej szybko zginąć pod no em, ni w potwornych cierpieniach umierać od jadu – du o wolniej, lecz równie nieodwołalnie. Ukąszenie grzechotnika zabija powoli, ale to najstraszliwszy i jednocześnie najbardziej ohydny rodzaj śmierci, jaki zdarzało się jej widzieć.

Podjęła decyzję, podała Hardenowi nó , a następnie uło yła się płasko na plecach i wysoko uniosła podbródek, eby odsłonić gardło.

– Zrób to szybko! – rzuciła. – Ju , natychmiast! – Przymknęła oczy. Nie chciała mieć czasu na rozpacz czy al spowodowany świadomością, e czegoś tam w yciu nie zaznała. U alanie się nad sobą nigdy nie było w stylu Sam Kincade; nie chciała umierać marnie i bez klasy. Czekwała na ostatni, krótki ból.

Poczuła, jak ostrze no a rozcina jej skórę i ciało, a ból był tak mocny, e na chwilę nawet przytłumił ten, który był wywołany ukąszeniem. Ale to był ból w tym samym miejscu! Harden zrobił dwa nacięcia, skrzy owane w kształcie litery x, w taki sposób, by dość głębokie rany obejmowały wszystkie miejsca, do których jad zdą ył się przedostać. Cięcia bez znieczulenia bolały potwornie, ale Sam ju odgadła zamiar Hardena. Uniosła się nieco na łokciach i poprzez łyzy zdą yła zobaczyć, jak odrzuca niepotrzebny ju zakrwawiony nó . Dokładnie tam, gdzie były ślady po ukąszeniu wę a, teraz widoczna była ta du o głębsza, krzy owa rana. Jej jedyna niewielka nadzieja.

– Masz mo e w sakwie jakąś whisky? – spytał Harden.

– Nie – odpowiedziała, a jej oczy znów zaszkliły się łzami. Whisky była jedynym znanym lekarstwem na ukąszenie grzechotnika. Ale ona tego lekarstwa nie miała.

– No to będzie bolało jak wszyscy diabli. – Klęcząc, pochylił się nad raną i z całej siły zaczął ją wysysać.

Sam wrzasnęła wniebogłosy. Ból był straszliwy, wręcz nie do wytrzymania. Wydawało jej się, e ju za ułamek sekundy zemdleje albo postrada zmysły. Łzy płynęły po jej twarzy nieprzerwanym strumieniem; potwornie się bała, ale jednocześnie rozpaczliwie walczyła o zachowanie pełnej świadomości. Harden co chwila wypluwał wysysane z rany kolejne porcje krwi zmieszanej z ółtawym jadem. Nie ustawał ani na moment i za ka dym razem, gdy jego wargi dotykały rozciętego miejsca, ból stawał się jeszcze potworniejszy. Sam wiedziała ju na pewno, e za chwilę oszaleje – ochrypla od rozpaczliwego krzyku, z trudem łapała powietrze, chwilami ju nie krzyczała, ale wyła.

Przerwy między kolejnymi paroksyzmami bólu były coraz krótsze.

Jeszcze usiłowała coś powiedzieć, ale w rezultacie tylko dyszała bezgłośnie, niczym wyjęta z wody ryba.

I nagle ten największy, najpotworniejszy ból prawie ustał. Harden otarł wargi rękawem.

– Pod koniec wysysałem ju tylko krew – rzekł. – Nie było ju w niej jadu. Trudno powiedzieć, ile trucizny udało mi się wyssać, obawiam się, e cholernie mało.

Sam le ała bezwładnie, trzęsąc się jak w febrze. Oblizwała wargi, zaczynając odczuwać suchość w ustach – jeden z charakterystycznych objawów po takim ukąszeniu. Miała coraz silniejsze mdłości, w oczach jej się dwoiło, ból znów narastał.

– Harden – szepnęła ochryple, z trudem łapiąc oddech i ocierając łzy, które bez przerwy spływały po jej policzkach. – Słyszałeś, by ktoś prze ył

ukąszenie grzechotnika?

– Nie – odparł. Nie patrzył jej w oczy.

– Ja te nie.

Świadomość tej okrutnej prawdy odebrała jej resztki sił. Miała umrzeć i nie było sposobu, by to zmienić. Czekala ją niewyobra alnie długa agonía, pełna potwornych cierpień, ohydna i upokarzająca. Wyobrazila sobie, jak le y, ociekając śmiertelnym potem i własnymi wymiocinami, jak beznadziejnie walczy z pełznącym ku klatce piersiowej parali em wszystkich mięśni. Oddech z ka dą chwilą będzie się stawał coraz słabszy, coraz płytszy. Zacznie się dusić.

Przestanie widzieć, przestanie panować nad pęcherzem, a w końcu tak e i nad własnym umysłem. Będzie krzyczeć i błagać o śmierć.

– Harden... proszę cię... – szepnęła, sama nie wiedząc dobrze, czy prosi go o to, by został przy niej i nie pozwolił jej umierać samotnie, czy te o to, by ją zastrzelił i w ten sposób skrócił męki.

Cień stojącego przy niej mę czynny padał wprost na nią, zasłaniając jej zapłakane oczy przed ostrymi promieniami słońca. Harden przez dłu szą chwilę trwał nieruchomo i patrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. W

końcu odwrócił się i poszedł do swego konia.

Zimny wiosenny deszcz zamienił brudne ulice miasteczka w błotniste bajoro, w którym grzęzły ludzkie nogi i koła wozów. Opady się nasilały, wody było coraz więcej, podmywała ju deski drewnianego chodnika przed miejscowym hotelem o nazwie Imperial.

Hannibal Cotwell odchylił zasłonę okna i poprzez ukośne smugi deszczu przez dłu szą chwilę przyglądał się jakiemuś farmerowi, który klęcząc w rozmięklej mazi, oskrobywał ciężką grudy błota, tworzące się wciąż na nowo na drewnianych kołach jego wozu. Pogoda była psia pod każdym względem.

Za plecami Hannibala, na szerokim hotelowym łóżku, siedziała Mattie Able i trochę nerwowo kołysała się na sprężynach materaca, lekko pobrzękujących w takt jej ruchów. Od jej ubrania bił zapach mokrej wełny, a z jeszcze bardziej przemoczonego kapelusza wciąż kapały krople.

– I co, nic mi nie powiesz? – spytała, nadal sprawdzając wytrzymałość sprężyn w materacu. – Nie cieszysz się, czy mnie widzisz? czy wypatrzyłam cię z okna pociągu?

Brzmienie głosu Mattie zazwyczaj działało na niego kojąco, ale tego popołudnia spojrzenie jej pełnych nadziei, ciemnych oczu z jakiegoś powodu go denerwowało. Denerwowało go zresztą wszystko – i ta kobieta, i pogoda, i to zakichane miasteczko, z którego ostatecznie nie wyjechał południowym pociągiem, choć taki miał zamiar.

Pueblo nie było dużo większe od Dogtown, ale szczyciło się tym, że ma szeryfa, czyniło to zauważalne wysiłki, by wybić się na status porządnego, przyzwoitego miasteczka. Hannibal w ogóle nie przepadał za yciem w mieście, a ju szczególnie nie lubił takich niedużych miejscowości, gdzie każdy obcy od razu rzuca się w oczy, niczym błyszcząca gwiazda na bluzie przedstawiciela prawa. Takie przebywanie na widoku jest niebezpieczne.

Gdyby nie Mattie Able, która nagle krzyknęła do niego z okna wjeżdżającego na stację pociągu – a następnie rzuciła się prosto do Hannibala, nie czekając nawet, aż wagon się do końca zatrzyma – pewnie ju by go tu nie było. Odjechałby tym właśnie pociągiem i byłby ju o dobrych kilkadziesiąt mil od Pueblo.

To, że pozwolił, by Mattie go zagadała i w rezultacie zatrzymała na kolejny dzień, denerwowało go tym bardziej, że sam nie był tu bez winy.

Świadomość tego napępiała go niesmakiem i tylko pogłębiała jego gniew.

Jeszcze jeden dzień pobytu dawał wszystkim donosicielom nową szansę. Jeśli go teraz rozpoznają i powiadomią władze, to pretensje o to będzie mógł mieć przede wszystkim do samego siebie. No i do Mattie.

Przesunął zasłonę tak, by znów zakrywała okno, po czym odwrócił się i usiadł okrakiem na jedynym krześle, przypatrując się Mattie i zastanawiając się, ile winy za to wszystko może na jej przypisać.

Kiedyś rzeczywiście uważał, że jest najładniejszą dziewczynką po wschodniej stronie Gór Skalistych. Ale później sporo się zmieniło, szczególnie od chwili, gdy podczas nieobecności Trace'a zaczął odwiedzać jego dom w Kansas City.

– Co jest, skarbie? – odezwała się Mattie tonem skargi. – Dlaczego patrzysz na mnie w taki sposób?

– Chciałbym wiedzieć, co cię tu przyniosło. Skąd się nagle wzięłaś w tym pociągu do Santa Fe? Dokąd się wybierałaś?

– Jechałam na rancho Holborn. Liczyłam na to, że cię tam zastanę. –

Uśmiechnęła się do niego słodko, wyciągnęła szpilki z mokrego kapelusza i rzuciła go na łóżko. Jej rude włosy wciąż połyskiwały miedzią, choć światło deszczowego dnia, ledwie przebijające się przez półprzejrystą zasłonę, nie pozwalało im zaświecić pełnym blaskiem.

– A skąd wiedziałaś, że mogę być w Holborn? – Jego głos zabrzmiał

niespodziewanie ostro.

– Sam mi powiedziałeś – odparła Mattie. Chciała jeszcze coś dodać, ale widząc, że jest wściekły, zrezygnowała i tylko patrzyła na niego z wciąż tym samym kobiecym oddaniem.

Hannibal walnął pięścią w poręcz krzesła z taką siłą, że omal jej nie złamał. Wszystko przez to cholerne pijaństwo! Choćbyś swój sekret chronił

najlepszym nawet zamkiem, alkohol i kobieta otworzą go łatwiej, niż baryłka prochu otwiera bankowy sejf. Było oczywiste, że musiał się wygadać, choć w ten sposób nie potrafił sobie tego przypomnieć. Dotąd był absolutnie pewny, że nikomu nawet słowem nie wspomniał o swej kryjówce w pobliżu Santa Fe.

Ale nawet jeśli się przed nią wygadał, to przecie nie mógł przypuszczać, że tak zupełnie bez wstydu przyjedzie go szukać. Miała czelność uznać, że wolno jej jechać za nim i go nachodzić, kiedy nikt jej o to nie prosił! Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był na nią wściekły. To przez nią nie wsiadł do pociągu i naraził się na niemałe ryzyko jeszcze jednej doby pobytu w Pueblo.

– Jutro rano jedziesz z powrotem do Denver – oświadczył kategorycznie.

Był to właściwie rozkaz. – Możesz tam zostać albo wracać do Dogtown, dla mnie to bez znaczenia. – Wzruszył ramionami i potarł starą bliznę na czole, która zawsze zaczynała mu dokuczać na zmianę pogody. – Nikt cię nie zapraszał

do Santa Fe.

Mattie spuściła wzrok, poprawiła mokrą spódnicę i – wciąż nie patrząc mu w oczy – powiedziała tonem usprawiedliwienia:

– Pomyślałam sobie, że na takim rancho przydałaby się kobieca ręka. Ja całkiem dobrze gotuję, umiem

prac i prasować. Nie boję się ciężkiej pracy i nigdy nie narzekam. Pomyślałam więc, że może chciałbyś mieć mnie tam pod ręką.

Hannibal nie znosił takiego babskiego gadania. Jeszcze rok temu – tylko za to, że go denerwuje! – trzasnęłyby ją tak, że poleciałaby na ścianę i pewnie nie byłaby w stanie podnieść się o własnych siłach. Nie zawahałaby się uderzyć pięścią, żeby jej przypomnieć, że nie wolno go o nic pytać ani czegokolwiek od niego oczekiwać. Teraz jednak, ku niemałemu własnemu zaskoczeniu, poczuł nagle coś w rodzaju zrozumienia dla milczącej prośby, którą czytał w jej oczach.

Wiedział już, co może czuć człowiek, który całą duszą pragnie czegoś tak rozpaczliwie nieosiągalnego, jak – na przykład – rozpoczęcie wszystkiego na nowo.

W rezultacie zrobił coś, czego się po sobie nie spodziewał. Powściągnął

narastającą wściekłość i chyba po raz pierwszy w życiu spróbował rozmawiać otwarcie i szczerze.

– Byłem wobec ciebie uczciwy, Mattie. – Ton jego głosu był zaskakująco spokojny. – Mówiłem ci, że już cię nie chcę. Zresztą i tak nie bardzo do siebie pasowaliśmy.

Na szczęście ta rozmowa odbywała się bez świadków, bo resztę bandy wysłał na rancho już wcześniej. Gdyby tu byli, nie mogliby nie widzieć tej niecodziennej miękkości szefa, a on musiałby ich potem zastrzelić. Duma nie pozwoliłaby mu postąpić inaczej.

Ponieważ jednak była przy nim tylko Mattie, mógł sobie pozwolić nawet na wyrozumiałość.

– I potem ty miałaś jakichś tam stałych facetów, a ja miałem... – Nie skończył zaczętego zdania i bezwiednie przejechał palcami po swoich zmierzwionych włosach. – Tak i ty i ja... to było tylko przejściowe... nic poważnego...

– Och, Hannibalu! – W spojrzeniu Mattie odbiło się jawne zdumienie. –

Nigdy nie przypuszczałam, że kiedykolwiek będziesz tak ze mną rozmawiać... –

powiedziała wzruszona i uszczęśliwiona. – Tak... grzecznie i w ogóle... –

Groźny błysk w oczach ostrzegł ją jednak, że cierpliwość Hannibala może być na wyczerpaniu, dodała więc pośpiesznie: – Kocham cię. I myślę, że tobie też na mnie zależy.

– Czy ty w ogóle nie słyszałaś, co do ciebie mówiłem?! W tym momencie wszelka łagodność musiała się skończyć.

Znowu miał ochotę przyłożyć tej dziwce pięścią tak jak dawniej, choćby tylko za to, że przez chwilę mógł w jej oczach wyglądać na mięczaka. I jeśli jej nie uderzył, to tylko dlatego, że odgłosy awantury mogłyby niepotrzebnie zwrócić uwagę hotelowego personelu.

Tak więc zamiast ją walnąć, sięgnął do kieszeni i wyciągnął skórzany woreczek, pełen złotych dwudziesto dolarówek, które zrabował w Leadville.

– Jutro rano wyje d asz do Denver! – oświadczył tonem, w którym ju nie było nawet śladu yczliwości. Wcisnął kapelusz głęboko na oczy, rzucił na łó ko parę monet i skierował się do drzwi. – Tego, co ci zostawiam, wystarczy na opłacenie hotelu i bilet powrotny. Posiłki w pociągu są wliczone w cenę biletu.

Ju miał nacisnąć kławkę, gdy Mattie zerwała się z łó ka i krzyknęła:

– Twój brat Trace cię szuka! Był w Dogtown przez kilka dni i rozpytywał o ciebie! Przyjechałam specjalnie, eby cię ostrzec!

Hannibal zastygł w miejscu. Przez chwilę miał nieprzyjemne poczucie, e cała krew nagle odpłynęła mu z twarzy. Trace nigdy dotąd do niego nie przyje d ał i go nie szukał, więc jeśli teraz to się zmieniło, powód mógł być tylko jeden.

Obrócił się w stronę Mattie, a w jego oczach znów pojawiły się te niebezpieczne óltawe płomyki, które tak dobrze znała.

– Je eli kłamiesz... – zaczął groźnie. Nie dokończył, ale ju nie musiał.

Nawet w tym oświetleniu nietrudno było zauwa yć, e Mattie pobladła.

W jej nadmiernie umalowanej i upudrowanej twarzy był wyraźny lęk, ale te i determinacja.

– Ja nie kłamię! – krzyknęła. – Twój brat powiedział mi, e sprzedał te swoje hotele i całą resztę i teraz szuka ciebie. Ale ebyś widział, jakie on miał

spojrzenie! To na pewno nie były oczy człowieka, który wybiera się na szczęśliwe spotkanie rodzinne!

Hannibal tylko skinął głową. Ju nie zamierzał wychodzić; w zamyśleniu wyciągnął rękę po krzesło i opadł na nie bezwładnie. Odchylił głowę do tyłu i wpatrując się w nieregularne cienie na suficie, powiedział tylko:

– O Chryste!

A więc Trace wiedział. Musiał wiedzieć.

Poczucie winy i świadomość, e cała rzecz się wydała, okazały się cię kim brzemieniem. Nawet dla kogoś takiego jak Hannibal Cotwell.

Przez całe swoje godne po ałowania ycie nie dbał o nic i o nikogo. Tak naprawdę z wszystkich yjących na świecie ludzi obchodziły go zaledwie dwie osoby. Zale ało mu na nich, a im zale ało na nim. Jedną z tych osób zdradził.

Podrapał się w czoło i zaklął, gdy mimowolnie dotknął starej bolącej blizny. Próbował ją rozmasować, ale to niewiele dało.

Trace. Jedyńy człowiek, który przy nim trwał i naprawdę przejmował się jego losem. To Trace, jako młodszy, zawsze go miał za idola, wielbił od dzieciństwa, podziwiał, naśladował i niezmiennie wierzył, e on, Hannibal, ze wszech miar na to zasługuje. Więc dlaczego teraz ten uwielbiany starszy brat, mogąc zdradzić tylu innych, zdradził akurat jego? Wiernego mu zawsze Trace'a?

– Powiedziałaś mu o rancho Holborn? – spytał nagle.

– Nie – odpowiedziała Mattie, trochę dotknięta takim podejrzeniem.

Hannibal wiedział, e prędzej czy później będzie musiał spojrzeć w oczy bratu, i wiedział te , e będzie to najtrudniejsza próba w całym jego yciu.

Spojrzy mu w oczy, lecz na szczęście jeszcze nie teraz. O tej zwłoce myślał z ulgą, ale i ze wstydem.

– Widzę, e masz powa ne sprawy do przemyślenia. – Mattie poło yła mu dłoń na ramieniu w taki sposób, jak gdyby chciała mu dodać otuchy. – Pójdę na dół i załatwię dla nas jakąś kolację.

W jej spojrzeniu było nie tylko zrozumienie, ale i coś w rodzaju współczucia. To te był dla niego wstrząs. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie przyło yć jej pięścią za to, e ośmieliła się mu współczuć. Ale tak naprawdę nie chciało mu się nawet podnieść ręki.

W snach Hannibal widział siebie najpierw jako dziecko, pogubione i przestraszone, rozpaczliwie usiłujące zaskarbić sobie sympatię surowego ojczyma, i – mimo wszelkich wysiłków – ponoszące klęskę za klęską. W tych snach gniew Charlesa Hardena narastał gwałtownie, niczym fale wzburzonego oceanu, budząc lęk i budując w dziecięcym umyśle Hannibala poczucie beznadziejnej rozpacz i bolesną świadomość tego, e jest tak mały, tak bezsilny i po prostu nic nie znaczy.

Postać ojczyma urastała do wymiarów straszliwego, karzącego olbrzymia, a matka stawała się przy nim jedynie bladym cieniem. Zawsze zgodnym, zawsze uległym, poniewa taka jest natura cieni.

A Trace w tych snach Hannibala był zupełnie inny ni w rzeczywistości.

Miał piękną złotą skórę i włosy te złote, niczym choinkowy aniołek – i Hannibal beznadziejnie mu tego zazdrościł. Czasami Trace miał na głowie ksią ęcą koronę. Ta wzbudzała jeszcze większą zazdrość starszego brata, chwilami ju bliską nienawiści.

Te sny zawsze zaczynały się tak samo. Trace błagał ojca, eby nie bil Hannibala, choć wiadomo było, e to znów nic nie pomo e. Jednak e we śnie mały Hannibal nigdy nie wiedział, e sprawa jest z góry przegrana, i słuchając słów młodszego brata, za ka dym razem miał nadzieję, e tym razem rzecz się potoczy inaczej. A potem, skamieniały ze strachu, patrzył na ojczyma, trzymającego w dłoni bat z byczej skóry. Ten bat ze snu był równie wielki jak w rzeczywistości.

Potem z ust Charlesa Hardena padała komenda: „Przywiązać go za ręce do belki!”, a ka de słowo było jak wystrzał z pistoletu.

Na tym etapie snu Trace zawsze znikał, a Hannibal pozostawał sam i gwałtownie mrugając, usiłował nie dopuścić do tego, by po jego policzkach popłynęły łzy. I zawsze zadawał to samo, upokarzająco

ałosne pytanie:

– Dlaczego, tato? Co złego zrobiłem?

To pytanie tylko zwiększało wściekłość ojczyma. Mały Hannibal słyszał

jego przerażająco wolno zbliżające się kroki, słyszał świst bata. I wciąż nie wiedział dlaczego, czym zawinił tym razem i co mógłby zrobić, aby zasłużyć na uśmiech, a nie na bicie.

Nawet we śnie ból od uderzeń rzemienia, przecinającego skórę na dziecięcych plecach, wydawał się nie do zniesienia. Za każdym razem czuł, jak otwierają mu się rany, jak krew spływa ciepłym strumykiem po drobniutkich łopatkach. Czasami koniuszek bata zawijał się wokół głowy chłopca i dotkliwie ranił mu czoło i powiekę.

W jakiś dziwny sposób, mieszczący się jednak w logice snu, za każdym uderzeniem bata Hannibal stawał się coraz starszy. Z sześciolatka wyrastał na dwudziestoletniego młodzieńca, jego ciało męniało i nabierało mięśni, na miejscu starych blizn pojawiały się nowe. Ale uderzenia bata wciąż trwały i wciąż, do uszu nieszczęsnego chłopca dobiegał kpiący śmiech Charlesa Hardena, pełen sadystycznej satysfakcji. I to katowanie trwało i trwało, dopóki przewyższony ból i wściekłość nie osiągnęły ostatecznej granicy. Wtedy Hannibal budził się z krzykiem, przerażony i zawstydzony tym, że płacze nawet we śnie.

Mattie uniosła głowę nad poduszki i spojrzała w stronę okna. Mimo nocnych ciemności widziała wirujące za szybami wielkie płatki śniegu. Nic dziwnego, że było tak cholernie zimno. Wiosna w tych okolicach niekoniecznie oznaczała słońce i piękną pogodę.

Wsunęła się głębiej pod kołdrę i przytuliła do nagiego torsu Hannibala, wyczuwając policzkiem stare blizny, którymi porwane miał całe plecy. Słuchała jego pijackiego chrapania i wdychała obrzydliwy odór przetrawionego alkoholu.

Kładąc się z nią do łóżka, Hannibal był pijany nawet bardziej niż zwykle. Ale dla Mattie liczyło się tylko to, że jej nie przepędził.

Potrzebował czasu i ona o tym wiedziała. Sama miała teraz czasu tyle, ile tylko chciała, więc mogła się do niego dostosować. Była cierpliwa i potrafiła czekać.

Hannibal wymamrotał coś przez sen, obrócił się i pociągnął kołdrę na siebie. Mattie przywarła do niego tak blisko, jak tylko mogła, marząc skrycie, by obudził się i objął ją tak jak kiedyś.

Przez całą drogę, poczynając od Dogtown, miała dość czasu na przemyślenia. Myślała właściwie tylko o jednym: o tym, czego się dowiedziała od Alfa i jak powinna to wykorzystać. Zastanawiała się, co zachować dla siebie, a o czym powiedzieć Hannibalowi. Jak to zrobić i kiedy.

Teraz, na godzinę przed świtem, wciąż jeszcze nie mogła zasnąć i oskarżała samą siebie o tchórzostwo. Wydawało jej się, że zrobiła błąd, nie mówiąc wszystkiego od razu.

Ale miała przecie powody. Bała się porywczego charakteru Hannibala, bała się jego wybuchów

wściekłości. Mógłby ją pobić do utraty przytomności tylko za to, e przyniosła mu złe wiadomości.

Znów przytuliła twarz do jego pleców i przymknęła powieki. Mo e jednak lepiej się stało, e wciąż nie wiedział dokładnie, dlaczego Trace go poszukuje. Niech na razie nadal nie wie i niech sobie myśli, co chce. O tym, e Etta nie yje, zawsze będzie mo na powiedzieć mu później.

W końcu postanowiła po prostu czekać na rozwój wydarzeń. Poza tym zawsze lepiej mieć coś w zanadrzu na wypadek, gdyby sprawy potoczyły się nie tak, jak sobie wymarzyła.

Wczesnym popołudniem słońce zdą yło ju stopić resztki śniegu. Zrobiło się cieplej, ale na ulicach nadal było pełno kału i lepkiego błota. Mattie, z twarzą przy szybie, spoglądała w stronę rzeki i poło onej na przeciwległym brzegu stacji kolejowej. Zapachy pobliskiej garbarni docierały nawet przez zamknięte okno.

– Tak, kochana – powtarzała w duchu, dodając sobie odwagi. – Będziemy mieli piękny dzień.

Hannibal zdą ył ju się ubrać, ale jak dotąd nie odezwał się nawet słowem. Nie tknął te ani śniadania, ani obiadu, który przyniosła mu z mieszczącej się na parterze hotelowej restauracji. Le ał na łó ku nieruchomo, jak pora ony, i uparcie wpatrywał się w sufit. Mattie oglądała sufity wystarczająco długo i często, by wiedzieć, e nie znajduje się na nich odpowiedzi na adne pytanie.

– Chyba ju zaraz będzie nasz pociąg – powiedziała prawie radośnie.

Stała przed lustrem i wielkimi szpilkami przypięła do włosów kapelusz, który gwizdnęła Du ej Sally. Rondo ciągle jeszcze było wilgotne i pomarszczone, a aksamitne sztuczne kwiaty wyglądały jak wyjęte psu z gardła, ale kapelusz wciąż miał swój szyk.

Hannibal w końcu przestał patrzeć w sufit, przekręcił się i usiadł na krawędzi łó ka.

– Ty ze mną nie jedziesz – oznajmił znu onym głosem. Mattie udała, e tego nie słyszy.

– Do stacji jest spory kawałek – powiedziała i wło yła do wyszywanej saszetki mydło do golenia, pędzel i brzytwę Hannibala. Nie przeszkadzało jej, e nie ogolił się tego ranka. Liczyło się tylko to, e pociąg do Denver dawno ju przyjechał i odjechał – bez niej. Teraz, upewniwszy się jeszcze raz, e niczego nie zapomniała, zamknęła saszetkę i prostując się, rzekła: – Najwy szy czas, ebyśmy szli. Lepiej przyjść o pięć minut za wcześniej ni o minutę za późno.

Hannibal chlasnął ją otwartą dłonią po twarzy, jakby mimochodem, ale i tego wystarczyło, by Mattie zatoczyła się a na ścianę.

– Nie jedziesz ze mną do Santa Fe. Czy to jasne? Osunęła się na podłogę, w uszach jej dzwoniło, a twarz gwałtownie poczerwieniała. Dopiero po dłu szej chwili zdała sobie sprawę, e nie uderzył jej z całą siłą. W gruncie rzeczy to był

klaps, który wcale nie bolał.

Okazywało się więc, e miała rację. Powściągnął się, bo mu jednak na niej zale ało. Choćby tylko

trochę, choćby odrobinę, ale zaleało.

– Jadę z tobą – powiedziała.

Podniosła się, otrzepała spódnicę i poprawiła kapelusz. Zastanawiała się, czy nie poszukać pudru w saszetce, eby zminimalizować ślady uderzenia. Nie było jednak na to czasu, je eli mieli zdążyć na pociąg do Santa Fe. Włóyla rękawiczki, chwyciła za rękojeść swojej torby podrónej i z pewnym wysiłkiem wyciągnęła ją na korytarz.

– Nie zabieram cię ze sobą – rzekł Hannibal.

Kiedy chodzi o męczyzn, nawet drobna zmiana oznacza postęp. Mattie uznała, e przejście od „Nie jedziesz ze mną!” do „Nie zabieram cię ze sobą” stanowi postęp zauważalny i dodający otuchy. Z całą energią powróciła więc do taszczenia swych rzeczy w kierunku klatki schodowej. Pochylona pod ciężar torby, mimo woli wypinała swe wciąż jeszcze zgrabne pośladki w kierunku otwartych drzwi pokoju, skąd patrzył na nią Hannibal. Uznała, e warto sprawdzić, czy ten widok wywarł na nim jakieś wrażenie.

Obróciła się i zastygła w miejscu, widząc jego twarz. Niewidzącym wzrokiem patrzył gdzieś przed siebie, a jego wargi wykrzywił zacięty, ponury grymas, którego dotąd u niego nie widziała. Chyba jeszcze nigdy nie był w takim stanie.

Miał zaledwie trzydzieści pięć lat, ale wyglądał na dużo starszego – jak człowiek, który zbyt długo brał na siebie zadania ponad siły. Nieogolony zarost pogłębiał jeszcze to wrażenie, podobnie jak zaczerwienione białka oczu.

Wiadomość o tym, e Trace go szuka, musiała nim wstrząsnąć bardziej, niż się początkowo wydawało.

– Hannibalu, skarbie... – odezwała się cicho, usiłując mo liwie łagodnie wyrwać go z tego stanu otępienia.

Właśnie w takich momentach chciała być z nim całym sercem i szczególnie wyraźnie czuła, e wciąż go kocha. Mimo szpecącej starej blizny, biegnącej przez czoło i powiekę i mocno deformującej mu twarz, wciąż był

bardzo przystojnym męczyzną, twardym i budzącym respekt.

– Hannibalu, skarbie, czy mógłbyś mi pomóc przenieść tę ciężką torbę?

Jeszcze przez bardzo długą chwilę patrzył na nią jak na puste miejsce, po czym nagle ruszył przez próg i mocnym kopnięciem zrzucił torbę ze schodów.

Bez słowa minął zaskoczoną Mattie, zbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz, i poprzez niewielki hotelowy hol wyszedł na ulicę.

Mattie spiesznie ruszyła za nim, uśmiechając się skrycie i z wysiłkiem taszcząc ciężką torbę. Chwilami ciągnęła ją po błocie, niczym dziecinne sanki.

Dobrze jest, kochana, mówiła sobie, idąc za Hannibalem, od którego dzieliła ją ju tylko długość mostu. Na stacji go dogoni i po jakimś czasie wszystko się uło y. Wszystko się uło y...

Czyjaś dłoń uniosła głowę Sam, a potem krawędź pełnego wody blaszanego kubka lekko stuknęła w jej zęby. Zaczęła pić natychmiast, chciwie, łapczywie, wręcz rozpaczliwie. Próbowwała zaspokoić pragnienie, którego jednak w aden sposób nie mo na było ugasić. Kiedy kubek był ju pusty i zniknął

sprzed jej oczu, chciało się jej pić jeszcze bardziej, do szaleństwa. Płacząc, błagała o jeszcze jeden łyk.

Czując wciąż mrowienie w ustach i na języku, opuściła głowę na posłanie, którym była przepocona końska derka, i przymknęła oczy. Potem, niczym przez jakąś óltawą mgłę, patrzyła w górę, na baldachim krzy ujących się nad nią wę owatych gałęzi.

Zaraz... ale czy to na pewno gałęzie! Trzęsąc się jak w febrze i ociekając zimnym potem, Sam wyte ała wzrok i mrugała gwałtownie, eby widzieć wyraźniej. Nie, to nie były gałęzie! Z potwornym przera niem, pomieszany ze wstrętem, zdała sobie sprawę, e ten baldachim, ta wisząca nad nią kopała yje i składa się z tysięcy większych i mniejszych, wijących się i splatających ze sobą wę y! Najmniejsze były cieńsze od jej palca, a największe miały grubość ramienia. Były najró niejsze – czarne, zielone, ólte... a tak e brązowe i srebrnoszare. Wszystkie wiły się, pluły jadem i zwijały na kształt sprę yny, gotując się do ataku. Do rzucenia się na nią.

Wstrząśnięta i sparali owana potwornym strachem, Sam odwróciła głowę i zwymiotowała. Próbowwała krzyczeć, ale ze ściśniętego gardła nie potrafiła wydobyć głosu. Wtedy zemdląa.

Przez jakiś czas była półprzytomna, na granicy snu i jawy. Czasami zdawało jej się, e widzi anioła, ale nie była pewna, czy istnieje on naprawdę, czy te jest tylko wytworem gorączki. Jeśli istniał, to miał ciemną brodę, rysującą się bardzo wyraziście na tle białego anielskiego kołnierza. Dłonie miał

delikatne i chłodne; czuła to wyraźnie, kiedy od czasu do czasu obmywał jej ciało, cierpliwie ścierając pot i wymiociny. Chciała go zapytać, dlaczego nie ma skrzydeł, ale język miała obrzmiały do tego stopnia, e nie byłaby w stanie wyraźnie wymówić nawet jednego zdania. On czasami mruczał coś do siebie, być mo e były to wa ne święte słowa, ale nie mogła ich zrozumieć. Zresztą nie musiała wcale znać anielskiej mowy, by wiedzieć, e próbuje jej pomóc. W jego brązowożłotyach oczach była yczliwość i sympatia, która dodawała jej odwagi.

Ju tylko za to, e jest przy niej, e nie musi umierać samotnie, była tak bardzo wdzięczna, e chwilami musiała mu to okazać. Wtedy chwytąa go za rękę i ze wzruszenia płakała jak dziecko.

W

końcu

przyszedł

dzień,

kiedy

zdała

sobie

sprawę,

e

najprawdopodobniej ju nie umrze. Wcześniej były takie momenty, e marzyła o śmierci – byle tylko ju się więcej nie męczyć, umierając tak wolno i w tak w straszliwych męczarniach. Teraz jednak czuła się wyraźnie lepiej. Nie wymiotowała. Widziała ju normalnie; ółtawa mgła, pojawiająca się przed oczami, ostatecznie znikła. Majaczące nad głową wę owisko te przestało ją straszyć, jako e były to tylko konary i gałęzie drzewa, pod którym została uło ona w prowizorycznej altance, wybudowanej dla osłony przed palącym słońcem. Rozró niała znów kolory, na nowo czuła zapachy. Mrowienie w jamie ustnej ustąpiło, podobnie jak te najgorsze bóle. Tylko pragnienie wciąż jeszcze dokuczało, ale te ju nie tak chorobliwie jak dotychczas. I nie le ała ju naga, tylko przykryta końską derką. Miała te na sobie czyste zapasowe ubranie.

Odetchnęła głębiej raz i drugi i nagle wydało się jej, e czuje smakowity zapach pieczonego mięsa. Ślinka natychmiast napłynęła jej do ust, a ten powrót apetytu te wyraźnie o tym świadczył, e kryzys ju minął.

Za sobą usłyszała głęboki, kojący głos swego anioła:

– Unieś głowę i postaraj się usiąść. – Poczwała jego dłonie delikatnie wślizgujące się pod jej łopatki i pomagające się wyprostować.

Mdły smak lurowatej zupy trochę ją rozczarował. Miała ochotę na prawdziwe mięso, ale podejrzewała, nie bez racji, e jej oładek wciąż jeszcze mógłby mieć kłopoty z jego strawieniem. Nadal była rozpaczliwie słaba; nawet trzymanie blaszanego kubka i przełykanie męczyło ją, odbierało resztki sił.

Zanim dopiła zupę do końca, czuła się ju krańcowo wyczerpana, a osłabione mięśnie dygotały jak w febrze.

Po ostatnim łyku z ulgą opadła na derkę, ociekając potem i cię ko dysząc.

Przymknęła powieki i w tym samym momencie anielska dłoń wilgotną ściereczką otarła jej twarz, usta i brodę, po której spływały niedopite resztki.

Sam uśmiechnęła się i ponownie otworzyła oczy.

– Niech mnie wszyscy diabli! – powiedziała nieco ochryplym szeptem, rozpoznając mę czyzną, który się nad nią pochylał. Była zaskoczona i odrobinę zakłopotana faktem, e to Trace Harden okazał się aniołem. – Myślałam, e zostawiłeś mnie, ebym umarła.

Drgnął gwałtownie, jak człowiek smagnięty biczem. To, e Sam nagle się odezwała, było i dla niego ogromnym zaskoczeniem, najwyraźniej jednak bardzo go to ucieszyło.

Usiadł na ziemi tu przy dziewczynie i przyglądał się jej uwa nie. Gdyby nie te jego charakterystyczne, złotawe tęczówki, Sam w pierwszej chwili mogłaby mieć trudności z jego rozpoznaniem. Gęsta, lekko wijąca się, centymetrowa ju broda i takie wąsy zasłaniały całą dolną część twarzy.

Przyprószone pyłem włosy opadały ciemną falą na czoło i jedno oko.

– Wygląda na to, e ci się udało. – W jego głosie wciąż przebijało lekkie niedowierzenie. – A jeśli tak, to chyba głównie dzięki królikowi... – Musiał

dostrzec, e Sam nie bardzo go rozumie, bo w gęstwie jego zarostu pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. – Przypuszczam, e grzechotnik musiał chwilę wcześniej zabić królika i dopiero potem zaatakował ciebie. Dlatego w jego zębach było w tym momencie mniej jadu.

Sam nie do końca pojęła ten wywód, ale to akurat nie wydawało się jej a tak wa ne. Bardziej poruszyło ją to, e tak bardzo się pomyliła. I wtedy, gdy była absolutnie pewna, e od niej uciekł, zostawiając ją w agonii, i później – tu lekko się zarumieniła – kiedy w gorączce wzięła go za anioła.

– Uratowałeś mi ycie... – szepnęła. Czowała się zbyt słaba, by mówić dalej, więc tylko podniosła wzrok i wpatrywała się w to tak odmienione przez zarost męskie oblicze. We włosach miał pełno kurzu, biała niegdyś koszula była pognieciona i brudna. Nie miał ani marynarki, ani krawata. I – oczywiście! –

skrzydeł.

Mimo wszystko uwa ała go za anioła. Ale jak to teraz miała pogodzić z dotychczasowym przekonaniem, e ten mę czyzna nie mo e być inny ni jego brat? e musi być równie bezwzględny i okrutny?

On tymczasem wykazał się taką troskliwością i opiekuńczością!

– Wieczorem spróbujemy dać ci do zjedzenia coś konkretniejszego –

powiedział. – Duszoną dziczyznę. Zwierzęta przychodzą tu pić do źródła, więc nie ma problemów z ich upolowaniem. – Spojrzał na nią i uśmiechnął się lekko.

– Bo pozwoliłem sobie po yczyć twoją strzelbę.

Mówienie wciąż przychodziło jej z ogromnym trudem, Zło enie całego zdania wydawało się zadaniem ponad siły.

– Jak długo... – odezwała się w końcu. – Jak długo ja...?

– Jesteśmy tu osiem dni.

To, e straciła a osiem dni, było dla niej sporym szokiem, podobnie jak świadomość,

e zawdzięcza

ycie bratu Hannibala Cotwella. Krańcowe

wyczerpanie sprawiało jednak, e pojedyncze myśli wolno snuły się w jej zmęczonej głowie, nie łącząc się w adną zborną całość. Przymknęła powieki i niemal natychmiast zapadła w sen, wciąż jeszcze niespokojny, bo przerywany krótkimi nawrotami słabnącego ju bólu.

Następnego popołudnia mogła ju usiąść o własnych siłach i była w stanie rozmawiać, nie tracąc koncentracji po paru sekundach. Co nie znaczyło, e rozmowa przychodziła jej łatwo. Gdy Harden przysiadł obok, eby w cieniu tego samego drzewa skryć się przed mocno ju palącym słońcem, Sam popatrzyła na niego i nagle się zaczerwieniła, bezwiednie przygryzając wargi.

– Byłam naga przez osiem dni – szepnęła.

Przez cały ranek wciąż na nowo myślała o tym, e Trace Harden mógł

patrzeć na jej nagość, e po kilka razy dziennie obmywał jej ciało. Pierwszą reakcją na tę myśl było gwałtowne oburzenie, poczucie upokarzającej zniewagi.

Jednak e intensywność tych emocji powoli malała, ustępując ostatecznie miejsca poczuciu dość niejasnego i nieokreślonego skrępowania, dla którego nawet trudno było znaleźć odpowiednią nazwę.

Trace przez chwilę milczał, patrząc gdzieś przed siebie, i w końcu powiedział:

– Nie było innej mo liwości, jak rozebrać cię do naga. W ten sposób łatwiej było pilnować, ebyś się nie przegrzała i łatwiej było cię myć i wycierać.

Sam nie potrafiła się powstrzymać od gniewnego westchnienia.

– No có , to znaczy, e znasz ju prawdę. Miałeś rację, utrzymując, e jestem kobietą.

Była czerwona ze wstydu i czuła się tak upokorzona, e w tym momencie nie spojrzałaby mu w oczy za adną cenę – nawet gdyby miały od tego zale eć losy całego świata. A swoją drogą było to szczególne uczucie: mieć świadomość, e jakiś mę czyzna oglądał ją nagą.

Była nie tylko ura ona, ale i nie na arty zaniepokojona – przede wszystkim tym, e teraz nieporównanie łatwiej mo na będzie ją zranić. Nigdy jeszcze nie czuła się a tak bezbronna, zwłaszcza z takiego powodu.

Ten mę czyzna poznał wszystkie jej słabości, widział ją bezradną, płaczącą, absolutnie załamaną. Przez tych osiem dni jej ycie zale ało wyłącznie od niego, a zresztą i teraz sytuacja nie była o wiele lepsza. Trace Harden znał jej najbardziej intymne tajemnice, co w rezultacie nieuchronnie zbli ało ich do siebie – wbrew jej woli, ale te tym silniej. Był to ten rodzaj bliskości, jakiego dotąd nie

zaznała przy adnym innym człowieku.

I było w tym coś, co wydawało się jeszcze bardziej niepokojące. Odkąd wiedziała, e Trace widział ją jako kobietę, zupełnie niespodziewanie sama zaczęła go odbierać przede wszystkim jako męczyznę. I to niezwykle intensywnie. Wdychała ostry zmysłowy zapach, o którym wiedziała, e jest zapachem męczyzny, kątem oka zerknęła na jego zarost, bezwiednie napawała się widokiem kształtnych łydek, dostrzegała pod tkaniną napięte mięśnie ud.

Te na pozór zwykłe spostrzeżenia tylko pogłębiały jej niepokój i powodowały jakieś dziwne wewnętrzne rozedrganie. Przyglądanie się męczyźnie było podniecające, ale te budziło w niej lęk. W jego obecności czuła się jeszcze bardziej niepewna i zakłopotana.

– Je eli mo emy pozwolić sobie na chwilę pogawędki – Harden popatrzył

na nią z ledwie zauważalnym uśmiechem – to przyznam, e jestem bardziej ni ciekaw, z jakiego to powodu tak ładna młoda kobieta nagle bandażuje biust, obcina włosy, ukrywa swoją płeć w męskim przebraniu i jeszcze do tego wszystkiego wybiera dla siebie tak niebezpieczny zawód. Zastanowiła mnie te ta blizna. To wygląda na ślad po kuli, ale chyba sprzed kilkunastu lat?

Trace mówił to lekko, ale przyglądał się jej bardzo uważnie. Sam czuła się jeszcze bardziej skrępowana. Nie odpowiedziała od razu; udała, e strzepuje jakiś pyłek z kolana, poprawiła kołnierz u koszuli, przegoniła natrętną muchę.

– To długa historia – odezwała się w końcu cicho i jakby do siebie.

– Ale wygląda na to, e akurat mamy czas. – Harden uśmiechnął się. –

Nie ruszymy się stąd, dopóki nie odzyskasz pełni sił, a to jeszcze trochę potrwa.

Podał jej manierkę, z której sam upił parę łyków, po czym zwilżył wodą chustkę i otarł nią twarz i szyję. Sam przypatrywała się temu jak zaszarowana, nieprawdopodobnie zafascynowana tym, e pod skórą jego kształtnej szyi delikatnie rysują się ścięgna, e ucho ma taki, a nie inny zarys. Najdrobniejszy ruch jego palców był wart uwagi i wydawał się niezwykle interesujący. To nie było normalne, ale Sam po prostu nie wiedziała, co się z nią dzieje, i nie miała pojęcia, dlaczego tak reaguje.

Walcząc ze sobą, odwróciła w końcu wzrok i nieco zduszonym głosem spytała:

– Czy... czy z końmi wszystko w porządku?

– Jak najbardziej.

– Mają dość wody?

– Tydzień temu była ulewa, więc źródło bije mocno. Sam wiedziała, e mówi to tylko po to, eby w ogóle coś mówić, ale tak naprawdę myśli zupełnie o czym innym. Mo e to działanie jadu wciąż jeszcze tak się przejawiało? Bo dlaczego, na przykład, tak fascynowały ją dłonie jej wybawcy?

Owszem, miał

rzeczywiście długie palce, smukłe i zręczne – jak przystało na mistrza kart – ale dlaczego nagle stały się tak erotycznie kuszące... wręcz zmysłowe? I skąd takie myśli akurat u niej, osoby w końcu rozsądnej, która nigdy dotąd o adnym męczyźnie nie pomyślała, e jest choćby tylko pociągający. A teraz nagle ta sama rozsądna Sam Kincade z niezwykłą ekscytacją wyobra a sobie te dłonie dotykające jej skóry...

Poirytowana własnym niemądrym zachowaniem, wzruszyła ramionami.

Co się, u diabła, nagle z nią dzieje?! Najwy szy czas się opamiętać!

– Chcę cię o coś zapytać... – Starła się mówić jak najspokojniej. – To nie moja wina, e jestem kobietą, w końcu płci się sobie nie wybiera. Ale czy ty...

czy zamierzasz o tym wszystkim powiedzieć?

Harden uniósł brwi i popatrzył na nią z nieukrywanym zaciekawieniem.

– A ty najpierw powiedz mi jedno. Ilu przestępców zdą yłaś ju ująć od chwili, gdy stałaś się łowcą nagród?

– Stu trzydziestu czterech, nie licząc ciebie – odparła z nieukrywaną dumą. – I tylko dwóch musiałam przy tym zastrzelić.

Harden popatrzył na nią, pokręcił głową i się roześmiał.

– I aden z tych bandytów nie zorientował się, e jesteś kobietą? –

zapytał, wciąż uśmiechając się szeroko.

Miał piękne zęby, równe i białe. Podobały się jej – a co gorsza, podobał

się jej równie i ten jego śmiech. Powinna się obrazić, a tymczasem słuchała go z przyjemnością.

– A ty wiedziałaś od razu? – spytała. – I tak bez adnej wątpliwości?

– Podejrzywałem to od pierwszej chwili, gdy tylko cię zobaczyłem.

– No to byłaś wyjątkiem! – fuknęła poirytowana. – Nikt inny się na tym nie poznał, bo ja po prostu jestem bardzo dobra w tym, co robię! I gdyby nie ten głupi wą , ty te siedziałbyś teraz na tyłku w więzieniu w Denver i zastanawiał

się, czy jednak nie jestem męczyzną.

Harden odpowiedział jeszcze szerszym uśmiechem.

– No to całe szczęście, e tych stu trzydziestu czterech ju powieszono, bo gdyby się dowiedzieli, e załatwiło ich takie kobiece chuchro, to chyba by tego nie prze yli!

– Nie jestem adnym kobiecym chuchrem, do cię kiej cholery! –

wybuchła Sam. Szybko jednak zdała sobie sprawę, e akurat w tej chwili mo e rzeczywiście nie jest najsilniejsza, i jej oburzenie od razu przygasło. Dokończyła ju zupełnie innym tonem, pełnym rezygnacji. – Wiedziałam, e kiedyś to się wyda. Będiesz o tym opowiadał, prawda?

Trace zawahał się na moment, potem wzruszył ramionami.

– Zachowam to w tajemnicy.

Sam poczuła ogromną ulgę, ale tylko na chwilę, poniewa zaraz sobie przypomniała, e nie powinna wierzyć komuś takiemu jak Trace Harden. Skoro był bratem Hannibala Cotwella, to te musiał być oszustem, kłamcą, złodziejem, a najpewniej tak e i mordercą. Ale z drugiej strony, jeśli miałyby odmówić zaufania człowiekowi, który uratował jej ycie, choć wcale nie musiał tego robić

– i który w dodatku nie skorzystał z tylu znakomitych okazji do uciezki – no to komu, u diabła, miałyby na tym świecie zaufać? Pocierała czoło, pełna rozterki.

Trzeba by to spokojnie przemyśleć.

– Jestem zmęczona – powiedziała z lekkim ziewnięciem. Przeciągnęła się na derce i odwróciła się plecami do Hardena. Niech myśli, e ona po prostu śpi.

Gdy zastawiona na Hannibala Cotwella pułapka zadziała i zatrzaskną się za nim drzwi więzienia, wtedy jej główny cel zostanie osiągnięty i będzie mogła rozpocząć prawdziwe ycie. Problem polegał jednak na tym, e nie za bardzo wiedziała, jak to prawdziwe ycie miałyby wyglądać. Nie czułaby się dobrze w roli typowej bezbronnej kobiety – tego była absolutnie pewna. Ach, do diabła, gdyby ten Trace nie miał takiego bystrego oka... gdyby tak, jak wszyscy inni, dał się nabrać na jej przebranie. Wtedy byłoby zupełnie inaczej.

Powoli zaczynała przysypiać, ukołysana brzęczeniem much i znu ona popołudniowym upałem, gdy nagle Harden znowu się odezwał, jak gdyby kontynuując przerwana rozmowę.

– Trzeba ogromnej odwagi, eby stawić czoło tak groźnym przestępcom, i niemałych umiejętności, by sobie z nimi poradzić. To, czego dokonałaś, przyniosłoby chlubę niejednemu mę czyźnie, a u kobiety jest po prostu zadziwiające! Jesteś rzeczywiście cholernie dobra! I dlatego... jeśli wolno mi to skończyć bardziej artobliwie, będę bardzo uwa ał, by nie zasiać z tobą do pokera, bo chyba umiesz blefować lepiej ni ktokolwiek.

Taka pochwała była niespodzianką i rozbudziła ją od razu. Poniewa jednak nie słyszała dotąd zbyt wielu komplementów i nie bardzo wiedziała, jak się zachować w takiej sytuacji, postanowiła się nie odwracać i nadal udawać, e śpi. Le ała bez ruchu a do chwili, gdy Harden podniósł się i poszedł do koni.

Jednak to wcale nie uznanie dla jej profesjonalizmu poruszyło ją najbardziej, choć zawsze była na tym punkcie wyjątkowo czuła. Najbardziej zaskoczyło ją inne wypowiedziane przez niego zdanie, które jak echo wciąż powracało w jej podświadomości – „tak ładna młoda kobieta”. Nikt dotąd nie kierował takich słów do Sam Kincade i nawet nie przyszłoby jej do głowy, że ktoś może uważać ją za ładną – a zresztą dotąd wcale jej na tym nie zależało.

Teraz jednak chciała wiedzieć, dlaczego tak się wyraził – czy tylko mu się tak powiedziało, czy to naprawdę tak myślał. Przez chwilę miała nawet ochotę zapytać go wprost, co w niej dostrzegł takiego ładnego?

Och, Boże! Westchnęła w duchu, zdegustowana swymi nierozsądnymi myślami. Była przecie łowcą nagród, a w tym zawodzie uroda liczy się najmniej. Ścigani przez nią bandyci nie starali się być ładni. Tam, gdzie w grę wchodzi przemoc, zemsta i śmierć, nie ma miejsca na myślenie o własnym wyglądzie. Dlatego Sam wcale nie chciała być ładna. Zamierzała być taka jak ci wszyscy faceci, więcej – chciała ich nawet przewyższać we wszystkim.

Powiedziała sobie,

że będzie najtwardsza, najbrutalniejsza, najbardziej podstępna i najszybciej sięgająca po broń – że tak i w tym przewyższy tych wszystkich sukinsynów, których po kolei doprowadzała do więzienia. Na diabła jej do tego uroda? A jednak...

Może mówiąc o tym, że jest ładna, Trace nie miał na myśli twarzy, tylko jej ciało? W końcu przez kilka dni oglądał ją naga, więc mógł sobie wyrobić zdanie na ten temat. Sama nigdy nie widziała rozebranych kobiet, nie miała więc porównania – czego zapewne nie można było powiedzieć o Hardenie.

Jak w jego oczach wypadła w zestawieniu z innymi? Bo w końcu nie można było wykluczyć, że rzeczywiście miała ładne ciało i że on to właśnie miał na myśli. Gdyby można było wymyślić jakiś sposób bez pytania go o to wprost...

Westchnęła cicho i wtuliła rozgorączkowaną głowę w szorstką tkaninę końskiej derki. Nigdy dotąd nie była w tak wielkiej rozterce. Jeśli bycie kobietą miało się stale wiązać z takimi emocjami, to miała świętą rację, nie chcąc przyznawać się do swojej płci.

Opóźnienie związane z rekonwalescencją Sam zwiększało się coraz bardziej i ta przymusowa bezczynność denerwowała Trace'a Hardena niemal tak, jak denerwuje swędzące miejsce, którego człowiek nie może sięgnąć.

Wszelkie ślady po Mattie Able dawno już się zatarły, tak więc – chcąc nie chcąc

– coraz bardziej skłaniał się do zaakceptowania planu sędziego Mocktona i wystąpienia w roli przynęty, ponieważ w tej sytuacji wydawało się to najszybszym i najpewniejszym sposobem pochwylenia Hannibala i doprowadzenia do tego, by zapłacił za zbrodnię... i zdradę.

Odłożył na bok czytany dla zabicia czasu tom Woltera i zapytał:

– Jak wiarygodny jest sędzia Mockton?

– W jakim sensie? – Siedząca u wejścia do altanki Sam obróciła się i spojrzała na niego.

– W sensie gwarancji dla nadstawianego przeze mnie karku. Je eli dobrze zrozumiałem
przedstawiony

przez

ciebie

plan,

konieczne

będzie

przeprowadzenie zainscenizowanego procesu sądowego, na którym musiałbym zostać skazany na śmierć. Taki werdykt byłby, oczywiście, z góry przesądzony.

Otó ... – Trace podszedł bli ej i stanął tu obok – ... otó niepokoi mnie całkiem powa nie taka mo liwość, e mnie tam naprawdę powieszą. Deklarowałem co prawda, e chętnie będę z wami współpracował, ale nie mogę tu nie zaznaczyć, e jednak tylko do pewnych granic.

Oparta plecami o siodło Sam wpatrywała się w rozciągające się przed nią zielone morze bujnie rozkwitłych, kołysanych wiatrem chwastów. Obróciła się, przez chwilę ukazując rozmówcy swój czysty młodzieńczy profil, ostro rysujący się na tle błękitnego nieba.

– Nikt cię nie powiesi – obiecała. – Daję ci na to moje słowo. Trace przypatrywał się jej uwa nie.

– Wygląda na to, e będę musiał polegać tylko na nim.

– Ja zawsze dotrzymuję słowa, to jest dla mnie kwestia honoru. –

Popatrzyła mu prosto w oczy. – Wiem, na początku sama mówiłam ci, e cię powieszą, ale to było tylko po to, eby cię nastraszyć. Nasz plan tego nie przewiduje, chyba e udowodniono by ci jakąś zbrodnię. A skoro jesteś pewien, e nie masz nic na sumieniu, mo esz być absolutnie spokojny, e nic ci się nie stanie.

– Były co najwy ej jakieś karciane drobiazgi, a i to wiele lat temu.

Sam skinęła głową.

– No więc nie masz się czego obawiać. A poza tym sędzia Mockton nie skazałby na śmierć człowieka, który uratował ycie jego jedynej krewnej.

– Ach, więc jesteś jego krewną? – Harden pokiwał głową. – No to wreszcie rozumiem, jak to się stało, e kobieta mogła zostać łowcą nagród.

– Mylisz się – odparła Sam. – Sędzia Mockton jest co prawda bratem mojej babki, ale wcale nie wie o tym, e jestem kobietą. Kiedy ni stąd, ni zowąd zgłosiłam się do niego, prosząc o tę pracę, byłam w męskim przebraniu i podałam się za mojego zmarłego brata Samuela, którego imię w skrócie brzmi tak samo jak moje. Tak więc sędzia od początku był przekonany, e jestem męczyzną, ale i tak dał mi tę pracę dopiero po wielkich prośbach i błaganiach. I choć rzeczywiście jesteśmy spokrewnieni, nigdy te nasze więzi nie były zbyt bliskie. Gdybym wpadła w jakieś powa ne tarapaty, sędzia pewnie próbowałby mi pomóc, ale potem musiałabym mu się odwdzięczać przez całe ycie.

– I on nie dostrzegł tego, e jesteś kobietą?

– Nigdy.

Harden pokiwał głową. Teraz, zwłaszcza po tym, jak widział ją nagą, wydawało mu się wręcz nieprawdopodobne, e ktoś mógł się dać nabrać a tak dalece. Zapomniał ju , e na początku sam miał w tym względzie spore wątpliwości. Teraz niemal wszystko w niej wydawało mu się bardzo kobiece, poczynając od wzruszająco drobnych nadgarstków i kostek nóg, a po pełne zmysłowe usta i zachwycającą linię szyi. Uwolniony od krępujących banda y zgrabny młodzieńczy biust wdzięcznie się rysował pod cienką tkaniną koszuli, zwłaszcza w podmuchach preriowego wiatru.

Powolna rekonwalescencja odsłoniła w niej wiele zdecydowanie kobiecych cech, których z pewnością nie zamierzała ujawniać, występując jako twardy łowca nagród, Sam Kincade. Z prawdziwym zaciekawieniem obserwował te przebłyски zupełnie innej osobowości, tę niespodziewaną miękkość i delikatność ruchów, zachowań, uśmiechu. Na chwilę stawała się taką kobietą, jaką pewnie mogłaby być, gdyby ycie nie potraktowało jej a tak bezwzględnie. W takich momentach była naprawdę wzruszająca i Trace Harden, chcąc nie chcąc, musiał przyznać, e jej urok działa niezwykle mocno i e dla niejednego męczyzny mogłaby być godna po ądania.

Czy dla niego równie ? Pewne symptomy wskazywały, e tak, choć wcale nie miał na to ochoty. Zmarszczył czoło i odwrócił od niej wzrok. Od najwcześniejszych lat był otoczony przez olśniewająco piękne kobiety, najpierw w kasynach i hotelach ojca, a potem ju w swoich własnych. To były kobiety, które zawsze doskonale wiedziały, jaką siłą mo e być ich uroda, piękna twarz i zachwycające ciało. Które potrafiły umiejętnie podkreślać swe wdzięki najmodniejszymi strojami z atlasu, jedwabiu i koronek, wymyślnymi fryzurami i noszonymi od niechcienia kosztownymi drobiazgami. Ten wzorzec kobiecości bardzo mocno odcisnął się na dokonywanych przez niego wyborach.

Tak więc nigdy w yciu nie przyszłoby mu nawet do głowy, e mogłaby go pociągać kobieta tak dalece zaprzeczająca temu wszystkiemu, co u przedstawicielek tej płci przywykł uwa ać za atrakcyjne i godne po ądania. e mogłaby go zainteresować kobieta wręcz programowo grubo ciosana, z obciętymi po męsku włosami, manierami kowboja, niewyparzoną językiem i niegodnym damy nawykiem patrzenia rozmówcy prosto w oczy. Sam właściwie nie miała ani jednej z tych cech, które dotąd uwa ał za istotę kobiecego wdzięku. I mo e dlatego w jakiś sposób była dla niego zagadką – jak nowa talia kart. Była na tyle intrygująca, e zaczynała go fascynować.

Wciąż siedziała z twarzą zwróconą w stronę rozkołysanej wiosennym wiatrem zielonej prerii, ale nie patrzyła ju na jej wspaniałe dzikie kwiaty, tylko gdzieś poza horyzont. Nie odwracając się, zaczęła mówić cichym głosem, jak gdyby na wpół do siebie:

– Gdy miałam jedenaście lat, pojechałam wraz z mamą do lokalnego aresztu w Cottonwood, gdzie mój tata miał biuro, bo był tam szeryfem. Mama miała dostarczyć kolację jednemu z zatrzymanych, tata ją o to poprosił. Był

bardzo dobrym szeryfem, postrachem przestępców, a wtedy było o nim szczególnie głośno, bo aresztował jednego z członków bandy, która obrabowała bank. Bardzo kochałam mojego tatę...

Umilkła nagle, ale ju po chwili ciągnęła:

– Uwielbiałam go i bardzo chciałam być taka jak on. To tata nauczył mnie łapać ryby, jeździć konno i nawet strzelać. Uczył mnie te myśleć. On i mama czasami się spierali, czy to dobrze, e tata wychowuje mnie całkiem tak samo jak Samuela, mojego braciszka, który potem umarł.

Pochyliła się do przodu, jak gdyby z jakiegoś powodu wołała w tym momencie patrzeć w ziemię. Trace te musiał się pochylić, eby ją słyszeć, bo nadal mówiła bardzo cicho.

– Kiedy przyjechałyśmy, taty jeszcze nie było, razem z zastępcą byli gdzieś w mieście. I kiedy tam czekałyśmy, Hannibal Cotwell z dwoma innymi członkami bandy odstrzelili zamki, wywa yli drzwi i uwolnili swego aresztowanego kompana. Wszyscy byli pijani. – Podniosła wzrok i znów patrzyła gdzieś w przestrzeń. – Potem Hannibal i jego dwaj ludzie gwałcili moją matkę na biurku ojca, a ja musiałam na to patrzeć. Kiedy ju było po wszystkim, matka zsunęła się na podłogę. Le ała tam, szlochając i powtarzając co chwila, e chciałaby umrzeć... – Sam skuliła ramiona i gwałtownie wciągnęła powietrze, jak gdyby nagle zabrakło jej tchu. – Więc Hannibal ją zastrzelił. Trace słuchał

tego ze skamieniałą twarzą. Nie odezwał się nawet słowem, kiwnął tylko głową.

Opowieść była tym bardziej okrutna, e Sam relacjonowała to wszystko pozornie spokojnie i bardzo rzeczowo, ograniczając się do podstawowych faktów. Jedyne w głosie dziewczyny chwilami przebijało wewnętrzne rozdygotanie.

– Kiedy mama umierała, przysięgłam jej, e ją pomszczę...

– Jesteś pewna, e tym bandytą był właśnie Hannibal? – zapytał Trace.

Czuł się wyjątkowo podle; było mu wstyd, e odruchowo wciąż jeszcze broni brata, tak jak gdyby rzeczywiście chciał twierdzić, e Hannibal nie mógł

popęlnić czegoś tak potwornego.

Sam podniosła głowę, a jej oczy zabłyśły.

– Przez cały czas patrzył na mnie, kiedy gwałcił moją matkę! – Jej głos przez moment był bliski krzyku. – I je eliczegoś jestem w yciu pewna, to tego, e to był on! Hannibal Cotwell! Nigdy nie

zapomnę tych jego oczu! A potem, kiedy zabił moją matkę, strzelił do mnie. – Bezwiednie dotknęła starej blizny przez cienką tkaninę koszuli. – I je eli prze yłam, to na pewno nie dlatego, e nie chciał mnie zabić, ale dlatego, e strzelał po pijanemu.

Podniosła się i stała tak przez chwilę, odruchowo zaciskając pięści.

– Mój ojciec nigdy sobie nie darował tego, e nie było go tam wtedy i e nie był dość przewidujący, by zostawić w biurze przynajmniej zastępcę. Winił

siebie za śmierć matki. Trzy miesiące później poszedł na cmentarz, poło ył się między grobem mojego wcześniej zmarłego braciszka Samuela i grobem mojej matki i strzelił sobie w głowę. Ludzie mówili potem, e zrobił to, poniewa ją kochał... jak gdyby to samobójstwo było czymś romantycznym i godnym podziwu, jak gdyby zrobił coś, co był jej winien. Ale co był winien, do cholery?! Co jej to mogło pomóc, skoro ju nie yła?! I dlaczego w ogóle nie pomyślał o mnie?!

Jej oczy były pełne bólu.

– Czy to rzeczywiście romantyczne i godne podziwu, e zostawił mnie samą jak palec? Czy nie miał obowiązku yć? Dla mnie? Na to, e zostałam ranna, nikt właściwie nie zwrócił uwagi, tak jak i na to, e bandyci z całą pewnością zgwałciliby tak e i mnie, gdyby nie to, e wzięli mnie za chłopca, bo akurat miałam na sobie kombinezon do łowienia ryb. Tak strasznie potrzebowałam kogoś, kto zaopiekowałby się mną kto powiedziałby mi, dlaczego to wszystko...

– Posłuchaj, Sam...

– To dlatego tak nienawidzę Hannibala. To dlatego nie spocznę, dopóki nie zapłaci za swe wszystkie zbrodnie! Za to, e zniszczył moją rodzinę i e zrobił to tak bestialsko, a jednocześnie tak... lekcewa ąco, tak prawie od niechcienia. Zało ę się, e on dziś tego nawet nie pamięta! Zgwałcił, a potem zastrzelił moją matkę i nawet nie wiedział, jak się nazywała! Nie obchodziło go to, e Jenny Kincade była bardzo dobrym człowiekiem, e była yczliwa i miła dla wszystkich, podobnie jak nie obchodziło go, e była delikatna i nieśmiała, e czytała Woltera i Rousseau czy te e grała na fortepianie... Zabił ją, a mam pełne prawo powiedzieć, e tak naprawdę zabił również mojego ojca, bo to przecie Hannibal doprowadził go do samobójstwa. Zniszczył nas wszystkich!

Trace długo milczał, nie znajdując słów. W końcu zapytał:

– A co stało się z tobą później?

– Zostałam nagle zupełnie sama. O tym, e sędzia Mockton jest moim krewnym, dowiedziałam się dopiero wiele lat później, gdy przypadkiem natrafiłam na pakiet listów mojej zmarłej babki. Ale wtedy, zaraz po tych strasznych wydarzeniach, nikt w miasteczku nie słyszał o tym, ebym miała jakichś bliskich, tote przygarnęli mnie pastor Moss i jego ona. Tak naprawdę wcale tego nie chcieli, ale zdawali sobie sprawę, e wyglądałoby to nie po chrześcijańsku, gdyby nie okazali miłosierdzia i pozwolili mi umrzeć z głodu na ulicy. Wzięli mnie więc do swego domu, dzięki czemu mieli nie tylko darmową słu ącą, ale i kogoś, kogo mogli z wysoka pouczać i besztać za niezadowolającą pilność i niedostateczną pokorę. Ja w zamian miałam jakieś jedzenie i dach nad głową. – Sam lekko wzruszyła

ramionami. – W sumie więc jakoś na tym skorzystały obie strony. Poza tym to, czy byłam wykorzystywana, czy nie, nawet ju wtedy nie było dla mnie najwa niejsze. Przysięgłam sobie, e jedynym celem mojego ycia będzie odpłacenie Hannibalowi Cotwellowi za wszystko, co zrobił. Nienawiść do niego i nadzieja zemsty pozwalały mi wytrwać przez te wszystkie lata u pastora Mossa i jego ony, a potem zdecydowały o tym, e postanowiłam zostać łowcą nagród. Ten zawód dawał

mi największe szanse, jeździłam od osady do osady, od miasta do miasta, tropiąc przestępców, ale tak naprawdę szukałam tylko jego. I wciąż jest tak samo. To ta nienawiść i nadzieja ciągle trzymają mnie przy yciu. I wiem, e nie zaznam spokoju a do dnia, kiedy będę mogła wreszcie spluć na jego grób! – Sam zamilkła i oddychając cię ko, znów patrzyła gdzieś w dal, ponad prerię.

Mogłoby się wydawać, e rzeczywiście tylko te emocje kształtowały ją przez lata i doprowadziły do tego, e była tym, kim była. Ale dramatyczne wydarzenia ostatnich dziesięciu dni sprawiły, e Trace, nawet znając ją tak krótko, zdą ył zajrzeć głębiej do jej duszy i zobaczyć to, co Sam Kincade ukrywa, mo e tak e i przed sobą samą. Zdą ył dostrzec kobietę wciąż bardzo młodą, niezwykle wra liwą i głęboko zranioną przez ycie. I ogromnie przez to samotną.

Nie znalazł słów, które warte byłyby wypowiedzenia w takim momencie.

Dotknął tylko jej ramienia, bardzo lekko, jakby próbował dodać jej otuchy.

Potem usunął się dyskretnie i poszedł zająć się końmi.

– Noga wciąż mnie jeszcze boli i jest odrętwiała – powiedziała Sam następnego dnia wieczorem, gdy zabijali czas grą w karty. – Ale boli czy nie boli, jestem pewna, e jechać konno ju mogę. Tak więc jutro rano ruszamy. A co do twojego fula, to... – Jeszcze raz sprawdziła karty, odchylając się w stronę ogniska, eby lepiej widzieć – ... to chyba zda się psu na budę, bo ja mam karetę siódemek! – Roześmiała się triumfalnie.

– A niech to diabli! – burknął Harden, patrząc, jak Sam przesuwa ku sobie kolejną kupkę kamyków, zastępujących im sztony. – Mówiłem, e nie nale y siadać z tobą do pokera!

Powiedział tak rzeczywiście i, jak się niebawem okazało, miał całkowitą rację. Sam była urodzonym graczem, miała naturalne predyspozycje i w razie potrzeby twarz równie nieruchomą jak wietrzejąca na prerii samotna skała.

– Gdybyśmy grali na prawdziwe pieniądze, ju byłbyś mi winien ponad dwieście dolarów – prychnęła z nieukrywaną satysfakcją. – No to tasuj! Na co czekasz?

– Nie będę dalej grał z kimś, kto ma takie nieludzkie szczęście –

powiedział Harden z teatralnie zgnębiałą miną. – O takiej passie mniej szczęśliwi gracze mogą tylko marzyć!

– Mniej szczęśliwi, akurat! – Oczy Sam błyszczały, a jej roześmiana buzia stała się jeszcze bardziej młodzieńcza i jeszcze ładniejsza. Prawdę mówiąc, była wręcz zachwycająca. – Tu nie ma mowy o adnym szczęściu, kłopot tylko w tym, e nikt mi nie uwierzy, i ograłam samego Trace’a Hardena.

I to w absolutnie uczciwej grze!

– Bo myślałem o czym innym – burknął i sięgnął po kubek z kawą.

– No pewnie! – Roześmiała się drwiąco. – Ale je eli nie stać cię na lepsze usprawiedliwienie, to dlaczego nie spróbowałaś dopomóc szczęściu i nie potasowałaś kart tak, eby wszystkie asy były u ciebie? Przecie wiem, e to potrafisz, widziałam, jak karty cię słuchają.

– Ju ci mówiłem, e nigdy nie oszukuję. – Trace wciąż przekładał gorący kubek z ręki do ręki. – A je eli ju chcesz wiedzieć, to myślałem o Hannibalu.

Sam wyprostowała się. Jej twarz od razu spowa niała.

– Właśnie się zastanawiałam, kiedy ty opowiesz mi swoją historię.

Wiedziała, e to nie był zdawkowy wykręt i e on o Hannibalu musiał

myśleć równie często jak i ona... i e z całą pewnością nie były to pozytywne myśli. Ale wciąż nie wiedziała, co między nimi zaszło.

Dopiero po dłu szej chwili Trace zaczął mówić.

– Gdy Hannibal miał cztery lata, umarł mu ojciec. Matka wkrótce ponownie wyszła za mąż i z tego drugiego mał eństwa urodziłem się ja, rok później.

– Gdzie?

– Mój ojciec był właścicielem kilku kasyn i hoteli w Nowym Orleanie.

Mieliśmy piękną wiejską rezydencję o nazwie Pięć Dębów, nad samym jeziorem Pontchartrain, i drugi dom w mieście, w ekskluzywnej Dzielnicy Francuskiej.

Kiedy byliśmy dziećmi, Hannibal i ja, mieszkaliśmy w mieście właściwie tylko podczas chłodnej pory. Przez resztę roku buszowaliśmy po pełnych zwierzyny i ptactwa leśnych moczarach na obrze u jeziora. Wiedzieliśmy, gdzie w porze godowej ryczą miejscowe jelenie, ale wiedzieliśmy te , gdzie słynny w Nowym Orleanie monsieur La Bouge przywozi swe luksusowe kochanki Mulatki o skórze koloru kawy z mlekiem. Jak wszyscy chłopcy, wyrastaliśmy tam, gdzie nas nie posiali.

Wspomnienia z dzieciństwa miały niezwykłą siłę; dawne wydarzenia o ywały w pamięci ze zdumiewającą wyrazistością. Harden znów widział siebie w dzieciennym pokoju, który dzielił z Hannibalem. Przypominał sobie zarówno niewinne chłopięce figle, które płatali wyrozumiałym słu ącym w Pięciu Dębach, jak i nieco ju powa niejsze wybryki, kiedy to w Nowym Orleanie, zazwyczaj ju po uło eniu ich do snu, wykradali się chyłkiem, eby na własną rękę zwiedzać to niezwykle miasto, podglądać jego nocne ycie, bardzo grzeszne, a więc pełne atrakcji. Trace ju wtedy miał niezwykle nosa i z tysiąca miejskich zakamarków potrafił bezbłędnie wybrać akurat to jedno miejsce, gdzie działały się rzeczy najciekawsze i – oczywiście – dla chłopców w ich wieku zakazane.

Ale kiedy ich na tym przyłapywano, tylko Hannibal był karany i tylko on ponosił konsekwencje.

Trace zamyślił się i dopiero po dłuższej chwili mówił dalej:

– To okropne uczucie, wiesz? – powiedział, patrząc na Sam. – Jak zresztą i ta cała sytuacja, kiedy się jest faworyzowanym synem. Czujesz się naprawdę podle, widząc, jak ten drugi jest bity za twoje przewinienia. Jak za małe dziecinne zbrodnie karany jest jak dorosły. A tak właśnie było, ponieważ mój ojciec nienawidził Hannibala. Nigdy nie wiedziałem dlaczego i dopiero ostatnio, po paru dziesiątkach lat, przypadkowo odkryłem prawdopodobny powód tej nienawiści. W rzeczach, które pozostały po mojej zmarłej matce, odkryłem przechowywaną przez nią miniaturę, portret jej pierwszego męża. Był tak bardzo podobny do Hannibala, a mój ojciec nie mógł tego nie widzieć! Tak więc mój przyrodni brat na przestrzeni tych lat był dla niego nieustannym przypomnieniem człowieka, którego Charles Harden nienawidził najbardziej na świecie.

Z zachowanych w pamięci niezliczonych przykładów, które mogły unaocznić przerażające efekty tej niepohamowanej nienawiści, Trace wybrał

ten, który – jego zdaniem – najpełniej oddawał całą sytuację.

– Kiedy miałem szesnaście lat, a Hannibal kończył dwadzieścia jeden, zastawiliśmy w lombardzie srebrne łyeczki naszej matki i z uzyskanymi za nie pieniędzmi poszliśmy do salonu gry, z naiwną wiarą, a zdobędziemy w ten sposób fortunę. Do kasyn należących do mojego ojca, oczywiście, nie byliśmy wpuszczani, tak a i dlatego, a nie czytała sobie tego nasza matka. Mieliśmy natomiast nadzieję, a w salonach konkurencji nikt nas nie rozpozna. Myliliśmy się jednak. Wkrótce pojawił się mój ojciec, zabrał nas obu, ale tylko Hannibala kazał przywiązać za ręce do belki werandy. Batem z byczej skóry oćwiczył go tak, a... – Trace urwał i potrząsnął głową, nie umiejąc znaleźć słów dla oddania całego okrucieństwa tej kary. – Jego plecy były jedną wielką raną, a blizny po tym biciu Hannibal wciąż jeszcze nosi i będzie nosił a do końca życia.

– A co ojciec zrobił z tobą? – spytała Sam.

– Nie tylko nie zostałem ukarany, ale nawet doczekałem się uznania i pochwały. Bo gdy chodziło o mnie, ta zabawna w gruncie rzeczy eskapada, zdaniem mego ojca, dowodziła tylko tego, a jestem jego nieodrodnym synem i a w przyszłości tak a i ja będę odnosił sukcesy na tym polu, na którym on zdołał ju tyle dokonać. Gry hazardowe były więc moim przeznaczeniem.

Wtedy powiedziałem mu, a to ja ukradłem łyeczki i namówiłem brata, eby mi towarzyszył, a to ja nakłaniałem go do nieposłuszeństwa i zlekceważenia rodzicielskich zakazów. Nieważne, czy to prawda, bo prawda nie miała tu znaczenia. Za to samo wykroczenie Hannibal został zbity tak, a omal nie został

kaleką, mnie natomiast dostały się tylko nagrody, matczyne uściski i niekłamana ojcowska duma. I tak było właściwie przez całe nasze dzieciństwo. – Trace zamilkł, a potem dodał: – Hannibal miałby pełne prawo znienawidzić mnie za to faworyzowanie przez ojca, ale nigdy mnie za to nie winił.

O tym, a on to wydarzenie powa nie wtedy odchorował, Trace ju nawet nie wspomniał. I a jeszcze

długo po tym co noc śniły mu się koszmary, w których słyszał wciąż krzyk bitego brata.

– Hannibal nigdy tego nie rozumiał – kontynuował po chwili. – Kto zresztą mógłby to zrozumieć? Na pewno nie dzieci, którymi jeszcze wciąż byliśmy. On w każdym razie rozpaczliwie próbował zadowolić ojczyma, próbował daremnie przez wiele lat. W końcu jednak, co zrozumiałe, dał za wygraną.

Był bity od wczesnego dzieciństwa, a to, co się stało tamtego dnia, ostatecznie przepełniło czarę. Gdy plecy wygoiły mu się już na tyle, mógł się obejść bez laudanum i chodzić bez pomocy laski, któregoś dnia pobił swego krzywdziciela, tak brutalnie i okrutnie, że mój ojciec przez kilka dni był bliski śmierci. A Hannibal uciekł z Nowego Orleanu i przyłączył się do konfederatów, ale parę miesięcy później zdezerterował. Nigdzie nie mógł znaleźć dla siebie miejsca.

– Biedny Hannibal – powiedziała Sam z jadowitym sarkazmem. –

Strasznie mu współczuję!

Trace popatrzył na nią i pokiwał głową.

– Zawsze są jakieś powody, dla których ludzie stają się tacy, a nie inni –

rzekł. – Czy ty, na przykład, możesz być pewna, że nie jeździsz po najbliższych stanach w męskim przebraniu jedynie dlatego, że w dzieciństwie bardzo chciałaś być zaakceptowana przez ojca, a on pragnął mieć syna? Czy na pewno jeszcze i dziś nie usiłujesz być tym synem? A może wciąż chowasz się w te spodnie i kowbojskie bluzy, bo kiedyś męskie przebranie uratowało cię przed zgwałceniem?

– Przestań, Harden! Zamknij się, do wszystkich diabłów!

– Może Hannibal gwałcił kobiety, żeby ukarać swoją matkę, która nigdy go nie obroniła przed biciem? Może zabija męczyzn, bo czymś tam przypominają mu Charlesa Hardena? Przestał czuć po ludzku i przestał

współczuć komukolwiek, jeszcze zanim ty przyszłaś na świat. Bicie w końcu zniszczyło w nim wszystkie dobre odruchy. A bity był tylko dlatego, że był zbyt podobny do swego ojca. Nigdy nie czuł się kochany, zawsze go odtrącano i poniżano. To nie jest usprawiedliwienie, ale to jednak wiele wyjaśnia...

Nie zdołał dokończyć. Zaskakująco twarda pięść Sam trafiła go w podbródek zbyt szybko, by zdążyć zareagować w gęstniejących ciemnościach, ledwie rozświetlanych paroma płomykami dopalającego się ogniska. Cios zwałił

go ze sporego kamienia, na którym siedział, zimna już kawa wylała mu się na spodnie i koszulę. Odruchowo dotknął podbródka i sprawdził językiem, czy wciąż jeszcze ma wszystkie zęby.

– Nie wa mi się nigdy bronić Hannibala Cotwella, ty sukiny! –

wrzaszęła Sam, stając nad nim i trzęsąc się z wściekłości. – Nic mnie nie obchodzi, co działo się z

tym nieludzkim potworem, kiedy był mały. Obchodzi mnie to, co działo się ze mną, kiedy ja byłam dzieckiem! Nie mam ochoty słuchać o tym, jak to ty w stosunku do niego czujesz się winny, i nie chcę żadnych usprawiedliwień dla tej bestii, nawet jeśli jest twoim bratem! To najpodlejszy i najnikczemniejszy człowiek na tej ziemi i wcale mnie nie wzrusza to, w jaki sposób do tego doszedł! Chcę tylko, eby zdechł! I eby go ziemia pochłonęła, bo nie ma prawa po niej chodzić!

Rozwścieczona Sam usiłowała go jeszcze kopnąć, ale Trace był już na to przygotowany; w odpowiedniej chwili chwycił ją za kostkę i pociągnął tak, e w jednej chwili znalazła się na ziemi, a on był nad nią i trzymając ją za nadgarstki, przygniatał ją całym ciałem, nie pozwalając się podnieść.

– Posłuchaj mnie i przestań się tak wyrywać – rozkazał, starając się nad sobą panować. Jego oczy płonęły, usta były tu tu nad jej twarzą, a oddech gwałtownie przyśpieszył. – Powiedziałem ci już, e chcę śmierci Hannibala nie mniej niż ty! Przez lata broniłem go, wynajdywałem usprawiedliwienia, starałem się nie widzieć tego, co samo rzucało się w oczy. Wciąż usiłowałem w nim widzieć tego małego chłopca, którym był, i nie przyjmowałem do wiadomości, e dawno już dorósł i stał się zupełnie kimś innym. I to był mój zasadniczy błąd. Czy to chciałaś ode mnie usłyszeć? e teraz już wiem, równie dobrze jak ty, i potem stał się potworem, wcieleniem zła? No więc tak, tak właśnie myślę. I tylko ałuję, e zrozumiałem to zbyt późno!

Sam wciąż się szarpała, usiłując wyrwać się spod niego, przez co ich ciała stykały się ze sobą coraz mocniej. Trace czuł między udami jej sprężyste nogi.

Jej oddech był gorący, jej usta coraz bliżej.

– Sam, posłuchaj e mnie wreszcie, a mo e zrozumiesz, e mówię szczerą prawdę! – wykrzyknął, niemal wprost do jej ucha. – Hannibal niedawno zgwałcił moją ońę! Więził ją u mnie w domu podczas mojej nieobecności, kiedy załatwiałem sprawy spadkowe po zmarłej matce. Odesłał całą słu bę i przez dwa tygodnie gwałcił Ette, groząc, e ją zabije. Gdy moja ona zorientowała się, e jest z nim w ciąży, popełniła samobójstwo. Powiesiła się!

Teraz pojmujesz?

Sam przestała się wyrywać i nagle znieruchomiała. Nie widziała wyrazu jego oczu, bo było zbyt ciemno, słyszała tylko nabrzmiały emocją głos.

– Tak więc dla tego, co zrobił mój brat, tak e i w moim przypadku nie ma wytłumaczenia, nie ma usprawiedliwień. I nie mo e już być mowy o przebaczeniu. Musi zapłacić za to, co zrobił. Musi!

Przekreślił się, uwalniając spod siebie Sam, i drącymi rękami wyciągnął z kieszeni po egnalny listony. Podając go do przeczytania, rzekł z jawną goryczą:

– Etta nie była tak ślepa jak ja. Od początku czuła, e Hannibal jest z gruntu zły i e mo e być niebezpieczny. Ale ponieważ nalegałem, zgodziła się go przyjąć w naszym domu, który w moim naiwnym zamyśle miał się stać dla niego bezpieczną przystanią. I w rezultacie za tę moją niewybaczalną ślepotę zapłaciła własnym

yciem. – Harden ukrył twarz w dłoniach, usiłując zapanować nad sobą. – Moja ona wolała śmierć od ycia z dzieckiem gwałciciela... mojego brata, którego ja tak broniłem do ostatniej chwili. To wszystko tam jest, w tym liście, który napisała tu przed śmiercią i zostawiła pod ślubną obrączką. Papier ju jest mocno zniszczony, tyle razy to czytałem...

Jeszcze raz spojrział na list, który zostawiał w rękach Sam, a potem chwiejnym krokiem ruszył gdzieś przed siebie. Chciał być sam ze swoim bólem.

Patrząc w ślad za nim z rosnącym współczuciem, Sam podeszła do ogniska i dorzuciła trochę suchych gałęzi, by paliło się jaśniej. Trzy strony listu Etty Harden w znacznym stopniu potwierdzały to, co usłyszała. Na początku był

szczegółowy opis wydarzeń, poczynając od momentu, kiedy Hannibal groźbą u ycia no a zmusił ją do odprawienia słu by. Gdy ju nikt nie mógł stanąć w jej obronie, zgwałcił ją. Potem gwałcił ją jeszcze wiele razy, nie bacząc na to, e mocno krwawiła i błagała o litość. I to powtarzało się ka dego dnia. Prosiła go, by miał wzgląd na brata – którego przecie zawsze kochał – i przypominała mu niezwykłą wierność i lojalność Trace’a, który wciąż o nim pamiętał, nawet wtedy, gdy wszyscy inni zapomnieli. Ale Hannibal tylko się śmiał, bił ją tym okrutniej i groził, e zabierze ją tam, gdzie Trace ju jej nigdy nie znajdzie. Gdy płakała, mówiąc mu, e boi się zajścia w cią ę, własnej hańby i niesławy, jaką nieuchronnie musiało to ściągnąć na jej ukochanego mę a, pobił ją jeszcze mocniej i wyśmiał jej obawy. Jego zdaniem, Trace był tak naiwnie ufny i głupi, e nawet by mu nie przyszło do głowy, i dziecko nie jest jego.

Na ostatniej stronie listu Etta błagała mę a, eby jej wybaczył, e nie ma dość odwagi, by dalej yć i wciąż na nowo samym swoim istnieniem przypominać mu o podłości i zdradzie, jakiej dopuścił się jego brat. Przepraszała za to, e nie starczy jej sił, by radzić sobie z pamięcią o tym wszystkim, co się stało, i e woli ju śmierć od hańby. A potem szczególnie mocno prosiła Trace’a, eby jednak wybaczył bratu gwałt i jej śmierć. I by nie ścigał go jak wściekłego psa, nawet jeśli na to zasłu ył. By go nie zabijał – mimo wszystko.

Sam zmarszczyła czoło, zastanawiając się przez chwilę, a potem jeszcze raz przeczytała cały list od początku. Później odło yła go na kamień i – eby wiatr go nie porwał – przycisnęła drugim kamieniem.

Zamyśliła się głęboko.

List wydał się jej równie zabójczy jak arszenik. Jego autorka z całą pewnością musiała sobie zdawać sprawę, e to, co napisała – bardzo umiejętnie dobierając słowa i sposób relacji – nieuchronnie popchnie Trace’a do szukania zemsty. Wiedziała, e po przeczytaniu tego listu mą nie spocznie, póki nie zabije Hannibala, nie zwa ając na dodaną na końcu prośbę o miłosierdzie dla winowajcy.

Sam nie wierzyła w szczerłość tej prośby. Jej zdaniem, Etta Harden chciała, by Hannibal zginął z ręki jej mę a. Ta chęć przebijała nawet w zakończeniu, choć słowa były tam tak łagodne i wzywały do przebaczenia.

Sam bynajmniej nie miała za złe tej kobiecie, e tak bardzo pragnęła śmierci Hannibala Cotwella. Podwójna zbrodnia, jakiej dopuścił się wobec brata i szwagierki, wręcz wymagała krwawego

odwet. Ale sposób, w jaki Etta starała się manipulować postępowaniem męża, udając chęć przebaczenia, by w rzeczywistości tym mocniej podniecić go do zemsty – to zdecydowanie się Sam nie podobało.

Odwróciła się od ogniska i mimo ciemności dostrzegła charakterystyczną wysoką sylwetkę stojącego w pobliżu koni Trace'a Hardena. Podeszła do niego na tyle blisko, by ją mógł usłyszeć.

– Szczerze ci współczuję, Trace – powiedziała. – Nic więcej nie mogę dodać. A jutro z samego rana ruszamy do Denver i jedziemy bez zatrzymywania.

Przez kolejne godziny jechali obok siebie po rozkwitającej wiosennie prerii, nie zamieniając ze sobą nawet słowa. Poczucie pewnej bliskości, które w ciągu ostatnich dwóch tygodni zdążyło się między nimi wytworzyć, z wolna zanikało.

Sam starała się patrzeć tylko przed siebie, na lekko wznoszącą się równinę i widoczne w oddali niebieskawe góry. Gdy wałach Hardena czasami przyśpieszał na tyle, e chcąc nie chcąc, musiała patrzeć tak e na jeźdźca, z irytacją bodła ostrogami swego konia, by nie zostawał w tyle i nie zmuszał jej do oglądania tego, na co nie miała ochoty patrzeć.

Miała za złe Hardenowi, e opowiadając o dzieciństwie Hannibala, wytworzył w jej wyobraźni obraz nieszczęśliwego, prześladowanego chłopca, daremnie szukającego akceptacji i czułości tam, gdzie mógł natrafić tylko na chłód i surową karę. Sam z przerażeniem spostrzegła, e mimo woli rodzi się w niej coś w rodzaju sympatii i współczucia dla małego Hannibala – i to budziło w niej gniew, który kierowała na Hardena. Jeszcze parę dni temu w ogóle nie przyszłoby jej do głowy, e Cotwell mógł mieć dzieciństwo, rodziców, a pewnie te i krewnych. W jej świadomości pojawiał się od razu jako w pełni ukształtowany, bezlitosny bandyta, gwałcieciel i zabójca.

Dopiero po jakimś czasie, kiedy późnym popołudniem zatrzymali się, eby rozprostować kości i przygotować posiłek, Sam powoli zaczęła zdawać sobie sprawę, e tak naprawdę to poczucie urazy do Trace'a podsyca w sobie celowo, próbując w ten sposób wytworzyć coś w rodzaju przeciwwagi czy hamulca, choćby częściowo zapobiegającego trudnym do przewidzenia skutkom wzajemnego przyciągania – które jawnie między nimi narastało.

Faktem było,

e czas potrzebny koniom na przebycie dobrych kilkudziesięciu mil, od świtu a do popołudnia, wykorzystana niemal bez reszty na rozważania nad dziwnością targających nią sprzecznych uczuć... i na rozpamiętywanie tego, co czuła, gdy Trace przez jakiś czas nieomal leżał na niej, przyciskając ją do ziemi całym ciałem. Ostatecznie uznała, e fascynacja, z jaką wpatruje się w niego od jakiegoś czasu, mo e mieć źródło wyłącznie w poczuciu wdzięczności za uratowanie jej życia. Taka wdzięczność była czymś jak najbardziej naturalnym i to z niej rodziło się zrozumiałe zainteresowanie i poczucie więzi. Tak więc zdołała w końcu jakoś ogarnąć i nazwać to, co czuła, i był to z pewnością spory sukces. O tyle jednak niepełny, e emocje od tego wcale się nie zmniejszyły.

Tymczasem Harden, coś tam podśpiewując sobie pod nosem, zdążył już napić konie i uwiązać je w miejscu pełnym bujnej trawy. Potem, wsparty na łokciu, wyciągnął się na ziemi nieopodal ogniska i skinieniem głowy podziękował za podany mu kubek gorącej kawy.

– Nie powinnaś za surowo osądzać swego ojca – rzekł po chwili milczenia.

– Słucham? – Sam spojrzała na niego z pewnym zaskoczeniem.

– Jako kobieta nie możesz do końca wiedzieć, czym jest dla mężczyzny poczucie, e w najważniejszym momencie zawiódł. e, na przykład, nie potrafił

ochronić ony, bo w krytycznej chwili nie było go tam, gdzie być powinien. To największa klęska, jakiej może doświadczyć męczyzna, a poczucie winy jest absolutnie miażdżące.

– Ale ty z tego powodu nie strzeliłeś sobie w głowę, a mój ojciec to zrobił.

– Potrafię go jednak zrozumieć. Uwierz mi, może być ponad ludzkie siły.

Sam przez dłuższą chwilę masowała zdętwiałe mięśnie wciąż pobolewającej ją nogi, potem obróciła się do ogniska i energicznie zamieszała gotującą się zupę. Trace przyglądał się temu spod oka. Nagle zapytał:

– Kochałaś już kogoś, Sam?

– Kochałam rodziców.

– Ale ja pytam o ostatnie lata. Odkąd już jesteś dorosła. Sam wzruszyła ramionami.

– Trzymam się z daleka od ludzi. Nie mam żadnych bliższych kontaktów.

– Więc choćby z tego powodu nie możesz do końca wiedzieć, jak wiele twój ojciec stracił. Jak wielkie mogło być jego poczucie klęski i winy. Dlatego nie osądzaj go, dopóki sama nie potrafisz postawić się w jego sytuacji.

– Nie przypominam sobie, abym prosiła cię o radę! – Ucięła rozmowę trochę ostrzej, niż zamierzała. Czuli jednak, że on znowu może mieć rację.

Niepokoili ją, ale jednocześnie i gniewała świadomość, że Trace nagle stał się dla niej kimś ważnym... i że rozstanie z nim może się okazać niezwykle trudne.

Bo te dwa tygodnie, które spędzili razem, teraz wydawały się jej po prostu cudowne. Nawet jeśli rekonwalescencja po ukąszeniu grzechotnika była powolna i bolesna, były to najlepsze dwa tygodnie w jej życiu. W zestawieniu z nimi tym smutniej wyglądała cała reszta jej dotychczasowej egzystencji. Co gorsza, Sam podejrzewała, że odtąd już jej życie będzie się dzieliło na to, co było przed poznaniem Trace'a, i na to, co było po nim.

Choć nie patrzyła teraz na niego i celowo odwróciła wzrok w stronę rysujących się na horyzoncie gór, nadal myślała o tym, co przed chwilą powiedział. Mówił niby o postępowaniu jej ojca, ale Sam domyślała się, że tak naprawdę myślał w tym momencie o niej i o swojej winie wobec niej. Z

jakiegoś powodu poczuła ostre ukłucie zazdrości. Cała ta rozmowa o miłości i poczuciu winy sprawiła, że zaczęła się zastanawiać, jak w jej przypadku mogłoby wyglądać wielkie uczucie – tak wielkie, że utrata najbliższej osoby doprowadzałaby na skraj szaleństwa. Czy może na być a tak komuś oddanym –

albo tak otumanionym – aby uznać za rozsądne wyjście przyłożenie lufy rewolweru do własnej głowy? aby w takiej sytuacji albo pociągać za spust, jak jej ojciec, albo te – jak Trace Harden – sprzedawać wszystko, co się ma, i samotnie ruszać w drogę, by pomścić życie i cześć ukochanej? Sam

nie była do końca tego pewna, ale chyba te chciałyby kochać kogoś a tak bardzo.

Zwłaszcza gdyby ów ktoś kochał ją równie mocno.

Te chętki były tak dziwaczne i tak bardzo odległe od tego wszystkiego, co dotąd uważyła za swój rozsądny pogląd na życie, że otrząsnęła się jak pies po wyjściu z wody i zaczęła się śmiać.

Trace spojrzął na nią, lekko uniósł brew, a potem zapytał:

– A co będziesz robić, kiedy pułapka zadziała i Hannibal znajdzie się za kratkami? Jakie będzie dalsze życie Samantha Kincade?

– Nie mów na mnie Samantha! – zaprotestowała odruchowo. Nalała zupę do kubków i przysunęła mu jeden z nich. – Prawdę mówiąc, wolałabym, ebyś mnie o to nie zapytał, bo przypomniawszy mi o pewnej sprawie, o której najchętniej zapomniiałabym na zawsze. Tyle tylko, że to jest raczej niemożliwe.

– Je eli nie chcesz o tym rozmawiać, to... – Trace wykonał uprzejmy gest, oznaczający gotowość do rezygnacji z kontynuowania tematu. – Ale jeśli chcesz podzielić się z kimś tym swoim zmartwieniem, jestem do twoich usług.

– Moje zmartwienie polega na tym, że sędzia Mockton nalega, ebyśmy wzięli ślub. My, to znaczy ja i niejaka Millicent Snow. Nie próbuj się śmiać, bo cię zabiję! Za ten ślub Edwin Snow, jeden z najbogatszych ludzi w naszym mieście i ojciec Millicent, oferuje mi stanowisko wiceprezesa w swoim banku i dom przy Czternastej Ulicy. Natomiast jeśli się z Millicent nie oenię, wuj będzie obraony i zły i najprawdopodobniej w ogóle się mnie wyprze. A Edwin Snow będzie taki wściekły, że każe mnie wytarzać w smołę i w pierzu i potem wypędzić z miasta. Je eli mnie przedtem nie zastrzeli. Trace nie wytrzymał, prychnął wprost do kubka z zupą i opryskał sobie całą koszulę. Otarł twarz i próbował zachować powagę.

– Sędzia chce, ebyście wzięli ślub?! Ty z jakąś kobietą?! Niemożliwe!

– Nie zapominaj, że on mnie uważa za wnuka swojej siostry –

powiedziała z kwaśną miną Sam. – Oczywiście, muszę coś zrobić, eby jakoś z tego wybrnąć. Jesteś moją dziewczyną, więc powiedz mi, jak się zrywa zaręczyny?

– Więc doszło do tego, że jesteś nawet zaręczona? – Trace znów dusił

się ze śmiechu.

– Nie z mojej inicjatywy – odburknęła poirytowana Sam. – To sędzia dogadał wszystko z ojcem Millicent. Ze mną w ogóle nie rozmawiali a do momentu, kiedy sami wszystko uzgodnili. Niech to diabli, Harden, je eli nie przestaniesz się śmiać, to naprawdę cię zabiję! Powiedz mi lepiej, jak mam się z tego wyplątać?!

Starając się wyglądać poważnie, Trace zadarł głowę i patrzył w niebo, jak gdyby tam szukał

natchnienia.

– No có , zastanówmy się. Zaręczyny to powa na sprawa. Jak bardzo ta nieszczęsna kobieta została przez ciebie skompromitowana, Kincade? Czy ju się całowaliście? – W jego głosie wciąż pobrzmiwało z trudem tłumione rozbawienie.

– A idź e do diabła! – burknęła Sam.

– Myślę, e wdepnęłaś na dobre. Teraz nie masz ju innego wyjścia, musisz ratować zagro oną cześć kobiety! – Trace nie wytrzymał, padł na plecy i choć próbował dłonią zasłaniać sobie usta, śmiał się jak szalony. Sam jeszcze przez chwilę usiłowała udawać ura oną, ale w końcu te zaczęła się śmiać.

– Jak wygląda ta Millicent? – spytał Trace, ocierając oczy.

– Pulchna rudawa blondynka...

– Urodziwa?

– Raczej wprost przeciwnie. A do tego jeszcze sypie się jej wąsik.

– No to świetnie! W końcu w mał eństwie ktoś powinien mieć zarost!

Sam nagle zdała sobie sprawę, e śmieje się razem z nim. e śmieje się tak jak jeszcze nigdy w yciu. W nieprzerwanej wymianie coraz bardziej szalonych pomysłów wszystko ją bawiło, na art odpowiadała artem, na koncept konceptem – i znów śmiali się wspólnie, ocierając załzawione od śmiechu oczy..

Kiedy się po dobrych kilku minutach w końcu uspokoiili, Trace spowa niał, popatrzył na nią i nagle powiedział:

– Mimo wszystko muszę przyznać, e nie spotkałem nikogo takiego jak ty... nikogo, kto choćby odlegle mógłby cię przypominać. Jesteś rzeczywiście wyjątkowa, panno Kincade, a doświadczenia, jakim było poznanie kogoś takiego, z pewnością nigdy nie zapomnę.

Sam gwałtownie zacisnęła palce splecionych dłoni. Przez całe ycie nie usłyszała tylu komplementów i wciąż nie bardzo wiedziała, jak powinna się odwzajemnić.

– A ja chciałam przyznać – odezwała się w końcu, nie patrząc mu jednak w oczy – e nie jestem ju do ciebie nastawiona wrogo. Nienawidzę jedynie twojego brata.

Trace wyciągnął rękę i lekko uścisnął jej dłoń. Potem nie cofnął ju swej dłoni i przez dłu szą chwilę siedzieli tak obok siebie, trzymając się za ręce.

– Trace? – powiedziała w końcu Sam. – Przepraszam, e o tym mówię, ale gdy ju znajdziemy się blisko Denver albo gdy napotkamy kogoś po drodze, będę musiała cię znowu skuć i związać ci nogi. To, e cię aresztowałam, musi wyglądać przekonująco.

adne z nich się nie poruszyło i nadal trzymali się za ręce, w milczeniu przyglądając się niebu i

przeplływającym nad nimi obłokom.

– Po wykonaniu wyroku ju cię chyba nie zobaczę – powiedziała Sam.

Wypowiedzenie tych słów przyszło jej z niemałym trudem, bo prawdziwego przyjaciela nie miała właściwie od dzieciństwa. Sama myśl o tym, e wkrótce będzie musiała się z nim rozstać, wywoływała nagły skurcz gardła.

– Po wykonaniu wyroku na kim? – spytał Trace. – Na mnie czy na Hannibalu?

– Na Hannibalu, oczywiście – odparła Sam i dała mu sójkę w bok. – Na tobie nikt wyroku nie wykona. Masz na to moje słowo honoru!

Powinni byli ju znów siodłać konie i ruszać w dalszą drogę, póki jeszcze było widno. Sam wiedziała o tym doskonale, ale póki Trace trzymał ją za rękę, jakoś nie potrafiła się podnieść.

– Wiesz co, Sam? – powiedział Trace dziwnie zmienionym głosem, a pauza po tych słowach trwała straszliwie długo. – Chyba chcę cię pocałować.

Serce zamarło jej na moment, a potem zaczęło bić jak oszalałe. W gardle jej zaschło, tak e przez chwilę nie była w stanie wymówić nawet słowa. Ciało całe odmawiało jej posłuszeństwa, miała wraenie, e w ogóle nie mo e się ruszyć.

– Dlaczego? – spytała ochryple.

– Nie wiem. Ciągłe myślę o tym, jak wyglądasz, kiedy jesteś naga... –

Jego dłoń zacisnęła się na palcach dziewczyny bardzo mocno, prawie a do bólu. – To dziwne, bo kiedy widziałem cię nagą, właściwie o tym nie myślałem.

Ale później myślałem często i długo...

Sam ogarnęło poczucie absolutnego bezwładu. Nie była w stanie kiwnąć nawet palcem, w ogóle przestała oddychać.

Trace przechylił się ku niej i patrzył prosto w jej oczy. Serce Sam biło tak mocno, e chwilami miała wraenie, i za moment wyrwie się z jej piersi. Gdy jego wargi zaczęły się przybli ać, była ju pewna, e tak się stanie.

Delikatnie dotknął palcami jej twarzy, przesunął dłoń od policzka w dół

ku podbródkowi i lekko rozchyłonym ustom. Ten dotyk był jak muśnięcie piórkiem, ale Sam natychmiast poczuła nagły skurcz w dołku i znów niemal przestała oddychać.

– Wcią mo esz powiedzieć „nie” – rzekł Trace. Nie przestawał

intensywnie wpatrywać się w oczy dziewczyny.

Sam nie była jednak zdolna do wyduszenia z siebie choćby jednego słowa. Samo oddychanie przychodziło jej z najwyższym trudem. Odchyłona do tyłu i wsparta na łokciach, odruchowo wciskała palce w zieloną dani i dość bezradnie patrzyła w połyskujące bursztynem oczy drapieżnika mężczyzny. Te tygrysię oczy hipnotyzowały ją coraz bardziej.

Palce Sam zacisnęły się na dani jeszcze mocniej, gdy usta Trace'a zbliżyły się i wreszcie dotknęły jej warg. Przez jej ciało przebiegła nagła fala, ciepła i wilgotna. Pocałunek był rozmyślnie powolny, delikatny, dopiero z czasem nabierał pełnej siły.

Zaskoczyło ją odkrycie, że chłodne na pozór wargi Trace'a wcale nie są twarde, przeciwnie – były cieplejsze i bardziej miękkie, niż się spodziewała.

Zauważyła, że całując ją, przymknął oczy. Jego smukłe palce delikatnie pieściły jej policzki, podbródek i szyję.

Gdy w końcu ich usta się rozdzieliły, Trace jeszcze przez długą chwilę patrzył w jej zdumione oczy, a potem lekko się uśmiechnął.

– Pójdę po konie – powiedział.

Sam nie była w stanie się ruszyć. Patrząc w niebo, leżała na plecach całkowicie bezwładnie, wsłuchując się w uderzenia własnego pulsu, czując fale gorącej krwi, przepływające przez jej omdlewające ciało.

Miała dwadzieścia trzy lata i dotąd szczyciła się tym, że jest twarda i niewrażliwa jak preriowy kojot. Przywykła myśleć o sobie jak o mężczyźnie i skłonna była uważać,

że

z doświadczeniem dorównuje

ka demu.

Ale teraz – po raz pierwszy w życiu – ktoś ją pocałował.

I to nagle zburzyło cały jej dotychczasowy świat.

Gdy w końcu z trudem podniosła się i stanęła na wciąż bardzo miękkich nogach, była zakłopotana i zbyt spięta, by odważyć się choćby spojrzeć na Trace'a.

Wdzięczność za uratowanie życia okazywała się cholernie złąoną emocją.

Powodzenia w zrywaniu zaręczyn – powiedział Trace, gdy Sam zeskoczyła z konia przed biurem szeryfa Ainsleya. Miejski gwar w Denver był

wystarczająco donośny, by nikt nie mógł podsłuchać ich rozmowy. – Myślę, że jakoś z tego wybrniesz. I mam nadzieję, że wszystko ułoży się po twojej myśli.

– Tego samego i ja tobie ycę – odpowiedziała Sam, mimo woli rzucając okiem na znów skuwające go kajdanki i sznur, którym był przywiązany do konia. – I w ogóle... dzięki za uratowanie mi ycia. Jestem ci... bardzo zobowiązana.

Wyglądało na to, e chce powiedzieć coś jeszcze, ale w końcu tylko zakłęła pod nosem, nacisnęła kapelusze prawie na oczy i, nie oglądając się ju, ruszyła w kierunku drzwi biura szeryfa.

Dziwna kobieta, pomyślał Trace, obserwując, jak w ciągu ledwie paru sekund zmienia zachowanie, cały wygląd i sposób bycia. Bez reszty wróciła do swej dawnej roli – znów była tym twardym, nieco aroganckim młodym mę czynną, wyzywająco patrzącym na ka dego, kto powa yłby się stanąć mu na drodze.

Inaczej trzymała głowę, inaczej się ruszała. Trace nagle zdał sobie sprawę, e patrzy na tę transformację z zauwa alną przykrością. Gdyby miał

magiczną moc, natychmiast zmieniłby ją z powrotem w młodą kobietę, którą z pewnością powinna być.

adne z nich nawet słowem nie wspomniało ju o pocałunku. Trace trochę miał sobie za złe, e poddał się temu nagłemu impulsowi, bo w rezultacie pojawiło się między nimi wyraźne napięcie, a Sam ju prawie w ogóle się do niego nie odzywała. W dodatku zupełnie nie rozumiał, co właściwie pchnęło go do tego, by wziąć ją w ramiona. Sam Kincade wydawała się całkowitym zaprzeczeniem tego wszystkiego, co dotąd mu się w kobietach podobało, a zanim ją ukąsił grzechotnik, w ogóle nie myślał o niej jak o kobiecie. Była dla niego jakimś bli ej nieokreślonym stworzeniem, upartym, denerwującym i niebezpiecznym, ale pozbawionym zasadniczych cech określonej płci.

Potem jednak, podczas dwutygodniowej rekonwalescencji, powoli zaczęły ujawniać się w niej zupełnie inne cechy. Kobięca delikatność... i jakaś zaskakująca miękkość i bezbronność, która poprzez podświadomość działała na niego mocniej, ni mógłby kiedykolwiek przypuszczać. A do tego jeszcze prześladowało go wspomnienie jej nagości. Trace widział ju wiele rozebranych kobiet, ale musiał szczerze przyznać, e tak naprawdę mało która z nich mogłaby się równać z Sam Kincade.

Nie była wysoka, ale doskonale zbudowana. Młode ciało o zachwycających proporcjach miało cudownie jędrną, atlasowo gładką skórę, pod którą nie było nawet grama tłuszczu. Smukłe mięśnie formowały zgrabną sylwetkę, strzelistą, ale i pełną uroczych krągłości; piersi, niezbyt wielkie, były idealnie ukształtowane i wręcz prosiły o dotknięcie męskiej dłoni, a drobne ró owe sutki wdzięcznie wieńczyły ich kulistą doskonałość. Nawet w tym momencie, na chwilę przed znalezieniem się za kratkami, Trace czuł jakiś dziwny skurcz w dołku na samą myśl o jej nagim ciele, o skórze zarówno gorącą i lekko lśniącą od potu.

Pojawienie się szeryfa wraz z dwoma zastępcami szybko przywołało go do rzeczywistości. Wszyscy trzej traktowali go brutalnie i wrogo, jak prawdziwego zbrodniarza i mordercę. Na początek zrzucili go z konia i kopniakami zmusili do podniesienia się na nogi. Trace z jakiegoś powodu sądził

dotąd, e szeryf musi być wtajemniczony we wszystkie szczegóły planu sędziego. Najwyraźniej jednak się mylił.

– Wrzuć go do celi, Darrel, i nie pieść się z nim za bardzo! – polecił

szeryf, z jawną drwiną spoglądając na czarny garnitur Trace’a i wytworną srebrzystą kamizelkę. – My tu w Denver nie cackamy się z mordercami i złodziejami koni, mój paniczku. Dostaniesz tak w kość, e jeszcze będziesz się modlił, eby cię w końcu powiesili, byle tylko wyjść z mojego aresztu. Bierzcie go! Obrócił się do Sam i położył jej dłoń na ramieniu.

– Dobra robota, Kincade – powiedział. – Czy miał ze sobą jakieś pieniądze?

– Wszystko, co miał, jest w sakwach. – Niedbale, jakby mimochodem, kopnęła w nogę ciągniętego do celi Trace’a, jak gdyby chciała przez to pokazać, e ma go ju z głowy. Wleczony pod ręce więzień zdążył jeszcze na nią spojrzeć i nietrudno było zauważyć, e go to zabolalo.

Gdy wrzucono go do celi i okratowane drzwi zamknęły się za nim z metalicznym trzaskiem, powoli podniósł się z brudnej podłogi i rozejrzał po przygnębiająco ponurym wnętrzu. Pomyślał, e musiał być chyba szalony, godząc się na taki plan.

Mówię ci, wuju, Harden jest zupełnie inny! – powtarzała z naciskiem Sam. – adnego porównania do Hannibala Cotwella! Zratował mi życie, nie uciekł, choć miał mnóstwo okazji. Przeciwnie, został przy mnie i pielęgnował a do mojego wyzdrowienia. Czy tak postępuje zbrodniarz, za którego wuj chce go uważać?

– Na razie sędzę, mój chłopcze, e musiał ci zdrowo namącić w głowie. –

Sędzia z satysfakcją otarł serwetką usta po doskonałej kolacji, Usiadł wygodniej i sięgnął po kosztowne cygaro, które podano mu wraz z karafką najlepszej brandy. Irytująco wolno i ceremonialnie obcinał koniuszek cygara, w końcu zapalił i zaciągnął się głęboko. – Jeślibyś pytał o moje zdanie, to uważam e nasz Clarion absolutnie dorównuje nawet słynnemu lokalowi Barta Granda w San Francisco.

– Dobrze, ale wracając do tego, o czym mówiliśmy. Harden jest po naszej stronie. Pragnie śmierci swego brata tak samo jak my. Ju ci opowiadałem całą tę historię. Cotwell zgwałcił jego onę tak brutalnie, e biedna kobieta potem się powiesiła.

– Mo liwe... – Sędzia Mockton klepnął się po brzuchu i znów zaciągnął

się cygarem. – To jednak zawodowy karciarz, który yje z tego, e potrafi wmówić ludziom, co zechce. e, na przykład, ma w ręku trzy siódemki, kiedy w rzeczywistości ma trzy asy albo odwrotnie. – Spojrzał na Sam i pokiwał głową.

– Natomiast ty zrobiłeś się jakiś taki miękki. I to mnie martwi, mój chłopcze, bo nigdy taki nie byłeś!

– Po prostu staram się wyjaśnić, e myliliśmy się co do Hardena. – Twarz Sam lekko poczerwieniała ze zdenerwowania i rosnącej frustracji. Uciskał ją sztywny nakrochmalony kołnierzyk, a jeszcze bardziej te niedorzeczne banda e, krępujące i spłaszczające biust. Podczas kolacji, którą sędzia zjadł z właściwym sobie apetytem, wciąż miała nieprzyjemne poczucie, e nie może się do niego przebić ze swoimi racjami. A potem było chyba nawet jeszcze gorzej; im bardziej broniła Trace’a, tym bardziej

sędzia zaczął się w swym uporze. –

Przecie nie znalazłeś adnych istotnych dowodów przeciw niemu, prawda? –

spytała po raz nie wiadomo który.

– Jeszcze nie.

– I nie znajdziesz. Mo na mu zarzucić co najwy ej to, e jest bratem Hannibala Cotwella.

Sędzia strząsała popiół z koniuszka cygara.

– Niektórzy powiedzieliby, e to w zupełności wystarczy, eby go tu powiesić.

– Ale przecie ustaliliśmy, e tak naprawdę Trace Harden nie zostanie powieszony! – przypomniała mu Sam, tym razem ju znacznie ostrzej. – Wuj sam powiedział, e on ma być jedynie przynętą. I niczym więcej! – Z irytacją machnęła dłonią, odpędzając od siebie obłoczek dymu. – Gdyby wuj go teraz wrobił i pozwolił go powiesić, byłoby to po prostu morderstwo.

Najzwyczajniejsze morderstwo!

– Nie zamierzam wieszać tego dupka. Chcemy dopaść Cotwella, a nie jego fircykowatego braciszka.
– Sędzia usadowił się wygodniej i przyglądał się Sam z nieco zafrasowaną miną. – Ale ty naprawdę mnie martwisz, chłopcze.

Łatwowierność nie jest najbardziej po ądaną cechą zwłaszcza u bankiera. Sam od razu zeszywniała.

– Je eli wuj ma na myśli pannę Snow, to miałem czas przemyśleć całą tę sprawę, i...

– Oczywiście, e mam na myśli pannę Snow i całą twoją przyszłość. –

Spojrzenie jego małych oczek zauwa alnie stwardniało. – Przygotowania do waszego ślubu idą pełną parą – sędzia zrobił zbyt energiczny gest i obsypał

sobie kamizelkę popiołem. – Suknia ślubna została zamówiona w Pary u. Edwin ju odnawia twój gabinet w banku. Zaoferowałem te pannie Snow wszelką pomoc przy ustalaniu listy gości. Ty nie musisz ju nic robić poza podaniem daty i, oczywiście, poza stawieniem się na samej ceremonii.

Sam z trudem powstrzymała się od westchnienia. Dlaczego ten temat zawsze pojawiał się akurat wtedy, kiedy miała mieć okres? To nie mógł być tylko przypadek.

– A co będzie, je eli się nie pojawię? – spytała gniewnie.

– Na twoim miejscu nie groziłbym czymś takim nawet artem. – Sędzia patrzył na nią ju zupełnie bez uśmiechu. – Ja i Edwin poświęciliśmy zbyt du o naszego cennego czasu i wysiłku na osiągnięcie ostatecznego porozumienia. On chce, eby Millicent była szczęśliwa, a ja chcę mieć go w kieszeni. Gdybyś teraz spróbował się wycofać, zniewa ony ojciec nie omieszkałby pomścić utraconej czi

córeczki, a wtedy za twoje ycie nikt nie dałby nawet złamanego szeląga. A co do mnie... z pewnością te nie zareagowałbym yczliwie, gdybyś za wszystkie moje starania chciał mi odplącić zrujnowaniem politycznych planów, uzale nionych w ogromnym stopniu od sfinansowania przez Edwina mojej kampanii w wyborach do senatu. Mówiąc krótko, mój chłopcze, gdybyś teraz ściągnął wstyd na swoją i na moją głowę, po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, byłbym zły i to bardzo! Zdajesz sobie sprawę, co by to oznaczało? Nie warto mieć we mnie wroga, chłopcze, mo esz mi wierzyć.

Sam miała poczucie, e znów znalazła się w sytuacji bez wyjścia, niczym w jakimś potę nym imadle, które nieubłagane zaciskało się na jej klatce piersiowej. W dodatku tu przed okresem dym z cygara sprawiał, e zbierało się jej na wymioty.

– Zdawało mi się, e ja te powinienem mieć coś do powiedzenia, gdy chodzi o to, z kim mam się o enić? – rzekła ałośnie. – Czy moje zdanie ju w ogóle się nie liczy?

– Nie mówiłem wcale, e nie masz nic do powiedzenia, ale te nie za bardzo widzę, na co znów miałbyś się tak uskar ać. Prawdę mówiąc, odrobina wdzięczności z twojej strony byłaby bardziej na miejscu.

Mo e rzeczywiście byłaby mu winna wdzięczność za jego zabiegi i manipulacje, gdyby naprawdę była mę czyną. Poniewa jednak nie była, czuła się coraz bardziej bezradna... i skazana na katastrofę. Jej widmo zbli ało się nieuchronnie. W aden sposób nie mogła przecie poślubić tej Millicent, ale gdyby zaręczyny zostały zerwane, ojciec niedoszłej panny młodej z pewnością wściekłyby się tak bardzo, e potrafiłby wynająć płatnych zabójców, eby pomścili zniewagę. A sędzia Mockton, jedyny yjący krewny Sam, te poczułby się zniewa ony i Bóg jeden wie, w jaki sposób zechciałby się zemścić.

Pocierała bezradnie skronie.

– Będzie ze mną bardzo źle, jeśli wezmę ten ślub, i będzie jeszcze gorzej, jeśli nie wezmę.

– I to właśnie, ju od niepamiętnych czasów, powtarza sobie niemal ka dy pan młody. Tak, e nie przejmuj się za bardzo, nie jesteś pierwszy ani ostatni. O enisz się, usatkujesz... – Sędzia sięgnął po kieszonkowy zegarek. –

Będę ju musiał iść. Dziś jest sobota, jestem umówiony z moją panną Daisy.

– Dla ciebie jestem tylko pionkiem w politycznej grze – powiedziała Sam z nieukrywaną goryczą. – Posłu yłeś się mną, eby zapewnić sobie finansowe wsparcie kampanii.

– Za co jednak zostaniesz sownie wynagrodzony – przypomniał sędzia.

Był z siebie tak wyraźnie zadowolony, ze Sam miała ochotę go kopnąć. – Bo musisz wiedzieć, e tak naprawdę tylko polityka liczy się w tym świecie, mój chłopcze. Niedługo będziemy pełnoprawnym stanem, a to oznacza naprawdę ogromne mo liwości i w perspektywie ogromne pieniądze dla miejscowego kandydata z odpowiednim wsparciem bankowym, który w dodatku będzie mógł

się pochwalić, e doprowadził do powieszenia Hannibala Cotwella. Przyszłość jest przed nami! Sam

ju zrezygnowała z dalszej dyskusji na temat Millicent.

– A co będzie, je eli Hannibal w ogóle się nie dowie, e jego brat siedzi w naszym areszcie i czeka na proces, w którym grozi mu szubienica?

– Je eli tylko jest na terenie Kolorado, na pewno o tym usłyszysz. Jutro napiszą o tym wszystkie gazety.

– A jeśli uciekł do jakiegoś innego stanu? Sędzia wzruszył ramionami.

– Trace Harden w ka dym razie nigdzie nam nie ucieknie. Mo emy czekać tak długo, jak zechcemy. A pojawi się Cotwell.

Sam zamyśliła się, bębniąc palcami po siedzeniu krzesła.

– Wobec tego chyba powinienem pojechać jutro do Leadville, gdzie go ostatnio widziano – powiedziała. – Mo e udałoby się dowiedzieć, dokąd stamtąd pojechał. Wtedy mielibyśmy pewność, e wiadomość o uwięzieniu brata do niego dotrze. Nie chciałbym się tu zdawać jedynie na przypadek.

Sędzia groźnie zmarszczył czoło.

– Zostaniesz tu, w Denver – oświadczył. – Panna Snow wydaje przyjęcie jutro po południu. Jesteś tam oczekiwany.

Jednak wiadomość o przyjęciu tylko zwiększyła determinację Sam.

– Jutro rano jadę do Leadville – powiedziała stanowczo. Sędzia wypuścił

obłoczek dymu z cygara i przyglądał się jej uwa nie.

– Afront w stosunku do panny Snow mo e spowodować, e wiele osób mocno się zirytuje. Naprawdę chcesz mieć takie kłopoty, chłopcze?

Sam nie ugięła się pod tą zawoalowaną groźbą.

– Wuj mo e powiedzieć panie Snow, e nie ma dla mnie wa niejszej sprawy od aresztowania i powieszenia Hannibala Cotwella – oświadczyła jeszcze bardziej stanowczo. – Tak było dotąd, i tak będzie teraz. Wuj doskonale o tym wie.

– A ja ci radzę się dobrze zastanowić. Zapowiadam ci, e o enisz się z Millicent Snow.

– Albo co?

– Albo czekają cię konsekwencje, o których nawet nie chciałbyś myśleć.

Sam podniosła się sztywno wyprostowana, obciągnęła wieczorową marynarkę i bez słowa opuściła ten najlepszy w mieście lokal. Jak najszybciej chciała opuścić te i miasto.

Do górniczego miasteczka Leadville jechało się z Denver przeszło tydzień, przez cały czas pod górę. Na miejscu okazywało się więc, że jest się naprawdę wysoko. Powietrze było tak rzadkie, że przyjezdni na ogół z trudem łapali oddech, co z pewnością nie było zbyt przyjemne, za to w licznych miejscowych barach spotykała ich miła niespodzianka. Okazywało się bowiem, że na tej wysokości – przynajmniej do czasu zaadaptowania się organizmu –

jeden kieliszek whisky daje nowo przybyłemu takiego kopa, na jaki miejscowi muszą zużyć całe dwa kieliszki. Nic więc dziwnego, że stali mieszkańcy z zazdrością obserwowali przyjezdnych, którzy niezwykle szybko walili się na podłogę, upici do nieprzytomności za pół ceny.

Sam po przyjeździe miała problemy jedynie z oddychaniem, ponieważ whisky starała się raczej stawiać, wybierając wśród bywalców – przeważnie miejscowych górników – głównie takich, którzy, jej zdaniem, mogli powiedzieć coś istotnego o ostatnim bandyckim występie Hannibala Cotwella.

Spędziła w różnych barach i saloonach kilka dni i wydała sporo pieniędzy, zanim w końcu udało jej się trafić na właściwego człowieka. Był to stary poszukiwacz złota, prawdziwy weteran Dzikiego Zachodu, który lubił

gadać niemal tak samo, jak lubił pić – a najchętniej łączył jedno z drugim.

Okazało się, że przed laty jego współnikiem przy zajmowaniu złotonośnej działki był niejaki Marsh Crisp, który potem został jednym z zaufanych ludzi Cotwella. Weteran z każdym kieliszkiem rozkrochmalał się coraz bardziej, zasypując Sam niezliczonymi anegdotami o młodości Marsha Crispa i o tym, jak to porządny niegdyś chłopak ostatecznie zszedł na złą drogę. Sam zamówiła następną butelkę, a wtedy ów górnik, już nawet bez potrzeby specjalnego przynaglania, przyznał w zaufaniu, że podczas ostatniej wizyty bandy Cotwella w Leadville rzeczywiście wypił ze swym starym kumplem parę piw i pogadał z nim trochę o dawnych czasach. Na trzeźwo raczej nie odważyłby się o tym opowiadać, zwłaszcza z tak poufnymi szczegółami.

Zaraz następnego ranka Sam wysłała pocztą egzemplarz „Rocky Mountain News”, kierując go do pana Marsha Crispa, na adres saloonu w Santa Fe – wspomnianego mimochodem przez pijanego weterana. Była spora szansa, że Crisp przeczyta informację o uwięzieniu Trace’a Hardena i podzieli się nią z Hannibalem. W każdym razie Sam miała taką nadzieję.

Był to już najwyższy czas, aby pomyśleć o powrocie i o tym, co czeka ją w Denver – z panną Millicent Snow na czele. Droga powrotna przez góry musiała zająć przynajmniej siedem, osiem dni, co oznaczało, że jej nieobecność w mieście przeciągnie się do trzech tygodni. Kwiaty wiśni i jabłoni w ogrodzie państwa Snow musiały już pewnie opaść, ale tym bujniej mogły rozkwitnąć klomby. Sam wykręciła się z przyjęcia, które miało się odbyć w ogrodzie, ale przecie nie z całej tej sprawy.

Jej wyjazd do Leadville był w gruncie rzeczy ucieczką, która niczego nie załatwiała. Należało więc wracać. Przestać w kółko rozmyślać o Hardenie i o jego wstrząsającym pocałunku i stawić wreszcie czoło rzeczywistości. Nie wymyślać się i nie kluczyć, tylko postawić sprawę jasno, a całą tę pannę Snow –

razem z jej chorobliwym afektem – z powrotem oddać sędziemu jak niechciany prezent. I niech sobie

z nim robi, co chce. Oczywiście, będzie to wielki skandal, gdy sędzia się dowie, że Sam wcale nie jest jego siostrzeńcem, tylko siostrzenicą. O mojej liwej reakcji Edwina Snowa wołała już nawet nie myśleć.

Ostatecznie będzie, co ma być, powiedziała sobie, ale raz wreszcie musi się to skończyć.

Po siedmiu dniach męczącej jazdy dotarła do obrzeży miasteczka Golden, dalekiego przedmieścia Denver, wyczerpana i zła na wszystko, niczym niedźwiedź za wcześnie zbudzony z zimowego snu. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła na przydrożnym słupie, był afisz ze zdjęciem i informacją o publicznej egzekucji. Choć fotografia nie była zbyt wyraźna, Sam nie mogła nie rozpoznać tej twarzy. Napis informował, że za kradzież konia i zamordowanie jego właściciela skazany wyrokiem sądu Trace Harden zostanie publicznie powieszony w Denver, w samo południe piątego maja.

Natychmiast spięła konia, zapominając o zmęczeniu. Pośpiesznie licząc dni od wyjazdu z Leadville, doszła do wniosku, że do egzekucji pozostało jeszcze dwa lub co najwyżej trzy dni. Do samego Denver nie było już daleko, więc przez miasteczko przejechała szybkim kłusem, a zaraz po minięciu ostatnich domów ruszyła galopem.

Na miejsce dotarła w niecałe pół godziny, mijając po drodze kolejne, coraz liczniejsze plakaty, obwieszające egzekucję. Wzbijając tuman kurzu przed budynkiem sądu, Sam gwałtownie ściągnęła cugle spienionego konia i przeskakując po trzy stopnie naraz, wbiegła do budynku.

– Co to, u diabła, ma znaczyć?! – krzyknęła rozwścieczona, z trzaskiem otwierając drzwi gabinetu na pierwszym piętrze. W ręku trzymała afisz, który zerwała ze słupa jeszcze w Golden. – Co to za jakieś nowe oszustwo?!

Pochylony nad biurkiem sędzia Mockton wyprostował się na fotelu, odrzucając do tyłu poły sędziowskiej togi, czarne niczym skrzydła nietoperza.

Spokojnie sięgnął do pudełka z cygarami, wybrał jedno, a drugie zaoferował

Sam. Gdy gniewnie odmówiła, wzruszył ramionami.

– Zabierz ręce z mojego biurka i siadaj! – powiedział i z niewzruszoną miną i czekał, a Sam się temu podporządkuje. – I powiedz mi na początek, jak długo, twoim zdaniem, mogę odwlekać egzekucję skazanego już człowieka?

– Ale Harden został wrobiony! Uzgodniliśmy, że wyrok nie będzie wykonany! Dałem mu moje słowo!

Sędzia znów wzruszył ramionami i patrzył na rozemocjonowaną Sam z całkowitym spokojem. – Nie rozumiem, dlaczego a tak się denerwujesz. –

Wypuścił kłęb dymu. – Nawet Cotwell najwyraźniej nie dba o to, że jego brat ma być powieszony, więc dlaczego ty masz się martwić bardziej niż on? Jakoś nie zareagował, choć zostały mu ledwie trzy dni.

– Cotwell jest poza granicami naszego stanu, więc może wciąż nic nie wie. A nawet jeśli

dostanie wysłaną przeze mnie gazetę z wiadomością, to najprawdopodobniej nie ma już szans zdążyć tu przed egzekucją.

– No to Trace Harden będzie wisiał – oświadczył sędzia. – Nie powiem, eby mnie to szczególnie cieszyło, ale musisz mnie zrozumieć. Dziennikarze zwiędlieli się o aresztowaniu, więc prasa naciskała na mnie od samego początku. Nic nie byłem w stanie zrobić.

Sam nie mogła wprost uwierzyć w to, co usłyszała.

– Musisz wstrzymać tę egzekucję! – powiedziała podniesionym głosem.

Zdziwiony sędzia lekko uniół brwi.

– Doskonale wiesz, e nie mogę ingerować w wykonanie wyroku. Czy chcesz, ebym teraz jechał do gubernatora i prosił go o łaskę, bo pozwoliłem ławie przysięgłych skazać człowieka na podstawie dowodów sfabrykowanych przez nas obu? To już prędzej sam mógłbym się powiesić, razem z tobą. –

Wymownie wzniosł oczy do nieba. – Ale pomijając już fakt, e mogliśmy obaj trafić na ławę oskarżonych, byłoby to tak e i polityczne samobójstwo. O

tym w ogóle nie może być mowy!

Sam opadła z powrotem na krzesło. Czowała, e panika chwyta ją za gardło.

– A dlaczego on tak szybko znalazł się przed sądem? Przecie uzgadnialiśmy, e rozprawę możemy na będzie odraczać w nieskończoność.

– Chłopcze, ty najwyraźniej nie czytałeś ostatnich gazet! Na samym początku szeryf Ainsley pochwalił się ludziom z prasy, e ma w areszcie brata Hannibala Cotwella. I to było jeszcze zgodne z naszym planem. Ale nikt nie przewidział, e reporterskie szakale rzucą się na tę sprawę z taką zajadłością!

We wszystkich gazetach zaczęły się pojawiać wielkie tytuły, domagające się, eby bez zwłoki wymierzyć sprawiedliwość. Musieliśmy przyspieszyć rozprawę. No a teraz, kiedy już jest po wyroku, egzekucja po prostu musi się odbyć. Możesz mieć pretensje co najwyżej do prasy...

W nagłym przebłysku Sam zrozumiała wszystko, a lodowaty dreszcz przebiegł wzdłuż jej kręgosłupa. Była naiwną idiotką, przyrzekając Hardenowi, e wyrok nie zostanie wykonany. Tak bardzo zaślepiła ją chęć pojmania Cotwella, e nie dostrzegała rzeczy zupełnie oczywistych.

– Wuj przez cały czas doskonale wiedział, e Harden może zostać powieszony – powiedziała cicho. W ołładku czowała bolesny skurcz.

– To oczywiste, e zawsze była taka moja liwość. – Sędzia lekkim ruchem strząsnął popiół z cygara. – I ty te o tym wiedziałeś.

Skurcz ołładka jeszcze się wzmógł. Być może wuj miał rację, e ona te to wiedziała.

– Ale przecie nie mo na pozwolić, by powieszono niewinnego człowieka! – powtarzała z uporem, czując jednak, e jej wysiłki są daremne. –

Czy nie ma sposobu, eby to zatrzymać?

– Nasz świadek, który był przesłuchiwany na rozprawie, mógłby odwołać zeznania albo powiedzieć, e nie ma pewności co do osoby. Tyle tylko, e on jest teraz gdzieś w Meksyku. Hardena mógłby te ułaskawić gubernator, ale tego nie zrobi, poniewa gazety poparły wyrok, a nawet tak wysoki urzędnik nie zechce zadzierać z prasą, uwalniając skazanego, przeciw któremu jest praktycznie całe miasto. Jest jeszcze ostatnia mo liwość: e Cotwell się jednak pojawi i próbując odbić brata, wpadnie w naszą zasadzkę. Wtedy, zgodnie z naszym wcześniejszym planem, moglibyśmy ogłosić, e Harden spełniał tylko rolę przynęty i e w rzeczywistości jest niewinny. Ale, jak sam mówisz, nie ma ju praktycznie szans, by Cotwell zdą yć przybyć do Denver i wpaść w naszą pułapkę. Sam patrzyła gdzieś w przestrzeń ponad głową sędziego.

– Tak więc Trace Harden zostanie powieszony, a my nie mo emy nic zrobić, eby temu zapobiec.

– Ja w ka dym razie nie widzę takiej mo liwości. – Twarz sędziego wydawała się wyprana z emocji.

Sam spojrzała na niego i powiedziała:

– Nie wydaje się, eby wuj był tym szczególnie przejęty.

– Bo te nie sądzę, eby było czym się przejmować, mój drogi chłopcze.

Czy ju zapomniałeś, e to brat Hannibala Cotwella? A ty myślisz, e on jest taki niewinny? Wolne arty!

– Dałem słowo, e nie zostanie powieszony. – Głos Sam był ledwie słyszalny. – Przyrzekłem mu to...

Sędzia znów wzruszył ramionami.

– Za trzy dni nikogo nie będzie interesowało, co kto obiecywał, a ju zwłaszcza komu. Trace Harden zostanie powieszony i na tym rzecz się skończy.

Ludzie w naszym mieście powiedzą: „Dobrze mu tak!”. I nie widzę powodu, dla którego i ty miałbyś tak nie zrobić.

Ale Sam widziała takie powody. Trace Harden uratował jej ycie. I całował ją.

Przymknęła oczy, eby się nie rozplakać. Wciąż nie mogła uwierzyć, e będzie musiał umrzeć. I to z jej winy.

Było sakramencko gorąco i sakramencko nudno. Suchy południowy wiatr, wiejący przez porośłą nielicznymi kaktusami kamienistą równinę, nie przynosił

adnej ulgi i tylko jeszcze bardziej spinał nerwy. Na zbitej z desek werandzie starego rancho Hannibal Cotwell kiwał się tam i z powrotem na rozchwianych nogach tandetnego kuchennego krzesła, ocierał z czoła strumyki potu i z coraz większą irytacją pluł przed siebie drobnymi pestkami jadowicie ostrego miejscowego chili. Ci durni Meksykanie utrzymywali, e jedzenie świe ego chili nie tylko reguluje trawienie, ale i sprawia, e nawet w najgorsze upały człowiekowi robi się chłodniej. To była oczywista bzdura i Hannibal na wpół

serio pomyślał, e powinien zastrzelić pierwszego Meksykanina, który mu się nawinie na oczy. Cała jama ustna piekła go straszliwie, a i z oładkiem wcale nie było lepiej.

Odchylił się wraz z krzesłem jeszcze bardziej i oparł plecami o ścianę, bezskutecznie wachlując się kapeluszem. W głębi, kilkanaście metrów za balustradą werandy, Mattie Able walczyła z podmuchami wiatru, rozwieszając pranie. Nieumalowana, w perkalowej sukience i kuchennym fartuszk, zupełnie nie wyglądała na dziwkę – raczej ju na krzątającą się przy gospodarstwie oneń ranczera, wręcz wzorowo trudzącą się dla mę a i gromadki dzieci.

Hannibal zmarszczył czoło i przeniósł wzrok w okolice stodoły, gdzie Marsh Crisp z resztą bandy zabawiali się strzelaniem do pustych butelek po whisky. Właściwie powinien był do nich dołączyć albo kazać im zająć się czymś bardziej sensownym, ale nie chciało mu się nawet podnieść z krzesła. Odwrócił

więc głowę i znów patrzył na Mattie.

Wciąż ta sama, dobra i wierna Mattie... W końcu chwilami było im ze sobą zupełnie nieźle. Gdyby wydarzenia potoczyły się inaczej, być mo e nawet pojechaliby gdzieś razem i spróbowali zacząć wszystko od nowa. Na przykład, w którymś ze stanów Północnego Zachodu, gdzie prawo ich nie ścigało i nikt O

nich nawet nie słyszał. Usiłował sobie wyobrazić, co mogliby tam robić i czym zajęliby się w tym całkiem nowym, uczciwym yciu, ale jakoś nic nie przychodziło mu do głowy. Prawdę mówiąc, nie byli za bardzo przygotowani do takiego funkcjonowania w całkowitej zgodności z prawem. To chyba byłoby dla nich za trudne.

Jednak i dotychczasowy tryb jego ycia nie mógł trwać wiecznie. Stałe balansowanie na krawędzi ycia i śmierci, ciągle umykanie przed ścigającymi go przedstawicielami prawa kosztowało zbyt wiele zdrowia i nerwów. Taki tryb ycia nieporównanie bardziej odpowiada ludziom młodym, z gorącą krwią, lubiącym grać o wszystko i niezłomnie wierzącym, e są po prostu

niezwycię eni. Taki był i on, jeszcze nie tak dawno temu. Ale teraz przed nim i za nim była ju tylko pustynia.

I adnego celu w yciu.

Mattie z pustym koszykiem po rozwieszonym praniu zatrzymała się przy schodkach prowadzących na werandę.

– Ciekawa jestem tylko jednej rzeczy – powiedziała gniewnie, patrząc na Hannibala i potrząsając głową. – Czy bardzo byłeś rozczarowany, kiedy odkryłeś, e dama w gruncie rzeczy wcale nie ró ni się od dziwki?

– Zamknij się, Mattie – rzucił znu onym głosem. – Powiedziałem ci ju , e nie będziemy rozmawiać na temat Etty.

– Ciekawe dlaczego?! Bo ona wciąż tu jest, mo e nie?!

Wciąż staje pomiędzy nami. A jak się okazało, niczym się nie ró niła ode mnie.

– Nie bądź głupia, Mattie. Jesteście tak ró ne jak alkohol i kwaśne mleko.

– A właśnie, e nie. Wcale nie jesteśmy tak ró ne. Ona te korzystała z mę czyn, sprzedawała się im tak samo, jak robi to ka da dziwka. Ró ni nas tylko to, e ja się do tego uczciwie przyznawałam!

Hannibal zerwał się z fotela, eby ją trzasnąć, ale Mattie była zbyt szybka i umknęła za węgiel domu. Z drugiej strony pojawił się Marsh Crisp, spojrzał na szefa i zapytał z lekko kpiącym uśmiechem:

– Jakieś kłopoty z drugą płcią?

– Pilnuj swego nosa! – warknął Hannibal. Pochylił się i podniósł

kapelusz, który upadł mu na podłogę. Któregoś dnia trzeba będzie zetrzeć ten wyzywający uśmiezek z nazbyt ju aroganckiej twarzy Crispa.

– Wspaaaniała kobieta... – powiedział przeciągle Crisp, ostentacyjnie łypiąc w stronę okna kuchni, gdzie krzątała się Mattie. – Gdyby kiedykolwiek chodziło o to, eby zdjąć ją szefowi z głowy, to...

– Czego ty właściwie chcesz?

Crisp nie odpowiedział od razu. Z wciąż lekko wyzywającym wyrazem twarzy przyglądał się Hannibalowi, ale nie zerkał ju w stronę kuchni. Po chwili odwrócił głowę i spojrzał w kierunku stodoły, gdzie nadal zabawiała się reszta bandy.

– Chłopcy się nudzą i trochę ich nosi – rzekł, zmieniając ton. – Billy coś mówił, e warto by pojechać do miasta i trochę zamieszać. To jest chyba pomysł.

Hannibal popatrzył na ledwie widoczne w zaschniętym błocie koleiny, stanowiące coś w rodzaju drogi, biegnącej przez półpustynną równinę, z rzadka porośłą kaktusami. Nie bardzo podobało mu się to, e Crisp dostrzegł problem wcześniej ni on, ale fakt pozostawał faktem – ludzie się nudzili, a to mogło być groźne. Nuda podkopuje dyscyplinę, a czasami nawet zabija.

Przyjrzał się uwa nie Crispowi, zastanawiając się, czy on, Hannibal, był

równie pewny siebie, kiedy sam miał dwadzieścia kilka lat.

– Jechać do miasta tylko po to, eby wywołać tam awanturę, to nie jest mądry pomysł. Wiadomo, gdzie się to zacznie, ale nie wiadomo, gdzie się skończy. A na pewno nie potrzebujemy strzelaniny zbyt blisko nas.

– Wcale nie mówię, e potrzebujemy – zgodził się natychmiast Crisp. –

Mo e być co innego, byle coś się działo.

Hannibal zamyślił się na chwilę.

– A pamiętasz, co się wydarzyło, kiedy byliśmy tam ostatni raz? –

zapytał. – Pamiętasz, jak bracia Lymanowie upokorzyli naszego Grubego Joego?

W oku Crispa błysnęło natychmiastowe zrozumienie. Gruby Joe był co prawda skończonym głupkiem i parę tygodni temu dał się zastrzelić w Meksyku w kłótni o jakąś dziwkę. Nikt go specjalnie nie ałował, ale to wcale nie znaczyło, e nie warto było za niego dołożyć Lymanom. W końcu krótko, bo krótko, ale nale ał do bandy Cotwella.

– Braciom Lymanom nale y się nauczka – powiedział Crisp i uśmiechnął

się szeroko.

– Tak właśnie myślałem. – Hannibal skinął głową. – Powiedz chłopakom, eby siodłali konie. Pokręcimy się po mieście i spróbujemy się dowiedzieć, czym się ci Lymanowie ostatnio zajmują.

Perspektywa rozprawy z Lymanami bardzo wyraźnie poprawiła mu nastrój. Wypluwając resztki mięsu i pestek chili, wszedł do kuchni i ściągnął z siebie przepoconą koszulę. Mattie podała mu świeżą, dopiero co wyprasowaną, odstawiła na bok elazko i zaczęła mu się przyglądać.

– A wiesz, dlaczego się w tobie zakochałam? – zapytała nagle ni z tego, ni z owego.

Nie trując się odpowiedzią, Hannibal pochylił się nad stojącą na taborecie blaszaną miską i z grubsza obmył z potu twarz i ramiona.

– Mo e dlatego, e spodobało mi się, jak mówisz. Tak elegancko i przewa nie nie za głośno. Ale właściwie to zaczęło się wtedy, kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłam. Stałeś przed saloonem w Dogtown i patrzyłeś, jak dwóch pijanych kowbojów znęca się nad jakimś biednym rudym psem.

Podszedłeś do nich i bez jednego słowa spraeś ich tak strasznie, e nie pojawili się w mieście przez miesiąc. Najpierw myślałam, e zwariowałeś, bez powodu zaczepiając takich dwóch osiłków, i dopiero potem zrozumiałam, e chodziło ci o tego psa, eby go nie bili. A potem zobaczyłam cię znowu dopiero po trzech miesiącach i wciąż miałeś tego psa.

Hannibal, który ju zaczął się wycierać, na moment znieruchomiał i przycisnął ręcznik do twarzy. Tak, Micka miał rzeczywiście długo. Był u niego przeszło dwa lata, by w końcu tak głupio zginąć pod kołami rozpędzonego dyli ansu. Czasami naprawdę brakowało mu tego wiernego rudego pyska.

– Moja mama zawsze mówiła, e mę czyzna będzie traktował kobietę tak, jak traktuje swoje zwierzęta. Ja widziałam, jaki miałeś stosunek do tego stworzenia, i od razu zrozumiałam, e pod tą złą maską kryje się dobry człowiek.

– Twoja matka nie miała racji. Ciebie biłem nieraz, choć starego Micka nigdy nawet nie tknąłem.

– Ty przede wszystkim du o krzyczysz i machasz pięściami, ale tak naprawdę mogłeś pobić mnie tylko wtedy, kiedy byłeś pijany albo kiedy cię

czymś zdenerwowałam. – Mattie pośliniła palec i dotknęła nim elazka.

Syknięcie oznaczało, e jest jeszcze dostatecznie gorące. – A Etta? Czy ją kiedykolwiek uderzyłeś?

Mattie pozostawała sobą i nic nie mo na było na to poradzić. Mógł na nią wrzeszczeć, grozić, pobić ją nawet do nieprzytomności. A ona i tak wracała do sprawy Etty, wciąż dotykała tej niezabliźnionej rany. I nic nie mogło jej przed tym powstrzymać.

– Nie! Jej nie uderzyłem! – warknął w końcu, patrząc na nią tak, by wreszcie zrozumiała, e to ostatnie ostrze enie.

– I wciąż o niej myślisz, mo e nie?!

– Mattie!!!

W końcu musiał ją uderzyć, choć zrobił to właściwie wbrew sobie. Nie potrafił zrozumieć, co się z nią stało, dlaczego sprawiała wra enie, e wręcz wyłazi ze skóry,

eby tylko oberwać. Ostatecznie trzasnął ją w twarz dostatecznie mocno, by wypuściła elazko, zrobiła parę kroków do tyłu i zwała się między garnki na gorącą płytę kuchennego pieca. Podniosła się dość szybko, zaciskając zęby i udając, e nic się nie stało, choć musiała mieć mocno poparzone dłonie i twarz, a w jej wielkich, ciemnych oczach zakręciły się łzy.

– Ettę fascynowali niebezpieczni mę czyźni. – Bliska łez Mattie mówiła dalej i najwyraźniej nie zamierzała przestać. – Pewnie myślała, e wychodząc za Trace’a, znalazła właśnie kogoś takiego. Ale on okazał się zbyt przyzwoity i zawsze trzymał ją z daleka od karcianych stołów i wszelkiego rodzaju hazardu.

Dlatego wdała się w niebezpieczne gry z innymi mę czyźnami.

– Do jasnej cholery, Mattie! – Hannibal był bliski desperacji. Nic na nią nie działało, miał wra enie, ze gdyby nawet pobił ją do nieprzytomności, po obudzeniu się znów wróciłaby do tematu Etty. – Zostaw e ją ju w spokoju!

Patrzyła na niego oczami mokrymi od łez.

– Och, Hannibalu! Czy ty nie widzisz, co ona zrobiła? Jak sprytnie nastawiła przeciw tobie twojego brata?!

Popatrzył na nią i pokręcił głową. Mattie chyba naprawdę chciała, eby ją po prostu udusił.

– Nic nie mo e nas nastawić przeciw sobie, mnie i Trace'a! – oświadczył

z wielką pewnością siebie. Zbyt wielką, eby mogła być prawdziwa.

– Bo nie wiesz, co ona mogła mu powiedzieć – upierała się Mattie.

Twarz Hannibala poczerwieniała z wściekłości. Ta kobieta naprawdę w końcu się doigra!

– Nie przeczę, e między bratem i mną są pewne problemy – powiedział, starając się nad sobą zapanować. – Ale na pewno wszystko sobie wyjaśnimy.

– Nie sędzę – powiedziała Mattie. Mówiła cicho, ale sprawiała wra enie, e z jakiegoś powodu wie, e się nie myli.

Nie uderzył jej – tym razem ju z nieklamanej obawy, e naprawdę mógłby ją zabić. Dr ącymi palcami zawiązał na szyi kolorową chustę i sięgnął

po kapelusz.

– Lepiej, ebyś sobie pojechała, Mattie – rzekł dziwnie zduszonym głosem. – Bo je eli zostaniesz, to mo esz zdenerwować mnie tak, e w końcu rzeczywiście cię zabiję. Wiesz, gdzie są pieniądze, więc weź sobie, ile ci będzie trzeba, i wynieś się stąd!

– Jeszcze nie! – odpowiedziała z rozwa nym namysłem, przyciskając poparzone dłonie do poparzonej twarzy. – Jeszcze nie zamierzam się poddać, bo uwa am, e wciąż mamy szansę. – Popatrzyła na niego z wahaniem. – Dlatego powiem ci coś jeszcze...

– Nie, nie powiesz!

Poszła za nim przez korytarz i du y pokój a do werandy i, wsparta o balustradę, przypatrywała się przygotowaniom bandy do wyjazdu. Konie były ju uwiązane na dziedzińcu. Marsh Crisp wło ył swą najlepszą koszulę z guzikami z masy perłowej, a Billy Jones specjalnie się ogolił. Inni te byli ju gotowi; dla dodania sobie animuszu pociągali z butelki.

Crisp lekko dotknął róna kapelusza i się uśmiechnął.

– Czy przywieźć coś z miasta, panno Mattie?

– Gdybyś pamiętał, przydałoby mi się, na przykład, jakieś pachnące mydło.

Spojrzał na jej krągłe piersi widoczne w dekolcie perkalowej sukienki, kątem oka zerknął na patrzącego w inną stronę Hannibala i mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Będę pamiętał – obiecał z jeszcze szerszym uśmiechem. Po chwili wszyscy ju odje d ali, a spod końskich kopyt wzbiła się chmura pyłu. Chmura była wciąż dalej i dalej; przesuwała się w kierunku Santa Fe. Mattie wcisnęła poparzone dłonie w kieszenie kuchennego fartucha. Ach, jak chciałyby pojechać tam razem z nimi.

Nienawidziła tej budy stojącej w szczerym polu. Brakowało jej miejskiego ycia, ruchliwych ulic, wesołego rozgwaru saloonów, obecności innych kobiet i mę czyn, dla których malowało się twarz i wkładało najlepsze suknie.

Zakochanie się niszczy kobietę, pomyślała melancholijnie. Tkwisz w jednym miejscu, jak kołek, harujesz na okrągło i wciąż czekasz, e ten, którego kochasz, w końcu te cię pokocha. A je eli nie?

Wróciła do kuchni, z nienawiścią popatrzyła na grzejące się elazka i gary, a potem naląa sobie pełną szklaneczkę whisky i usiadła przy oknie, za którym tańczyło na wietrze pranie.

Niewiele brakowało, by powiedziała Hannibalowi o wszystkim, co było w liście Etty. Wiedziała, e następnym razem musi ju to zrobić. Wyło yć wszystkie karty i sprawdzić, czy jest jeszcze nadzieja na jakąś wspólną przyszłość.

Hannibal siedział przy barze, dopijając kolejne ciepłe piwo. Na placu na wprost saloonu odbywało się meksykańskie wesele; muzycy bardzo głośno grali w kółko wciąż ten sam kawałek, a od ustawionych obok ro nów płynął ostry zapach pieczonego mięsa i chili. I takiej muzyki, i takiego zapachu Hannibal po prostu nie znoził.

– Hej tam! – zawołał do barmana, przekrzykując muzykę. – Dolej mi piwa. I daj butelkę whisky.

Dopiero w połowie butelki pozwolił sobie na odprę enie i przestał się bronić przed uparcie powracającymi wspomnieniami z dzieciństwa. Wspólnego dzieciństwa z Trace'em.

Tylko jemu zawdzięczał, e jakoś to prze ył, nie popełnił samobójstwa i nie oszalał.

e z tego dzieciństwa pamiętał nie tylko zimne okrucieństwo ojczyma, ale i naprawdę szczęśliwe chwile, spędzane wspólnie z bratem. Bo e drogi, czego to oni razem nie robili, w jakie tarapaty się nieraz pakowali!

Jeszcze teraz uśmiechał się mimo woli na samo wspomnienie. A co najciekawsze, to on, Hannibal, był wtedy nieporównanie grzeczniejszy od młodszego brata. Ktoś, kto uwa nie przyglądałby się im w owych latach, z pewnością doszedłby do wniosku e to Trace prędzej wejdzie w konflikt z prawem, e to on mo e zejść na złą drogę i skończyć jako społeczny wyrzutek.

Jednak rzeczywistość okazała się zupełnie inna. To Trace osiągnął sukces.

To on miał wielki dom, świetnie prosperujące kasyna i hotele, to on podró ował

po świecie i miał piękną onę z najlepszego towarzystwa.

Hannibal nerwowo podrapał się po wciąż swędzących go bliznach na czole i skroni. Gdyby naprawdę był takim człowiekiem, za jakiego chciał się uważyć, nie czekałby, a Trace go odnajdzie, ale sam spróbowałby go odszukać.

I stanąłby z nim twarzą w twarz, nie uchylając się od odpowiedzialności za swoje czyny. Za to, co zrobił bratu, jednemu człowiekowi, któremu był

naprawdę bliski.

Trzasnął szklanką o podłogę i resztę whisky pił prosto z butelki. Niech szlag trafi to wszystko, całe *to* życie!

Prędzej czy później Trace go znajdzie. I co wtedy? Gdyby Hannibal przynajmniej mógł wiedzieć, co Etta powiedziała mężowi... i czego się po nim spodziewała.

Najgorsze było to, że sam nie miał wyrzutów sumienia. Poszedł do łóżka z oną brata i wcale tego nie żałował. Jak zresztą mógłby żałować, skoro były to dwa najszczęśliwsze tygodnie w jego życiu?! Gdyby miał szansę zrobić je jeszcze raz, zrobiłby dokładnie to samo. Bez chwili wahania.

Wciąż wystarczyło mu przyknieść oczy, by znów widzieć Ettę, długimi, leniwymi pociągnięciami szczerząca jasne blade złote włosy, bardziej lśniące i gładkie niż najdroższy jedwab. Pamiętał dreszcz, jaki wywołało ledwie jedno ich pasemko, spadając nagle na jego nagie ramię. A z całą pewnością do końca życia nie potrafiłby zapomnieć poczucia tego szaleńczego szczęścia i oszołomienia, kiedy w końcu zdał sobie sprawę, że ona również go pragnie.

Wówczas ogarnęła go namiętność tak obłądana, tak nieprawdopodobnie intensywna i oślepiająca, że nie mogło być w ogóle mowy o jakimkolwiek zastanawianiu się nad konsekwencjami. Te chwile szczęścia, nawet ukradzione bratu, warte były wszystkiego. Nie miały ceny. Choć trwały już tylko w jego pamięci, wciąż pozostawały równie realne, jak puls własnego serca.

Było jednak coś, co zatruwało te wspomnienia, jak kropla jadu zatruwa krew ukąszonego przez miętę człowieka. Tą kroplą jadu była świadomość zdrady, jakiej dopuścił się wobec brata. I nie mógł twierdzić, że nie wiedział, co robi – co więcej, był przeciw gotów zrobić jeszcze coś gorszego. Był gotów zabrać mu Ettę na stałe, o co ona go zresztą wręcz błagała. Jeśli tego nie zrobił, to wyłącznie dlatego, że zbyt dobrze zdawał sobie sprawę, i taka kobieta po prostu nie zniesie trudów wspólnego życia ze ściganym przez prawo przestępcą.

Gdyby nie ta obawa, z pewnością by się nie wahał. Nie tylko przespałby się z oną brata, ale by mu ją zabrał na stałe. Nawet jeśli potem miałby mieć wieczne poczucie winy, nawet gdyby miał sam siebie za to znienawidzić. I jeśli cofnął

się przed tym, to nie dla brata, ale dla niej, dla Etty. Zbyt dobrze wiedział, że nie będzie w stanie zapewnić jej ani życia na poziomie, do którego przywykła, ani luksusów będących nieodłączną częścią egzystencji światowej damy. Choć ona twierdziła, że wcale ich nie potrzebuje, w

rzeczywistości nie potrafiłaby się bez nich obejść.

Przymknął oczy i spróbował sobie wyobrazić Ettę Harden w perkalowej sukience i brudnym kuchennym fartuchu, rozwieszającą pranie w wiejącym od pustyni wietrze. To było nie do pomyślenia. Jej miejsce było na piedestale, nie w pralni czy kuchni. Byłaby coraz bardziej nieszczęśliwa i przez to te coraz bardziej podatna na wyrzuty sumienia. Rosnące poczucie winy w stosunku do Trace'a w końcu zatrułoby ich związek i przytłumiło namiętność – a do ostatecznego zubożenia.

To świadomość, że tak właśnie musiałyby się to potoczyć, dała mu siłę do zerwania. A fakt, że – mimo wszystko! – wciąż kochał brata, że nie był tu bez znaczenia. Powrócił więc na Zachód bez Etty, ale nie było dnia, by nie myślał o niej, nie wspominał i nie tęsknił za nią.

Gdyby wierzył, prosiłby Boga o to, by Trace nigdy się nie dowiedział, że ona zdradziła go z jego własnym bratem. Teraz już jednak było za późno, bo w jakiś sposób zapewne wyszło to na jaw. Musiało wyjść, skoro Trace sprzedał

wszystko i przyjechał, aby go szukać. Prędzej czy później musieli więc zetknąć się twarzą w twarz.

Wysłany na zwiady Marsh Crisp pojawił się przy barze i stanął obok Hannibala. Relację zdawał półgłosem, bardzo dyskretnie, ale jego oczy błyszczały z podniecenia.

– W mieście mówią, że Lymanowie zastawili swoje rancho i kupili ogromne stado młodego bydła rasy hereford. Zamierzają je podtuczyć przez najbliższy rok, a potem przygnać i sprzedać za dwa razy większe pieniądze. To mogłaby być dla nas okazja. Co szef o tym myśli?

Gdyby Hannibal mógł być w tym momencie szczery, powinien zgodnie z prawdą odpowiedzieć, że czuje się zbyt zmęczony i stary, by jeszcze myśleć o Lymanach i o propozycji kradzieży ich bydła. Z całą pewnością wolałby, aby go zostawiono w spokoju.

Ten świat wygląda jednak tak, że albo się jest tym, kto rozkazuje, albo tym, kto słucha rozkazów. Hannibal po prostu musiał rozkazywać i nie mógł

sobie pozwolić na chwilę zniechęcenia. Choćby dlatego, że jego ludzie na pewno nie byliby skłonni do słuchania mięczaka, starzejącego się i ualającego się nad sobą sukinsyna, który ma ochotę tylko upić się do nieprzytomności. A czy ten młody wilk, stojący teraz obok niego, przypadkiem nie czeka właśnie na to? Na taki moment, kiedy Hannibal się rozklei i przestanie być czujny? Wtedy to on mógłby przejąć władzę i odjechać na czele bandy.

Barman przechylił się przez ladę i zapytał poufnie:

– Czy pan może nazywa się Marsh Crisp?

Crisp podejrzliwie zmrużył oczy.

– A co ci do tego? – spytał ostro.

– Jeśli to pan, to jest przesyłka. Gazeta, przyszła pocztą.

– No to dawaj. – Jawnie zaskoczony Crips zaczął przeglądać stronę za stroną. – Zupełnie nie wiem, po co mi gazeta, i to jeszcze sprzed tygodnia...

– A ty co, zamierzasz tu rozsiaść się i czytać? – warknął Hannibal. – Czy te mo e zdecydujesz się wreszcie coś zrobić, ebyśmy mieli na kolację porządne steki z młodej wołowiny! Idź po chłopaków!
– obrócił się i rzucił kilka monet na blat baru.

Crisp uśmiechnął się i oddał gazetę barmanowi. Gdy ten odszedł, zapytał

jeszcze:

– A co zrobimy z tym bydłem, kiedy ju je ukradniemy Lymanom?

– Co za ró nica? – Hannibal wzruszył ramionami. – Trochę weźmiemy dla siebie, a resztę oddamy Meksykanom albo przegonimy na dzikie pastwiska.

A mo e postrzelamy sobie do nich jak do celu...

Wreszcie było coś do zrobienia. Coś, co pozwoli oderwać się od myślenia o bracie i jego onie. I o tym, e Trace w końcu jednak go odnajdzie.

Potem, z punktu widzenia Mattie, wyglądało to nawet lepiej, ni mogła się spodziewać. Wojna z Lymanami kosztowała i ją trochę nerwów; przez dobry tydzień yła w ciągłej trwodze, e nie do końca pognębieni bracia będą próbowali się jeszcze odegrać i niespodzianie zaatakują, kiedy nikt się ich nie będzie spodziewał. Ostatecznie jednak okazało się, e po tamtej strzelaninie, z której wyszli z du o większymi stratami – z jednym zabitym i jednym powa nie rannym – nie odwa yli się na odwet, a w ka dym razie odło yli go na później.

W bandzie Hannibala Cotwella był jeden ranny, a jego konia trzeba było dobić.

Zarówno na Hannibala, jak i jego ludzi ta wojna z Lymanami wywarła wpływ niemal dobroczynny. Wytrąciła ich z marazmu, dodała energii i ochoty do ycia. Mieli o czym rozprawiać, dyskutować, planować następne działania –

mieli o co się kłócić i w czym dochodzić do zgody. Mattie, przechodząc obok stodoły, nieraz słyszała ich rozmowy i śmiechy. Śmiali się znacznie częściej ni dawniej. Dla niej najwa niejsze było to, e Hannibal wreszcie przestał się ponuro zamyślać, nie gryzł się całymi dniami i nie pił. Ju znów od czasu do czasu artował, zdarzało mu się pieszczotliwie klepnąć Mattie po tyłku i w ogóle momentami był prawie taki sam jak dawniej.

Chwile ponurego zamyślenia przytrafiały mu się coraz rzadziej, tote Mattie powoli nabierała ufności. Nadziei, e zaczyna wygrywać. Nadziei tym bardziej uzasadnionej, e wciąż miała w zapasie ostatnią atutową kartę. Wyło y ją na stół, gdy nadejdzie właściwy moment.

Gdy Hannibal pozna całą prawdę, znenawidzi Ettę Harden. I wróci do niej, do Mattie – będzie

szczęśliwy, e ona wciąż na niego czeka.

Tego wieczoru uznała, e to jest właśnie najodpowiedniejszy czas, by powiedzieć całą prawdę. Aby to zrobić, musiała zebrać się na odwagę. Pora była właściwa, noc nie była ani zbyt upalna, ani zbyt chłodna. Wcześniej kochali się, i nie było najgorzej. Jeszcze mo e nie wspaniale, ale całkiem przyzwoicie. Z

pewnością było im ze sobą coraz lepiej.

– Hannibal, skarbie! Nie śpisz, prawda?

– Czego chcesz?

– Boja myślałam... no, krótko mówiąc, doszłam do wniosku, e

zasługujesz na to, eby znać całą prawdę. Całą prawdę na temat Etty. Chyba nale ało ci to powiedzieć ju wcześniej.

Od razu poczuła, jak jego mięśnie tę eją pod jej palcami.

– Na miłość boską, Mattie, przecie ty w ogóle jej nie znałaś! Nic o niej nie mo esz wiedzieć. Więc czemu, do cholery, nie zostawisz jej w spokoju?!

Wstrzymała oddech, zebrała się w sobie i w końcu powiedziała:

– Mogę wiedzieć, bo Etta napisała list. Trace stale nosi go na sercu, w wewnętrznej kieszeni kamizelki.

Hannibal gwałtownie się obrócił i odsunął na bok jej dłoń.

– Chcesz powiedzieć, e wiesz, co Etta napisała w tym liście?!

– Zauwa yłam parę razy, e twój brat czyta go wciąż i wciąż na nowo.

Byłam ciekawa, co tam mo e być, więc zapłaciłam Alfowi, portierowi z hotelu w Dogtown, eby w nocy wszedł do pokoju Trace'a, przeczytał list i powiedział

mi, co w nim jest. Twój brat spał mocno, więc Alf mógł przeczytać list tyle razy, e nauczył się go na pamięć. Potem powtórzył mi wszystko, słowo po słowie.

– Chryste Panie, Mattie! Jak mogłaś zrobić coś takiego?! – Hannibal pokręcił głową. – No dobrze, więc co było w tym liście?

– To nie była dobra kobieta, Hannibal! Znam takie. Niszczą wszystkich i wszystko, zostawiając za sobą tylko gruzy i trupy...

Złapał ją za ramiona i zaczął nią trząść z taką siłą, jak gdyby chciał z niej wytrząsnąć duszę.

– Co było w liście, do cholery?!

Mattie przełknęła ślinę. Widziała jego tygrysie oczy, płonące w ciemności tu nad nią.

– Napisała twemu bratu – tu przed śmiercią – e ją zmusiłeś siłą...

Przysięgała, e ją biłeś i gwałciłeś. I napisała te , e się śmiałeś, kiedy powiedziała ci, e jest w cią y...

Hannibal był wstrząśnięty, ale i zdezorientowany.

– Zaraz, jak to „przed śmiercią”? Przed jaką śmiercią? I co to za gadanie o cią y? O czym ty w ogóle mówisz?

– Etta napisała, e śmiałeś się z tego i radziłeś jej, eby wmówiła mę owi, e to jego dziecko, bo on jest taki głupi, e nawet tego nie zauwa y...

Palce Hannibala zacisnęły się na jej ramieniu tak mocno, e Mattie jęknęła z bólu. Ale to, co powiedziała, jemu sprawiło jeszcze większy ból.

– Ona nie mogła umrzeć! Niech to diabli, Mattie, powiedz, e kłamiesz!

Przypatrywała mu się, usiłując w ciemności dostrzec wyraz jego twarzy.

– Nie kłamię – powiedziała. – Dobrze wiesz, e nigdy ci nie kłamałam.

Etta nie yje, powiesiła się.

Twarz Hannibala wykrzywiła się w grymasie przera enia, nagły dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

– Nie! – szepnął ochryple. – Nie! – Usiadł na łó ku i wtulił twarz w dłonie. – Powiedz mi o wszystkim, co tam było napisane.

Mattie nie była pewna, czy za chwilę nie po ałuje, e w ogóle zaczęła o tym mówić Ostatecznie jednak powtórzyła mu cały list Etty, słowo po słowie.

Gdy skończyła, wyprostowała się, parę razy przełknęła ślinę i z pełną lęku determinacją dodała swój komentarz:

– Nietrudno się domyślić, dlaczego to zrobiła. Gdy zdała sobie sprawę, e jest w cią y, nie widziała ju innego wyjścia poza samobójstwem. Ale to jej nie wystarczało! Nie mogło wystarczyć komuś takiemu jak ta twoja Etta! – głos Mattie lekko się załamywał. Nikogo w yciu nie nienawidziła tak bardzo jak tej kobiety. – Ona chciała, ebyś ty te zginął. I w gruncie rzeczy, pisząc ten list, po prostu domagała się od mę a, eby cię zabił...

– Tak napisała? – spytał cicho Hannibal. – e chce, eby Trace mnie zabił?

– Nie, bo na to była zbyt przebiegła. Wprost przeciwnie – napisała nawet, e prosi, eby Trace ci

przebaczył. Ale prosiła o to w taki sposób, e ka dy musiałby się domysleć, o co jej naprawdę chodzi! Słowa były niby o wybaczeniu, ale w rzeczywistości, kiedy napisała ten list, to było dokładnie tak, jak gdyby wlo ła mu w dłonie nabitą dubeltówkę i powiedziała: „Idź, zabij!”.

Ta kobieta była wcielonym złem, czy ty tego nie widzisz? Nie tknąłbyś jej, gdyby nie to, e cię uwiodła! Bo to ona chciała zdradzić Trace’a, nie ty. Ale przedśmiertny list napisała tak, eby to właśnie ona wyglądała na ofiarę, niewinną i szlachetną, podczas gdy w rzeczywistości ka de zdanie listu słu ło tylko jednemu celowi – eby nastawić brata przeciwko bratu!

eby Trace

pomścił jej śmierć. Wiedziała dobrze, e aden mą nie byłby w stanie przeczytać tego i nie przysiąc w duchu, e zabije człowieka, który zgwałcił mu onę i doprowadził ją do samobójstwa. I to właśnie sobie zaplanowała!

Chwiejąc się na nogach, Hannibal podniósł się, po ciemku odszukał

spodnie i koszulę, wciągnął je i ruszył w kierunku drzwi. Mattie klęczała na łó ku i wyciągała do niego ręce, nie przestając krzyczeć.

– Etta nigdy cię nie kochała, nie rozumiesz tego?! Posłu yła się tobą, eby odegrać się na mę u, tylko nie przewidziała, e zajdzie w cią ę. O tobie napisała same kłamstwa, napisała, e ją zgwałciłeś, tylko po to, eby Trace cię znenawidził i zabił! – Nagły szloch przerwał jej krzyk tylko na chwilę. – To ja cię kochałam! Ja, a nie ona! Hannibalu, proszę cię, wróć!

Dawno ju był za drzwiami, potknął się na progu werandy i upadł, uderzając się boleśnie, ale nawet tego nie zauwa ył. Całkowicie otepiały, chwiejnym krokiem szedł na bosaka przez dziedziniec, nie dbając o kamienie i kawałki szkła, kaleczące mu stopy. Minał stodołę i ruszył przed siebie przez opustoszałe pastwisko.

Etta nie

yła, popełniła samobójstwo, i to w sposób najbardziej przera ający, bo przez powieszenie. Zadała śmierć nie tylko sobie, ale i nienarodzonemu dziecku. Ich dziecku. Sama myśl o tym rozdzierała mu serce.

A w liście kłamała na temat tego, co było między nimi. Kłamała celowo, z wyrachowaniem – tak by Trace chciał go zabić... Zdradziła zatem ich obu. To było ponad ludzkie siły, nie do wytrzymania...

Upadł na kolana i po omacku szukał w zeschniętej trawie odpowiednio du ego i ostrego kamienia. A potem zaczął uderzać głową o niego, raz za razem

– zupełnie tak samo jak wtedy, gdy jako dziecko nie był ju w stanie znieść udręki i poczucia ostatecznego odtrącenia.

Czy wuj nie zdaje sobie sprawy, ile mnie samego kosztuje świadomość, e ja – nie kto inny, ale właśnie ja – usiłuję bronić brata Hannibala Cotwella?

Ale to przecie mo e znaczyć tylko jedno: e mam po temu powody! Ile razy mam to wujowi powtarzać? – Sam urwała, eby nabrać tchu. Od poprzedniej, niemal dokładnie takiej samej, rozmowy minęły ju prawie dwadzieścia cztery godziny, a sprawa wcale nie wyglądała lepiej. Raczej przeciwnie.

Sędzia Mockton w zdenerwowaniu pogryzał koniec cygara, jawnie ju zirytowany uporem swego niedowarzonego krewniaka.

– A ile razy ja mam ci powtarzać to, co powiedziałem chyba dość wyraźnie? Nikt i nic ju nie uchroni Hardena przed szubienicą. Jest na to po prostu za późno! Pojutrze będzie wisiał, i na tym koniec!

Taka wymiana zdań nie prowadziła ju do niczego. Sam widziała więc coraz wyraźniej, e za uratowanie ycia Hardenowi będzie musiała zapłacić utratą niemal wszystkiego, co dotąd w yciu ceniła najbardziej. To było niesprawiedliwe. Ale na to te nic ju nie mo na było poradzić.

Osoba mniej stanowcza po prostu zrezygnowałaby i machnęła na wszystko ręką. Znalazłaby jakieś wytłumaczenie, uzasadnienie dla takiego zaniechania – które jednak nie mogło ju być niczym innym jak tylko podłością.

Na to Sam nie potrafiłaby się zdobyć. Jeśli chciała yć w zgodzie z własnym sumieniem, musiała ratować tego człowieka.

– Dałem mu słowo, e nie zostanie powieszony – powtórzyła ju chyba po raz setny.

Sędzia wzruszył ramionami i tylko lekko się uśmiechnął.

– Mój drogi chłopcze, naprawdę zrobiłeś ju wszystko, co mogłeś. Więc teraz niech działa prawo. Poniewa egzekucja będzie publiczna, Edwin Snow zarezerwował miejsca w lo y, do której obaj jesteście zaproszeni. Będzie tam te jego uroczą córka, która, nawiasem mówiąc, czuje się dotknięta afrontem, za jaki uwa a twoją nieobecność na organizowanym przez nią przyjęciu. Dotknięta tak mocno, e o własnym powozie z parą koni mo esz ju raczej zapomnieć.

Jesteś w kłopotach, chłopcze, i musisz coś z tym zrobić.

Sam podniosła się z krzesła i oparła się rękami o biurko, pochylając się ku sędziemu.

– Nie będzie egzekucji! – oświadczyła. – Ani publicznej, ani adnej innej!

Podobnie jak nie będzie ślubu z Millicent Snow. Wykluczone!

To był wybuch. Nie próbowała ju ukrywać ekscytacji. Sędzia przyjrzał

się jej uwa nie, ale nie wyglądał na zbyt przejętego.

– Widzę, e dałeś się ponieść emocjom, tyle e to chyba nie jest odpowiednia pora na powa niejszą dyskusję. Powiem ci więc tylko tyle, e je eli teraz zostawisz na lodzie Millicent Snow, to jej ojciec obedrze cię ze skóry i przybije ją gwoździami do głównych drzwi banku. A je eli nie on, to ja to zrobię. – Odchylił się na oparcie fotela i zrobił pauzę wystarczająco długą, by ostrze enie dotarło. – Tak e lepiej zapomnij o tym Hardenie...

Na tym Sam wyczerpała mo liwości działania zgodnego z prawem.

Pozostały jej ju tylko posunięcia drastycznie z tym prawem niezgodne. I rezygnacja ze wszystkiego, co dotychczas było jej całym yciem.

Szeryf Ainsley uchylił drzwi i wpuścił Sam na korytarz, po czym skinął

głową i wrócił do swego biura. Jednakowe w konstrukcji drzwi z elaznej kraty prowadziły do kilku poło onych obok siebie cel, z których tylko jedna była zajęta. Przebywał w niej Trace Harden, wyciągnięty jak długi na prowizorycznej pryczy, którą stanowiło odrapane skrzydło jakichś starych wrót, poło one na dwóch kozłach do piłowania drewna. Blaszana miska z nietkniętym posiłkiem stała na podłodze, a Trace le ał nieruchomo i wpatrywał się w sufit z grubych sosnowych bali. Wciąż ubrany był w tę samą brudną koszulę i te same spodnie, które miał na sobie, kiedy został aresztowany trzy tygodnie wcześniej.

– Właśnie się zastanawiałem, kiedy się pojawisz, eby nasycić wzrok widokiem skazańca – powiedział z ponurą miną, nadal patrząc w sufit.

Sam sięgnęła po stojące w korytarzu krzesło i przysunęła je do kraty drzwi. Zaduch bijący ze środka był trudny do wytrzymania.

– Nie przyszłam tu po to, eby się czymkolwiek napawać... – zaczęła, ale Trace nie pozwolił jej skończyć.

– Najbardziej denerwuje mnie to,

e okazałem się tak cholernie

łatwowierny! – wykrzyknął, uderzając się dłonią w czoło. – Jak jakiś óltodziób albo naiwny wieśniak! Mając tyle okazji, eby uciec, siedziałem przy tobie i czekałem, a poczujesz się na tyle dobrze, eby w końcu mnie tu przywieźć i wrobić mnie w ten sfalszowany proces sądowy z prawdziwą szubienicą na końcu. Razem z twoim wujem sędzią musieliście się zaśmiewać do rozpuku!

– Posłuchaj, Trace...

– Dałem się tak ogłupić, e zacząłem pojmować, o co wam naprawdę chodziło, dopiero wtedy, gdy proces ju się zaczął. Wtedy zdałem sobie sprawę, e nigdy nie chodziło wam o to, by zwabić tu Hannibala, a nawet gdybyście mieli taki plan, i tak nic by z tego nie wyszło. Skoro Hannibal przez

tyle lat me dał się złapać, to znaczy, e nie jest głupi. Taką pułapkę zwęszyłby na odległość tysiąca mil! ałuję, e w tym względzie mu nie dorównuję, bo ja dałem się zwabić jak dziecko.

Jego pełne goryczy słowa były przejmujące, a jednocześnie głęboko niesprawiedliwe. Sam próbowała mu to wytłumaczyć.

– Nie okłamywałaś cię. Naprawdę myśleliśmy, e nasz plan się powiedzie i e w ten sposób zwabimy Hannibala. Było na to du o czasu, nie musieliśmy się śpieszyć. Ale wtrąciła się w to prasa, gazety zaczęły domagać się szybkiego wyroku... i w końcu sytuacja wymknęła się spod kontroli.

– Bardzo dziękuję za informację, e wciągając mnie w to wszystko, nie kłamałaś i przedstawiałaś całą rzecz uczciwie – powiedział Trace z gryzącym sarkazmem. Przekręcił się i usiadł na pryczy, nie odwracając ju głowy. Ale w jego przymru onych oczach była jawna wrogość. – Świadomość twojej prawdomówności będzie dla mnie znaczną pociechą, kiedy ju mnie będą wieszali – kontynuował jeszcze bardziej jadowicie. – Inne rzeczy te pewnie mówiłaś równie szczerze. Je eli dobrze pamiętam, wspominałaś coś o swoim honorze i o tym, e mogę na tobie polegać. Tym słowem honoru gwarantowałaś, e wyrok nie będzie wykonany. No więc coś pani teraz powiem, panno Kincade.

Zasłu yłem na tę szubienicę nie dlatego, e popełniłem jakąś zbrodnię.

Zasłu yłem na nią dlatego, e okazałem się tak bezdennie głupi!

– Jest mi bardzo przykro, e sprawy tak się potoczyły, ale...

– Ach nie, skoro jest ci przykro, to wszystko ju jest w porządku! Teraz ju umrę szczęśliwy!

Sam nie wytrzymała i podniosła głos.

– Do jasnej cholery, czy mógłbyś się raz zamknąć i przestać tak się u alać nad sobą?! Od kwadransa usiłuję ci coś powiedzieć, a ty mi nie pozwalasz...

Harden zerwał się z pryczy i chwycił za pręty kraty z taką siłą, e palce mu pobieleały.

– Je eli myślisz, e zgodzę się umierać, wspaniałomyślnie wszystko wybacząc, to musisz być szalona nawet bardziej, ni przypuszczałem. Nie jest mi wszystko jedno, czy mnie powieszą, czy nie! Jesteś w stanie to zrozumieć, czy te przekracza to twoją zdolność pojmovania?! Sam równie zerwała się na równe nogi.

– Na razie pojmuję jedno, e za wszelką cenę starasz się nawymyślać mi od najgorszych. A uwa asz się za rozsądnego mę czynę. To rzeczywiście niezwykle rozsądne: obra ac jedyną osobę, która wciąż chce ratować twoją ałosną skórę!

– O, ju tyle razy mnie ratowałaś! Wałac mnie kolbą w głowę, kopiać, skuwając i przywiązując do konia! Dzięki tobie trafiłem do tej brudnej celi, dzięki tobie byłem bity i poni any, potem sądzony za zbrodnie, których nie popełniłem, a za dwa dni dzięki tobie będę powieszony. Trzeba przyznać, e ratowałaś mnie niezwykle skutecznie, więc nie dziw się, e będę umierać z twoim imieniem na ustach!

Był rzeczywiście na nią wściekły, ale i Sam nie miała ju ochoty się hamować.

– A ja przez ciebie będę miała zmarnowane ycie! – krzyknęła. –

Wszyscy się mnie wyrzekną, a dobre imię rodziny Kincade zostanie na zawsze pohańbione!

– Głupie gadanie! – Trace wzruszył ramionami. – Ja będę wisiał, a ty będziesz miała zmarnowane ycie, akurat! Ale sam jestem sobie winien, trzeba było uwa ać. Trzeba było mieć świadomość, e to mówi kobieta, a więc nie nale y temu wierzyć. Tak, właśnie tak! Etta była taka sama. Kiedy kłamała, mówiła, e to tylko małe kłamstwa, kłamstewka, dzięki którym ycie toczy się bardziej gładko i w ogóle wszystko jest łatwiejsze. Kłopot jedynie z tym, e te kłamstewka nie wiadomo kiedy zmieniają się w kłamstwa coraz większe, coraz bardziej obrzydliwe i przera ające. Czy nie tak, panno Kincade?

Niewiele brakowało, by Sam zaczęła zgrzytać zębami. Ograniczyła się jednak do wypowiedzenia tylko jednego zdania:

– Dałam ci słowo, e nie zostaniesz powieszony, i zamierzam dotrzymać tej obietnicy.

Wyraz twarzy Trace’a Hardena jawnie wskazywał na to, e me wierzy on tej deklaracji. Zresztą ju wcześniej zupełnie otwarcie zarzucał jej kłamstwo.

Musiała to znieść i mimo wszystko dotrzymać słowa.

– Byłabym wdzięczna... – zaczęła na nowo, z wysiłkiem zachowując spokój – ... byłabym wdzięczna, gdybyś zechciał się zamknąć i po prostu posłuchał, co mam ci do powiedzenia. Zanim rozpęta się to całe piekło!

– Nie masz mi nic do powiedzenia, nic, czego chciałbym słuchać! Więc bądź tak dobra i wynieś się stąd, natychmiast! I pozwól mi spędzić ostatnie godziny w jakim takim spokoju.

Sam miała ochotę go kopnąć, nawet przez kraty.

– Nie odwracaj się do mnie plecami, bo zacznę myśleć, e rzeczywiście jesteś tak głupi, jak sam twierdzisz.

– A ty idź do wszystkich diabłów! – Harden obrócił się ku niej, rozwścieczony jeszcze bardziej ni ona. – Przeklinam chwilę, w której cię zobaczyłem!

– To ja mogę przeklinać tę chwilę! – wykrzyknęła oburzona. –

Zrujnowałeś mi całe ycie!

– Ja tobie? No to ju szczyt wszystkiego. Ja zrujnowałem tobie!

– A właśnie, e tak! – Sam stała tu przy kracie, nie zamierzając się cofnąć nawet o milimetr. – Coś panu powiem, panie Harden! Mój dziadek ze strony matki był urzędnikiem sądowym, dziadek ze

strony ojca szanowanym prawnikiem, a ojciec szeryfem. Przez całe życie uczono mnie nie tylko przestrzegania, ale i szanowania prawa. W naszej rodzinie prawo zawsze było wartością cenioną i chronioną. Gdyby nie złośliwy przypadek, który sprawił, że urodziłam się jako kobieta, a nie mężczyzna, z całą pewnością zostałabym prawnikiem. To zawsze było moim największym marzeniem.

– I co niby z tego ma wynikać?

– A to – syknęła Sam – e nawet w najgorszych sennych koszmarach nie przyszło mi do głowy, że mogłabym kiedykolwiek złamać prawo, zdobyć się na działanie wbrew tradycji trzech pokoleń naszej rodziny! Więc jeżeli jednak zamierzam to zrobić, jeżeli przekreślam wszystko, historię, moją reputację i w ogóle całe moje życie, to, do jasnej cholery, mam chyba prawo oczekiwać od ciebie odrobiny wdzięczności? Trzęsąc ramionami.

– Nie widzę nawet cienia powodu, dla którego miałbym ci być wdzięczny.

Niewiele brakowało, by Sam zaczęła naprawdę zgrzytać zębami.

– A to, że chcę cię stąd wydostać, to nic?! – spytała z sarkazmem. – e chcę to zrobić siłą i wbrew prawu, to nic? Ponieważ jest już za późno na wstrzymanie egzekucji, będę musiała cię uwolnić przemocą, nawet z twoją bronią. A to oznacza, że sama stanę się osobą ściganą przez prawo. I mam być z tego zadowolona?!

W oczach Hardena błysnęła iskierka zainteresowania.

– Naprawdę masz taki plan? – spytał. – I jak zamierzasz go zrealizować?

– Podpalę ten areszt.

To było przerażająco łatwe. Wkrótce po północy Sam wylała dwie spore blaszanki nafty na suche jak pieprz belki tylnej ściany aresztu. W trzeciej blaszance starannie umoczyła sześć przygotowanych wcześniej pochodni, po czym zapaliła je, dwie rzuciła na drewniany dach, a cztery pozostałe przytknęła do ociekającej naftą ściany. Nafta i drewno zajęły się natychmiast i już po chwili cała ściana i dach buchały płomieniem.

Sam przeszła na stronę frontową, gdzie wcześniej odpowiednio luźno uwiązała dwa konie, swego wiernego Blue i równie szybką, młodą klacz, którą zabrała dla Hardena. Upewniła się, że uzdy dadzą się łatwo odwiązać, po czym weszła do biura szeryfa, w którym był tylko jeden z jego zastępców, drzemający w fotelu szefa.

– Pali się, panie Darrell! – krzyknęła. – Cała tylna ściana aresztu się pali!

Zastępca szeryfa otworzył oczy i patrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem. Sam zdążyła już odpiąć od jego pasa pęk kluczy do cel, po czym znów szarpnęła go za ramię.

– Szybko! Niech pan dzwoni na alarm, a ja wyprowadzę więźniów!

Trzeba posłać kogoś po szeryfa Ainsleya. Będą potrzebni ludzie z wiadrami, siekierami i piaskiem.

Niech e pan się ruszy! Nie czuje pan zapachu dymu?!

Wciąż go poganiała, rozmyślnie wydając jedno polecenie po drugim.

Ogłupiały zastępca ruszył w kierunku drzwi wyjściowych.

– Szybciej! – krzyknęła Sam. – Nie ma chwili do stracenia!

Klucz do korytarza znalazła bez trudności, natomiast z dobraniem odpowiedniego klucza do celi Trace'a borykała się dość długo. Na szczęście pozostałe cele były puste.

– Prawdę mówiąc, nie wierzyłem, e zdecydujesz się to zrobić –

powiedział Trace, przyglądając się, jak Sam wciąż mociuje się z zamkiem.

– No to teraz mo esz ju uwierzyć – burknęła z irytacją. Rzuciła mu rewolwer, zabrany specjalnie dla niego. – Weź to i strzelaj do ka dego, kto pojawi się w drzwiach!

Wreszcie zamek zgrzytnął i krata się otworzyła. Sam odetchnęła z prawdziwą ulgą.

– Uciekamy!

Wybiegając z korytarza, nieomal zderzyli się z zastępcą szeryfa, któremu towarzyszyło jeszcze dwóch zaalarmowanych ludzi z sąsiedztwa. Sam wydobyła colta i odebrała zastępcy jego słu bowy rewolwer.

– Pod ścianę i nie ruszać się! – rozkazała. – Kto się odwróci, zostanie zastrzelony bez ostrze enia! Ty te , Darrell!

– Będziesz za to wisiał, Kincade – rzekł ponuro Darrell.

– Ale najpierw będziecie musieli mnie złapać! • – krzyknęła przez ramię, zatraskując frontowe drzwi. Jej wyzywający ton był udawany. Tak naprawdę była przera ona tym, co zrobiła.

W szaleńczym tempie dosiedli koni i ruszyli galopem, wymijając po drodze grupki ludzi biegnących do płonącego budynku.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Trace, przekrzykując dźwięk bijących na alarm dzwonów.

– Mam chatę traperską w pobli u Golden, dobrze ukrytą – odpowiedziała Sam. – Skręcimy tam, kiedy ju nikt nas nie będzie widział. Jedź za mną!

Powoli docierała do niej świadomość, e ostatecznie i nieodwołalnie przekroczyła jakąś granicę. Odtąd to ju nie ona miała ścigać przestępców, lecz sama stawała się przestępcą i miała być ścigana przez przedstawicieli prawa.

Przekreśliła więc to wszystko, w co jej ojciec wierzył przez całe ycie, i nie potrafiłaby ju

odpowiedzieć, czy łzy, które zakręciły się w kąciach jej oczu, wywołał tylko pęd chłodnego nocnego powietrza, czy może to i fakt, że życie zgodne z prawem dla niej się już skończyło.

Traperska chata ukryta była w chaszczach gęsto porośniętych wzgórz, kilkanaście mil za Golden. Dotarli tam krótko przed świtem, mocno wyczerpani.

Nawet nie próbując się rozbierać, ułożyli się do snu na dwóch twardych leżankach i już po chwili oboje zapadli w błogą nicość.

Gdy Trace się zbudził, poranne słońce było już dość wysoko i jego promienie wpadały do wnętrza chaty zarówno przez nieosłonięte firankami niewielkie okna, jak i przez uchylone drzwi. Jedyne pokój, który był

jednocześnie kuchnią, wyposażony był nad wyraz skromnie. Nad zajmującym jeden kąt piecem kuchennym wisiały krzywe półki z paroma blaszanymi naczyniami. Na podłodze z niemalowanych desek stały dwa taborety.

Warstewka kurzu świadczyła o tym, że w chacie dość dawno nikt nie mieszkał.

Wnętrze pachniało sosnowym igliwem i mysimi odchodami.

Trace spojrział w drugą stronę i zobaczył ustawiony przy oknie prosty stół

i dwa krzesła. Na jednym z nich siedziała Sam, trzymając kubek z gorącą kawą.

Gdy zobaczyła, że otworzył oczy i się jej przygląda, bez żadnych wstępów powiedziała:

– Nie znoszę cię, Harden. A mówiąc dokładniej, szczerze i serdecznie cię nienawidzę. – Wszystko to zostało wypowiedziane tonem spokojnym i beznamiętnym, mniej więcej takim, jakim rozmawia się o pogodzie. – Jeśli czegoś ałuję, to przede wszystkim tego, że cię w ogóle spotkałam. I najbardziej ucieszyłoby mnie, gdybyście obaj nie byli, ty i twój brat!

Trace, milcząc, podniósł się z leżanki, rozprostował kości, przeciągając się raz i drugi, po czym zdjął z kuchennej półki drugi blaszany kubek i nalał

sobie kawy. Podeszedł do okna i przyglądał się uroczej ukwieconej polance nad górskim strumieniem, płynącym w poprzek łagodnego zbocza porośniętego sosnowym lasem.

Sam tymczasem mówiła dalej:

– Kiedyś Hannibal zniszczył to, co było moją przeszłością, a teraz ty zniszczyłeś mi wszelką przyszłość. No bo kim ja teraz będę do końca życia?

Wyrzutkiem społecznym, przestępcą ściganym przez wszystkich przedstawicieli prawa i łowców nagród. Co chwilę będę się oglądać, zastanawiając się, czy ktoś mi nie strzeli w plecy.

Trace wypił kolejny łyk kawy i nadal milczał.

– I taka odtąd będzie moja przyszłość – kontynuowała Sam tym samym tonem. – Mogę się założyć, że za kilka dni na terytorium całego stanu będą wisiały listy gończe „Sam Kincade poszukiwany żywy lub martwy”. A mój jedyny krewny, sędzia Mockton, nie tylko nie stanie w mojej obronie, ale sam te listy podpisze. I skąd e mnie na śmierć przez powieszenie, jeżeli zajdzie taka potrzeba! A to wszystko przez ciebie!

– Nie prosiłem cię, ebyś podpałała areszt. – Trace nadal patrzył przez okno i rozglądając się po okolicy. Nie mógł zobaczyć, co dzieje się za jego plecami, ale gotów byłby przysiąc, że Sam zaciska pięści.

– A jak bez podpalenia miałam cię stamtąd wydostać?! – zapytała jeszcze bardziej agresywnie. – Dałam słowo, a słowa zawsze dotrzymuję!

Obrócił się i przyjrzał się uważnie jej zaczerwienionej z emocji twarzy i gniewnym oczom. Ta młoda kobieta chyba naprawdę uważała, że jej życie zostało zrujnowane, i to właśnie przez niego. Nie dostrzegła w tym nawet cienia własnej winy.

– Zastanów się sama, jak to wygląda – rzekł, starając się zachować spokój. – Razem ze swoim wujem obmyślasz intrygę i wysłane z palca oskarżenie, potem walisz mnie kolbą w łeb, zakuwasz w kajdanki, wsadzasz do więzienia, z którego wyjść mogę tylko na szafot, i po tym wszystkim masz jeszcze czelność obwiniać mnie za twoje kłopoty! Jeszcze masz mi coś za złe!

To ju naprawdę szczyt wszystkiego!

– Owszem, mam ci za złe! – wykrzyknęła Sam. – Mam ci za złe to, że uratowałeś mi życie, bo przez to zmusiłeś mnie, ebym ci była wdzięczna, ebym miała w stosunku do ciebie dług! Tylko dlatego dałam ci słowo, że nie zostaniesz powieszony. A wcale nie jestem pewna, czy ci się to nie należało...

– Czegoś tu nie rozumiem. – Trace patrzył na nią uważnie. – Czy wolałabyś, ebym cię wtedy nie ratował i pozwolił ci umrzeć tam na prerii?

Sam długo się zastanawiała.

– Nie – odparła w końcu i westchnęła głęboko. – Nie będę gotowa na śmierć, dopóki nie dopadnę Hannibala Cotwella i nie wpakuję mu kuli między oczy! Tak więc za to uratowanie życia muszę ci być wdzięczna, niewątpliwie.

Ale to w niczym nie zmienia faktu, że tylko przez ciebie stałam się ściganą przez prawo przestępcą. I za to sprząłabym cię z prawdziwą przyjemnością!

Nawet nie wiesz, z jak wielką!

– To interesujące – powiedział Trace. – Bo ja również miałbym ochotę cię sprząć i dobrze wiem za co! Tak że lepiej nie próbuj, bo mogę skorzystać z okazji.

Sam podniosła się powoli, a jej dłoń odruchowo opadła na rękojeść colta.

– Taki jesteś pewny? – W jej oczach błysnęło wyzwanie. – No to dalej, wstawaj! Chcesz oberwać? To masz naprawdę znakomitą okazję!

Trace w pierwszym odruchu rzeczywiście ruszył ku niej z zaciśniętymi pięściami, ale w tej samej chwili zdał sobie sprawę, e przecie ma do czynienia z kobietą. Zatrzymał się więc i opuścił ręce, za co natychmiast zapłacił. Sam mocnym ciosem trafiła go prosto w oładek. Zamierzała jeszcze poprawić, ale zdążył chwycić ją za nadgarstek. Kiedy podejmowała wyzwanie, nie było z nią artów. Trafiła go tylko jednym ciosem, a i tak bolało jak wszyscy diabli.

Jednym ruchem wykręcił jej ramię do tyłu i na plecy. Z tego chwytu nie była w stanie się uwolnić, mimo sporej siły i niezwyklej młodzieńczej gibkości.

Wolną ręką złapał jej rewolwer i rzucił go na stół, gdzie ju nie mogła go dosięgnąć.

– Puść mnie, ty sukinsynu!

– Im bardziej będziesz się szarpać, tym bardziej będzie bolało.

Tylko tego jeszcze brakowało, eby się bić z kobietą! Ale jakoś naleało ją poskromić.

Tak jak przypuszczał, ostrze enie nie poskutkowało. Sam za wszelka cenę usiłowała wyrwać się z obezwładniającego ją chwytu, zwijała się jak wąż, szarpała, dyszała cięko i krzyczała z bólu, ale nawet na moment nie przestała walczyć.

Nagle obrócił ją twarzą ku sobie, puszczając jednocześnie jej nadgarstek.

Zanim zdążyła się zorientować, zarzucił ją sobie na ramię i niósł ku otwartym drzwiom niczym worek kartofli. Znów zaczęła się szarpać i bić go pięściami po plecach, mocno i boleśnie. Mimo to udało mu się przenieść ją przez próg na tonącą w słońcu i kwiatach polankę nad górskim strumieniem. Powietrze pachniało sosnową ywicą i wiosną, w zaroślach śpiewały ptaki.

Bez zbytnich ceregieli wrzucił ją wprost do strumienia.

Zostajesz w wodzie, dopóki nie ochłoniesz! – oznajmił tonem kategorycznego rozkazu. Usadowił się na brzegu strumienia i, wciąż trzymając wycelowany w nią rewolwer, spoglądał na gramolącą się z wody Sam.

Była teraz na samym środku, na wirowym dnie niezbyt głębokiego nurtu.

Bystra woda z lekkim szumem opływała jej ciało. Krztusząc się i plując, Sam wyprostowała się do pozycji siedzącej i wściekłym ruchem odgarnęła spadające na twarz mokre włosy, po czym obróciła się w kierunku Trace'a i obrzuciła go przekleństwami.

– Od tej chwili ju nie zaśniesz! Zastrzelę cię, gdy tylko zmruysz oczy!

– Nie zastrzelisz – odpowiedział ze spokojem, który rozwścieczył ją jeszcze bardziej. – Gdybyś chciała, ebym nie ył, wystarczyłoby nie podpalać więzienia.

Sam walnęła pięścią w wodę, opryskując parę świstaków, które z drugiego brzegu z zaciekawieniem przyglądały się tej scenie.

– Nienawidzę cię! – krzyknęła. – Nienawidzę!

– Chyba to ju ostatnio ustaliliśmy, e oboje nie znosimy się nawzajem.

Zatem nie jest to nic specjalnie nowego.

Tak naprawdę Trace nie przypominał sobie, by kiedykolwiek nienawidził

czy choćby tylko nie znosił jakiejś kobiety. Ale te nigdy dotąd nie spotkał

takiej jak Samantha Kincade. Jednak słowo „nienawiść” byłoby tu chyba zbyt mocne. Szczerze mówiąc, w ogóle nie bardzo wiedział, co do niej czuje.

– Co to za miejsce i czyja to chata? – zapytał tonem lekkiej konwersacji, nie przestając jednak trzymać jej na muszce rewolweru.

Malutką polankę, przez którą przepływał strumień, ze wszystkich stron otaczały wzgórza, porośnięte krzewami i gęstym lasem, w którym dominowały osiki i sosny. Ktoś nieznający tego terenu mógłby przejechać tu obok i w ogóle nie zauważyć całkowicie osłoniętej drzewami chaty. Wyzej, naprzeciwległym zbocz, mo na było dostrzec zarośniętą ściekę i resztki jakiejś dawno porzuconej kopalni. Teraz było to całkowite odludzie.

– Dwa lata temu złapałam i oddałam pod sąd niejakiego Boba Barzela, ściganego listem gończym za zamordowanie w celach rabunkowych starego górnikapozukiwacza. Z wdzięczności za ujęcie mordercy wdowa po tym górniku dała mi tę chatę, z której ju i tak nie zamierzała korzystać. Teraz to wszystko jest moje. Nikt nawet nie wie, e tt... tu w ogóle jest jakaś cha...

chata...

Trace nie mógł nie zauważyć, że Sam już szczyka zębami z zimna.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się szeroko.

– Wygląda na to, że nie jesteś aż taka twarda, jak myślisz. Chyba zaczyna cię trząść.

– A ciebie to cieszy! – odpowiedziała z przekąsem. – Prawdę mówiąc, zmarłam już na kość. Kiedy pozwolisz mi stąd wyjść?

Trace opuścił broń.

– Moesz już teraz, jeśli tylko obiecasz zachowywać się przyzwoicie, jak przystało damie.

Sam chlapnęła wodą w jego stronę i roześmiała się szyderczo.

– Mógłbyś wymyślić coś mniej niedorzecznego. Nie potrafiłabym zachowywać się jak dama, nawet gdybym chciała, a nie mam na to najmniejszej ochoty! W ogóle nie wiedziałabym, jak się to robi.

Trace rzeczywiście nie bardzo wyobraził sobie Samanthę Kincade w roli wytwornej damy. Wprawdzie jej zgrabne kształty miały w sobie pewien naturalny kobiecy wdzięk, ale maniery, sposób myślenia i zachowanie były już zdecydowanie bardziej męskie. W jakiś sposób była wciąż jedyna w swoim rodzaju.

Walcząc z silnym prądem górskiego strumienia, sama starała się podnieść i stanąć na nogi, ale przewróciła się niemal od razu. Nie próbowała już wstawać; na wpeł płynąc, dotarła jakoś do brzegu i wyciągnęła do Trace'a drzącą z zimna dłoń.

– Moesz mi podać rękę?

Dentelmen z Południa w takich przypadkach reaguje odruchowo, toteż Trace spełnił jej prośbę, zanim zdążył się w ogóle zastanowić. Tymczasem Sam pochwyciła wyciągniętą ku niej rękę i gwałtownym szarpnięciem pociągnęła go do wody. Zwalił się jak długi, z bardzo efektownym pluskiem. Co gorsza, jego rewolwer został na brzegu i po chwili znalazł się w dłoni złośliwie uśmiechniętej Sam.

– Czy mi się zdawało, czy te mówiłeś coś, że nie potrafię być dość twarda? – spytała, z przyjemnością spoglądając na niego z góry. – Chyba teraz jeszcze raz to sobie przemyślisz, prawda?

Trace usiłował stanąć na nogi, ale Sam nacisnęła spust i kula trafiła w wodę tu przed jego nosem.

– Co ty, u diabła, robisz?! – wrzasnął, cofając się odruchowo. – To było o wiele za blisko!

– Nie pozwolę ci wyjść z wody, dopóki się nie umyjesz. Śmierdzisz zupełnie nieładnie! Wystarczy pociągnąć nosem, aby już na kilometr poznać, że musiałeś siedzieć w więzieniu. Ściągnij z siebie te cuchnące łachy i wyszoruj je wirowym i piaskiem!

Trace usiadł na pokrytym spienioną wodą skalnym progu i ostentacyjnie skrzy ował ręce na klatce piersiowej. Chyba chciał wyglądać stanowczo i niezłomnie, co jednak było dość trudne, jako że spływająca z gór woda naprawdę była lodowata. Musiał zaciskać szczęki, aby nie dzwonić zębami.

– Nie będę się rozbierał tu przed tobą!

– Owszem, będziesz. – Sam wycelowała dokładnie i nacisnęła spust, a kula rozdarła zawinięty rękaw jego koszuli ledwie o parę milimetrów od skóry.

Trace był wyraźnie zaskoczony, co sprawiło jej dodatkową przyjemność. –

Następnym razem będę celowała w środkowy guzik – powiedziała, uśmiechając się słodko.

– Gdzie, u diabła, nauczyłaś się tak strzelać? Uśmiech znikł z jej twarzy.

– Ojciec mnie nauczył – odparła. – No a teraz zdejmuj to śmierdzące ubranie. I to ju !

Trace popatrzył na nią i zaczął odpinać guziki koszuli.

– Robię to tylko dlatego, że rzeczywiście potrzebuję kąpieli...

– Akurat!

– ... a nie dlatego, że mi rozkazujesz. Kobieta nie będzie mi rozkazywać!

– Popatrzył na jej doszczętnie przemoczone ubranie. – Zwłaszcza kiedy sama wygląda jak zmokła kura. Gdybyś miała odrobinę zdrowego rozsądku, dawno ju zdjęłabyś te mokre szmaty. Przecie tu nawet w słońcu jest zimno!

– Niech ka dy martwi się o siebie! – powiedziała Sam, przyglądając się, jak rozpina ostatnie guziki i ściąga z siebie koszulę. Teraz musiało mu być jeszcze bardziej zimno niż jej, a przecie naprawdę niewiele brakowało, by zaczęła szczekać zębami.

Trace te to zauważył.

– Idź się przebrać! – poradził, rzucając na brzeg zdejmowane po kolei buty i skarpetki. – Bo jak się będziesz tak trząść, to w końcu naprawdę może mnie postrzelić, nawet zupełnie niechcący!

– Spokojna głowa! – Sam wycelowała tym razem oburącz, tak że rewolwer ani drgnął. – No a teraz zdejmuj resztę! Zobaczmy, jak ci to idzie, kiedy ktoś na ciebie patrzy..

– Tak? No to proszę cię bardzo! – Trace wyprostował się, odpiął pas i zaczął walczyć z guzikami, które nie bardzo chciały przechodzić przez namoknięte dziurki. – Mo że ju czas, abyś zobaczyła, jak wygląda prawdziwy męczyzna.

Rozpiął ostatni guzik, spojrzał na nią i ujrzał napływający na jej policzki zdradziecki krwistoczerwony rumieniec. No, ale w końcu sama tego chciała.

Zsunął spodnie tak nisko, jak się tylko dało, z pewnym trudem wyciągnął

z nich po kolei jedną i drugą nogę, po czym wyprostował się ju całkowicie nagi, a spodnie zręcznym kopnięciem rzucił na wystające z wody przybrzeże na kamienie.

Sam nie odwróciła wzroku. Przyglądała mu się zupełnie otwarcie, raz i drugi nieświadomie przelękając ślinę i wciąż trzymając go na muszce rewolweru. Jej wzrok przesunął się w dół, po pięknie umięśnionej klatce piersiowej i płaskim brzuchu, i zatrzymał się ni ej, na jego męskości, nieco skurczonej od bardzo zimnej wody. Widząc to, Trace odruchowo próbował się zasłaniać dłonią, ale szybko z tego zrezygnował. Nie dbając ju zupełnie ani o szeroko otwarte oczy Sam, ani o wciąż wycelowany w niego i nieco rozdygotany rewolwer, zaczął się oplukiwać, a potem szorować drobnym wirem i piaskiem.

Był rzeczywiście spokojny i rozluźniony, natomiast spokój Sam był tylko pozorny. Próbowała udawać rozbawienie, usiłowała coś powiedzieć, ale tak naprawdę nie była w stanie wyjąkać nawet jednego słowa. Wciąż tylko stała i patrzyła, podczas gdy Trace, ignorując ją ju zupełnie, kontynuował ablucje.

Woda była naprawdę piekielnie zimna, ale przyjemność zmywania kolejnych warstw więziennego brudu była nieporównanie większa od dyskomfortu wywołanego niską temperaturą, a tak e świadomością, e Sam Kincade wciąż mu się przygląda. Zresztą, gdy po chwili znów spojrział w kierunku brzegu, zobaczył, e ju jej tam nie ma.

Nie wytrzymała dojmującego chłodu i pędem pobiegła do chaty, eby przebrać się w zapasowe rzeczy, które miała w przytroczonych do siodeł

sakwach. Pośpiesznie zrzuciła z siebie mokrą bluzę i spodnie, wytarła się wiszącym na gwoździu starym ręcznikiem i z prawdziwą ulgą wciągnęła na siebie suche ubranie.

Zdą yła to wszystko zrobić przed powrotem Trace'a, i to było najwa niejsze.

Teraz słyszała go, jak, wciąż jeszcze siedząc w wodzie, wyśpiewuje na całe gardło starą piosenkę o wojaku Johnnym. Z jakiegoś powodu mocno ją to irytowało. Śpiewając tak głośno, Trace najwyraźniej chciał pokazać, e

lodowata górską woda to dla niego fraszka, a kąpiel w takiej temperaturze to prawdziwa przyjemność.

Sam raz i drugi przejechała ręcznikiem po wilgotnych włosach, przeczesala je palcami, po czym obróciła się, bezwiednie zagryzając wargi, i na palcach podeszła do okna. Kryjąc się za framugą z prawej strony, mogła niezauwa ona podglądać Trace'a.

Le ał teraz w płytkiej wodzie, z której wystawała mu tylko głowa i ręce, i

– nieludzko chlapiąc na wszystkie strony – mył sobie twarz oraz włosy, a w przerwach śpiewał wciąż tę samą piosenkę. Dość czysto i bardzo głośno.

Gdy Johnny wróci ju do domu, gdy Johnny...

Po dokończeniu refrenu jeszcze raz zanurzył głowę, potem raz i drugi przejechał palcami po włosach, eby wycisnąć z nich wodę, w końcu otrząsnął

się i zaczął się podnosić. Sam gwałtownie wciągnęła powietrze i wstrzymała oddech.

Teraz widziała go znów w całej okazałości, z twarzą wzniesioną ku niebu i uniesionymi rękami, którymi jeszcze raz przeczesał włosy, usuwając z nich resztki wody. Potem opuścił dłonie i przejechał nimi po twarzy, klatce piersiowej i udach, strącając z ich gładkiej skóry ogromne krople, co Sam obserwowała głęboko poruszona, zagryzając z emocji wargi.

W pewnej chwili zdała sobie sprawę, e kurczowo trzyma się framugi okna, na której chyba musiały pozostać ślady jej paznokci, i e jest cała rozpalona i zgrzana jak po jakimś ogromnym wysiłku. To jednak był

emocjonalny wstrząs.

Na przestrzeni ostatnich lat zdarzało się jej widzieć mę czyzn częściowo rozebranych, w takiej czy innej sytuacji. Głównie dotyczyło to zatrzymywanych przez nią przestępców, którzy – uwa ając ją za mę czyżną takiego samego jak oni – nie krępowali się przy niej specjalnie choćby przy załatwianiu potrzeb fizjologicznych. Tak więc nieraz kątem oka dostrzegała ich rozpięte spodnie, nagie pośladki, a czasem tak e i resztę. W sumie więc widziała wszystko, ale zawsze fragmentarycznie i raczej bez specjalnego wra enia. I dopiero teraz, po raz pierwszy, oglądała nagiego mę czyżną w całości.

W dodatku ten nagi Trace Harden wydał się jej zachwycająco piękny.

Doskonałość jego ciała wręcz zapierała dech w piersiach. Gdy na niego patrzyła, coś ścisnęło ją za gardło, odbierało mowę... i rozsądek.

Jego skóra była zaskakująco jasna i gładsza, ni się spodziewała. Miał

idealnie proporcjonalną sylwetkę, mocne ramiona i strzeliste uda, a rysujących się pod skórą mięśni z pewnością mogliby mu zazdrościć wszyscy. Sam nigdy nie spodziewałaby się takiej muskulatury u człowieka, którego zawodem była gra w karty. Wyglądał raczej jak doskonały atleta, a lśniące w promieniach słońca ciemne owłosienie szerokiej klatki piersiowej i pewnych partii brzucha i ud jeszcze dodawało mu zmysłowości. Zaró owione od zimnej wody pośladki wyglądały tak, jak gdyby były wykute z marmuru.

Gdyby nie brak figowego listka, mógłby być modelem postaci nagiego archanioła, którą mała Sam Kincade zapamiętała niegdyś z ryciny, znajdującej się w egzemplarzu Biblii nale ącym do pastora Mossa. Ta rycina podówczas wstrząsnęła nią chyba równie mocno, jak teraz poruszył widok nagiego Trace'a Hardena. Przyglądała się zwłaszcza temu szczególnemu miejscu, na którym powinien znaleźć się figowy liść, i czuła, jak jej twarz znów staje się coraz bardziej rozpalona. Dziwne, pulsujące dreszcze przebiegały przez jej ciało, koncentrując się głównie w okolicach podbrzusza.

Sam przebywała w świecie mę czyzn wystarczająco długo, by co nieco wiedzieć o seksie i o tym, jak

się to mniej więcej odbywa, gdy kobieta i męczyzna są razem. Dotychczas jednak te docierające do niej relacje o takich czy innych seksualnych dokonaniach skłonna była odbierać jako w znacznym stopniu zmyślane, mało poważne, a chwilami nawet komiczne. Mimo usilnych starań wciąż nie potrafiła zrozumieć, po co właściwie męczyzna i kobieta tarzają się ze sobą nago. To wydawało jej się dość enigmatyczną i niemądrą stratą czasu.

Teraz jednak czuła coś zupełnie innego. Kiedy widziała Trace'a, ocierającego wodę ze swego nagiego ciała, odruchowo przełykała ślinę i przypominała sobie jego pocałunek... i tę słodką falę gorąca, która wtedy nagle przepłynęła przez jej ciało. Znowu zaschło jej w ustach, znowu przez wnętrzości przemykały dziwne dreszcze i skurcze. Mobilizując w sobie resztki woli, jakoś oderwała się od okna, odwróciła wzrok i usiadła przy stole. Nadal jednak pozostawała w jakimś obezwładniającym transie, i nawet próbowała sobie wyobrazić, co by czuła, gdyby całowała się z kimś nago... gdyby oboje byli nago... Kiedy w końcu zdała sobie sprawę, o czym właściwie rozmyśla, znowu zaczerwieniła się po uszy, tym razem z powodu wstydu.

Znowu dobiegł ją głos Trace'a, który teraz był chyba znacznie bliżej.

Gdy Johnny z wojny wróci – gdy Johnny!

Spojrzała przez okno. No tak! Wygramolił się ze strumienia i szedł w kierunku chaty, wciąż zupełnie nagi! Sam zerwała się i gorączkowo zaczęła przepatrywać podróbną sakwy, szukając tej, w której upchnęła przygotowane dla niego zapasowe ubranie. Drącymi palcami odpinała kolejne paski sakwy, a w końcu natrafiła na właściwą. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego a tak się tym przejmuje. Pędem podbiegła do drzwi i wyrzuciła przez nie parę wygniecionych, ale czystych spodni i białą koszulę.

Golusieńki Harden spojrzał na nią złym wzrokiem i pochylił się, by podnieść jedno i drugie, a Sam cofnęła się do wnętrza chaty i, cięko dysząc, przywarła do ściany, usiłując się uspokoić i przeczekać gwałtowne bicie serca, które znowu zachowywało się tak, jak gdyby chciało wyskoczyć z piersi.

„Weź się wreszcie w garść! – mruknęła do siebie. Nie rozumiała, co się z nią dzieje, ale była pewna, że wszystkiemu winien jest właśnie Harden.

Niczego innego zresztą nie mogła na siebie być po nim spodziewać.

Nalała sobie jeszcze jeden kubek gorącej kawy i próbowała jakoś zapanować nad swymi poplątanymi odczuciami, a przynajmniej jako tako się w nich rozeznać. Na pewno byłoby jej łatwiej, gdyby potrafiła być naprawdę na niego wściekła, choćby tak jak przez kwadrans. Ale nie umiała już w sobie odnaleźć tej niedawnej złości. To wszystko stawało się coraz bardziej niedorzeczne.

Zakłopotana i zawstydzona własną słabością, siedziała w milczeniu nad stygnącą kawą i nie odezwała się nawet słowem, gdy na progu pojawił się Trace, wyraźnie odświeżony, pachnący już tylko wodą i słońcem. Podeszedł do garnka z kawą, nalał sobie pełen kubek i usiadł przy stole naprzeciwko Sam.

Z jakiegoś powodu unikał jej spojrzenia.

– Trzeba się pewnie zastanowić, co dalej? – powiedział, wciąż wpatrując się gdzieś w ścianę ponad jej głową. – W strumieniu są pstrągi, więc pewnie da się je złapać i zrobić z nich jakiś obiad. A potem chyba wyjedziemy stąd, ka de z nas w swoją stronę...

Sam przesunęła się tak, eby nie siedzieć w pełnym świetle wpadającego przez okno słońca. Usiłowała się skupić, ale jej myśli wciąż powracały do tego miejsca, które archanioł z ryciny miał wprawdzie osłonięte listkiem figowym, ale kąpiący się Trace Harden jeszcze przed chwilą nie miał... e te ju nie masz o czym myśleć! – skarciła się w duchu i cicho spytała:

– Dokąd chcesz jechać?

Trace lekko wzruszył ramionami.

– Pewnie wrócę do Dogtown. – Przejechał palcami po włosach, które zdążyły ju prawie wyschnąć. – Mo e Mattie Able wróci. Albo ktoś inny będzie coś wiedział o Hannibalu. Zmarnowałem bez sensu bardzo wiele czasu. W ogóle ta jazda do Denver kosztowała mnie za du o, pod ka dym względem... Sam natychmiast zeszywniała. Czy te słowa oznaczały, e chciał jej robić wyrzuty? I mo e nawet wrócić do stanu wojny?

– Myślałam, e ju ze sobą nie walczymy. – Jej ton od razu stał się ostrzejszy. – e bitwa w strumieniu nam wystarczy.

Promienie słońca jeszcze bardziej rozjaśniały złotawe tęczęwki Trace’a.

– Nie mam w zwyczaju u ywać siły przeciw kobietom i przepraszam za moje zachowanie – odezwał się znacznie ju łagodniej. – Nie chcę prowadzić z tobą wojny. Chcę tylko odjechać. Chyba im szybciej, tym lepiej.

– Te jestem tego zdania – zgodziła się Sam. Nie miała jednak zbyt wesołej miny. – Ale pomysł z jazdą do Dogtown nie jest zbyt rozsądny! –

dodała po chwili. – Będiesz musiał jechać przez Denver i ktoś cię mo e rozpoznać. Mogę się zało yć, e całe miasto jest ju oblepione listami gończymi...

Trace spojrział na jej nagle posmutniałą twarz i sterczące w nieładzie lekko wilgotne włosy, połyskujące w słońcu złotem i czerwienią. To zadziwiające, jak bardzo potrafiła się zmieniać. Jeszcze parę minut temu sprawiała wra enie osoby mocnej i twardej jak krzemień – a teraz wyglądała na wrzuconą tu z całkiem innego świata młodziczką dziewczynę, w ubraniu ze starszego brata, rozczulająco świe ą i bezbronną... i bardzo przez to pociągającą.

Nagle poczuł się skrępowany faktem, e paradował przed nią zupełnie nagi, choć jednocześnie nie przeszkadzało mu wspomnienie jej nagości – mimo upływu kilku tygodni wciąż ywe i niezwykle wyraziste. Tak, to było naprawdę coś zachwycającego... i wzruszającego.

– Boisz się własnej kobiecości, prawda? – zapytał bardzo miękko, eby jej nie urazić.

Ale i tak poczuła się ura ona i jej policzki zaczerwieniły się gwałtownie.

– Niczego się nie boję! – wykrzyknęła. Zaprzeczała jednak zbyt gwałtownie.

– Myślę, e jednak się boisz. Nie chcesz się pogodzić z faktem, e jesteś kobietą, bo to budzi w tobie lęk.

– To nie ma nic wspólnego z lękiem, bo wcale nie muszę się tego bać.

Czy nie przyszło ci do głowy, e mo e być zupełnie inaczej? e ja po prostu nie mam ochoty być kobietą? Choćby dlatego, e lubię być niezależna, lubię sama podejmować decyzje. I nie mam najmniejszej ochoty na to, eby jakiś nadęty samiec mówił mi, co mam robić, albo eby podkopywał we mnie wiarę we własne możliwości, wmawiając mi, e musi się mną opiekować. Tak jakbym nie potrafiła troszczyć się o siebie sama!

Trace pokręcił głową.

– Opieka nad słabszą płcią jest obowiązkiem męczyzny. A większość kobiet ceni fakt, e ktoś się o nie troszczy...

Sam nie pozwoliła mu skończyć.

– To tylko wy, męczyźni, chcecie, eby kobiety tak myślały! I właśnie dlatego nie mam ochoty być kobietą, a w każdym razie nie taką! Być zależną od jakiegoś męczyzny? Mowy nie ma! Nie ma nic gorszego niż taka zależność.

Chcesz przykładu? – Spojrzała na Trace'a i oczy jej błysnęły. – No to przypomnij sobie list własnej matki, gdzie pisze ci, jak to przez dwa tygodnie ten sukinyś Hannibal ją więził i gwałcił w jej własnym domu.

Twarz Trace'a natychmiast stępsła.

– Ette zostaw w spokoju – powiedział. – Nie będziemy o niej mówić.

– Ja te nie zamierzam mówić o niej, tylko o sobie – odparła Sam. – No bo wyobraź sobie, e jakiś podobny sukinyś próbowałby tak więzić mnie! I jak myślisz, jak by się to dla niego skończyło? Na pewno nie poszłoby mu to tak łatwo, bo po prostu nie wyobraziłabym sobie, ebym przez dwa tygodnie nie potrafiła wynaleźć jakiegoś rodzaju broni, a potem okazji do jej użycia. I to on skończyłby źle, nie ja! A dlaczego?

Właśnie dlatego, e nie siedziałabym bezradnie w oczekiwaniu na męczyznę, który mnie uratuje! Nigdy taka nie będę!

Mówiąc to, Sam zastanawiała się mimo woli, do jakiego stopnia Etta Harden była odpowiedzialna za to, co się stało? I co dokładnie się wtedy wydarzyło? Ale w tym momencie Trace'a nie można było o to pytać.

Jego oczy błyszczały niebezpiecznie.

– Etta rzeczywiście nie była taka jak ty – rzekł, marszcząc czoło. – Była damą!

– Przecie ja o tym właśnie mówię! – wykrzyknęła Sam. – Bycie damą wią e się z bardzo określonym wyglądem, sposobem bycia, zachowywania się.

To nie tylko haleczki, falbaneczki, gorseciki, ale i cała postawa typu: „Ach pomó mi, jestem taka bezradna!” Ja taka nie jestem i myślę, e nigdy nie będę.

I dlatego w roli chłopaka jestem na pewno lepsza, ni byłabym w roli takiej kobiety!

Przez chwilę wyglądało na to, e Trace chce się z nią spierać, ale w końcu uznał, e lepiej zmilczeć. Zacisnął wargi, podniósł się zza stołu i ruszył w kierunku drzwi.

– Idę ustawić pułapkę na ryby – rzucił przez ramię. – A ty mo e sprawdź

ruszt i zobacz, czy w tym piecu da się coś upiec.

Trudząc się nad zbudowaniem pułapki, indiańskim sposobem splatanej z gałązek, Trace z pewnym zaskoczeniem uświadomił sobie, e planowane rozstanie się z Samantha Kincade wcale nie musi być dla niego takie łatwe.

Choć akurat ją rzeczywiście trudno byłoby nazwać bezbronną kobietą, jakiś przemo ny instynkt budził w nim chęć zaopiekowania się nią, niezale nie od tego, czy sobie tego yczyła, czy nie.

Z figury – nawet ukrytej pod męskim przebraniem – była bezsprzecznie bardzo kobieca, czego jednak nie mo na było powiedzieć ani o jej manierach, ani o sposobie bycia. Tu była zdecydowanie bli sza typowo męskiej osobowości

– niezale na, zuchwała, waleczna i wręcz nieustraszona. Rezultat był taki, e w przyjętej na siebie roli młodego chłopaka potrafiła z pewnym powodzeniem funkcjonować w otaczającym ją świecie, natomiast jako kobieta – z tego rodzaju nawykami i postawą – w najlepszym razie byłaby uwa ana za dziwadło i najpewniej zostałaby odtrącona przez obie płcie.

Przy tym wszystkim Trace nie potrafił się powstrzymać od spontanicznej sympatii, jaką odczuwał w stosunku do tej niezwykle dzielnej młodej kobiety, z własnego wyboru samotnej i nie pasującej w tym świecie do nikogo i do niczego.

Cierpliwie ustawiał w wybranym miejscu gotową ju pułapkę i nadal myślał o Sam Kincade. Zastanawiał się, co właściwie mo e go w niej pociągać.

Z niejakimi oporami musiał przyznać, e przynajmniej w pewnej części bierze się to z uznania i szacunku dla jej dzielności i dotychczasowych dokonań w bardzo przecie trudnym zawodzie łowcy nagród.

W końcu naprawdę trzeba było mieć nie lada odwagę i fantazję, eby z bronią w ręku samotnie ścigać najgroźniejszych przestępców, dla których zabijanie było niemal chlebem powszednim. Trace nie mógł nie zdawać sobie sprawy, e wielu nieporównanie silniejszych od niej mę czyzn nie odwa yłoby

się podjąć takiego ryzyka.

Sam Kincade była te dobrym towarzyszem podróży. Bardzo samodzielnym i przez to niekłopotliwym. Sama oporządzała konia, pakowała podróże sakwy, potrafiła polować, zastrzelić królika, rozpalić ogień i przygotować gorący posiłek. Wszystko to robiła bardzo sprawnie i efektywnie, nigdy się nie uskarżając i nie prosząc o pomoc. Chcąc nie chcąc, Trace musiał

porównać ją tu z nią i rezultat tego porównania mówił sam za siebie. Etta absolutnie nie dałaby sobie rady w tych warunkach, bałaby się tak prerii, jak i górskiego odludzia, nie poradziłaby sobie ani z ogniem, ani z posiłkami, ani w ogóle z niczym. A o tym, by potrafiła zaplanować i skutecznie zrealizować uwolnienie więźnia zza krat strzeżonego aresztu, nie warto było nawet myśleć.

Trudno było sobie wyobrazić, by Etta mogła choćby na chwilę zostać sama w takiej traperskiej chacie albo cokolwiek w niej zrobić. Natomiast Sam z tym wszystkim dawała sobie radę śpiewająco.

A poza tym coraz bardziej mu się podobała. Miała bardzo szczególną, zupełnie niezwykłą urodę – i im dłużej ją znał, tym mu się wydawała piękniejsza, nawet w męskim przebraniu. Jej wspaniałą dziewczęcą figurę miał

przed oczami nawet wtedy, gdy owinięta była w to luźne i całkowicie bezkształtne poncho.

Ustawił gotowy kosz pułapki na ryby i miękką wierzbową gałązką przywiązywał go do gałęzi uschniętego drzewa, które zwały się do strumienia.

Robił to wszystko bardzo sprawnie, ale całkowicie machinalnie. Myślał o czymś zupełnie innym.

Czy Etta rzeczywiście była tak niesamodzielną i krańcowo bezradną, że nie mogła zrobić absolutnie nic przez całe dwa tygodnie, podczas których Hannibal terroryzował ją i gwałcił? Dwa tygodnie to jednak dużo. Musiały przecie być takie chwile, kiedy jego czujność słabła. Trudno było sobie wyobrazić, by Hannibal nie pił, a jeśli pił, to zapewne musiał być nieraz mocno pijany, musiał te spać. Tak więc osoba bardziej samodzielna i zaradna z pewnością znalazłaby okazję do ucieczki czy choćby wezwania pomocy. Etta te pewnie mogłaby czegoś spróbować – dlaczego więc tego nie zrobiła?

Dlaczego nie podpałała firanek, nie rzuciła czymś w okno, aby zasignalizować, że coś złego dzieje się w domu? Dlaczego nie zaatakowała śpiącego Hannibala kuchennym nożem albo pogrzebaczem?

Teraz, gdy wypowiedziane mimochodem słowa Sam zasiały w jego umyśle ziarna wątpliwości, wiedział już, że te pytania będą powracały.

Ku jego sporemu zaskoczeniu okazało się, że Sam ma również talent kulinarny.

– Dawno nie jadłem tak znakomicie przyrządzonego pstrąga! –

powiedział ze szczerym uznaniem, odstawiając blaszany talerz. – Za taką domową kuchnię należą się najwyższe pochwały!

Sam popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Nie wydaje mi się, ebym dokonała czegoś szczególnego. Ryby złowiłeś ty sam, a ja tylko znalazłam trochę dzikiej cebuli i parę innych ziół, dodałam soli i po prostu upiekłam to wszystko w brytfannie. Właściwie to nawet lubię gotować, lubię przyrządzać takie różne rzeczy, ale to nie jest nic takiego...

Mówiła to tak, jak gdyby się usprawiedliwiała, jakby dobre gotowanie było wadą, z której należało się tłumaczyć. Jakby obawiała się, e Trace zacznie się z niej śmiać, a ona znów będzie musiała się bronić. Nigdy dotąd nie spotkał

człowieka a tak nieufnie przyjmującego komplementy.

Uśmiechnął się na wszelki wypadek, by wiedziała, e komplement był

szczerzy, spojrział na spakowane już sakwy podrózne i zmienił temat.

– Czy może przypadkiem zabrałaś z sobą jakieś pieniądze? – spytał. – I czy zechciałabyś poświęcić mi coś na drogę? Jeśli wyjechałbym w ciągu godziny, myślę e jeszcze za dnia wydostałbym się z tych górskich ostępów bez nadmiernego błędzenia. Pieniądze odesłałbym ci telegraficznie, z procentami.

– To wszystko działo się zbyt szybko – odpowiedziała Sam. – Tak szybko, e w rezultacie nie zabrałam moich oszczędności ze schowka. Ale mam ze sobą trochę pieniędzy, które powinny wystarczyć nam na kilka dni...

Trace spojrział na nią uważnie.

– Nam? – powtórzył, unosząc brwi. – Wydawało się, e nie ma czegoś takiego jak „my”, panno Kincade.

– Właśnie się nad tym zastanawiałam. – Patrzyła na niego z wahaniem.

– Przecie nie znosimy się nawzajem, nie pamiętasz? I to z ważnych powodów. Ty zrujnowałaś moje życie, a ja twoje.

Sam pokręciła głową.

– W pewnym momencie rzeczywiście tak myśleliśmy, ale to jednak nie jest tak. Wszystkiemu winien jest Hannibal Cotwell, a nie ty czy ja. To te straszne zbrodnie, których się dopuścił wobec mojej i twojej rodziny, spowodowały, e musiało dojść do naszego spotkania. I to również on jest odpowiedzialny za wszystkie katastrofalne skutki tego spotkania. Wycofuję się z moich wcześniejszych oskarżeń, wycofuję się z dotychczasowego myślenia. Jest jednak coś, co się między nami nie zmieniło, i to akurat jest sprawa najbardziej zasadnicza. Oboje nadal chcemy śmierci Hannibala. To wciąż nas łączy, nie uważasz? Trace zmarszczył czoło.

– Je eli chcesz przez to sugerować, e powinniśmy połączyć nasze siły, to nic z tego. Nie ufam ci, mówiąc otwarcie, i nie myślę, eby to była nieufność nieuzasadniona.

– Z obu stron! – odcięła się Sam. – Chyba nie sądzisz, e mogłabym bez zastrzeżeń ufać bratu Hannibala Cotwella. Nasza nieufność jest zdecydowanie wzajemna.

– W takim razie dlaczego mówisz o połączeniu sił?

Sam wsparła dłońią podbródek i zastanawiała się przez dłuższą chwilę, od czasu do czasu uderzając czubkami paznokci o swe olśniewająco białe zęby.

– Choćby dlatego, e plan przewidujący wykorzystanie ciebie jako przynęty wcale nie był taki zły. A ja...

– ... a ty wiesz, gdzie jest Hannibal? – dokończył Trace.

– Być może się domyślam – odparła, wydymając wargi i patrząc gdzieś ponad jego głowę.

Trace założył ręce na piersiach i patrzył na nią z grymasem jawnego niedowierzania.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć? Na razie wszystko wskazuje na to, e zamierzaliście mnie powiesić już od pierwszej chwili.

– Gdybym rzeczywiście miała taki zamiar, to po co bym cię wyciągała z więzienia?! – spytała z irytacją. – Musiałabym kompletnie zwariować!

– No a jeśli to moje uwolnienie też było częścią planu? – zastanawiał się głośno Trace. – Powiedzmy, e zostawiasz ślady dla szeryfa Ainsleya, eby mógł iść za nami, a do Hannibala, by potem powiesić od razu obu braci?

– Niezwykle inteligentny plan! – zakpiła Sam. – Ale mogłeś go udaremnić, po prostu zostając w celi. Mimo woli zaczynam się zastanawiać, dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Bo mojej nieufności do ciebie też nie jestem pewien – odpowiedział z ponurą miną.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Zza okna dobiegł krzyk przelatującego ptaka, a potem odgłosy jakiegoś małego zwierzątka, przeciskającego się przez gęste zarośla na tyłach chaty. Jakiś kamyk osunął się po ścieżce.

– Przyznam ci się, e o połączeniu naszych sił myślę chyba z takimi samymi oporami – odezwała się w końcu Sam. – Te mi się to z wielu względów nie podoba. Ale je eli mamy walczyć z Hannibalem na śmierć i życie, musimy patrzeć realnie. Stając przeciw niemu pojedynczo, mamy dużo mniejsze szanse, nawet gdyby nie było przy nim jego ludzi, co jest raczej bardzo wątpliwe. Je eli dojdzie do strzelaniny, moemy wyjść z niej cało tylko wtedy, jeśli będziemy działać wspólnie.

Trace patrzył na nią, machinalnie bębniąc palcami po stole.

– Będę się musiał nad tym zastanowić – rzekł. – Tu jest nad czym pomyśleć.

Sam wzruszyła ramionami.

– No więc pomyśl nad tym! Ale nie w jakiejś nieokreślonej przyszłości, tylko tu, teraz. Idę zająć się końmi i uwiązać je na noc. A kiedy wrócę, chciałabym, ebyś się tu zdecydował, czy działamy razem, czy osobno. Ja w każdym razie zamierzam wyruszyć jutro o świcie. Je eli zdecydujesz się jechać ze mną, musimy parę rzeczy zaplanować.

Po jej wyjściu Trace przez chwilę siedział nieruchomo, a potem podniósł się i stanął przy oknie, przypatrując się, jak Sam prowadzi konie do strumienia.

Słońce tu się zaczynało chować za szczyt i w dolinie zrobiło się ciemniej.

Konie weszły do wody, pochyliły łby.

Trace miał nie lada problem z podjęciem decyzji. Tyle samo argumentów za, co i przeciw.

Gdyby zgodził się jechać razem z Sam Kincade, najprawdopodobniej okazałby się głupcem, i to większym, niż mógłby przypuszczać. Jak miałby ze sobą współpracować, skoro nie tylko sobie nie ufali, ale i się nie lubili? Oboje byli teraz ścigani przez prawo, więc listy gończe pewnie tu zostały rozlepione.

Zdrowy instynkt podpowiadał mu, że w takiej sytuacji bezpieczniej jest jechać samemu.

Z drugiej jednak strony Sam Kincade była rzeczywiście najlepszym strzelcem, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mu się spotkać. Była odważna, nie obawiała się walki i można było mieć pewność, że w odpowiedniej chwili pociągnie za spust. W dodatku miała całkowitą rację co do ludzi Hannibala.

Było raczej pewne, że je eli dojdzie do strzelaniny, po tamtej stronie będzie co najmniej kilka rewolwerów. Z takim dobrym strzelcem jak Sam szanse się wyrównywały. A poza tym Trace z jakiegoś powodu skłonny był wierzyć, że jej domysły na temat miejsca pobytu Hannibala mogą się sprawdzić.

I było jeszcze coś, czego mimo wszystko nie mógł lekceważyć. Od samego początku, nawet przy tych wszystkich dramatycznych i zupełnie niespodziewanych zmianach sytuacji, miał poczucie, że z tą dziwną kobietą wiąże go jakaś nieuchwytna więź, niewidoczna i trudna do nazwania, ale coraz bardziej realna. Chwilami miał wrażenie, że to sam los zacieśnia te więzy i zbliża ich do siebie, niezależnie od ich woli. Tylko w ten sposób Trace mógł

sobie wytłumaczyć niepowodzenie wszystkich kolejnych prób uwolnienia się od niej. W każdym razie, gdy tu był pewien, że mu się powiodło, zdarzało się coś, co znów zderzało ich ze sobą.

Wciąż jeszcze się wahał i rozważał wszystkie za i przeciw, gdy drzwi znów się otworzyły i Sam stanęła na progu.

– No więc? – Wsparła się pod boki. – Jaką decyzję podjąłeś?

– Przedtem powiedz mi jedno: zamierzasz ścigać Hannibala niezależnie od tego, czy będziemy działać razem, czy osobno?

– Oczywiście! – odpowiedziała bez chwili wahania. – Zabicie Hannibala Cotwella jest najważniejszą sprawą w moim życiu. Nie zrezygnuję więc tylko dlatego, że pojawiają się takie czy inne trudności. I nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, żebyś ty zrezygnował. Najwyraźniej los tak chciał. Tracce kiwnął

głową.

– Moje masz rację. Więc skoro los tak chciał, to niech los zadecyduje.

Sięgnął do kieszeni po talię kart, przetasował je błyskawicznie raz i drugi i położył na stole przed Sam.

– Jeśli wyciągniesz wyciągniesz wyśią kartę, jadę z tobą. Jeśli ja wyciągnę wyśią, jedziemy osobno.

– A uczciwie przetasowałeś te karty? – spytała podejrzliwie. Spojrzał na nią z niemym wyrzutem, a Sam tylko wzruszyła ramionami.

– Nie musisz mi mieć tego za złe, ale widziałam, że potrafisz wyciągać asa za każdym razem, gdy zechcesz. Nie mógłbyś tego zrobić bez nieuczciwego przetasowania.

– Znam wszystkie tricki i sposoby oszukiwania przy grze w karty, jakie dotąd zostały wynalezione. Gdybym ich nie znał, moje kasyna musiałyby szybko zbankrutować. Ale sam nie oszukuję... – Chyba że muszę, dodał w myśli. – No to wyciągaj wreszcie tę kartę – ponaglił ją, kiedy wciąż się wahała.

– Niech się to wreszcie rozstrzygnie!

Sam dotknęła talię rozłożyła ją na stole.

– Czy zawsze w ten sposób podejmujesz decyzje? Zdając się na los?

– Czasami tak robię. No wyciągnij chociaż wreszcie. Sam przesuwała palce po kartach.

– Wcale nie dbam o to, czy pojedziesz ze mną, czy nie – powiedziała. –

W gruncie rzeczy wolałabym jechać sama.

– Na razie jednak wyciągnij kartę.

– Zasugerowałam połączenie naszych sił wyłącznie dlatego, że we dwoje mielibyśmy większe szanse przeciwko całej bandzie Hannibala. Ale to tylko techniczna kalkulacja, nic poza tym.

– Zaczekaj! – powstrzymał ją Tracce. – Chciałbym, żeby jedna rzecz była jasna. To nie ty zabijesz Hannibala, tylko ja. I o tym w ogóle nie zamierzam dyskutować!

Sam początkowo chciała stanąć okoniem, ale w końcu uznała, że nie ma się o co spierać.

– Nie jest dla mnie ważne, kto to zrobi, byle udało się go zabić!

– No więc wyciągnij coś, do wszystkich diabłów! Wybrana przez nią karta okazała się czwórka kier. Trace uśmiechnął się samymi kącikami ust, wiedząc, że Sam uzna to za przegraną.

– To głupi sposób podejmowania decyzji! – wykrzyknęła gniewnie, rzucając kartę na stół.

Odwinął mankiety i demonstracyjnie rozluźniał palce, eby ją jeszcze bardziej podrazić. W rzeczywistości decyzję podjął już piętnaście minut temu.

W ten sposób nie mógł pozwolić, by Sam jechała do kryjówki Hannibala samotnie, bez adnego wsparcia przeciwko całej bandzie. Przy takim stosunku sił nie mogłaby wyjść z tego żywca.

– No to teraz ty wyciągnij kartę – ponaglała go, choć jawnie już nie wierzyła w możliwość wygranej. Natomiast Trace udawał, że już wcześniej się triumfalnie. Odsłonił kartę i jego uśmiech nagle zgasł.

– To niesłychane! – wykrzyknął, wpatrując się w odsłoniętą trójkę pik z bardzo przekonująco udanym niedowierzaniem. – Miałaś szanse dziesięć razy mniejsze niż ja!

Sam pokazała wszystkie zęby w szerokim uśmiechu.

– Ale przynajmniej jestem pewna, że nie oszukiwałaś! Trace bezwładnie opadł na krzesło, eby jego postać wyglądała jeszcze bardziej prawdziwie. W

końcu westchnął głęboko i rzekł:

– No więc dobrze, jedziemy razem. A ponieważ to był twój pomysł, to może teraz zechcesz mi przedstawić swój plan. Jak zamierzasz pochwycić tygrysa?

Sam nagle spowaśniała.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – Z jakiegoś powodu patrzyła na niego z niezwykłym przejęciem.

– Chcę. I to bardzo...

Ku jeszcze większemu zaskoczeniu Trace'a, Sam na krótką chwilę przymknęła oczy. Patrząc na nią, gotów byłby przysiąc, że przez jej ciało przebiega jakiś nagły rozkoszny dreszcz. Ale z jakiego powodu?

Zdarzało mu się czasami widywać coś takiego u kobiet, z którymi podejmował erotyczną grę – czasami nawet już przy pierwszych cieplejszych słowach z jego strony. Ale tu przecie rozmawiali tylko o planie działania, o szczegółach w końcu czysto technicznych. W tym, co mówił, nie było nic osobistego, zapytał jedynie o jej zdanie. A może e...?

Tak, to mogło być to. Powiedział jej przecie, że bardzo chce poznać jej poglądy, dowiedzieć się, co ona myśli... Sam nie najlepiej reagowała na komplementy, ale właśnie dlatego sam fakt, że ją pyta o zdanie, mógł wywołać w niej taki rozkoszny dreszcz. Czyżby tak jej na tym zależało?

Przyglądał się jej z lekko zmarszczonym czołem, powa nie się zastanawiając, czy kiedykolwiek uda mu się ją zrozumieć.

A Sam otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego ciepło i promiennie.

Proces wzajemnego uwodzenia się ju się rozpoczął, ale adne z nich jeszcze nie zdawało sobie z tego sprawy.

Uświadomienie sobie istoty pierwszego błędu, który popełniła, zajęło Sam trochę czasu. Pozostałe zrozumiała od razu.

Drugim jej błędem było to, że pstrągi piekła w piecu, a nie na ustawionym na wolnym powietrzu ruszcie. Przez to nad kominem niepotrzebnie ukazywał się dym. Trzeci błąd zrobiła, idąc następnego ranka do strumienia, aby pozmywać talerze przed ich spakowaniem. W ten sposób była bowiem na widoku dla ka dego, kto zechciał skryć się w gęstych krzakach po drugiej stronie strumienia.

Później, kiedy było już po wszystkim, Sam uznała, że ta jej karygodna nieostrość wynikała przede wszystkim z niewyspania i nadmiernego podekscytowania różnymi szalonymi myślami, które kłębiły się w jej głowie podczas niemal całej nocy. Ze względu na szczupłość pomieszczenia musieli układać się do snu na wąskich leżankach, z konieczności ustawionych bardzo blisko siebie. W rezultacie Trace był ledwie o krok od Sam, która, chcąc nie chcąc, słyszała dosłownie każde poruszenie, każde jego oddechy. Tę bliskość odczuwała bardzo intensywnie, niemal przez skórę. O śnie w ogóle nie mogło być mowy. Początkowo jeszcze usiłowała sobie tłumaczyć, że to bierze się ze zbyt głębokiej ciemności, z nadmiernej ciszy leśnego uroczyska albo z za wysokiej temperatury we wnętrzu małej chaty. Nie mogła jednak zbyt długo udawać przed sobą, że nie zna prawdziwej przyczyny swej bezsenności. Tą przyczyną był śpiący tu obok Trace.

Wysłuchiwała się w każde, nawet najdrobniejsze, skrzypnięcie jego legowiska, wkrótce zdała te sobie sprawę, że mimo woli usiłuje dostosować swój oddech do rytmu jego oddechu. Brutalna prawda była taka, że na zaśnięcie nie pozwalały jej kłębiące się w głowie obsesyjne myśli i szalone erotyczne wizje, w których obraz nagiego Trace'a Hardena powracał nieustannie jak natrętny leitmotyw.

Rzeczywistej bliskości jego nagiego ciała pragnęła chwilami zupełnie rozpaczliwie – i równie rozpaczliwie marzyła o tym, aby znów zechciał ją pocałować. W zupełnej ciemności wyobrażała sobie jego pełne, kształtne usta, niemal czuła ich cudownie słodkie dotknięcie na własnych wargach. Gdyby teraz zechciał ją pocałować, oddałaby mu ten pocałunek wiele razy...

Myślała o tym tak i o świcie, kiedy szła do strumienia, aby opłukać talerze. Na pewno oddałaby mu ten pocałunek. Tyle tylko, że nic takiego nie może się już zdarzyć, pomyślała z głębokim smutkiem. Byli tu razem, ale tylko dla zrealizowania wspólnego celu – i tylko z łaski jednej szczęśliwej karty.

Ju pochylała się nad wodą, gdy nagle instynktownie podniosła wzrok.

Rzuciła na ziemię talerze i kociołek po kawie, i sięgnęła po rewolwer, zastanawiając się, czy nie powinna natychmiast skryć się za któryś z większych głazów. Jednak nawet najbliższy z nich był trochę zbyt daleko.

– Kto tam jest?! – krzyknęła w stronę gęstych zarośli po drugiej stronie strumienia.

Nikt się nie odezwał. Szum wody częściowo zagłuszał dobiegające z przeciwnego brzegu odgłosy, nie na tyle jednak, by Sam nie dosłyszała trzasku łamanych gałązek i ciężkich kroków kryjącego się w krzakach człowieka.

Zaczęła się więc pośpiesznie przesuwać w stronę upatrzonego głazu, za którym chciała znaleźć ukrycie dla bezpiecznej obserwacji. Ktoś tam był, a ponieważ się nie odezwał, trudno było przypuścić, by ukrywał się bez złych zamiarów. Sam nie widziała go, ale czuła jego obecność tak, jak się czuje odległy podmuch lodowatego wiatru.

Zdą yła się przesunąć za dość grube drzewo, które rosło w odległości ju ledwie dziesięciu metrów od upatrzonego przez nią głazu.

– Wyjdź stamtąd! – krzyknęła zza drzewa, usilnie wpatrując się w rosnące pod drugiej stronie gęste krzaki dzikiej porzeczki. – Wiem, e tam jesteś!

Huknął strzał i kula utkwiała w drzewie jakieś dziesięć centymetrów ponad jej prawym ramieniem. I zaraz po tym odezwał się gardłowy męski głos:

– Masz pozdrowienia od Edwina Snowa, Kincade.

Dwie kolejne kule uderzyły w pień drzewa, a Sam w tym momencie uświadomiła sobie swój pierwszy błąd. Zupełnie niepotrzebnie wspomniała kiedyś o tej chacie w obecności Millicent Snow. Dzięki temu jej ojciec wiedział, dokąd ma wysłać wynajętego rewolwerowca zabójcę.

Wystrzeliła kilkakrotnie w kierunku, z którego dobiegał męski głos, ale były to właściwie strzały na oślep. Napastnik znajdował się w du o lepszej sytuacji ni ona, ponieważ mógł się swobodnie przemieszczać za osłoną krzaków, ona natomiast była na otwartym terenie i, nawet skryta za drzewem czy gładem, wciąż była dla niego łatwa do zlokalizowania. Na przebiegnięcie do zarośli nie wystarczyłoby jej czasu, byłaby wówczas zbyt łatwym celem.

Sytuacja wcale nie była dobra.

A mogła stać się jeszcze gorsza, gdyby napastnik zdołał obejść Sam z lewej strony i przedostać się przez strumień. Wówczas odciąłby jej odwrót w kierunku chaty i właściwie miałby ją przed sobą na zupełnie otwartej przestrzeni, niemal e jak na strzelnicy. Choć świt ledwie się zaczynał, było ju zbyt widno, by ryzykować poruszanie się bez osłony.

Ledwie zdą yła o tym pomyśleć, gdy odgłos kroków i trzask łamanych gałązek potwierdził jej najgorsze obawy. Napastnik przemieszczał się w lewo i w stronę strumienia. Sam zaczęła strzelać w tym kierunku, wciąż na oślep, a do momentu, gdy wystrzelała wszystkie naboje. Wówczas sięgnęła do kieszeni i nagle zamarła.

Uświadomiła sobie, e zapasowe naboje zapakowała do sakw, które pozostały w chacie. Tymczasem odwrót był ju odcięty.

Napastnik krył się teraz w gęstych krzewach między chatą i strumieniem, podczas gdy ona za osłonę miała jedynie pień drzewa i kilka mizernych krzaczków. Mógłby więc do niej strzelać niemal jak do tarczy, jednak najprawdopodobniej nie był jeszcze pewny, czy Sam nie ma zapasowych naboji, i tylko dlatego nie ruszał do frontalnego ataku. Obserwował ją z ukrycia, zastanawiając się, dlaczego ju do niego nie strzela.

– Teraz ju cię mam, Kincade! Ju mi się nie wymkniesz! – W głosie rewolwerowca była satysfakcja myśliwego, który wie, e zwierzyzna nie

wydostanie się z pułapki.

Huknął strzał i drzazga odłupana z konara tu nad głową Sam lekko zraniła ją w policzek. Napastnik roześmiał się głośno.

– Trzeba być zupełnym głupcem, eby porzucać córeczkę bankiera, nie uwa asz, Kincade? Tata tak się tym wkurzył, e zaoferował tysiąc dolców za twój skalp. I ja ju widzę, e zarobię te pieniądze!

Sam była wstrząśnięta. Mimo groźnych ostrzeżeń sędziego Mocktona nie przypuszczała, e Edwin Snow zdobędzie się na wynajęcie płatnego zabójcy i zaoferowanie tysiąca dolarów za skalp niedoszłego narzeczonego Millicent.

Zimny dreszcz nagle przebiegł po plecach Sam. Gdyby jakimś cudem udało jej się uniknąć śmierci z rąk tego rewolwerowca, w kolejce ju z pewnością czekali następni. I to nie tylko profesjonalni łowcy nagród – niejeden amator za taką sumę z pewnością byłby skłonny spróbować szczęścia. W końcu to nie takie trudne – wystarczy rozpoznać twarz i potem strzelić w plecy...

Wymierzyła broń w kierunku, z którego dobiegał głos, i nacisnęła spust, choć wiedziała doskonale, e mo e liczyć ju tylko na cud. Ale cudu oczywiście nie było i iglica uderzyła bez skutku w wypaloną ju spłonkę. Wychodzenie na zewnątrz bez zapasowych naboji było kolejnym śmiertelnie groźnym błędem, który nie miał prawa jej się zdarzyć. Ale się zdarzył.

W rezultacie tego błędu, całkowicie bezbronna, leżała teraz pod drzewem, twarzą do ziemi, i czekała na nadejście człowieka, który miał ją zabić.

Była wściekła na siebie – nie dlatego, e za chwilę czekała ją śmierć, ale dlatego, e miała umrzeć z takiego powodu i w taki sposób. Wybierając swój zawód, musiała się liczyć z tym, e mo e zginąć, ale zawsze wyobrażała sobie, e jeśli do tego dojdzie, to przynajmniej zginie w obronie najwyższych wartości, w walce z bezprawiem i zbrodnią, w służbie sprawiedliwości. Ten rodzaj śmierci w zasadzie by jej odpowiadał i – prawdę mówiąc – chwilami coś takiego przewidywała, ale oczywiście dopiero po rozprawieniu się z Hannibalem Cotwellem. To byłoby do przyjęcia.

Ale umierać tylko dlatego, e rozwścieczony ojciec Millicent Snow chciał

się zemścić za zerwanie tego tak niedorzecznego narzeczeństwa?! To było haniebne, ałosne i nawet śmieszne. Na samą myśl o tym chciało się wyc.

Trzask gałązek pod stopami zbliżającego się rewolwerowca zwiastował

koniec. Sam ju wiedziała, e pozostała jej jedna lub co najwyżej dwie minuty do śmierci. Pierwsza powinna w zupełności wystarczyć na przebiegnięcie myślenia całego życia, w którym zdarzyło się tak niewiele. Drugą mogła poświęcić krótkiemu westchnieniu nad tym, co mogłoby się dalej przydarzyć, ale ju się nie przydarzy.

Zdążyła się jeszcze zdziwić, e tak szybko to wszystko się dzieje.

Pewny ju swego rewolwerowiec z gotową do strzału bronią w ręku bezgłośnie skradał się kierunku drzewa, za którym ukrywała się jego ofiara.

Poniewa nie próbowała ju strzelać w jego kierunku, był całkowicie przekonany, e w jej rewolwerze skończyły się naboje. Pozostawało mu nie więcej ni kilkanaście metrów. Miękka trawa całkowicie tłumiała odgłos kroków.

Nie tylko jego kroków. Podekscytowany bliskością ofiary, nie usłyszał, e w pewnej odległości za nim, równie wolno i ostro nie, skrada się Trace Harden.

Widziała to natomiast Sam.

Zamarła w przerazeniu, patrząc, jak wynajęty przez Edwina Snowa zabójca wolno podnosi broń, kierując ją w jej stronę, i jak Trace nagle rzuca się do przodu. Strzał padł, ale kula trafiła w ziemię, poniewa Trace o ułamek sekundy wcześniej z całej siły uderzył kolbą rewolweru w czaszkę strzelającego.

Ten zwałił się na trawę bez przytomności.

– Mo esz się ju podnieść, mamy go! – zawołał Trace.

Pochylił się i podniósł z ziemi broń niefortunnego rewolwerowca, a następnie obrócił go twarzą do góry. Edwin Snow chyba wybrał odpowiedniego człowieka. Sądząc z rysów, typowego opryszka; ten osobnik z pewnością nadawał się do wypełnienia zleconego mu zadania. Zabrakło mu jedynie trochę szczęścia.

– Twój niedoszły teść najwyraźniej nie oszczędza na takich wydatkach –

zwrócił się do Sam, która zdążyła ju podnieść się na nogi. – Je eli dobrze słyszałem, miał za twój skalp zapłacić tysiąc dolarów temu tu d entelmenowi, który mi wygląda na zabójcę do wynajęcia. A właśnie! Co z nim zrobimy?

– Jak to co? – prychnęła Sam, ostro nie usuwając niewielki odprysk drewna ze świe ego skaleczenia na swej twarzy. – Przecie to płatny morderca, sam się do tego przyznał. Trzeba zabić tego sukinsyna. W twoim rewolwerze są jeszcze wszystkie naboje, więc po prostu go zastrzel!

Trace spojrział na wciąż nieprzytomnego opryszka, sięgnął po broń i nawet odciągnął kurek, ale w końcu nie zdecydował się na pociągnięcie za spust. Choć nie miał najmniejszej wątpliwości, e zabijając typa, postąpiłby słusznie i oddałby społeczeństwu niewątpliwą przysługę, jakoś nie potrafił tego zrobić. Nigdy dotąd nie zabił człowieka, bo na szczęście – nawet w najtrudniejszych sytuacjach, których nie brakowało w yciu zawodowych graczy

– nie musiał tego zrobić. Obrócił rewolwer i kolbą naprzód podał go Sam.

– Jeśli chcesz go zabić, to lepiej zrób to własnoręcznie. On chciał

zamordować ciebie, nie mnie.

Sam popatrzyła na niego uwa nie, zanim wzięła rewolwer.

– Mam rozumieć, e nie zabiłeś dotąd człowieka? Nigdy? Trace mimo woli zacisnął wargi.

– Ale nie zawaham się strzelić do Hannibala, je eli o to ci chodzi.

–

e te to na mnie musiało trafić! – wykrzyknęła Sam. Wysunęła bębenek rewolweru, sprawdziła naboje. Broń była gotowa do u ycia. – Trzeba naprawdę mieć pecha! Jak ju mam współnika, to takiego, który boi się strzelać!

– Kto się boi, ja? No to daj mi to! – Trace wyrwał jej rewolwer z dłoni i błyskawicznie strzelił sześć razy po kolei, niczym na popisie cyrkowym, obrysowując dokładnymi trafieniami zarys ciała le ącego u jego stóp, wciąż nieprzytomnego opryszka. Potem równie szybko naładował broń ponownie i wcisnął ją w dłoń Sam. – Wcale nie mówiłem, e boję się strzelać! I nie powiedziałem,

e nie potrafię zabić człowieka. Ale nie chcę zabijać bezbronnego i nieprzytomnego.

Huk strzałów ocucił rewolwerowca. Wciąż półprzytomny, zdołał się jakoś podnieść do pozycji siedzącej, machinalnie dotknął dłonią swej zranionej głowy i – czując pod palcami krew – zaklął ordynarnie. Sam spokojnie mierzyła do niego, celując dokładnie między oczy, ale nie naciskała spustu. Minęła jedna minuta, potem druga...

– Niech to wszyscy diabli! – Westchnęła w końcu, opuściła rewolwer i z wyrzutem spojrzała na Trace'a. – Wobec tego trzeba go będzie związać. W

chacie jest sznur.

Zostawili go w chacie – spętanego, zakneblowanego i przywiązanego do cię kiego krzesła. Resztę pozostawili losowi. Mo e ktoś przyjedzie go szukać, mo e uwolni go jakiś górnik poszukiwacz, a mo e w końcu sam wypłacze się z więzów... albo i nie wypłacze. Tak czy inaczej Sam uznała, e daje swemu niedoszłemu zabójcy o wiele więcej szans, ni on zamierzał dać jej.

O ponownym pojawieniu się w Denver nie mogło być nawet mowy, zdecydowała więc,

e pojedą w przeciwną stronę, przez góry. Konie nieśpiesznie szły lekko wznoszącą się, ledwie widoczną ście ką, prowadzącą ku odległej przełęczy. Sam kołysała się na siodle i przypominała sobie chwile, które ledwie przed godziną uwa ała za ostatnie w swoim yciu. To, e w takim momencie próbowała robić ostateczny bilans, było naturalne, ale sporym zaskoczeniem dla niej samej okazało się to, czego najbardziej ałowała, oczekując na zbli ającą się śmierć.

Bo tak naprawdę najbardziej ubolewała nad tym, e nie poznała dotąd mę czyzny. I e nie będzie ju miała szans, eby go poznać.

Spojrzała na Trace'a, który jechał przed nią, i nagle znów poczuła tę samą dojmującą pustkę i poczucie utraty. Jak gdyby przeżywała to wszystko jeszcze raz. Nigdy nie sądziła, że w momentach, które wówczas uważała za ostatnie w swoim życiu, jej myślenie okaże się tak bardzo kobiece.

Choć starali się jechać tak szybko, jak to tylko było możliwe – wyruszając rano o świcie i jadąc bez przerwy aż do zmroku – przeprawa przez góry zajęła im przeszło tydzień.

Świt ósmego dnia był podobny do poprzednich. Sam wygramoliła się ze spiwora krańcowo odrętwiała i rozbita. Bolała ją jak dy miesiąc i z pewną trwogą myślała o czekającym ją następnym dniu w siodle. Zmobilizowała się jednak, zrobiła małą przebieżkę, aby się trochę rozruszać i rozgrzać, a następnie zabrała się do ponownego rozpalania ogniska, w którym po nocy arzyło się ledwie kilka węgielków. Gdy pojawiły się pierwsze płomyki, z przyjemnością rozgrzała nad nimi zmarznięte dłonie i spojrzała na powoli rozwijające się niebo, na którym gasły już ostatnie gwiazdy. Zaczynał się kolejny dzień.

W pobliskim strumieniu napełniła wodą kociołek i zawiesiła go nad ogniskiem, usmażyła te kilka kawałków boczku, a na wytopionym z niego tłuszczu przypiekła parę apetycznych grzanek. Ich zapach w ostrym górskim powietrzu był po prostu niebiański.

– Czy nie czas, abyś mi wreszcie powiedziała, dokąd jedziemy? – spytał

Trace, który właśnie zaczął się golić, korzystając z tego, że zrobiło się już prawie jasno.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu ta typowo męska czynność fascynowała teraz Sam do tego stopnia,

że przypatrywała się jej jak

zaczarowana. Błyszczące w słońcu ostrze brzytwy zdumiewająco łatwo zdejmowało z jego twarzy białą warstwę piany, spod której nagle ukazywała się olśniewająco gładka skóra podbródka. Tak gładka, że chciał się jej dotknąć.

Gdyby miesiąc temu ktoś powiedział Sam, że będzie się w to wszystko wpatrywać jak sroka w gnat, a w dodatku przez jej ciało będą wtedy przebiegać dziwne dreszcze, niechybnie odpowiedziałaby komuś takiemu, że brak mu piątej kleпки. Teraz jednak tak się właśnie zachowywała i było jej z tym naprawdę dobrze. Najwyraźniej musiała się bardzo zmienić, i to o wiele głębiej, niż mogłaby kiedykolwiek przypuszczać.

– Sam! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Potrząsnęła głową i z pewnym wysiłkiem oderwała wzrok od ogolonej twarzy, z którą tak efektownie kontrastowała naga pierś, pokryta kuszącym ciemnym zarostem. Wzięła z patelni kolejną grzanekę.

– Przepraszam, co mówiłeś?

Trace wznosił oczy do nieba, złożył brzytwę i odstawił pędzel.

– Je eli nie ufasz mi nawet na tyle, by przynajmniej zdradzić, dokąd jedziemy, to mo e powinniśmy się zastanowić, czy takie partnerstwo w ogóle ma sens?

– W moim zawodzie zaufanie okazane mę czyźnie często groziło śmiercią – odparła nieco wykrętnie.

– O jakim zawodzie mówisz? Nie jesteś ju łowcą nagród! – Trace popatrzył na nią z irytacją, zdjął z szyi ręcznik i otarł nim twarz z resztek mydła.

Od pasa w górę był nagi, wyglądał naprawdę bosko. Nawet kiedy był

rozniewany i mówił coraz ostrzejszym tonem. – Jesteś teraz zbiegiem, ściganym przez prawo przestępcą, podobnie zresztą jak i ja. Oboje jesteśmy zbiegami, a ja ju po raz drugi uratowałem ci ycie. Ten twój demonstracyjny brak zaufania zaczyna być po prostu obraźliwy.

– Uratowanie ycia nie ma nic do tego. – Doskonale zdawała sobie sprawę,

e to nieprawda. Gdyby Trace nie uratował jej po ukąszeniu grzechotnika, z całą pewnością nie zdobyłaby się na zuchwałą próbę wydostania go z więziennej celi.

On zresztą te był tego świadomy.

– Tak mówisz? No to po co ryzykowałaś własne ycie i wyciągałaś mnie prawie spod samej szubienicy?

– O, to było zupełnie co innego! – odpowiedziała, nie patrząc na niego i udając, e bardzo starannie poprawia ogień. – Dałam ci słowo, więc musiałam go dotrzymać bez względu na konsekwencje. Nawet jeśli rzeczywiście miałam się przez to stać ściganym przez prawo zbiegiem.

– I za to jestem ci niezmiernie wdzięczny. – Trace wło ył koszulę i zaczął

powoli zapinać guziki. – Natomiast niekoniecznie jestem ci wdzięczny za to, e z taką niezwykłą łatwością zmieniasz temat rozmowy, gdy tylko staje się dla ciebie niewygodny. O ile dobrze pamiętam, nasza poranna konwersacja zaczęła się od mojego pytania, dokąd właściwie jedziemy. Mo e zechciałabyś jednak oświecić mnie w tym względzie?

Sam odstawiła patelnię.

– Dobrze, zaraz ci powiem, jak pokrótce wygląda mój plan. Je eli moje przewidywania się sprawdzą i Hannibal będzie tam, gdzie powinien być, to wkrótce po naszym przyjeździe odnajdziemy go albo on odnajdzie nas. Wtedy będziesz mógł powiedzieć mu to, co masz do powiedzenia, i go zastrzelić.

Potem ja natychmiast zawiadomię o wszystkim reporterów z lokalnej prasy, odwiozę ciało do miejscowego szeryfa i poproszę o wypłacenie nale nej nagrody. Szeryf, rzecz jasna, będzie musiał zatelegrafować do sędziego Mocktona. Ludziom z prasy powiem, oczywiście, e udało się dopaść Hannibala Cotwella głównie dzięki temu, e sędzia opracował tak wspaniały plan... i w ogóle przypiszę mu wszelkie zasługi.

– Chcesz przypisać zasługi sędziemu? – Trace usiadł na kamieniu i patrząc na Sam z nieukrywanym zdziwieniem, machinalnie sięgnął po kawę i grzankę z bekonem.

– Naturalnie zrobię to tylko pod warunkiem, e sędzia zgodzi się nas ułaskawić za nasze dokonania i udział w realizacji jego znakomitego planu.

– I naprawdę sądzisz, e on na to pójdzie?

– A czemu nie?! Takie rozwiązanie tak e i jemu przyniesie same korzyści. Dzięki tej sprawie prasa zrobi mu bezpłatną reklamę przed zbli ającymi się wyborami i będzie mógł się pochwalić naprawdę spektakularnym osiągnięciem. Przy okazji jakby mimochodem oznajmi prasie, e zarówno twój proces i wyrok, jak i późniejsze uwolnienie ciebie z aresztu były tylko sprytną inscenizacją, niezbędną dla uśpienia podejrzliwości wyjątkowo groźnego przestępcy. Tylko w ten sposób mo na go było podejść i zabić. Sędziemu Mocktonowi wszyscy chętnie uwierzą, tym bardziej e zwycięzców się nie sądzi.

– Mo e – przyznał Trace. Sam natychmiast się naje yła.

– A masz jakiś lepszy pomysł? – spytała.

– Na razie nie – odpowiedział po chwili zastanowienia. Wschodzące słońce świeciło mu prosto w oczy i sprawiało, e jego tęczówki chwilami miały kolor miodu. – A co z ojcem twojej niedoszłej narzeczonej, który pewnie nadal będzie chciał cię zabić? Jak zamierzasz to rozwiązać?

– Jeszcze nie wiem – odrzekła szczerze. – Ale pomyślę nad tym.

– No dobrze, Sam... ale nie odpowiedziałaś mi jeszcze na moje pytanie.

Dokąd, do jasnej cholery, jedziemy?! I kiedy wreszcie mamy tam być?

Nawet jeśli wciąż nie miała do niego pełnego zaufania, dalsze ukrywanie przed nim celu podró y nie miało ju sensu. Westchnęła więc i powiedziała:

– Myślę, e koło południa opuścimy góry i, jak dobrze pójdzie, wieczorem powinniśmy dojechać do Pueblo.

– Pueblo... – powtórzył Trace.

– Zostawimy tam konie i od razu pojedziemy pociągiem do La Junta, a stamtąd dyli ansem do Santa Fe.

– A skąd wiesz, e Hannibal jest właśnie tam?

– Mam informatora, który twierdzi, e Hannibal ma kryjówkę pod Santa Fe, na jakimś starym ranchu, położonym o dziesięć mil od miasta, i e właśnie tam uciekł po ostatnim napadzie w Leadville. Więc jeśli tylko nie zmienił

kryjówki...

– Miejmy nadzieję, e nie zmienił.

Dokończyli śniadanie w milczeniu, a potem Sam zajęła się zwijaniem obozu i pakowaniem, podczas gdy Trace siodłał konie. Słońce wznosiło się coraz wyżej ponad górskimi łańcuchami, których szczyty wciąż jeszcze pokrywał śnieg, choć zbliżało się lato.

– Moemy ruszać – oznajmiła Sam i poprawiła strzemień, szykując się do wsiadania.

– Moemy – zgodził się Trace. – Aha, chciałbym cię jednak poinformować, e po przyjeździe nie wyruszymy od razu do La Junta.

Zostajemy na noc w Pueblo.

Spojrzała na niego zaskoczona i cofnęła nogę, którą ju wkładała do strzemienia.

– A to niby dlaczego? – spytała. – Ostatni pociąg do La Junta odjeżdża o dziewiątej wieczorem, więc je eli nie będziemy marnować czasu na trasie, powinniśmy zdążyć bez problemu.

– A za co zamierzasz kupić bilety na pociąg? – zapytał Trace ironicznie. –

Poprzedniej nocy zajrzałem ci do kieszeni i wiem, e masz niewiele. Na porządną kolację moe starczy, ale na bilety na pewno nie.

Sam a syknęła z oburzenia.

– Zaglądałeś mi do kieszeni?! Jakim prawem?

– Musiałem wiedzieć, z jakim to zabezpieczeniem finansowym wyruszyliśmy na tę wyprawę. Nie będę ukrywał, e stan naszej kasy trochę mnie zaniepokoił. Ale nie przejmuj się za bardzo. Na to, eby wejść do gry, akurat wystarczy. Kilka godzin przy stoliku do pokera albo faraona i gwarantuję ci, e wyjedziemy z Pueblo ze znacznie grubszym zwitkiem banknotów.

– Zaglądałeś mi do kieszeni! – powtórzyła wciąż oburzona Sam. – I ty się jeszcze dziwisz, e nie chcę ci ufać?!

Zamiast siadać na konie i ruszać w drogę, stali naprzeciwko siebie i mierzyli się wzrokiem.

– Tam, skąd pochodzę, mamy bardzo nieładne słowo na określenie męczyzny, który opłaca swoje wydatki z kieszeni kobiety – powiedział Trace. –

Ja zdecydowanie wolę płacić sam za siebie i bardzo ubolewam nad tym, e szeryf Ainsley skonfiskował wszystko, co miałem. Ostatecznie mogę mu darować mój złoty zegarek i parę innych drobiazgów, ale pieniądze chciałbym jakoś odzyskać. W naszej sytuacji mogę to zrobić, tylko siadając do pokera właśnie w Pueblo.

– Czyś ty oszalał? Przecie listy gończe za nami na pewno ju tam są i miejscowy szeryf tylko na nas czeka! A moe tak e i ludzie, których wynajął

Edwin Snow!

Trace wzruszył ramionami.

– Przez te cholerne góry jechaliśmy tak długo. Wszyscy będą przekonani, że już dawno opuściliśmy granice stanu.

– Możemy wskoczyć na platformę wagonu towarowego, kiedy pociąg będzie ruszał ze stacji – zaproponowała Sam z dużą pewnością siebie. – Na to nie potrzeba biletów.

Trace popatrzył na nią z niejakim politowaniem.

– Jestem człowiekiem cywilizowanym, panno Kincade. Nie jednę na gapę w bydlęcym wagonie, bo mam zwyczaj podróżować w wagonach sypialnych pierwszej klasy. A skoro jedziemy razem, to ty też będziesz tak podróżować.

– Sugerujesz, że będziemy wsiadać do pociągu całkiem jawnie, razem z innymi pasażerami?! – wykrzyknęła. – To możemy jeszcze zawiesimy na szybie tabliczki z nazwiskami,

aby ułatwić rozpoznanie nas przez wszystkich

zainteresowanych?! Tak jakby mało było listów gończych i opisów w gazetach!

Możemy jeszcze wymalujemy sobie kółka na czołach, tak jak na tarczach strzelniczych, i wtedy już na pewno będziemy celem dla każdego! Nie, nie i nie!

Nie będziemy podejmowali tak głupiego ryzyka!

– Ryzyko z pewnością nie będzie większe od ryzyka podróżowania bez pieniędzy – oświadczył absolutnie niewzruszony Trace. – A poza tym mam już dość tego spania na ziemi, jedzenia byle czego i mycia się bez wanny i ciepłej wody! Teraz będę miał szansę wreszcie to zmienić i nie zamierzam z niej zrezygnować tylko z powodu jakichś tam nieokreślonych obaw.

Wściekłe spojrzenie Sam najwyraźniej nie robiło na niego wrażenia.

– No dobrze – zgodziła się w końcu. – Skoro każdy z nas pozostaje przy swoim zdaniu, to mamy jawny impas. Ja uważam, że powinniśmy natychmiast zniknąć z Pueblo, póki jeszcze jesteśmy cali. Ty natomiast chcesz, abyśmy paradowali tam całkiem otwarcie, bo potrzebujesz pieniędzy i ciepłej kąpieli.

Zakładam, że nie chcemy się znów podzielić, jak więc rozstrzygniemy ten konflikt?

– Wciąż tym samym najprostszym sposobem. – Trace ruchem prestidigitatora wyciągnął z kieszeni talię kart. Przetasaował ją na oczach Sam raz i drugi. – Wyśaż karta decyduje. Ciągnij!

– Nie znoszę rozstrzygnięcia najważniejszych spraw za pomocą kart!

– Wolisz rzucanie monetą? – Popatrzył na nią ironicznie. – Ktoś musiałby nam ją dać, bo ja, na przykład, nie mam przy sobie nawet centa.

Musiał doskonale wiedzieć, e równie i ona akurat nie ma przy sobie monety. Poirytowana Sam w końcu wyciągnęła rękę.

– Dawaj te cholerne karty!

Przeło yła je raz, spojrzała nieufnie na Trace’a i przeło yła jeszcze raz.

Przygryzła wargi i w końcu odwróciła kartę. Uśmiechnęła się z ulgą, gdy okazało się, e to walet.

– Wygląda na to, e jednak wybierzemy mniejsze ryzyko, nawet kosztem komfortu – powiedziała lekko kpiącym tonem.

– Moja babcia mówiła zawsze, eby nie mówić hop, póki się nie przeskoczy. – Znów przetasował karty na jej oczach, przeło ył i odkrył tę, która była na wierzchu. Nie patrząc, pokazał ją Sam. – Co to jest? – spytał.

– Dama! A niech to diabli! – Z wściekłością kopnęła najbli szy kamień, tak e przeleciał przez ście kę i potoczył się po stromym stoku. – Mo e pociągniemy jeszcze raz? Do trzech razy sztuka?

– Mowy nie ma! – oświadczył Trace. – Przegrałaś, więc przyjmij to z godnością, jak przystało damie.

– Idź do diabła! – burknęła poirytowana Sam. Wskoczyła na siodło i ruszyła natychmiast, nie oglądając się za siebie.

Jednej rzeczy była pewna – Trace nie oszukiwał. Przecie przez cały czas patrzyła mu na rękę.

Dokładniej mówiąc, tak się jej wydawało. Bo w końcu nic praktycznie nie wiedziała o oszukiwaniu przy kartach, a w szczególności nie miała pojęcia, na co nale y patrzeć. Na co zwracać uwagę.

O tym,

e te długie, smukłe palce potrafią manipulować kartami nieprawdopodobnie sprawnie, wiedziała doskonale ju wcześniej. Chyba więc jednak oszukiwał, pomyślała, przygryzając wargi.

Na pewno oszukiwał, łobuz jeden! Poniewa jednak w aden sposób nie potrafiłaby mu tego udowodnić, musiała poprzestać na tej smutnej konstatacji.

Natomiast przysięgła sobie w duchu, e prędzej piekło wystygnie, ni ona da się jeszcze raz nabrać na te sztuczki z kartami.

Na miejsce dojechali nawet prędzej, ni to wynikało z wcześniejszych wyliczeń Sam. Na przedmieściach Pueblo byli jeszcze przed zmierzchem.

Trace całkowicie zignorował jej mrukliwe protesty i od razu zaczął się rozglądać za tym, co go interesowało najbardziej. Z bezbłędnym instynktem profesjonalisty i praktyka zlokalizował miejscową dzielnicę domów gry, poło oną – jak się okazało – na południe od rzeki. Wprawnym okiem wypatrzył

te odpowiedni hotel, poło ony blisko stacji, i kiwnięciem głowy zasygnalizował swej towarzyszce, e tu właśnie się zatrzymają.

Po chwili Sam z trudem powstrzymała się od bolesnego westchnienia na widok wystawy pełnej wyło onych gazet, w których ich skromnym osobom poświęcono zdecydowanie zbyt wiele miejsca, i to na pierwszych stronach.

Rozwieszane tu i ówdzie listy gończe te nie poprawiły jej humoru. Pociechą było jedynie to, e ich rysunkowe podobizny nie były zbyt wierne i tylko odlegle przypominały rzeczywisty wygląd poszukiwanych. Wykonujący te portrety artysta starał się być wierny z góry zało onej koncepcji, która zakładała przedstawienie ich jako zatwardziałych kryminalistów. W rezultacie na liście gończym Trace wyglądał na tępego oprycha, a jeszcze bardziej interesująco prezentowała się Sam, której artysta dodał uwodzicielski wąsik.

– Po raz pierwszy naprawdę czuję, e jestem ścigana! – powiedziała i mocniej nacisnęła kapelusz na oczy. – Nienawidzę tego uczucia!

– Uspokój się. – Trace popatrzył na nią i wzruszył ramionami. – Po tych rysunkach na pewno nas nie rozpoznają.

Sam w gruncie rzeczy doszła do tego samego wniosku. Wiedziała jednak, e nadmierna pewność siebie mo e być niebezpieczna – w końcu przekonała się o tym całkiem niedawno.

Zawrócili i zatrzymali się przed wypatrzonym wcześniej hotelem, noszącym nazwę Chwała Pueblo.

– Ty jedź do stajni i zostaw nasze konie na dwa miesiące – rzekł Trace. –

A ja pójdę do recepcji i wynajmę pokój.

– Dwa pokoje! – poprawiła go odruchowo.

– Dwa pokoje dla tak bliskiej rodziny? Nie sędę. – Trace uśmiechnął się.

– Pan John Belling i jego bratanek Tom nie tylko mogą, ale chyba wręcz powinni mieszkać razem. – Zeskoczył z konia i oddał lejce Sam. – Widzę tu całkiem atrakcyjny salon gry, tu za rogiem – powiedział, rozglądając się z satysfakcją. – I na szczęście mamy jeszcze dość czasu, by się wykapać i zjeść przyzwoitą kolację.

– Zaczekaj! – zatrzymała go Sam. – Nie będę spała w jednym pokoju z tobą!

Roześmiał się. Najwyraźniej myślami był ju w tym salonie gry.

– Nie zamierzam w ogóle spać tej nocy – oświadczył. – Będiesz więc miała pokój wyłącznie dla siebie. Aha, kiedy ju zostawisz konie w stajni, dowiedz się te , o której odje d a najwcześniejszy poranny pociąg do La Junta.

Sam spojrziała na niego spod oka.

– Chcesz mi wydawać rozkazy?

– Ja tylko sugeruję, panno Kincade. Tylko sugeruję. – Spojrzał na nią i uśmiechnął się ze zrozumieniem. – A ty wciąż nie mo esz mi darować, e wyciągnąłem wy szą kartę?

Odwróciła się gniewnie i bez słowa poprowadziła konie w kierunku stajni. Chwilami miała ju dość tych niekończących się emocjonalnych utarczek, właściwie nieuchronnych, kiedy się spędzało dwadzieścia cztery godziny na dobę z kimś takim jak Trace Harden.

W takich momentach dosłownie wszystko, co robił, denerwowało ją zupełnie niepomierne. Ale po jakimś czasie, nie wiadomo dlaczego, następował

gwałtowny zwrot w jej nastawieniu i wtedy z kolei wszystko nagle wydawało się fascynujące i wręcz zniewalające.

Była uszczęśliwiona, kiedy pytał ją o zdanie na jakiś temat, choć – jak się okazywało – rzadko kiedy zgadzali się ze sobą;

ró nili się nieporównanie częściej. Sama jego obecność oddziaływała na nią niesłychanie mocno. Marzyła nawet w biały dzień, e którejs nocy Trace podniesie się ze swego posłania i przyjdzie do niej. Ta myśl podniecała ją i przera ała jednocześnie. Czasami wystarczał jeden jego uśmiech, by czuła się szczęśliwa, innym razem denerwował ją tak, e naprawdę miała ochotę go zastrzelić.

Nigdy dotąd nie prze ywała takich rozterek emocjonalnych, bo w jej egzystencji – dotąd jako tako ustabilizowanej – wszystko zmieniło się dopiero od chwili, gdy pojawił się on. To przez niego, ku swemu wielkiemu zawstydzeniu, doświadczała uczucia, którego dotąd znała. Cieleśnej ądy.

To właśnie ądza – albo jak kto woli po ądanie – mogła być jedynym wytłumaczeniem jej krańcowo dziwnych zachowań, nagłych pragnień, których w aden sposób nie dawało się ugasić, postępków, których się wstydziła, ale nie potrafiła się od nich powstrzymać. Tak było na przykład z podglądaniem Trace’a, kiedy kąpał się w strumieniu po całodniowej jeździe przez góry. Sam, zawsze bardzo przemyślnie, przypatrywała mu się z ukrycia, intensywnie chłonąc wzrokiem ka dy szczegół męskiego ciała, które w trakcie takich kąpeli nieświadomie przed nią odsłaniał. Nierzadko była rozczarowana, gdy rozbierał

się tylko do pasa, ale dni, kiedy mył się od stóp do głów, w pełni jej to wynagradzały. Gdy przychodziła jej kolej na kąpiel w potoku, niepokoiła się, czy i on jej przypadkiem nie podgląda, a jednocześnie miała nadzieję, e tak.

Na podglądaniu się nie kończyło. Ostatnio przyłapała się na tym, e niby przypadkowo ocierała się o niego tylko po to, by później długo rozmyślać o tym słodkim dreszczu, który przenikał jej ciało nawet

przy najl ejszym takim zetknięciu. Działo się z nią wtedy coś dziwnego, miękły jej nogi i w ogóle czuła się przez moment całkowicie rozklejona, co jednak okazywało się niezwykle przyjemne. Podejrzała nawet, e to mo e sam Trace jakimś swoimi sztuczkami celowo doprowadza jej organizm do takich dziwnych reakcji, i parokrotnie znów otarła się o niego tylko po to, eby sprawdzić, jakim to sposobem wywołuje u niej tak rozkoszny dreszcz i gęsią skórę. Rezultat tych wysiłków był jednak dokładnie taki sam jak przy próbach podpatrywania jego sztuczek z kartami. Mogła ró ne rzeczy podejrzewać, ale nie potrafiła go na niczym przyłapać.

Skutkiem stałego przebywania blisko Trace'a była więc wciąż narastająca rozterka i krańcowo poplątane emocje, z którymi Sam zupełnie nie umiała sobie poradzić. Nie bardzo wiedziała, co zrobić w sytuacji, gdy na rezygnację ze wspólnego działania nie mogła sobie pozwolić, a jednocześnie z ka dym dniem czuła się coraz bardziej bezbronna i bezradna, coraz mniej odporna na działanie tej tajemniczej siły, która ich do siebie przyciągała.

Odprowadziła konie do stajni, upowa niając zarządcę do ich sprzedania, gdyby nie zostały odebrane w ciągu dwóch miesięcy. Choć była pewna, e po nie wróci, na wszelki wypadek po egnęła się z Blue, co zajęło jej nadspodziewanie du o czasu. Potem jeszcze sprawdziła na stacji godziny odjazdu pociągów i, starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi, skierowała się do hotelu.

Recepcjonista poinformował ją, e pan Belling zamieszkał w pokoju pod numerem szesnastym i tam oczekuje bratanka. Sam ruszyła więc schodami na piętro, wymijając po drodze jakichś dwóch bijących się d entelmenów, których gromkimi okrzykami zachęcała do walki stojąca w drzwiach jednego z pokoi rudowłosa dama, najwyraźniej te nale ąca do towarzystwa.

Pokój wynajęty przez Trace'a na szczęście mieścił się bardziej w głębi i odgłosy bójki pozostały z tyłu. Sam otarła czoło, dopiero w tym momencie czując, jak bardzo jest zdro ona i wyczerpana. Otworzyła drzwi oznaczone szesnastką, weszła do środka i zamarła na samym progu.

W wielkiej blaszanej wannie, wypełnionej ciepłą wodą z wonnymi olejkami i ustawionej na samym środku pokoju, siedział Trace Harden i, trzymając dymiące cygaro w palcach lewej ręki, prawą sięgał po ostrygi z tacy ustawionej tu obok. Włosy miał jeszcze mokre, świe o ogolone policzki były zaró owione i kusząco gładkie. Pęcherzyki mydlanej piany pokrywały jego plecy i ramiona.

Sam poczuła, e nagle mięknę jej nogi. Z całą pewnością był to najpiękniejszy mę czyzna, jakiego w yciu widziała, tak przystojny i tak niezwykle męski, e jego widok po prostu zapierał jej dech w piersiach.

Spojrzał w jej kierunku tymi swoimi bursztynowymi oczami i Sam wyraźnie czuła, e kolana uginają się pod nią coraz bardziej. Okazało się jednak, ku jej ogromnemu rozczarowaniu, e Trace wcale nie patrzy na nią, tylko przez otwarte drzwi spogląda w głąb korytarza, gdzie wciąż jeszcze trwała bójka.

Dopiero po chwili odwrócił wzrok.

Wydarzenie było łahe i ogromnie banalne, ale Sam poczuła dotkliwy zawód. To naprawdę ją zabolęło. Nagle poczuła, e rozpaczliwie pragnie, eby Trace patrzył na nią tak jak mę czyzna na kobietę. eby wpatrywał się w nią tymi swoimi niebezpiecznymi, tygrysimi oczami i eby czuł w sobie

tę samą tajemniczą tęsknotę, gwałtowną potrzebę bliskości, jaką odczuwała ona. Z

rosnącym przerażeniem zdała sobie sprawę, że zdradziła własne wyobrażenia o sobie i swoje dotychczasowe przekonania i że z całego serca chciałaby być piękną i budzącą pożądanie kobietą, której jedno spojrzenie doprowadza mężczyzn do szaleństwa.

A Trace tymczasem odchylił się w wannie do pozycji półleżącej i patrzył

na nią z lekkim uśmiechem. Jego bursztynowe oczy lśniły złotawym blaskiem ponad leciutką mgiełką pary i dymu z cygara.

– Proszę wejść, panno Kincade – powiedział bardzo uprzejmie. – I proszę łaskawie zamknąć za sobą drzwi.

Czym zamierzasz zapłacić za te wszystkie luksusy? – spytała Sam.

– Niewzruszoną pewnością siebie przy ich zamawianiu, a tak e obietnicą, e gdybyśmy znikli z hotelu, właściciel będzie mógł sprzedać nasze konie.

– A czy właścicielowi nie przyszło do głowy, e gdybyśmy mieli zniknąć, to najpewniej właśnie konno?

Trace lekcewa ąco machnął dłonią, chlapiąc wokół mydlaną pianą.

– Coś tam mówił o tym, e stajnia jest dobrze pilnowana. Niewa ne! No więc czego się dowiedziałaś o porannych pociągach do La Junta? – przymknął

oczy i z lubością zaciągnął się cygarem.

Sam nie odpowiedziała od razu; z dłonią na kolbie rewolweru przesunęła się w stronę okna i wyjrzała przez nie tak ostro nie, jakby spodziewała się, e tu za nim kryje się szeryf Pueblo z obstawą. Trace ostro nie otworzył jedno oko, przyjrzał się jej uwa niej i zdał sobie sprawę, e zły humor Sam najwyraźniej się nie poprawił.

– Najbli szy pociąg do La Junta odje d a o szóstej rano – powiedziała. –

Stamtąd pojedziemy dyli ansem.

– O szóstej! – Trace ucieszył się. – Doskonale! Nie mo e być lepiej!

Ciepła kąpiel, cygaro i przyzwoita kolacja wyraźnie go odmłodziły.

Wyczyszczone i odprasowane ubranie, przyniesione przez pokojówkę wraz nowo zakupioną jedwabną koszulą i eleganckim krawatem gwarantowały, e na wyprawę po złote runo do pobliskiego domu gry wyjdzie odpowiednio wyekwipowany i w doskonałym nastroju.

– Czy mógłbym ci polecić ostrygi? – zapytał wciąż bardzo uprzejmym i nieco rozbawionym tonem. – Są naprawdę niezłe. Jest te mięso i sery.

Sam pokręciła głową. Z jakiegoś powodu nie podzielała jego dobrego nastroju. Rzuciła kapelusz na stojący w kącie wieszak i usiadła na krawędzi łó ka, wypróbując sprę yny.

– I co ja niby mam robić, podczas gdy ty będziesz oskubywał

miejscowych naiwniaków? – spytała.

– Mo esz się wykapać, a potem porządnie się wyspać. – Trace wciąż nie pojmował, co ją tak zirytowało. – Jutro w pociągu jedno z nas stale musi czuwać, by nie pojawiły się jakieś kłopoty. A ja najpewniej będę odsypiał

dzisiejszą noc przez całą drogę do La Junta.

Sam wreszcie wyjawiała, o co jej chodzi.

– Wygląda na to, e wcale nie czujesz się skrępowany, kąpiąc się na moich oczach. Takie w ka dym razie odniosłam wra enie. A podobno uwa asz się za d entelmena.

W rzeczywistości Trace wcale nie czuł się tak swobodnie i nadrabiał

miną, doskonale świadomy tego, e jest nagi, podczas gdy ona pozostawała ubrana. Było ju jednak za późno, by coś w tym względzie zrobić, musiał więc brnąć dalej.

– Podró owaliśmy razem dostatecznie długo, by poznać się nawet dokładniej, ni zamierzaliśmy – powiedział tonem usprawiedliwienia. – Więc raczej wiemy ju , jak wyglądamy bez ubrania. – Urwał na chwilę, a potem dodał

jeszcze jeden, równie naciągany argument: – A poza tym ty z własnego wyboru ubierasz się jak mę czyzna, mówisz jak mę czyzna i strzelasz te jak mę czyzna, więc dla mnie rzeczywiście mo esz być mę czyzną, tak e jako sojusznik w tych bardzo męskich rozrachunkach, które nas jeszcze czekają.

U ywasz męskiego imienia Sam, a zatem naprawdę nie ma powodu, ebym miał

się czuć skrępowany, kąpiąc się w twojej obecności.

Trace starał się powiedzieć to wszystko bardzo przekonująco, nie do końca jednak był pewny, czy mu się to udało. Tak naprawdę było to bowiem najzwyczajniejsze wykręcanie kota ogonem. Podró owanie z Sam pod wieloma względami rzeczywiście przypominało wyprawę z mę czyzną, ale Trace przez cały czas miał bardzo ostrą świadomość tego, e ona jest jednak kobietą. I nawet tę kąpiel zamierzał zakończyć wcześniej, właśnie po to, eby jej nie krępować, ale przyjemnie odprę ony po prostu stracił poczucie czasu.

Nawet gdyby tego chciał, nie mógłby ju o niej myśleć jak o mę czyźnie.

Na pewno nie, poczynając ju od tych pierwszych dni, kiedy to, opiekując się nią podczas rekonwalescencji, z konieczności oglądał ją nagą po kilka razy dziennie. A i tego momentu, kiedy niespodziewanie ją pocałował, z pewnością nie potrafiłby ju zapomnieć. Zresztą jej ciało działało na niego nawet mocniej, ni mógł przypuszczać – czasami wystarczało jedno spojrzenie na Sam, by mógł

wyraźnie poczuć początki erekcji. Chwilami nawet zastanawiał się, czy na pewno jest z nim wszystko w porządku, skoro a tak bardzo po ąda kobiety o tak chłopięcym wyglądzie. Wiedział co prawda, e to tylko przebranie i maska, swoista warstwa ochronna, ale te tym bardziej gniewało go *to*, e Sam z premedytacją ukrywa swoją urodę i nie pozwala sobie na przeistoczenie się w taką kobietę, jaką natura niewątpliwie zamierzała z niej uczynić.

Sam była kobietą tak e dlatego, e miewała te swoje humory i potrafiła nagle bez najmniejszego powodu zmieniać temat. Zaczynała mówić o najtrudniejszych sprawach w najmniej odpowiednim momencie. Tak się stało i tym razem. Z samego wyrazu jej twarzy nietrudno było poznać, e to, co ma

mu do zakomunikowania, nie będzie dla niego zbyt przyjemne.

– Przyszło mi coś do głowy, w związku z tym listem twojej ony –

powiedziała. – W pewnej chwili zdałam sobie sprawę, e coś w nim się nie zgadza.

Trace, który właśnie sięgał po kolejną kanapkę z rostbefem, odło ył ją z powrotem na tacę. – Sam, nie teraz – rzekł błagalnie. – Za chwilę idę grać i powinienem być maksymalnie spokojny i skoncentrowany. Nie chciałbym teraz rozmawiać na temat Etty.

Kompletnie zignorowała jego protest.

– Twoja ona napisała w liście, e Hannibal więził ją przez dwa tygodnie.

– Patrzyła na niego uwa nie. – I utrzymywała przy tym, e gdy Hannibal dowiedział się o jej cią y, śmiał się z niej i namawiał, by wmówiła ci, e to twoje dziecko. Dobrze to zapamiętałam?

Trace skrzywił się ponuro; po jego niedawnym beztroskim uśmiechu nie pozostało nawet śladu. Sam potrafiła czasami być właśnie taka, bezwzględna i uparta. Zupełnie nie dbała wtedy o to, e mo e zadawać ból, choćby niechcący.

– Te dwa tygodnie się nie zgadzają – mówiła dalej. Policzki zaró owiły jej się gwałtownie jak zawsze, gdy postanawiała dochodzić prawdy za wszelka cenę. – Kobieta zachodzi w cią ę w połowie cyklu miesięcznego. Nie wiem, czy to jest dla ciebie jasne?

Trace westchnął i ostentacyjnie wzniosł oczy ku niebu.

– Jest, panno Kincade – rzekł z irytującą wyrozumiałością. – Byłem w końcu onaty, znałem te inne kobiety, nawet wiele. Zdaję więc sobie sprawą z tego, jak funkcjonuje ciało kobiety i jak się zachodzi w cią ę.

– Tym lepiej. – Zaró owione policzki Sam zaczynały nabierać odcienia głębokiego szkarłatu. – No więc spróbujmy to sobie wyliczyć. Hannibal gwałci twoją onę w połowie cyklu, więzi ją przez dwa tygodnie, a potem wyje d a na drugi koniec świata, eby ukryć się na tym swoim ranchu. Kiedy zatem Etta mogła odkryć, e jest w cią y? I w jaki sposób zdą yła go o tym poinformować?

Wyraz twarzy Trace'a zmienił się gwałtownie.

– Mo esz... mo esz to powtórzyć? – spytał zduszonym głosem. Przestał

patrzeć w sufit, a jego óltawe, tygrysie oczy załśniły niebezpiecznym blaskiem.

– To, co przed chwilą powiedziałaś?!

Tym razem wysłuchał jej ju bardzo uwa nie, a gdy skończyła, wyciągnął

rękę.

– List le y na nocnym stoliku. Zechcesz mi go podać? – Jego głos brzmiał

jeszcze bardziej ochryple.

Choć znał cały list na pamięć i mógłby go cytować słowo po słowie, przeczytał go jeszcze raz, bardzo uwa nie – tym razem jednak skupiając się na tym, co dotąd nie zwracało jego uwagi i co odruchowo skłonny był uwa ać za mniej istotne. I z tej całkowicie odmiennej perspektywy widział jasno, e pytania Sam były jak najbardziej zasadne.

– Nie rozumiem – odezwał się w końcu takim tonem, jakby chciał

dyskutować sam ze sobą. Zupełnie ju zapominając o obecności Sam, podniósł

się i sięgnął po ręcznik.

Odwróciła się pośpiesznie i podeszła do okna, udając, e bardzo intensywnie przypatruje się całkowicie opustoszałej ulicy.

Trace wytarł się do sucha, a następnie owinął się ręcznikiem i wyszedł z wanny.

– Nie rozumiem – powtórzył. – Musiało mi to umknąć. Było oczywiste, e Hannibal musiał być z Etta znacznie dłu ej ni dwa tygodnie – bo tylko w takim przypadku zdą yłby się dowiedzieć o jej cią y. A jeśli było tak, jak utrzymywała Etta i rzeczywiście wyjechał po dwóch tygodniach – to w aden sposób nie mógł przecie wiedzieć, e jest brzemienna. Trace pokręcił głową i jeszcze raz powtórzył:

– Nie rozumiem.

Sam odwróciła się od okna i powiedziała cicho:

– Musiałeś ją bardzo kochać.

Mechanicznie zaczął się ubierać, ale myślami był zupełnie gdzie indziej.

Nie widział współczującego spojrzenia Sam, chyba nawet nie zauwa ył, e podała mu najpierw koszulę, a potem spodnie i resztę ubrania.

Usiadł na brzegu łó ka i sięgnął po pantofle. Trzymał je w ręku przez dłu szą chwilę, jak gdyby nie wiedząc, co właściwie ma z nimi zrobić.

Przypominał sobie moment, kiedy po raz pierwszy spotkał Ettę na jakimś ekskluzywnym przyjęciu wydanym przez jej bardzo bogatą ciotkę, pannę Hettie Mayfair, podówczas jedną z najjaśniej świecących towarzyskich gwiazd Nowego Orleanu. Hettie była jego znajomą, na tyle dobrą, e przyszedł na przyjęcie bez zaproszenia, absolutnie pewny, e ze względu na jego nieodparty wdzięk zostanie mu to wybaczone.

Pojawił się tam w doskonałym nastroju, po znacznej wygranej w pobliskim salonie gier, ale gdyby nie jego paskudny nawyk bezinteresownego dra nienia się z Hettie, najprawdopodobniej w ogóle nie

zauważyłby jej siostrzenicy, zwłaszcza w otoczeniu tak licznych nowo-orleańskich piękności.

Choć Etta Mayfair była bardzo ładna i miała absolutnie wspaniałe włosy koloru jasnego złota, jej twardy akcent z Kansas draził go dość mocno, podobnie jak i zachowanie, jak na jego gust zbyt swobodne i chwilami nawet wyzywające.

Mimo wszystko zaczął z nią flirtować, tylko po to, by podraźnić Hettie.

Skutek był taki, że już w połowie przyjęcia miss Hettie jawnie się obraziła, Etta natomiast już była jego. On też zresztą był nią zafascynowany. W

odróżnieniu od większości młodych dam z towarzystwa, Etta Mayfair nie uważała powściągliwości za cnotę; była w swym postępowaniu zupełnie otwarta i nawet zuchwała, a już na pewno nie zamierzała się liczyć z konwensami.

Seksualna pokusa jawnie wycierała z jej wielkich oczu o tęczęwkach zielonych jak morska woda.

– To było cztery lata temu – powiedział półgłosem Trace, nawet nie zdając sobie sprawy, że mówi sam do siebie. Trzymał wciąż niewolony pantofel i nadal nie dostrzegał współczującego spojrzenia Sam. – Cztery lata...

Wybuchł skandal, kiedy wyszła z przyjęcia w ślad za mną...

Rozgniewana i zaniepokojona Hettie Mayfair zatelegrafowała do brata Etty, aby natychmiast przyjechał i zabral siostrę z powrotem do Kansas, póki nie jest za późno i póki dziewczyna nie zdążyła się skompromitować w sposób zupełnie nieodwołalny.

Ale w rzeczywistości już wtedy było za późno. W to parne popołudnie Etta z własnej inicjatywy – i wcale nie próbując zachowywać tego w tajemnicy przed gadatliwą siostrą – zjawiała się w sypialni Trace'a, rozbierając się na jego oczach tak sugestywnie i podniecająco, że miał wówczas wszelkie podstawy, by uważać ją za bardzo doświadczoną uwodzicielkę. I dopiero kiedy już oboje znaleźli się w łóżku, okazało się, że jest dziewicą. Jak już było po wszystkim, przeciągnęła się raz i drugi z nieukrywaną przyjemnością, pomrukując jak zadowolona kotka, a potem z wyraźną satysfakcją poinformowała go, że teraz będzie musiał się z nią oenić. I dodała, że ona, Etta Mayfair, zawsze dostaje to, na co ma ochotę.

– No więc się z nią oeniłeś – powiedziała Sam, a ton jej głosu był dość szczególny. Było w nim nie tylko współczucie, ale jeszcze kilka innych, bardzo kobiecych emocji.

Trace potrząsnął głową jak człowiek, który nagle budzi się ze snu. Zdał

sobie sprawę, że przypominając sobie tamte wydarzenia sprzed czterech lat, musiał chwilami mówić na głos, choć wcale nie miał takiego zamiaru. A Sam najwyraźniej sądziła, że mówił do niej, i właśnie pytała, dlaczego się z Ettą oenił.

– Rzeczywiście się z nią oeniłem – powiedział, kiwając głową. – Bo, panno Kincade, nawet jeśli jestem czasem taki czy inny, zawsze pozostaję d entelmenem. Ale oeniłem się z nią nie tylko z tego

powodu. Wówczas byłem gotów poruszyć niebo i ziemię, byle tylko ją poślubić.

Doskonale wiedział, co Sam chciałaby usłyszeć. Te jej próby manipulacji chwilami były nawet zabawne. Bardzo kobiece, ale zupełnie niepotrzebne.

– Jej rodzina się sprzeciwiała? – Sam najwyraźniej chciała wiedzieć wszystko.

– Sprzeciwiała to o wiele za łagodne określenie. – Trace w końcu uporał

się z pantoflami, wcisnął koszulę głębiej pod pasek i sięgnął po wytworną kamizelkę z jedwabiu w kolorze czerwonego wina. –

eby udobruchać

Mayfairów, w końcu zabrałem Ette z powrotem do Kansas. Wybudowaliśmy tam dom nieopodal posiadłości należącej do jej rodziców. To te nie pomogło.

Nie mogli się pogodzić z faktem, że do ich rodziny miałby na stałe wejść człowiek, którego zawodem była gra w karty. Tego waden sposób nie potrafili zaakceptować. Za śmierć córki te obwiniają mnie...

Podszedł do lustra, eby zawiązać krawat. Przyjrzał się sobie i pokiwał

głową.

– I chyba słusznie. Gdyby nie ja, nigdy nie zetknęłaby się z takim człowiekiem jak Hannibal i na pewno nie musiałaby przyjmować go w domu jako członka rodziny. Bez mnie mój brat po prostu nie miałby do niej dostępu.

– Jesteś tego pewny? – zapytała cicho Sam. Spojrzenie Trace'a nagle stwardniało.

– Co to znaczy, czy jestem tego pewny? – zapytał nadspodziewanie ostro.

Nie spuściła wzroku.

– Bo ja, na przykład, nie jestem tego pewna – odparła, przypatrując mu się uważnie.

– A ja jestem! – uciał Trace. Sięgnął po kapelusz i nacisnął go na czoło.

Potem, nie pytając o pozwolenie, wziął ze stolika woreczek z pieniędzmi Sam i schował go do kieszeni. Jeszcze raz obrócił się i dodał: – Etta zawsze była w świetle

przyjaznym

i

bezpiecznym,

chroniona

przed

wszelkimi

niebezpieczeństwami najpierw przez rodzinę, a później przez mę a... to znaczy, przeze mnie. Od początku starałem się, by nie miała kontaktu nie tylko z moimi kasynami, ale w ogóle z jakimikolwiek domami gry i całą tą ich otoczką. Świat przestępczy był od niej bardzo daleko, nie miał do niej dostępu. Tak więc w normalnych okolicznościach Etta po prostu nigdy nie zetknęłaby się z kimś takim jak Hannibal. A skoro tak się stało, to winien jestem tylko ja. To ja przedstawiłem jej brata i to ja nalegałem, by nasz dom był dla niego schronieniem i bezpieczną przystanią, gdyby kiedykolwiek miał jakieś kłopoty.

Nalegałem na to, tłumacząc onie, e nie mogę przecie obrócić się plecami do własnego brata. I, prawdę mówiąc, byłem szczęśliwy, kiedy się u nas pojawiał.

Trace urwał na chwilę, a na jego twarzy malował się jednocześnie ból i gniew.

– Nie chciałem przyjąć do wiadomości, e Hannibal był ju zupełnie kim innym. Nie chciałem najpewniej dlatego, e w jakiejś części czułem się odpowiedzialny za to, co się z nim stało.

– No, to ju zupełnie bez sensu! – powiedziała Sam.

– Na chłodny rozum te to wiem – rzekł Trace, uderzając się dłonią w głowę, jakby chciał się w ten sposób za coś ukarać. – Ale od strony serca wygląda to zupełnie inaczej. Nie mogę zapomnieć, e to ja byłem tym ukochanym, faworyzowanym synem, e rzemień ojcowskiego bata spadał

zawsze na plecy Hannibala, a nigdy nie na moje. Brat nie znenawidził mnie za to, chocia miałby do tego pełne prawo. I tylko ze mną po egnął się, kiedy opuszczał Nowy Orlean.

– To przecie nie była twoja wina, e... Trace nie pozwolił jej dokończyć.

– Czasami nocą, kiedy nie mogłem zasnąć, zastanawiałem się, jak mogłoby się potoczyć ycie Hannibala, gdybym się w ogóle nie urodził. Albo gdybyśmy mieli tego samego ojca. I ciągle zadawałem sobie pytanie, co mogłem zrobić... co zrobiłem, eby jego ycie uczynić znośniejszym? I czy nie powinienem był wtedy zrobić jeszcze czegoś, co powstrzymałoby go przed wkroczeniem na złą drogę, którą w końcu wybrał... – Urwał i spojrział na Sam. –

Wiem, e ty pewnie tego nie rozumiesz. Trudno się dziwić, bo tak naprawdę i ja nieraz nie rozumiem sam siebie. Niech to wszyscy diabli!

– Przestań ju , Trace. To nie ty zabiłeś onę.

– Ale jestem odpowiedzialny za jej śmierć. Powiedziałem Hannibalowi, e nasz dom jest dla niego otwarty o ka dej porze dnia i nocy. I zostawiłem wtedy Ettę samą w domu.

– A czy wyjeżdżając, wiedziałeś o tym, że brat się pojawi?

– To nie ma żadnego znaczenia.

– A więc nie wiedziałeś. Poza tym z całą pewnością nie zostawiłeś ony bez opieki i pomocy. Jej rodzina mieszkała w pobliżu. Nie brakowało tu pewnie znajomych i przyjaciół. A w domu było pełno służy.

– Etta chciała jechać ze mną do Nowego Orleanu, a ja się na to nie zgodziłem – rzekł Trace. – Uregulowanie spraw spadkowych po zmarłej matce zajęło mi dwa tygodnie, ale zostałem tam jeszcze przez półtora miesiąca.

Odwiedzałem starych przyjaciół, bawiłem się, grałem. Nie śpieszyło mi się z powrotem do Kansas City. I nawet nie napisałem do Etty, w ogóle o niej wtedy nie myślałem. A gdy tak sobie tam hulałem, ciesząc się bujnym nocnym życiem Nowego Orleanu, mój brat bez przeszkód więził i gwałcił moją onę.

Sam patrzyła na niego, kręcąc głową, ale nie próbowała już dalej się z nim spierać. Trace położył dłoń na klamce.

– Dawałem onie wszystko, czego chciała, bo uważałem, że jej się to należy – powiedział. – Mimo to jako mąż zawiodłem na całej linii, w najważniejszej chwili. Nie było mnie wtedy, gdy byłem najbardziej potrzebny! I tego już w żaden sposób nie da się zmienić, a jedyne, co teraz mogę zrobić, to odnaleźć i zabić człowieka, który jest winien jej śmierci. I zrobię to. – W oczach Trace'a pojawiły się łzy, a jego słowa nagle zabrzmiały jak przysięga. –

Zrobię to, nawet mając świadomość, że zabijając go, zabijam te samego siebie!

Odwrócił się i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Sam w końcu postanowiła pójść za radą Trace'a, wykąpać się i zjeść porządną kolację. Mogła bez trudu połączyć jedno z drugim, ponieważ na tacy ustawionej tu obok wanny zostało jeszcze sporo ostryg, rosbifów i sera. Ułożyła się więc w wannie możliwie najwygodniej i podczas gdy ciepła woda powoli rozmiękczała nawarstwiony podczas podróży brud, Sam od czasu do czasu sięgała po któryś z pozostawionych dla niej przysmaków. Nie przestała jednak rozmyślać o konsekwencjach, jakie nieuchronnie wynikały z jawnej niezdolności faktów, o których napisała w swym liście Etta Harden.

Im więcej dowiadywała się o tej kobiecie, tym gorzej o niej myślała. I tak, na przykład, zupełnie nie podzielała przekonania Trace'a, że bez niego ona nigdy nie zetknęłaby się z Hannibalem Cotwellem. Instynkt podpowiadał Sam, że ta kobieta tak czy inaczej szukałaby niebezpiecznych ludzi i niebezpiecznych sytuacji, gdy to ją po prostu najbardziej podniecało. A ponieważ tych emocji Trace nie mógł jej zapewnić, zaczęłaby szukać ich gdzie indziej. I z pewnością w końcu by znalazła.

Wciąż jednak były to tylko domysły i Sam nie mogła nie zdawać sobie sprawy, że wie o tej kobiecie zbyt mało – a i w tym, czego zdążyła się dowiedzieć, znacznie więcej było trudnych pytań niż łatwych odpowiedzi.

Postanowiła więc przestać się już tym denerwować, przynajmniej na razie, i dla zmiany nastroju zaczęła się intensywnie szorować gąbką i pachnącym mydłem.

To była prawdziwa przyjemność. Oplukała się raz i drugi, a następnie wytarła do sucha.

Już wcześniej przygotowała sobie – zamiast piąmy – miękkie welwetowe spodnie i za duży męską koszulę, ale przed włożeniem tego na siebie stanęła na chwilę przed lustrem i dość niepewnie zaczęła się sobie przyglądać.

Właściwie dopiero ostatnio zaczęła zwracać uwagę na swoje biodra i piersi.

Nie bardzo jednak miała je z czym porównać – co najwyżej z wiszącymi niemal w każdym saloonie olejnymi bohomazami, zazwyczaj przedstawiającymi nagą Wenus w takiej czy innej kuszącej pozycji. Z reguły było to uosobienie dojrzałej i bardzo – by tak rzec – obfitej kobiecości. Ale z nimi Sam, ze swoją wciąż jeszcze dziewczęcą figurą, nie miała się co równać. To samo można było powiedzieć o jej delikatnej buzi – tu zdecydowanie niedostawało tej wyzywającej zmysłowości, którą wręcz buchały tamte boginie saloonów.

Przyglądała się sobie bardzo krytycznie i w końcu uznała, że piersi ma jednak w miarę pełne i kształtne, choć raczej zbyt małe. Biodra były dość zgrabne, ale mogłyby być odrobinę szersze. Trójząbek kędzierzawych kasztanowych włosów na wierzchu łonowym z jakiegoś powodu wprowadził ją w zakłopotanie, tak więc nie zamierzała mu się dokładniej przyglądać i szybko przeniosła wzrok na nogi. Te były w miarę długie i kształtne, ale trochę zbyt szczupłe. Jędrne młode mięśnie rysowały się nazbyt wyraźnie, brakowało im tej miękkości, którą mogłaby nadać dopiero odrobina tkanki tłuszczowej. Na koniec Sam jeszcze raz uważnie obejrzała ślad po kuli rewolwerowej, tu pod dolnym brzochem. Ta owa blizna w kształcie ziarna fasoli była niewielka, ale jednak wyraźnie widoczna i z pewnością szpeciła ją, odciągając przy tym uwagę od reszty, która w końcu mogła być całkiem do przyjęcia.

Westchnęła cichutko i sięgnęła po koszulę, zastanawiając się, czy Trace Harden zwróciłby uwagę na tę bliznę, czy jednak na resztę. I jak by na nią patrzył, gdyby tu był w tej chwili? Czy spoglądałby obojętnie, czy może w tych jego tygrysiach oczach błysnęłoby coś więcej? Może nawet obrzuciłby ją tym swoim leniwym, zamglonym spojrzeniem, które sprawiało, że nagle miękły jej nogi i zaczęła marzyć o różnych dziwnych rzeczach – na przykład o tym, aby to ona była z nim w łóżku tamtej upalnej nocy w Nowym Orleanie.

Bo może drogi, skąd się u niej biorą takie myśli?!

Palnęła się pięścią w głowę, aby się za to ukarać, prawie tak samo, jak zrobił to wcześniej Trace. On też musiał się bić z myślami, ale jego myśli z pewnością nie były aż tak niemądre.

I po co się aż tak bardzo tym ekscytować? Przecież tak naprawdę była dla Trace'a tylko dość kłopotliwym towarzyszem podróży i chwilowym współnikiem. Złączył ich jedynie cel i przypadkowo wybrana karta. A poza tym czy nie powiedział jej bardzo otwarcie, że dla niego mogłaby być mężczyzną?

Tak właśnie ją widział – zresztą dokładnie tak samo jak wszyscy pozostali ludzie, z którymi dotąd się stykała.

Odwróciła się od lustra i usiadła na krawędzi łóżka, chowając twarz w dłoniach. Nie chciała już na siebie patrzeć.

Przez całe lata uporczywie walczyła o wyzbycie się wszystkich widocznych cech kobiecości tylko po to, aby teraz nagle rozpaczliwie tęsknić za mężem – i to za bardzo konkretnym mężem. Dałaby wszystko za to, aby chciał na nią patrzeć... i aby widział w niej kobietę godną poślubienia.

Te pragnienia były krańcowo sprzeczne z tym, czego chciała wcześniej, a w dodatku ironiczny los jeszcze zaplątał to wszystko tak złośliwie, że teraz mogła już tylko siedzieć i płakać. Albo śmiać się z siebie samej.

No bo jak niby jakikolwiek mężczyzna miałby ją uznać za godną poślubienia? Latami starała się wyzbyć resztek kobiecości i to się jej najwyraźniej udało. Teraz więc już na pewno nie znajdzie się nikt, kto chciałby poruszyć niebo i ziemię, byle tylko ją poślubić.

Nagłym ruchem rzuciła się na łóżko i, wtulając twarz w poduszkę, zaczęła rozpaczliwie szlochać. Od czasu śmierci ojca nie zdarzyło się jej płakać tak szczerze i z tak serdecznym apelem.

Może więc coś z kobiety jednak w niej pozostało.

Obudziła się o piątej, ubrała się bardzo szybko i opuściła hotel. Przy Nugget Street ogniskowało się całe nocne życie Pueblo, było tam pełno barów, saloonów i domów gry, toteż nawet o świecie ruch był tam całkiem spory.

Środkiem jezdni jechali konno trzej pijani kowboje, każdy z butelką w ręku i rewolwerem u pasa. Na zmianę śpiewali sprośne piosenki, lali sobie whisky prosto do gardła albo kłócili się, wymyślając sobie od najgorszych.

Drewnianymi chodnikami tam i z powrotem nieśpiesznie spacerowały panienki z rozrywkowych lokali, rozglądając się za spóźnionymi klientami. Gdy ich znalazły, wchodziły do środka, a na ich miejsce pojawiały się inne. Wahadłowe drzwi saloonów otwierały się bez przerwy, w jedną i drugą stronę, a z wnętrza dobiegała głośna muzyka – w każdym lokalu inna – śmiechy i pijackie krzyki.

Ponieważ lokali było dużo, na ulicy było niewiele ciszej niż w środku.

Sam poprawiła pas z rewolwerem, naciągnęła kapelusz bardziej na oczy i przystąpiła do poszukiwania Trace'a. Po sprawdzeniu dwóch saloonów znalazła go w trzecim. Swoim zwyczajem siedział w głębi sali, plecami do ściany, całkowicie zaabsorbowany grą. Z trzymanego w palcach tłącego się cygara unosiła się wąska niebieska smuga. Palili zresztą wszyscy, nie tylko przy jego stoliku, ale i przy kilku pozostałych. Wysoki poczerniały sufit tonął w chmurze dymu.

W drugim końcu sali spocony pianista walił w połówkę klawisze, a stojący przy nim pijani kowboje ochryple i bardzo głośno śpiewali o utraczonej miłości i zmarnowanym życiu.

Sam przemyślnie przesunęła się od baru w kierunku ściany i stanęła przy niej tak, aby Trace mógł ją dostrzec w przerwie między kolejnymi rozdaniem.

Ta partia musiała trwać już wiele godzin. Papierosowy dym nad stolikiem kłębił

się najgęściej, a gracze sprawiali wrażenie mocno już zmęczonych – z wyjątkiem Trace’a, który wciąż wyglądał świeżo i kwitnąco i jako jedyny nie miał zaczerwienionych oczu po tej długiej pokerowej nocy. O tym, że i on jest równie mocno zaangażowany w grę, świadczył jedynie lekko przekrzywiony krawat i zsunięty na tył głowy kapelusz, spod którego nieposłuszne pasma włosów tu i ówdzie opadały na czoło.

Przegrywający po kolei odchodzili od stolika, nie kryjąc irytacji i rozczarowania, a w końcu naprzeciwko Trace’a pozostał już tylko jeden, najwytrwalszy i najbardziej uparty, przeciwnik, ogromny mężczyzna w kowbojskim kapeluszu i kraciastej koszuli, która tylko z trudem dopinała się na potężnych ramionach i bieżym karku.

Sam raz i drugi spróbowała dyskretnie zwrócić na siebie uwagę Trace’a, który sprawiał wrażenie, że nadal jest bez reszty pochłonięty grą. Tymczasem poranne słońce już zaczynało się wychylać spoza horyzontu i do odjazdu pociągu pozostawało niewiele czasu.

Trace jednak dostrzegł jej ukradkowe znaki, ale jako profesjonalista zachował nieruchomą twarz i tylko lekkim drgnięciem brwi dał jej znać, że rozumiał i że nie trzeba się o niego niepokoić.

– Mam wrażenie, że na tym zakończymy, szanowni panowie – powiedział

chwile po tym, wykładając kierowy sekwens królewski i zyczliwie uśmiechając się do przeciwnika, który zaklął ordynarnie, jako że jeszcze przed chwilą był

pewny wygranej, mając z ręki sekwens zwykły. Nie zwracając uwagi na te przekleństwa, Trace zgarnął banknoty i spory stos złotych monet, zamierzając je włożyć do kieszeni.

– Stać! – wrzasnął przegrany i palcem wskazał na Sam. – Widziałem, jak ten chłopak dawał ci znaki!
– Groźnym spojrzeniem przekrwionych oczu potoczył po sali i zatrzymał wzrok na jednym z pijanych kowbojów, którzy śpiewali razem z pianistą. – A ten ten musiał być z wami w zмовie! Tak to było: kowboj dawał znak chłopakowi, a chłopak tobie! Kładź z powrotem te pieniądze, ty chytry oszuście, chyba że chcesz dostać kulkę między oczy!

Ale pieniądze dawno znikły w wewnętrznej kieszeni marynarki Trace’a, a on już był w połowie drogi do wyjścia, umiejętnie przesuwał się tak, aby jak najwięcej bawiących w lokalu gości znalazło się między nim a rozwścieczonym olbrzymem w kraciastej koszuli.

Ten już sięgał po rewolwer.

– Zejść mi z drogi! – wrzasnął. – Usunąć się, do cholery, bo będę strzelał

przez was! Dajcie mi go trafić!

– To ciekawe, wcale nie wyglądał na takiego, co nie potrafi przegrywać –

mruknął Trace, przepychając się wraz z Sam w kierunku drzwi prowadzących na ulicę. – Pośpiesz się, jeśli mo na cię prosić. Wygląda na to, e będą kłopoty, na ulicy łatwiej mu będzie strzelać.

Sam dotrzymywała mu kroku, biegli najszybciej, jak mogli. Po chwili huknął strzał i kula gwizdnęła tu koło jej ucha, rozbijając szybę wystawową ledwie parę metrów dalej. Następna trafiła w sztyld domu noclegowego.

– Biegnij, a ja będę osłaniać! – krzyknęła Sam, kryjąc się za wozem ustawionym przed pobliskim sklepem. Ładunek składający się głównie z worków mąki wystarczająco chronił przed bezpośrednim trafieniem. Wyrzała ponad wozem i zobaczyła, e do olbrzyma w kraciastej koszuli dołączyło jeszcze dwóch uzbrojonych osobników, tych, którzy przegrali wcześniej.

Strzeliła trzykrotnie, celując pod nogi, eby ich powstrzymać, na co tamci odpowiedzieli ogniem, jednocześnie kryjąc się za grupą koni, uwiązanych przed jednym z barów. Na piętrach po obu stronach ulicy otwierały się okna, Sam słyszała jakieś śmiechy i krzyki zachęty, ale nie mo na było zgadnąć, do kogo ta zachęta się odnosiła.

Strzeliła jeszcze kilka razy, a potem odczekała, a tamci wystrzelają wszystkie naboje i będą musieli przeładować rewolwery. Policzyła do piętnastu i kiedy ostatnia kula ugrzęzła w worku z mąką, co sił w nogach pobiegła w stronę stacji, do skrzy owania przy stajniach, za którymi powinien na nią czekać osłaniający ją Trace. Starła się biec mo liwie blisko budynków, modląc się w duchu, eby adna deska drewnianego chodnika nie złamała się pod nią, bo wtedy do zakrętu, prowadzącego prosto do stacji, z pewnością ju by nie dobiegła.

Trace strzelał tak, eby jak najskuteczniej powstrzymywać ścigających i utrudnić im dokładniejsze celowanie. Sam w końcu dobiegła za róg, z trudem łapiąc oddech, i natychmiast zabrała się do przeładowywania rewolweru. I znów zamienili się miejscami, Trace pobiegł w kierunku stacji, a ona zajęła pozycję za następnym węglem stajni i celnymi strzałami zmusiła ścigającą ich trójkę do zatrzymania się i do szukania ukrycia za tym samym wozem, przy którym przed chwilą się chowała.

Od strony stacji dał się słyszeć gwizd szykującego się do odjazdu pociągu, a poranny wiaterek niósł obłoczki pary i dymu z komina lokomotywy prosto na Nugget Street. Sam uznała, e Trace zdą ył ju dobiec do stacji, strzeliła jeszcze parę razy, eby przytrzymać ścigających, i znów co sił w nogach pognęła w kierunku torów i widocznego ju pociągu, który lada moment miał ruszyć.

Trace klęczał za stosem podkładów kolejowych i osłaniał ją, starając się celnymi strzałami opóźnić pościg. Sam, nie zwalniając ani na moment, przebiegła obok niego i po chwili była ju przy stacji. Na peron wbiegła nie przez główne wejście, ale na wprost, przez tory, nie zwa ając na okrzyki jakiegoś zaskoczonego tragarza, który ostrzegał ją, e pociąg ju rusza. Serce podjechało jej pod gardło, gdy okazało się, e pociąg rzeczywiście ruszył.

Tymczasem Trace te ju wpadł na peron, tą samą nieprzepisową drogą co ona. Tragarz słu bista nawet nie próbował go zatrzymywać. Zresztą pociąg i tak ju był dość daleko i powoli nabierał szybkości.

Trace i Sam spojrzeli po sobie, ale trwało to ledwie sekundę.

– Biegniemy! – krzyknął Trace. – Musimy go złapać. Peron na szczęście był niski, więc gdy się skończył, po prostu zeskoczyli na tory i dalej biegli za wolno nabierającym szybkości pociągiem. Po dwóch minutach rozpaczliwego biegu zdawało im się, że są już bardzo blisko. Platforma ostatniego wagonu była nieomal na wyciągnięcie ręki. Ale to było tylko złudzenie..

– Nie... nie daję... rady! – wychrypiała Sam ostatkiem tchu, bezradnie wpatrując się w znów oddalającą się platformę.

Trace nie był w stanie wykrztusić nawet słowa, ale resztką sił jeszcze raz przyspieszył i ostatecznie jakoś zdołał uchwycić poręcz. Wleczony przez nią, utrzymał się wręcz cudem, nadludzkim wysiłkiem podciągnął się do góry i po chwili był już na stopniu. Mocno trzymając się jedną ręką, drugą wyciągnął w kierunku Sam, która wciąż biegła o metr lub dwa z tyłu, i wyglądało na to, że na więcej już się nie zdobędzie. Wyraźnie traciła siły.

– Nie daj się, do cholery! – wrzasnął Trace. – Walcz, Kincade! Poka , że jak chcesz, to potrafisz!

Sam miała wrazenie, że serce jej pęka, płuca paliły ją, a nogi były jak z ołowiu. Ale przyspieszyła, jeszcze raz przyspieszyła i wyciągnęła rękę, aby pochwycić wyciągniętą ku niej dłoń. Wiedziała, że umrze, ale ją chwyci, musi ją chwycić. Jednak złapała tylko powietrze.

To już koniec, zdążyła jeszcze pomyśleć – i w tej samej chwili poczuła gwałtowne szarpnięcie do góry. To Trace zdążył złapać ją za nadgarstek i z całej siły pociągnął ją ku sobie, modląc się, by zrozumiała jego zamiar – aby odbijając się jak najmocniej skoczyła, jak najwyżej podciągając nogi i pozwalając się wciągnąć na górę bez zaczepienia stopami o podkłady.

Jakimś cudem to się udało, głównie dzięki temu, że Sam była dość drobna, a więc i niezbyt ciężka. Przez chwilę miała wrazenie, że Trace wyrwał

jej rękę ze stawu, ale ostatecznie w miarę cała znalazła się na podłodze platformy. Półprzytomna, krańcowo obolała i śmiertelnie wyczerpana, lecz jednak żywa, leżała na brudnych deskach i była szczęśliwa, widząc, że tu obok leży on. Tak samo bez tchu i tak samo niezdolny nawet do tego, by się podnieść o własnych siłach.

Leżeli tak obok siebie i w milczeniu patrzyli, jak wciąż ścigający ich trzej mężczyźni zwalniają jeden po drugim, najwyraźniej tracąc nadzieję na dogonienie uciekinierów. Olbrzym w kraciastej koszuli znów zaczął strzelać na oślep, dwaj jego kompani dołączyli do tej kanonady, ale skutek był praktycznie żaden. Obłoczki rudego pyłu wzbijały się nad podkładami w miejscach, gdzie trafiały kule, jednak wagon był już poza ich zasięgiem.

Sam i Trace popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się w poczuciu wspólnego zwycięstwa. Wciąż jeszcze z trudem łapali oddech, ale udało im się podnieść do pozycji półsiedzącej, z plecami opartymi częściowo o ścianę wagonu, a częściowo o siebie nawzajem. Równie ich ramiona i biodra stykały się, co Sam czuła szczególnie wyraźnie. Pueblo już powoli zniknęło w oddali, a wokół nich rozpościerał się bezkresny ocean ukwieconej prerii.

– Niewiele brakowało, by nas zastrzelili – odezwała się w końcu Sam, z wolna odzyskując oddech. Jej serce wciąż biło jak oszalałe, ale to i tak było nic w porównaniu z tym, co działo się w jej klatce piersiowej przed paroma minutami. – Mam nadzieję, e wygrana przez ciebie stawka warta była takiego ryzyka.

Bo e drogi, pomyślała, jakie to jest jednak piękne! Jak cudowne jest poczucie, e się zwyciężyło, e niebezpieczeństwo minęło... a Trace jest tu obok. Tak blisko, e nawet przez ubranie czuła ciepło jego ciała.

Trace, który wciąż jeszcze oddychał bardzo mocno i głęboko, z uśmiechem poklepał się po wewnętrznej kieszeni, w której schował wygraną.

– Mo esz być pewna, e ta sumka warta była strzelaniny.

– Miałeś szczęście, e ci ludzie nie tylko nie potrafili przegrywać, jak się o nich wyraziłeś, ale tak e nie umieli strzelać.

– A ty miałaś szczęście, e mam długie ręce. – Przymknął oczy i wystawił twarz do słońca.

– A jednak pozostanie na noc w Pueblo było niepotrzebnym i niemądrym ryzykiem. Po pierwsze, mogłeś przegrać wszystko, co mieliśmy, a po drugie ktoś nas mógł rozpoznać.

– Ale mówiłem ci, e wszystko pójdzie jak z płatka – odpowiedział Trace, wciąż nie otwierając oczu i uśmiechając się szeroko.

– Nie znoszę, kiedy jesteś taki strasznie z siebie zadowolony.

Trace podniósł powieki, obrócił się i popatrzył jej prosto w oczy.

– A ja bardzo lubię, kiedy coś się dzieje – rzekł. – To była naprawdę zegarmistrzowska robota, a ty byłaś po prostu znakomita. Gdybym znów miał

brać udział w strzelaninie, chciałbym ciebie mieć obok.

Zaskoczona tym nieoczekiwanym komplementem Sam te spojrzała mu w oczy, w te rozświetlone słońcem bursztynowe tęczęwki, które w dodatku były teraz tak blisko, tak niebezpiecznie blisko. Nagle znów zabrakło jej tchu, a serce ponownie przyspieszyło.

– Ty te sprawiałeś się bardzo dobrze – przyznała w końcu. – Strzelałeś tak, eby za ka dym razem przydusić ich do ziemi. Dzięki temu nas nie dogonili.

– To a zaskakujące, jak dobrze się rozumieliśmy – powiedział Trace. –

Prawie tak, jak gdybyśmy to wcześniej ćwiczyli.

– Po prostu wyczuwaliśmy się nawzajem – rzekła Sam cicho, ponieważ ich twarze były bardzo blisko siebie. Tak blisko, że mogła widzieć pojedynczo ka dy włoski jego zaskakująco długich ciemnych rzęs. – Miałam wrażenie, że czytam w twoich myślach. Doskonale wiedziałam, kiedy dobiegniesz do skrzyżowania, w jaki sposób będziesz mnie osłaniał... I przez cały czas byłam pewna, że dobiegniemy, że zdążymy na czas.

Wzrok Trace'a błędził po jej zaróżowionej twarzy, wreszcie zatrzymał się na lekko rozchyłonych, dziewczęcych ustach.

– A kiedy już złapałem poręcz i wspiałem się na tę cholerną platformę, byłem pewny, że dobiegniesz... że skoczysz.

Sam nerwowo przełknęła ślinę. Jeszcze nigdy nie siedziała przy nim tak blisko, tak obezwładniająco blisko... Kręciło się jej w głowie, bała się, że jest zbyt spocona i zdyszana, a jednocześnie rozpaczliwie pragnęła wyglądać naprawdę pięknie, najpiękniej na świecie. Chciałaby mieć dość odwagi, aby unieść drżąca dłoń i delikatnie pogłaskać usmarowany sadzą policzek Trace'a.

A on wciąż patrzył na jej usta.

– Jesteś wspaniała, Sam – powiedział z głębokim przekonaniem – Jesteś najwspanialszą, najbardziej niezwykłą osobą, jaką...

Nie zdążył dokończyć. Kopnięte od wewnątrz drzwi, prowadzące z wagonu na platformę, otworzyły się szeroko i pojawił się w nich bardzo surowy konduktor z gotową do użycia strzelbą w dłoni.

– Pasażerowie na gapę? – zapytał, przypatrując się im badawczo. – Czy te zamierzający zapłacić?

Trace chwycił za poręcz i podniósł się na nogi. Wyciągnął rękę i niewiele brakowało, by jako dżentelmen pomógł się podnieść Sam, ale na szczęście w ostatniej chwili przypomniał sobie, że w tym przebraniu nie występuje ona w roli damy. Przesunął więc dłoń ku wewnętrznej kieszeni marynarki i odsłonił ją na tyle, by konduktor mógł dostrzec mocno wypchany portfel.

– Chcielibyśmy dostać przedział pierwszej klasy, mój dobry człowieku –

powiedział z miną wielkiego pana, lekko otrzepując płatki sadzy, które zdążyły osiąść na klapach i rękawach. Kątem oka spojrzał na Sam, która również zdążyła się już podnieść. – Wraz z moim współnikiem wsiedliśmy w ostatniej chwili i nie zdążyliśmy zabrać naszych bagaży ani nawet kapeluszy.

Spodziewam się, że pan nam pomoże nabyć najpotrzebniejsze rzeczy, a mydło i przybory do golenia zapewne będą w przedziale. Czy śniadanie jest już podawane?

Konduktor jeszcze raz obejrzał ich od stóp do głów, ale swoboda Trace'a oraz jego mocno wypchana kieszeń najwyraźniej go przekonały.

– Zechcą panowie pójść tedy – powiedział, opuszczając broń. – Moje ja poprowadzę.

Sam jeszcze na chwilę zatrzymała Trace'a na platformie. Wskazującym palcem dotknęła jego wypchanej kieszeni.

– Czy musiałeś oszukiwać, eby wygrać a tyle? – spytała. Popatrzył na nią z rozbawieniem.

– Ju ci mówiłem, e nigdy nie oszukuję. Idź za mną, wspólniku.

Poprawił mankiety i ruszył w ślad za konduktorem. Przeszli przez wagon słu bowy i trzy dość mocno zapchane wagony drugiej klasy i wreszcie znaleźli się w wagonie z luksusowymi przedziałami, przeznaczonymi dla najbogatszych podró nych.

Trace został na korytarzu, aby zapłacić konduktorowi za przejazd i zamówione rzeczy . A Sam z prawdziwą przyjemnością usiadła na miękkiej kanapie i przypominała sobie, co dokładnie powiedział o niej konduktorowi.

Najwyraźniej została awansowana z bratanka na wspólnika. To ju było niemało, a przecie ledwie chwilę wcześniej Trace nazwał ją „najwspanialszą, najbardziej niezwykłą osobą, jaka...”

No właśnie. Jaka co?

Cokolwiek zamierzał powiedzieć, jedno było pewne. To musiało być coś miłego. Sam uśmiechnęła się, patrząc na Trace'a, który wciąż jeszcze coś uzgadniał z coraz bardziej ugrzecznionym konduktorem. Oparła twarz o miękki podgłówek i próbowała odtworzyć w wyobraźni to, co działo się kilka minut temu, gdy przytuleni do siebie siedzieli na końcowej platformie. Jego twarz była wtedy tak blisko... I Sam w pewnym momencie niemal ju była pewna, e znów ją pocałuje.

Na samą myśl o tym słodki dreszcz przebiegł od kręgosłupa do jej piersi i w dół a do podbrzusza.

Teraz nikt ju nie pamiętał, jak ta wojna między nimi się zaczęła. O tym, e w zeszłym roku bracia Lymanowie upokorzyli Grubego Joego, te ju właściwie mo na było zapomnieć. Podobnie jak o bydle, które ludzie Hannibala zagarnęli ostatnim razem – nie było tego a tyle, eby stado Lymanów doznało naprawdę powa nego uszczerbku, tym bardziej e bracia bynajmniej nie stronili od podkradania bydła innym. Ale do podtrzymywania tej krwawej zwady wystarczała ślepa nienawiść, której po obu stronach nie brakowało. Jedni i drudzy woleli,

eby agresja ich ludzi wyładowywała się na zewnątrz, zmniejszając przez to ryzyko wybuchu między swoimi.

W obezwładniającym upale Hannibal Cotwell le ał wprost na gołej kamienistej ziemi, ukryty za kępą kaktusów i zeschniętych bylin, czując się jak kawałek mięsa, ostro przypiekany na ro nie. Kolejny raz zsunął kapelusz na tył

głowy i rękawem otarł spocone czoło. Kątem oka spojrział na swoich ludzi, le ących nieopodal – był tam Marsh Crisp, Billy Jones i nowy młody chłopak, który w ogóle nic nie mówił. Oni te sma yli się w tym morderczym słońcu i czekali, nie do końca wiedząc na co.

Hannibal splunął, czując w ustach smak kurzu i własnego potu. Znów obserwował rancho Lymanów. Ściany budynku mieszkalnego, wykonane z suszonej na słońcu cegły, z pewnością doskonale chroniły przed upałem, a dom i dziedziniec dodatkowo były ocienione gęstym listowiem rosnących dookoła dębów. Wra enie miłego chłodu potęgowała niewielka fontanna przy studni na środku dziedzińca. Jeśli bracia Lymanowie byli wewnątrz domu, to mo na im było tylko zazdrościć, zwłaszcza po godzinie takiego le enia pod kaktusami, w obezwładniającym słonecznym arze. Tym sukinsynom niewątpliwie było du o chłodniej. W dodatku Lymanowie z pewnością ju wiedzieli, e Burt tydzień temu dał nogę, przez co pod komendą Hannibala pozostawało tylko trzech ludzi.

Jego siły topniały.

Hannibal przewrócił się na plecy, otworzył przytroczoną do pasa manierkę z wodą i spróbował obmyć sobie twarz. Woda była jednak zbyt ciepła, miała zapach rozgrzanej cyny i nawet jeśli na chwilę splukała z twarzy pot, to i tak pomagało to tyle co nic.

– Za chwilę ugotuję się na twardo – poskar ył się Billy, podpierając głowę pięściami, eby nie le ec twarzą w gorącym pyle. – Chyba nawet w piekle nie jest a tak cholernie gorąco.

– A ja wam mówię, e Lymanów tam nie ma! – Marsh Crisp powtórzył to ju trzeci raz. – Sma ymy się tutaj jak głupi bez adnej potrzeby!

Hannibal nie mógł tego nie słyszeć. Nie mógł te nie dostrzec, e sprawy zaczynają wyglądać gorzej ni źle. Nie akurat teraz, ale w ogóle. W nagłym przebłysku spotęgowanej świadomości jasno zobaczył całą sytuację i zrozumiał, e Lymanowie w końcu wygrają. Muszą wygrać – poniewa mieli więcej ludzi, broni... i więcej czasu. Mieli to rancho i ziemię, i ogromne stada bydła, więc jako posiadacze stali się cenionymi obywatelami. Państwo zawsze weźmie ich stronę.

Jeszcze nie tak dawno temu ta zwada z Lymanami w jakiś sposób wydawała się Hannibalowi wa na. Podchodził do niej tak, jak gdyby chodziło tu o coś istotnego, jakby naprawdę miało to jakieś znaczenie, kto wygra. Ale ostatnio, a dokładniej mówiąc od momentu, kiedy dowiedział się o śmierci Etty, przestał dostrzegać w tym jakikolwiek sens. Cała ta wojna nagle wydała mu się niedorzeczna i kompletnie bezcelowa – jak zresztą wszystko inne.

Zakręcił manierkę i przytroczył ją z powrotem do pasa. Przekręcił się do poprzedniej pozycji i przynajmniej na pozór powrócił do obserwowania rancho, ale w rzeczywistości intensywnie myślał o czym innym. Zastanawiał się, dokąd mógłby stąd uciec.

Do Kolorado z całą pewnością wrócić ju nie mógł. Sędzia Mockton ścigał go tam od lat, podobnie jak i innych członków jego bandy, a po napadzie w Leadville jeszcze podwoił wysiłki. Teksas jako miejsce schronienia te nie wchodził w grę ze względu na napad w Wells Fargo. Mo na by się było zastanowić nad stanem Wyoming, gdzie nikt ani Hannibala, ani jego ludzi nie ścigał – ale tam po prostu nie warto było uciekać, ponieważ nie było tam dosłownie nic, co opłacałoby się zrabować; ludzi było mało, a ich liche domostwa najlepiej świadczyły o tym, jak trudno się w tym biednym stanie obłowić.

Mo e więc nale ałoby pomyśleć o Kalifornii? Na pewno nie o tej porze roku. Teraz upał nawet tutaj był trudny do zniesienia, a tam przecie mogło być jeszcze goręcej. Za daleka droga i zbyt męcząca. A Kansas? Nie, po śmierci Etty Hannibal wiedział, e jego noga więcej tam nie postanie.

Miał ju tego dosyć.

– Olać to wszystko! – krzyknął na wpół do siebie, a na wpół do swoich ludzi. Zerwał się ze swego miejsca, naciągnął kapelusz mocniej na czoło i co sił

w nogach pobiegł w kierunku domu Lymanów, strzelając po drodze do paru kur wałęsających się przed wejściem na dziedziniec. Kątem oka widział, e jego ludzie ruszają w ślad za nim, równie strzelając do bezbronnego ptactwa oraz do kolorowych lampionów, kołyszących się przed domem.

Dobiegali ju do szeroko otwartej bramy w ogrodzeniu dziedzińca, kiedy drzwi domu nagle się uchyliły i czyjaś ręka wysunęła na zewnątrz kij od szczotki z przywiązany do niego prześcieradłem, powiewając nim jak białą flagą. Gdy strzały umilkły, zza drzwi bardzo ostro nie wysunęła się młoda kobieta o jasnej oliwkowej cerze.

– Nikogo tu nie ma, *senores!* – powiedziała dr ącym głosem, stając na progu.

– Co to za jedna?! – warknął Hannibal. Musiała być półkrwi Indianką albo Meksykanką, świadczył o tym zarówno jej wygląd, jak i akcent, a tak e sposób mówienia. Lśniące kruczoczarne włosy miała upięte w wysoką koronę, w jej delikatnej twarzy widziało się przede wszystkim wielkie ciemne oczy pod strzelistymi łukami brwi i dr ące z przera enia dziewczęce usta.

Przy tym wszystkim była wręcz zachwycająca. Jej młodość i uroda uderzyły wszystkich, a Hannibal na widok dziewczyny nagle poczuł bolesny skurcz w okolicach serca.

Mars Crisp gwizdnął przeciągle.

– No, no! Takiej bym sobie nie odmówił!

– Ona jest oną Josiaha Lymana – powiedział Billy, któremu oczy te się mocno zaiskrzyły. – Widziałem ją kiedyś w mieście.

A więc Josiah Lyman dorobił się ju nie tylko domu, ziemi i stada. Teraz miał tak e piękną kobietę. Był szanowanym obywatelem, cenionym biznesmenem, człowiekiem sukcesu. Los najwyraźniej uśmiechał się do niego, dał mu wszystko, czego mę czyzna mo e pragnąć.

Fala wściekłej zazdrości wezbrała w sercu Hannibala. To było wysoce niesprawiedliwe ze strony losu, e jednemu dawał same asy, a drugiemu nędzne blotki. I nale ało to natychmiast wyrównać.

W ataku wściekłości widział świat jak przez czerwoną mgłę, która jednak nie przeszkodziła mu wymierzyć w sam środek białej bluzki i strzelić prosto w serce. Młoda ona Josiaha Lymana zachwiała się i upadła na samym progu. Na jej bluzce wolno rozrastała się ciemnoczerwona plama.

Marsh Crisp zaklął ordynarnie.

– No i po co było tak od razu ją zabijać? – zapytał z jawnym wyrzutem. –

Mogliśmy się przedtem wszyscy z nią zabawić!

Hannibal mruknął tylko:

– To się Josiahowi nale ało.

Tak, to się Josiahowi nale ało. Musiał wreszcie utracić coś najcenniejszego – bo za dobrze mu się dotąd powodziło. Josiah Lyman nie miał

blizn na plecach ani na czole. Nie wyznaczono ceny na jego głowę. Nigdy nie zamartwiał się myślami o tym, e mógłby stać się nikim albo e bezsensownie zmarnował swoje ycie. Wszyscy uchylali kapelusza przed Josiahem Lymanem.

No więc teraz wreszcie się dowie, jak smakuje nieszczęście. Mo e nawet poczuje to, co czuł mały Hannibal, kiedy ojcowska ręka wznosiła nad nim bat.

Tyle tylko, e to wciąż jeszcze nie wystarczało. Zabicie Josiahowi ony wcale nie wyrównywało bilansu. Hannibal chciałby jeszcze spalić mu to rancho, wybić całe bydło, a ziemię zasypać solą tak, eby stała się jałowa i martwa. A i tego jeszcze nie byłoby dosyć. Chciał, eby Lyman poznał nocne koszmary, eby i jemu śniła się szubienica i kat wkładający pętlę. eby ten potworny strach ju go nigdy nie opuszczał, eby go dusił w ka dej chwili dnia i nocy.

Billy Jones i ten nowy, który nigdy nic nie mówił, wymienili znaczące spojrzenia. Hannibal nie mógł tego nie dostrzec. Było oczywiste, e wkrótce obaj uciekną od niego tak, jak to wcześniej zrobił Burt. Trzeba więc było szybko zdecydować, czy nie nale ałoby zastrzelić tak e i ich obu. Patrzył na le aące

na progu ciała młodej kobiety, na kilka równie bezsensownie zastrzelonych kur – i wciąż się zastanawiał.

Nim zdążył się zdecydować, odezwał się Marsh Crisp.

– Wygląda na to, że smażyliśmy tu sobie tyłki zupełnie niepotrzebnie. –

Splunął śliną oltą od tytoniowego soku. – Powinniśmy się stąd zabierać.

Hannibal popatrzył na niego, mrugając powieki. Ten Crisp coraz częściej stawał się zbyt pewny siebie, jak gdyby zapominał, kto tu podejmuje decyzje. A i na Mattie zerkał zupełnie niedwuznacznie, kiedy myślał, że Hannibal tego nie widzi.

– Pewnie, że powinniśmy się zabierać. – Billy Jones przysłonił dłońią oczy, spoglądając na obłok kurzu zbliżający się od południa. – Będziemy mieli towarzystwo, i to spore...

– Do koni! – rozkazał Hannibal. Wszyscy czterej pędem rzucili się ku dolince, w której ukryli wierzchowce. Ruszyli galopem, a Hannibal odwracał się od czasu do czasu, obserwując zachowanie przeciwnika. Tak jak można było przypuszczać, część bandy Lymanów skręciła i wjechała na teren rancho, a druga, mniej więcej tak samo liczna, nie zatrzymując się, ścigała uciekających.

Jednak że Hannibal przewidywał taką ewentualność i zawczasu wybrał

odpowiednie miejsce na zasadzkę. Za załomem skalnym, który skrył ich przed wzrokiem ścigających, skręcili w niewielki parów, w którym zostawili konie, a sami pośpiesznie wspięli się na kamienne rumowisko, pod którym tamci musieli przejechać. I zbliżyli się właśnie w pełnym galopie.

Wywiązała się krótkka, ale zaarta strzelanina, po której ludzie Lymanów w końcu musieli się cofnąć, ponosząc spore straty. Ze swego miejsca Hannibal z satysfakcją obserwował ich dość bezładny odwrót. Wiadomo było, że wkrótce wrócą z posiłkami z rancho, ale na razie banda Hannibala mogła świętować zwycięstwo. U stóp kamiennego rumowiska leżało trzech zabitych, a wśród tych, którzy odjechali, przynajmniej paru było powaźnie rannych.

I dopiero w tym momencie Hannibal zorientował się, że On też został

trafiony. Kula raniła go w lewe ramię.

– Z tym się da dojechać do naszej rezerwowej kryjówki – ocenił Crisp, pobieżnie oglądając ranę. – Musimy wiać, póki czas, eby nie wiedzieli, gdzie nas szukać. Bo tym razem szeryf na pewno nie przymknie oka na trzech zabitych mężczyzn i jedną kobietę. Chyba w ogóle będziemy musieli stąd wyjechać na dłużej. Mam rację, szefie?

Hannibal kazał mu się zamknąć i obwiązał ranę zdjętą z szyi kolorową chustą. Z drugiej kazał zrobić prowizoryczny temblak. Unieruchomił w ten sposób drętwiejącą rękę i uznał, że mimo narastającego bólu jest w stanie jechać.

Szybko wydał rozkazy, Crispowi polecił zabrać Mattie z rancho Holborn i przywieźć ją na nowe

miejsce, zanim Lymanowie zorganizują następny pościg, ze zwiększonymi siłami.

Zaciskając zęby, eby nie jęknąć z bólu, Hannibal wsiadł na konia i ruszył

w ślad za swoimi ludźmi. Po drodze do nowej prowizorycznej kryjówki miał

dość czasu, eby zastanowić się nad tym, o czym myślał wcześniej. Dokąd jeszcze mógłby uciec?

Ostatecznie zdecydował się na Arizonę. To był jedyny stan, w którym nikt nie chciał posyłać go na szubienicę. Bo Hannibal Cotwell wprawdzie nie obawiał się śmierci, ale bał się szubienicy. To był najgorszy, najobrzydliwszy rodzaj śmierci, o którym myślał nie tylko z lękiem, ale i ze wstrętem.

Mattie Able ju kilka razy w yciu wydłubywała rewolwerowe kule z postrzałowych ran ró nych mę czyzn i wiedziała, e prędzej czy później znów będzie musiała się do tego zabrać – bo tak to ju bywa z mę czyznami. Rzuciła okiem na stół i przygotowaną ju tacę, eby się upewnić, e jest na niej wszystko, czego mo e potrzebować.

Gdy Hannibal ju będzie dostatecznie pijany, będzie mogła zaczynać. Na razie siedziała na chwiejącym się krześle obok jego posłania, wachlując się jakąś starą gazetą i od czasu do czasu ocierając pot z czoła.

Nowa kryjówka, do której przewieźli ją ludzie Hannibala, wydała się jej zupełnie koszmarna. Mattie nigdy nie sądziła, e wyląduje w czymś takim.

Wyglądało na to, e rzeczywiście z ka dą zmianą miejsca obsuwa się coraz ni ej. Stary dom na rancho Holborn był marny i sypał się ju ze starości, ale wydawał się niemal pałacem w porównaniu z tą obskurną budą, która teraz miała być ich schronieniem. Ściany miała sklecone z cienkich okrągłaków, ze szczelinami byle jak zamazanymi gliną i dachem z wysuszonych na słońcu kawałków darni.

Podłogę zastępowała ubita glina. W środku były tylko dwa niewielkie pomieszczenia, w jednym stał meksykański piec z surowej cegły, a w drugim zbita z desek prymitywna prycza, na której le ał Hannibal. Wyposa enia dopełniał kaleki stół i dwa rozpadające się krzesła.

– Bandyta yje jak bogacz tylko zaraz po napadzie – powiedział Hannibal, widząc minę, z jaką Mattie patrzyła na to nędzne wnętrze. – I to tylko wtedy, gdy jest na tyle głupi, eby zwracać na siebie uwagę.

– Przestań gadać i pij tę twoją whisky. – Mattie wskazała palcem na butelkę, którą postawiła tu pod jego zdrową ręką. – Aha, mam tu coś dla ciebie.

Ta gazeta ma ju trzy tygodnie, ale jest w niej wiadomość, która pewnie cię zainteresuje.

– A skąd ją masz?

– Od czasu do czasu Marsh przywozi gazety z miasta. Chcesz, ebym ci przeczytała ten kawałek?

– Lepiej opowiedz swoimi słowami, o co w nim chodzi. – Hannibal podniósł butelkę do ust i wypił co najmniej ćwierć jej zawartości.

Mattie wygładziła stronę gazety na kolanie.

– Tu napisali, e twój brat został skazany za zabicie człowieka i kradzie jego konia.

– Wrobili go – rzekł spokojnie Hannibal. – Trace nie jest zabójcą i nie kradnie koni. Ka dy, kto oskar a go o coś takiego, jest przeklętym kłamcą.

– W Denver skazano go na śmierć przez powieszenie, ale uciekł przed wykonaniem wyroku, kiedy jakiś łowca nagród podpalił areszt. Wygląda więc na to, e brat wciąż cię szuka.

– Ty tylko znów nie zaczynaj tej swojej gadki.. – Hannibal jęknął. –

Zamknij się choć na chwilę i przynajmniej teraz daj mi spokój.

Mattie podniosła się i zaczęła rozcinać rękaw zakrwawionej koszuli, przyschnięty do rany. Nie zamierzała dawać rannemu spokoju. Popatrzyła mu w oczy, lekko ju zachodzące alkoholową mgiełką i powiedziała z naciskiem:

– Powinieneś powiedzieć bratu prawdę. Niech wie, e to ona go zdradziła, nie ty. Przecie gdyby cię nie uwiodła, nawet byś jej nie dotknął.

Nie była pewna, czy Hannibal jej słucha. Po wypiciu butelki whisky niemal do dna jego oczy zrobiły się szklane. Ale po chwili się odezwał:

– To ja... to ja nauczyłem Trace’a dobrze strzelać – wybełkotał. Potem nagle spojrzał przytomniej i zapytał: – Zdarzyło ci się myśleć o śmierci na szubienicy?

Mattie wzruszyła ramionami.

– Dotąd nie. Zwil yła ściereczkę i obmyła nią ramię Hannibala z zaschniętej krwi, uwa nie przyglądając się ranie. Chyba tym razem miał

szczęście, bo kula najwyraźniej nie naruszyła kości. Nie powinno być trudności z jej wydostaniem.

– A ja myślę o szubienicy coraz częściej – mówił Hannibal jakby do siebie. – To naprawdę ohydna śmierć. Bo człowiek umierający na szubienicy jest najbardziej samotny...

Mattie patrzyła na niego zaskoczona. Nigdy dotąd nie mówił o śmierci, i to jeszcze w dodatku o takiej. Ale zdawała sobie sprawę, e samobójstwo ony Trace’a wstrząsnęło nim niesłychanie mocno, tak e ze względu na rodzaj śmierci, jaki Etta wybrała.

– Wypij jeszcze! – rozkazała, podając mu drugą butelkę. Hannibal wypił

spory łyk, krzywiąc się niemiłosiernie.

Następny te nie poszedł mu łatwiej.

– Wieszają cię publicznie, na oczach gapiów. Na oczach kompletnie obcych ludzi, którzy przyszedli tylko dla rozrywki i zabawy... Je eli kat nie zrobi swojej roboty dobrze, a oni rzadko to robią dobrze, to się dusisz. Długo i boleśnie.

Mattie poło yła mu dłoń na czole i delikatnie odgarnęła nieposłuszne włosy.

– Nie mów teraz o czymś takim!

– Ale najstraszniejsze jest to, e jesteś wtedy zupełnie sam, na oczach tyłu obcych ludzi. To du o gorsze, ni gdyby nie było tam nikogo... – Zmęczonymi przekrwionymi oczami patrzył na Mattie. – Powinni byli mnie powiesić ju wiele lat temu.

– Przestań – rzuciła. – Ciebie nikt nie powiesi. Umrzesz ze starości we własnym łó ku.

Wiedziała jednak, e to nieprawda. Dla kogoś takiego jak Hannibal na końcu drogi mogła być tylko szubienica. Odwróciła wzrok i udała, e czubkiem paznokcia sprawdza ostrość wąskiego kuchennego no a, którym miała się posłu yć przy wyjmowaniu kuli.

Ranny skrzywił się, patrząc na nó , ale ju po chwili wrócił do tematu śmierci.

– Najgorsze jest to, e będą tam sami obcy... e nikt nawet nie będzie wiedział, kim byłeś... i kim mógłbyś być... – Odstawił pustą butelkę i wpatrywał

się w nią tępym wzrokiem. Wypił ju tyle, e faza gniewnego protestu ustępowała miejsca łagodnej melancholii, po której miała przyjść całkowita obojętność. – Trace... – mruknął do siebie. – On jeden we mnie wierzył... i dostrzegał we mnie coś dobrego. I mo e jeszcze Etta. Ale Trace... Tylko on nigdy nie odwrócił się do mnie plecami. Tylko on!

Ura ona Mattie cofnęła się i popatrzyła na niego z wyrzutem.

– A ja to co? – spytała. – Ja nigdy z ciebie nie zrezygnowałam i nigdy się od ciebie nie odwróciłam!

Ale Hannibal w ogóle jej nie słuchał.

– Tylko on był zawsze po mojej stronie, a jak ja mu się za to odplaciłem?

Ukradłem mu onę! – Patrzył na Mattie półprzytomnym wzrokiem. – Mało mnie obchodzi, co tam było w tym cholernym liście! – wykrzyknął. – Etta pojechałaby ze mną, gdybym tylko zgodził się ją zabrać. Chciała tego, błagała mnie. Ale ja nie chcę, eby mój brat wiedział, e oboje go zdradziliśmy! Niech myśli, e to tylko ja! Nie ona!

W ciemnych oczach Mattie błysnął gniew.

– No i dobrze, ty skończony głupcze! Ochraniaj jej niepokalaną pamięć nawet teraz!

Powieki Hannibala drgnęły.

– Chcę to zrobić dla Trace’a! – powiedział. – Niech myśli dobrze o onie!

Przynajmniej w ten sposób odplacę mu za to, e zawsze dobrze myślał o mnie.

– Obawiam się, e teraz to mu ju przeszło! – burknęła gniewnie Mattie.

Miała dość tej rozmowy, a zresztą Hannibal był ju zupełnie pijany. – Na pewno znów zaczniesz cię szukać, ale tym będziemy się martwić później. Na razie idę po chłopaków, eby cię przytrzymali, kiedy będę wyjmowała kulę.

Była na niego wściekła, wszystko się w niej gotowało, ale to nie znaczyło przecie, e miałyby się cofnąć i zostawić go bez pomocy z tą kulą w ranie.

Tego mu zrobić nie mogła.

Wyszła na próg i rozejrzała się, osłaniając oczy przed ostrym popołudniowym słońcem. W zasięgu wzroku był tylko Marsh Crisp, który stał

przy wejściu, oparty o ścianę, i ostrzem scyzoryka czyścił sobie paznokcie.

– Wypił ju tyle, ile trzeba, i za chwilę będzie gotów – oznajmiła. Marsh skinął głową i schował scyzoryk do kieszeni, gotów do pomocy. Mattie uśmiechnęła się do niego i dodała: – Aha, chciałam podziękować za gazety. To dobre dla zabicia czasu, zwłaszcza kiedy się czyta tak wolno jak ja. A gdzie jest Billy Jones i ten nowy chłopak, który w ogóle nic nie mówi?

Marsh spojrział na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

– Odjechali – rzekł w końcu. – Powiedzieli, e nie po drodze im z człowiekiem, który zabija kobiety.

Zaskoczona Mattie uniosła brwi. Billy Jones i ten drugi w aden sposób nie mogli przecie wiedzieć o śmierci Etty, a ju na pewno nie mieli powodu oskarżyć o nią Hannibala. Musiało więc chodzić o kogoś innego.

– O jakiej kobiecie mówisz i kto ją zabił? – spytała niepewnie.

Gdy Marsh Crisp opowiedział jej, jak Hannibal zastrzelił onę Josiaha Lymana, pod Mattie ugięły się nogi. Osunęła się na leżący przy ścianie kamień i patrzyła przed siebie na ciągnącą się a po horyzont jałową równinę, z rzadka tylko porośniętą samotnymi kaktusami i kępami wyschniętych bylin.

Ta ziemia była przerażająco pusta, podobnie jak i serca zamieszkujących ją ludzi.

– Moja mama nie miała racji – szepnęła na wpół do siebie. – Niektórzy mężczyźni traktują kobiety gorzej niż zwierzęta... – Ukryła twarz w dłoniach i przez dłuszą chwilę milczała. – On nie jest dobrym człowiekiem – powiedziała w końcu. – I robi się coraz gorszy. Chyba kiedyś, przed laty, coś się musiało popsuć w jego głowie.

Marsh Crisp spojrział na nią z zaciekawieniem.

– To dlaczego z nim zostajesz?

– Nie mam wyjścia – powiedziała Mattie. W jej oczach wzbierały łzy. –

Kocham go. A kochająca kobieta nie wybiera.

Marsh milczał przez chwilę.

– Jeśli nie wybiera osoby, to przynajmniej mogłaby wybrać miejsce, w którym chce żyć – rzekł w końcu i wymownym gestem wskazał na rozsypującą się rudere za nimi i przerażającą pustkę przed nimi. – Taka kobieta jak ty zasługuje na coś lepszego.

– A dlaczego ty jednak zostałeś? – spytała Mattie. Crisp popatrzył na nią i wzruszył ramionami.

– Hannibal Cotwell jest legendą – odparł w końcu. Nie zabrzmiało to jednak zbyt przekonująco.

Mattie przyjrzała mu się uważnie.

– Nienawidzisz go, prawda? – To nawet nie było pytanie. – Tak, nienawidzisz go, i po prostu czekasz. Nie będziesz szczęśliwy, dopóki nie zabierzesz mu wszystkiego. Ale to znaczy, że jesteś głupcem, ponieważ Hannibal nie ma nic. Nic, poza legendą, której mu zabrać nie możesz.

– Ja niczego takiego nie powiedziałem – zaprotestował Crisp. – Ja tylko mówię, że gdybyś ty, na przykład, była moją kobietą, to nie siedziałabyś teraz w takiej nędznej budzie na środku pustyni.

– Wybij to sobie z głowy, Crisp! Nigdy nie będę twoją kobietą, a ty nigdy nie staniesz się legendą, i na to te nic się nie da poradzić. Chodźmy do środka.

Będziesz go przytrzymywał, a ja spróbuję wyjąć mu tę kulę.

Następnego ranka Mattie zmieniła opatrunek na ramieniu Hannibala, pomogła mu włożyć czystą koszulę i dopasowała temblak, który uszyła jeszcze poprzedniego wieczoru.

– Teraz cię to musi cholernie boleć – powiedziała. – Ale widywałam już takie postrzały. Za dziesięć dni nie będziesz w ogóle pamiętał, że ktoś cię trafił.

– Trafiano mnie już parę razy, więc to dla mnie nic nowego. – Hannibal przesunął temblak w jedną i drugą stronę, jednocześnie poprawiając się na poduszce, którą miał podłożony wysoko pod plecy. W końcu znalazł pozycję, przy której ból dawał się wytrzymać. – Crisp i ja wyjeżdżamy do Arizony, do Nowhere – oznajmił. – Ruszamy jutro o świcie.

– Spodziewałam się tego – powiedziała łagodnie Mattie. Nie odwrócił wzroku.

– Nie zabieram cię ze sobą.

– Tego te się domyśliłam. – Mattie przysiadła na krześle, patrząc na niego spokojniej niż kiedykolwiek dotąd. Wreszcie wiedziała, co ma z tym wszystkim zrobić. Wreszcie dogadała się sama ze sobą.

Nie tylko nieznośne gorąco nie pozwalało jej zasnąć tej nocy. Do późnych godzin przewracała się na pościeli, rozmyślając nad tym, czego się dowiedziała, i zastanawiając się, jak w tej sytuacji powinna postąpić. Ostatecznie gdzieś nad ranem zdecydowała, że nie pojedzie z Hannibalem, nawet gdyby jej to zaproponował.

– Bardzo chciałabym, żeby to się nigdy nie stało... – odezwała się cicho. –

abyś nie zabił tej kobiety. – Zazwyczaj potrafiła jakoś usprawiedliwić to, co robił. Ale zastrzelenia tej kobiety, na zimno i bez najmniejszego powodu, usprawiedliwić się nie dało w żadnym sposób. – Nie powinien. Nie miałeś prawa tego robić.

– Wiem.

Mattie wsłuchiwała się w brzmienie jego głosu, ale nie wyczuła w nim ani alu, ani skruchy. Nawet śladu jakichkolwiek wyrzutów sumienia nie było w jego spojrzeniu. Tego się zresztą spodziewała i dlatego nie zamierzała już zmieniać swego postanowienia.

Przez dłuższy czas milczeli oboje.

– Możliwe... możliwe moglibyśmy pojechać do Kalifornii albo do Oregonu –

powiedziała w końcu, zdając sobie jednak sprawę, że mówi to wbrew sobie. Nie zabrzmiało to przekonująco i Hannibal chyba to musiał to odczuć. Musiał

dostrzec, że ona nie ma już do tego serca.

Nadal go kochała i właściwie nic się tu nie zmieniło – jeśli nie liczyć tego, że straciła nadzieję. Nie było już przed nimi przyszłości, bo przyszłość może na sobie wyobrazić tylko z człowiekiem, a nie z widmem czy upiorem.

Wiedziała,

że najprawdopodobniej nigdy go już nie zobaczy, i przyglądała mu się szczególnie intensywnie, by zapamiętać go takiego, jaki był

w tej chwili. Po nocy nieprzespanej z powodu bólu był blady i wyraźnie wyczerpany, ale jego zmęczona twarz wciąż zachowywała tę samą, brutalną i bardzo męską urodę, która od pierwszej chwili tak ją zachwyciła. Hannibal był

jedynym mężczyzną na którego widok jej serce zaczynało bić szybciej.

Szpecących blizn na jego czole i powiece przez te wszystkie lata właściwie niemal nie zauważała. I dopiero teraz pomyślała, że być może te okaleczenia to swoiste piętno, które powinno być dla niej

ostrze eniem.

– Jadę tylko ja – rzekł. – Ty zostajesz. – Najwyraźniej nie zamierzał

podejmować dyskusji na ten temat. A jednak jego głos zabrzmiał prawie łagodnie, jak gdyby i on przeczuwał, e ju się nigdy nie zobaczą jakby nawet było mu trochę al.

Mattie wzięła go za rękę.

– Jest coś, o czym czasem myślałam – powiedziała cicho. – Pamiętasz, jak mówiłeś mi o tej metalowej kasetce z pieniędzmi z napadu w Wells Fargo?

Powiedziałeś, e jest zakopana przy wielkim kamieniu na południowym pastwisku w Holborn.

Hannibal popatrzył na nią pokręcił głową i zaklął.

– Co, u diabła?! Czy ty zapisujesz sobie wszystko, co ja powiem po pijanemu? Ka de cholerne słowo zapamiętasz?

– Bo widzisz, tak sobie pomyślałam.. – Podniosła wzrok i popatrzyła mu w oczy. – Hannibalu, czy ja mogłabym sobie wziąć te pieniądze? Jako prezent na po egnanie. ebym miała z czym zacząć na nowo? Nie mówię wcale, e jesteś mi coś winien – dodała pośpiesznie. – Chodzi tylko o to, e bardzo bym chciała dostać te pieniądze.

– Skoro wiesz, gdzie są... Poczekaj! Jeśli wiesz, gdzie są, to przecie dawno mogłaś je wziąć sama... Diabli wiedzą, czemu tego nie zrobiłaś! No dobrze, weź je sobie!

Mattie mocno uścisnęła jego rękę.

– Jesteś pewien, e tego chcesz? – spytała cicho, poruszona myślą e Hannibal jednak zdecydował się zaopatrzyć ją tak hojnie. I e w dodatku zrobił

to z własnej woli. No, prawie.

– Mam wiele takich kasetek, zakopanych na całym Południowym Zachodzie – burknął. – Jedna więcej czy mniej nie robi mi ró nicy.

Ten pełen irytacji ton jego głosu nie zwiódł Mattie. Doskonale wiedziała, e chodzi mu tylko o to, eby nikt nie pomyślał, e on, Hannibal Cotwell, mógłby zrobić coś tak po prostu z dobrego serca.

– Tak czy inaczej jestem ci bardzo wdzięczna. – Czule pogładziła jego rękę. – Myślę, e z tymi pieniędzmi będę mogła wystartować w Santa Fe. Mo e otworzę własny lokal? Zawsze marzyłam o tym, eby być u siebie... – Zamyśliła się i niewidzącym wzrokiem patrzyła przez okno gdzieś w dal, ponad kamienistą pustynią. – Odkąd ruszyła kolej, przyje d a tam du o ludzi, więc klientów nie powinno zabraknąć. Mo e Du a Sal i Ruda Annie przyjadą i będą u mnie pracować?

Jednak Hannibal nie zamierzał komentować tych planów. Najwyraźniej myślał ju o czymś innym.

Mattie nadal trzymała go za rękę.

– Pojadę i spróbuję – powiedziała. – Ale co mam zrobić, gdyby Trace pojawił się w Santa Fe? Chcesz, ebym mu powiedziała, e jesteś w Nowhere w Arizonie? Czy te mam mu nic nie mówić? Albo skłamać?

Wzruszył ramionami, nieco nieostro nie, i lekko syknął z bólu.

– Powiedz mu, co chcesz. I tak mnie znajdzie, prędzej czy później. I wtedy dojdzie do strzelaniny.

– Wiem, e myślisz o tym i e się zamartwiasz...

– Czym? – Hannibal się roześmiał. – e gdyby doszło do strzelania, Trace mógłby być szybszy ode mnie? Wolne arty!

– Podejrzewam, e zamartwiasz się prawie na śmierć, ale zupełnie czym innym. Tym, e będziesz musiał go zabić.

Rozbawienie znikło z twarzy Hannibala. Mattie ju wiedziała, e trafiła w sedno.

Znów pogłaskała go po grzbiecie dłoni i powiedziała błagalnie:

– Posłuchaj, gdyby on znał prawdę, nikt nie musiałby nikogo zabijać! Czy ty tego nie rozumiesz?! – W jej ciemnych oczach był lęk, lęk o niego. –

Hannibalu, na miłość boską, powiedz mu, jak naprawdę do tego doszło. Powiedz mu, e nigdy byś jej nie tknął, gdyby sama nie weszła ci do łó ka.

Hannibal otworzył szeroko oczy i popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Ale jakim cudem ty wiesz, e tak właśnie było?

– Wcale nie tak trudno się domyślić. Znam takie kobiety jak Etta. Ale wa niejsze jest co innego: to, e w głębi duszy Trace te ju ją poznał. Uwierz mi, e tak jest. Mo e się do tego nie przyznaje, ale dobrze wie, jaka była naprawdę. W końcu mą zna swoją onę. Wystarczy, e mu przedstawisz fakty, a on sam będzie wiedział, co się stało. To twój brat, więc będzie chciał ci uwierzyć i na pewno uwierzy! Tylko proszę cię, błagam, powiedz mu prawdę!

W te słowa Mattie wkładała całą swoją duszę i przez chwilę nawet zdawało się jej, e coś do niego dociera, ale to było tylko złudzenie. Znów było tak, jak gdyby między nimi coś się zatrzasnęło. Hannibal słuchał jej z kamienną nieruchomą twarzą, a ona czuła, jak serce wolno zamiera jej w piersi. Wiedziała ju , e prędzej sam umrze, ni powie bratu prawdę.

Wiedziała te , e ta zmiana w nim nastąpiła nie teraz, ale kilka tygodni temu. Nagle, jednego dnia. Kiedy się dowiedział, e Etta w swoim liście oskar yła jego, przestał być tym samym człowiekiem. Coś w nim nagle umarło.

Przez cały czas trzymała jego dłoń. Teraz ujęła ją mocniej i podniosła do ust. Potem wstała i gwałtownie mrugając, usiłowała powstrzymać łzy, napływające do oczu. W milczeniu sięgnęła po czarny kapelusz Du ej Sally i przypięła go szpilkami do swej rozpaczliwie zniszczonej fryzury. Związała w węzełek jedyną czystą halkę, swój najlepszy szal, parę pończoch i jeszcze kilka innych drobiazgów, które mogła uważać za swoją własność.

– Poproszę Marsha, eby mnie podrzucił do głównej drogi – powiedziała, wciąż walcząc z napływającymi do oczu łzami.

– Znajdź sobie kogoś – rzekł Hannibal, patrząc, jak Mattie usiłuje wepchnąć pod kapelusz nieposłuszne pasemko kasztanowych włosów. – Byle nie ściganego przez prawo przestępcę. Znajdź takiego, który da ci dom i kawałek ziemi. I podejź do tego z głową, przynajmniej tym razem.

Coś błysnęło w jego oczach i Mattie na moment znów dojrzała w nim tego męczyznę, w którym się kiedyś zakochała. Męczyznę, który na jej oczach obronił biednego starego psa, dręczonego przez kowbojów, i który...

– Hannibal! – Wzięła głębszy oddech i zebrała resztki odwagi. – Nie mam nic, więc nie dam ci adnego prezentu na po egnanie. Ale mogę ci przynajmniej obiecać jedno: jeśli się kiedyś dowiem, e mają cię powiesić...

– Nie powieszają mnie – oświadczył, mimo woli zaciskając wargi. – Nie uda im się mnie złapać. Tak postanowiłem.

– Ale gdyby jednak cię złapali, przyjadę. Będę tam wśród tych obcych widzów i postaram się, eby przestali być tak zupełnie obcy. Opowiem im wszystkim, jak obroniłeś starego Micka, i wytłumaczę, dlaczego po tobie płaczą... dlaczego, jesteś wart tych łez. Nie będziesz ju sam, będziesz wiedział, e ktoś tam jednak z tobą jest.

Patrzyli na siebie w milczeniu przez dłuższą chwilę, a w końcu Mattie odwróciła się i pośpiesznie wyszła. Dopiero na zewnątrz rękawem bluzki otarła zapłakane oczy.

Tak, opowie tym ludziom wszystko. Opowie im o bliznach na jego plecach i czole, i o tym, skąd się wzięły. Opowie te o tym, e potrafił być

wielkoduszny i hojny i e sama mogłaby być w tym względzie i świadkiem, i najlepszym dowodem. Opowie im, e kiedyś był kochany. I e miał brata.

I powie im te , e aden człowiek nie rodzi się zły. e nawet największy zbrodniarz kiedyś był małym chłopcem, który bał się ciemności. I e po ka dym człowieku trzeba płakać...

Ona zresztą płakała po nim ju teraz.

Następnego ranka, na godzinę przed świtem, Hannibal i Marsh Crisp wyruszyli w drogę do Arizony. Wyje d ali bez alu, nawet nie oglądając się za siebie.

Hannibal wiedział, e – tak jak zawsze – obława pójdzie w ślad za nim.

Ludzie się w niej mogą zmieniać, ale on wciąż będzie ścigany. A któregoś dnia szczęście go opuści i jakiś przedstawiciel prawa drobnymi literkami zapisze się w annałach jako ten, który w końcu pojmał Hannibala Cotwella i posłał go na szubienicę.

Ludzie prawa z pewnością tak to planowali, ale los zrządził inaczej.

Hannibal Cotwell miał umrzeć inną śmiercią niż ta, której się najbardziej obawiał. Nie w osamotnieniu i nie wśród obcych.

Przepływająca przez Santa Fe rzeka o tej samej nazwie miała, zdaniem mieszkańców, bardzo korzystnie wpływać na miejscowy mikroklimat i w szczególności ochładzać nadmiernie rozgrzane powietrze w centrum miasta.

Udręczeni skwarem przybysze na ogół tego nie zauważyli i skłonni byli sądzić, że tak czy inaczej jest tam piekielnie gorąco, a w samym centrum upał wręcz przygniata ludzi do ziemi. Wrażenie to powiększały jeszcze tumany kurzu, wzbijane nieustannie przez ciągnące ulicami konie i niezliczone wozy z towarami, dla których to rozwijające się miasto było rynkiem zbytu. W dodatku intensywny ruch pieszy i konny z każdym dniem się nasilał.

Trace i Sam zatrzymali się przy głównym placu, aby otrzeć z czoła kropelki potu i rzucić okiem na budynek zwany Pałacem Gubernatorskim. Jak większość budowli w tym mieście, rezydencja ta wzniesiona została z suszonej na słońcu cegły. Parterowa bryła, zbudowana na planie kwadratu, nie grzeszyła urodą, której nie potrafiły jej dodać ani wielkie frontowe okna, ani ogromny podjazd z podcieniami.

Natomiast rozciągający się przed budynkiem miejski plac wydawał się miejscem wcale przyjemnym i wręcz sympatycznym. Było na nim dużo zieleni, ludzie najwyraźniej chętnie tu przychodzili, handel na pobliskim otwartym targowisku jawnie prosperował. Indianki i Meksykanki sprzedawały folklorystyczne błyskotki wysypującym się z dyli ansów przybyszom. Otwarte na oścież szynki i lokalne jadalnie zapraszały do wejścia, zewsząd dobiegały dźwięki muzyki, a w powietrzu unosił się zapach pieczonego chili i duszonych kurczaków.

– Idę nadać telegram, biuro jest tam w głębi – powiedziała Sam. –

Spotkamy się przed nim za jakieś pół godziny, zgoda?

Trace kiwnął głową i przez chwilę przyglądał się, jak lekko i swobodnie Sam przebija się przez gęstniejący tłum sprzedających i kupujących. Miał

ochotę ją przestrzec, aby w wysyłanym do sędziego Mocktona telegramie nie używała sformułowań zbyt otwartych i czytelnych dla każdego. Tylko sędzia miał zrozumieć rzeczywisty sens ich propozycji, natomiast osobom postronnym tekst telegramu nie powinien ujawniać niczego. Trace chciał ją zatrzymać i powiedzieć jej o tym, ale po namyśle zrezygnował.

Po prostu postanowił jej zaufać.

Nie potrafiłby dokładnie określić, kiedy tak naprawdę zaczął wierzyć tej dziewczynie bez zastrzeżeń, ale już podczas wspólnej jazdy pociągiem, a następnie dyli ansem zauważył u siebie wyraźną zmianę nastawienia. Dotąd raczej z nieufnością myślał o tej bądź co bądź niekonwencjonalnej sytuacji, w której kobieta stawiała się współnikiem – i to w takim działaniu, w jakim adnej przedstawicielki tej płci dotychczas sobie nie wyobraził. Ciężko mu było przyzwyczaić się do myśli, że kobieta może go osłaniać w strzelaninie albo – na przykład – bardzo rzeczowo omawiać wspólny plan działania na przyszłość.

Zaskakujące było to, e jego nastawienie mogło się a tak zmieniać. Bo kiedy ju się zmusił do patrzenia na Sam jak na mę czyznę, miał pełne zaufanie do jej zdolności właściwej oceny sytuacji i umiejętności odpowiedniego postępowania w przypadku pojawienia się problemów. Gdy widział w niej mę czyznę, był przekonany, e dadzą sobie radę we wszystkim. Kłopot polegał

jednak na tym, e coraz częściej widział w niej kobietę. I to fascynującą jedyną w swoim rodzaju.

Coś dziwnego zdarzyło mu się podczas tej długiej jazdy do Santa Fe.

Przypatrywał się Sam, próbującej usnąć w kołyszącym się i podskakującym na wybojach pudle dyliansu, i nagle przyłapał się na tym, e zupełnie na serio usiłuje ją sobie wyobrazić w strojnej wieczorowej sukni, takiej, jaką wkłada się, na przykład, idąc do opery. I właśnie wtedy zdał sobie sprawę, e dla niego taki czy inny strój Sam przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Sam Kincade była fascynująca i godna po ądania nawet wówczas, gdy miała na sobie kowbojskie spodnie, bezkształtne meksykańskie poncho i pognieciony męski kapelusz.

Coraz bardziej lubił z nią rozmawiać. Zachwycał go uśmiech, który nagle rozjaśniał jej twarz, gdy coś ją ucieszyło, ale zachwycały go również te iskierki, które pojawiały się w jej oczach, kiedy się rozgniewała. Podziwiał jej bezkompromisową prawość i rzetelność, jej odwagę i niezachwiane przekonanie, e powinna liczyć tylko na własne siły. I choć adna z tych zalet nie była związana z płcią, on dostrzegał w nich przejaw osobowości kobiety...

tej szczególnej kobiety, która nazywała się Sam Kincade. Od pewnego czasu miał bardzo ostrą świadomość jej kobiecości. Co sprawiało, e – na przykład –

nie potrafił się powstrzymać, by wciąż na nowo nie przypominać sobie, jak cudownie słodkie i uległe były jej usta, kiedy ją całował.

Rozmyślał o tym często, zbyt często. Tak jak teraz, kiedy poszła nadać telegram, a on powinien bez zwłoki zabrać się do tego, co było w tym momencie najwa niejsze – do szukania Hannibala.

Przesunął kapelusz na tył głowy i rozejrzał się po przylegających do placu lokalach. Próbował odgadnąć, do którego z nich mógłby zaglądać Hannibal Cotwell. Mo e zostały tam jakieś ślady jego bytności, mo e ktoś coś o nim wiedział. Przede wszystkim nale ało się upewnić, czy nadal przebywa gdzieś w tym rejonie.

Trace postanowił rozpocząć poszukiwania od pobliskiego baru, który wydał mu się najbardziej zamerykanizowany i zdecydowanie najbardziej przypominał lokale spotykane w wielu innych stanach. Wszedł do środka i zamówił meksykańskie piwo. Było całkiem niezłe, zwłaszcza przy takim upale.

– Gość z Południa, jak sądzę? – usłyszał nagle za sobą męski głos. – Czy dobrze odgaduję, e pochodzi pan z Nowego Orleanu?

Trace obrócił się i zobaczył stojącego przy barze siwowłosego mę czyznę o wyraźnie wojskowej postawie i bystrym spojrzeniu starego zwiadowcy.

– Nie wydaje mi się, ebyśmy się znali, prawda? – powiedział dość powściągliwie.

Męczyzna przesunął po blacie baru kieliszek z tequilą.

– Mam zaszczyt się przedstawić. Major Addison T. Allerbee, obecnie na emeryturze. Z dumą mogę oświadczyć, e służyłem pod rozkazami generała Roberta E. Lee podczas całej naszej heroicznej, choć niestety daremnej kampanii. – Uważał się uprzejmie, ale nadal dość powściągliwie minie Trace’a. – Ale pana chyba nie za bardzo ciekawią opowieści o dawnych wojnach?

– Powiedzmy, e dość umiarkowanie. – Wchodząc tu, Trace miał

nadzieję, e zamieni na osobności parę słów z barmanem, który najprędzej mógł

coś wiedzieć o Hannibalu. Ale stary wojskowy nie dał się zbyć.

– A czy będzie pan tak uprzejmy i zechce mi podać swoje nazwisko?

Zawsze wolę wiedzieć, w którym towarzystwie miałem przyjemność wychylić szklaneczkę.

– Jestem Andrew Marshall – rzekł Trace. Pod tym przybranym nazwiskiem wynajął w niewielkim pensjonacie na przedmieściu pokój dla siebie i Sam.

– Ach tak. – Major uśmiechnął się lekko, a wypomadowane końce jego wąsów uniosły się. – Chyba jest pan w mieście od niedawna, bo inaczej bym pana spostrzegł. Jako rodowity południowiec odruchowo rozglądam się za krajanami. Pan gra w karty, prawda?

Trace wypił kolejny łyk piwa.

– Dlaczego tak pan sędzi?

– Zabawiam się w ten sposób, e obserwuję ludzi i próbuję odgadnąć, czym się zajmują. Doszedłem do wniosku, e pan może zawodowo grać w karty, sądząc choćby z pańskiego ubioru i sposobu bycia, a przede wszystkim z wyraźnego zaciekawienia, z jakim przyglądał się pan partyjce, rozgrywanej przy tym stoliku pod ścianą. Wydaje mi się, e dostrzegłem w tym zainteresowanie profesjonalisty.

Trace odstawił pustą szklankę.

– A jeśli panu powiem, e zajmuję się wyrobem luksusowego obuwia na miarę?

– Nie sędzę.

Ich spojrzenia się spotkały.

– No a gdybym był kupcem... albo na przykład łowcą nagród? – spytał

Trace.

Major uśmiechnął się.

– Na kupca raczej pan nie wygląda. Na łowcę nagród zdecydowanie nie.

Ma pan czyste paznokcie... i nie ma pan przy sobie kajdanek.

– Skąd pan to wie?

Major był z siebie wyraźnie zadowolony.

– Kajdanki, drogi panie Marshall, są du e i cię kie, przez co bardzo wyraźnie deformują kieszenie. Pańskie wciąż zachowują ten nienaganny kształt, jaki nadał im krawiec. Poza tym łowcy nagród z reguły ubierają się w rzeczy mało eleganckie, ale za to solidne i wytrzymałe, odpowiednie na ka de, nawet najtrudniejsze, warunki. Natomiast pańskie ubranie jest co prawda trochę wygniecione, zapewne po dłu szej podró y, ale materiał jest doskonały i świetnie skrojony. Ta marynarka musiała być szyta na miarę i z pewnością kosztowała niemało. Tak więc, panie Marshall, łowcą nagród pan być nie mo e.

Trace patrzył na niego w milczeniu.

– Gdyby pan chciał się przyjrzeć prawdziwym łowcom nagród – mówił

dalej major – wystarczy rozejrzeć się po placu.

Teraz jest ich tam trzech. Dwóch z nich bardzo łatwo sam pan rozpozna.

Trzeciego, na którego, nawiasem mówiąc, tamci dwaj polują, dostrzec ju nie jest tak łatwo.

– Kim pan właściwie jest? – spytał Trace, mimo woli zni ając glos.

Major nie odpowiedział wprost, mówił dalej tym samym tonem:

– Ten trzeci łowca nagród jest wart szczególnej uwagi. Bardzo młody, to właściwie jeszcze chłopiec, ale ju jest znany, a jego lista sukcesów jest imponująca. Bardzo sprytnie kryje się wśród innych chłopców w jego wieku.

Niech pan spojrzy na tych młodych ludzi tam, obok ławki. To ten najprzystojniejszy z nich, ubrany w meksykańskie poncho i stary kowbojski kapelusz. Nie daje tego po sobie poznać, ale bacznie obserwuje wszystko, co dzieje się na placu. Dwaj pozostali łowcy nagród, którzy polują właśnie na niego, nie rozpoznają go... przede wszystkim dlatego, e wypatrują pary. A ta poszukiwana przez nich para to taki właśnie młody chłopak, podró ujący w towarzystwie mę czyzny mniej więcej trzydziestoletniego, którego zawodem jest gra w karty.

Trace poprosił o następne piwo i pociągnął spory łyk. Major nadal przyglądał się temu, co dzieje się na placu.

– Gdyby ten młodociany łowca nagród i ten grający w karty mę czyzna chcieli uniknąć rozpoznania –

kontynuował wciąż tym samym tonem, jakby do siebie – najpewniejszym sposobem byłoby rozdzielenie się i radykalna zmiana wyglądu. Telegraf sprawił, że nasz świat, panie Marshall, stał się nagle mniejszy. Informacje są teraz rozsyłane bardzo szybko i docierają wszędzie.

– Dlaczego pan mi to wszystko mówi? – zapytał spokojnie Trace.

– Bo pochodzę z Południa, panie Marshall. Dokładniej mówiąc, z Nowego Orleanu, chyba tak samo jak pan... – Major uniósł brwi i przyglądał się trzymanemu w palcach kieliszkowi z resztkami tequilli. – Wiele lat temu znałem pewną kobietę, która nazywała się Annabelle du Bose i która, moim zdaniem, to czysty przypadek, miała oczy koloru miodu, bardzo podobne do pańskich. Niestety, ku memu wielkiemu ubolewaniu, Annabelle poślubiła innego. Wyszła za mąż za niejakiego Andre Cotwella, który wkrótce zmarł. Zanim wiadomość o tym dotarła do mnie, Annabelle wyszła za mąż po raz drugi, tym razem za Charlesa Hardena.

Trace bardzo uważnie nie słuchał majora Allerbeego i usiłował sobie przypomnieć, z czym wiązało się to nazwisko. Niejasno pamiętał, że w ogrodowej dzielnicy Nowego Orleanu był budynek, który nazywał się chyba Allerbee Mansion. Tak, to musiało być to. Teraz przypominał sobie ten dom.

Tymczasem major Allerbee mówił dalej:

– Gazety szeroko rozpiszywały się o tym wszystkim, a mnie przyszło wtedy do głowy, że i Hannibal Cotwell, i ścigany teraz przez łowców nagród jego przyrodni brat Trace Harden, mogą w jakiś sposób być powiązani z Annabelle. W końcu zdarzają się i dziwniejsze rzeczy. Ja w każdym razie zastanawiałem się czasem, jakie były dalsze losy pięknej Annabelle du Bose i jak się jej teraz powodzi.

Trace obrócił się w kierunku placu i natychmiast dostrzegł Sam w grupie chłopaków, rzucających monetami o ścianę. Dla kogoś tak inteligentnego jak major Allerbee musiało być oczywiste, że ta postać nie pasuje do reszty, że ma bystrzejsze spojrzenie i czujniejsze oko.

A dla Trace'a ona już w ogóle nie wyglądała na chłopaka.

Westchnął i obrócił się ponownie w stronę majora.

– Annabelle Harden zmarła na początku tego roku – powiedział, patrząc mu w oczy.

Major pochylił głowę i przyłożył dłoń do piersi.

– Szczerze nad tym ubolewam. To była bardzo piękna kobieta... i prawdziwa dama.

Trace odczekał chwilę, a barman, który podał mu kolejne piwo, odsunął się na przeciwny koniec lady. Potem, starając się nie okazywać nadmiernego zaciekawienia, zapytał:

– Jak rozumiem, interesują pana losy tej rodziny. Moim zdaniem przypadkiem wie pan coś o tym, czy Hannibal Cotwell, syn Annabelle z pierwszego małżeństwa, przebywa teraz tu w mieście albo gdzieś w okolicy?

Major przez dłu szą chwilę przypatrywał mu się uwa nie w całkowitym milczeniu, a potem znów odpowiedział nie wprost:

– Wnioskując z tego, co mo na było przeczytać w gazetach, Annabelle miała niezbyt udanych synów. Jeden jest ścigany od wielu lat, za drugim ostatnio te wysłano listy gończe. Obu oskar a się o morderstwa.

Trace z pewnym wysiłkiem powstrzymał się tak od słownych protestów, jak i od zbyt ostentacyjnego zgrzytania zębami.

– Nie chciałbym się na ten temat wypowiadać. – Starał się zachowywać spokój. – Ja w ka dym razie byłbym bardzo wdzięczny za wszelkie informacje, dotyczące obecnego miejsca pobytu pana Hannibala Cotwella. – Wytrzymał

badawcze spojrzenie majora. – Pan Cotwell zamówił u nas parę specjalnych butów, które chciałbym mu dostarczyć.

– Ach, butów! – Major roześmiał się, ale w tym śmiechu nie było szczególnej wesołości. – W miejscowych gazetach stosunkowo niedawno wspomiano o panu Hannibalu Cotwellu w związku z jakąś zadawnioną i dość krwawą waśnią rodzinną, która ostatnio rozgorzała na nowo. Miał być w to bardzo mocno zamieszany. Potem gdzieś zniknął, a jeśli wierzyć temu, co słyszałem, najprawdopodobniej wyjechał do innego stanu. – Allerbee przestał

się uśmiechać i badawczo patrzył na Trace'a. – Pański klient zostawił za sobą kilka trupów, panie Marshall. Wśród nich była kobieta.

Trace zacisnął wargi.

– Mimo wszystko muszę go odnaleźć.

– Oczywiście, eby mu dostarczyć buty. Ale przyszło mi coś do głowy...

– W oczach majora błysnęło na nowo rozbudzone zaciekawienie. – Jest tu taka kobieta, nowa właścicielka lokalu o nazwie Toro Blanco, która mo e coś wiedzieć o Hannibalu Cotwellu. W ka dym razie tak sądzą miejscowi łowcy nagród, choć ona, jak słyszałem, nie chce im nic mówić. Ma na imię Marguerita albo Maria... jakoś tak...

– Jestem panu niezmiernie wdzięczny za tę informację, panie majorze –

powiedział Trace. Poło ył nale ność za piwo na blacie baru i zamierzał ju odejść, gdy major Allerbee zatrzymał go raz jeszcze.

– Wie pan, panie Marshall, po namyśle doszedłem do wniosku, e chyba nie dość wyraźnie podkreśliłem pewną okoliczność, wa ną chyba dla wszystkich nowo przybyłych. To nasze miasto nie jest dla nich bezpieczne. Ani dla Cotwella, ani, na przykład, dla Hardena... – major zrobił ledwie zauwa alną pauzę – ani dla tego młodego łowcy nagród, który wciąż tam się zabawia ze swoimi rówieśnikami. Prawdę mówiąc, w Santa Fe nie mo na ostatnio zrobić kroku, eby się nie natknąć na

jakiegoś przedstawiciela prawa albo na miejscowego łowcę nagród, który bardzo potrzebuje pieniędzy. A te pieniądze, jak mi się wydaje, mo na teraz bardzo łatwo zdobyć. Wystarczy choćby donieść, a to potrafi zrobić ka dy. Oczywiście je eli to, co zarzuca się tym uciekinierom, jest prawdą...

Trace spojrział mu prosto w oczy.

– Mogę pana zapewnić, majorze, e Harden nikogo nie zabił. Skazano go na śmierć na podstawie fałszywego oskar enia, a uciekł z więzienia niemal przed samym wykonaniem wyroku i tylko dzięki temu, e dopomógł mu pewien młody łowca nagród, który uwierzył w jego niewinność.

– Je eli tak jest, to z całego serca yczę uciekinierom powodzenia.

Z tej dość nieoczekiwanej rozmowy dla Trace'a wynikała jedna zasadnicza konkluzja – nale ało zmienić wygląd, bardzo zdecydowanie i mo liwie jak najszybciej. Taka para jak oni była zbyt łatwa do rozpoznania.

Nawet teraz, idąc przez plac w kierunku biura telegrafu, miał wra enie, e wszyscy zerkają tylko na niego, a podobieństwo do postaci z listu gończego po prostu rzuca się w oczy.

Przeszedł obok Sam, nie patrząc na nią i nie odzywając się do niej nawet słowem. To było dla niej umówionym sygnałem oznaczającym, e ma

natychmiast, z zachowaniem wszelkiej ostro ności, wracać do pensjonatu.

Ka de z nich miało iść inną drogą.

Trace skręcił w boczną ulicę, pełną większych i mniejszych sklepów z odzie ą i obuwiem. Było tam znacznie mniej ludzi, dzięki czemu poczuł się trochę pewniej, choć nadal miał wra enie, e niemal ka dy przechodzień natychmiast porównuje jego twarz z rysunkiem na plakacie. Po przejściu ledwie kilkudziesięciu metrów był spocony jak ruda mysz, i to wcale nie z powodu upału.

Przy sklepie z damską bielizną zatrzymał się na moment, eby przyjrzeć się swemu odbiciu w szybie wystawowej. Teraz naprawdę wiedział, czym jest ycie uciekiniera – co się czuje, kiedy się jest ściganym. Był nim stosunkowo od niedawna, ale mimo woli zastanawiał się, w jaki sposób wytrzymał to Hannibal, którego w końcu ścigano przez całe lata.

Raz jeszcze spojrział na wystawę i wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Gdy Trace wszedł do pokoju, Sam ju tam czekała, usadowiona w fotelu na wprost drzwi, z gotowym do strzału rewolwerem w rękę. Zasłony na oknach były szczelnie zasłonięte, przez co w środku było chyba jeszcze goręcej ni na zewnątrz, ale uznała, e nie mogą sobie pozwolić na najmniejsze nawet ryzyko.

Ze zdziwieniem patrzyła na Trace'a, który wszedł obładowany licznymi pakunkami.

– Czyś ty przypadkiem nie zwariował od tego upału? – zapytała kąśliwie, przyglądając się

przyniesionym przez niego większym i mniejszym paczkom, które zajęły niemal całe łó ko. – Połowa ludności Santa Fe nas szuka, ludzie szeryfa są dosłownie wszędzie, miasto jest oblepione listami gończymi, a ty nagle idziesz na zakupy? Przez ten kwadrans, kiedy na ciebie czekałam, zdążyłam zobaczyć co najmniej trzech łowców nagród. Polują na Cotwella i na nas, a ty, zamiast spróbować zdobyć jakieś informacje o Hannibalu, chodzisz sobie po sklepach?

Trace osunął się na fotel i spróbował się ochłodzić, wachlując się kapeluszem.

– To miasto jest rzeczywiście dla nas niebezpieczne – przyznał. – I w tej sytuacji mamy dwa wyjścia. Albo musimy się rozdzielić...

Sam poczuła, jak jej serce nagle zamiera.

– Ale przecie uzgodniliśmy, e Hannibala będziemy szukać wspólnie!?

Powiedziała to nawet ostrzej, ni zamierzała, ale naprawdę się przeraziła.

Przypomniała sobie dojmującą beznadziejność swej dotychczasowej egzystencji, te niekończące się samotne jazdy, gdy całymi dniami i nawet tygodniami nie miała się do kogo odezwać i nie miała przy sobie nawet jednej yczliwej duszy.

Na samą myśl o tym poczuła, e zaczyna ją ogarniać panika.

– ... Albo musimy przebrać się tak, eby całkowicie zmienić nasz wygląd

– dokończył Trace.

– To znaczy jak? – zapytała Sam, nawet nie zdając sobie sprawy, e odetchnęła z ulgą. Nie wiedziała, co Trace zamierza zaproponować, ale ka de inne rozwiązanie i tak musiało być sto razy lepsze ni natychmiastowe rozdzielenie, które tak ją przeraziło. Nie chciała się z nim rozstawać, przynajmniej teraz. O tym, co miało być później, starała się na razie nie myśleć, ale niezaprzeczalny faktem było, e wszelka przyszłość bez Trace’a wydawała się jej rozpaczliwie pusta.

Tymczasem on przedstawił jej swój pomysł.

– Tak szeryf, jak i miejscowi łowcy nagród mają ju nasze dokładne rysopisy. Musimy więc bardzo zdecydowanie zmienić nasz wygląd. Ja powinienem zapuścić brodę i wąsy, ubrać się tak, ebym wyglądał na jakiegoś powa nego bankiera... no i, oczywiście, powinienem na razie unikać wszelkich domów gry. Natomiast ty... – Jeszcze raz popatrzył na wysłu one przebranie Sam, na kowbojskie buty, spodnie i to nieszczęsne poncho. Skrzywił się lekko i dokończył: – Natomiast ty musisz zmienić swój wygląd jeszcze bardziej zasadniczo, a nawet, e tak powiem, od podstaw. Zresztą najlepiej sama zobacz, co tam jest.

Tknięta nagłym przecuciem, chwyciła jedną z paczek le ących na łó ku, rozdarła opakowanie i znieruchomiła. W środku była wytworna koronkowa halka. W dwóch następnych, mniejszych, paczkach znalazła jedwabne pończochy i niebieskie podwiązki.

Przeglądała zawartość kolejnych pakunków z lekkim przerażeniem.

Znalazła tam między innymi sznurowany gorset, ozdobne bolerko, jeszcze kilka par pończoch, pantofelki na wysokim obcasie i dwie bardzo strojne sukienki z taką mnogością wstawek, bufek i falbanek, a na dłuszą chwilę odebrało jej mowę.

Gdy pierwszy szok w końcu minął, ostro nie wzięła w dwa palce coś, co odlegle przypominało skórę jakiegoś bardzo włochatego zwierzątka, i zapytała z pewną irytacją:

– A co to jest, u diabła?!

– Musiałaś chyba słyszeć o perukach – odpowiedział Trace. – To są takie sztuczne włosy, które się przypina do naturalnych. Tam w środku powinny być odpowiednie szpilki. Musisz mieć taką fryzurę, żeby ka dy od razu widział, że jesteś kobietą. W którejś z tych paczek jest to puder i czerwona kredka do ust.

Sam prychnęła wzgardliwie i rzuciła perukę z powrotem na łóżko.

Podeszła do okna i przez szparę w zasłonie wyjrzała na ulicę, udając, że sprawdza, czy nikogo tam nie ma.

– Nie włożę sukienki na halce – oświadczyła w końcu. – Nie mogę.

– Ale taki kobiecy strój w twoim przypadku będzie najlepszym i najsprytniejszym przebraniem – nalegał Trace.

– Tyle tylko, że taki strój dla mnie się w ogóle nie nadaje. Nawet kiedy jako młoda dziewczyna mieszkałam w domu pastora Mossa i jego ony, nigdy czegoś takiego nie nosiłam. – Spojrzała na leżące na łóżku porozrzucone części damskiej garderoby. – Nawet gdybym chciała to włożyć, na co nie mam najmniejszej ochoty, to i tak zupełnie nie wiem, co z tym miałabym zrobić. Nie mam pojęcia, jak się to wkłada i nosi.

Trace podparł dłonią podbródek, przyjrzał się jej uważnie i powiedział:

– Musisz na to popatrzeć z innej strony, Sam. Nie możesz zapuścić wąsów ani brody, więc w jaki sposób zamierzasz zmienić swój wygląd? Rozważ sobie, ilu młodych chłopców mniej więcej w twoim wieku może teraz być w całym Santa Fe? Przyjmijmy z pewnym zapasem, że jest ich dwustu. Co najmniej połowa to Meksykanie albo Indianie. Z pozostałej setki połowa to miejscowi, dobrze znani zarówno tutaj, jak i łowcom nagród. Zostaje pięćdziesięciu nowo przybyłych, z których co najmniej trzydziestu bez trudu potrafi udowodnić,

że nie ma nic wspólnego z

poszukiwanym przez prawo młodym łowcą nagród o nazwisku Kincade. Masz więc grupę ledwie dwudziestu podobnych tobie, wśród których mogłabyś próbować się ukryć. Sama przyznasz, że to zdecydowanie za mało.

Tę argumentację trudno było podważyć, ale Sam wcale nie wydawała się przekonana. Nadal bardzo niechętnie przypatrywała się temu wszystkiemu, co znajdowało się w przyniesionych przez Trace'a paczkach.

– Niby masz rację – powiedziała. – Ale to nie zmienia faktu, że w takim stroju będę się czuła niewymownie głupio.

– Ten głupi strój sprawi jednak, że dla tych, którzy nas ścigają, staniesz się niewidoczna. – Trace uśmiechnął się. – Nikt nie będzie zwracał uwagi na bankiera zoną. Łowcy nagród nawet na nas nie spojrzą.

– Do diabła z nimi! Nawet jeśli masz słuszość, to ja i tak tego nienawidzę. – Sam wzruszyła ramionami.

Zdawała sobie jednak sprawę, że dalszy upór nie ma sensu, a w dodatku całkiem niespodziewanie poczuła, że coś się w niej zmienia i że w kwestii przywdziewania – bądź nieprzywdziewania – kobiecego stroju nie jest już tym dawnym monolitem. Jej bezkompromisowość jawnie się załamywała, podawała od wewnątrz. Okazywało się bowiem, że całkiem spora część jej duszy wcale nie jest przeciwna przymierzaniu tych damskich fatalasek, gorzej – że ma na to wielką ochotę. I że ma tę ochotę sprawdzić, jak by to wszystko mogło wyglądać, gdyby jej życie potoczyło się zupełnie inaczej.

Bardzo to chciałyby zobaczyć reakcję Trace'a.

Ku niemałemu zaskoczeniu Sam, te wszystkie chętki okazywały się w niej niezwykle silne. Móc sprawdzić, jak się będzie wyglądało nie w męskim przebraniu, ale w pełnym kobiecym rynsztunku – tak, to była pokusa. Z pewnym zawstydzeniem musiała przyznać sama przed sobą, że w gruncie rzeczy bardzo ją to pociąga. I miała to sobie za złe.

Postanowiła więc przytoczyć wszystkie argumenty, które jej jeszcze pozostały.

– Przeżyłam pięć lat jako męczyzna. – Zdawała sobie sprawę, że jej głos nie brzmi zbyt pewnie. – Zrobiłam to dlatego, że tylko w ten sposób mogłam ścigać Hannibala Cotwella, ale miałam te inne powody. Chociażby ten, że bardzo wysoko cenię sobie wolność i nie mam ochoty pozostawać na łasce męczyzny. Widziałam, jak męczyźni zabijają kobiety, i nie zamierzam pozwolić, by stało się to także i ze mną. Poza tym życie kobiety pełne jest najróżniejszych ograniczeń. Tego nie wolno, tego się nie robi, tak się zachowywać nie wypada! Kobiety nie mają niezależności, nie mają żadnej władzy. Dlatego po prostu nie mam ochoty być kobietą!

Trace rzucił okiem na leżące w nieładzie rzeczy, a potem znów spojrzał

na Sam.

– Nie za bardzo to rozumiem. – Uniósł brew. – Utrzymujesz zatem, że gdy tylko włożysz ładną suknię na koronkowej halce, natychmiast staniesz się słaba i niezdolna do podejmowania własnych decyzji? Czy nie masz wrażeń, że przesadzasz? To przecie tylko parę metrów tkaniny i koronki! Jak więc zwykła suknia na halce miałaby mieć taką siłę?

Trace mówił to w taki sposób, e rzeczywiście brzmiało to prawie śmiesznie. A jednak Sam tak właśnie myślała. Była absolutnie pewna, e w tych sukniach, pończochach i koronkach naprawdę jest coś, co odbiera kobietom zdolność decydowania o sobie i kierowania się dobrze zrozumianym własnym interesem. Kobieta w tym stroju nieuchronnie staje się istotą podrzędną i bierną.

Jej mo liwości wyboru gwałtownie się zawę ają. Staje się bezwolnym i bezbronny m stworzeniem, które mo na na przykład zgwałcić, a następnie zastrzelić na oczach córki. Mo na te ją zostawić samą w domu z takim skutkiem, e kończy się to samobójstwem... Sam szczerze wierzyła, e jedno musi wiązać się z drugim.

No tak, ale z drugiej strony... na ulicach miasta ścigali ich łowcy nagród i ludzie szeryfa. I wszędzie wisiały listy gończe.

– Wiec nie ma innego sposobu? I naprawdę muszę się w to wszystko ubrać? – pytała z jawną desperacją. I natychmiast uświadomiła sobie, e ju teraz dzieje się z nią właśnie coś takiego, coś, przeciw czemu się buntowała.

Jeszcze nawet nie wło yła choćby jednej z tych kupionych dla niej kobiecych rzeczy, a ju odwoływała się do pomocy mę czyzny w podejmowaniu decyzji.

– Nie wiem, dlaczego miałabyś a tak się tym przejmować – powiedział

Trace. – To przecie tylko chwilowe przebranie. Gdy zrobimy to, co mamy tu zrobić, będziesz mogła się znów ubierać, jak tylko zechcesz. Nawet w to cholerne poncho!

Sam westchnęła i spojrzała na eleganckie pantofelki, le ące tu koło poduszki. Zrobione były z naprawdę pięknej skóry, ale miały nieludzko wysokie obcasy. Nigdy w yciu nie chodziła w czymś takim. Ze stanikiem te miałaby powa ny problem – nawet nie wiedziała, jak się go wkłada.

– No dobrze – powiedziała z mocno nieszczęśliwą miną. – A gdybym się na to zgodziła, jaki wówczas byłby nasz plan?

Trace otarł twarz chustką do nosa. Temperatura na zewnątrz musiała sięgać trzydziestu pięciu stopni w cieniu. W ciasnym pokoiku upał był chyba jeszcze większy, a w ka dym razie trudniejszy do zniesienia.

– Nie mo emy się ju nigdzie pokazywać razem, bo przy naszym obecnym wyglądzie łatwo nas rozpoznają. Dlatego myślę, e najlepiej będzie, je eli ja sam wynajmę coś dla nas, jakiś przyzwoity pokój, na przykład w hotelu Empire, i wpiszę nas do rejestru jako mał eństwo w podró y poślubnej.

W tym momencie Sam nagle spróbowała sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby rzeczywiście mieli tam spędzić miesiąc miodowy, i zaczerwieniła się tak gwałtownie, e musiała się odwrócić, eby Trace tego nie zauwa ył. Nawet je eli coś dostrzegł, nie dał tego po sobie poznać.

– Wszystkie nasze nowe rzeczy wezmę ze sobą do hotelu. W recepcji zostawię dla ciebie list, w którym znajdziesz numer pokoju. Postaraj się tam wejść, nie zwracając niczyjej uwagi. Przez kilka dni nie będziemy wychodzili, co nikogo nie powinno zdziwić u pary nowo eńców. W tym czasie ja

będę zapuszczał brodę, a ty przyzwyczaisz się do damskich strojów i poćwiczysz chodzenie na obcasach. Posiłki będą nam przynosić z hotelowej restauracji. A potem, kiedy ju będziemy mogli się pokazywać bez obawy, wznowimy poszukiwania Hannibala.

– To będzie jednak spore opóźnienie – powiedziała Sam. – Jak szybko rośnie ci broda?

– Sadzę, e pod koniec tygodnia ju będziemy mogli wychodzić na ulicę.

Plan wydawał się rozsądny, a jego pozytywne strony zdecydowanie przeważały nad negatywnymi. Do tych ostatnich Sam mogła zaliczyć co najwyżej to kilkudniowe opóźnienie oraz konieczność ostatecznego przełamania się i włożenia na siebie tych wszystkich damskich strojów. Natomiast zdecydowanym pozytywem było to, e po tych kilku dniach byłiby ju rzeczywiście nie do rozpoznania. Mogliby się poruszać absolutnie swobodnie, nie lękając się ani łowców nagród, ani aresztowania. Tak więc w gruncie rzeczy nie było się nad czym zastanawiać.

A w dodatku, z punktu widzenia Sam, był w tym wszystkim jeszcze jeden bardzo pozytywny aspekt.

Przez cały tydzień będzie miała Trace'a wyłącznie dla siebie.

– Myślę, e to rzeczywiście dobry plan – przyznała, rezygnując ju z dalszych protestów.

Ale na nowo zakupione damskie rzeczy nadal patrzyła ze sporą niechęcią.

Realizacja planu nie nastąpiła praktycznie adnych problemów. Sam odebrała kopertę, zostawioną przez Trace'a w recepcji hotelu Empire, i znalazła wewnątrz karteczkę z numerem pokoju. Oczekała chwilę a do momentu, kiedy mogła niepostrzeżenie przemknąć schodami na piętro, i na końcu oświetlonego gazowymi lampami korytarza odnalazła drzwi z numerem 202.

Weszła do środka – i od tej chwili ścigany przez prawo łowca nagród, znany jako Sam Kincade, po prostu zniknął.

– Ale to nie jest pokój, tylko apartament! – wykrzyknęła, z jawnym zaskoczeniem rozglądając się po obszernym i luksusowo wyposażonym wnętrzu.

– Ju ci mówiłem, e mam nawyki człowieka cywilizowanego i nie widzę powodu, eby z nich rezygnować. Musisz się więc przyzwyczaić do tego, e kiedy podró ujesz z Trace'em Hardenem, to podró ujesz zawsze pierwszą klasą.

– Podeszedł do stolika, na którym w srebrnym wiaderku chłodziła się butelka białego wina. – Masz ochotę na wino czy mo e brandy?

– Chyba poproszę o wino, ale najpierw się rozejrzę. Rzuciła kapelusz na kanapę, ściągnęła z ramion poncho i od razu poczuła ulgę. W przestronnym apartamencie nie odczuwało się panującego za zewnątrz upału. Trace te ju zdjął zdjęć marynarkę, kamizelkę i krawat, rozpiął kołnierzyk koszuli, a rękawy zawiązał poza łokcie.

Apartament składał się z du ego salonu i sypialni, a tak e – co szczególnie ucieszyło Sam – z

dodatkowego niewielkiego pomieszczenia, pełniącego jednocześnie funkcję łazienki i ubikacji. Nad wanną był tam tylko jeden kran, z którego ciekła wąska struga ciepłej wody, ale Sam i tak uznała to za niesłychany luksus. Pomyśleć tylko – mo na się było wykąpać w ka dej chwili, i to bez konieczności wzywania słu by, ustawiania wanny na środku pokoju i noszenia wiadrami wody, ka dorazowo podgrzewanej w kuchni.

W sypialni Sam zajrzała do szafy i komody i znalazła tam wszystkie zakupione przez Trace’a damskie rzeczy, a tak e nowy elegancki garnitur, który kupił dla siebie. Kątem oka spojrzała na wielkie łó e z baldachimem i na uło oną obok poduszki damską nocną koszulę. To nie musiało jeszcze nic znaczyć, ale i tak w głowie Sam pojawiły się ró ne dziwne myśli.

Skarciła się za nie i wróciła do salonu, dokładnie zamykając za sobą drzwi sypialni. Nie patrząc na Trace’a, usiadła w fotelu i sięgnęła po kieliszek z winem, które zresztą okazało się doskonałe. Co najmniej równie dobre jak to, które czasami pijała podczas spotkań z sędzią Mocktonem w restauracji hotelu Clarion w Denver.

Trace

siedział

naprzeciwko

niej,

odprę ony

i

najwyraźniej

usatysfakcjonowany tym, e po wielu tygodniach wreszcie mo e odetchnąć – i to nie na biwaku, w uło onym na gołej ziemi śpiworze, ale w całkiem przyzwoitym hotelu, zapewniającym mu przynajmniej minimum tego komfortu i luksusu, do którego był przyzwyczajony. To było jego naturalne środowisko, w którym czuł się naprawdę dobrze.

– Sprawdziłaś mo e, czy sędzia ju odpowiedział na twój telegram? –

zapytał, odstawiając kieliszek z winem.

– To ciekawe, e o niego pytasz niemal w tej samej chwili, kiedy i ja o nim myślałam – odpowiedziała Sam. – Tak, jest ju wstępna odpowiedź. Po drodze z pensjonatu wstąpiłam do biura telegraficznego.

– I co?

– Wygląda na to, e sędzia zaakceptuje naszą propozycję. Tym bardziej e ju dotarła do niego wiadomość o nowej zbrodni Hannibala, który gdzieś tu, w okolicy Santa Fe, miał zabić kilku ludzi, w

tym jedną kobietę...

Urwała na moment, zdając sobie sprawę, jak ma się czuć Trace, słysząc o kolejnych morderstwach popełnianych przez brata. Odczekała chwilę, a potem mówiła dalej:

– Je eli zagwarantujemy sędziemu, e to jemu zostanie przypisana główna zasługa, kiedy sprawiedliwość wreszcie osiągnie Hannibala, to jestem przekonana, e zgodzi się na nasze warunki. Zgodzi się przede wszystkim dlatego, e przed wyborami musi zabiegać o rozgłos i zainteresowanie prasy.

Takimi plotkami jak ty czy ja gazety właściwie w ogóle się nie interesują.

Natomiast sukces w sprawie Hannibala Cotwella przyniósłby mu ogromną reklamę w prasie. Reklamę, której sędzia Mockton teraz bardzo potrzebuje.

Jedynym problemem jest jeszcze Edwin Snow.

– Edwin Snow? – Trace uniósł brwi. – A có on, u diabła, ma e mieć do tego, czy sędzia nas uniewinni, czy nie?

– Ma nawet bardzo du o. Kiedy ju sprawa Hannibala tak czy inaczej zostanie zamknięta, nie mogę przecie przez całe dalsze ycie ukrywać się w obawie, e któryś z wynajętych przez Snowa płatnych zabójców mnie zastrzeli, a następnie oskalpuje. Dlatego chcę, eby warunkiem naszej umowy było tak e wycofanie się Snowa z wszelkich działań przeciwko mnie.

Trace pokręcił głową.

– Ale , dziewczyno, przecie ci wynajęci zabójcy cię nie rozpoznają! Oni będą szukali chłopaka!

– No właśnie! – Sam kiwnęła głową. – Będą szukali chłopaka i w końcu go znajdą! Bo je eli myślisz, e ja ju na stałe pozostanę w tym kobiecym przebraniu, to się grubo mylisz. Do kobiecego wyglądu wracam tylko chwilowo i mam nadzieję, e na krótko. Na bardzo krótko!

– No có , to twój wybór – rzekł Trace. Nie wyglądał na zbyt zadowolonego, ale Sam nie zamierzała się tym przejmować.

– A ebyś wiedział, e to mój wybór! Więc albo sędzia Mockton przekona Snowa, albo nici z naszej umowy. Wóz albo przewóz!

– I myślisz, e sędzia zechce się narać bankierowi?

– Sądzę, e zechce, w ka dym razie teraz się nad tym zastanawia. On w tej chwili bardzo potrzebuje dobrej prasy, a dzięki nam ma e ją mieć. Dlatego uwa am, e się zgodzi na proponowaną przez nas umowę.

– Ale czy ma na mu wierzyć, e potem dotrzyma zobowiązań?

– Nie będzie miał wyjścia. Gdyby nie dotrzymał słowa, ujawnilibyśmy całą prawdę, a wtedy musiałby się już na zawsze po egnać nie tylko z marzeniem o miejscu w senacie, ale nawet ze stanowiskiem sędziego. Nie, jestem pewna, e to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Za bardzo mu na tym zależy.

– Więc musimy czekać na jego odpowiedź i wierzyć, e będzie pozytywna?

– Właśnie tak – powiedziała Sam. – A ty dowiedziałeś się, czy Hannibal jest jeszcze w Santa Fe?

Trace podniósł się z fotela i podszedł do okna, z którego można było widzieć zakole rzeki i wznoszące się za nią wzgórza. Tamtędy pewnie musiał

uciekać jego brat.

– Jest raczej pewne – odwrócił się twarzą do Sam – e już zmienił miejsce pobytu. Nie wiadomo, czy ukrywa się gdzieś w pobliżu, czy też może wyjechał

dalej, nawet do innego stanu. Ale można coś o nim wiedzieć pewna kobieta o imieniu Marguerita, którą można znaleźć w lokalu Toro Blanco. Porozmawiam z nią, jak tylko nasz wygląd zmieni się na tyle, e będziemy mogli bezpiecznie wyjść. A na razie, jak sądzę, będzie nam tu wcale wygodnie...

– Ale tu jest tylko jedno łóżko! – wykrzyknęła Sam i natychmiast zaczerwieniła się po uszy, zawstydzona swoim wybuchem. Za nic przecie nie chciałyby się przyznać, e przez cały czas myślała głównie o tym łóżku. I o tym, jak pięknie teraz wygląda Trace. Ta jego opalona skóra, widoczna pod rozpiętą koszulą, wydawała się tak nieodparcie kusząca...

Czy on też myślał o tym ogromnym dwuosobowym łóżku? Trudno to było po nim poznać, Sam zauważyła tylko, e lekko zacisnął usta i dopiero po chwili powiedział:

– Ja będę spał na kanapie.

– To dobrze. – Westchnęła, mając nadzieję, e w jej głosie nie przebija zbyt wyraźne rozczarowanie. Lepiej byłoby, eby Trace się w tym nie zorientował. Zerwała się na nogi i podbiegła do drzwi łazienki. – Myślę, e najwyższy czas wypróbować tę luksusową wannę! – zawołała z dobrze udawanym rozbawieniem.

Czy on na pewno niczego nie zauważył? Patrzył na nią tymi swoimi niebezpiecznie bystrymi oczami i leciutko się uśmiechał.

– Przyjemnej kąpieli!

Wciąż nie wiedziała, co chodzi mu po głowie, ale miała wiele materiału dla domysłów.

Po kwadransie Sam wyłoniła się z łazienki owinięta w gruby meksykański ręcznik, wykąpana i znacznie spokojniejsza. Rozejrzała się i nagle stanęła jak wryta.

– A gdzie jest moje ubranie?

– Wyrzucone – oznajmił Trace ze stoickim spokojem. – Mo esz ju zacząć ćwiczyć z tymi damskimi rzeczami. Im prędzej przyzwyczaisz się do tych sznurówek, falbanek i wysokich obcasów, tym lepiej.

Wyglądało na to, e jest bardzo z siebie zadowolony. Sam była znacznie mniej kontenta. Zajrzała do szafy i komody i znów znieruchomiała, pełna jawnej rozterki.

– Skąd mam wiedzieć, e rzeczywiście kupiłeś wszystko, co powinnam mieć? – zapytała.

– Mo esz mi wierzyć na słowo, panno Kincade. Ja naprawdę wiem, co kobiety noszą, i zadbałem o to,

ebyś miała wszystko, czego mo esz

potrzebować. Bielizna jest w dolnej szufladzie komody, halki, spódnice i sukienki w szafie. Przejdę do salonu, eby cię nie krępować, alej je eli będzie ci potrzebna pomoc, jestem gotów na ka de wezwanie. – W głosie Trace’a dało się słyszeć zauwa alnej rozbawienie.

Sam pokręciła głową, otworzyła szafę i szuflady i spoglądała na ich zawartość z prawdziwym przera eniem. W końcu cofnęła się, opadła na fotel i ukryła twarz w dłoniach.

– Tego jest stanowczo za du o. Nie potrafię... nie poradzę sobie z tym wszystkim.

– Owszem, poradzisz sobie! – usłyszała zza uchylonych drzwi. – I nie przejmuj się tym a tak bardzo. Masz mnóstwo czasu, a poza tym pamiętaj: jesteś zawsze sobą, niezale nie od tego, co na siebie wło ysz. Zresztą sama powiedziałaś, e to tylko chwilowe przebranie.

– Będę wyglądać śmiesznie. – A jakie to ma znaczenie?

Najgorsze było to, e dla niej to miało znaczenie. Skoro ju miała wyglądać jak kobieta, to chciałyby być kobietą piękną i godną po ądania. I chciałyby, eby Trace patrzył na nią z zachwytem. A poniewa wiedziała, e to po prostu niemo liwe, cierpiała tym bardziej.

W końcu bardzo niepewnie podeszła do lustra i obejrzała się w nim od stóp do głów, oceniając się bardzo surowo. Za du o opalenizny, cera zbyt zaró owiona od słońca. Figura z szczupłą, zbyt chłopięcą. Włosy wręcz katastrofalne. Całość po prostu beznadziejna.

Przy takiej samoocenie mo na się było tylko upić.

– Czy jest w tym domu jakaś whisky? – zapytała głośno i dramatycznie.

Od bardzo dawna nie czuła się tak podle. Nie cierpiała tego wszystkiego, co zobaczyła w lustrze, nie znosiła swej twarzy, szyi, piersi, rąk, nóg i w ogóle całego ciała.

Upłynęła chwila, zanim zza drzwi dobiegła odpowiedź Trace’a.

– Szanujące się kobiety nie piją whisky. Postawię szklaneczkę wina na podłodze i przesunę przez uchylone drzwi.

Sam przymknęła oczy i przycisnęła dłonie do skroni. Nawet jeśli Trace chciał jak najlepiej, następowało właśnie to, czego tak się obawiała. Ju jej czegoś nie było wolno, ju mę czyzna nie pozwalał jej na picie whisky.

Całkowita utrata wolności i niezależności zbliżała się wielkimi krokami.

Pojawiało się coraz więcej problemów.

Wprawdzie pończochy dały się włożyć bez specjalnych trudności, ale Sam bardzo długo nie potrafiła dojść do tego, w jaki sposób zapinać na nich podwiązki, eby się trzymały. Dopiero po dobrym kwadransie wreszcie się jej udało.

Ozdobne koronkowe pantalone, zawiązywane na jedwabne tasiemeczki tu poniżej kolana, nie sprawiały większych kłopotów. Natomiast gorset okazał

się prawdziwą łamigłówką. Była to imponująca konstrukcja z atłasu i koronki, z różnymi wstawkami i specjalnymi usztywnieniami z wielorybiego fiszbinu, który – jak podejrzewała Sam – przy mocniejszym dociśnięciu potrafiłby pewnie odebrać nie tylko oddech, ale i życie. Stała przed lustrem i na różne sposoby przykładała do siebie gorset, przypatrując się, jak jego miseczki miękko obejmują piersi, zbliżając je do siebie i jednocześnie wypychając do góry.

Czyniły to tak skutecznie, że Sam zarumieniła się, patrząc na uzyskany efekt.

Przez pięć ostatnich lat zawsze starała się jak najbardziej spłaszczyć piersi i dobrze je ukryć. Dlatego teraz wręcz szokowało ją zetknięcie się z taką tak wymyślną częścią garderoby, która nie tylko niczego nie ukrywała, ale miała za zadanie wszystko jak najbardziej uwypuklać.

Sam jednak nie mogła tego włożyć. Nie dlatego, że nie chciała, ale po prostu nie mogła sięgnąć sznurówek, które poprzez dwa rzędy otworów ściągały całą tę przemyślną konstrukcję. Sznurówki były usytuowane na plecach, wzdłuż linii kręgosłupa – co sprawiało, że dostęp do nich był naprawdę mocno utrudniony. Po kilku daremnych próbach w końcu zrezygnowała z ambitnego zamiaru zasznurowania się własnoręcznie i – bardzo niechętnie – postanowiła poprosić o pomoc. Przysunęła się do lekko uchylonych drzwi.

– Jesteś tam jeszcze? – zapytała.

– Tak.

– Chciałabym, ebyś mi pomógł zasznurować gorset. Tylko jeszcze nie wiem, jak to zrobić. – Zamilkła i zastanawiała się przez chwilę. – Otworzę drzwi trochę szerzej i ustawię się tak, ebyś mógł uchwycić końce tych cholernych sznurówek, a potem odpowiednio je zaciągnąć. Zechcesz mi pomóc?

– Sięgnęła po szklaneczkę z winem i wychyliła ją do dna, jednym haustem. Było naprawdę doskonałe, ale wypięła go już sporo i teraz lekko szumiało jej w głowie.

– Jestem szczęśliwy, mogąc służyć pomocą, panno Samantho –

odpowiedział Trace. W jego głosie nie było nawet śladu ironii czy kpiny, ale już to, że nazwał ją Samanthą, było dla niej emocjonalnym wstrząsem. Znowu musiała się godzić na coś, przed czym tak długo się broniła. Oczywiście, zdawała sobie sprawę, że teraz Trace będzie musiał zwracać się do niej właśnie w ten sposób, używając eńskiego imienia. Ale to wcale nie oznaczało, że jej się to musi

podobać.

– Zdawało mi się, e mamy udawać nowo poślubiona parę – powiedziała gniewnie. – Nazywanie mnie panną jest co najmniej nieuzasadnione.

Ale Trace wcale nie poczuł się speszony.

– To zależy – rzekł. – U nas, na Południu, do mężatek często mówi się

„panno” lub „panienko”. Moja więc i tak, i tak.

Sam tylko wzruszyła ramionami. Nie miała już ochoty przedłużyć tego sporu. Krzywiąc się jak po wypiciu rycyny, włożyła rozsznurowany gorset.

Potem ostro nie podeszła do drzwi i uchyliła je szerzej – na tyle, aby Trace mógł w miarę swobodnie operować rękami. Ustawiała się do niego plecami i celowo nabrała w płuca jak najwięcej powietrza, aby nie mógł jej zasznurować zbyt mocno. Na szczęście nie mógł widzieć, że znów jest zaczerwieniona po uszy.

Przez bardzo długą chwilę nic się nie działo i nerwy Sam wydawały się napięte do ostatecznych granic. Czowała się naga, miała poczucie, że wygląda bezradnie i rozpaczliwie głupio. Próbowwała sobie tłumaczyć, że to nie ma znaczenia, że Trace przecie już widział ją całkowicie nagą, gdy pielęgnował ją po ukąszeniu grzechotnika. Ale to tłumaczenie niewiele pomagało.

– Zasznurowuj mnie wreszcie! – ponagliła go, marząc już tylko o tym, aby to się wreszcie skończyło.

Odpowiedź nastąpiła dopiero po chwili, a głos Trace’a wydał się jej dziwnie zmieniony.

– Jesteś bardzo piękna – powiedział zaskakująco cicho. – Masz piękne plecy... i resztę.

Sam odruchowo przełknęła ślinę. Wszystkiego się mogła spodziewać, ale przecie nie takiego wyznania. Nie wtedy, gdy była odwrócona. Dotąd była przekonana, że mężczyźni zdecydowanie wolą oglądać kobiety od frontu. W

końcu nie bez powodu na obrazach wywieszanych w saloonach żadna naga Wenus nie pokazywała pleców.

Ale co... co Trace chciał w ten sposób dać jej delikatnie do zrozumienia, że u niej ta druga strona nie jest warta i pochwały? Zamarła na chwilę w przerażeniu. Chyba jednak nie; wzruszenie w jego głosie było chyba prawdziwe, więc coś mu się naprawdę podobało. Ale co? Jej plecy? Ramiona?

Machinalnie otarła z czoła drobniutkie kropelki potu. Nadal nie potrafiła odgadnąć co – według niego – ma piękne...

Nagle poczuła na plecach dotknięcie jego palców, ujmujących końce sznurówek. Zrobił to bardzo delikatnie, ale przez jej ciało natychmiast przebiegł

dojmujący dreszcz. Pamiętała jeszcze , jak te długie, smukłe palce dotykały jej ciała, ale wówczas była bardzo chora i półprzytomna. Teraz czuła ka dy ich ruch, ka de muśnięcie...

Trace odkaszlnął i uchylił drzwi nieco szerzej. Pociągnął mocniej za sznurówki.

– Czy tak nie jest za ciasno?

– Nie – odpowiedziała dziwnie ochrypłym głosem, który brzmiał tak, jak gdyby rzeczywiście brakło jej powietrza. Ale powód był zupełnie inny. To dotknięcie ciepłych dłoni Trace’a tak na nią działało. Jedną rękę opierał na jej kręgosłupie w okolicach talii, a drugą ciągnął za końce sznurówek. Potem przewlekał je przez następne dziurki i znów zaciągał mocniej, opierając dłoń w tym samym miejscu. Za ka dym pociągnięciem Sam mimowolnie prostowała się i coraz bardziej przybli ała się do stojącego tu za nią Trace’a. Całą powierzchnią skóry czuła promieniujące ciepło jego ciała. Nie widziała go, ale czuła, e musiał być tu przy niej.

Wyraźnie czuła te jego zapach, męski i bardzo charakterystyczny, który teraz rozpoznałaby ju wszędzie. Na ten jedyny w swoim rodzaju zapach Trace’a Hardena składała się bardzo delikatna nutka wawrzynu, nieco mocniejsza woń dobrych cygar, odrobina wody kolońskiej... i jeszcze coś takiego, co kazało jej myśleć o egzotycznych krajach, luksusowych kasynach, stołach do gry i le ących na nich taliach zapieczętowanych kart.

Gorset ścisnął ją naprawdę mocno. Na szczęście wyglądało na to, e Trace ju kończy.

– Te koronkowe pantalone pójda teraz na wierzch, na dolną część gorsetu

– wyjaśniał jej wciąż nieco ochrypłym głosem. – Zaczekaj chwilkę... zdaje się, e końce sznurówek powinno się wcisnąć tu, do środka. – Palce Trace’a przesunęły

się

po

obna onych

ramionach

Sam,

znów

wywołując

natychmiastowy dreszcz. Fala gorąca przepłynęła przez ciało dziewczyny, zakręciło się jej w głowie i na moment przestała oddychać.

Gdy wreszcie ochłonęła, zdała sobie sprawę, e operacja zaciągania gorsetu ostatecznie ju się zakończyła, e drzwi są otwarte znacznie szerzej ni jeszcze przed chwilą... i e z jakiegoś powodu

Trace nie wrócił do salonu, ale pozostał przy niej. Byli wciąż tak blisko siebie, e ich ciała niemal się stykały.

Niemal...

– Ja... ja nie wiem, co się wkłada teraz – szepnęła Sam. Wciąż stała nieruchomo, bojąc się ruszyć, eby nie stracić poczucia tej niezwyklej bliskości.

– Teraz powinnaś włożyć stanik. Nie miała ju wyjścia. Zmusiła się do zrobienia paru kroków i sięgnęła po ten nieszczęsny staniczek, lekki i przezrzysty jak mgiełka, zrobiony po to, by niczego nie zakrywać, a wszystko odsłaniać. Kiedy go wkładała, usłyszała dobiegające od strony drzwi głębokie westchnienie.

W odruchu bezrozumnej trwogi na moment przymknęła oczy. Czy Trace westchnął z uznaniem, czy te raczej był to wyraz całkowitego rozczarowania?

Czy rzeczywiście mogła wyglądać a tak okropnie? Pośpiesznie obróciła się do lustra, eby zobaczyć to, co widział on.

I nagle znieruchomiła, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Jej podniesiony przez gorset i wypchnięty ku górze dziewczęcy biust nagle stał się zaskakująco krągły i pełny i w koronkach stanika wyglądał

niezmiernie kusząco. Ściśnięta gorsetem talia miała idealną linię klepsydry, rozszerzając się w dół ku biodrom, opiętym koronkowymi pantalonami, na tyle dopasowanymi, e jeszcze podkreślały doskonały kształt zgrabnych pośladków i ud. Mankiety pantalonów kończyły się pod kolanami, odsłaniając smukłe łydki i drobne stopy, doskonale widoczne w półprzezrzystych białych pończoszkach.

W gruncie rzeczy to, co Sam widziała w lustrze – zwłaszcza od szyi w dół

– zaskakująco przypominało te nieprzyzwoite francuskie pocztówki, które zwykli czasami oglądać klienci różnych podejrzanych barów i saloonów. Tak, to było prawie to samo. Paryskie *demoiselles* w samej bieliźnie rzeczywiście mogły wyglądać niezwykle kusząco, ale eby i ona?

– O Bo e drogi! – jęknęła cichutko.

Patrzyła na swe odbicie w lustrze i niewiele brakowało, by zaczęła przecierać oczy ze zdumienia. Nie miała dotąd pojęcia, e wkładając to wszystko, mo e stać się taka... atrakcyjna. Ba, wręcz prowokacyjna.

Trace te chyba jęknął: „O Bo e drogi!”, choć tego Sam nie była zupełnie pewna. Za to ju na pewno przetarł oczy i z wra enia opadł na krzesło, stojące tu przy drzwiach.

Od szyi w górę było ju , niestety, nieco gorzej. Sam zmarszczyła nos, przyglądając się swym nadmiernie opalonym policzkom i krótko obciętym włosom, które ledwo zdążyły wyschnąć i sterczały

we wszystkich możliwych kierunkach.

– Będę potrzebowała pudru – powiedziała na wpół do siebie. – A co do tych sztucznych włosów... Wiesz może, jak się to przypina?

Trace wciąż patrzył na nią tak jak ogłuszony.

– Nie, nie wiem, jak się przypina damską perukę – odparł w końcu, wciąż lekko nieprzytomny.

Sam obróciła się na pięcie, podbiegła do komody i wyrzuciła na podłogę pół szuflady, by wreszcie znaleźć perukę i szpilki do jej przypinania. Zdawała sobie sprawę, że to czyste szaleństwo, ale po prostu już nie mogła inaczej.

Musiała wreszcie wiedzieć, jak mogłaby wyglądać jako kobieta stu procentowo kobieca. Kobieta od stóp do głów.

Uporządkowała więc najpierw własne włosy, szcztokując je tak długo, aż ułożyły się w jednym kierunku. Następnie spięła je szpilkami, którymi te przymocowała perukę. Wypróbowała kilka możliwości i ostatecznie zdecydowała się na wariant z niewielką grzywką i sztucznymi lokami, obramowującymi twarz i naturalnie opadającymi na ramiona.

– Bardzo dobry kolor – powiedziała i jeszcze raz przejrzała się w lustro.

– No tak...

– Nie wierzę własnym oczom – przyznał Trace.

– Ja też .

Sam podniosła się z krzesła i stanęła w pewnej odległości od lustra, aby jeszcze raz obejrzeć się w całości. Wiedziała już, że zamysł się powiódł –

patrząc na swe odbicie, widziała osobę absolutnie i bez reszty kobiecą. Gorset i peruka sprawiły, że stał się mały cud – poszukiwany listem gończym łowca i nagród znikł bez śladu, a na jego miejsce, dzięki tej magicznej mieszance iluzji i prawdziwej kobiecości, pojawiła się

nowa replika wiecznej Wenus, tak

nieudolnie zazwyczaj przedstawianej na wiszących w saloonach olejnych bohomazach. Sama wiedziała, że jest może drobniejsza i szczuplejsza od tamtych malowanych piękności, ale przez to jeszcze zgrabniejsza i jeszcze bardziej kusząca. A najbardziej zadziwiające było to, że do tej metamorfozy trzeba było w gruncie rzeczy tak niewiele.

Znowy usiadła przed lustrem, poprawiła grzywkę, a następnie sięgnęła po szkatułkę z podręczną biuterią, o której Trace na szczęście nie zapomniał.

Było tam kilka par klipsów, które I zaczęła po kolei przymierzać, przechylając i obracając głowę w

jedną i drugą stroną. Wpatrywała się w swe odbicie, na, chwilę zapominając o bo ym świecie i zatracając się bez reszty w tej bardzo szczególnej i bardzo kobiecej magii.

Trace przyglądał się temu głęboko poruszony – nie tylko emocjonalnie, ale i jak najbardziej fizycznie. Sięgając pamięcią wstecz, mógł sobie przypomnieć dziesiątki przypadków, kiedy takim właśnie fizycznym podnieceniem reagował na widok I rozbierającej się kobiety – i oczywiście nie było w tym nic nadzwyczajnego. Ale eby podobne, a mo e nawet jeszcze I mocniejsze, podniecenie ogarnęło go na widok kobiety, którą się nie rozbierała, ale ubierała – to mu się zdarzyło po raz pierwszy. Jeszcze do niedawna byłby przekonany, e to po prostu niemo liwe.

Przyglądał się jej, jak przypina klipsy z pereł i sprawdzał w lustrze, czy pasują do jej olśniewającego uśmiechu, i po ądał jej coraz bardziej. Najbardziej na świecie chciał teraz wziąć ją na ręce, zanieść na to ogromne łó e i zedrzeć z niej to wszystko, co z takim trudem na siebie wkładała. Chciał dotykać jej ciała, całować i pieścić prześliczne piersi, czubkami palców głaskać wewnętrzną stronę strzelistych ud – a do chwili, gdy i w niej rozпали się to samo po ądanie, gdy zapragnie jego ciała, jego fizycznej bliskości równie mocno, jak on pragnął

jej.

Tymczasem Sam ostatecznie zdecydowała się pozostawić w uszach klipsy z perłami i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– No to teraz chciałabym zobaczyć, jak by to wszystko wyglądało w całości. – Podniosła się sprzed lustra i podeszła do szafy, którą otworzyła na oście . – Muszę wybrać którąś z tych dwóch sukien. Obie są piękne.

Trace patrzył na nią w milczeniu, niezdolny do wypowiedzenia choćby jednego słowa. W ustach mu zaschło, całe ciało zdawało się płonąć w nagłej gorączce. Nie był w stanie oderwać oczu od tej zachwycająco zgrabnej figurki, okrytej tylko koronkową bielizną, której przejrzystość pozwalała dokładnie widzieć wszystkie zaokrąglenia i cudowne linie tego olśniewająco pięknego, młodego ciała.

Sam wsunęła stopy w ałasowe pantofelki, sięgnęła po długą wieczorową suknię i – unosząc ręce – wślizgnęła się w nią z zaskakującą łatwością. Nie była jednak w stanie zapiąć haftek na plecach, odgarnęła więc do przodu długie loki peruki i poprosiła Trace'a o pomoc.

– Nie bardzo rozumiem, jak kobiety dają sobie z tym radę – powiedziała, przekręcając głowę do tyłu i usiłując zobaczyć w lustrze, jak Trace poczyna sobie z haftkami.

– Kobiety, które noszą tego rodzaju suknie, mają do pomocy pokojówkę lub garderobianą – powiedział, dopinając ostatnie haftki. – Ale ju widzę, e przydałaby ci się obszerniejsza garderoba. Zamówię jeszcze kilka sukienek i wszelkie niezbędne dodatki.

Gdy suknia była ju zapięta, Sam podeszła do lustra. Trace stanął tu za nią, patrząc ponad jej ramieniem. I znów to, co zobaczył, przeszło wszelkie oczekiwania.

Widziana w lustrze Samantha Kincade wydała mu się podobna do olśniewającego motyla, który nagle się wyłonił z niepozornej poczwarki.

Całkiem niespodziewanie okazała się jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie widział. Błękit jej oczu stał się jeszcze głębszy, srebrzysta tkanina wieczorowej sukni cudownie przylegała do krągłych piersi i wąziutkiej talii, opinając się na wdzięcznych wypukłościach i zaokrągleniach niczym druga skóra. Sam wyglądała w niej jak wymodelowana rzeźba, a kiedy się obróciła, suknia zdawała się tańczyć razem z nią.

– Och, Trace! – szepnęła tak cicho, e ledwie ją usłyszał. – Nigdy nie przypuszczałam... nawet nie marzyłam, e to mo e być takie...

Jej głos łamał się ze wzruszenia, a zachwycająco białe piersi wdzięcznie falowały w delikatnych koronkach stanika. Jej talia była tak wąska, e Trace mógłby ją objąć w pasie palcami obu dłoni. Tak, była naprawdę niezwykle piękna.

Ale nadal patrzyła niepewnie, jak gdyby się czegoś obawiała.

– Jak uwa asz, Trace, czy ja...? Czy mnie...? – Urwała, jak gdyby bojąc się dokończyć.

~ Nikt na świecie cię teraz nie rozpozna – zapewnił ją pośpiesznie, zdając sobie nagle sprawę, e jego głos brzmi dziwnie głucho i ochryple. To jej bliskość tak na niego działała. Chciał wyciągnąć rękę i dotknąć jej policzka, ale bał się, e gdy to zrobi, nie potrafi ju nad sobą zapanować. Dlatego powiedział

tylko: – Jesteś piękna... zachwycająco piękna.

– Naprawdę tak uwa asz? – zapytała, wciąż bardzo niepewnie, i spojrzała mu w oczy. Ale on nagle odwrócił od niej spojrzenie – No pewnie, e tak uwa am! – odpowiedział niemal gniewnie i natychmiast tego po ałował. Nie powinien był okazywać tak bezsensownej irytacji. Zwłaszcza teraz, w tych pierwszych momentach, kiedy w tak oczywisty sposób musiała czuć się rozpaczliwie niepewnie i bardzo potrzebowała słów otuchy.

Odwróciła się od lustra, spojrzała mu prosto w oczy i zapytała:

– Coś cię rozniewało? Ale co – i dlaczego tak nagle?

Z pewnym wysiłkiem oderwał wzrok od jej piekielnie kuszących piersi.

Nie powinien się tak w nie wpatrywać, niczym sroka w kość. Spróbował

spojrzeć jej w oczy i znów niemal natychmiast umknął wzrokiem.

– Jak pomyślisz, to się domyślisz – mruknął z jeszcze większą irytacją.

Potem szybko, niemal w panice, wycofał się do salonu. Tam nalał sobie sporą szklaneczkę brandy i wychylił ją jednym haustem.

Sam podeszła do stołu w ślad za nim i te naląła sobie brandy.

– Nie chcę zgadywać, a nie potrafię czytać w twoich myślach – rzekła. –

Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to po prostu to powiedz.

Wciąż patrząc na niego, przechyliła szklaneczkę i równie wypła ją jednym haustem. Potem zamaszystym gestem otarła usta grzbietem dłoni, a Trace nagle wybuchnął gromkim śmiechem.

Ona wciąż pozostawała sobą! Mogła się ubrać jak dama i w ciągu kilku minut przeistoczyć się w najpiękniejszą kobietę, jaką zdarzyło mu się widzieć od wielu lat, ale dalej była naiwnie czupurna i prostolinijna jak młody chłopak i wciąż zachowywała swe zdecydowanie męskie nawyki. Tę brandy wypła nie jak dama, ale jak ten łowca nagród, którym była jeszcze tak niedawno.

Tylko... czy to coś zmieniało? Tak czy inaczej po ądał Sam Kincade, niezale nie od tego, w jakim wcieleniu występowała. Po ądał tak bardzo, e to a bolało.

Gdy słu ba przyniosła zamówioną kolację, Sam przeszła do sypialni, eby się przebrać. Na polecenie Trace'a ustawiono stół przy otwartym oknie, przez które napływało przyjemnie chłodne wieczorne powietrze znad rzeki. Kolacja wyglądała wcale apetycznie.

– Mo esz ju wyjść! – zawołał Trace, gdy słu ący uklonili się i odeszli.

Zza uchylonych drzwi sypialni wychynęła najpierw mocno rozczochrana głowa

– ju bez peruki – a potem i cała Sam, ciasno owinięta w szlafrok, najwyraźniej wło ony wprost na bieliznę. Przeczesła palcami krótko obcięte włosy, z umiarkowanym powodzeniem usiłując doprowadzić je do jakiegoś ładu, a następnie podeszła do stołu i z zainteresowaniem przypatrywała się ustawionym na stole potrawom.

Długie włosy uwa ane były powszechnie za nieodłączny atrybut kobiecej urody, ale Trace całkiem niespodziewanie doszedł do wniosku, e takie krótkie, jak u Sam, równie mu się podobają. Zaskoczenie zresztą nie było a tak wielkie, poniewa ju wcześniej zdołał zauwa yć, e w Sam Kincade podoba mu się właściwie wszystko. Teraz, na przykład, zachwycił go szlafroczek, owinięty wokół niej na tyle ciasno, e kształtna figurka Sam ujawniała się pod nim niezwykle wyraźnie. Trace zastanawiał się przez chwilę, czy aby na pewno pod tym szlafroczkim jest coś jeszcze, ale w końcu doszedł do wniosku, e z całą pewnością musi tam być nierozsznurowany gorset, co wskazywałoby, e powinny być równie koronkowe pantaloney. Oczami wyobraźni znów je widział

– podobnie jak gorset – i w aden sposób nie potrafił ich ze swej pamięci usunąć.

Gdy uprzejmym gestem podsunął jej krzesło, popatrzyła na I niego jawnie zaskoczona i uniosła brwi.

– Nie rób tego, jeśli mo na cię prosić – powiedziała. – Nie jestem do tego przyzwyczajona i dziwnie się wtedy czuję.

– Zechciej jednak zauwa yć,

e ostateczny sukces bądź te

niewpowodzenie twojego przebrania zależy tak e i od takich szczegółów. Jako kobieta powinnaś przyjmować mój szarmancki gest jako coś naturalnego. I, na miłość boską, nie próbuj przypadkiem sama przysuwać krzesła jakiegokolwiek kobiecie i nie staraj się służyć jej ramieniem.

Sam skrzywiła się, ale w końcu skinęła głową. Usiadła przy stole i zabrała się do kolacji.

– Nie masz pojęcia, jakie to dziwne uczucie. – Dotknęła dłonią swej wąziutkiej talii – nosić gorset. – Sięgnęła po I rogalik i posmarowała go masłem.

– Pani Moss, ona pastora, twierdziła zawsze, e gorset jest narzędziem szatana.

Utrzymywała stanowczo,

e noszenie czegoś takiego okalecza kobiece

wnętrznosci i jest powodem licznych niedomagań i chorób. Nie za bardzo znam się na tym, ale wiem na pewno, e gdybyś mnie ścisnął jeszcze tylko trochę ciaśniej, miałabym poważne problemy nawet z oddychaniem, nie mówiąc już o jedzeniu. Mo e na co dzień powinnam nosić tylko stanik?

– Droga Sam – rzekł surowo Trace, odkładając na chwilę nóż i widelec. –

Dama przy kolacji nie rozmawia o bieliźnie.

Sam uniosła brwi.

– A kto nas słyszy? – spytała. – Jesteśmy tu sami.

– Mimo to powinniśmy ćwiczyć odpowiednie zachowanie. Cały ten tydzień przeznaczony jest głównie na to.

Sam równie odłożyła sztućce i popatrzyła na niego z jawną niechęcią.

– Ale to jeszcze nie powód, eby się tak czepiać! Dlaczego, do cholery, to się nagle zrobiło takie wane, te maniery i to wszystko? Tylko dlatego, e jesteśmy w trochę lepszym hotelu? A do diabła z nim!

– Damy nie przeklinają – powiedział Trace z niewzruszoną miną.

Sam przymrużyła oczy, w których pojawiły się niebezpieczne iskierki.

– Damy te pewnie nie próbują dziabnąć swego partnera widelcem, co ja z całą pewnością zrobię, je eli nie przestaniesz wreszcie pouczać mnie, jak mam się zachowywać, w co mam się ubierać, jak jeść, jak pić, co mówić i diabli wiedzą co jeszcze!

– Chcesz, eby ta zmiana naszego wyglądu dała jakieś rezultaty, czy nie chcesz?

– A po jaką cholere w ogóle bym się męczyła z tym wszystkim? – spytała zgryźliwie Sam. – Ale jest jakaś granica tego, co człowiek może wytrzymać, jakiś limit krytycznych uwag, których musi się wysłuchać w ciągu jednego dnia.

I dlatego, panie Harden, niech się pan wreszcie zamknie i przestanie mną komenderować w taki sposób, jak gdybym była nie wiem kim. Jakbym była kobietą!

– Ale ty jesteś kobietą! – oświadczył spokojnie. – Bardzo zdecydowanie i bez żadnych wątpliwości.

Sam tylko zacisnęła wargi, pochyliła się nad talerzem i wróciła do przerwanej posiłku. Trace zrobił to samo, ale od czasu do czasu podnosił

wzrok i przyglądał się jej ponad migocącymi płomykami świec ustawionego na stole kandelabru. Tak, na jego oczach Sam Kincade przekształciła się z czegoś w rodzaju dorastającego chłopca w niebezpiecznie piękną kobietę. Ta przemiana, jak się okazało, mocno go poruszyła. Ale i ją chyba także.

– A nie mówiłam ci, że halki, jedwabne pończochy i staniki mogą w końcu wszystko popsuć? – powiedziała dziwnie odmiennym głosem.

Zaskoczony Trace nagle zorientował się, że w kącikach jej oczu pojawiły się łzy.

– A niech to wszyscy diabli! – Wciąż starając się udawać, że wcale nie płacze, Sam pośpiesznie odsunęła się od stołu. Podniosła się i uciekła do sypialni, zatraskując za sobą drzwi.

Nocami w hotelu było zwykle ciemno i cicho, tylko z ulicy czasem dobiegały pijackie krzyki, tupot końskich kopyt albo piosenka, śpiewana przez jakiegoś podchmielonego kowboja. Trace znów nie mógł spać. Stał przy oknie i spoglądał w rozgwieżdżone niebo, na zmianę paląc cygaro i sącąc brandy z niewielkiego kryształowego kieliszka.

Nie golił się czwarty dzień i swą szybko rosnącą brodę czuł już pod palcami bardzo wyraźnie. arzący się koniuszek cygara zapalał się w ciemności niczym czerwona lampka.

Trace bardzo dobrze wiedział, dlaczego nie może spać.

Wszystko przez Sam. Przez to, że wciąż była tu obok.

To było coś zupełnie innego niż wspólna jazda przez prerię i góry, obozowiska przy ognisku i noclegi pod gołym niebem. Sam była wówczas równie blisko, ale kiedy otwierał oczy, zazwyczaj widział ją w nieforemnych kowbojskich spodniach, męskiej koszuli i całkowicie bezkształtnym poncho.

Taki widok znacznie mniej naraża człowieka na pokusy.

Trace wiedział zresztą, że teraz nawet i te najbardziej maskujące kobiecość elementy jej dawnej garderoby te by nie pomogły. Pożądał Sam Kincade już właściwie nieustannie, i to z taką intensywnością, że bolało.

Przedtem, na przestrzeni kilku tygodni, te zdarzało mu się jej pragnąć, chwilami nawet bardzo mocno, ale tego nie mo na było w ogóle porównywać z tym, co działo się z nim teraz.

Odwrócił się od okna i od rozpościerającego się za nim nocnego nieba, przeszedł z powrotem na środek pokoju i usiadł w fotelu – na wprost drzwi prowadzących do sypialni. Siedział w całkowitej ciemności, paląc cygaro i wsłuchując się w dobiegający stamtąd odgłos sprężyn wielkiego łóżka, które dźwięczały leciutko za każdym razem, gdy Sam we śnie przekręcała się z boku na bok. Ten dźwięk jeszcze potęgował jego postanowienie i doprowadzał go niemal do szaleństwa.

Zresztą teraz już niemal wszystko, co robiła, wydawało mu się niezwykle, wyjątkowe... i podniecające. Jej nowy sposób chodzenia – drobnymi kroczkami, co miało zapobiegać przypadkowemu przydeptywaniu rąbka długiej sukni. I kołysanie biodrami, gdy chodziła na wysokich obcasach. I ten czarujący sposób, w jaki przechylała głowę, kiedy w lustrze próbowała nakładać puder i różę. I to, jak trzymała widelec... i ten jej prowokujący uśmiech...

Trace odłożył cygaro i odruchowo przetarł zmęczone piekące powieki.

Dla zabicia czasu rano grywali w karty, popołudniami czytali książki, przy czym najczęściej jedno z nich czytało na głos. Trace zauważył, że wcześniej, gdy Sam występowała w roli mężczyzny, jej głos wydawał mu się dość zwyczajny, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Ale teraz, gdy się go odbierało jako głos kobiety, stawał się niezwykle – niski, lekko ochryply, zmysłowy kontralt, który natychmiast przyciągał męską uwagę i sprawiał, że mimo woli przychodziły na myśl jakieś wypowiedziane takim właśnie głosem intymne zwierzenia i miłosne szepty, do których najlepszym akompaniamentem byłby szelest wykrochmalonej pościeli. Trace łapał się na tym, że zdarzało mu się czekać, aby jeszcze raz wypowiedziała jego imię – tylko dlatego, że akcentowała je po swojemu, inaczej niż wszyscy inni. Nawet w tym była wyjątkowa.

Nie przestawał o niej myśleć, choć było oczywiste, że różniła się od siebie bardziej niż ogień i woda. Właściwie wspólne było w nich tylko jedno –

jednakowo silna chęć zgładzenia Hannibala Cotwella.

Trace zgniótł w popielniczkę niedopałek cygara i odchylił się na oparcie fotela.

Wiedział, że w tej rozgrywce między nim i przyrodnim bratem koniec jest już blisko. Czuł to przez skórę.

A początek był tak niedawno. W dniu, w którym wprowadził Hannibala do swego domu i przedstawił go jej jako brata. Od tej chwili wszystko potoczyło się z piorunującą szybkością, choć zaczęło się może jeszcze wcześniej: od tego, co działo się w jego małżeństwie. A w nim – wyjąwszy pierwszy rok po ślubie – działo się źle.

Znowu stanął przy oknie i patrzył na gwiazdziste nocne niebo, ale tak naprawdę patrzył w swoją przeszłość.

Początkowo Etta budziła w nim postanowienie. Może nie aż tak silne jak to, które teraz budziła w nim

śpiąca tu za ścianą Sam Kincade, lecz wystarczające, eby – przynajmniej w jego mniemaniu – wytworzyła się między nimi emocjonalna więź.

Ale ta namiętność wystygła mniej więcej po roku, gdy Trace zdał sobie sprawę, e dla Etty seks to co najwyżej mały eński obowiązek – a przede wszystkim sposób na osiągnięcie innych, dla niej niebezpiecznych celów.

Po ucieczce stało się coś w rodzaju monety przetargowej, którą dawało się za coś... albo te nie dawało, je eli odmowa mogła przynieść większe korzyści.

Myśląc teraz o tym na chłodno, Trace zadawał sobie pytanie, czy naprawdę kiedykolwiek kochał onę.

Pewnie tak. Na początku dostrzegał przede wszystkim jej urodę, wdzięk i ogładę, towarzyskie sukcesy. Pochlebiało mu to, e tak bardzo pragnęła go zdobyć.

Ale dość szybko zorientował się, e jedynym motorem wszystkich jej poczynań był w gruncie rzeczy egoizm i dbałość tylko o własną korzyść. Nie zamierzał jej za to potępiać – zdawał sobie sprawę, e egoizm mógł być dla niej tarczą ochronną, w jakiś sposób pożyteczną, dopóki utrzymywał się w określonych granicach. Zaczął jednak podejrzewać, e jej niepokonane dążenie do jak najszybszego ślubu było, być może, przede wszystkim przejawem buntu w stosunku do własnej rodziny, buntu motywowanego zarówno chęcią wyrwania się spod matczynej kurateli, jak i trzeźwą kalkulacją spodziewanych korzyści.

Etta nigdy nie cofała się przed manipulacją, potrafiła być niezwykle miła i ucygliwa – z czystego wyrachowania. To była jej inwestycja, która przynosiła zyski – i wszystko było w porządku, dopóki osiągała to, na czym jej zależało.

Gdy natrafiała na przeszkodę, na opór, którego nie potrafiła pokonać, wybuchala prawdziwą furia.

Trace okazał się jedną z takich przeszkód. Pozwalał jej sobą kierować, ale tylko do pewnych granic. Potem jego ustępliwość się kończyła. Nie działały na niego ani pieszczotliwe słowa, ani łzy, ani żadne inne formy manipulacji. Ani prośbą, ani groźbą nie udawało się zmienić jego postanowień – choćby tego, e nie pozwalał jej bywać w swoich kasynach i domach gry. Na nic były płacze i awantury.

W rezultacie takich konfliktów niekiedy przez całe tygodnie nie odzywali się do siebie. Wtedy najczęściej po prostu uciekał do zamkniętych dla niej pomieszczeń klubowych, eby choć trochę odpocząć od ciągłych skarg, alów i wciągniętych ądai.

Usiłował sobie teraz przypomnieć, czy pocałował ją na pożegnanie, wyjeżdżając do Nowego Orleanu. Chyba jednak nie, poniewa musieli wówczas wyjść z domu w kulminacyjnym punkcie kolejnej kłótni. Potem, kiedy patrzył

na nią z okna ruszającego pociągu, zapamiętał ju tylko jej stęploną w gniewie, nieruchomą twarz i zimne spojrzenie.

– Połujesz tego. – To były ostatnie słowa, jakie do niego wypowiedziała. Wtedy te po raz ostatni widział ją żywą.

Miała rację, mówiąc mu, że tego pożałuje. Jeszcze teraz, w środku nocy, siedząc w tym hotelowym pokoju w zupełnej ciemności, widział jej twarz i słyszał słowa, które już na zawsze zapisały się w jego pamięci. Słyszał, jak Etta krzyczy na cały głos, że jedyną osobą, której jej podły i nieczuły mąż nie potrafił okazać trochę serca, jest jego brat. Odnosiła się do Hannibala jak do najgorszego wroga, krzyczała, że go nienawidzi za to, że odebrał jej miejsce w sercu męża, że jest pospolitym bandytą, i zapowiadała, że już do końca życia nie wpuści go za próg swojego domu.

Ale go wpuściła. I przez to później cierpiała tak, że w końcu wolała umrzeć.

Trace ukrył twarz w dłoniach. Paliło go poczucie winy. Wszystko najpewniej potoczyłoby się inaczej, gdyby zabrał ją wtedy ze sobą do Nowego Orleanu albo gdyby przynajmniej wrócił do Kansas City od razu po załatwieniu wszystkich spraw spadkowych. No a przede wszystkim, gdyby tak nierozważnie nie zaoferował swego domu jako bezpiecznej przystani, do której Hannibal mógł

się czuć zaproszony zawsze, o każdej porze dnia i nocy... Ba, gdyby...

Co tak naprawdę stało się tam podczas tych dwóch tygodni? – pytał sam siebie po raz nie wiadomo który i wpatrywał się w ciemność tak, jak gdyby w jej mrokach chciał znaleźć rozwiązanie. – I co działo się później?

Od samego początku zorientował się, że zawarta w liście Etty prośba, aby wybaczył Hannibalowi, w rzeczywistości miała cel odwrotny od deklarowanego – miała jeszcze mocniej pchnąć go do krwawej zemsty. Kolejny raz ona starała się nim manipulować. Wyraźnie chciała, aby zabił brata.

Ten list dowodził też, jak mało w gruncie rzeczy znała męża. Bo gdyby go znała, musiałaby wiedzieć, że ta manipulacja była zupełnie niepotrzebna. Ani gwałtu na niego, ani jej samobójczej śmierci tak czy inaczej nie mogłaby darować

– nawet bratu. To smutne, że Etta o tym nie wiedziała.

Wiele pytań nadal pozostawało bez odpowiedzi.

Dlaczego się nie broniła, nie wzywała pomocy? W którym momencie zorientowała się, że jest w ciąży, i w jaki sposób powiadomiła o tym Hannibala?

Czy on przebywał tam dłużej niż dwa tygodnie, czy może Etta napisała do niego, informując go, że zaszła w ciążę, i otrzymała od niego jakiś list?

I było jeszcze jedno, najtrudniejsze, pytanie, na które wciąż nie znał

odpowiedzi. Dlaczego Hannibal zrobił coś tak okropnego? I to właśnie jemu –

człowiekowi, który zawsze był mu najbliższy?!

Trace dotąd nie miał odwagi się domyślać. Niektóre możliwe odpowiedzi sprawiały, że nagle czuł się tak, jak gdyby jakaś lodowata ręka ścisnęła mu serce. Dlatego starał się je odsuwać od siebie jak

najdalej. Ale zasadnicze pytanie wciąż powracało.

Dlaczego Hannibal to zrobił? Czy kryło się za tym jeszcze coś, o czym on, Trace, wciąż nie wiedział?

Bo przecie wcześniej Hannibal odnosił się do Etty nie tylko uprzejmie, ale i z jawnym szacunkiem. Nie pozwolił sobie na najdrobniejszy nawet nietakt.

Prawdę mówiąc, tylko przy niej zachowywał się jak człowiek, którym w gruncie rzeczy mógłby być.

Dlaczego przestał się tak zachowywać? Z jakiego powodu nagle znów stał się bestią?

Trace zdawał sobie sprawę, e najprawdopodobniej nigdy się tego nie dowie. Wiedział, e będzie musiał zabić brata za to, co zrobił. Ale wiedział te , e gdy Hannibal umrze, umrze nie sam. Jakaś część duszy jego brata umrze razem z nim. To była cena za wymierzoną sprawiedliwość.

Trace Harden wiedział, e ją zapłaci.

Nie tylko on cierpiał na bezsenność. Sam również sypiała nie najlepiej.

Pod koniec tygodnia widać to było po obojgu – zmęczenie nieuchronnie wzmagало obustronne nerwowe napięcie, a utrzymujące się przez cały czas upały nie poprawiały sytuacji. Wyjątkowo ostra świadomość obecności tego drugiego nie sprzyjała dobremu samopoczuciu.

Choć zajmowany przez nich hotelowy apartament był chyba nawet większy od jej domku w Denver, Sam miała wra enie, e niemal nieustannie wpada na Trace'a albo przynajmniej się o niego ociera. I za ka dym razem odruchowo reagowała tak, jak gdyby nagle została skaleczona lub oparzona.

Zdawała sobie sprawę, e to kompletnie niedorzeczne, ale po prostu nie potrafiła nad tym zapanować – a potem ze zdenerwowania jeszcze przez kilka minut nie mogła złapać tchu.

Coraz trudniej im się ze sobą rozmawiało. Sam łapała się na tym, e czasami otwiera usta i nagle milknie, nie wypowiedziawszy nawet słowa. Coś podobnego działo się te z Trace'em. Najczęściej po prostu milczeli, choć przecie jeszcze tak niedawno potrafili rozmawiać całymi godzinami na ka dy mo liwy temat.

Czasami Sam nagłe uświadamiała sobie, e z niewiadomego powodu przez dłu szy czas siedzi na brze ku krzesła i bez słowa wpatruje się w milczącego Trace'a. Wtedy zazwyczaj zrywała się z miejsca i biegła do sypialni, eby się zająć czymkolwiek, na przykład przymierzaniem nowych sukien. W

takiej sytuacji zdarzało się jej słyszeć, jak Trace klnie pod nosem i podnosi się, eby i dla siebie znaleźć jakieś równie niepotrzebne, jawnie pozorowane zajęcie.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje, a jeśli nawet zdawała sobie z tego sprawę, to nie chciała tego nazwać. Wszystko sprzysięgło się przeciw niej, wszystko układało się właśnie tak, eby ani na chwilę nie mogła zapomnieć, e jest kobietą, a Trace mę czyzną.

Tak było począwszy od samego rana, kiedy otwierała oczy, budząc się sama w ogromnym łóżku z baldachimem i drugą poduszką, na której nikt nie spał. Potem następował najbardziej ekscytujący moment, kiedy pojawiał się Trace, eby pomóc jej w zaciąganiu sznurówek gorsetu. Czasami zostawał jeszcze na jakiś czas i przyglądał się, jak wkłada sukienkę, doprowadza do porządku fryzurę, pudruje się i maluje, przypina klipsy.

Później słuchający przynosił śniadanie, na dzień dobry uśmiechając się do Sam i z dyskretnym męskim zrozumieniem zerkając na Trace'a. Sam miała wrażenie, e doprawdy niewiele brakuje, by obaj znacząco przymruyli oko.

Oblewała się pąsem na samą myśl o tym, co hotelowa słuchała moe sobie opowiadać na temat pary nowożeńców, spędzających miesiąc miodowy w apartamencie 202. Z pewnością musieli być tematem plotek, skoro nie wytknęli nawet nosa poza drzwi – przez okrągły tydzień.

Po śniadaniu Sam pilnie ćwiczyła chodzenie w długiej sukni i na wysokich obcasach. Czasami Trace brał ją pod ramię i chodził po pokoju razem z nią, udając, e zabiera ją na spacer. Po południu wspólnie odgrywali wymyślone przez siebie scenki, w których starali się antycypować różne sytuacje, w jakich ju wkrótce mogli się znaleźć, wczuwając się przy okazji w przyjęte na siebie role – bogatego bankiera i jego młodej ony.

Czasami, dla odprężenia, zabawiali się grą w pokera, głośno czytali albo rozmawiali o tym i o owym. Trace opowiadał o swym dzieciństwie w Nowym Orleanie, Sam przypominała sobie najwcześniejsze lata, kiedy jeszcze mieszkała z rodzicami.

Potem przynoszono kolację, po której następowały lekcje manier i zachowania przy stole. Sam uczyła się siadać jak dama, wdzięcznie trzymać filiżankę z kawą i prowadzić lekką konwersację.

Wreszcie, kiedy słońce ju zaszło, uciekała do sypialni. Uciekała, eby nie być zbyt blisko tych bursztynowych oczu, kuszących męskich warg i smukłych palców, których pieśczęta mogłaby być tak cudowna. Uciekała przed nim, ale te i przed sobą. Wieczór był zbyt niebezpieczną porą, trudno było przewidzieć, do czego mogłaby doprowadzić nadmierna bliskość...

Zgrozeniem była ju sama fizyczna obecność Trace'a, nawet jego zapach. Uciekała więc, ale to niewiele pomagało. I tak zabierała ze sobą to wszystko – swoje krańcowo rozbuchane emocje i to całe rozdygotanie. Leżała na łóżku, jeszcze bardziej podenerwowana i spięta, wsłuchując się w dobiegające zza drzwi dźwięki – przestawianie krzesła, otwieranie i zamykanie okna, odgłos kroków... te nerwowych, te coraz bardziej niespokojnych.

Sam wstawiała z łóżka i równie zaczynała tak chodzić.

Nie była w stanie powiedzieć, jak długo jeszcze potrafi to wytrzymać.

Któregoś wieczoru nie wytrzymała i otworzyła drzwi, przerywając niekończący się spacer tam i z powrotem.

– Je eli nie wyjdę stąd, i to bardzo szybko, to skończy się tym, e po prostu zwariuję – oświadczyła.

Trace spojrzął na nią sponad pasjansa, pracowicie rozkładanego na stole ustawionym przy oknie. Broda i wąsy urosły mu ju na tyle, e nawet po przystrzy eniu zakrywały większą część twarzy. Tylko patrycjuszowski nos i ółtawe, tygrysie tęczówki oczu pozostały takie same.

Popatrzył na nią, kiwnął głową i jednym ruchem zgarnął karty ze stołu.

– Zgadzam się, e to ju chyba najwy szy czas. W gruncie rzeczy oboje jesteśmy gotowi i wyglądamy dokładnie tak, jak chcieliśmy wyglądać. Proszę więc wziąć swój kapelusik i rękawiczki, panno Samantho. Idziemy na mały wieczorny spacer po mieście. Gdzieś w okolicach Pałacu Gubernatorskiego będziemy te mogli kupić jakieś miłe drobiazgi dla upamiętnienia naszego niezapomnianego miodowego miesiąca.

Nie roześmiał się z własnego artu, Sam równie nie wyglądała na szczególnie rozbawioną. Tu przed wyjściem Trace wrzucił kilka monet do sakiewki, którą trzymała w ręku.

– To na wypadek, gdybyś chciała coś sobie kupić.

Gniewne zdziwienie błysnęło w niebieskich oczach Sam.

– Ja nie przyjechałam do Santa Fe na zakupy – powiedziała zirytowana. –

Je eli nie pamiętasz, to przypominam ci, e przyjechaliśmy tu po to, eby odnaleźć Hannibala Cotwella. Co, nawiasem mówiąc, odwleka się bardziej, ni kiedykolwiek mogłabym przypuszczać.

– Mo esz mi wierzyć, e równie dobrze jak ty pamiętam, po co tu przyjechaliśmy – odpowiedział Trace niemniej ostrym tonem. – Ale teraz nie wychodzimy po to, eby ścigać Hannibala. Idziemy w miasto, eby sprawdzić, czy udało się nam zadowalająco zmienić nasz wygląd. Jasne?

– Jasne. – Sam potrząsnęła sakiewką, której zawartość najwyraźniej ją irytowała. – Poza tym nie podoba mi się, e wrzucasz te pieniądze jak jakiś wyniosły arystokrata do skarbonki dla biednych.

Oczy Trace’a błysnęły.

– Mo e zechciałabyś sobie przypomnieć, e to z twoimi pieniędzmi poszedłem grać i wygrałem w Pueblo. Jestem więc twoim dłu nikiem, a pieniądze, które ci wrzuciłem do sakiewki, te są twoje.

– No, skoro tak... – Sam wzruszyła ramionami. Nie było o co się kłócić, zastanawiające wydawało się jedynie to, e z błahego powodu oboje nagle tak podnieśli głos.

Trace otworzył przed nią drzwi.

– A więc mo emy iść. Pamiętaj, e to jest przede wszystkim próba, I w miarę mo ności nie klnij, bo damy tego nie robią.

Zeszli po schodach do holu, gdzie w porze kolacji było nadspodziewanie du o ludzi, głównie w strojach wieczorowych. Na ulicy przed hotelem te był

spory ruch.

Spacerowym krokiem ruszyli w kierunku najbliższej przecznicy. Ju po chwili Trace miał niejasne wrażenie, a Sam robi się coraz bardziej spięta. I rzeczywiście, przy pierwszym większym sklepie pociągnęła go nagle w stronę wejścia i dramatycznym szeptem powiedziała:

– Mamy kłopoty! Moje przebranie nie działa!

Zagryzła wargi i ponad jego ramieniem patrzyła na ludzi, których niedawno minęli.

– Zauważ, jak oni wszyscy nam się przyglądali? A zwłaszcza mnie! –

Jej prawa dłoń w eleganckiej rękawiczce bezskutecznie szukała czegoś u boku.

– Bo e drogi, a ja bez colta czuję się tak, jak gdybym była naga! Oni mnie poznali, na pewno poznali! Wiedzą, kim jesteśmy!

Trace popatrzył na nią lekko rozbawiony, uśmiechnął się i poklepał ją po plecach.

– Uspokój się, Sam. Nikt nas nie rozpoznał, nasze przebranie sprawdza się doskonale. Ludzie patrzą na ciebie, bo widzą bardzo piękną kobietę! W

hotelu nikt nawet na mnie nie spojrział. Wszyscy przypatrywali się tylko tobie!

Sam wciąż zerknęła na niego niepewnie. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i szarmanckim gestem podał jej ramię.

– Idziemy dalej, piękna pani. Mo esz mi zaufać, wszystko jest w najlepszym porządku.

Ona jednak nie była do końca przekonana. Pilnując się przez cały czas, eby nie zaplątać się w rąbek własnej sukni, kątem oka przyglądała się mijającym ich ludziom, którzy rzeczywiście obrzucali Trace'a obojętnym spojrzeniem, całą uwagę skupiając na jego towarzysze. Nim doszli do placu przy Pałacu Gubernatorskim, co najmniej kilkunastu mę czyzn uśmiechnęło się, dotykając róna kapelusza i patrząc na nią wymownym wzrokiem. Sam odruchowo unosiła brwi i czuła się coraz bardziej skrępowana. Nigdy dotąd nie była obiektem takiego zainteresowania. Przez całe ycie starała się raczej o to, eby nie zwracano na nią uwagi.

– Musisz się do tego przyzwyczać – powiedział Trace, jakby odgadując jej myśli. – To są koszty bycia piękną kobietą. Zresztą nie takie znów wielkie.

Doszli ju do centralnego placu, oglądając po drodze indiańską ceramikę i dywaniki tkane w geometryczne wzory. Przede wszystkim jednak przypatrywali się ludziom, których o tej porze było nawet więcej ni w ciągu dnia.

– Popatrz ostro nie w tamtą stronę, ale tak, eby nie zwracać uwagi! –

odezwała się półgłosem Sam i na wszelki wypadek nasunęła kapelusik bardziej na czoło. – Widzisz

tych dwóch? Ten wysoki w zielonej koszuli to Pete Durkem, łowca nagród z Dodge City. A ten, z którym rozmawia, to tutejszy szeryf.

– Doskonale – powiedział Trace. – Właśnie kogoś takiego nam trzeba.

Lekko uścisnął dłoń Sam, eby jej dodać otuchy. Wciąż wyraźnie się wahała.

– Z tym Durkmem zdarzało mi się czasem wypić piwo lub dwa.

Opowiadaliśmy sobie wtedy o różnych takich przypadkach z życia. A je eli on mnie rozpozna?

Bycie kobietą nigdy nie wydawało się jej łatwe, ale najgorsze było to, e występując w roli damy, nie mo na mieć przy sobie rewolweru. Bez niego czuła się całkowicie bezbronna. Gdyby Durkem ją rozpoznał, nie miałyby innego wyjścia, jak tylko poddać się bez jakiegokolwiek oporu.

– A niech to diabli! – mruknęła pod nosem. Spojrzała przeproszająco na Trace’a i natychmiast się poprawiła. – To znaczy... chciałam powiedzieć... a niech to gęś kopnie!

Trace roześmiał się.

– Moim zdaniem, teraz nie rozpoznałby cię nawet sędzia, który w końcu jest twoim krewnym, a có dopiero oni. Zresztą ju za chwilę to sprawdzimy.

Swobodnym krokiem ruszyli w kierunku wciąż rozmawiających ze sobą mę czyn. Serce Sam biło coraz szybciej, a gorset nagle wydał się jej niezwykle ciasny i prawie uniemo liwiało oddychanie. Była ju prawie pewna, e za chwilę zostanie rozpoznana.

W przeciwieństwie do niej, Trace nadal zachowywał się z ogromna swobodą.

– Przepraszam panów bardzo uprzejmie – powiedział. – Zostawiłem zegarek w hotelu. Czy mogliby panowie powiedzieć mi, która jest godzina?

Szeryf wydobył z kieszonki sporą srebrną cebulę i przyciskiem otworzył

wieczko. Sam przez cały czas czuła na sobie wzrok Durkema. Zdecydowała się jednak podjąć wyzwanie i doprowadzić próbę do końca. Wdzięcznie zatrzepotała rzęsami i spojrzała mu prosto oczy. Durkem przyglądał się jej z jawnym zaskoczeniem.

– Dobry wieczór pani! – powiedział, uchylając kapelusza.

– Dobry wieczór panu. Dokuczliwy dziś upał, prawda? – Zsunęła szal ni ej na ramiona, niby przypadkiem odsłaniając dekolt, i jednocześnie obróciła się twarzą do Trace’a, udając, e nie dostrzega, jak Durkem wlepia wzrok w jej odsłonięte piersi. Nie potrafiłaby wytłumaczyć, skąd zna ten skuteczny kobiecy trick, ale potrafiła go u yć.

– Dziękuję panu. – Trace rzucił okiem na cyferblat kieszonkowego zegarka szeryfa. – Był pan bardzo uprzejmy. Do widzenia.

Uchylił kapelusza, uśmiechnął się yczliwie i wraz z Sam ruszył dalej.

Gdy oddalili się na kilka metrów, pochylił się ku niej i powiedział półgłosem:

– Powoli, nie śpiesz się. Przejdziemy się teraz wokół placu i zobaczymy, czy coś się będzie dziać.

Serce Sam wciąż jeszcze biło szybciej ni zwykle i ręce jej lekko dr ały.

To naprawdę kosztowało ją sporo nerwów. W końcu pierwszy raz od wielu lat stanęła oko w oko z niebezpieczeństwem, nie mając przy sobie broni.

Ale ta obawa ju ustępowała miejsca ogromnej radości. Sam była pewna, e nie została rozpoznana.

Był co prawda moment, kiedy Durkem przyglądał się jej z taką miną, jak gdyby usiłował sobie przypomnieć, skąd mo e ją znać. Ale najwyraźniej uznał, e to po prostu niemo liwe, a obserwująca go Sam mogła odetchnąć z ulgą.

Teraz ogarniało ją poczucie triumfu, które niemal rozsadzało Sam. Miała ochotę tańczyć, krzyknąć na cały plac, e wygrała, ale ograniczyła się do wymiany uśmiechów z równie bardzo zadowolonym Trace'em. Na chwilę zatrzymała się przy wystawie z meksykańską ceramiką, lecz w gruncie rzeczy nawet na nią nie patrzyła. Chciała rozmawiać o swoim zwycięstwie.

– Durkem mnie nie poznał – powtarzała uszczęśliwiona. – Patrzył na mnie tak uporczywie i nie poznał!

W oczach Trace'a błysnęło rozbawienie, ale te i irytacja, która początkowo ją zaskoczyła.

– Nie rozpoznał cię, ale te nie dałaś mu za wielkich szans – rzekł

dziwnie ponurym tonem.

– To znaczy? – zapytała lekko zdziwiona.

– Twojej twarzy przyglądał się mo e ze dwie sekundy. Bo potem gapił się ju tylko na twój biust, który podałaś mu prawie na talerzu.

Trace najwyraźniej był zły. Sam patrzyła na niego z coraz większym zdziwieniem, usiłując zrozumieć, skąd się wzięła ta nagła irytacja. I to zaskakujące oskar enie jej o to, ze Durkem nie patrzył na jej twarz, a tylko...

Bo e drogi! Sam zatrzepotała powiekami i jeszcze raz spojrzała na swego towarzysza, nie wiedząc właściwie, czy ma się śmiać, czy bardzo powa nie tłumaczyć swoje postępowanie, czy te mo e udać, e niczego nie zauwa yła.

Bo zdarzyło się coś niesłychanego. Trace Harden był zazdrosny!

Na kolację poszli do restauracji, która mo e nie dorównywała klasą takiemu, na przykład, Clarionowi w Denver, ale nie bez podstaw była uwa ana za jeden z najlepszych lokali w Santa Fe. Uskrzydłona swym sukcesem Sam czuła się coraz pewniej. Wiedząc ju , e nie grozi jej rozpoznanie i e w nowym wcieleniu mo e się czuć absolutnie bezpieczna, nie potrafiła się oprzeć narastającej chęćce pobawienia się tą nową zabawką, jaką była dla niej odzyskiwana kobiecość. Chciała wypróbować jej siłę i sprawdzić, czy rzeczywiście kryją się w niej takie fantastyczne mo liwości, których istnienia dotąd nawet nie podejrzewała.

Bardzo szybko odkryła na przykład, e oto nagle zyskała dość zabawną zdolność – potrafiła obracać ku sobie wszystkie męskie głowy. I zresztą nie tylko męskie – bo niektóre kobiety równie na nią patrzyły, i to bardzo uwa nie.

Lustrowały ją od stóp do głów – od pantofelków, poprzez suknię i dodatki, a po bi uterę i kapelusz. Sam odruchowo tak e im się przyglądała, skrycie porównując własne rzeczy z tym, co miały na sobie inne kobiety. I tu musiała oddać sprawiedliwość Hardenowi – jego doskonały gust i znajomość damskiej mody sprawiały, e w tej konkurencji mogła się czuć nie tylko nie gorsza, ale nawet lepsza od innych. W tym momencie nie zadawała sobie pytania, dlaczego właściwie miałyby to być dla niej wa ne. Cieszyła się po prostu, e jej nowe

„ja” z powodzeniem wytrzymuje porównanie z innymi kobietami. Zadziwiały ją niezwykle mo liwości, jakie kryje w sobie język ciała – kobiecego ciała –

odkrywany przez nią dopiero teraz. Lekkie pochylenie do przodu wystarczało, by kelner zamarł i odruchowo spojrział na jej biust. Wdzięczny ruch dłoni powodował, e ludzie nagle wpatrywali się w jej ręce. Gdy przechylała głowę w pewien określony, nieco kokieteryjny, sposób, klipsy bardzo kusząco tańczyły w okolicach szyi, a sztuczne włosy uwodzicielsko opadały na ramiona.

Wystarczała chwila zamierzonej nieuwagi, by lekko odsłonięta kostka zgrabnej nó ki natychmiast przykuwała męskie spojrzenia. To wszystko, zdaniem Sam, było doprawdy bardzo zabawne.

– Ale ty prawie w ogóle się nie odzywasz – zauwa yła nagle, gdy kelner zabrał ostatnie talerze i postawił przed nimi dwie fili anki mocnej meksykańskiej kawy, z grubą na palec warstwą bitej śmietany. A do tej chwili te jej drobne eksperymenty z nowo odkrywanymi sposobami przyciągania męskiej uwagi absorbowały ją na tyle, e milczenia Trace’a po prostu nie dostrzegła.

Siedział odchyłony na oparcie krzesła i ponad płonącymi świecznikami przyglądał się jej twarzy, na którą migotliwe światło świec rzucało łagodne cienie.

– Czy nie wydaje ci się, e trochę jednak przesadzasz? – zapytał

zgryźliwie.

– Słucham? – Sam zrobiła minę lekko zaskoczonej damy w najlepszym salonowym stylu. Prawdę mówiąc, uwa ała, e zupełnie dobrze gra tę rolę.

Trace jednak nie był tego zdania.

– Zastanów się tylko, co zrobiłaś – powiedział. – To dosyć du a sala, a niemal ka dy z siedzących tu mę czyn jest przekonany, e chcesz z nim flirtować. Z kelnera zrobiłaś zupełnego idiotę. Nawet ten starszy pan o całkiem siwych skroniach – spojrzał w stronę stolika ustawionego pod ścianą – od dwudziestu minut gapi się na ciebie wręcz nieprzyzwoicie.

Sam nie potrafiła się powstrzymać i, miast okazać skruchę, uśmiechnęła się z nieukrywaną satysfakcją.

– Naprawdę tak myślisz? – spytała. – No więc powiem ci, e mnie to bardzo cieszy. Nawet nie wiesz jak bardzo. Nie przypuszczałam, e to wszystko mo e być tak zabawne.

Trace popatrzył na nią i pokręcił głową.

– Zdaję sobie sprawę, e bycie kobietą jest dla ciebie czymś nowym i e z całą pewnością odkrywasz w tym niezwykle interesujące rzeczy. To zupełnie naturalne. Chciałbym ci wszelako przypomnieć, e młode kobiety podczas miodowego miesiąca raczej nie rzucają się na ka dego napotkanego mę czynę jak drapie niki na łatwą zdobycz. Jeśli więc mam w miarę dobrze grać rolę twego świe o poślubionego mał onka, mo e przestałabyś przynajmniej eksponować w ten sposób dekolt i tak uwodzicielsko trzepotać tymi cholernymi rzesami!

– Co takiego?! – Sam wyraźnie się zaczerwieniła. – Wcale i tego nie robię.

– Dobrze wiesz, e robisz. A w dodatku robisz to celowo. – Trace podniósł się, obszedł stół i odsunął krzesło, pomagając jej wstać. Poprawiając szal, który obsunął się zbyt nisko, na moment dotknął palcami jej karku.

I natychmiast wzdłu kręgosłupa Sam przebiegł parali ujący dreszcz. Na chwilę zabrakło jej oddechu, a nogi znów zrobiły się zupełnie miękkie.

Pozbierała się jednak, ujęła go pod ramię i natychmiast poczuła, jak bardzo jest usztywniony i spięty.

Ona zresztą te straciła dotychczasowy luz, mając poczucie, e stała się obiektem niezasłu onej i krzywdzącej krytyki. Milcząca, pozwoliła się wyprowadzić z restauracji i szła obok niego, nie patrząc ju w ogóle na nikogo.

Upał po zmroku wyraźnie zel ał, na oświetlonych latarniami ulicach było mnóstwo ludzi. Z otwartych drzwi kafejek i barów dobiegały dźwięki muzyki.

Pary młodych ludzi kryły się w cieniu pod drzewami na obrze u placu.

– Czy ty koniecznie musisz tak cholernie promiennie uśmiechać się do ka dego mę czyny, który na ciebie spojrzy? – zaczął znów Trace, kiedy ju skręcili w uliczkę prowadzącą do hotelu. – Albo pokazywać mu odsłoniętą kostkę i kawałek łydki?!

– Niczego takiego nie robiłam!

– Jako mę czyzna zachowywałaś się w miarę skromnie i przyzwoicie –

kontynuował gniewnie. – A jako kobieta zrobiłaś się nagle wręcz bezwstydna!

– No wiesz!

Najgorsze było to, e Trace szedł coraz szybciej, a ona ze względu na suknię musiała drobić malutkimi kroczkami, uwieszona u jego ramienia. Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy w yciu nie szła z mę czyzną pod rękę i nie czuła go przy sobie tak blisko. W dodatku od czasu do czasu niechęący stykali się biodrami, a wtedy przez jej ciało przepływał nagły prąd, krótkotrwały i gwałtowny jak wyładowanie atmosferyczne podczas burzy. Byli tak blisko siebie, e charakterystyczny dla niego lekki zapach wawrzynu i cygar mieszał

się z zapachem wody ró anej, którą jej kupił w prezencie. Z ka dą chwilą coraz ostrzej czuła fizyczną obecność Trace’a, jego mocne męskie ciało, którego widoku podczas kąpieli w górskim strumieniu nigdy nie zapomniała.

A tymczasem on wciąż ją ganił.

– Nalegam więc, ebyś następnym razem, kiedy znów poka emy się publicznie, wkładała sukienkę z przyzwoitszym, du o mniejszym dekoltem!

Sam w końcu nie wytrzymała.

– Ani myślę! – oświadczyła stanowczo. – Mam dosyć tego ciągłego strofowania. Będę się ubierała tak, jak mi się podoba! I nikt mi nie będzie mówił, co mam robić!

Dawna Sam bardzo zdecydowanie odrzucała wszelką mo liwość, by ktokolwiek jej rozkazywał. Okazywało się jednak, e i ta nowa Sam wcale nie ma na to ochoty.

Po chwili potknęła się lekko i wówczas ręka usiłującego ją podtrzymać Trace’a mimowolnie dotknęła jej piersi. To było niemal jak dotknięcie ywego płomienia, ale Sam nagle zdała sobie sprawę, e wcale nie miała ochoty się cofnąć i e powrót do równowagi i do normalnego spaceru pod rękę przyjęła w gruncie rzeczy z wyraźnym alem. Spojrzała na swojego towarzysza i w jego oczach dostrzegła to samo.

I nagle bardzo jasno zrozumiała nie tylko to, co stało się w tym momencie, ale i w ogóle wszystko, co działo się z nimi na przestrzeni ostatnich tygodni. Jako kobieta i mę czyzna rozpoznali się wzajemnie z pewnością ju du o wcześniej, ale świadomość rodzącego się między nimi emocjonalnego napięcia narastała bardzo powoli i właściwie dopiero niedawna decyzja, dotycząca całkowitej zmiany wyglądu, zmieniła wszystko równie i między nimi, i to w sposób zupełnie zasadniczy. Mo na by powiedzieć, e to właśnie tajemnica kobiecości, magia tych wszystkich koronek, gorsetów i jedwabnych pończoch uwiodła Sam i skłoniła ją do śmiałych eksperymentów, I które ostatecznie dały jej pełną ju świadomość własnej płci. I A Trace, chcąc nie chcąc, był istotnym elementem tych eksperymentów. Przemiana, która nastąpiła w Sam – i to zarówno w jej świadomości, jak i w podświadomości – musiała niewątpliwie obchodzić tak e i jego. Dzięki temu, co się z nią stało,

oboje teraz znacznie lepiej rozumieli tak podobieństwa, jak i różnice między mężczyzną i kobietą. I uświadamiali je sobie znacznie ostrzej.

Rezultat był taki, że wreszcie zdali sobie sprawę, kim są. Tego wieczoru Sam była już w pełnym rozkwicie kobiecości, świadoma zarówno słabości, jak i siły, świadoma tajemnicy i magii własnej płci. A idący tu obok Trace mógłby być wręcz modelowym przykładem mężczyzny – silny i męski, instynktownie opiekuńczy i instynktownie zawłaszczający... i zazdrosny. Napięcie między nimi narastało, bo musiało narastać – bo było czymś najbardziej pierwotnym i przez to nieuniknionym. Jak piorun bijący z nieba, jak strumień spływający z gór...

Sam zwolniła i zatrzymała się przed wejściem do hotelu. Popatrzyła na Trace'a i nagle bardzo jasno zrozumiała całe swoje dotychczasowe postępowanie. To był dla niej szok – ale jednocześnie odkrycie oczywistej prawdy.

Całe to uwodzicielskie zachowanie, o które oskarżyła ją Trace, te kuszące uśmiechy, zalotne spojrzenia, prowokacyjne odsłanianie biustu i zgrabnej kostki w jedwabnej pończoszce – wszystko to bynajmniej mu się nie przywidziało.

Rzeczywiście tak właśnie się zachowywała i tu mógłby mieć pełną rację, gdyby nie jedna istotna okoliczność, z której ona sama zdała sobie sprawę dopiero w tej chwili. I właśnie dlatego było to dla niej takim szokiem.

Ona to wszystko robiła dla niego – dla Trace'a. Robiła to tylko po to, żeby to dostrzegł – i było jej kompletnie obojętne, czy widzi to również ktoś inny. Bo wszyscy inni mężczyźni po prostu dla niej nie istnieli.

Chciała jego.

Przyglądała mu się, patrzyła w te jego niebezpieczne, tygrysie oczy i czuła, że jej ciało zaczyna dręczyć po oddaniu. Nagle zapragnęła poczuć jego dłoń na swej nagiej skórze, chciała całować te zmysłowe usta, chciała mu się oddać –

całkowicie i bez reszty. Pragnęła, żeby wziął ją w ramiona, zupełnie naga, żeby położył się przy niej i na niej, popychany gwałtowną arogancją, żeby wszedł swą męskością między jej rozchylone uda, podczas gdy ona przyciągałaby go do siebie za te wspaniałe umięśnione pośladki. Chciała być z nim już teraz, natychmiast. Czekala na to długo. Zbyt długo.

– O Boże drogi! – szepnęła, osuwając się nagle w jego ramiona tak, jak gdyby się potknęła, choć to nogi po prostu odmówiły posłuszeństwa. Wciąż patrzyła na jego zmysłowe wargi, marząc o tym, żeby pochylił się i ją pocałował.

Ale on tylko chwycił ją w ramiona i pomógł jej odzyskać równowagę.

– Musisz uważać, tu są wyboje..

Potem nagle zauważył jej pobladłą twarz, rozchylone usta i gwałtownie przyspieszony oddech. Cała irytacja przeszła mu w jednej chwili. Popatrzył w jej szeroko otwarte oczy, które zdawały się go o

coś błagać.

– Nie patrz na mnie w ten sposób, Sam – powiedział takim tonem, jak gdyby ją ostrzegał. – Nie próbuj na mnie swych kobiecych sztuczek. Bo przysięgam, na Boga, e kiedy tak na mnie patrzysz, to ja... – Nie dokończył i z widocznym wysiłkiem próbował się opanować.

– Och, Trace – szepnęła bezradnie. – To nie są adne sztuczki. Prawda jest taka, e bardzo cię pragnę. Pragnęłam cię ju od dawna, ale teraz... ju nie potrafię tego ukryć.

Osunęła się w jego ramiona, przytulając się do niego całym ciałem i mimo woli wyczuwając jego gwałtowną erekcję. Nie odsunęła się jednak, ale przywarła do niego jeszcze mocniej. Był taki męski, taki mocny...

Trace jęknął głucho, chwycił ją za rękę i ścisnął gwałtownie.

– Sam, czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz? – Jego zduszony głos wydał się jej pełen bólu.

Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich bolesna rozterkę, ale i narastające po ądanie.

– Nie dra nij się ze mną, proszę. – W jego ochrypłym głosie było błaganie. – Ju i tak jestem bliski szaleństwa. – Przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej, tak e teraz zupełnie wyraźnie wyczuwała jego twarde, napięty członek. – Igrasz z ogniem, Sam.

– Ja... ja nie mogę zapomnieć tej chwili, kiedy mnie całowałeś – szepnęła.

– Cały czas o tym myślę... i chcę, ebyś to zrobił jeszcze raz.

Trace popatrzył jej w oczy.

– Nie odwa ę się pocałować ciebie jeszcze raz. Bo je eli to zrobię, to nie będę mógł się ju pohamować. I dlatego przestań się do mnie przytulać, w przeciwnym razie mogę zacząć wierzyć, e to, co robisz... – Znów urwał w połowie zdania.

– Ja ciebie po prostu pragnę – przyznała się otwarcie. Zawsze dotąd mówiła wszystko otwarcie – jak mę czyzna.

Przywykła mówić to, co myśli, i teraz właśnie to robiła. Tu, na opustoszałej ulicy, w tym dyszącym arem, upalnym Santa Fe, mówiła stojącemu przy niej mę czyźnie, e go pragnie.

– Chcę, ebyś mnie wziął do łó ka. Wiem ju , e potrafię wyglądać jak kobieta. Teraz chcę się nią poczuć... – Spojrzała na niego i nagle ukryła twarz w dłoniach. – Och, Trace, ja po prostu cała płonę. Twój wzrok mnie pali, wystarczy, e powiesz słowo, a ju jestem tak gorąca jak roz arzony węgielek.

Nie wiem, czy coś jest ze mną nie w porządku i dlaczego czuję się tak, jak gdyby ten ar we mnie miał za chwilę buchnąć płomieniem... Czuję to tam, w środku... I choć na pewno bardzo się tego boję, to jednak jeszcze bardziej chcę się wreszcie dowiedzieć, jak to jest. Chcę być kobietą do końca. I chcę, ebyś to ty uczynił ze mnie tę pełną kobietę. Nie ka mi ju dłu ej czekać, bo naprawdę oszaleję!

Oboje nagle zapomnieli, gdzie są. Stali nieruchomo i patrzyli sobie w oczy. Nie widzieli nic dookoła, nie dostrzegali poirytowanych spojrzeń wymijających ich przechodniów, nie słyszeli hurgotu przejeżdżającego ulicą ciężkiego wozu. Zatracili się w sobie bez reszty.

Trace nagle chwycił ją na rękę, lekko jak piórko, i trzymając ją przed sobą, szybkim i pewnym krokiem wniósł do hotelu. Gapili się na nich wszyscy, poczynając od służy i licznych gości, wychodzących właśnie z hotelowej restauracji. Recepcjonista nawet wybiegł zza swojej lady i zapytał z troską:

– Panie Marshall, czy pańska mała siostra nie potrzebuje pomocy medycznej? Może emy zaraz wezwać lekarza.

Trace pokręcił głową.

– Proszę nas przepuścić!

Zawstydzona Sam objęła go za szyję i ukryła twarz, tuląc się do jego szerokiej piersi, a Trace bez chwili zatrzymania przeniósł ją przez główny hol i po schodach na piętro, a do pokoju 202. Wniósł ją do środka i ostro nie postawił na podłodze. Przez chwilę oboje stali zupełnie nieruchomo, usiłując w nocnym półmroku dostrzec swoje twarze, oczy... i odczytać w nich potwierdzenie, że to wszystko im się nie przyśniło, że to się dzieje naprawdę.

Potem Trace rzucił kapelusz na stojący pod ścianą fotel, to samo zrobił z kapelusikiem Sam. Gdy jej szal upadł na podłogę, nie podnosiła go, ale uniosła ramiona i zarzuciła je na szyję Trace'a. Znowu przylgnęła do niego całym ciałem, a on objął ją w pół i przyciągnął do siebie jeszcze mocniej. A gdy przechylił się i pocałował ją w usta, znowu ugięły się pod nią nogi, ale tym razem nie musiała się obawiać, że upadnie.

W tym pocałunku nie było już nawet śladu jakiegokolwiek wahania czy niepewności. To był mocny i zaborczy pocałunek mężczyzny, który długo, może nawet za długo, opierał się woli ciała, instynktu i gorącej krwi, by ostatecznie ulec tej sile, najbardziej pierwotnej i przez to najpotężniejszej. Pożądanie łamało wszystkie bariery i tego tego oczekiwała od niego Sam, w której szalała podobna, jeśli nie jeszcze potężniejsza burza. Decyzja o tym, by doświadczyć kobiecości w całej jej pełni, już ostatecznie zapadła. Przestała się wahać, mogła się oddać całkowicie i bez reszty, mogła mu dać siebie, już bez oporów, fałszywej skromności i nazbyt zawitych rozmyślań.

Odwzajemniła pocałunek z równą mocą i namiętnością. Wpijała się w gorące wargi Trace'a z taką samą zachłannością, z jaką wciąż wtulała się w jego potężne ramiona, szerokie piersi i uda. Chciała się w nim roztopić, wypełnić nim siebie i stać się nim. Gdy poczuła w ustach jego język, jęknęła cicho, przez jej ciało przebiegł słodki dreszcz. Zakręciło jej się w głowie i niewiele brakowało, by po raz pierwszy w życiu naprawdę zemdląca.

Popychani rosnącym pożądaniami i półprzytomni z emocji, znaleźli się w sypialni – sami nie wiedząc kiedy. W ciemności całowali się i jednocześnie pośpiesznie zrywali z siebie ubranie. Tylko rozproszone światło gwiazd oświetlało ich nagość, gdy, spleceni ze sobą w jedno rozpalone wspólną namiętnością ciało, kładli się do wielkiego łóżka z baldachimem.

Niedoświadczona Sam spodziewała się,

e Trace wejdzie w nią

natychmiast, mocno i głęboko, i w ten sposób zaspokoi zarówno własną męską ądzę, jak i jej kobiece po ądanie, palące i wręcz roz arzające wnętrzości. Ale najpierw rozgniół jej wargi gorącymi pocałunkami, a potem zaczął ją pieścić, na zmianę dotykając i całując ją w takie miejsca, których nikt dotąd nie tknął.

To podniecało ją tak bardzo, e jej oddech stawał się coraz krótszy, bardziej urywany, pełen westchnień, jęków nagłej rozkoszy i zduszonych szlochów. Sam zwijała się w jego ramionach, palona wewnętrznym arem. Czuła wyraźnie, jak jej podbrzusze robi się wilgotne i coraz bardziej gorące.

– Proszę cię, Trace – szeptała półprzytomnie, z głową odrzuconą do tyłu, bezwiednie wpijając paznokcie w jego ramiona. – Proszę!

– Jesteś tego pewna, Sam? – Jego głos był ochrypy, zmieniony prawie nie do poznania.

Nie miała dość siły, by się roześmiać. Równie dobrze mógłby ją zapytać, czy w ogóle chce yć. Była absolutnie pewna, e gdyby ją teraz zostawił, po prostu umarłaby – spalona namiętnością, którą w niej rozbudził.

– Proszę cię! – powtórzyła, oblizując spierzchnięte wargi. Potem jęknęła, gdy znów zaczął ją całować, w piersi, brzuch i podbrzusze...

Gdy w końcu wsparł się na łokciach, uniósł się nad nią i delikatnie rozsunął jej uda, chwyciła go za ramiona i mocno przyciągnęła do siebie. Trace ręką wprowadził czubek napiętego członka w wilgotną szczelinę poni ej wzgórką łonowego. Spojrzał Sam w oczy i wszedł w nią od razu bardzo mocno i głęboko. Krzyknęła króciutko, zamarła na chwilę, a potem odruchowo rozwarła szerzej nogi, wygięła się w łuk i wypchnęła biodra do góry, aby przyjąć go w siebie najgłębiej i najpełniej. Wielki i twardy męski członek zdawał się jeszcze w niej rosnać, wypełniając bez reszty jej gorące wnętrze. Potem powoli i delikatnie zaczął się poruszać, wywołując dziwne sensacje, rozkoszne skurcze i dreszcze. Wszystko to było dla niej zupełną nowością; co chwila przez jej ciało przepływał jakiś nagły prąd i zmuszał ją do tego, by wciągać go w siebie jeszcze mocniej i jeszcze głębiej.

Uszczęśliwiało ją to, e ich ciała niemal od razu odnalazły wspólny rytm, a zgodność ruchów była wręcz zadziwiająca – niczym przy wykonywaniu jakiegoś utworu muzycznego, bezbłędnie zagranego a vista. To było tak, jak gdyby oboje mieli w głowie tę samą, doskonale zinstrumentowaną partyturę.

Idealnie wyczuwali ka de tempo, razem przyspieszali do crescenda, wspólnie zdobywali kolejne szczyty emocji i dreszczu – a w końcu dotarli do finale.

Oddech Sam stal się krótki i urywany, z trudem łapała powietrze i czuła się tak, jakby jej ciało nie było ju w stanie pomieścić tych wszystkich cudownych odczuć, niekończących się fal rozkoszy i zaspokojenia. Zdą yła jeszcze spojrzeć w oczy Trace'a, poczuła na ustach jego kolejny pocałunek i

wolno zapadła w jakąś bezbrzeżną ciemność. Przez jej wilgotne wnętrze przepływały powolne, rozkoszne skurcze, całym ciałem wstrząsnął dreszcz, potem jeszcze i jeszcze jeden, a w końcu jej głowa opadła na poduszkę całkowicie bezwładnie. Miała nieodpartą wrażliwość, a jej całkowicie pozbawione kości ciało rozpląta się leniwie, zamieniając się w coraz bardziej miękką i nieprawdopodobnie słodką melasę.

Przez cały czas bezwiednie wpijała paznokcie w plecy Trace'a, który nadal raz po raz zanurzał się w niej a po gardę, wpatrując się w jej zamglone oczy. Sama poczuła, jak jego mięśnie nagle tępeją i wstrząsa nim gwałtowny, konwulsyjny dreszcz. Poczuła w sobie wytrysk gorącego nasienia. W końcu całym ciałem opadł na nią bezwładnie, na moment przygniatając ją swym ciężarem. Tak i on teraz z trudem łapał powietrze.

Ku swemu zaskoczeniu Sama zdała sobie sprawę, że czuje się cudownie, przygnieciona jego wilgotnym od potu ciałem, nagle niemal bezwolnym i wyczerpanym miłosnym wysiłkiem. Chciała, by pozostawał w niej jak najdłużej. Westchnęła z leciutkim śmiechem, gdy w końcu znów uniósł się nad nią na łokciach, wyszedł z niej powoli i ostro nie i osunął się na pościel tu obok.

Potem przekręcił głowę na poduszce tak, by móc patrzeć jej w oczy.

– Czy... – Zawahał się na moment. – Czy sprawiłem ci ból?

– Ból? – Przez chwilę patrzyła na niego z zaskoczeniem. Rzeczywiście, na samym początku poczuła ostry ból, ale dawno zdała sobie sprawę z niego i o nim zapomnieć, bo trwał zbyt krótko i już po chwili przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Fale kolejnych rozkosznych doznań przykryły go bez reszty. – Nie – odparła, patrząc mu w oczy. – Nie sprawiłeś mi bólu. Wszystko, co zrobiłeś, było dla mnie cudownie. – Okryła się prześcieradłem, by osłonić przed chłodnym nocnym powietrzem swą wciąż wilgotną od potu skórę. – Powiedz mi coś – szepnęła, nie potrafiąc oderwać od niego oczu. – Czy jest tak zawsze, między mężczyzną a kobietą?

Trace obrócił się na bok w taki sposób, by patrzeć jej prosto w twarz, i jakby bezwiednie położył dłoń na jej smukłej talii.

– Tak, to znaczy jak? Co przez to rozumiesz?

– Nie wiem, z czym mam to porównać. Bo to w jakiś sposób przypominało mi to, co czujesz, kiedy, na przykład, gonisz jakiegoś zbrojnego przez setki mil i w końcu go dopadasz. – Czubkiem palca pogłaskała go po nosie i wargach. – Gdy wreszcie już masz go na celowniku, serce nagle zaczyna ci walić jak oszalałe, a ciało pokrywa się potem, ponieważ wciąż nie wiesz jeszcze, czy to się skończy dobrze, czy źle. A potem pociągasz za spust i wtedy nagle wewnątrz ciebie coś wybucha. Coś dziwnego i okrutnego, ale i wspaniałego... jak to szaleństwo sztucznych ogni na czwartego lipca. Wtedy nagle rośniesz, czujesz się większy, na tyle wielki, że ogarniasz sobą cały świat, a twoja myśl sięga gwiazd... I to właśnie czułam teraz, tylko jeszcze mocniej. Dużo, dużo mocniej. Czy to zawsze jest tak?

Trace roześmiał się i przyciągnął ją do siebie. Tak blisko, że już po chwili poczuła, i jego męskość znów się przemyła i napiera na wilgotną skórę jej brzucha.

Jęknęła cichutko i przytuliła się jeszcze mocniej. Trace pocałował ją, tym razem czule i delikatnie.

– Nie – odpowiedział dopiero po chwili. – Seks nie zawsze jest cudowny.

Czasami bywa byle jaki... albo nawet odra ający...

Zamilkł i zamyślił się na chwilę. Sam tak e milczała, mając poczucie, e gdzieś tam nad nim przelatują jakieś upiory przeszłości. Ale trwało to tylko przez moment.

Potrząsnął głową, uśmiechnął się i rzekł:

– Ale z pewnością seks bywa te cudowny, tak jak choćby przed chwilą.

A mo e być i jeszcze lepszy...

Uniosła brwi i popatrzyła na niego jawnie zaskoczona.

– Lepszy?

To, czego przed chwilą doświadczyła, daleko przekraczało jej najśmielsze oczekiwania. W jaki sposób mogłoby to być jeszcze lepsze? Nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

– Odrzuć z siebie to prześcieradło, a ja spróbuję ci to udowodnić –

szepnął i znów pocałował ją w usta. Nie musiał ju rozchyłać, jej nóg. Zrobiła to odruchowo.

Kochali się teraz wolniej, du o wolniej i dłu ej. Sam jeszcze raz prze yła to wszystko, czego zaznała za pierwszym razem, i – choć to się początkowo wydawało niemo liwe – jeszcze du o, du o więcej. Odkrywała w sobie wciąż nowe doznania, wstrząs następował za wstrząsem, a ka dy z nich cudowny i coraz bardziej obezwładniający, coraz bli szy ostatecznego, bezgranicznego zaspokojenia. Wreszcie wybuchli w długim wspólnym orgazmie, złączeni w jedno. Wtedy Trace wypuścił ją z objęć i pozwolił jej miękko zapaść w głęboki błogosławiony sen.

Gdy Sam obudziła się na krótko przed świtem, odruchowo zamrugała raz i drugi, zaskoczona widokiem wciśniętej w sąsiednią poduszkę męskiej głowy z mocno zmierzwionymi włosami. Dopiero po chwili oprzytomniała na tyle, e uświadomiła sobie całą sytuację. Przetarła oczy i podniosła się ostro nie, eby nie obudzić Trace'a. Na podłodze znalazła rzuconą tam przez niego męską koszulę, którą pośpiesznie narzuciła na siebie, eby okryć swą skandaliczną nagość. Na palcach przeszła z sypialni do salonu i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Zwinęła się w kłębek w głębokim fotelu, który ustawiła na wprost okna tak, eby pierwsze promienie wschodzącego słońca padały wprost na nią, zmru yła oczy i oddała się niełatwym rozmyślaniom.

Co właściwie zrobiła? Co za rodzaj nagłego szaleństwa ogarnął ją tej nocy? Przycisnęła dłonie do skroni, usiłując jakoś uporządkować rozwichrzone myśli, kłębiące się w głowie niczym rzucone na wiatr confetti.

Z pewnego punktu widzenia to, co się stało, niewątpliwie mo na było uznać za prze ycie nie tylko nowe, ale i wręcz cudowne – po prostu wspaniałe.

Ale jeśli popatrzyło się na to szerzej, rzecz wyglądała zgoła inaczej. W takim ujęciu pójście do łó ka z mę czyną było spektakularną pora ką, całkowicie niweczącą dotychczasowy obraz osoby znanej jako Sam Kincade – obraz, który z takim trudem budowała przez całe lata.

Zamyśliła się i cicho westchnęła.

Wiele się w niej zmieniło, a w dodatku stało się to w dziwny i tajemniczy sposób. Jak gdyby były w niej naraz dwie osoby, z których jedna gotowa była zaakceptować to, co stanowczo odrzucała druga.

Jakaś część jej osobowości wciąż pozostawała tą przera oną jedenastoletnią dziewczynką w chłopięcym kombinezonie, która kiedyś musiała patrzeć, jak bezlitosny bandyta gwałci jej matkę. To dramatyczne prze ycie niewątpliwie musiało pozostawić głęboki uraz. Miniona noc mogła tu mieć istotne działanie terapeutyczne, choćby przez to, e dowodnie pokazała, i seks nie musi być ani brutalny, ani pozbawiony cieplejszych uczuć. I to niewątpliwie było dobre.

Natomiast ta druga część jej osobowości zdecydowanie potępiała słabość, z jaką Sam poddała się temu zaskakująco potę nemu popędowi, z którego istnienia dotychczas nie zdawała sobie sprawy.

Przez całe lata uwa ała się za osobę wolną od namiętności i fizycznych ąd, w znacznym stopniu determinujących postępowanie tych prostackich i nieokrzesanych mę czyn, z którymi stykała się na co dzień jako łowca nagród.

Poniewa ze zrozumiałych względów nie mogłaby zaspokajać takich popędów i zresztą nie miała ochoty tego robić, po prostu usunęła wszelkie seksualne potrzeby ze swego świadomego myślenia. Nie zdawała sobie jednak sprawy, e to wszystko odkłada się w podświadomości i gromadzi, niczym materiał

wybuchowy, czekając tylko na iskrę.

Mimo wszystko odkrycie w sobie seksualności było dla niej prze yciem elektryzującym i radosnym. Dotąd nawet sobie nie wyobra ała, e takie doznania w ogóle istnieją, i po prostu nie wierzyła, e w kobiecości mo e być coś przyjemnego. A jednak okazało się, e mo e i było. Jeszcze jak było!

I znów westchnęła, targana sprzecznymi uczuciami. Kim więc była tak naprawdę? Jak miała się dopasować do świata, który najwyraźniej chwiał się w posadach? Spoglądała przez okno na rysujące się w oddali wzgórza i zastanawiała się, jaka mo e czekać ją przyszłość.

Wraz z Trace'em przyjechała tu po to, eby szukać Hannibala Cotwella. I choć dotąd nie zdołali go odnaleźć, Sam wiedziała, e to się w końcu uda.

Zawodowy instynkt mówił jej, e ostateczna konfrontacja jest ju blisko i e potrzeba sprawiedliwej zemsty za potworne zbrodnie; ta potrzeba odwetu, która przez tyle lat była najwa niejszą sprawą w jej yciu, zostanie wreszcie zaspokojona.

I co wtedy? Czy potrafi na stałe powrócić do kobiecego sposobu ubierania się i ostatecznie pogodzi się z tymi wszystkimi spódnicami, halkami i cienkimi pończochami? Potrafi odrzucić nawyki ostatnich pięciu lat i spróbuje stać się kobietą – taką, jaką mogłaby być, gdyby jej losy potoczyły się inaczej? Nie była pewna, czy to w ogóle jest jeszcze możliwe. Bardziej prawdopodobny wydaje się powrót do starych przyzwyczajęń i do wypróbowanej już roli samotnego niby chłopca – stworzenia nieokreślonej płci, w kapeluszu i w kowbojskich spodniach, z rewolwerem u pasa, wędrującego po najbardziej odludnych ścieżkach Zachodu w wiecznym poszukiwaniu przyszłości... i sensu, który wciąż był gdzieś za horyzontem. Nerwowo przeczesła palcami zwichrzone włosy i potrząsnęła głową, poirytowana jawnym mętlikiem, który zapanował w jej myśleniu. Kim w końcu była Sam Kincaid? Jeszcze wczoraj była przekonana, że zna odpowiedź na to pytanie. Dzisiaj już nie wiedziała nic.

– Bijesz się z myślami? – usłyszała za sobą cichy głos. – I ałujesz tego, co się stało?

Obróciła się gwałtownie i zobaczyła siedzącego w głębokim fotelu Trace’a. Był w samych tylko spodniach, najwyraźniej włożonych wprost na gołe ciało. Z jakiegoś powodu drażyły ją jego wystające z nogawek białe stopy.

Wydawały się bardziej nagie, niż cokolwiek innego... i wręcz nieprzyzwoite. To niedorzeczne, pomyślała i poczuła, że się czerwieni. Pośpiesznie obróciła się więc z powrotem w stronę okna i wschodzącego za nim słońca.

– Niczego nie ałuję – odparła dopiero po chwili, ciesząc się, że Trace nie widzi jej twarzy. Przygryzła wargi i zastanawiała się przez chwilę. – Tak, na pewno niczego nie ałuję. Ale chyba nie przewidywałam, że to może mnie zmienić.

– Zmienić w jakim sensie?

Nie mogła rozmawiać odwrócona do niego plecami, przekręciła się więc ponownie i usiadła na fotelu w kucki, obciągając poły koszuli tak, aby okrywały kolana i sięgały bosych stóp.

– Tego właśnie do końca nie wiem – odpowiedziała z namysłem. – I wciąż jeszcze się nad tym zastanawiam. O tym, co zrobiliśmy, myślę i dobrze, i źle. Z pewnością cieszy mnie to, ale też i martwi. To znaczy tylko tyle, że po prostu jestem w rozterce. Ale na pewno czuję się inna.

– Bardziej kobieca? – zapytał cicho. Wstające za oknem słońce świeciło już tak i na niego, rozświetlając bursztynowe oczy i zapalając miedziane iskierki na lekko rozwichrzonych włosach.

Sam westchnęła.

– Nie wiem, Trace – przyznała bardzo szczerze. – Czuję się taka pogubiona, że nie mam pojęcia, kim jestem. I nie wiem nawet, kim chcę być.

Mam wrażenie, że znalazłam się na rozdrożu i nie wiem, dokąd pójść.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, nie mówiąc ani słowa. Ta chwila przedłużała się niebezpiecznie.

– A ty, Trace? – spytała Sam. – Co zamierzasz zrobić, kiedy ju skończymy z Hannibalem? Chcesz wrócić do Kansas City?

Potrząsnął głową.

– Do Kansas na pewno nie wrócę. Mo e pojadę do San Francisco.

– I o enisz się jeszcze raz? – zapytała i natychmiast ugryzła się w język, nagle przera ona tym, e mógł to zrozumieć zupełnie opacznie. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię, co jednak nie zmieniało faktu, e była bardzo ciekawa jego odpowiedzi.

Trace podszedł do jej fotela, przysiadł na wyściełanej poręczy i usiłował

wziąć ją za rękę, ale cofnęła ją pośpiesznie, zbyt zakłopotana, eby mu spojrzeć w oczy.

– Posłuchaj mnie, Sam. – Ujął jej mocno zarumienioną twarz w obie dłonie i delikatnie przekręcił ją tak, by ich spojrzenia się spotkały. – Nie chcę cię wprowadzać w błąd, więc powiem po prostu, jak jest. To, co się stało tej nocy, było cudowne, to po pierwsze. Po drugie, naprawdę bardzo cię lubię.

Nawet więcej ni bardzo. Ale nie zamierzam enić się po raz drugi.

– Dlaczego? – szepnęła Sam, znów zbyt szybko i bez zastanowienia.

Emocjonalne napięcie sprawiało, e nie panowała nad sobą; kolejny raz mówiła to, czego wcale nie chciała powiedzieć. Trzeba się było wreszcie wziąć w garść, bo taka rozmowa mogła prowadzić tylko do głębokiego upokorzenia.

Trace jednak nie miał zamiaru jej upokarzać i odpowiedział bardzo powa nie.

– Nie chcę się ponownie enić choćby dlatego, e jako mąż okazałem się po prostu do niczego. Etta została zgwałcona, bo nie potrafiłem jej ochronić, bo nie było mnie przy niej wtedy, kiedy byłem najbardziej potrzebny. I to ja, a nie kto inny, jestem odpowiedzialny za to, e Hannibal w ogóle mógł się pojawić w naszym domu. Tylko ja jestem wszystkiemu winien!

– Nie mo esz być odpowiedzialny za to, e wyjechałeś w interesach! –

przerwała mu Sam. Znów reagowała emocjonalnie, anga ując się bardziej, ni zamierzała. – Takie obwinianie siebie jest po prostu niedorzeczne. A co do tego, e nie potrafiłeś jej ochronić, to powiem ci tylko tyle, e na to te mo na patrzeć bardzo ró nie. Ja, na przykład, wcale nie chcę, eby mę czyzna mnie bronił. W

razie czego umiałabym się obronić sama, w końcu wiesz najlepiej, jak potrafię strzelać... – Zaplątała się w swych wywodach i znów zaczerwieniła się po uszy.

Nie była w stanie zrozumieć, co się z nią dzieje. Przecie to ju prawie wyglądało tak, jak gdyby go błagała, eby ją zabrał ze sobą do San Francisco!

On jednak chyba tego tak nie rozumiał. Lekko zacisnął wargi i rzekł

tylko:

– No có , cieszy mnie, e nie potrzebujesz ani mnie, ani adnego innego mę czyzny.

– Na pewno nie po to, eby mnie bronił – oświadczyła stanowczo. – Ale mogę potrzebować mę czyzny do czegoś innego.

Trace milczał przez chwilę, a potem poło ył dłoń na jej ramieniu.

– A ja chcę, ebyś przede wszystkim wiedziała, e w aden sposób nie zamierzam wykorzystywać sytuacji. To, co stało się dzisiejszej nocy, nie powtórzy się, je eli tego nie zechcesz. Gdybyś jednak zechciała, to musisz wiedzieć, e nie oferuję ci mał ęństwa. Wystarczy, e jedna kobieta umarła dlatego, e ją zawiodłem. Ja po prostu nie chcę, eby to się zdarzyło jeszcze raz.

– Po prostu nie chcesz? – powtórzyła gniewnie Sam i strąciła jego dłoń ze swego ramienia. – No więc to się nie zdarzy, bądź spokojny! Ale ja ci powiem tylko tyle, e ten argument jest głupi! I ty sam, szanowny panie Harden, jesteś skończonym głupcem!

Trace nieco zeszywniał, spojrział na nią kątem oka, ale nie próbował jej przerywać.

– Pamiętasz, co się stało w tej górniczej chacie, w górach? Gdy wynajęty przez Edwina Snowa płatny zabójca ju się szykował, eby mnie zabić i oskalpować, i na pewno by to zrobił, gdyby nie ty. Uratowałeś mi ycie, ale to, według ciebie, się nie liczy, tak?!

Spojrział na nią i zmarszczył czoło. Sam podniosła się z fotela i zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem, ale ju po chwili znów zatrzymała się przed Trace'em.

– W twoim męskim umyśle to się, oczywiście, nie mogło liczyć, bo wtedy wyglądałam jak mę czyzna i myślałeś o mnie jak o mę czyźnie. A tu nagle niespodzianka, okazuje się, e obroniłeś kobietę! Obroniłeś, a zatem nie zawiodłeś! Więc mo e pomyśl o tym, do jasnej cholery! Gdyby nie ty, ju bym nie yła!

Obróciła się na pięcie i pobiegła do sypialni, zatraskując za sobą drzwi.

Prawdę mówiąc, po prostu uciekła. Rzuciła się na łó ko i zaczęła płakać.

Później, gdy emocje ju nieco opadły, otarła zaczerwienione oczy, przekręciła się na poduszce i długo le ała, patrząc w sufit.

Z prawdziwą przykrością musiała przyznać sama przed sobą, e od momentu poznania Trace'a coraz częściej zachowywała się jak kobieta, a – co gorsza – ta tendencja stawała się wyraźniejsza z ka dym kolejnym dniem.

Gdyby tak miało pójść dalej, to mo na się było spodziewać, e ju wkrótce zacznie robić awantury o to, e – na przykład – jej włosy po umyciu za bardzo lub za mało się kręą.

Zdegustowana Sam przekreśliła się z powrotem na brzuch i wtuliła twarz w poduszkę, w której wciąż pozostawał leciutki zapach. Zapach, który znów przypominał jej Hardena.

– ebym go nigdy nie spotkała! – mruknęła gniewnie.

To, oczywiście, była nieprawda. Wcale tego nie chciała. Trace Harden wdarł się w jej ycie jak cyklon, burząc dotychczasowy porządek, ale te przynosząc ze sobą powiew czegoś nowego, niespokojnego i podniecającego, kuszącego tajemnicą. Sam jednak obawiała się go, ponieważ nie znała zasad nowej gry i nie była pewna, do czego te zmiany mogą ją doprowadzić.

Najbardziej przerażała ją myśl, e w końcu mogłaby się w nim zakochać.

Albo – co gorsza – e to ju się stało.

Wychodzę – oznajmił Trace, stając przed lustrem, eby poprawić krawat i kapelusz.

Sam spojrzała nad niego sponad ksią ki, którą trzymała na kolanach, udając, e czyta.

– Dokąd? – spytała i były to pierwsze słowa, jakie ze sobą zamienili od czasu porannej scysji. adne z nich nie odezwało się ani podczas obiadu, ani jeszcze parę godzin po tym, a do późnego popołudnia.

– Mówiłem ci ju o mojej rozmowie z majorem Allerbeem. Wspomniał, e w lokalu o nazwie Toro Blanco jest kobieta o imieniu Marguerita, która być mo e wie, gdzie ukrywa się Hannibal Cotwell. Myślę, e nale ałoby to sprawdzić.

Uradowana otwierającą się przed nią perspektywą jakiejś aktywności, Sam z ulgą odłoyła ksią kę i podniosła się z fotela.

– Muszę poszukać moich rękawiczek i...

– Sam – przerwał jej Trace z nieco zakłopotaną miną. – Najwyraźniej nie wiesz, jakiego rodzaju lokalem jest Toro Blanco. To raczej nie jest miejsce dla wszystkich, bo, mówiąc otwarcie, to po prostu dom publiczny.

Sam lekcewa ąco machnęła ręką.

– No to co? – rzuciła beztrasko – Byłam ju kiedyś w domu publicznym.

– Naprawdę? – Trace popatrzył na nią z pewnym rozbawieniem. – Przy okazji chętnie bym posłuchał tej opowieści.

– Czekałam tam na mojego znajomego – wyjaśniła pośpiesznie Sam.

– Tak czy inaczej, nie mo esz tam ze mną iść. – Wymownym wzrokiem popatrzył na jej elegancki popołudniowy strój. – Występujesz teraz w innej roli, a to nie jest miejsce dla wytwornych dam.

Poirytowana Sam uderzyła pięścią w poręcz fotela.

– I jeszcze jeden przykład na to, że kobietom znów czegoś nie wolno. Od chwili, gdy włożyłam spódnicę, ciągle słyszę tylko to jedno – nie wolno, nie należy, nie powinno się, nie wypada!

– Mam rozumieć, że tak bardzo chcesz odwiedzić ten dom publiczny?

To rzeczowe pytanie trochę ją otrzeźwiło. Dom publiczny tak naprawdę w ogóle jej nie ciekawił i w gruncie rzeczy wcale nie czułaby się tam dobrze. Poza tym skoro Trace okazał pełne zaufanie, powierzając jej prowadzenie negocjacji z sędzią, to w rewanżu po prostu wypadało pozwolić mu na zbieranie informacji o Hannibalu w taki sposób, jaki uzna za stosowny – bez niepotrzebnej wlewności mu pod rękę.

– Dobrze, będę więc czekać tutaj – zgodziła się wspaniałomyślnie, choć nadal z dość kwaśną miną i jawnie bez entuzjazmu. – W końcu to jest właśnie to, co kobiety powinny robić, nieprawda? Czekać na męża czyż!

Po wyjściu Trace'a zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem, pogrążyła ona w rozmyślaniach. Od czasu do czasu mruczała coś pod nosem, jak gdyby usiłowała coś wyperswadować sama sobie. Zatrzymała się w pewnym momencie, gdy nagle uświadomiła sobie, że już od dłuższego czasu nie potyka się, chodząc na wysokich obcasach, i nie przydeptyje sobie rąbka sukni.

Najwyraźniej już się tego nauczyła. Bez żadnych problemów przypinała te perukę do dłuższych już własnych włosów i właściwie przestała dostrzegać jakąkolwiek niedogodność w noszeniu gorsetu.

Głęboko wstrząśnięta, osunęła się na krzesło i ze szczerym przerażeniem chwyciła się za głowę.

Dobry Boże! Stało się to, co jeszcze niedawno wydawało się nie do pomyślenia. Ona, Sam Kincade, stała się kobietą!

Naprawdę nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać.

Czy pani Marguerita?

Kobieta w czarnej koronkowej bluzce i silnie marszczonej meksykańskiej spódnicy obróciła się i Trace stanął twarzą w twarz z Mattie Able. Ponieważ przyściemniła sobie włosy i ubrała się w stylu meksykańskim, z koronkową mantylą spadającą z głowy na ramiona, nie był do końca pewny, czy to ona, i rozpoznał ją ostatecznie dopiero po jej pięknych ciemnych oczach.

Mattie lekko skinęła głową, poznając go od razu, mimo brody i wąsów.

– Prędzej czy później spodziewałam się ciebie, chłopcze – powiedziała, nie okazując zaskoczenia.

W lokalu nie było jeszcze klientów, główny salon – wystawnie umeblowany, z wiszącymi ponad pluszowymi kanapami ogromnymi portretami nagich piękności, oprawionymi w złote ramy – oczekiwał dopiero na pierwszych gości. Znużona indiańska dziewczyna z wachlarzem w dłoni rozmawiała od niechcenia ze swą kreolską koleżanką, uskarżając się na nieznośny upał.

Większość pracujących u Mattie dziewczyn jeszcze spała w pokojach na piętrze.

– Zapytam cię o to samo, o co ju pytałem, zanim nam przerwano –

powiedział Trace z dość bladym uśmiechem, w którym nie było nawet śladu wesołości. – Gdzie on jest, Mattie?

– Przejdźmy mo e do mojego biura na zapleczu – zasugerowała. – Jak ci się podoba mój lokal? – Z widoczną dumą zaprezentowała eleganckie wyposażenie reprezentacyjnego gabinetu, z najlepszymi meblami, jakie kiedykolwiek miała.

– Moje gratulacje. – Trace rzucił okiem na gobelinowe tkaniny obiciowe i ozdobne abakury z jedwabnymi frędzlami. – Wygląda na to, e interes naprawdę dobrze prosperuje.

Mattie usadowiła się za mahoniowym biurkiem, na którym miała rozłożoną imponująco wiele najróżniejszych papierów. Najwyraźniej lubiła swój image kobiety interesu.

– Trzeba by naprawdę bardzo się starać, eby nie odnieść sukcesu w tej branży – odpowiedziała z nieco przesadną skromnością. – Wciąż nowi klienci przybywają naszą sławną drogą handlową, Santa Fe Trail. Stąd i u nas coraz większy ruch i wpływy po prostu muszą rosnać.

Trace usiadł na jednym z krzeseł naprzeciwko biurka i założył nogę na nogę.

– Domyślam się, e widziałaś się z Hannibalem i powiedziałaś mu o śmierci Etty. No więc gdzie on jest, Mattie?

Spojrzała na niego i westchnęła głęboko.

– Chcesz go zabić, prawda?

Trace sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wydobyl z niej sakiewkę pełną złotych monet i położył ją na jej biurku. W jego oczach pojawił

się niebezpieczny błysk, tak bardzo przypominający ten, który Mattie widywała w oczach Hannibala.

– Gdzie on jest?!

Dłonie kobiety zaczęły drężyć, więc schowała je za biurkiem, zaplatając na podolku. Oddychała głęboko i patrzyła na Trace'a z nieukrywany niepokojem.

– Nie wiem, czy domyśliłeś się, e zapłaciłam Alfowi, portierowi z hotelu w Dogtown, eby przeczytał ten list, który zawsze nosiłeś przy sobie. Alf zajrzał

do niego, kiedy spałeś, i powiedział mi, co w nim było. Tak więc znam treść tego listu. Tylko e... – Spojrzała na niego z determinacją. – Tylko e to, co jest w tym liście, to całkowita nieprawda. Hannibal nie zgwałcił twojej ony.

Spojrzenie Trace'a nagle stało się lodowate.

– Nie mo esz nic o tym wiedzieć – powiedział sucho. Mattie pochyliła się ku niemu, a w jej ciemnych, pełnych bólu oczach było błaganie, eby zechciał

posłuchać i uwierzyć w to, co było prawdą i tylko prawdą.

– Wiem więcej, ni myślisz, chłopcze. Wiem, na przykład, e Hannibal kochał Etę. Od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył, gotów był całować ziemię, po której stąpała. A ona była wystarczająco sprytna i zła, eby mu wmówić, e i ona do niego coś czuje. To przez to ten przeklęty dureń nawet teraz wciąż jeszcze ją kocha! Ciebie te kocha i dlatego prze ywa katusze, bo wie, jak bardzo wobec ciebie zawinił. Ale zawinił tylko tym, e ją kochał, a nie tym, e ją zgwałcił, bo adnego gwałtu tam nie było! Po co miałby gwałcić kobietę, która sama mówiła mu, e kocha tylko jego?

Trace roześmiał się drwiąco, a w ka dym razie starał się, eby jego śmiech tak właśnie zabrzmiał.

– Mattie, przecie to po prostu śmieszne! Etta zawsze szydziła z Hannibala i bardzo go nie lubiła.

– W to akurat nie mam powodu wątpić. W końcu wysłała cię po to, ebyś go zabił. – Mattie patrzyła na niego uwa nie i przenikliwie. – Powiedziałabym więc raczej, e nienawdziła was obu...

– Nie przyszedłem tu dyskutować o mojej onie – uciął gniewnie Trace. –

Powiedz mi, gdzie mogę znaleźć Hannibala, i więcej ju mnie nie zobaczysz!

– On nigdy by jej nie tknął, gdyby sama nie weszła do jego łó ka –

upierała się Mattie. – To jest szczerza prawda, tak właśnie było!

– Kłamiesz, Mattie. – Trace powiedział to prawie spokojnie, ale jego twarz znów stę ała.

W oczach kobiety błysnęły łzy.

– Błagam cię, uwierz mi, e tak właśnie to się działo. To nie była wina Hannibala. To ona go do tego popchnęła, a potem nakłamała w liście tylko po to, ebyście się nawzajem pozabijali. To jej robota!

Trace podniósł się; jego oczy błyszcząły niebezpiecznie, a w głosie pobrzmiwała z trudem hamowana furia.

– Hannibal zdradziecko wykorzystał moje zaufanie, zgwałcił mi onę i przekreślił całe trzydzieści lat... – Urwał nagle i badawczo spojrzął na Mattie. –

Czy to on kazał ci opowiadać te kłamstwa?!

Pokręciła głową i nadal patrzyła mu prosto w oczy.

– Mówię nie to, co on mi kazał, tylko to, co sama wiem. Mówię, bo próbuję jakoś ocalić to, co Etta postarała się zniszczyć. To, co ona zrobiła, jest złe, bo nie ma nic gorszego, ni nastawianie brata przeciwko bratu! – Z

iskrzących się ałem i gniewem oczu spływały łzy, łóbiąc śłady w warstwie pudru i ró u. – Hannibal i tak nie po yje długo, dopadną go prędzej czy później i albo go powieszą, albo zastrzelą. Sam doskonale o tym wiesz. A ja tylko staram się ciebie przekonać, e to nie ty powinieneś do niego celować i pociągać za spust. Wina nie jest po twojej stronie, ale i nie po stronie twego brata.

Najbardziej zawiniła tu ta, która sama ju siebie ukarała, popełniając samobójstwo. I na tym niech się to skończy!

Nieprzytomny z wściekłości Trace zbli ył się do biurka i pochylił się ku niej z takim wyrazem twarzy, jak gdyby chciał ją chwycić za gardło.

– Nigdy nie uderzyłem kobiety, Mattie, ale przysięgam, e je eli mi nie powiesz, gdzie jest Hannibal... Je eli nie powiesz mi tego natychmiast, to...!

Mattie patrzyła na niego przez łzy, których nawet nie próbowała ocierać.

W jej oczach nie było ju adnej nadziei. Bezradnie spuściła głowę i ledwie słyszalnym głosem powiedziała:

– On wie, e go szukasz. I czeka na ciebie w miejscowości Nowhere w Arizonie.

Trace obrócił się i wyszedł bez słowa.

Mattie wciąż siedziała za biurkiem jak skamieniała i niewidzącym wzrokiem patrzyła gdzieś przed siebie. Dopiero po kilku minutach spojrziała na judaszową sakiewkę Trace'a i z całej siły rzuciła nią o ścianę. Potem w otępieniu przyglądała się, jak złote monety toczą się po nowym indiańskim dywanie. Podniosła się z fotela, czując się nagle rozpaczliwie stara, i poszła się wypłakać do swego prywatnego pokoju. Płakała, póki starczyło jej łez.

Później przebrała się w strój odpowiedni dla kobiety w ałobie, poniewa wiedziała, e dzielny i prawy mę czyzna wkrótce umrze. Prze egnąła się i zmówiła krótką modlitwę za Trace'a Hardena.

To cholerne Nowhere musi być bardzo bliskie piekła, a ju na pewno jest najgorętszym miejscem na ziemi, stwierdził Hannibal, kolejny raz ocierając twarz i szyję wilgotną od potu bandaną. Spalona słońcem ziemia była popękana niczym skorupa gigantycznego ółwia, a drgające nad nią gorące powietrze sprawiało, e horyzont co chwila zdawał się falować i tańczyć. Zniekształcony obraz nawet stosunkowo bliskich przedmiotów sprawiał, e człowiek mimo woli zaczynał się zastanawiać, czy z jego wzrokiem wszystko jest w porządku. W

zeszłym tygodniu uwiązany tu przed sklepem koń nagle padł, śmiertelnie pora ony upałem.

Nowhere miało jednak i swoje dobre strony. Najistotniejsze dla Hannibala było to, e miejscowy szeryf – nazwiskiem Brown – był mo e nie najgorszy, kiedy chodziło o zamykanie awanturujących się pijaków czy uśmierzanie sąsiedzkich kłótni o pierwszeństwo dostępu do miejskiej studni, ale na tym te kończyły się jego dokonania i nikt niczego więcej się po nim nie spodziewał.

Hannibal był prawie pewny, e Brown musiał go rozpoznać, ale nie miał dość odwagi nie tylko na to, eby go aresztować, ale eby choćby krzywo na niego popatrzeć. Reputacja bezlitosnego zabójcy najwyraźniej robiła swoje. Gdy Hannibal po raz pierwszy zjawił się w mieście, eby trochę przepłukać gardło w jedynym miejscowym saloonie, szeryf natychmiast zmył się z lokalu, nagle przypominając sobie o jakiejś bardzo pilnej sprawie czekającej na niego w biurze.

Ale nawet taki szeryf z pewnością potrafi wysłać telegram. Zatem i Brown albo ju wezwał posiłki z zewnątrz, albo co najmniej musiał się nosić z takim zamiarem. Mo e nie miał dość charakteru, by otwarcie stawić czoło samemu Hannibalowi Cotwellowi, ale trudno było przypuścić, by nie zauważył, e jest to jednak dla niego okazja, która prędko się nie powtórzy. Najpewniej więc przez cały czas gorączkowo kombinował, w jaki sposób zorganizować odpowiednio spektakularne pojmanie słynnego przestępcy, eby zyskać trochę rozgłosu, nie nara ając przy tym za bardzo własnej skóry.

Hannibal splunął na spękaną od upału ziemię, a potem – niemal nie celując – odstrzelił jedno ramię stojącego w oddali kaktusa, ćwicząc w ten sposób szybkość i celność. Strzelając do tych samych kaktusów z bliska, trafiał

nawet w wybrane kolce. Strzelał lepiej, ni kiedykolwiek dotąd.

Znów podniósł rękę, eby otrzeć pot, i odruchowo dotknął starych blizn.

Instynkt podpowiadał mu, e powinien opuścić Nowhere. Jeśli udawało mu się uniknąć aresztowania przez te wszystkie lata, to właśnie dlatego, e nie popełniał oczywistych głupstw. Zawsze wiedział, kiedy nale y zniknąć, więc i teraz powinien posłuchać instynktu. Sieć wokół niego ponownie się zacieśniała, czuł to przez skórę. Albo dopadnie go zorganizowana przez Browna obława, albo Trace.

Przymrużył oczy, by nie oślepiało go palące słońce, i się rozejrzał.

Opuszczone rancho, które teraz zajmowała jego banda, stało dosłownie w szczerym polu. Jak okiem sięgnąć, wszędzie była tylko ta spękana ziemia, kaktusy i jakieś wyschnięte zielsko w nielicznych

kępach rozrzuconych po jałowej i kamienistej glebie. Miało się wraenie, e roz arzone do białości bezlitosne słońce wypaliło w tym krajobrazie ywsze kolory. W ciągu dnia wszystko wydawało się brunatne lub szare i dopiero wieczorami horyzont tonął

w rdzawej czerwieni zachodu.

Nowhere było, jeśli ju nie samym piekłem, to na pewno miejscem tego piekła najbli szym, w którym człowiek mo e co najwy ej udawać, e jeszcze yje. Ci, którzy uwa ali je za romantyczne, z pewnością nigdy tu nie byli.

Autorzy tanich powieści z Dzikiego Zachodu z upodobaniem opisywali ycie ściganych przez prawo przestępców jako barwne, podniecająco atrakcyjne i pełne wszelakich uroków. Gdy Hannibal czytał te literackie opisy, co zdarzało mu się raczej rzadko, śmiał się z nich głośno i długo.

Przed otwartą na oście bramą dołączył do niego Marsh Crisp. Wsadził

dłonie za pas i przyglądał się, jak jego sławny szef strzela do kaktusów.

– Kiedy wreszcie wyjedziemy z tej cholernej dziury? – zapytał. – Gorąco tu jak w piekle i nie ma na czym zawiesić oka. Nie ma nawet banku, który mo na by obrabować... – Pogardliwym spojrzeniem obrzucił ledwie widoczne na horyzoncie miasteczko, rozrzucone grupki prymitywnych domków z suszonej na słońcu cegły, z których to budowli w zasadzie składało się całe Nowhere.

– Gdzie są chłopcy?

– Jake jest w środku i ucina sobie drzemkę, a Rudy pojechał do miasta, eby rzucić okiem na tego konia, który jest do sprzedania.

Hannibal skinął głową i odstrzelił mały palec z rozczapierzonej łapy kaktusa. Jake był z nimi dopiero od kilku dni, a Rudy Pete dołączył do nich w drodze, jeszcze kiedy jechali z Santa Fe. Postanowił zostać, gdy się dowiedział, e jedzie z samym Hannibalem Cotwellem. Zawsze znajdowali się tacy, którzy uwa ali, e część reputacji przejdzie i na nich, jeśli pokręcą się przy nim dostatecznie długo. Na przestrzeni ostatnich lat było ich tylu, e imiona i twarze mieszały się ju w pamięci Hannibala.

– Więc kiedy stąd wyjedziemy? – zapytał gniewnie Crisp.

– Kiedy ja tak postanowię.

Hannibal zaczynał podejrzewać, e pewna wojowniczość Marsha Crispa le y po prostu w jego naturze i wcale nie musi oznaczać wrogości ani te zamiaru jakiegoś spiskowania.

W końcu gdy wszyscy pozostali członkowie bandy opuścili ранego szefa, Crisp pozostał przy nim – i to chyba coś znaczyło. Hannibal zastanawiał

się nawet, czy on i Marsh przypadkiem nie stali się przyjaciółmi. Nie był jednak pewien, czy tego chce, czy opłaca się brać na siebie tego rodzaju odpowiedzialność.

– A kiedy to będzie? – nie ustępował Crisp.

Hannibal potarł świeżą bliznę w miejscu, z którego Mattie niedawno usuwała kulę. Dobra stara Mattie... Czasami mu jej brakowało.

– Czekam na kogoś – odpowiedział po chwili milczenia.

– Na kogo?

Hannibal popatrzył na czerwoną od gorąca twarz Crispa. Gdy chciał, potrafił samym spojrzeniem zmusić człowieka do ukorzenia się i natychmiastowych przeprosin. Tego dnia nie czuł do niego jednak adnej wrogości, tote ograniczył się do fuknięcia.

– To nie twój zakichany interes. Czekam na Trace’a Hardena.

Crisp skinął głową starając się nie wyglądać na zbyt zainteresowanego.

– Czy powinienem wiedzieć, kim on jest?

Hannibal zbył to pytanie milczeniem, obrócił się i odstrzelił kolejny kawałek kaktusa. Potem powiedział:

– Kiedy ju z nim porozmawiam, wyje d amy. Crisp kopnął ukruszony kawałek skały.

– Wobec tego miejmy nadzieję, e ten gość zjawi się szybko. Bo chłopcy trochę się denerwują chcieliby ju ruszać.

Hannibal wzruszył ramionami.

– No to jedźcie dziś wieczorem do miasta i upij ich zdrowo, eby upuścili trochę pary.

– A szef nie pojedzie z nami?

– Mam parę spraw do przemyślenia. Crisp spojrzał na niego i kiwnął

głową.

Po kolacji chłopcy pojechali do miasta, a Hannibal z kuflem ciepłego piwa w dłoni usiadł na spękany schodku rozpadającej się werandy i zapatrzył

się na rdzawoczerwony zmierzch nad rozciągającym się przed nim kamienistym pustkowiem.

Nawet noce były cholernie gorące w tym najwyraźniej przeklętym i zapomnianym przez Boga miejscu, które mogło być w miarę znośne jedynie dla skorpionów, grzechotników i jaszczurek.

Ale właśnie dlatego Nowhere wydawało mu się dobrym miejscem dla przeprowadzenia ostatniej, rozstrzygającej walki – rzeczywiście odpowiednim dla kogoś takiego jak on. Tu mógł się czuć

dostatecznie samotny. Jedyne otaczające go teraz ywe stworzenia kryły się w mroku i były śmiertelnie jadowite. Zabijały i były zabijane. Tak, Nowhere z pewnością było przedsionkiem piekła, ale on na to niewątpliwie zasłu ył i nie mógł oczekiwać niczego innego. Tu był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Odłó ył na bok kapelusz, uniósł kufel i całą jego zawartość wlał sobie do gardła.

Musiał wreszcie zdecydować, co ma zrobić, kiedy pojawi się brat.

Trace nie był rewolwerowcem i nigdy nikogo nie zabił. W prawdziwym pojedynku nie miałby więc adnych szans. Hannibal nie chciał zabijać brata, ale wiedział, e gdyby jednak doszło do starcia, to w jego ferworze instynkt walki mógłby wziąć górę, jak to się ju zdarzało niejednokrotnie. A wtedy do listy swoich zbrodni musiałby jeszcze dopisać zabójstwo brata.

Zmarszczył czoło i w zamyśleniu wpatrywał się w ciemniejące powoli, krwistoczerwone niebo.

Gdyby zdecydował się powiedzieć prawdę o tych dwóch tygodniach z Etta, mógłby zranić Trace'a równie śmiertelnie, jak uczyniłaby to kula rewolwerowa. Zrobiłby z niego rogakza i pozbawił męskiego honoru. Prawda skalałaby czysty wizerunek Etty, a Trace dowiedziałby się, e ona go nie kochała, e była kłamczynią i cudzoło nicą, zdradzającą go z własnej woli. To byłby dla niego straszliwy cios, ale z drugiej strony ujawnienie prawdy dawało szanse na uniknięcie rozlewu krwi. W takim przypadku najprawdopodobniej nikt nie zostałby zabity. Romans z oną brata, choćby najbardziej godny potępienia, to jednak nie to samo, co brutalny gwałt. Hannibal zbyt dobrze znał

Trace'a i wiedział, e mo e i znieawidziłby go on za to, do czego rzeczywiście doszło z Etta, ale na pewno ju nie sięgałby po broń.

Drugą mo liwością było zatajenie prawdy i potwierdzenie tego wszystkiego, co Etta napisała w swym liście. Wtedy Trace nie miałby adnych wątpliwości, e jego ona została zgwałcona. W rezultacie nieuchronnie musiałoby dojść do rozprawy z bronią w rękę, a on, Hannibal, miałby dwa wyjścia – albo zastrzeliłby brata, co było najbardziej prawdopodobne, albo sam pozwoliłby się zabić. Dobre imię Etty pozostałoby nienaruszone, nie byłoby skandalu i nikt nigdy nie dowiedziałby się, e ona Trace'a wołała w łó ku jego przyrodniego brata.

Trace mógłby wówczas obcią yć Hannibala całą winą za wszystko, co się stało. Takie zresztą najpewniej były intencje Etty, w przeciwnym bowiem razie nie napisałaby listu.

Gdyby on, Hannibal, zdecydował się podtrzymać jej kłamstwa, Trace mógłby yć, nieupokorzony i przez to z pewnością mniej nieszczęśliwy.

Wybór był rozpaczliwie trudny, poniewa nie było tu dobrych rozwiązań.

Hannibal po wielekroć przebiegał w myślach wszystkie warianty – ju od pierwszego dnia, gdy dowiedział się o zawartych w liście oskar eniach. Minęło wiele dni, a on wciąż nie widział wyjścia.

– Dlaczego? – szepnął gorzko, wpatrując się w wolno dogasającą czerwień zachodu.

Dlaczego Etta przekreśliła tę miłość, która wybuchła w nich tak nagle i spontanicznie, i dlaczego oskarżyła go o gwałt? Tysiąc razy zadawał ju sobie to pytanie i wciąż nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Musiała przecie zdawać sobie sprawę, że nastawiając brata przeciwko bratu, robi coś wyjątkowo złego, że postępuje tak, jak gdyby z jakiegoś powodu chciała koniecznie zabić ich obu.

Zachowała się tak, jakby po prostu postradała zmysły.

Ale jeśli tak było, to winien temu był znowu on, ponieważ odmówił jej i nie zabrał ze sobą, wyjeżdżając z Kansas. Był winien, bo pozostał nieczuły na jej błagania i nie stanął przy boku ukochanej nawet wtedy, gdy okazało się, że jest w ciąży.

Był winien, ponieważ kochał brata bardziej niż ją.

Gdy zapadła noc i nad horyzontem zawisła chłodna biała kula księżyca, Hannibal osiodłał swego Gringo i pojechał bez celu prosto przed siebie. Jechał

wolno przez tonącą w mroku jałową równinę, na której teraz dopiero zaczynało się nocne

ycie, następowała pora

erowania i polowania dla małych

drapieżców. Ale Hannibal nie wsłuchiwał się w te ledwie słyszalne odgłosy pustynnego ycia, jego myśl powędrowała w przeszłość, w czasy dzieciństwa.

Przypominał sobie cudowne wakacje, które wraz z Trace'em spędzał w letnim domu w okolicach Nowego Orleanu – wyprawy na bagniste zakola rzeki, podglądanie wędrujących jeleni, tropienie leniwie uciekających oposów i sprytnych szopów z czarnymi maseczkami na przecherynych pyszczkach.

Przymknął powieki i oczami wyobraźni znów widział tego małego chłopca, który miał oczy dokładnie takie jak on i który biegał za nim wszędzie, ponieważ starszy brat był dla niego idolem. Jeszcze teraz słyszał jego wysoki, chłopięcy głos:

– Hanny, proszę cię, poczekaj na mnie!

Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa w oku Hannibala zakręciła się łza.

– Czekam na ciebie, braciszku... Czekam.

Szykując się do jazdy dyli ansem, Sam ubrała się w strój odpowiedni dla podró ującej damy, z kilkoma warstwami wytwornej bielizny, marszczonych halek, ze staniczkiem, bluzeczką, długą spódnicą i tweedowym akietem – nie licząc modnego kapelusika z woalką – i poczuła, e się w tym wszystkim gotuje z gorąca, jeszcze zanim obsługa zdą yła załadować kufer i zaprosić ich do środka.

Dyli ans wyruszał z głównego placu Santa Fe, a przygotowaniom do odjazdu jak zwykle przypatrywało się sporo gapiów. Wśród nich Sam dostrzegła twarz, która wydała jej się znajoma.

– Czy przypominasz sobie takiego lekko kulejącego mę czyznę z brodą, który przedwczoraj bardzo intensywnie przypatrywał się nam w restauracji? –

zapytała nieco niepewnie.

Od czasu wizyty w Toro Blanco Trace zachowywał się dosyć dziwnie, często był roztargniony i jakby nieobecny. Niby nie było w tym nic szczególnie dziwnego, ale to zachowanie popychało Sam do najró niejszych, niezbyt mądrych spekulacji na temat przyczyny tej zmiany i wzmagało poczucie niepewności, której się po sobie nie spodziewała. Ju z dziesięć albo i dwadzieścia razy miała ochotę zapytać go, czy przypadkiem się z nią nie nudzi, i je eli tego nie zrobiła, to tylko dlatego, e uznała, i byłoby to zdecydowanie poni ej jej godności. Ta sama duma nie pozwoliła jej zaprosić go ponownie do ló ka, zwłaszcza w sytuacji gdy, jak teraz, zdawał się w ogóle zapominać o jej obecności.

– Trace?! – powtórzyła z lekkim zniecierpliwieniem. Stał nieruchomo, z rękami zał onymi na piersiach, i wpatrywał się gdzieś daleko w przestrzeń. –

Hej, Trace!

– Przepraszam! – Uniósł brwi i spojrzał na nią wciąż z lekkim roztargnieniem. – Mówiłaś coś do mnie?

Sam pochyliła się ku niemu i powiedziała, zni ając głos:

– Widzisz tam za moimi plecami, przy tym drzewie na rogu, takiego brodatego ranczera? Wydaje mi się, e jest niezwykle zainteresowany naszym wyjazdem.

– Jakiego ranczera?

Obróciła się, spojrzała za siebie i stwierdziła, e lekko kulejący brodaty mę czyzna gdzieś zniknął. Skrzywiła się, trochę zaniepokojona, i wzruszyła ramionami.

– Mo e mi się wydawało – powiedziała, sama w to nie wierząc. Ten kulejący

mę czyzna

wyglądał

na

niezwykle

zainteresowanego

ich

przygotowaniami do odjazdu. Pytanie brzmiało: dlaczego? Gdyby był łowcą nagród, natychmiast by go rozpoznała. Nie nosił te adnej odznaki, a więc nie był zastępcą szeryfa. Pozostawało więc przypuszczenie, e to któryś z

wynajętych przez Edwina Snowa rewolwerowców. Sam miała jednak wra enie, e uwaga mę czynny jest skierowana głównie na Trace'a.

Wyruszyli o czasie. Towarzyszył im starszy d entelmen, który zaraz na początku przedstawił się jako James Goodnight, handlowiec, wybierający się z wizytą do syna a w Kalifornii, i dość tęga kobieta w szarym podró nym kostiumie, niedawno owdowiała – jak się to okazało przy prezentacji – pani Wendy Callen. Trace i Sam przedstawili się krótko jako państwo Marshall.

Pan Goodnight najwyraźniej zwykł mówić niewiele, czego, niestety, nie dało się powiedzieć o pani Callen. Tylko przez krótką chwilę siedziała w milczeniu i spoza szylkretowego wachlarza pełnym dezaprobaty wzrokiem patrzyła na Sam, która z racji nadmiernego gorąca nie tylko powa yła się zdjąć rękawiczki, ale i – co ju zupełnie nie przystało szanującej się damie – była niebezpiecznie bliska tego, by rozpiąć mankiety bluzeczki. Surowe spojrzenie pani Callen ostatecznie zapobiegło katastrofie i pozwoliło ju swobodnie przejść do niezmiernie umilającej podró – zdaniem tej e pani Callen – towarzyskiej rozmowy.

Ju wkrótce okazało się jednak, e postanowiła ona tę zaproponowaną przez siebie rozmowę wypełnić bez reszty tym, co sama miała do powiedzenia.

Jej usta praktycznie się nie zamykały. Zaczęła od utyskiwań na nieznośny kurz, wzbijany kopytami koni, potem wyrzekła na niedostatecznie szczelne i źle chroniące przez słońcem zasłony na oknach. Przy okazji wezwała pana Boga, by ratował ich wszystkich przed tak morderczym upałem, a następnie z obezwładniającą dbałością o szczegóły opisała swe niezliczone osobiste udręki podczas tego piekielnie gorącego przedpołudnia. Wreszcie rozpoczęła długą opowieść o swych dzieciach, po której przyszedł czas na dogłębną analizę nielicznych w sumie cnót i nieporównanie bardziej licznych wad jej niedawno zmarłego mał onka.

Trace od samego początku starał się nie słyszeć pani Callen – mniej więcej tak samo, jak usiłowałyby nie dopuszczać do świadomości irytującego brzęczenia natrętnej muchy. Obrócił się twarzą do okna i po prostu udawał, e przygląda się mijanej okolicy. Natomiast siedząca obok niego Sam najwyraźniej nie potrafiła się w ten sposób wyłączyć, wierciła się niespokojnie, coraz bardziej poirytowana nieznośną gadatliwością towarzyszki podró y. Trace nie bez racji przewidywał, e to się mo e skończyć wybuchem.

Dyli ans kołysał się miarowo albo podskakiwał na wybojach, monotonna, jałowa równina wolno przesuwała się za oknem, a Trace po raz ju nie wiadomo który powrócił myślami do niedawnej rozmowy z Mattie Able. Zastanawiał się, na ile wynurzenia tej kobiety mogły opierać się na tym, czego rzeczywiście dowiedziała się od Hannibala, a na ile były jedynie projekcją jej yчениowego myślenia. Czy Hannibal w ogóle rozmawiałby z nią na temat Etty? Czy powiedziałby jej, jak było naprawdę?

Najbardziej gryzła go myśl, której usiłował do siebie nie dopuszczać, a która – mo e właśnie dlatego – wracała jeszcze bardziej uparcie. Je eli Mattie mówiła prawdę... je eli Etta nie tylko nie została zgwałcona, ale sama uwiodła Hannibala, to – pomijając ju wszelkie inne aspekty – w bardzo przekonujący sposób rozwiązywało to zagadki, jakie były w jej liście. Jeśli to była prawda, wszystko stawało się przera ająco jasne.

Trace przymknął oczy, odchylił głowę na oparcie siedzenia i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po ten nieszczęsny list. Jeśli Etta napisała go po to, eby nastawić brata przeciwko bratu, to musiała nienawidzić ich obu.

Wolno i dokładnie podarł list, a następnie wystawił dłoń za okno i przyglądał się, jak drobne kawałki papieru ulatują, niesione przez wiatr, i nikną w kłębach kurzu za kołami dyli ansu. Kątem oka spojrział na Sam i zobaczył jej szeroko otwarte, pełne zdumienia oczy.

– Wyjaśnię ci to później – powiedział i uspokajająco poło ył dłoń na jej dłoni.

Skinęła głową i odruchowo spojrziała na panią Callen. Ta na chwilę zamilkła i z jawną dezaprobatą przyglądała się tej krańcowo nieobyczajnej parze, która ośmielała się publicznie trzymać się za ręce.

Sam jednak wyraźnie ją ignorowała, a Trace znów wyglądał przez okno, za którym krajobraz zdą ył ju się zmienić. Monotonna dotąd równina stała się bardziej zró nicowana, tu i ówdzie widoczne były kępy drzew, malownicze pagórki i pojedyncze wietrzejące skały.

– Jak ju mówiłam... – Pani Callen najwyraźniej zamierzała kontynuować swój przerwany monolog. Nie było to jej jednak dane.

Sam pochyliła się w stronę kobiety; jej niebieskie oczy błysnęły niebezpiecznie.

– Zamknij się wreszcie! – powiedziała cicho, ale dobitnie. Brwi wstrząśniętej pani Callen uniosły się tak wysoko, e niemal dotykały piór ozdabiających rondo kapelusza. Jej twarz pokryła się krwistym rumieńcem gniewu. Skrzy owiała ręce na piersiach i fuknęła oburzona:

– Jeszcze nigdy nie spotkałam się z taką niegrzecznością!

– Jeszcze jedno słowo, pani Callen, a osobiście wyrzucę panią z tego dyli ansu! – Po twarzy Sam widać było, e nie artuje. – Jestem w raczej złym nastroju, więc lepiej niech się pani zamknie, i to ju !

Zaszokowana kobieta bezradnie odeła wargi i obróciła się w stronę pana Goodnighta, najwyraźniej szukając jego poparcia. Jednak e starszy pan przewidująco przymknął powieki i odchylił głowę na oparcie siedzenia, udając, e śpi. Na jego wargach nietrudno było zauwa yć lekki uśmiech.

W dyli ansie nagle zrobiło się cicho, a jedynymi głośniejszymi dźwiękami były skrzypnięcia resorów na co większych wybojach i miarowy stukot końskich kopyt. Rozbawiony Trace popatrzył na Sam, uśmiechnął się i z nieskrywanym uznaniem poklepał ją po ręce.

Znów mu zaimponowała – i jednocześnie całkowicie rozbroiła. No i co miał z tym zrobić? Ta dziewczyna wciąż obchodziła go bardziej, niż mógł

kiedykolwiek przypuszczać. Przez chwilę sądził, że pójdzie z nią do łóżka i rozwiąże sprawę, zmniejszy fascynację i przytłumi ją. Nic takiego jednak nie nastąpiło i Trace powoli zaczął podejrzewać, że jej w ogóle nie ma sposobu, aby tę całą Sam Kincaid wyrzucić z myśli i z serca. Nie wiedząc kiedy, stała się nieusuwalną częścią jego życia.

Co więcej, całkowicie zmieniła jego dotychczasowy pogląd na kobiety, który wydawał się tak niewzruszony. Pokazała mu, jak bardzo się tu mylił, jak w gruncie rzeczy płytko i schematycznie oceniał dotąd przedstawicielki jej płci.

W swoim czasie Etta wydawała mu się wręcz ideałem kobiety. Wówczas jednak jeszcze nie wiedział, że pod tą piękną powłoką może być wzbierać śmiertelny jad nienawiści, której przyczyn wciąż nie potrafił pojąć...

Nagły huk przerwał te rozmyślenia.

– Co to było?! – wykrzyknął zaskoczony pan Goodnight, prostując się gwałtownie i sięgając po kapelusz. – Czy to nie wystrzał z rewolweru?

– No pewnie, że tak! – Sam zerwała się na równe nogi i wyjrzała przez okno, usiłując coś dojrzeć w tumanach kurzu. – Jasna cholera! – wykrzyknęła i odruchowo zaczęła szukać rewolweru u swego boku. – Trzej zamaskowani mężczyźni! To napad!

– Och nie! – jęknęła pani Callen. – A woźnica na dodatek wstrzymuje konie!

Trace wyjrzał przez okno, ale gęsty kurz uniemożliwił mu zobaczenie czegokolwiek.

– Czy pan ma broń? – zwrócił się do pana Goodnighta.

– Ma pan na myśli rewolwer? – Starszy pan wydawał się równie przerażony jak pani Callen. – Nie, nie mam.

Trace spojrzął na Sam.

– Widziałaś trzech napastników? Skinęła głową.

– A te akurat musiały wybrać się w podróż bez broni! – wykrzyknęła, uderzając się dłonią po biodrze.

Nierówność sił była jednak zbyt oczywista.

Skoro powo ący dyli ansem uznali sytuację za beznadziejną i zatrzymali pojazd, nie podejmując walki, Trace w pojedynkę w aden sposób nie mógł

stawić czoła trzem napastnikom, tym bardziej e, strzelając, nara ałby ycie wszystkich pozostałych. Jedynym rozsądnym wyjściem było więc poddanie się i nadzieja, e wyjdą z tego napadu mo e obrabowani, ale przynajmniej ywi.

Okazało się jednak, e celem napastników wcale nie był rabunek.

Jeden z zamaskowanych mę czyzn zajrzał do środka i otworzył drzwi dyli ansu.

– Ty! – Lufą rewolweru wskazał na Trace’a. – Wsiadaj! I twoja ona te !

Bez większego zainteresowania popatrzył na dygocącą ze strachu panią Callen i równie przera onego pana Goodnighta.

– Wy dwoje zostajecie! I ani mi drgnąć, bo zastrzelę! Trace wyszedł

pierwszy i podał rękę Sam, która, wysiadając, znów musiała walczyć z długą spódnicą i halkami. Potem oboje stali w tumanie osiadającego kurzu, podczas gdy zamaskowani mę czyźni uwa nie im się przyglądali. Trace rozwa ał

mo liwość sięgnięcia do kieszeni po rewolwer, ale ostatecznie zrezygnował z tego pomysłu i gdy szef bandy kazał mu rzucić broń na ziemię, podporządkował

się temu ze spokojną rezygnacją.

– Tak, to na pewno oni – mruknął przywódca napastników. – Kryder, ty weź kobietę, a ja zajmę się bratem Cotwella...

Mimo zakrywającej mu twarz maski nietrudno było dostrzec, e jego oczy są pełne nienawiści.

Trzeci mę czyzna skrępował sznurem ręce Trace’a i dopomógł mu wsiąść na siodło jednego z zapasowych koni, a następnie związał mu nogi pod brzuchem zwierzęcia. Szef spojrział na drugiego z mę czyzn, wciąż szamocącego się z Sam.

– Masz jakieś kłopoty, Kryder?

– Ta cholera potrafi kopać i gryźć jak wściekła kotka! Au! Sam zdą yła jeszcze raz przekląć swoje halki, przez które nie zdołała dostatecznie celnie kopnąć go w krocze, choć udało jej się z całej siły uderzyć go pięścią w brzuch.

Jednak po chwili pięść Krydera trafiła ją w skroń i Sam straciła przytomność.

Dochodziła do siebie powoli i dopiero po pewnym czasie zdała sobie sprawę,

e le y na wyło onym ceramicznymi płytkami wewnętrznym dziedzińcu jakiegoś ranca, pod rozło

ystem, rzucającym głęboki cień drzewem. Jej kapelusz gdzieś przepadł, podobnie jak wyszywana koralikami podró na sakiewka. Sam jęknęła cicho, przetarła oczy i rozejrzała się, usiłując choćby z grubsza zorientować się w sytuacji.

A ta wyglądała gorzej ni źle. Do takiego wniosku doszła, gdy zobaczyła Trace'a, który został przywiązany do ciężkiej drewnianej ławy ustawionej przy niewielkiej fontannie na środku dziedzińca. Jeszcze bardziej niepokojący był

fakt, że napastnicy zdjęli maski. Mogli to zrobić bez obawy o rozpoznanie tylko wtedy, gdy byli absolutnie pewni, że ich ofiary nie wyjdą z ich rąk żywe.

Prawdziwa wściekłość ogarnęła Sam, gdy zorientowała się, że szefem napastników jest właśnie ten utykający mężczyzna z brodą, którego dostrzegła na placu tu przed wyjazdem. Niech to szlag! Powinna była zaufać instynktowi, nalegać na odwołanie wyjazdu i – przede wszystkim – dowiedzieć się, kto to jest i dlaczego tak się nimi interesuje. Wiele już osób zginęło tylko dlatego, że nie zrobiły tego, co powinny, powiedziała sobie w duchu i złym okiem spojrzała na długą spódnicę na marszczonych halkach. To wszystko przez tę zmianę ubioru!

Jeszcze miesiąc temu nie popełniłaby tak głupiego błędu!

Teraz Trace był związany i unieruchomiony, ona nie miała żadnej broni, a jej ruchy krępował niewygodny strój. Po drugiej stronie było trzech uzbrojonych mężczyzn i doprawdy trudno byłoby wymyślić mniej korzystną sytuację.

Mężczyzna z brodą podszedł do Trace'a.

– Widzisz, jak ja chodzę? – spytał jadowicie. – To ten sukinsyn, twój braciszek, tak mnie postrzelił. Będę kulął ci do końca życia. A wiesz, co jeszcze zrobił? Zamordował moją żonę, bratanek i zastrzelił jednego z moich ludzi. Josiah Lyman takich rzeczy nie daruje!

Trace nie spuścił wzroku, ale milczał. Kulejący mężczyzna podszedł

jeszcze o krok bliżej.

– Od razu wiedziałem, kim jesteś, gdy tylko cię zobaczyłem w tej restauracji. Masz zupełnie takie same oczy jak Cotwell, to samo bandyckie nasienie. Postanowiłem więc, że oszczędzę sądom trudu skazywania i wieszania kogoś takiego jak ty. Załatwimy to sami. – Lyman splunął mu pod nogi, a jego pełną nienawiści twarz wykrzywił złośliwy uśmiech. – Twój braciszek będzie następny.

– A co zrobimy z kobietą? – zapytał jeden z mężczyzn. To był ten, który wcześniej uderzeniem pięści ogłuszył Sam, a teraz patrzył na nią z poządziwym uśmiechem. – Zdaje się, że trzeba ją będzie trochę poskromić.

– To nie twoja rzecz, Kryder – warknął Josiah Lyman. – Cotwell musi zapłacić za zamordowanie Marii. A na początek zapłaci jego brat razem ze swoją piękną żoną.

– Jeśli sądzicie, że moja śmierć sprawi Hannibalowi ból, to się bardzo mylicie. – Trace starał się,

eby to zabrzmiało dobitnie. – Mój brat mnie nienawidzi. Nienawidzi co najmniej tak samo, jak ja nienawidzę jego.

Lyman roześmiał się szyderczo.

– Za kogo ty mnie uwaasz, chłopaczku? Za naiwniaka ze Wschodu?

Mógłbyś wymyślić jakieś lepsze kłamstwo.

– Mówię prawdę. Przysięgłem, e zastrzelę Hannibala, i on o tym wie.

Jeśli mnie zabijecie, oddacie mu wielką przysługę.

– Tylko je eli mówisz prawdę, w co ja ani myślę wierzyć. – Lyman obrócił się w stronę Sam, która w końcu zebrała wszystkie siły i stanęła na nogi.

Obrzucił ją jawnie lubie nym spojrzeniem. – A ty, ślicznotko, za wszystko, co z tobą zrobimy, będziesz mogła podziękować jego bratu. Mogę cię zapewnić, e będziesz miała za co.

Sam nagle zamarła i patrzyła na Lymana szeroko otwartymi, nieprzytomnymi oczami.

Będziesz mogła podziękować za wszystko, co z tobą zrobimy...

Te słowa wstrząsnęły nią do głębi, bo słyszała je nie po raz pierwszy.

Niemal ka dej nocy powtarzały się w jej sennych koszmarach, a po raz pierwszy wypowiedziane zostały dwanaście lat temu przez bandytę, który gwałcił jej matkę. Nawet ton był prawie taki sam, brzmiało w nim to samo szyderstwo.

Z przera ająca wyrazistością nagle poczuła, e znów jest tam, e jest bezbronnym dzieckiem i ze śmiertelną trwogą patrzy, jak Hannibal Cotwell zrzuca na ziemię papiery z biurka jej ojca i ciągnie tam matkę, mówiąc szyderczo:

– Będziesz mogła podziękować mę owi za wszystko, co z tobą zrobimy.

Słyszała swój własny krzyk sprzed dwunastu lat. Teraz to się miało powtórzyć.

Przez dwanaście lat bała się tego i jednocześnie przeczuwała, e tak się stanie. Była pewna, e to się musi się stać, je eli kiedykolwiek powa y się wło yć spódnice, je eli zacznie się ubierać jak kobieta – bo to wszystko, co się wtedy stało, to był właśnie los kobiety.

Tymczasem Josiah Lyman ju szedł ku niej, rozpinając po drodze sprzączkę pasa u spodni. Chwycił ją za ramię i pociągnął w kierunku domu.

Jego twarz wykrzywiał po ądliwy uśmiech.

– Zostawcie ją! – krzyknął Trace. – Ona nie ma z tym nic wspólnego!

Hannibal jej w ogóle nie zna, nie ma nawet pojęcia, e ona istnieje! – Szarpał się gwałtownie, usiłując wyrwać ręce z krępujących je więzów.

Lyman nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

Przytłoczona obezwładniającym przekonaniem, e nie da się walczyć z przeznaczeniem, Sam nie próbowała się opierać i posłusznie szła tam, gdzie ciągnął ją oprawca. W tym momencie nie była ju dorosłą osobą, tylko tym przera onym dzieckiem sprzed dwunastu lat, które ju wtedy nauczyło się tej niepodwa alnej prawdy, e kobieta musi być ofiarą. Nie mogła nic zrobić, dokładnie tak samo jak jej matka. Wiedziała, e wszelki opór jest daremny.

Najpierw musiał być gwałt, a potem przystawiona do głowy lufa rewolweru.

Odrętwiała i półprzytomna, pozwoliła się zaciągnąć do jakiegoś pokoju, w którym był tylko stół z paroma krzesłami i szeroka kanapa. Pchnięta na nią Sam osunęła się bezwładnie, niczym szmaciana lalka, i boleśnie uderzyła głową o kant drewnianego oparcia.

Ból nagle ją otrzeźwił i na chwilę przywrócił do rzeczywistości. Zaczęła się rozglądać, rozpaczliwie szukając miejsca, w którym mogłaby się schronić przed tym, co miało za chwilę nastąpić.

– Podnieś spódnicę i ściągnij majtki! – rozkazał Lyman i zaczął rozpinać guziki rozporka.

Zmartwiała z przera enia Sam patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, ale widziała wszystko jak przez mgłę. Coś dziwnego działo się z jego twarzą, której rysy jakby się rozmywały, a potem z wolna zaczęły się zmieniać.

To ju nie był ten sam człowiek. Jego tęczówki stały się ólte jak u tygrysa, na czole pojawiła się znajoma blizna, na lewej powiece druga. Na jej oczach Josiah Lyman stawał się tym bandytą, który dwanaście lat temu gwałcił jej matkę.

Stawał się Hannibalem Cotwellem.

Nienawiść wybuchła w jej sercu z niepohamowaną siłą To on, to ten szykujący się do gwałtu mężczyzna był tym, który zniszczył jej rodzinę, odebrał

dzieciństwo i wszelką nadzieję na przyszłość.

Wydarzenia z przeszłości i terażniejszości całkowicie zmieszały się w jej umyśle. Była jednocześnie dzieckiem obserwującym gwałt i dorosłą kobietą, która za chwilę miała być zgwałcona. Znów czuła ból pod ebrem, tam gdzie przed dwunastu laty trafiła kula, która ją zraniła. Słyszała oddech gwałciciela, którym był Hannibal Cotwell i Josiah Lyman w jednej osobie.

I to on teraz zdierał z niej po kolei akiet, stanik, spódnicę z halkami i całą bieliznę. Sam patrzyła na to wszystko jak sparali owana, ręce zwisały jej bezwładnie. Nie była w stanie ju nic zrobić, nie potrafiłaby nawet krzyknąć –

gdy nagle coś usłyszała.

Gdzieś z daleka dobiegały odgłosy szamotaniny i walki, brzęk tłuczonych glinianych naczyń i ordynarne męskie przekleństwa.

To musiał być Trace. Nawet bezbronny i związany, najwyraźniej potrafił zadać im bobu.

Ta myśl sprawiła, że coś drgnęło tak i w niej. Nagle poczuła się zawstydzona własnym zachowaniem. Trace mimo wszystko próbował stawiać opór, próbował walczyć, podczas gdy ona poddawała się już z góry. Poddała się obezwładniającej sile przeszłości, biernie czekając na nieunikniony rozwój wypadków – na to, że historia się powtórzy. Była tak cholernie pewna, że kobieta musi być ofiarą, tak przekonana, że gwałciciela nie może powstrzymać, że w końcu nawet nie próbowała się opierać. Teraz jednak coś się w niej nagle zmieniło.

Zacisnęła zęby, oczy jej błyszczały. Niespodziewanie dla samej siebie przełamała się, wzięła się w garść. Potrafiła sobie powiedzieć, że to jest właśnie ten moment, na który czekała przez dwanaście lat. I wreszcie go znalazła, tego szyderczego potwora, tego gwałciciela i mordercę – i znalazła go przecie nie po to, żeby mu pozwolić znów wygrać. To, co się wtedy stało, wcale nie musiało się powtórzyć. Cotwell mógł triumfować wtedy, ale nie tym razem.

– Wreszcie mi zapłacisz, ty sukinsynu! – mruknęła, zaciskając zęby. –

Poczekaj tylko.

On tymczasem był już pewny, że ofiara jest zrezygnowana i nie będzie stawiać oporu. Popęłnił jednak poważny błąd, zdzierając z niej długą spódnicę i halkę. Teraz Sam mogła swobodnie poruszać nogami i z tej swojej liwości w pełni skorzystała, zaskakując go całkowicie. Kopnęła go prosto w krocze, z największą siłą na jaką ją było stać. Trafiła dokładnie tam, gdzie chciała.

A z napastnika nagle jakby zeszło całe powietrze. Jęknął głucho, złamał

się wpół i już bez przytomności wolno osuwał się na podłogę. Ale zanim upadł, Sam zdążyła dobiec i z jeszcze większą siłą uderzyła go kantem zwiniętej dłoni w nasadę nosa. Trzasnęła złamana kość, a jej ostre odłamki wbiły się w mózg. Z

nozdrzy i ust mężczyzny buchnęła krew.

Na podłogę padł już martwy.

Półprzytomna dziewczyna dyszała ciężko i dygotała z emocji. Nie wiedziała, jak jej się to udało, ale wiedziała, że wreszcie to zrobiła. Zabiła go, zabiła Cotwella! Po tylu latach dopięła tego, co przysięgła sobie z myślą o matce. Osunęła się na kolana i na dłuższą chwilę ukryła twarz w dłoniach, nagle przytłoczona własnym zwycięstwem. Zabity przez nią Hannibal Cotwell leżał u jej stóp.

Gdy po chwili znów otworzyła oczy, Cotwella już tam nie było. Na podłodze leżał martwy Josiah Lyman.

Sam odruchowo przetarła oczy i spojrzała jeszcze raz. Rzeczywistość jednak była nieubłagana. Cotwell jej się tylko zwidział, na chwilę powrócił z mroków przeszłości, ale to nie jego zabiła, broniąc się przed gwałtem. Nie dopełniła więc zło onej matce przysięgi.

Ale unieszkodliwiła najgroźniejszego z napastników i zmniejszyła ich siły o jedną trzecią. Na szczęście niedoszły gwałcieł był tak zaskoczony, e nie zdą ył wszcząć alarmu, a upadł zbyt cicho, by ktoś na zewnątrz mógł to usłyszeć.

Sam podniosła się na nogi i stanęła nad ciałem Lymana, z całego serca ałując, e nie jest to Hannibal Cotwell. Pochyliła się i sięgnęła po jego rewolwer, sprawdzając, czy jest naładowany. Spiesznie wciągnęła na siebie podartą bluzkę i spódnicę, po czym podeszła do drzwi prowadzących na dziedziniec. Dała sobie minutę na wyrównanie oddechu i przygotowanie do ataku z zaskoczenia. Potem nagle pchnęła drzwi i zanim się jeszcze otworzyły do końca, dwukrotnie strzeliła zza framugi.

Pierwsza kula trafiła Krydera między jego małe świńskie oczka, a druga okazała się równie celna i ugodziła jego kompana prosto w serce. Kompletnie zaskoczeni, osunęli się na ziemię, najpewniej nawet nie wiedząc, co się z nimi stało.

Sam jeszcze przez chwilę stała nieruchomo, z dymiącym rewolwerem w dłoni. Nagle poczuła, e kręci się jej w głowie, i musiała chwycić się framugi, eby nie upaść. Odgarnęła włosy i otarła czoło z kropel potu.

Nie została zgwałcona. I yła – tak ona, jak i Trace. To była ulga wręcz nieprawdopodobna. Przez chwilę poczuła się lekka i uskrzydłona. Gdyby rozło yła ramiona, mogłaby odlecieć.

I wtedy usłyszała słowa Trace’a.

– Jesteś absolutnie zadziwiająca, panno Kincade.

Le ał twarzą do ziemi, wciąż przywiązany do cię kiej ławy, którą jakimś cudem udało mu się dźwignąć i nawet u yć jako broni w nierównej potyczce z Kryderem i jego kompanem. Wszędzie było pełno kawałków glinianych skorup z potłuczonych wazonów na kwiaty. Na czole Trace’a widniał ogromny guz, a jego rozbita warga mocno krwawiła, co jednak nie przeszkadzało mu uśmiechać się szeroko.

– Byłem pewny, e to oni mają wszystkie asy, a nam zostały tylko blotki.

Sam podbiegła i uklękła przy nim, eby rozwiązać krępujące go sznury.

Choć węzły były bardzo mocno zaciągnięte, w końcu udało jej się go uwolnić.

Trace podniósł się i zaczął rozprostowywać zdrętwiałe mięśnie, ale znieruchomiał, gdy tylko spojrzał na Sam. Wyglądała tak, jak gdyby zaraz miała zemdleć, i w ostatniej chwili osunęła się w jego ramiona. Jej ciałem wstrząsały dreszcze – spóźniona reakcja po krańcowym napięciu.

– O Bo e! – szepnęła, wtulając twarz w jego klatkę piersiową. – Czułam się tak, jak gdybym znów była tamtą dziewczynką sprzed dwunastu lat. Byłam tak samo przera ona i bezradna...

Trace trzymał ją mocno i opiekuńczo, delikatnie całując jej włosy, skronie i powieki.

– No tak, przera ona i bezradna – powiedział, kiwając głową i spoglądając na zabitych bandytów. – To nawet widać gołym okiem.

– Ogarnęło mnie jakieś szaleństwo. Miałam poczucie, e jestem

jednocześnie i córką, i matką, moją własną matką, taką, jaką ją wtedy zapamiętałam. I przez chwilę myślałam, e ten Lyman to Hannibal... – Znów wtuliła się w Trace'a twarzą, ale potem podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

– Dlaczego ona nie spróbowała z nim walczyć? Nie skończyłoby się to dla niej niczym gorszym, bo tak czy inaczej musiała zginąć, a przynajmniej umarłaby ze świadomością, e jednak walczyła.

Ale ona nie zrobiła nic. Po prostu się poddała! A przecie nie wolno się poddawać, prawda?

– Prawda. – Głos Trace'a zabrzmiał nagle bardzo głucho. – Ale ja akurat nie mam prawa tego mówić. Chryste Panie, Sam, przecie ja znów nic nie mogłem zrobić. Zupełnie nic. Nie potrafiłem cię obronić. Znów okazałem się do niczego.

Sam jakby tego nie słyszała i nadal tuliła się do jego piersi.

– Kiedy go zabiłam, myślałam, e zabiłam Hannibala – szepnęła. – Byłam przekonana...

– Gdybyś poległa na mnie, a nie na sobie, ju oboje bylibyśmy martwi.

Sam spojrzała na niego i uniosła brwi.

– Co ty opowiadasz?

Trace delikatnie odsunął ją od siebie.

– Tu w stajni powinny być jakieś konie – rzekł. – Osiodłam je, ebyśmy mogli się stąd wynieść... – Popatrzył na jej poszarpaną odzież. – Mo e w domu znajdziesz jakąś całą bluzkę lub koszulę.

– Ale dlaczego ty mówisz, e...?

Trace otarł usta wierzchem dłoni, skrzywił się lekko, widząc krew na swoich palcach, obrócił się i szybkim krokiem odszedł w kierunku stajni.

Sam podeszła do fontanny, umyła twarz i ręce, a następnie weszła do domu i w jednym z pomieszczeń znalazła komodę z kobiecymi rzeczami. Po namyśle wybrała prostą białą bluzkę, zastanawiając się mimochodem, czy nale ała do kobiety, którą zastrzelił Hannibal Cotwell. Potem wzięła le aże na komodzie ręczne lusterko, eby poprawić włosy.

Ale zamiast tego zaczęła przyglądać się swojej twarzy, która naraz wydała się jej jakaś inna, jakby odmieniona. Przypatrywała się swemu odbiciu bardzo uważnie, usiłując pojąć, co właściwie się w

niej zmieniło. A gdy wreszcie zrozumiała, co widzi, łzy nagle popłynęły z jej oczu niepohamowanym strumieniem.

Dotąd zawsze, patrząc w lustro, widziała w sobie przede wszystkim to przera one jedenastoletnie dziecko. Dostrzegała je w sobie zawsze. Nawet jeśli jej rysy zmieniały się z upływem lat, to przebijający od wewnątrz obraz małej skrzywdzonej dziewczynki pozostawał wciąż taki sam. Ona nie dorastała; uciekając przed dorosłością, chowała się w jej wnętrzu i wciąż tam była.

A teraz ta kryjąca się w niej dziewczynka nagle znikła. Ocierając łzy, Sam patrzyła w lustro i widziała w nim już tylko własną twarz – twarz kobiety, która ma dokładnie tyle lat, ile miała, i była właśnie taka, jaka była. Po raz pierwszy zauważyła, jak bardzo jest podobna do matki. I po raz pierwszy poczuła, że blizna po postrzale sprzed dwunastu lat nie jest najbardziej w nią w jej anatomii.

Odłożyła lustro i ukryła twarz w dłoniach, nie próbując już ocierać łez, które były teraz łzami ulgi.

Długie poszukiwanie wreszcie się skończyło, ponieważ przez te wszystkie lata tak naprawdę nie szukała Hannibala Cotwella – szukała siebie samej. Teraz wreszcie to rozumiała.

Dopóki pozostawała w niej ta przera ona dziewczynka – to skrzywdzone dziecko – odnalezienie samej siebie po prostu nie było możliwe. Dziecko pamiętało i dziecko się bało. Bało się bezradności kobiety, jej słabości, pozycji osoby zawsze podległej i wyzyskiwanej. Tak więc dopiero teraz mogła uwolnić się od tych lęków. Z lustra patrzyła na nią osoba całkowicie odmieniona –

kobieta świadoma swej wartości, licząca przede wszystkim na samą siebie i mająca dość odwagi i silnej woli, by nigdy nie dać się zepchnąć do roli bezbronnej ofiary.

– Jestem wolna! – szepnęła sama do siebie. – Wolna! Wolna!

Znów czuła się zwycięska, znów rosły jej skrzydła. Rozradowana, wybiegła z domu, głośno wołając Trace'a, aby podzielić się z nim swoją odzyskaną wolnością, radością wyzwolenia.

W stajni, gdzie spodziewała się go znaleźć, było stosunkowo ciemno i w pierwszej chwili w ogóle go nie zobaczyła. Widziała tylko dwa osiodłane konie, uwiązane tu przy wrotach i najwyraźniej przygotowane do drogi.

Dopiero gdy jej oczy przyzwyczyły się do półmroku, dostrzegła go w głębi i rozpromieniona pobiegła ku niemu. Ale już po paru krokach zatrzymała się nagle, a jej serce zamarło.

Trace siedział na jakiejś drewnianej skrzyni, w dłoni miał rewolwer, który trzymał tu przy swojej głowie. Spojrzał na Sam, a w jego bursztynowych oczach był rozpaczliwy ból.

– Etta powiesiła się. Ty omal nie zostałeś zgwałcony, a następnie zamordowany. A ja nie potrafiłem temu zapobiec. Więc co jestem wart? Co w ogóle jestem wart?!

Daj mi ten rewolwer, Trace.

– Zawiodłem i ją, i ciebie. Nie mam prawa nazywać się mę czyzną. – W

jego głosie przebijała pogarda dla samego siebie. Nerwowo przeczesywał

palcami włosy i patrzył gdzieś w przestrzeń. – Pytałaś mnie, czy zamierzam ponownie się o enić. Ale jaka kobieta w ogóle chciałaby kogoś takiego?

Sam wzięła głęboki oddech i bezwiednie ujęła się pod boki.

– Przestań się nad sobą u alać, ty idioto! – Niewiele brakowało, by zaczęła na niego krzyczeć. – Co się z tobą dzieje? Zachowujesz się jak człowiek, który ma w ręku królewski sekwens i płacze, e nie ma pary trójek!

Trace uniósł brwi.

– O czym ty mówisz?

– O mnie! – Zgiętym palcem parokrotnie puknęła się w klatkę piersiową.

– To ja jestem twoim królewskim sekwensem, ty cholerny głupcze! Fortuna dała ci za partnera kobietę, która ma głowę na karku, myśli sama za siebie i w razie potrzeby potrafi się sama obronić. I która, jak się okazuje, potrafi obronić tak e i ciebie, je eli sytuacja akurat tak się uło y! I właśnie to, e kobieta potrafi ci pomóc, nagle cię strasznie martwi, zupełnie nie wiadomo dlaczego! Kiedy ja potrzebowałam twojej pomocy, ty mnie uratowałeś bez mrugnięcia okiem. Ale ebym ja ci pomogła, kiedy karty się odwróciły, to ju jest dla ciebie nie do pomyślenia? Mam rozumieć, e gdybym pozostawała bezradna i całkowicie bezbronna, to byłoby ci z tym lepiej?

e lepiej byłoby, gdyby nas oboje

zamordowano? Wtedy czułbyś się bardziej męski?

– Przestań, Sam. Daj spokój.

– Mo e byś wreszcie zechciał zauwa yć,

e ratowanie mnie czy

jakiegokolwiek innej kobiety z ka dej cię kiej sytuacji, jaka mo e się przytrafić, wcale nie jest twoim obowiązkiem. To, jakim jesteś mę czyzną, wcale nie wynika z twojej gotowości do osłaniania własną piersią bezbronych kobiet. Ich słabość nie jest miarą twojej męskości! Zrozum wreszcie, e kobiety

odpowiadają same za siebie. A jeśli fakt, e udało mi się uratować skórę nie tylko własną, ale te i

twoją, a tak boleśnie rani twoje poczucie męskości, to mogę ci jedynie powiedzieć, e to jest z twojej strony czysta głupota i e szczerze nad nią ubolewam!

– Jednak Etta... – zaczął Trace, ale Sam nie pozwoliła mu skończyć.

– Etta te mogła sama coś zrobić, te miała mo liwości działania, mo e nawet większe ni ja w przypadku Lymana. I nawet po tym wszystkim jeszcze miała wybór. Mogła, na przykład, postanowić, e spróbuje dalej yć ze świadomością, e została zgwałcona. Mogła ci zaufać na tyle, eby przyjąć, e ja zrozumiesz i e zaakceptujesz jej cią ę. Mogła w sobie poszukać jakichś rezerw siły i odporności. A ty nie powinienes być a tak zarozumiały, eby uwa ać, e jesteś winien jej śmierci. To ona dokonała takiego wyboru i zarzuciła sobie pętlę na szyję. Nie mo esz sobie przypisywać odpowiedzialności za tę jej decyzję. I ju na pewno nie ma to nic wspólnego z tym, czy jesteś mniej czy bardziej męski!

Trace przyglądał się jej uwa nie.

– Coś się w tobie zmieniło...

Sam usiadła obok niego, westchnęła i wzięła go za rękę.

– Uwierz mi, kobieta wcale nie musi się wszystkiemu od razu poddawać, zawsze ma jakiś wybór, i przed, i w trakcie, i po. W tym względzie niczym się nie ró ni od mę czyzny.

Widziała, e Trace wciąż się jej przypatruje – i miała nadzieję, e słucha.

– Wszyscy dokonujemy wyborów, które w końcu decydują o tym, jakiego rodzaju ludźmi... jakiego rodzaju mę czyznami bądź kobietami ostatecznie się stajemy. Nie zdawałam sobie z tego sprawy a do dzisiaj... – Jej oczy nagle zwilgotniały. – Och, Trace... Dziś zrozumiałam, e mogę być kobietą i jednocześnie nadal być sobą! – Otarła dłonią powieki i spojrzała mu w oczy, szczerze i otwarcie.

– Nie wiem, co tak zmieniło twoje myślenie – powiedział Trace. – Ale cieszę się, e tak się stało.

– Ja te . – Sam uśmiechnęła się i poprawiła przekrzywioną spódnice. – I, jak mo e zauwa yłeś, przeprosiłam się ju z damskimi rzeczami.

Znów pochylił się nad trzymanym w dłoni rewolwerem, machinalnie sprawdzając naboje w bębenku.

– Przypuśćmy na chwilę, e Etta nie została zgwałcona. – Mówił wolno, zastanawiając się nad ka dym słowem. – Przyjmijmy, e z własnej woli weszła do łó ka Hannibala...

Nietrudno było dostrzec, jak bardzo jest w tym momencie bezradny. Sam zdawała sobie sprawę, e jedno niebacznie wypowiedziane słowo mo e go dotkliwie zranić i e oddaję się w jej ręce jako człowiek i jako mę czyzna, a ona miała go zaakceptować albo odrzucić.

– Jeśli taki był przebieg wydarzeń – zaczęła, podobnie jak on wa ąc słowa – to wina jest po stronie Etty, nie twojej, i nie mo esz sobie nic zarzucić.

A jeśli mimo to miałbyś jakieś wątpliwości, czy na pewno jesteś pełnowartościowym mę czyzną, to

dość łatwo mo emy się o tym przekonać.

Stała naprzeciwko niego, obok otwartego boku do połowy napełnionego świeżym sianem, i prowokacyjnie wolno zaczęła rozpinąć guziki bluzki. Gdy doszła do końca, jednym ruchem odsłoniła piersi, a potem równie wolno zaczęła odpinać haftki spódnicy, przez cały czas rzucając na niego wabiące spojrzenia spod przymrużonych rzęs i lekko oblizując wargi. To nie mogło nie zrobić na nim wrażenia. Widać to było choćby po jego oczach.

Sam osunęła się na siano, przeciągnęła się leniwie i kusząco, a potem powoli uniosła nogę, tak że halka zsunęła się po niej a do połowy uda. Później przejechała palcami obu dłoni po jedwabnej pończosze, zaczynając przy kostce i kończąc na wysoko zapiętych podwiązkiach, które równie odsłoniła.

– Czy mam przestać? – spytała głębokim, gardłowym szeptem. – Czy te moje jest tu mężem czyżna, który mi na to nie pozwoli?

Trace podniósł się i podszedł do niej.

– Nie wiedziałem, że potrafisz się tak zachowywać. Gdzie się tego nauczyłaś? – Jego głos był lekko ochrypły, a w spojrzeniu bursztynowych oczu przebijało budzące się na jego widok. Rewolwer wysunął mu się z dłoni, czego zresztą nawet nie zauważył. Natomiast Sam to dostrzegła i odetchnęła z prawdziwą ulgą.

Trace wciąż jeszcze próbował opierać się pokusie.

– Do diabła, Sam! Czy ty naprawdę myślisz, że bycie mężem czyżną polega wyłącznie na tym?

– W każdym razie stanowi bardzo istotną część – odpowiedziała z głębokim przekonaniem. – Ale aby cię uspokoić, dodam od razu, że i po naszej stronie nietrudno dostrzec coś podobnego. Ot, chociażby to... – Jeszcze raz omdlewająco zatrzepotała rzęsami i odchyliła głowę, kusząco wypinając nagie piersi. – To jest istotna część bycia kobietą... kiedy mamy na to ochotę.

Trace pochylił się nad nią. Sam patrzyła na niego spod rzęs i znów zwilżyła językiem rozchylone wargi.

– A ja teraz naprawdę mam na to ochotę – powiedziała. – I bardzo bym chciała, abyś dowiódł i mnie, że przede wszystkim sobie, że jesteś mężem czyżną.

Bo bardzo tego potrzebuję...

Urwała, gdy zamknął jej usta długim i prawie brutalnym pocałunkiem.

Po chwili już oboje leżeli na sianie, a twarda i władcza dłoń Trace'a mocno obejmowała jej kibić. Sam zarzuciła mu ręce na szyję i pociągnęła go ku sobie, oddając mu chociażby jego pocałunek równie gorąco i namiętnie. Ale już po chwili okazało się, że przyciągając go do siebie, jednocześnie go odpychała, igrając z nim wręcz prowokacyjnie i przez to rozpalając go coraz bardziej. Nagle stało się to grą, walką o dominację, stałym balansowaniem na krawędzi między przemożną chęcią

poddania się i całkowitego oddania a niemal równie silnym oporem przed zbyt łatwym zdominowaniem przez partnera. Targana sprzecznymi pragnieniami Sam dra niła się z nim bezlitośnie, przemyślnymi pieszczotami roz arzając i jego, i siebie niemal do białości, po to tylko, by perfidnie wymykać mu się w ostatniej chwili, kiedy ju rozchyłał jej nogi, aby wejść w nią całym ciałem rozpalonego męskiego ciała. Za ka dym razem wyslizgiwała mu się z niezwykłą skutecznością, co jednak nie przeszkadzało jej całować go coraz namiętniej – a po ka dym takim nieprawdopodobnie długim pocałunku jej oddech stawał się krótszy, bardziej urywany, a ciałem wstrząsał

dreszcz po ądania. Jeśli to była gra, to Sam przeciągnęła ją poza wszelkie wyobra alne granice.

Ale Trace te ju to zrozumiał i postanowił podjąć rękawicę, odpłacając pięknym za nadobne. Znienacka chwycił ją za nadgarstki i trzymając mocno jedną ręką, po prostu wcisnął je w siano ponad głową dziewczyny, jednocześnie przygniatając ją całym ciałem tak, by nie mogła się ju ruszyć, i w ten sposób ostatecznie zmuszając ją do uległości. Teraz to on mógł się z nią droczyć, pochylając się nad nią tak, e ich usta niemal się stykały, i cofając się natychmiast, gdy tylko próbowała go całować. Aby ją podniecić, kąsał

leciutko ró owe płatki jej uszu albo twardniejące koniuszki sutków, po czym nagle przerywał pieszczotę, by po chwili wolną ręką sięgnąć do wżórka łonowego i w podobnie prowokujący sposób pieścić ją tylko przez chwilę, z premedytacją cofając dłoń właśnie wtedy, gdy jej przyspieszony oddech i omdlewające oczy wskazywały, e jest naprawdę bliska orgazmu.

Rozpalona do ostateczności Sam jęczała cicho i zwijała się pod nim, całym ciałem wciskając się w jego naprę oną męskość, której wyczuwalna bliskość doprowadzała ją niemal do szaleństwa. Nawet gdyby chciała, nie byłaby ju w stanie zapanować nad wzbierającym w niej nieprzytomnym po ądaniem. Jej oczy błyszczały, naga skóra była mokra od potu – podobnie jak skóra Trace'a – a całe ciało zdawało się płonąć. Była absolutnie pewna, e po prostu umrze, je eli on nie weźmie jej ju teraz, natychmiast!

– Trace, ja cię błagam... Proszę!

Jeszcze przez chwilę próbował się z nią droczyć, ale to, co widział w jej oczach, ostatecznie wystarczyło, by zrezygnować z kontynuowania tej rzeczywiście podniecającej, ale i niebezpiecznej erotycznej gry. Zresztą i jemu powściąganie się przychodziło z coraz większą trudnością, bo w końcu po ądał

jej równie mocno, jak ona jego.

Uwolnił jej dłonie, które Sam natychmiast zarzuciła mu na szyję, uniósł

się lekko ponad jej rozchylone uda i wszedł w nią mocno i głęboko. Krzyknęła z rozkoszy i wygięła się w łuk, aby przyjąć go w siebie jak najpełniej. Tym razem wiedziała ju , czego mo e oczekiwać; niemal odruchowo uniosła nogi i zaplotła je na jego twardych pośladvkach, wciągając go w siebie jeszcze mocniej i głębiej.

I znów naprę ony członek zdawał się jeszcze w niej rozrastać, wypełniając bez reszty jej wilgotne wnętrze, a ona wiedziała ju , jak całym ciałem, odpowiadać na miarowe ruchy, jak wraz z nim szukać tego najwłaściwszego, powolnego rytmu, który pozwoli do końca wyczerpać wszystkie rozkosze wspólnie zaspokojonego po ądania. Wiedziała ju , jak ma go pieścić i jak całować, by przez jego ciało przebiegał dreszcz, a bursztynowe oczy zachodziły mgłą. I wiedziała wreszcie, jak i kiedy równie i ona sama ma się do końca poddać tym wzbierającym w nich falom, które niosły ich oboje do wspólnej ekstazy.

Le eli na pachnącym sianie, rozkosznie znu eni i wyczerpani, ale wciąż przytuleni do siebie i właściwie nadal spleceni w jedno. Trochę ich dziwiło jedynie to, e padające od słońca cienie a tak się wydłu yły.

– Moim skromnym zdaniem – odezwała się Sam sennym głosem w pełni zaspokojonej kobiety – wszelkie wątpliwości co do tego, czy jesteś mę czyzną, okazały się po prostu niedorzeczne. Masz w sobie dość męskości nie dla jednej, ale dla dziesięciu kobiet...

Przytuliła się do niego jeszcze mocniej. Podobał się jej lekko pi mowy zapach ich ciał, wyczuwalny za ka dym razem po długim i intensywnym kochaniu się, uwielbiała jego gładką skórę i kryjące się pod nią wspaniałe mięśnie. Ale najbardziej fascynował ją sposób, w jaki Trace doprowadzał do tego, e czuła się nie tylko piękna, ale i naprawdę po ądana. Dzięki niemu rzeczywiście czuła się kobietą i ze szczerym niedowierzaniem myślała o tym, e jeszcze tak niedawno jej największym marzeniem był jakikolwiek – choćby najbardziej mizerny – męski zarost na zbyt gładkiej dziewczęcej twarzy. Zarost, który pozwoliłby jej zostać najtwardszym łowcą nagród na całym Zachodzie. To było coś zupełnie nieprawdopodobnego! Zwłaszcza teraz, gdy dzięki fizycznej miłości doznała rozkosznego kobiecego zaspokojenia, sama myśl o tym, e kiedyś pragnęła być mę czyzną, wydawała jej się niemo liwa.

Trace le ał na boku, z głową tu przy jej policzku, czubkami palców lekko gładząc nagie ramię Sam.

– Wiesz co? – powiedział odrobinę niepewnie, jakby przełamując w sobie jakieś wewnętrzne opory.
– Znów myślę o tym, co mi wcześniej powiedziałaś.

Są w tym rzeczy, przeciw którym odruchowo się buntuję, ale... ale ogólnie biorąc, to wszystko chyba ma sens. Ma sens.

Sam zdawała sobie sprawę, z jakim trudem przyszło mu to wyznanie.

Przechyliła się ku niemu i czule pogłaskała jego czoło, na którym widniał

potę ny guz, jawnie wymagający zimnego okładu.

– A ja ci się przyznam, e naprawdę mnie przestraszyłeś. Kiedy tu weszłam i zobaczyłam cię z tak strasznie zgnębioną miną i z rewolwerem, który trzymałeś tu przy głowie, nagle pomyślałam, e chcesz... – Urwała, nie mając odwagi dokończyć.

– Popęlnić samobójstwo? – spytał Trace. Wzruszył ramionami i lekko się uśmiechnął. – Nie, Sam,

czegoś takiego na pewno bym nie zrobił. Nigdy nie poddam partii, dopóki ostatnia karta nie zostanie rozegrana. Mogłem ci się wydać zgnębiony, bo znów myślałem o tym liście Etty...

– A właśnie, nie powiedziałaś mi jeszcze, dlaczego w końcu go podarłeś?

– Sam znów wsparła głowę na jego ramieniu i zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek doczeka takiej chwili, gdy posępne widmo jego ony nie będzie się ju pojawiało między nimi. Na przestrzeni ostatnich tygodni wręcz znienawidziła Etę Harden, tak e za to, e jad zawarty w napisanych przez nią słowach nie przestawał działać nawet po jej śmierci.

– Podarłem ten list po przemyśleniu tego, co powiedziała mi Mattie Able.

– Trace westchnął i pokrótce zrelacjonował rozmowę z Mattie. – I o tym teraz myślę właściwie niemal bez przerwy. Je eli jej domysły są słuszne, to wszystko, co było w liście Etty, jest jednym wielkim kłamstwem.

Sam słuchała tego bardzo przejęta; po lekkiej senności nie było ju nawet śladu. Siedziała w kucki, rękami obejmując kolana, i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w pełną bólu twarz Trace'a.

– Więc sądzisz, e Mattie mogła mieć rację... i e to Etta uwiodła Hannibala?

– Nie wiem, ale myślę, e to mo liwe. A je eli tak...

– A je eli tak, to co? – Sam spojrzała na niego, nagle jeszcze bardziej poruszona. – Dajesz mi do zrozumienia, e ju nie chcesz zabić Hannibala?

– Dotąd byłem pewny, e chcę, ale teraz ju nie wiem. – Usiadł obok niej i w jawnej rozterce ukrył twarz w dłoniach. – Zawsze myślałem, e Etta nienawidzi mojego brata, ale mo e mnie nienawidziła jeszcze bardziej, tak bardzo, e postanowiła uwieść właśnie jego. I właśnie dlatego, e jest moim bratem.

– Mattie przecie przy tym nie było, więc niczego nie mo e wiedzieć na pewno – rzekła Sam bezbarwnym głosem. – Ale nawet jeśli jej domysły są słuszne, to nie oznacza nic ponad to, e nie sam Hannibal cię zdradził, tylko zdradzili cię oboje. Ale on nadal jest tak samo winien!

Trace pokręcił głową.

– Je eli powie mi, e Etta z własnej woli weszła do jego łó ka, to... to ja nie mogę go zabić. Zrozum mnie, Sam, nie zamierzam mu przebaczyć.

Przestanie dla mnie istnieć i nigdy więcej ju się z nim nie zobaczę. Ale to mój brat i ja go nie zabiję.

– No to ja to zrobię! – wykrzyknęła. – Bo ja wiem na pewno, e jest mordercą i gwałcicielem. Na własne oczy widziałam, jak zgwałcił, a następnie zastrzelił moją matkę!

Patrzyli na siebie w milczeniu, a napięcie między nimi rosło z ka dą sekundą. W końcu Trace powiedział stanowczo:

– Je eli nie zgwałcił Etty i sam mi to powie, nie pozwolę ci go zabić.

Odjedziemy, a za wszystkie wcześniej popełnione zbrodnie niech go ściga prawo.

– Nie! – zaprotestowała Sam.

Trace zacisnął wargi, sięgnął do kieszeni i wyjął talię kart.

– Wobec tego ciągnij! – powiedział. Ale Sam gwałtownie się sprzeciwiła.

– O czymś takim nie decyduje się przez ciągnięcie karty! Oboje zgodziliśmy się, e mamy zabić Hannibala, i tylko podró ujemy razem. Więc jeśli ty go nie zabijesz, ja to zrobię, choćby dlatego, e przysięgam to mojej umierającej matce. I nie ka mi łamać tej przysięgi, bo tego zrobić nie mogę! –

Patrzyła mu prosto w oczy i odsunęła się, gdy chciał ją wziąć za rękę.

– Nie zmuszaj mnie, ebym musiał wybierać między tobą i bratem! –

powiedział Trace, marszcząc czoło.

– A ty nie zmuszaj mnie, ebym dla ciebie złamała przysięgę zło oną matce!

– Dopiero co mówiłaś, e bycie kobietą oznacza, i ma się mo liwość wyboru. Więc mo esz wybrać.

– I wybrałam! Ju wiele lat temu!

– Ale teraz mo esz pozostać uwięziona w tej przeszłości albo wreszcie wyrwać się z niej i ruszyć w przyszłość. To jest twój wybór i powinnaś go dokonać właśnie teraz.

– Nie mam takiego wyboru, bo nie mam adnej przyszłości, dopóki nie uporam się z przeszłością! I dlatego najpierw muszę odnaleźć Hannibala, bo póki z nim nie skończę, nie ma mowy, bym zaczęła cokolwiek innego.

I znów patrzyli na siebie w milczeniu, nagle uświadamiając sobie, e kończy się dzień, e robi się coraz ciemniej i e oboje są prawie nadzy. Sam obróciła się i ubrała pośpiesznie, po namyśle rezygnując jedynie z gorsetu, który tylko przeszkadzałby w czekającej ich długiej konnej jeździe. Zostawiła go w boksie z sianem jako małą dodatkową zagadkę dla tych, którzy mieli znaleźć ciała Josiaha Lymana i jego ludzi.

Trace te ju zdą ył się ubrać, osiodłane konie czekały, wszystkie rzeczy były spakowane. Pomógł Sam wsiąść na siodło, co przyjęła bez protestu, choć wcale nie potrzebowała pomocy.

– W gruncie rzeczy nie wiemy wciąż, na czym stoimy, zarówno ja, jak i ty – powiedział, patrząc na nią w zamyśleniu. – Ugrzęźliśmy w tym oboje i nic się nie wyjaśni, dopóki nie skończymy naszych rachunków z Hannibalem.

– Znienawidzisz mnie, je eli go zabiję? – spytała cicho Sam.

– Po pierwsze uzgodniłmy, e to ja pociągnę za spust.

– Ale jeśli nie będziesz mógł? Albo nie będziesz chciał? Trace milczał

przez chwilę.

– Nie pozwolę ci zabić mojego brata – rzekł w końcu. – Będziesz musiała wybierać między nim a mną. – Odwrócił się i chwyciwszy swego konia za uzdę, wskoczył na siodło, po czym bez słowa ruszył truchtem w kierunku bramy.

– Ciebie kocham zbyt krótko, a jego nienawidziłam znacznie dłużej! –

zawołała za nim Sam. Zbyt późno jednak i zbyt cicho, by Trace mógł to usłyszeć.

Patrzyła za nim przez łzy, które nagłą falą napłynęły pod powieki.

Kochała go, choć ta miłość sprawiała jej ból. Wiedziała już, e w jej życiu nie będzie adnego innego mężczyzny, e tak naprawdę zawsze czekała tylko na niego. Mo e nawet urodziła się z wyobrażeniem tego mężczyzny w sercu – a w każdym razie była pewna, e umrze z jego imieniem na ustach.

Na razie jednak wszystko miało zależeć od rozwoju wypadków w ciągu najbliższych dni – po przyjeździe do Nowhere.

Tam miała się rozstrzygnąć jej przyszłość – być może już bez Trace’a, a więc równie pusta i samotna, jak cała jej dawna i niedawna przeszłość.

Parę razy mocno zacisnęła powieki, eby strząsnąć z nich wciąż napływające łzy, po czym trąciła piętami boki konia i ruszyła w ślad za Trace’em.

I znów okazywało się, e Hannibal Cotwell miał decydować o jej przyszłości.

Pod wieczór czwartego dnia, spieczeni słońcem i mocno zmęczeni długą jazdą dotarli do obrzeży Nowhere, nędznego miasteczka w samym środku pustynnej równiny. Zaniedbane i rozpadające się domki, zbudowane głównie z suszonej na słońcu cegły, skupione były przy dwóch krzyżujących się ulicach, niewiele różniących się od zwykłej polnej drogi. Zachodzące słońce rzucało długie fioletowe cienie, a wieczorne niebo koloru miedzi zalewało wszystko czerwoną poświatą. Stary Meksykanin o twarzy równie porwanej zmarszczkami, jak spękana od słońca ziemia, siedział oparty plecami o kamienną studnię i palił cigarillo. Na pierwszy rzut oka miasteczko wydawało się kompletnie wyludnione.

Trace zatrzymał konia na porośniętym zrudziałą trawą niewielkim placu w samym centrum, gdzie skupiły się nieliczne sklepy, miejscowy saloon i parę budynków uyteczności publicznej. Otarł pot z czoła, podał Sam manierkę z wodą i zaczął się rozglądać, szukając wśród kilku wiszących tam szyldów przede wszystkim hotelu i fryzjera.

– Najpierw potrzebna jest nam kąpiel – powiedział, drapiąc się po brodzie. – A później będę musiał się ogolić.

– Jeśli to zrobisz, miejscowy szeryf mo e cię rozpoznać – przypomniała mu Sam. Była tak zmęczona, e nawet mówienie przychodziło jej z trudem.

– To ju nie będzie miało znaczenia.

Zwil yła chustkę resztką wody, przymknęła oczy i otarła grubą warstwę kurzu z twarzy i szyi. Jej bielizna i ubranie były mokre od potu i kleiły się do ciała. Marzyła o tym, eby się wykąpać, przebrać w coś czystego i spać –

przynajmniej przez dwanaście godzin.

– Mo na uznać, e w końcu dobrnęliśmy do mety – powiedział Trace, kolejny raz ocierając rękawem twarz. – Ale nie wygląda na to, ebyśmy mieli gdzie spać. Widzisz tu coś, co przypominałoby hotel?

Sam przesunęła kapelusz na tył głowy i rozejrzała się bez większej nadziei. Umierające miasteczka nie potrzebują hoteli.

Choć stary Meksykanin przy studni wciąż siedział nieruchomo i nie wyglądało na to, by ruszył choćby palcem, musiał chyba dać jakiś znak sygnalizujący obecność obcych, bo w kilku domach naraz otworzyły się drzwi i pojawili się jacyś ludzie. Patrzyli na przybyszów w milczeniu i bez wyraźniejszego zainteresowania, jakby czekając na to, e zajmie się nimi ktoś inny.

W końcu jeden z mę czyzn ruszył w ich kierunku. U pasa miał rewolwer, a na bluzie metalową odznakę.

Gdy podszedł bli ej, Trace dotknął róna kapelusza.

– Dzień dobry, panie szeryfie! – powiedział bardzo uprzejmie. – Cieszę się, e pana widzimy. Wraz z oną szukamy jakiegoś noclegu na parę dni. Mo e mógłby pan nam w tym pomóc?

Szeryf spojrział na ich krańcowo zakurzone stroje i niewielkie sakwy, przytroczone do siodeł.

– Podró ujecie państwo z raczej małym бага em, prawda?

– Zbyt małym – zgodził się Trace. – Dlatego chcielibyśmy dokupić trochę rzeczy, ale przede wszystkim chcemy się gdzieś rozlokować, wykąpać i zjeść.

ona powinna jak najszybciej się przespać, jest bardzo zmęczona.

– Doña Martinez chyba będzie mogła wynająć państwu pokój. – Szeryf nie przestawał się im przyglądać ze źle skrywanym zaciekawieniem. – Jej córka sprząta i gotuje.

– Będziemy wdzięczni, je eli zechce pan nas tam zaprowadzić.

Ruszyli stępa za idącym przed nimi szeryfem, czując na sobie spojrzenia patrzących w ślad za nimi mieszkańców miasteczka.

– Od czasu, gdy srebro w kopalni się skończyło, niewielu mamy przyjezdnych – powiedział szeryf, spoglądając na Trace. – Jak długo zamierzacie tu pozostawać?

– A załatwimy nasze sprawy.

Szeryf skinął głową, jak gdyby spodziewał się takiej właśnie wymijającej odpowiedzi.

– Tutaj jest szynk. – Kiwnął głową w kierunku pobliskiego budynku z szeroko otwartymi drzwiami, spoza których płynęły tęskne dźwięki gitary. – A tam, na końcu ulicy, znajdziecie stajnię, w której mo na zostawić konie.

Z wnętrza szynku wyszedł jakiś męczyzna z cynowym kuflem w dłoni.

Młody, o chłodnym spojrzeniu, rewolwerowiec z gatunku tych, których Sam rozpoznawała natychmiast. Gotowa była się założyć, że widziała już tę twarz na plakatach z podobiznami poszukiwanych przestępców.

– Kim jest ten człowiek? – spytała półgłosem, spoglądając na szeryfa, który zwolnił i siedł tu obok.

– To niejaki Marsh Crisp, szanowna pani. – Szeryf kątem oka spojrział w stronę szynku, wyraźnie starając się, aby Crisp tego nie zauważył. – Proszę posłuchać mojej rady i trzymać się od niego jak najdalej.

Zimny dreszcz przebiegł wzdłuż kręgosłupa Sam. Dobrze pamiętała to nazwisko – parokrotnie wymieniał je stary górnik, który opowiadał jej o napadzie w Leadville. Skoro Crisp był tu, w Nowhere, Hannibal te musiał być.

Poczuła gwałtowny przypływ adrenaliny i niewiele brakowało, by zawróciła konia i ruszyła w stronę szynku. Jeśli Hannibal był tam w środku, to...

Na szczęście Trace zorientował się w porę i w ostatniej chwili ją powstrzymał.

– Jesteśmy bardzo zmęczeni, ledwie trzymamy się na nogach. –

Uspokajającym gestem położył dłoń na jej dłoni. – Na wszystko będzie czas jutro.

Miał, oczywiście, rację. Byli zbyt zmordowani, nie mieliby szans. Sam nie małym wysiłkiem woli powstrzymała się od patrzenia w stronę opartego o ścianę szynku mężczyzny, który bacznie im się przyglądał.

Szeryf musiał zauważyć, że oboje nagle stali się spięci.

– Znacie państwo tego Crispa? – zapytał.

– Nie, nigdy go nie widzieliśmy. Szeryf splunął.

– Niebezpieczny typ. Na szczęście nie zostało mu już wiele czasu. –

Mrugnął porozumiewawczo, a na jego wargach pojawił się chytry uśmieszek. –

Będzie obława, a wtedy pokażemy im, kto rządzi tym miastem!

A zatem szeryf Brown wezwał posiłki i organizował obławę – najpewniej na całą bandę Hannibala. Trace pokiwał głową, uświadamiając sobie, że on i Sam przybyli dosłownie w ostatniej chwili.

– Kiedy ma być ta obława? – spytał.

Szeryf ju otwierał usta, by udzielić wyczerpującej odpowiedzi, ale w ostatniej chwili się powstrzymał, zdając sobie sprawę, że mówi za dużej.

Ograniczył się więc do jednego słowa:

– Wkrótce.

Doña Martinez, ubrana na czarno Meksykanka w typie matrony o dość nieokreślonym wieku, przyjęła ich chętnie i zapewniła, że goście mają u niej wszelkie wygody, a jej córka Estrella w ciągu godziny przygotuje posiłek i ciepłą wodę do kąpieli.

Trace wyjął sakiewkę z pieniędzmi.

– Chcielibyśmy te , eby pani córka uprała nasze rzeczy i kupiła nam jakieś ubrania na zmianę.

– Dla mnie mogą być kowbojskie spodnie i jakaś luźna koszula –

powiedziała Sam. – Do tego, oczywiście, świeża bielizna. I szczotka do włosów.

Doña Martinez skinęła głową i obiecała, że wszystko zostanie załatwione.

Najwyraźniej nieczęsto trafiali się jej teraz goście, którzy jeszcze w dodatku chcieli od razu płacić. Było jasne, że uradowana gospodyni zrobi dla nich wszystko, o co poproszą.

Sam z satysfakcją stwierdziła, że – dzięki grubym glinianym ścianom – w dwóch wynajętych przez nich pokojach jest znacznie chłodniej niż na zewnątrz, zwłaszcza kiedy uchylone okna umożliwiają lekki przeciąg. Ze środka mogła obserwować ulicę, na której po zachodzie słońca pojawiło się znacznie więcej ludzi. W powietrzu unosił się zapach pieczonych meksykańskich placków, mieszaniny z zapachami woskowej pasty do podłóg, kurzu, mysich odchodów i jakichś egzotycznych kwiatów. Gitarzysta z pobliskiego szynku grał

melancholijną, chwytającą za serce melodię. Gdzieś w pobliżu głośno szlochała kobieta.

Trace z cygarem w ustach stał w otwartych drzwiach i przyglądał się coraz dłuższym cieniom, które kładły się na bezkresną pustynię otaczającą Nowhere.

– On tu jest – powiedział na wpół do siebie. – Czuję jego obecność.

Sam usiadła w wielkim drewnianym fotelu i odchyliła głowę na oparcie.

– Crisp z całą pewnością doniesie mu, e przyjechałeś. – Przymknęła klejące się powieki. Ale tylko na chwilę. – A skoro ju mowa o twoim bracie, to co konkretnie miałeś na myśli, mówiąc, e nie pozwolisz mi zabić Hannibala? –

spytała. – Mam rozumieć, e mnie zastrzelisz? Bo tylko w ten sposób będziesz mógł mnie powstrzymać.

Trace wciąż patrzył na pogrą ającą się w mroku pustynię. Zaciągnął się głęboko raz i drugi i dopiero po chwili rzekł cicho, jakby do siebie:

– Przez ostatnie miesiące bez przerwy myślę tylko o tym, co mo e czuć brat, który zabija brata.

– Ale ja pytałam o co innego. Czy zdecydujesz się zastrzelić mnie?

Trace obrócił się i wszedł do środka, ale było ju zbyt ciemno, by Sam mogła coś wyczytać z jego twarzy.

– Kiedy obaj byliśmy ledwie podrastającymi chłopcami – usiadł w fotelu naprzeciwko niej – zdarzało nam się niezwykle serio rozmawiać o najróżniejszych sytuacjach. Pamiętam, e zastanawialiśmy się, jak postąpić, gdyby jeden z nas został śmiertelnie ranny. Zgodziliśmy się wtedy, e ten drugi nie powinien dopuścić, by pełna cierpień agonია trwała zbyt długo. Rozumiesz, co to znaczy? Byłem tym młodszym bratem i traktowałem to wszystko bardzo poważnie, więc w jakiś sposób ju wtedy musiałem godzić się z myślą, e w określonych okolicznościach będę musiał zabić Hannibala i e będę w stanie to zrobić. I to się właściwie nie zmieniło; zmieniły się tylko okoliczności. Je eli więc będę musiał go zabić, potrafię to zrobić i będę umiał dalej z tym żyć, choć z pewnością będzie to najstraszniejsze wydarzenie w całym moim życiu. Ale je eli jednak nie będę musiał, to... Zrozum mnie, Sam, ja nie próbuję usprawiedliwiać tego, co zrobił Hannibal, i zgadzam się, e to są rzeczy straszne i niewybaczalne. Ale on jest jednak moim bratem...

– A gdybyś musiał zastrzelić mnie? Mógłbyś z tym żyć? – spytała cicho.

Trace wyrzucił przez otwarte drzwi niedopałek cygara, podparł dłonią podbródek i milczał przez dłuższą chwilę, wpatrując się w mrok.

– Nie – powiedział w końcu.

Spojrzała mu w oczy, które wydały się jej rozpaczliwie smutne, i nagle poczuła, e serce w niej zamiera. Szlochając, podbiegła do niego.

– Och, Trace! Co my zrobimy, Bo e drogi, co my zrobimy?! Objął ją i przytulił do siebie tak mocno, e nawzajem mogli wyczuwać bicie swoich serc.

Usta Trace'ę dotykały jej policzka.

– A czy ty mnie zastrzelisz, je eli stanę między tobą i Hannibalem? I będziesz potem mogła z tym żyć?

– Och, Bo e, nie! – Miała wra enie, ze jakaś lodowata dłoń ściska jej serce na samą myśl o tym, e mogłaby wycelować rewolwer w jego kierunku.

Chwyciła go za ramiona i wpatrywała się w niego przera onymi oczami. –

Mo emy przecie stąd wyjechać, prawda? Mo emy to wszystko zostawić własnemu losowi... – W jej głosie pobrzmiwała panika. – No powiedz, proszę, e mo emy...

Trace delikatnie ujął jej twarz.

– Wiesz dobrze, e nie. Nie mo emy stąd uciec, bo ucieczka niczego nie rozwią e.

Miał oczywistą rację. Sam wiedziała, e zaszła ju za daleko, eby teraz nagle odjechać, a potem udawać, e potrafi jakoś yć bez dopełnienia tego, co przysięgła matce. Trace te zdawał sobie z tego sprawę.

– Nie uciekniemy przed tym, bo gdybyśmy tak zrobili, nie darowalibyśmy sobie tego do końca ycia. Nie, Sam. Ty musisz wreszcie przeciąć to wszystko, co cię wią e z przeszłością, bo tylko wtedy będziesz mogła naprawdę swobodnie zrobić krok w przyszłość, będziesz rzeczywiście wolna. A ja tak czy inaczej muszę się dowiedzieć, co naprawdę było między Ettą i moim bratem.

Sam słuchała go, nie próbując nawet ukrywać łez. Tak, Trace miał rację, e gdyby się teraz wycofali, gryzłoby ich to przez resztę ycia. Mieliby to sobie za złe, obwinialiby się wzajemnie i w końcu musieliby się zniechęcić. Zresztą nawet i bez tego taki koniec był mocno prawdopodobny – bo wśród mo liwych rozwiązań tych złych było znacznie więcej ni tych dobrych. Teraz rozumiała, dlaczego nigdy nie rozmawiali o przyszłości. Najprawdopodobniej w ogóle nie mieli szans na jakąkolwiek wspólną przyszłość.

Pojawiła się Estrella z kolacją, którą Sam zjadła w głębokim zamyśleniu, nawet nie zdając sobie sprawy, co właściwie je. Dwaj chłopcy przynieśli kilka wiader ciepłej wody.

Wykąpali się oboje, a Trace zgolił zarost, co Sam pozostawiła ju bez komentarza. Potem poło yli się do łó ka i kochali się wolno, długo i czule, z dotkliwą świadomością, e być mo e ju ostatni raz tak się obejmują i trzymają w ramionach.

Sam długo le ała w milczeniu, z głową wtuloną w zagłębienie między szyją i barkiem Trace'a, z dłonią lekko dotykającą klatki piersiowej w okolicach serca.

– Kocham cię – powiedziała nagle, podnosząc wzrok i patrząc na niego z czułością.

Trace odłó ył cygaro i powiedział:

– Wiem.

Oboje to wiedzieli. I oboje zdawali sobie sprawę, jak łatwo i jak tragicznie mo e się to skończyć.

Sam przytuliła policzek do jego świe o ogolonej twarzy.

– Będę się powstrzymywała z sięgnięciem po broń tak długo, jak będę mogła. Ale je eli ty nie strzelisz...

Milczał przez chwilę, a potem odezwał się głosem pełnym rozpaczliwego bólu:

– Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, co się wydarzy, więc nie rozmawiajmy ju o tym. Ty na razie musisz wypocząć.

– Ty te .

Objął ją i znów przyciągnął do siebie.

Później, gdy krańcowo ju wyczerpana Sam zasnęła głęboko, Trace długo jeszcze le ał nieruchomo, patrząc w ciemność. Znów przed oczami miał obrazy z dzieciństwa, wspólne wakacje z Hannibalem, tropienie zwierząt w zakolach rzeki, chłopięce zabawy, krzyki i śmiechy. W przypadku jakichś konfliktów z rówieśnikami Hannibal osłaniał młodszego brata i w razie potrzeby nawet bił się za niego, dopóki Trace nie podrósł na tyle, by mógł ju sam stawiać czoło przeciwnikom. Poniewa Hannibal był wy szy, mały Trace widział w nim olbrzyma, próbował go naśladować we wszystkim, chodził tak jak on i starał się mówić tak jak on. Hannibal był wtedy jego idolem.

Na myśl o tym dorosły ju Trace poczuł, e gwałtownie pieką go powieki.

Mniej więcej w tym samym momencie Hannibal Cotwell, jadący samotnie w kierunku śpiącego miasteczka Nowhere, wstrzymał konia i równie zamyślił się nad własną przeszłością i nad tym wszystkim, co łączyło go bratem – tym, który teraz przyjechał, eby mu spojrzeć w oczy i zadać pytanie, na które on wciąż nie miał odpowiedzi.

Po długim samotnym rozmyślaniu i spoglądaniu w milczące rozgwie d one niebo Hannibal w końcu podjął decyzję. Zawrócił i skierował

konia tam, skąd przybył. Rancho wyglądało na opuszczone i martwe.

Wkrótce miał nadejść świt.

Przyniesione przez Estrellę całkiem dobre śniadanie, składające się z placków zwanych *tortillas* i fasoli z pieczoną kiełbasą, oboje zjedli z najwyszym trudem. Wewnątrz domu było jeszcze w miarę chłodno, ale na zewnątrz skwar narastał gwałtownie – i podobnie narastało napięcie oczekiwania. Sam chodziła po pokoju tam i z powrotem, Trace palił kolejne cygaro i raz po raz bezwiednie zaciskał palce na kolbie wymyślanego rewolweru. Czas włókł się niemo liwie wolno i tylko słońce wznosiło się na niebie coraz wyżej.

– Więc będziesz miał przy sobie strzelbę Lymana i rewolwer, tak? –

zapytała Sam, zapominając, że pytała ju o to parę razy.

– Tak – odpowiedział Trace z anielską cierpliwością. Sam odruchowo dotknęła kolby rewolweru, który ju wisiał u jej pasa, ale nawet jeśli to dodało jej pewności siebie, to jedynie na krótko. Trudno było przewidzieć, ilu rewolwerowców może stanąć przeciw nim, ale w bandzie musiało być co najmniej kilku dobrze strzelających mężczyzn. Natomiast ich było tylko dwoje, więc szanse wyjścia cało z ewentualnej strzelaniny mieli raczej nikłe. Było bardzo prawdopodobne, że zostaną ranni albo zabici i że jedno z nich – albo nawet oboje – może nie doczekać wieczoru. Własna śmierć nie przerażała Sam a tak bardzo jak myśl o tym, że zabity może być również Trace. Aby przestać ju o tym myśleć, zapytała sztucznie beztroskim tonem:

– A kiedy ju będzie po... po wszystkim, pojedziesz do San Francisco?

Zamyślony Trace wciąż wpatrywał się w rozciągającą się za oknem pustynię, nad którą powietrze zdawało się tańczyć, rozgrzane narastającą spiekotą. Dopiero po chwili odpowiedział niemal takim samym pytaniem:

– A ty? Zastanawiałaś się, co potem będziesz robić?

– Jeszcze nie wiem... – Odwróciła się pośpiesznie, aby ukryć

zdradziecką wilgoć, która zbierała się w kącikach jej oczu. – Ale jedno wiem na pewno: nie mogę wrócić do zawodu łowcy nagród. To ju skończone...

podobnie jak moje przebieranie się za mężczyznę...

W gruncie rzeczy nie widziała przed sobą adnej wyraźnej przyszłości, raczej jakąś nieokreśloną, mglistą otchłań. Kiedy próbowała sobie wyobrazić siebie za jakieś dziesięć lat – zakładając, że w ogóle przeżyje oczekującą ich strzelaninę – widziała kobietę starzejącą się, milczącą, zamkniętą w sobie... i z pewnością również samotną jak dotychczas. W tej wyobrażonej przyszłości nie pojawiał się aden mężczyzna, bo to trudno było zakładać, że któryś z nich zechciałby akceptować taką kobietę, jaką Sam ostatecznie odkryła w sobie –

niezależną,

świadomą
własnej
wartości,
wolną
od
zahamowań,

bezceremonialnie szczerą, chwilami porywczą i zbyt ostrą w języku. Takich kobiet męczyźni z pewnością nie szukali, ale to nie miało adnego znaczenia, ponieważ jedynym męczyzną, który ją mógł obchodzić, był Trace Harden.

A po tym, co musiało się stać tego dnia, trudno było przypuścić, by czekała ich jakakolwiek wspólna przyszłość. Obudziła się rano z bardzo mocnym przecuciem, e to ona będzie musiała zabić Hannibala, ponieważ Trace po prostu się na to nie zdobędzie. Nie będzie strzelał do brata – a więc ona będzie musiała to zrobić, choć to oznaczało, e Trace ją za to znieawidzi. Sam wiedziała jednak, e się nie cofnie, nawet jeśli ludzie Hannibala mieliby potem podziurawić ją kulami jak tarczę strzelniczą. Taka śmierć byłaby dla niej lepsza od ycia ze świadomością nieuchronnej nienawiści ze strony człowieka, którego kochała.

– Sam? – usłyszała za sobą jego głos. Gwałtownie otrząsnęła się, wracając do rzeczywistości.

– Przepraszam, zamyśliłam się.

Trace patrzył na nią z takim wyrazem twarzy, jakiego jeszcze u niego nie widziała. W jego spojrzeniu było niezwykle ciepło.

– Jest parę rzeczy, które chciałbym ci powiedzieć, zanim nic się nie zmieniło i nic się jeszcze nie stało. Chcę to powiedzieć, póki jeszcze jest czas...

Okazało się jednak, e tego czasu nie ma. W otwartych drzwiach nagle pojawiła się sylwetka męczyzny, którego rysów nie mo na było wyraźnie dostrzec, ponieważ miał słońce dokładnie za sobą. Trace obrócił się gwałtownie, a Sam odruchowo poło yła dłoń na kolbie rewolweru.

– Trace Harden? – zapytał męczyzna.

– A kto go szuka? – Trace równie sięgnął po rewolwer.

– Jestem Marsh Crisp. – Męczyzna wszedł do środka i na widok Sam zdjął kapelusz, kłaniając się odruchowo. – *Mme!*

Przyglądał się jej tylko przez chwilę, ale nie było wątpliwości, e patrzy na nią jak na kobietę, która wzbudziła w nim wyraźne zainteresowanie. Na jego wargach pojawił się ledwie widoczny

uśmiezek, który natychmiast zniknął, gdy Crisp obrócił się w stronę Trace'a.

– Hannibal Cotwell pana oczekuje. – Ton jego głosu był spokojny i rzeczowy. – Ma pan pojechać ze mną na rancho.

Gdy Sam równie sięgnęła po kapelusz, Crisp uniósł brwi.

– Pan Cotwell nic nie mówił, e miałyby być jakaś kobieta. Trace obrócił się ku niej i chwycił ją za ramiona.

– Zostań, Sam – powiedział. – To i tak jest dla mnie wystarczająco trudne.

Pozwól mi zrobić to, co mam do zrobienia, bez dodatkowej troski o ciebie.

– Wiesz dobrze, e nie mogę na to pozwolić. – W jej spojrzeniu było błaganie, by ją zrozumiał i by zechciał jej wybaczyć. – To nie tylko twoja, ale i moja sprawa.

Puścił ją tak gwałtownie, e zachwiała się i omal nie upadła.

– Musimy jeszcze odebrać nasze konie ze stajni – rzekł i zarzucił na ramię spakowane ju sakwy podró ne. Tak czy inaczej nie zamierzali tu wracać, za nocleg i posiłki zapłacili ju wcześniej. Obrócił się do Crispa i powiedział: –

Idziemy.

– Tylko razem ze mną! – oznajmiła twardo Sam i wyzywająco spojrzała na Crispa. Ten jednak zrezygnował ju ze sprzeciwu; lekko wzruszył ramionami i kiwnął głową na znak zgody.

Za to na widok wiszącego u jej boku rewolweru uśmiechnął się jawnie rozbawiony.

– Potrafi pani posługiwać się czymś takim?

– Na tyle dobrze, e chętnie wzięłabym jeszcze jeden. Crisp roześmiał się i próbował dalej się z nią droczyć, a nawet lekko flirtować w ciągu tych paru minut, kiedy szli na piechotę do pobliskich stajni. Sam jednak bardzo chłodno uciniała wszystkie te próby, wyobra ając sobie przy tym, z jak wielką przyjemnością skułaby tego gagatka i odstawiła do szeryfa, eby odebrać nagrodę.

Jednak e zachowanie Crispa świadczyło w sposób oczywisty, e on widzi w niej jedynie kobietę. Tak więc jej kariera łowcy nagród chyba rzeczywiście dobiegała końca. Męskie przebranie ju nic by nie pomogło – za bardzo zmieniała się nie tylko zewnętrznie, ale i wewnętrznie. Zupełnie inaczej się poruszała, wyraz jej twarzy te zmienił się bardziej, ni kiedykolwiek mogła przypuszczać. Miłość do Trace'a uczyniła z niej prawdziwą kobietę.

Po odebraniu koni ruszyli ledwie widoczną polną drogą prowadzącą wprost w pustynię.

– Czy to daleko? – spytała, kiedy jadący przed nią Crisp trochę zwolnił.

– Jakieś dwie mile – odpowiedział, po czym odgiętym kciukiem wskazał

na jadącego za nimi Trace'a i zapytał: – Kim on jest?

– To Cotwell panu nie powiedział?

– Wiem tylko tyle, e czekał na jego przyjazd. – Spojrzał na nią badawczo, a gdy Sam nadal milczała, dodał jeszcze: – W ka dym razie to musi być jakaś wa na sprawa, bo szef był wyjątkowo poruszony.

– Widocznie miał powody – odpowiedziała powściągliwie i obróciła głowę do tyłu, eby w przybli eniu ocenić odległość dzielącą miasteczko i widoczne ju w oddali rancho.

Crisp równie się obejrzał, patrząc na Nowhere z jawnym obrzydzeniem.

– Koszmarna dziura! – powiedział i splunął pogardliwie. – Wyje d amy stąd zaraz po tym waszym spotkaniu. I całe szczęście, bo, moim zdaniem, ju dawno trzeba było to zrobić! Ten zafajdany szeryf wyraźnie coś kombinuje!

Sam nie odpowiedziała, a Crisp westchnął wymownie, poklepał swego konia po szyi, a potem odwrócił się i zapytał:

– To jak pani ma na imię, ślicznotko?

W tym momencie wzrok Sam był ju lodowaty.

– Zamknij się, Crisp! – rzuciła nadspodziewanie ostro. – I to ju !

Popatrzył na nią jawnie zaskoczony.

– Kim wy oboje jesteście, u diabła?! – zapytał, ale nie doczekał się odpowiedzi. Sam ściągnęła wodze i zrównała się z jadącym za nią Trace'em, który tylko spojrział na nią i lekko skinął głową na znak, e zachowała się właśnie tak, jak nale ało.

Dalej ju jechali w milczeniu, a Sam tylko od czasu do czasu rzucała okiem na Trace'a. Ten wciąż zachowywał godny podziwu spokój, choć rancho, do którego zmierzali, było ju na tyle blisko, e mo na było rozró nić poszczególne budynki.

Wszystkie były zaniedbane i mocno zniszczone. Tak e ogrodzenie było rozeschnięte i spękane. Stojący na środku dom wyglądał na ulepiony z gliny, drewniany był jedynie ganek, szerniały od słońca i trzymający się na ledwie kilku mocniejszych deskach. Z boku była jeszcze długa belka do wiązania koni, przybita do dwóch mocnych słupów. Kwadratowy dziedziniec przypominał

klepisko, nieocienione najmniejszym choćby drzewem, jedynie na samych obrze ach rosły kępy jakiegoś zrudziałego zielska i kilka wybujałych kaktusów.

Gdy Crisp ruszył do przodu, eby powiadomić Cotwella, Sam pochyliła się do Trace'a i powiedziała:

– Mam nadzieję, e ci się uda... e potrafisz. Ja w ka dym razie będę trzymać za ciebie kciuki i czekać tak długo, jak się tylko da. Ale je eli nie... to tak czy inaczej Hannibal nie wyjdzie stąd ywy. Tym razem ju nie!

– Nie dasz mu rady, Sam. To zawodowy rewolwerowiec.

– Ja te jestem zawodowcem.

Trace ruchem głowy wskazał jej dwóch mę czyzn, którzy na widok wracającego Crispa wyszli z za stajni i ruszyli za nim w kierunku domu.

– Gdy tylko wycelujesz broń w Hannibala, ci ludzie zastrzelą cię, zanim zdą ysz mrugnąć. Nie dadzą ci szansy. Na miłość boską, Sam, przemyśl to raz jeszcze. To, co się stało z twoją matką, było tak dawno... niemal wieki temu.

Je eli teraz zawrócisz i odjedziesz, masz wciąż szanse. Całe ycie jest jeszcze przed tobą!

Przez na wpół rozwaloną bramę wje d ali ju na dziedziniec. Sam czuła w okolicach skroni uderzenia własnego pulsu, równe i miarowe.

– Czekałam dwanaście lat na tę chwilę – odrzekła bardzo spokojnie i zdecydowanie. Nie odczuwała strachu, co najwy ej pewną treść, ale z gatunku tych, które jedynie mobilizują przed występem. – Przez dwanaście lat o tym marzyłam i przygotowywałam się do tego nie po to, eby teraz zawracać. Myślę zresztą, e oboje od początku doskonale wiedzieliśmy, e adne z nas ju się stąd nie cofnie.

Nim zatrzymali konie przed gankiem, Trace zdą ył dotknąć jej ramienia.

Spojrzała na niego i w jego rozświetlonych słońcem bursztynowych oczach wyczytała wszystko – było w tym poczucie bliskości, podziw, szacunek... i coś jeszcze. Coś, co sprawiło, e jej serce zabiło mocniej z radości, choć jednocześnie do oczu gwałtownie cisnęły się łzy.

– Jestem dumny, e cię poznałem, Samantha Kincade – powiedział

głosem nieco ochryłym ze wzruszenia. Było to po egnanie i oboje o tym wiedzieli.

– A ja jestem dumna, e poznałam ciebie – szepnęła Sam.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, do rzeczywistości przywołał ich dopiero donośny głos Crispa, który w swoim stylu zaanonsował ich przybycie:

– Szefie, ten Harden ju tu jest!

Potem Crisp usunął się pośpiesznie i wraz z dwoma pozostałymi członkami bandy stanął trochę z boku, tu za belką do wiązania koni. Stamtąd mogli obserwować wszystko, niczym z lo y teatralnej, i z jawnym zainteresowaniem czekali na dalszy rozwój wypadków.

Sam trąciła piętami konia i ustawiła go tak, aby osłonić Trace'a od strony tej trójki. Na razie ludzie

Hannibala wydawali się tylko zwyczajnie zaciekawieni ich przybyciem, najwyraźniej nieświadomi tego, że cała rzecz może się skończyć śmiertelną strzelaniną. Ale wszyscy byli uzbrojeni i Sam mogła rzeczywiście ałować, a ma u pasa tylko jeden rewolwer. Co prawda Trace miał przy siodle strzelbę Lymana, ale trudno było przewidzieć, czy w razie potrzeby zdąży po nią sięgnąć dostatecznie szybko.

Wszyscy czekali na pojawienie się Hannibala.

Gdy w końcu dały się słyszeć kroki i w otwartych drzwiach ukazała się jego krępa sylwetka, Sam nagle zamarła, głęboko wstrząśnięta tym, co zobaczyła. Dwanaście lat temu widziała go oczyma dziecka i zapamiętała go jako potęgę nie zbudowanego, wręcz olbrzymiego mężczyznę o przerażającej twarzy urodzonego mordercy – potwornie brzydkiej i dodatkowo jeszcze zniekształconej przez ohydne blizny. Teraz okazywało się, że nie miało to wiele wspólnego z rzeczywistością. Hannibal tak naprawdę był trochę niższy od Trace'a, miał inną budowę ciała – beczkowatą klatkę piersiową, nogi nieco krótsze i wyraźnie krzywe. Na czole i oku rzeczywiście miał dwie okropne blizny, ale – co dla Sam było prawdziwym szokiem – przy tym wszystkim wcale nie wyglądał na potwora. Przeciwnie – mimo wypisanej na twarzy drapieżnej brutalności, mimo prawie karykaturalnej ostrości rysów, na swój sposób wciąż był więcej niż przystojny. Starszy od Trace'a i w zupełnie innym typie – a mimo wszystko tak bardzo podobny. Jeśli Trace'a można było przyrównać do jasnej strony księżyca, to Hannibal był tą ciemną stroną. Sam w każdym razie była pewna, że ta mroczna męska uroda może na niektóre kobiety działać nawet bardzo silnie.

– Wiesz, dlaczego tu jestem? – zapytał Trace głosem nieco ochrypłym z emocji, gdy Hannibal zszedł z ganku i stanął w rozkroku jakiś metr przed nim, tu przy łbie jego konia. Dłonie miał oparte na biodrach nad szerokim skórzanym pasem, przy którym wisiał rewolwer tu pod palcami prawej dłoni.

– Wiem, bo Mattie powiedziała mi, co było w liście Etty. – Hannibal wyprostował się i spojrzał bratu prosto w oczy. – No i co dalej?

Ten wyciągnął rewolwer, na co trzej członkowie bandy wyprostowali się nagle, bacznie obserwując reakcję szefa. Sam odruchowo opuściła dłoń na kolbę rewolweru, a jej mięśnie natychmiast sprężyły się, gotowe do akcji. Patrzyła na Hannibala, zaszokowana jego podobieństwem do Trace'a, i przez moment nawet zastanawiała się, czy naprawdę byłaby zdolna do zabicia człowieka tak bardzo podobnego do tego, którego kochała.

Rewolwer w dłoni Trace'a był teraz skierowany prosto w pierś Hannibala, ale ten zdawał się to ignorować. Zdecydowanym gestem nakazał swoim ludziom, aby schowali broń i pozostali na miejscu, co uczynili z zauważalnym ociąganiem. Hannibal znów patrzył w oczy brata. Napięcie gwałtownie rosło.

– Etta popełniła samobójstwo – powiedział Trace. Jego rewolwer wciąż był wymierzony w Hannibala. – W swoim ostatnim liście napisała, że ją zgwałciłeś. Chcę wiedzieć, czy to prawda?

Hannibal przymrużył oczy, a jego wargi wygięły się w krzywym półuśmiechu.

– A jeśli to prawda, braciszku – odpowiedział z wyzywającym spokojem

– to co mi zrobisz?

– Jeśli to prawda, to cię zabiję.

– Nie będziesz miał dość odwagi. Znam cię. Trace zacisnął zęby i odciągnął kurek rewolweru.

– Pytam cię jeszcze raz, czy zgwałciłeś moją onę?! Gdyby Sam nie przyglądała się twarzy Hannibala z tak krańcowo natę oną uwagą, mogłaby tego w ogóle nie dostrzec. Przez ułamek sekundy wydało jej się, e jego twarz wykrzywia się w grymasie rozpaczliwego bólu, ale trwało to krócej ni mrugnięcie okiem. Gdy spojrzała ponownie, to wra enie znikło, pozostawiając ją w niepewności, czy jej się to nie przywidziało. Teraz Hannibal patrzył jeszcze bardziej wyzywająco.

– A jeśli to zrobiłem, no to co? Nale ało się jej! Wszystkie kobiety to dziwki! – Pogardliwym wzrokiem spojrzał na Sam. – Wszystkie!

Trace zeszywniał z wściekłości. Rewolwer wyraźnie dr ał w jego dłoni.

– Wyciągnij broń! – krzyknął, z trudem panując nad sobą. Obserwujący to członkowie bandy znów chcieli sięgnąć po rewolwery, ale Hannibal uniesioną dłonią nakazał im spokój. Potem obrócił się znów w stronę Trace’a, uśmiechnął

się drwiąco i skrzy ował ręce na piersi. Tylko stru ki potu, spływające po jego twarzy, świadczyły o tym, e i jego nerwy są krańcowo napięte.

– Je eli wyciągnę broń, to na pewno cię zabiję – powiedział wciąż tym samym szyderczym tonem. – Ale chcę ci dać szansę. Bierz tę swoją nową kobietę – kiwnął głową w kierunku Sam – i wynoś się stąd, póki jeszcze yjesz.

Spięta Sam patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, usiłując zrozumieć ukryte powody takiego jawnie niekonsekwentnego zachowania. Bo było w tym otwarte wyzwanie, ale tak e i jakaś dramatycznie ukryta prośba, wręcz błaganie o zrozumienie. Na pozór Hannibal zachowywał się tak, jak gdyby chciał sprowokować brata, doprowadzić do tego, eby Trace pociągnął za spust. Ale przy tym wszystkim nie wyciągał broni i ręce miał wciąż skrzy owane na piersiach. Sam nie była w stanie tego pojąć.

Przez dłu szą chwilę Hannibal stał zupełnie nieruchomo i wpatrywał się w oczy Trace’a, wciąż nie mówiąc ani słowa. Mo na było odnieść wra enie, e widzi tylko jego, e cała reszta świata przestała dla niego istnieć. Trace wyraźnie nie mógł ju znieść tego milczenia.

– Broń się, na miłość boską! Sięgnij po rewolwer i broń się! – W jego głosie przebijał rozpaczliwy ból, a twarz była szara jak popiół. Mo na było z niej wyczytać wszystko to, co rozdzierało mu serce, wszystkie targające nim sprzeczne uczucia. Sam miała wra enie, e widzi go teraz na wylot, e sama prze ywa to wszystko jednocześnie z nim. Widać było, e Trace a dygoce z przemo nej chęci, eby nacisnąć spust i zabić Hannibala. e teraz ju naprawdę wierzy w jego zdradę i winę.

Ale Trace Harden nigdy nie miał duszy zabójcy. Był zwykłym człowiekiem, z gruntu dobrym i przyzwoitym, i po prostu nie potrafił strzelić do brata, który nawet nie chciał wyciągnąć rewolweru,

eby się bronić. Ręka Trace'a dręła coraz wyraźniej i nietrudno było dostrzec, e zaczyna go ogarniać rezygnacja.

Hannibal te to zauważył.

– Nigdy nie miałeś dość odwagi – powiedział drwiąco.

– No to broń się, do cholery! – krzyknął rozwścieczony Trace i strzelił w ziemię tu przed stopami brata, ledwie o cal od czubka jego kowbojskiego buta.

Huk wystrzału jeszcze nie zdążył wybrzmieć, gdy drugi strzał rozległ się niczym spóźnione echo, a rewolwer nagle wypadł z palców Trace'a, który jęknął

cicho i odruchowo przycisnął do piersi skaleczoną i broczącą krwią prawą dłoń.

Zanim Sam zdążyła sięgnąć po broń, Hannibal obrócił się błyskawicznie i strzelił między oczy Crispa. Ten wypuścił z dłoni jeszcze dymiący rewolwer, po czym wolno osunął się na belkę do wiązania koni i po chwili zastygł

przewieszony przez nią jak szmata.

– Zabroniłem strzelać, do jasnej cholery! – Hannibal nawet nie spojrział na zastrzelonego Crispa i zwrócił się do pozostałych członków bandy: – Jake i Rudy, wynoście się stąd. To jest sprawa tylko między mną i moim bratem. A ty te uciekaj, póki jeszcze jesteś cała. – Kiwnął głową w kierunku Sam.

Jake i Rudy jeszcze raz spojrzeli na zastrzelonego kompana, po czym obrócili się, zamierzając ruszyć w stronę bramy. Jednak na widok tego, co zobaczyli w oddali, zapomnieli o zastrzelonym towarzyszu.

– Szefie, jadą do nas! – krzyknął Jake. – Kilkunastu jeźdźców! To obława!

– Za dziesięć minut tu będą! – dodał Rudy.

Hannibal spojrział na nich i tylko kiwnął głową. Sam patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Nigdy w życiu nie widziała, by ktoś tak szybko potrafił dobyć broni i strzelić. Hannibal okazał się tu arcymistrzem, a tymczasem Trace był ranny w prawą dłoń, a więc w gotowości pozostawała ju tylko ona.

I choć nie bez racji uważała, e jest w strzelaniu bardzo dobra, zdawała sobie sprawę, e z kimś takim jak Hannibal w ten sposób równać się nie może.

Hannibal jeszcze raz spojrział na widoczną ju z dala chmurę kurzu, unoszącą się wysoko ponad pędzącą ku nim grupą jeźdźców, a potem – nie zwracając ju uwagi ani na swoich dwóch pozostałych ludzi, ani na Sam – znów obrócił się do Trace'a.

– No więc przyznaję się, e zgwałciłem twoją onę – powiedział. –

Przyjechałeś tu po to, eby to usłyszeć, więc usłyszałeś. I co teraz?

Sam znów miała niejasne wra enie,

e w tym jego drwiącym i

aroganckim głosie pobrzmiwa z trudem skrywana rozpacz, ale w końcu uznała, e to jednak zbyt nieprawdopodobne.

– Ale dlaczego? – spytał Trace. – Etta bardzo yczliwie przyjmowała cię w naszym domu. Nigdy nie okazywała ci niechęci i traktowała cię z szacunkiem. A ja wierzyłem, e mo na ci ufać. Więc dlaczego to zrobiłeś?

Hannibal patrzył na niego spod przymru onych powiek.

– Chcesz wiedzieć dlaczego? No więc ci powiem. Ty zawsze miałeś wszystko. Najpierw uczucia rodziców, świąteczne prezenty, beztroskie ycie. A potem miałeś swoje prosperujące interesy, domy gry i kasyna, posiadłość w Kansas City, słu bę i piękną onę. To było niesprawiedliwe, więc coś sobie z tego zabrałem. Uwa ałem, e ju najwy szy czas, ebyś się ze mną podzielił.

Więc mo e tak naprawdę wcale nie chodziło o Ettę, tylko o to, e ci po prostu zazdrościłem przez całe moje pieprzone ycie!

Trace wciąż przyciskał do piersi krwawiącą dłoń, ale najwyraźniej ju nawet nie pamiętał o tym skaleczeniu. Poblady i poruszony do głębi, wpatrywał

się w twarz Hannibala. Milczeli obaj, a Sam miała wra enie, e w tej nieludzkiej wręcz ciszy słyszy bicie własnego serca.

W końcu Trace przerwał milczenie.

– Myślę, e kłamiesz, bracie – rzekł bardzo spokojnie, ale i stanowczo. –

Wcale jej nie zgwałciłeś. Mattie miała rację, kiedy mówiła, e to Etta cię uwiodła. A ty ją po prostu kochałeś.

Hannibal zaklął wulgarnie.

– Czy ty w ogóle nie słuchasz, co się do ciebie mówi? I co ci znów przychodzi do tej głupiej głowy?! Wcale nie jestem taki, jak myślisz, i nigdy taki nie byłem! Przez całe ycie próbowałeś mi przypisywać własne zalety, własne dobre cechy, których nigdy nie miałem. Ja nie jestem tobą, byłem zły od samego początku! Nasza matka o tym wiedziała i ojciec te wiedział, więc dlaczego, do cię kiej cholery, ty ciągle tego nie widzisz? Zdezercerowałem z wojska, napadałem na dyli anse i pociągi, zabiłem co najmniej dwa tuziny ludzi i zgwałciłem ze sto kobiet! A ciebie z premedytacją zdradziłem i nadu yłem twojego zaufania, bo byłeś na tyle głupi, eby uwa ać, e skoro ty poczuwasz się do braterskiej więzi, to i ja muszę odczuwać coś takiego w stosunku do ciebie. No więc bardzo się myliłeś! A twój dom był dla mnie tylko i wyłącznie wygodną i bezpieczną kryjówką, gdy łowcy

nagród za bardzo deptali mi po piętach. Trace patrzył na niego i nadal nic nie mówił. Natomiast Hannibal ju prawie krzyczał.

– Zgwałciłem twoją onę i powiem ci, e śmiałem się przy tym i z niej, i z ciebie. Bo wreszcie odpłaciłem ci za wszystko, tak e za to, e mnie bito, a ciebie nie! A teraz wynoś się stąd do wszystkich diabłów, zanim w końcu naprawdę zechcę cię zabić!

Słuchająca tego wszystkiego Sam nagle zdała sobie sprawę, e to jest właśnie ten od dawna oczekiwany moment. Jednak Trace nie był teraz zdolny do pochwylenia strzelby i zabicia Hannibala. Za to w niej wszystko instynktownie rwało się do działania, do wypełnienia zło onej przed laty przysięgi. Mogła strzelić do mordercy swojej matki i całym swym sercem, i całą duszą pragnęła to zrobić. Ale mimo wszystko pamiętała te o swej obietnicy – e będzie zwlekała z wyciągnięciem broni a do ostatniej chwili. Zacisnęła więc zęby, otarła pot z czoła i nakazała sobie cierpliwość. Postanowiła dać Trace’owi jeszcze minutę albo dwie.

On tymczasem spojrział bratu prosto w oczy.

– Zupełnie nie wiem, po co mi to wszystko próbujesz opowiadać, Hanny.

Nie wierzę w to. Zawsze wiedziałem, kiedy próbowałaś kłamać. Etta sama do ciebie przyszła, prawda?

W oczach Hannibala błysnęła furia.

– I ty myślisz, e taka elegancka dama kłamałaby w swym ostatnim liście? e poni yłaby się a tak bardzo i zdradziła mę a? Myślisz, e była cudzoło nicą?!

– A nie była?

– Była najszlachetniejszą osobą, jaką kiedykolwiek znałem!

Prawdziwą damą, aniołem! Kiedy mnie odtrąciła, pobiłem ją i zgwałciłem.. – Obrócił głowę i popatrzył na zbli ającą się szybko obławę, a potem kątem oka zerknął na strzelbę u siodła Trace’a. – A ebyś miał pełny obraz tego, jak to zrobiłem, mój drogi braciszku, dokonamy tu małej demonstracji...

Hannibal szybkim krokiem podszedł do siedzącej na koniu Sam, zatrzymał się tu przed nią i zaczął się w nią wpatrywać. Jego óltawe tygrysie oczy były tak niesamowicie podobne do oczu Trace’a, e Sam nagle w ogóle przestała oddychać i przez kilka sekund czuła się zupełnie sparali owana.

I ta chwila całkowicie Hannibalowi wystarczyła. Ruch jego ręki był tak szybki, e Sam nie miała czasu na jakąkolwiek reakcję. Błyskawicznie ściągnął

ją z konia, a kiedy spadła na ziemię tu obok jego stóp, bez wysiłku wyrwał jej z dłoni rewolwer i odrzucił a na ganek. Zdą ył jeszcze klepnąć jej konia na tyle mocno, e ten klusem pobiegł w kierunku ogrodu.

To wszystko stało się tak niespodziewanie i szybko, że Sam nawet nie zdążyła jęknąć, gdy już leżała na ziemi, pozbawiona broni i nagle całkowicie bezradna. Serce jej biło tak gwałtownie, jak gdyby chciało wyskoczyć z piersi.

– Zostaw ją w spokoju, Hanny! – Głos Trace’a był ochrypły i pełen wściekłości.

Hannibal tymczasem pochylił się nad nią i spojrzał jej w oczy, a to, co Sam w nich zobaczyła, znów jej odebrało dech. Te oczy naprawdę były pełne rozpaczliwego bólu. Trudno było w to uwierzyć akurat w momencie, gdy wszystkie atuty zdawały się pozostawać w ręku Hannibala, ale miała nieodparte wrażenie, że patrzy w oczy człowieka, który umiera.

Jednak że Hannibal szybko postarał się przekonać ją, że wcale tak nie jest.

Jednym ruchem rozerwał jej koszulę, odsłaniając nagi biust. Sam poczuła, jak jego dłoń, pełna twardych odcisków, zaczyna brutalnie pieścić jej piersi.

Hannibal wyzywająco patrzył na Trace’a.

– Widzisz? – zapytał drwiąco. – Zawsze chciałem mieć to co ty. Bo ty miałaś wszystko, a ja nic... – Opuścił wzrok i spojrzał na Sam tymi tygrysimi oczami. Potem niespodziewanie pochylił się i uderzył ją w twarz grzbietem dłoni z taką siłą, że jej głowa gwałtownie odskoczyła do tyłu. Przez dłuższą chwilę dzwoniło jej w uszach.

Ale niemal w tej samej chwili huknął wystrzał ze strzelby – i czas nagle się zatrzymał.

Hannibal Cotwell, wciąż pochylony nad leżącą na ziemi Sam – i nagle znieruchomiał po trafieniu kulą, która ugodziła go w pierś – nie przestawał

patrzeć jej w oczy. Mogłoby się zdawać, że patrzył tak przez co najmniej kilka minut, choć w rzeczywistości trwało to ledwie sekundy. Ale i tego wystarczyło, by Sam dostrzegła, że w spojrzeniu umierającego ten głęboko dotąd skrywany, rozpaczliwy ból ostatecznie gdzieś się rozplynął. Że nie ma tam już udręki, a jest jedynie ulga i spokój.

Hannibal westchnął głucho, zrobił krok i przy następnym upadł bokiem na ziemię, trzymając się za klatkę piersiową.

Sam miała ledwie ułamek sekundy, aby ocenić sytuację. Trace był w wyraźnym szoku. Nadal siedział na koniu, trzymając w zdrowej lewej dłoni dymiącą jeszcze strzelbę. Nadjeżdżający całym pędem obława była już kilkaset metrów od ogrodzenia, a od strony stajni biegli zaniepokojeni upadkiem swego szefa Jake i Rudy, obaj z bronią w ręku.

Nie było czasu na zastanawianie się. Sam chwyciła rewolwer Hannibala, przetoczyła się po ziemi i leżąc, strzeliła dwukrotnie. Trafieni w biegu Jake i Rudy padli jeden po drugim, a ten z nich, który się nie ruszył, Sam upewniła się jeszcze, że obaj nie żyją, a potem z prawdziwą ulgą odłożyła niepotrzebny już rewolwer. Wciąż leżała twarzą do ziemi, ciężko dysząc i usiłując wyrównać oddech. Wreszcie wolno przekręciła się na plecy, jako tako osłoniła piersi połami rozdartej koszuli i podniósłszy się w końcu na nogi, zaczęła się rozglądać, szukając Trace’a.

Był bardzo blisko, bo tu za jej plecami. Siedział wprost na ziemi, trzymając w ramionach umierającego brata. Pochylał się nad nim co chwila i wciąż zakrwawioną od skaleczenia dłonią gładził go po policzku.

– Zapomniałem... zapomniałem, e potrafisz strzelać z obu rąk – szepnął

Hannibal.

– Nie zapomniałeś... – powiedział Trace. Jego głos brzmiał głucho, zupełnie inaczej niż zwykle.

– Powiniennem być pamiętać. – Brat patrzył mu w oczy i nawet próbował

się uśmiechnąć. – Przecie to ja nauczyłem cię strzelać... nauczyłem cię niemal wszystkiego. Pamiętasz taki jesienny dzień... było ju naprawdę zimno, a my... –

Nagle chwycił dłoń Trace'a. – Posłuchaj, to wszystko, co mówiłem, to nie... Ja...

– Wiem, Hanny, wiem... wszystko wiem! O Bo e drogi! – W kącikach oczu Trace'a zabłysły łzy. – Ja nie chciałem, eby tak się stało...

Hannibal oddychał z trudem, na jego usta wystąpiła ró owa piana.

– Ty nie... ale ja chciałem, eby to się stało właśnie tak. Nie chciałem umierać wieszany publicznie, na oczach obcych ludzi. Tak jest lepiej... lepiej!

– O Bo e, Bo e – jęknął Trace i odgarnął włosy, które opadły bratu na czoło. – O Chryste Panie!

– ałuję, e to zrobiłem, Trace... i ałuję, e ona umarła. Bo ja zawsze... a Etta, wiesz, ona naprawdę... – Szept umierającego był ju ledwie słyszalny, jego ciałem wstrząsały konwulsje, gdy tylko próbował odkaslnąć. Ró owa piana na ustach stawała się coraz bardziej czerwona. – Etta się broniła... walczyła jak dziki kot... ona...

– Ona cię kochała, Hanny. Wiedziałem to od pierwszej chwili, gdy tylko zobaczyłem, jakim wzrokiem na ciebie patrzy...

– Nie, Trace... ona...

Sam odwróciła się i odeszła, przygryzając wargi. Ta scena była zbyt bolesna i zbyt osobista, by ktokolwiek mógł ją oglądać bez rozpaczliwego bólu w sercu – usunęła się więc, eby w tych ostatnich chwilach bracia mogli być sami. Ruszyła w kierunku bramy na spotkanie jeźdźców, którzy ju się zbliżali do zewnętrznego ogrodzenia.

Szła ku nim i myślała o tym, co się stało. Hannibal jej nie poznał, a ona nawet nie próbowała mu przypominać wydarzeń, które przed dwunastu laty rozegrały się w miasteczku Cottonwood. Teraz było na to za późno, ale te –

prawdę mówiąc – nie miało to ju większego znaczenia.

Gdy patrzyła na Trace'a, trzymającego w ramionach umierającego brata, po raz pierwszy zupełnie inaczej pomyślała zarówno o zemście, jak i o swej zło onej przed laty przysiędze. Przyszło jej nawet do głowy, e matka być mo e wcale nie pragnęła, by jej córka marnowała całe lata na jałowe i kaleczące ją wewnątrznie myśli o krwawym odwecie. A gdyby mogła jej wtedy coś doradzić, kto wie, czy nie nakłaniałaby jej raczej do pogodzenia się z losem. Do podjęcia wysiłku koniecznego do odrzucenia tych bolesnych wspomnień i do zebrania na nowo sił potrzebnych na rozpoczęcie własnego ycia.

Obróciła się jeszcze raz i spojrzała na Trace'a, który nadal obejmował

brata i coś do niego mówił, wciąż bardzo ciepło i czule. Sam pośpiesznie odwróciła głowę.

Widok umierającego Hannibala Cotwella nie sprawiał jej adnej

satisfakcji. Mogła jedynie ałować, e nie zrozumiała tego wcześniej. Du o wcześniej.

Nagle poczuła, e jest straszliwie zmęczona. Uniosła ręce, dając znaki ludziom z obławy, eby się zatrzymali.

– Ju jest po wszystkim. Cotwell nie yje i jego ludzie te ! – zawołała, gdy pierwsi jeźdźcy ju wje d ali do bramy. Ciała zastrzelonych stanowiły wymowne potwierdzenie jej słów. Sam zebrała resztki sił i prostując się, podeszła do oficera, który dowodził obławą. – To przede wszystkim zasługa sędziego Horace'a Mocktona z Denver – powiedziała, starając się, eby zabrzmiało to jak najbardziej oficjalnie. – Bo właśnie sędzia Mockton obmyślił

tę pułapkę, w którą wpadł Cotwell.

– A kim pani właściwie jest? – zapytał dowódca obławy.

Jeszcze raz obrzucił wzrokiem zabitych, zatrzymując się dłu ej na znieruchomiałej postaci Hannibala Cotwella, któremu brat właśnie zamknął

powieki.

Sam ze ściśniętym sercem patrzyła, jak Trace na oczach wszystkich podnosi się, wolnym krokiem idzie do swego konia i obejmuje go za szyję, kryjąc swą mokrą od łez twarz w grzywie wiernego zwierzęcia.

– Nazywam się Sam Kincade, a ten mę czyzna to Trace Harden. Mam przekazać panu polecenie sądu w Denver, by natychmiast telegrafował pan do sędziego Mocktona, który wyjaśni panu wszystkie szczegóły tej sprawy.

Ostatkiem sił podeszła do swego konia, pośpiesznie chwyciła za lęk, eby nie upaść, i oparła czoło na siodle. Szeryf Brown – który pojawił się na dziedzińcu jako jeden z ostatnich, a potem przez dłu szą chwilę rozmawiał z dowódcą obławy – zatrzymał się przy niej i zapytał:

– Pani płacze? Czy mo e potrzebna jest pomoc lekarza? – Z widocznym zaskoczeniem przyglądał się jej twarzy i rozdartej koszuli.

– Nie! – odpowiedziała cicho, zaciskając gwałtownie powieki, eby ukryć wciąż cisnące się do oczu łzy. – Wcale nie płacę.

– Dowódca obławy powiedział mi, e ten człowiek to Trace Harden, a pani nazywa się Sam Kincade. Je eli tak, to mam obowiązek was zatrzymać.

– Wiem o tym.

Brown jeszcze raz spojrział na jej biust, nie do końca przykryty podartą koszulą.

– Jest pani pewna, e nazywa się Sam Kincade? Bo w liście gończym mówi się o dwóch mę czynach, a poza tym pani wcale nie wygląda na łowcę nagród.

– Mimo to Sam Kincade to ja, choć rzeczywiście nie jestem mę czyną. –

Starła się mówić jak najspokojniej. – Ale przez wiele lat musiałam udawać mę czynę. Wyjaśnianie zajęłoby zbyt du o czasu.

Szeryf Brown jeszcze raz popatrzył na nieruchome ciała, na których zastygła ju krew, spieczona palącym słońcem.

– Ale co się tu, u diabła, właściwie stało?! – spytał.

Sam odpowiedziała tak cicho, jak gdyby mówiła tylko do siebie:

– Byli dwaj bracia i kobieta. Zła kobieta. Przez nią mogli zginąć obaj, ale ostatecznie zginął tylko jeden, mo e dlatego, e szukał tej śmierci... e miał

wszelkie powody, by jej szukać. I był tu jeszcze ktoś, komu dopiero ta śmierć pokazała niezwykle dobitnie, e zemsta jest najnędnniejszą z ludzkich emocji.

Tak mniej więcej mo na by odpowiedzieć na pytanie, co się tutaj stało.

Szeryf Brown przetrzymał ich w ciasnym i dusznym areszcie przez bite dziesięć dni, bo tyle zajęła mu wymiana telegramów z sędzią Mocktonem. Tylko osoby nie do końca ufające szeryfowi Brownowi mogłyby podejrzewać, e to opóźnienie nie całkiem przypadkowo trwało akurat tyle, ile było trzeba, eby do Nowhere zjechała w komplecie cała armia przedstawicieli prasy ze wszystkich stanów i większych miast tego olbrzymiego przecie kraju. Trudno byłoby nie zauważyć, e miasteczko z tego najazdu czerpało spore korzyści. Do szynku trzeba było kilkakrotnie sprowadzać a z Prescott dodatkowe transporty whisky i piwa. Wszystkie dostępne łódka, łącznie z dostawkami, były wynajęte na dwie zmiany. A biuro telegrafu a huczało od intensywnej pracy, gdy reporterzy wysyłali sensacyjne depesze do dziesiątków większych i mniejszych redakcji, do najpopularniejszych gazet, czytanych powszechnie od Atlantyku po Pacyfik, od Nowego Jorku po San Francisco.

Ale te należało przyznać, e ta niezwykła historia zawierała wszystko, o czym zwykli marzyć dziennikarze. Był więc bezlitosny notoryczny przestępca, ucieczka z podpalonego więzienia, brat występujący przeciw bratu, piękna kobieta w męskim przebraniu łowcy nagród i mistrzowski plan zwabienia złoczyńcy, opracowany przez sędziego, który całkiem przypadkowo akurat kandydował do senatu. Była gra ludzkich namiętności, patos i polityka, a na zakończenie śmiertelna strzelanina w promieniach palącego słońca.

Temat wydawał się wręcz niewyczerpany i doprawdy trudno byłoby przewidzieć, jak długo szeryf Brown mógłby jeszcze przetrzymywać w areszcie tych dwoje – zatrzymanych do wyjaśnienia – uczestników owych dramatycznych wydarzeń. Na szczęście dla nich ju po tygodniu pojawiła się nowa sensacyjna wiadomość – o napaści Indian z plemienia Apaczów na wojskowy fort położony w pobliżu Santa Fe. Ta wiadomość sprawiła, e przedstawiciele prasy znikli z Nowhere równie szybko, jak się tam pojawili.

Wymiana telegramów z sędzią Mocktonem została więc zakończona pilnym poleceniem zwolnienia zatrzymanych. Szeryf Brown, chcąc nie chcąc, musiał

się temu podporządkować i z telegramem w dłoni osobiście otworzył wrota glinianej budy, noszącej dumne miano miejskiego aresztu.

Po dziesięciu dniach przebywania w półmroku pełne słońce boleśnie raziło oczy. Trace i Sam byli wciąż w tych samych ubraniach, w których jedenaście dni wcześniej opuszczali dom pani Martinez. Trace znów był mocno zarośnięty, a oboje rozpaczliwie potrzebowali kąpieli.

Szeryf wyszedł wraz z nimi na zewnątrz i podał Sam – akurat oślepionej jaskrawym słońcem – ostatni telegram otrzymany od sędziego Mocktona. Dzięki artykułom zamieszczanym w najpopularniejszych gazetach wszelkie informacje o uczestnikach niedawnych wydarzeń rozchodziły się niezwykle szybko, czego dowodem mogło być tak e i to, e telegram był ju zaadresowany nie do pana, ale do panny Kincaide.

PANNA SAMAHTHA KINCAIDE STOP JESTEŚCIE UŁASKAWIENI STOP SNOW
UPOKORZONY I WŚCIEKŁY WYJECHAŁ Z POWROTEM

NA WSCHÓD STOP NIGDY JU NIE POKAZUJ SIĘ W DENVER STOP.

Sam zgmiotła telegram i wcisnęła go do tylnej kieszeni spodni. Szeryf kiwnął głową w kierunku szynku, który mieścił się po drugiej stronie ulicy.

– Przed opuszczeniem miasta macie prawo do bezpłatnego drinka i posiłku – powiedział z miną wyjątkowego dobroczyńcy.

Trace i Sam popatrzyli na niego tak, jak gdyby był powietrzem, odwrócili się bez słowa i szybkim krokiem ruszyli w kierunku stajni, gdzie pozostawili konie.

Wkrótce szeryf został daleko z tyłu, a gdy wreszcie byli sami, odetchnęli głęboko i popatrzyli na siebie z ogromną ulgą. Po raz pierwszy od dziesięciu dni mogli znów swobodnie rozmawiać – bez obawy, e ktoś ich słyszy. Areszt w Nowhere nie miał wydzielonej części dla kobiet i Sam została tam umieszczona praktycznie tu obok Trace’a, ponieważ ich cele rozdzielała tylko wielka elazna krata. W rezultacie przez dziesięć dni Sam obserwowała mękę Trace’a, który jawnie zadręczał się myślami o tym tragicznym splocie wydarzeń – o tym wszystkim, co w końcu doprowadziło do tego, e zastrzelił własnego brata. Te rozmyślenia sprawiały, e w ogóle nie spał albo te spał co najwyżej przez kilka godzin.

Tak e i teraz, po uwolnieniu z aresztu, wracał myślami do tego, co się stało. Widać było, e wciąż go to dręczy. Nie zaprotestował jednak, gdy Sam nieśmiało zasugerowała, e Hannibal mógł z własnego wyboru szukać takiej właśnie śmierci.

– Masz rację – przyznał. – Tu przed śmiercią sam przypomniał mi, e jako chłopcy przyrzekliśmy to sobie... i powiedział, e to był jego wybór. e tak to zaplanował.

– Ja te miałam du o czasie, eby o tym wszystkim myśleć – powiedziała Sam. – I stąd to moje przypuszczenie, e on naprawdę chciał zginąć z twojej ręki. Kto wie, mo e to był dla niego punkt honoru, by nie dać się aresztować. I na pewno wolał to, co się stało, od śmierci na szubienicy. Dlatego celowo cię sprowokował, zmusił cię, ebyś w końcu strzelił. Chciał, eby tak się stało.

– Mo e tak. Ale minie jeszcze du o czasie, zanim się do końca z tym uporam i nauczę się z tym żyć. – Trace spojrział w kierunku ledwie widocznych na horyzoncie punkcików, budynków opuszczonego ranca. – Myślę, e jednak kłamał, uparcie twierdząc, e zgwałcił Ettę. Nie sądzę, eby to była prawda.

Sam odruchowo kopnęła jakiś leący na drodze kamyk.

– Ale Etta utrzymywała, e tak było, a Hannibal potwierdził jej oskarżenie. Nawet nie wnikając w to, z jakiego powodu okazali się tu tak zgodni, mo na za oczywiste uznać jedno: e oboje chcieli, ebyś w to uwierzył.

– Nigdy nie będę wiedział na pewno.

– A czy to ma teraz jakieś znaczenie?

Trace milczał przez długą chwilę, w zamyśleniu wpatrując się w spopieloną, oblaną blaskiem słońca

pustynię. W końcu spojrzął na Sam i kiwnął

głową.

– Masz rację. Było, minęło.

Weszli w głębokie podcienia stajni. Konie były już osiodłane i przygotowane do drogi, więc po chwili wyprowadzili je na ulicę, gdzie zatrzymali się jeszcze na chwilę. Wokół nich, jak okiem sięgnąć, nie było żywego ducha.

– No có ... – odezwała się niepewnie Sam, czując nerwowe skurcze w ołładku na samą myśl o tym, co miała teraz powiedzieć. Niewiele jej pomogło to, a w myślach już od dawna szykowała się do tego momentu, mobilizując się na wszelkie sposoby, aby nie okazać słabości w chwili po egna.

Wiedziała, że czeka ją długa samotna jazda przez pustynię. Wiedziała też, że musi wziąć się w garść, i tłumaczyła sobie, że w końcu niczego innego nie mogła się spodziewać. Nie wiedziała jeszcze, dokąd pojedzie, zresztą to nie miało żadnego znaczenia.

– Jak rozumiem, tu mamy się po egnać. – Wyciągnęła rękę, znajdując w sobie jeszcze dość siły, aby się uśmiechnąć, choć wypadło to raczej blado. –

Powodzenia w San Francisco!

Trace jednak zignorował jej wyciągniętą dłoń.

– Chcesz mi powiedzieć „cześć!” i odjechać? – zapytał, unosząc brew. –

Tak mam to rozumieć?

Wciąż wyglądał wręcz świetnie. Z nieogoloną twarzą był jeszcze bardziej męski, a przy tym w jakiś niezrozumiały sposób nadal pozostawał elegancki, choć jego ubranie było rozpaczliwie wymięte i brudne – podobnie zresztą jak i te wszystkie rzeczy, które ona miała na sobie. Tak naprawdę oboje potrzebowali kąpieli i czystych ubrań. Sam zaled pomyślała, że odjeżdżając na zawsze, Trace zapamięta głównie to, że była okropnie ubrana i nieumyta.

– A czego się spodziewałeś?! – zapytała poirytowana, opuszczając wyciągniętą dłoń i bezsensownie ocierając ją o swe nieprzyzwoicie brudne spodnie. Była wściekła na siebie i na cały świat. – Zaniknęliśmy naszą wspólną sprawę, więc czas stąd ruszać. Ty masz swoje plany, a ja... ja mam swoje.

– Naprawdę? – zapytał Trace, z zainteresowaniem może nie do końca poważnym. – A jakie one są te twoje plany?

Czując się coraz bardziej niepewna, Sam odwróciła wzrok i udała, że poprawia coś przy siodle.

– To nie twój interes! – rzuciła z jeszcze większą irytacją. Trace lekko się uśmiechnął.

– Moim zdaniem, nie masz adnych planów. Sam wyprostowała się gniewnie.

– Nie przypominam sobie, ebym prosiła cię o opinię w tej sprawie.

– To prawda – zgodził się Trace. – Chodzi jednak o to, w odró nieniu od ciebie ja rzeczywiście myślałem o twoje przyszłości, i to bardzo konkretnie.

Wyobraziłem sobie ciebie na stanowisku szefa sali albo nawet całego kasyna. Po do świadczeniach sromotnego przegrywania z tobą w pokera podejrzewam, e masz do tego wrodzone predyspozycje i e mogłabyś się doskonale tam sprawdzić...

Serce Sam nagle zaczęło bić mocniej. Starając się nie pokazać po sobie, e z nadmiaru emocji niespodziewanie zmiękły jej nogi, wolno obróciła się ku niemu i spojrzała na niego uwa nie.

– Nie chciałabym cię źle zrozumieć. Czy to oznacza, e proponujesz mi pracę?

Trace skrzy ował ręce na piersiach i uśmiechnął się, patrząc na jej wyszarganą koszulę i łośnie pognieciony kapelusz.

– A je eli rzeczywiście proponuję, to co na to powiesz? Sam patrzyła w jego oczy, z których wyraźnie przebijało rozbawienie, i zastanawiała się, czy Trace z niej się śmieje, czy te się nad nią lituje.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, jak mam się do tego ustosunkować –

powiedziała w końcu i była to bardzo szczerza odpowiedź.

Bycie kobietą wcale nie jest łatwe. Potrzeby serca z reguły pozostają w sprzeczności z praktycznym podejściem do ycia i ze zwyczajnym rozsądkiem.

W pierwszym odruchu powiedziałaaby pewnie, e najbardziej jednak chciałaby pozostać z Trace'em – ale ta nowa kobieta, którą odkryła w sobie dopiero niedawno, zdecydowanie nie chciała się godzić na tak suche i rzeczowe podejście do sprawy. Jako kobieta Sam domagała się czegoś więcej ni zwykłej oferty pracy.

– A ja naiwnie myślałem, e mnie lubisz i e rzucisz się na tę propozycję.

– W oczach Trace'a nadal błyskały iskierki rozbawienia. Sięgnął do kieszeni i wyjął mocno ju zu ytą talię kart. – Je eli wyciągniesz ni szą kartę, jedziesz ze mną do San Francisco i zostajesz moim współnikiem w najlepszym domu gry na całym Zachodnim Wybrze u. Zgoda?

Sam podejrzliwie spojrzała na karty i zagryzła wargi.

– Przynależałam sobie, e ju nigdy więcej nie zgodzę się na decydowanie poprzez ciągnięcie karty. I tego chyba powinnam się trzymać.

Jeden lekki ruch palca sprawił, e karty rozło yły się na kształt wachlarza, który Trace podstawił

prawie pod jej nos.

– Nie jesteś ciekawa, jaka decyzję podjęłaby pani Fortuna? Była niemal pewna, e on kpi sobie z niej w ywe oczy.

Z drugiej jednak strony nie mogła nie wiedzieć, e je eli zrezygnuje z tych swoich – nieistniejących! – alternatywnych planów i przyjmie jego propozycję, to przynajmniej będzie mogła pozostać przy nim trochę dłu ej. A zdanie się na los szczęścia miało tę zaletę, e mogła to zrobić bez większego uszczerbku dla własnej dumy. Wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Niech będzie. Tasuj te cholerne karty.

Skaleczona dłoń ju się prawie wygoiła i najwyraźniej mu nie przeszkadzała, bo karty zdawały się go słuchać, tak jak zawsze.

Sam wyciągnęła rękę, wahała się przez dłu szą chwilą i w końcu wyciągnęła kartę ze środka. Obejrzała ją i pokręciła głową.

– Dwójka. Gorzej ju być nie mogło. Nie wiem, dlaczego się na to zgodziłam, bo zawsze przegrywam.

– Wygląda więc na to, e pojedziesz ze mną do San Francisco. – Trace przetasował i przeło ył karty. Nie patrząc nawet na talię, wyciągnął asa i pokazał go Sam, eby nie miała adnych wątpliwości.

– Chwileczkę! – zawołała i ujęła się pod boki. – Oszukiwałeś!

– Nigdy nie oszukuję.

– Taaak?! No to przetasuj tę talię jeszcze raz. Ale tym razem stawki będą wy sze. I ustalimy je tak, jak ja chcę!

– A czego ty chcesz, panno Samantho Kincade?

Stali w tym momencie tak blisko siebie, e Sam – gdyby zdecydowała się mówić szczerze – nie miałyby najmniejszych problemów z odpowiedzią.

Chciałyby pogłaskać go po tej na nowo zarośniętej twarzy, chciałyby znów poczuć uścisk jego ramion. Ale na razie trzeba było ustalić te wy sze stawki...

Bo tę ni szą ju wygrała – nie musiała natychmiast rozstawać się z Trace'em.

– No więc tak... – Zmarszczyła czoło w głębokim namyśle. – Je eli znów wyciągnę ni szą kartę, będę szefować w twoim kasynie. Ale jeśli wyciągnę wy szą... – zawahała się, a jej policzki nagle pokryły się szkarłatem – ... jeśli wyciągnę wy szą, to będziesz musiał się ze mną o enić. Chcesz zagrać o taką stawkę?

– Hm... no tak. To rzeczywiście wysoka stawka... – Coś błysnęło w jego tygryskich oczach. Mo e to było rozbawienie, a mo e gwałtowny sprzeciw? Sam była zbyt przejęta, by to odgadywać.

– No to co? Tasujesz?

– Chyba tak – powiedział Trace. – Ale chciałbym zrobić jedno istotne zastrzeżenie. Je eli pani Fortuna zdecyduje, e mam się z tobą o nic... –

spojrzał na jej usta, drzące z nadmiaru emocji – ... to ju nigdy, ale to nigdy nie ośmielisz się narzekać, e jesteś kobietą nie taką, jak trzeba. Rozumiesz? Masz obowiązek uwierzyć, e jesteś cholernie wspaniałą kobietą!

Sam kiwnęła głową.

– A ty wobec tego będziesz musiał przyrzec, e ju nigdy nie usłyszę od ciebie ualania się nad własną, z jakichś tam powodów rozczarowującą cię, męskością. To kompletnie niedorzeczne, bo w ogóle nie wyobra am sobie, by ktoś mógł być bardziej męski.

– Zrozumiałem. Jeśli więc kiedyś jeszcze poczujesz się zmuszona do ratowania mi ycia, postaram się to przyjąć jako coś oczywistego, bez nadmiernego popiskiwanie i skomlenia.

– Doskonale. Ale skoro ju mowa o ratowaniu z opresji, to z kolei ty musisz mi obiecać, e w adnym przypadku nie będziesz mnie ratował. No, chyba e sama cię o to poproszę. To ja muszę zdecydować o tym, czy potrzebuję pomocy, czy nie.

– I na tym ju mo e poprzestańmy! Chyba e chcesz coś jeszcze powiedzieć, zanim naszą przyszłość powierzmy wyborowi pani Fortuny.

– Mogę tylko ostrzec cię ostatni raz, ebyś się nie spodziewał, e mo esz we mnie znaleźć taką zwyczajną, konwencjonalną onę... – Przygryzła wargi, wpatrując się w karty. – Je eli los tak zechce, będę się starała spełniać twoje oczekiwania, ale nie mo esz liczyć na to, e nie zdarzy mi się zakląć raz czy drugi, wypić odrobinę więcej, ni wypada damie, albo nawet zrobić piekielną awanturę...

– Bądź po prostu sobą, a wszystko będzie w porządku.

– No to tasuj te karty.

Trace zrobił to błyskawicznie i bardzo efektownie, ale kiedy podsunął jej karty, nagle się zawahała. Zakłęła pod nosem i powiedziała:

– Zmieniłam zdanie. Biorę tę pracę i niczego więcej nie chcę.

– Za późno, panno Kincade – oświadczył Trace. – Słowo się rzekło, kobyłka u płota. Ciągnij!

Czując się rozpaczliwie głupio – jako e w końcu sama to zaproponowała

– Sam zamknęła oczy, wyciągnęła kartę i przycisnęła ją do piersi, bojąc się na nią spojrzeć.

– Co masz? – spytał uprzejmie Trace.

– Zobaczą dopiero wtedy, kiedy ty wyciągniesz swoją. Niedbale wziął

pierwszą z brzegu.

– I co?! – spytała z przejęciem, którego nie potrafiła ukryć. Ponieważ Trace wciąż nie pokazywał wyciągniętej karty, niepewnie zerknęła na swoją i szeroko otworzyła oczy. – Mam asa! – wykrzyknęła.

Pokazał jej swoją kartę, nawet na nią nie patrząc.

– A ja? – rzekł smutno. – Niech mnie diabli, je eli znowu nie wyciągnąłem dwójki! – Nadal chciał udawać smutek, ale w końcu nie wytrzymał i się roześmiał. – Wygląda na to, że pani Fortuna naprawdę chce, abyśmy się pobrali!

Sam popatrzyła na niego badawczo i przymrużyła oczy.

– Czy to nie zastanawiające? – W jej oczach te błysnęły iskierki rozbawienia. – Czy to nie zastanawiające, że dwa razy wyciągnęliśmy dokładnie te same karty? Bo ty, oczywiście, nigdy nie oszukujesz, prawda?

– Prawda – odparł z jeszcze szerszym uśmiechem. – To znaczy, chciałem powiedzieć... nigdy!

– No więc teraz posłuchaj, Trace – odezwała się bardzo łagodnie, ale i zdecydowanie. – Taki wynik do niczego cię nie zobowiązuje. Przecie sam doskonale wiesz, że jest to po prostu nie do pomyślenia, by o czymś tak w tym momencie decydowała jakaś tam wyciągnięta karta. Już raz musiałeś poślubić kobietę, z którą wcale nie chciałeś się enić. Ja nie chcę być następną. Nie chcę, abyś kiedyś przy śniadaniu popatrzył na mnie i pomyślał sobie, że wpakowałeś się w to wszystko przez głupią pechową kartę.

Jej duma odezwała się do niej trochę późno, ale mimo wszystko.

Opamiętała się na czas i zachowała tak, jak powinna.

Gotowa była zrezygnować z własnego szczęścia. Jednak ta rezygnacja nie została przyjęta.

Trace nagle chwycił ją za ramię, obrócił i mocno przyciągnął do siebie.

Palcami drugiej ręki delikatnie ujął ją pod brodę i ustawił twarz Sam tak, by patrzeć jej prosto w oczy.

– Przysięgam ci, że z dnia na dzień czynisz coraz bardziej zdumiewające postępy w stawianiu się kobiecie. Na przykład to, co zrobiłaś przed chwilą! Pełnia kobiecości! A teraz posłuchaj, skończony głuptasie. Jak myślisz, co chciałem ci powiedzieć w tym momencie, kiedy naszą rozmowę przerwało pojawienie się Crispa?! – Jego twarz nagle spowaśniała, ale spojrzenie wciąż było niezwykle ciepłe – Nie wiem... – szepnęła Sam. Wpatrywała się w te tak bliskie teraz i tak kusząco zmysłowe usta... Czuli jego ciało, które znów przylegało do niej tak mocno jak dawniej. Taka bliskość sprawiała, że znów kręciło się jej w głowie, że była półprzytomna ze szczęścia i z gwałtownie narastającego podniecenia.

Pragnęła go wręcz szaleńczo.

– Chciałem ci wtedy powiedzieć, e cię kocham! – Trace patrzył jej prosto w oczy. – I e chcę być z tobą ju na zawsze, poniewa po prostu nie wyobra am sobie ycia bez ciebie! Chciałem ci powiedzieć, e jesteś cudowna, piękna i dzielna, e jesteś wspaniała, nawet jeśli czasami potrafisz rozwścieczyć mnie tak, e chciałbym cię udusić. I miałem ci te powiedzieć, e chciałbym ci pokazać Pary i Rzym i sam ujrzeć te miejsca na nowo poprzez twoje oczy. I e chciałbym dla ciebie wybudować wielki dom z widokiem na zatokę San Francisco, i wraz z tobą wypełnić ten dom dziećmi, naszymi dziećmi, które będą miały oboje rodziców i będą wszystkie jednakowo kochane. e chcę patrzeć na ciebie i widzieć, jak się zmieniasz... Chcę wiedzieć, jaka będziesz z długimi włosami i jaka będziesz, kiedy twoje włosy staną się siwe. Chcę patrzeć na ciebie codziennie, budząc się rano i zasypiając wieczorem...

Sam objęła go i przytuliła się do niego jeszcze mocniej. W jej oczach zakręciły się łzy, łzy prawdziwego szczęścia. Patrzyła na Trace'a z bezgranicznym oddaniem.

A potem z całej siły kopnęła go w łydkę.

– Au! – jęknął. – Za co to?

– Za to, e nie powiedziałeś mi tego wcześniej! – Sam zastanawiała się przez chwilę, a potem kopnęła go jeszcze raz. – I za to, e straszyleś mnie tym ciągnięciem kart... i pozwoliłeś mi myśleć, e mnie wcale nie kochasz! – Mocno ujęła jego twarz w obie dłonie i zaczęła go całować tak gorąca i namiętnie jak jeszcze nigdy dotąd. – A to – dodała, tuląc sir! do niego i czując, e za chwilę rozplynie się ze szczęścia niczym zostawiony na słońcu karmelek – ... to masz za to, e jesteś taki, jaki jesteś. Za to, e kocham cię najbardziej na świecie!

– Ach, Sam! – Trace poprawił nieposłuszne pasemko włosów, które wysunęły się spod jej kapelusza, a potem znów objął i przyciągnął do siebie. –

Moja słodka i wojownicza, jedyna w swoim rodzaju, moja Sam! Z tobą nigdy nie będzie mo na się nudzić.

Zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Wobec tego ruszmy się ju stąd. Im szybciej znajdziemy jakiegoś pastora, tym lepiej. Ale przedtem, panie Harden, ni mnie pan pocałuje... Teraz, natychmiast!

Trace całował ją mocno i długo. Tak długo, e zapomniała o bo ym świecie, o palącym słońcu nad nimi i o czekają' ich długiej i trudnej jeździe przez pustynię. W tej całkowi odmienionej osobie, którą Trace Harden trzymał

w ramionach, nie pozostało ju nic z owej rozpaczliwie pogubionej dziewczyny, która kiedyś przebrała się w męski strój łowcy nagród. Była to w pełni dojrzała i świadoma swej wartości młoda kobieta, która z nadatkiem oddawała mu wszystkie jego pocałunki. Bo Sam Kincade stała się kobietą ju bez reszty.

Później, kiedy ju ostatecznie opuszczali to nieszczęśliwe – ale i szczęśliwe dla nich – miasteczko

Nowhere, przez cały czas jechali obok siebie tak blisko, jak to tylko było możliwe. Promieniejąca szczęściem Sam patrzyła na nieustannie uciekający przed nimi horyzont i na spaloną bezlitosnym słońcem pustynię i mówiła sobie, że ten świat jest po prostu wspaniały.

Ju nigdy nie będzie musiała przemierzać tych bezkresnych przestrzeni w pojedynkę i ju nigdy nie będzie się czuła tak samotna i opuszczona, jak gdyby zapomniał o niej nawet sam pan Bóg, który ją stworzył.

Odnajdując w sobie kobietę, miała to szczęście, że znalazła też dla siebie męża.

A skoro go ju znalazła, była pewna, że potrafi go zatrzymać.